



**MIKE RESNICK**

# **SANTIAGO**

**Mit z odległej przyszłości**

**Przekład  
Ewa Wojtczak**



**Dom Wydawniczy REBIS  
POZNAŃ 1993**

**Tytuł oryginału *Santiago***

**Copyright © 1986 by Mike Resnick Copyright © 1993 for the Polish translation by REBIS Publishing House Ltd., Poznań**

**Copyright © 1984 for the cover illustration by Alan Gutierocz**

**Wydanie I**

**ISBN 83-7120-017-X**

**Dom Wydawniczy REBIS ul. Marcelińska 18, 60-801 Poznań tel. 65-66-07, tel. /fax 65-65-91**

**Łamanie komputerowe perfekt s. c., Poznań, ul. Grodziska 11**

*Dla Carol, jak zwykle i dla mojej agentki,  
Eleanor Wood, za porady, zachętą i pieniądze*

## PROLOG

Powiadają, że jego ojcem była kometa, a matką kosmiczny wiatr. Mówią, że żongluje planetami, jak gdyby podrzucał kulki i mocuje się z czarnymi dziurami, ot tak, dla pobudzenia apetytu. Mówią, że nigdy nie sypia, że jego oczy płoną jaśniej niż supernowa, a krzyk może spłaszcząć góry.

Nazywają go Santiago.

Daleko stąd, na Galaktycznym Obrzeżu, na samym krańcu Zewnętrznej Granicy\* leży światek zwany Silverblue. Jest to planeta-ocean — na spokojnych wodach, które pokrywają jej powierzchnię, rozsiana jest garść wysepek. Jeśli na największej z nich spojrzycie w nocy na niebo, zobaczycie prawie całą Drogę Mleczną: wielką, migoczącą rzekę gwiazd, która zdaje się przepływać przez pół wszechświata.

Gdybyście natomiast stanęli za dnia na zachodnim brzegu wyspy, tyłem do wody, zobaczylibyście kopiec pokryty trawą. Znajduje się na nim siedemnaście białych krzyży i na każdym z nich wyryte jest nazwisko jakiegoś dobrego człowieka — mężczyzny lub kobiety — który chciał skolonizować ten przyjazny światek. A pod każdym z siedemnastu nazwisk widnieje ten sam napis:

„Zabity przez Santiago”.

Posuwając się ku centrum galaktyki, tam, gdzie gwiazdy leżą tak blisko siebie, iż nocą jest jasno jak w dzień, natrafić można na planetę zwaną Walkirią. Jest to światek na wpół opuszczony i znajduje się na nim tylko kilka zrujnowanych

*\* Granica posuwania się osadników. (przyp. tłum.)*

faktorii wypełnionych obskurnymi barami, hotelami i domami publicznymi. Spotykają się w nich odkrywcy, kopacze i handlarze z Wewnętrznej Granicy, jedzą tam, piją i zabijają czas snuciem długich opowieści.

W największej z tych faktorii, która w rzeczywistości wcale nie jest taka znowu wielka, znajduje się urząd pocztowy, gromadzący wiadomości z podprzestrzeni w ten sam sposób, w jaki urzędy pocztowe starego typu zbierały korespondencję pisemną. Czasami wiadomości te przechowuje się przez długi okres trzech, czterech lat lub wysyła gdzieś bliżej centrum galaktyki; w końcu jednak większość dociera, gdzie trzeba.

W urzędzie pocztowym jedna ze ścian pokryta jest nazwiskami i hologramami przestępców — znajdujących się obecnie najprawdopodobniej na Wewnętrznej Granicy — dzięki czemu urząd jest bardzo często odwiedzany przez łowców nagród. Zawsze wiszą tam portrety dwudziestu przestępców (nigdy więcej, nigdy mniej) i obok każdego nazwiska wypisana jest cena za głowę poszukiwanego osobnika. Niektóre z tych nazwisk widnieją na ścianie przez tydzień, inne przez miesiąc, nieliczne przez rok.

Tylko trzy spośród wszystkich, jakie kiedykolwiek wypisano na ścianie, pozostawały tam przez okres dłuższy niż pięć lat. Dwa z tych nazwisk już zniknęły. Trzecie brzmi „Santiago”. Obok napisu nie ma jednak hologramii.

Na planecie Święta Joanna żyje tubylcza rasa humanoidalna, zwana Swalami. Nie ma już na tym światku żadnych osadników; wszyscy odlecieli.

W pobliżu równika Świętej Joanny, bardzo blisko miejsca, w którym niegdyś żyła kolonia, znajduje się poczerniały pas ziemi — prawie dziesięć mil długi i pół mili szeroki — na którym nic nie rośnie. Żaden z kolonistów nigdy o nim

nie wspominał, a jeżeli nawet któryś z nich sporządził kiedyś jakiś raport na ten temat, musiał on dawno temu zawieruszyć się, włożony w niewłaściwe miejsce przez jednego z trzydziestu 6 miliardów urzędników Demokracji. Ale jeżeli polecicie na Świętą Joannę i spytacie Swalów, co sprawiło, iż ten skrawek ziemi tak poczerniał, przeżegnają się (nawróceni przez religijnych kolonistów na katolicyzm) i powiedzą, że uczynił to Mark z Santiago.

Jego imię nie jest obce nawet na rolniczym świecie Rancho, tam, gdzie nigdy nie popełniono żadnej zbrodni ani nawet drobnej kradzieży. Uważa się, że tenże Santiago ma jedenaście stóp i trzy cale wzrostu, dzikie, niesforne, pomarańczowe włosy i ogromne czarne kły sterczące z warg. Rodzice, kiedy ich pociechy nieodpowiednio się zachowują, opowiadają im po prostu o niegrzecznych dzieciach, które Santiago zjadł na śniadanie — i natychmiast wraca porządek.

\* \* \*

Na Minotaurze i Tezeuszu — dwu bliźniaczych planetach, które krążą wokół Sigmy Draconis — śpiewają o nim wędrowni bardowie, zawsze przedstawiając go jako osobnika w wieku dwustu siedemnastu lat, wyższego niż dzwonnica i szerszego niż stodoła, ostro pijącego i lubiącego kobiety Księcia Złodziei, który różni się od Robin Hooda (innego ich ulubieńca, o którym również śpiewają pieśni) głównie tym, że okrada zarówno biednych, jak i bogatych, a obdarowuje tylko siebie samego. Przypisuje mu się całe mnóstwo przygód, poczynając od heroicznej walki wręcz, którą rzekomo stoczył z ziejącą chlorem Gorgoną a skończywszy na opowieści o poranku, kiedy to zszedł do piekła i splunął prosto w płonące

oko Szatana. Rzadko zdarza się dzień, w którym nie wymyślono by kilku nowych strof do „Ballady o Santiago”.

Na wielkim Delurosie VIII, głównym świecie rasy ludzkiej, w samym centrum Demokracji, pozostało jedenaście rządowych departamentów, a ich urzędnikom w liczbie 1306 powierzono zadanie odnalezienia i zabicia Santiago. Urzędnicy raczej nie wierzą, by Santiago było jego prawdziwym nazwiskiem; podejrzewają również, że niektóre z przypisywanych mu przestępstw zostały popełnione przez kogoś innego i są niemal pewni, że gdzieś w swoich kartotekach mają jakieś jego zdjęcie lub holografie, ale po prostu jeszcze nie skojarzyli ich z jego prawdziwym wyglądem. To jest w sumie cała ich wiedza o nim.

Dociera do nich codziennie pięćset raportów na jego temat, a każdego roku pojawia się dwa tysiące różnych wskazówek. Na pół miliona planet wyznaczono hojne nagrody za jego głowę, wysyła się agentów uzbrojonych w gotówkę i świetny sprzęt, a mimo to tych jedenaście departamentów nadal istnieje. Przetrwały ostatnie trzy rządy i będą istnieć do czasu, aż wypełnią swoje zadanie.

Silverblue, Walkiria, Święta Joanna, Rancho, Minotaur, Tezeusz, Deluros VIII — wszystko to światy interesujące i ważne. Ale jeszcze bardziej interesującym światem w niezwykłym życiu Santiago jest odległy światek o nazwie Pamiątka, światek leżący w samym sercu Wewnętrznej Granicy. A to dlatego, że Pamiątka jest — przynajmniej czasowo — domem Sebastiana Nightingale’a Caina, który nie lubi swego drugiego imienia, swego zawodu i swego życia — niekoniecznie w tej kolejności. Wielokrotnie walczył o to, co uważał za ważne i dobre i nigdy nie zwyciężył. Niewiele rzeczy jest w stanie podniecić jego wyobraźnię, a jeszcze mniej go dziwi. Nie



ma przyjaciół, ma niewielu towarzyszy i nie szuka nowych znajomości.

Sebastian Nightingale Cain pod każdym względem jest człowiekiem przeciętnym i niczym szczególnym się nie wyróżnia, a jednak nasza historia musi się zacząć od niego, ponieważ jego przeznaczeniem jest odegrać główną rolę w opowieści o człowieku znanym jako Santiago...

# Część 1

## KSIĘGA CZYŻYKA I.

*Giles Sans Pitie\* jest jak innych stu,  
Oko ma sokole i ze stali pięść,  
Spije cały galon, nim zaczerpnie tchu,  
A gdziekolwiek pojdzie, idzie za nim Śmierć.*

Nigdy nie spisano historii Wewnętrznej Granicy, więc Czarny Orfeusz sam podjął się stworzenia czegoś takiego w postaci śpiewanego poematu. W rzeczywistości nie miał na imię Orfeusz (choć faktycznie był czarny). Kiedyś, jak wieść niesie, był akwakulturystą i mieszkał gdzieś daleko w systemie Deluros. Uprawiał rośliny wodne, póki się nie zakochał. Dziewczyna miała na imię Eurydyka. Wyruszył za nią gwiazdowym szlakiem, a ponieważ zostawił cały swój dobytek, nie miał niczego, co mógłby jej ofiarować poza swoją muzyką. Przyjął imię Czarny Orfeusz i spędzał dni na komponowaniu dla niej miłosnych pieśni i sonetów. Potem dziewczyna umarła, a on zdecydował się pozostać na Wewnętrznej Granicy i zaczął pisać epicką balladę o handlarzach i myśliwych, przestępcach i wykolejeńcach, których spotykał w czasie swoich podróży. Po pewnym czasie utarło się, że dopiero kiedy Orfeusz zechciał dodać choćby strofę na czyjś temat, człowiek taki przestawał być na Granicy nowicjuszem lub tylko turystą.

*\* Giles Sans Pitie (fr.) — Giles Bez Litości.*

W każdym razie Giles Sans Pitie musiał wyrzucić na pieśniarzu wielkie wrażenie, ponieważ pojawił się w dziewięciu różnych zwrotkach — niezwykle często, zważywszy, iż autor był Homerem dla pięciu setek światów. Możliwe, że sprawiła to stalowa pięść Gilesa. Nikt nie wiedział, w jaki sposób stracił prawdziwą rękę. Po prostu pewnego dnia pojawił się na Granicy z wypolerowaną, stalową lewą dłonią, oznajmił, że jest najlepszym łowcą głów, jaki kiedykolwiek się urodził, wyżrebił, wyszczenił lub wylągl i przystąpił do praktycznego udowodniania, że nie mija się z prawdą. Kiedy nie pracował, to — podobnie jak inni łowcy nagród — wpadał na chwilę na peryferyjne światy i jak większość podążał w miarę regularną trasą. Przybył właśnie na Pamiątkę do faktorii Moritat, pojawił się w Centrum Handlowym Gentry’ego, uderzył swoją stalową pięścią w długą drewnianą ladę i zażądał obsługi.

Stary Geronimo Gentry, który spędził trzydzieści lat penetrując światy Wewnętrznej Granicy, a potem cisnął to wszystko w diabły i otworzył tawernę z burdelem w Moritacie, słysząc z tego, że starannie wypróbowywał każdy produkt, zanim oferował go klienteli. Podszedł do kontuaru z pełną butelką altairiańskiego rumu, ale cofnął ją, kiedy sięgnął po nią Giles Sans Pitie.

— Rachunek rośnie — zauważył znacząco.

Łowca nagród cisnął na ladę zwitek banknotów.

— Dolary Marii Teresy — stwierdził Gentry, oglądając je z zadowoleniem i stawiając przed gościem butelkę. — Gdzie je zarobiłeś?

— W systemie Corvus.

— Jakiś mały interesik, co? — zagadnął Gentry.

Giles Sans Pitie uśmiechnął się ponuro.

— Malutki.

Pogrzebał pod koszulą i wyciągnął trzy listy gończe braci Suliman, które jeszcze tego ranka wisiały na ścianie urzędu pocztowego. Każde zdjęcie było przekreślone dużą czerwoną literą X.

— Wszyscy trzej?

Łowca przytaknął.

— Zastrzełeś ich czy użyłeś tego? — spytał Gentry, wskazując na stalową pięść Gilesa.

— Tak.

— Co „tak”?

Giles Sans Pitie podniósł metalową dłoń.

— Tak. Zastrzełem ich albo użyłem tego.

Gentry wzruszył ramionami.

— Wkrótce ruszasz dalej?

— Za kilka dni.

— Dokąd tym razem?

— To moja sprawa — mruknął łowca.

— Po prostu pomyślałem, że mógłbym służyć ci przyjacielską radą — uśmiechnął się Gentry.

— Jaką mianowicie?

— Jeżeli zamyslałeś jechać do Praeteep IV, zapomnij o tym. Czyżyk właśnie stamtąd wrócił.

— Masz na myśli Caina?

Gentry skinął głową.

— Ma masę pieniędzy, więc pewnie znalazł to, czego szukał.

Łowca zmarszczył brwi.

— Chyba będę musiał zamienić z nim parę słów — powiedział. — Przed systemem Praeteep stoi znak zakazu wstępu.

— Tak? — zdziwił się Gentry. — Od kiedy?

— Od kiedy go tam postawiłem — odrzekł zimno Giles Sans Pitie. — I nie mam ochoty, żeby jakiś pieprzony konkurent kłusował na moim terenie. — Przerwał. — Nie wiesz przypadkiem, gdzie mogę znaleźć Caina?

— Właśnie tu.

Giles rozejrzał się po sali. Przy drugim końcu szynkwasu stał jakiś srebrzystowłosy, bogaty hazardzista, wystrojony w jasne nowe ubranie z metalicznie błyszczącego materiału. Przy stoliku w rogu siedziała samotnie młoda kobieta o melancholijnym spojrzeniu. W całej wielkiej, słabo oświetlonej tawernie było mniej więcej dwa tuziny mężczyzn i kobiet. Parami lub w grupkach siedzieli w milczeniu albo cicho rozmawiali.

— Nie widzę go — oznajmił łowca nagród.

— Jeszcze za wcześnie — odpowiedział Gentry — ale przyjdzie.

— Skąd wiesz?

— Bo tylko ja na Moritacie serwuję trunki i rozrywkowe dziewczynki. Sądzisz, że mógłby się udać gdzie indziej?

— Wokół jest wiele światów.

— To prawda — przyznał Gentry. — W końcu można się jednak zmęczyć nowymi światami. Wierz mi — mogę coś na ten temat powiedzieć.

— Więc co robisz na Granicy?

— Można się zmęczyć również ludźmi. Tutaj jest ich z pewnością mniej, no i mam luksusowe panienki, które mnie rozweselają, kiedy czuję się samotny. — Zamilkł. — Ale jeśli chcesz usłyszeć historię całego mojego życia, musisz kupić parę butelek tego oto wyborczego trunku. A wtedy we dwóch wymkniemy się do jednej z tylnych salek i zaczniemy od pierwszego rozdziału.

Łowca wyciągnął rękę po butelkę.

— Myślę, że mogę bez tego żyć — stwierdził.

— Tracisz piekielnie dobrą powieść — powiedział Gentry. — Zrobiłem masę interesujących rzeczy. Widziałem takie różności, jakich prawdopodobnie nigdy nie widział nawet taki chojrak jak ty.

— Może kiedy indziej.

— Twoja strata — Gentry wzruszył ramionami. — Podać ci szklanekę?

— Nie trzeba — odparł Giles Sans Pitie, podnosząc butelkę i popijając długimi łykami. Kiedy skończył, wytarł usta wierzchem dłoni. — O której Cain przyjdzie?

— Masz czas na jeden szybki numer, jeśli o tym myślisz — powiedział Gentry. — Poczekaj chwilę, sprawdzę, który z moich kwiatuszków jest w tej chwili wolny. — Nagle obrócił się do drzwi. — Kurcze! Jest już Cain. Coś mi się zdaje, że na razie będziesz musiał obejść się bez miłości. — Pomachał ręką. — Jak leci, Czyżyk?

Do lady zbliżył się wysoki, chudy mężczyzna o twarzy kanciastej i jakby wycieńczonej i o ciemnych, zmęczonych życiem oczach. Jego kurtka i spodnie były w nijakim odcieniu brązu, a niezliczonej ilości kieszenie wypełnione miał bezkształtnymi wybrzuszeniami, które na Granicy mogły oznaczać prawie wszystko. Wzrok przyciągały jedynie buty, nie dlatego, iż nie były nowe, ale — wręcz przeciwnie — dlatego, iż były strasznie stare; tak stare, że chociaż najwidoczniej troskliwie je pielęgnowano, nie można już było w żaden sposób wydobyć z nich choćby śladu połysku.

— Nazywam się Cain — powiedział nowo przybyły. — Dobrze o tym wiesz.

— No cóż, nie tak cię ostatnio nazywają.

— Jeśli chcesz czegoś ode mnie, uważaj jak się do mnie zwracasz — odparował Cain.

— Przecież Czarny Orfeusz opisał cię w swoim poemacie jako Czyżyka — upierał się Gentry.

— Nie śpiewam, nie jestem ptakiem i nie dbam o to, co jakiś niedopieczony ludowy śpiewaczyna o mnie wypisuje.

Gentry wzruszył ramionami.

— Niech będzie jak chcesz, a skoro już jesteśmy przy życzeniach — co zamawiasz?

— Będzie pił altairiański rum, tak jak ja — wtrącił Giles Sans Pitie.

— Czyżby? — spytał Cain, obracając się do niego.

— Stawiam. — Łowca wymownym ruchem podniósł butelkę. — Chodź do mojego stolika i usiądź koło mnie, Sebastianie Cain.

Cain chwilę patrzył, jak tamten przechodzi przez salę, potem wzruszył ramionami i podążył za nim.

— Słyszałem, że nieźle ci się poszczęściło na Praetep IV — stwierdził Giles, kiedy obaj już się usadowili.

— Szczęście nie ma z tym nic wspólnego — odpowiedział Cain, rozpierając się wygodnie na krześle. — Zdaje mi się, że ty też raczej nie masz powodu do narzekań?

— Właściwie, to nie, ale czasem muszę się oszukiwać.

— Nie rozumiem.

— Trzeciego musiałem zastrzelić. — Giles Sans Pitie podniósł stalową pięść. — A lubię chwytac ich przy pomocy tego.

— Przerwał. — Czy ten twój sprawił ci dużo kłopotu?

— Nieco — bąknął wymijająco Cain.

— Daleko go ścigałeś?

— Dość.

— Nie jesteś zapewne najhojniejszym gawędziarzem, jakiego spotkałem — zachichotał Giles.

Cain wzruszył ramionami.

— Za gadanie się nie płaci.

— Różnie bywa. Suliman Hari proponował mi trzydzieści tysięcy kredytów za to, żebym pozwolił mu żyć.

— I?

— Podziękowałem mu za jego ofertę, wyjaśniłem, że cena na jego głowę doszła do pięćdziesięciu tysięcy i załatwiłem go.

— I oczywiście nie wzięłeś trzydziestu tysięcy kredytów z jego kieszeni, nikomu tego nie zgłaszając — powiedział szyderczo Cain.

Giles Sans Pitie zmarszczył brwi i mruknął:

— Ten sukinsyn miał przy sobie tylko dwa tysiące.

— Widzę, że w ostatnich czasach przestępcy są całkowicie pozbawieni honoru.

— Tak. Nie mogłem przewidzieć, że ten drań mnie okłamie!

— Po chwili dodał: — No dobrze, powiedz mi, Cain, za kim teraz będziesz gonił?

Cain uśmiechnął się.

— Tajemnica zawodowa. Dobrze o tym wiesz, więc po co pytasz.

— To prawda — przyznał łowca — ale każdemu wolno co jakiś czas naruszać zasady. Ty, na przykład, doskonale wiesz, że nie powinienes nikogo zabijać w systemie Praeteep, a jednak to zrobiłeś.

— Udał się tam człowiek, którego ścigałem — odparł spokojnie Cain. — Nie chcę cię obrazić, ale nie miałem zamia-



ru zaprzepaścić czteromiesięcznej pracy tylko dlatego, że tobie się zdaje, iż do ciebie należy cały system słoneczny.

— Odkryłem ten system — rzekł Giles. — Nazwałem w nim każdą planetę. — Chwilę milczał. — Ale ta odpowiedź mnie zadowala. Wybaczam ci twoją winę.

— Nie przypominam sobie, żebym prosił o przebaczenie — powiedział Cain.

— Wszystko jedno, i tak ci je daję. Tym razem! — dodał złowieszczo. — Ale byłoby dobrze, abyś pamiętał, że tu na Granicy obowiązują pewne zasady.

— Czyżby? Nie zauważyłem.

— A jednak one istnieją i stworzone zostały przez ludzi, którzy mogą wyegzekwować ich przestrzeganie.

— Dobrze, będę o tym pamiętał.

— Mam nadzieję.

— Jeśli nie, to rozwalisz mi czaszkę swoją metalową ręką? — spytał Cain.

— Całkiem możliwe.

Cain uśmiechnął się.

— Co jest takie śmieszne? — zapytał Giles Sans Pitie.

— Jesteś łowcą nagród.

— No i co z tego?

— Łowcy nagród nie zabijają za darmo. Kto ci zapłaci za zabicie mnie?

— Muszę chronić swoją własność — odpowiedział poważnie Giles. — Chcę po prostu być pewien, że się rozumiemy: jeśli jeszcze raz dowiem się, że kłusowałeś na moim terytorium, dojdzie do walki wręcz. — Trzasnął swoją metalową dłonią o stół, robiąc w blacie wielkie wklęsnięcie. — Moja ręka zwykle jest mocniejsza.

— Mogę to sobie wyobrazić — zgodził się Cain.

— Więc będziesz się trzymał z dala od Praeteep?

— Nie przypominam sobie, żebym miał tam coś pilnego do załatwienia.

— Nie jest to dokładnie taka odpowiedź, jakiej oczekiwałem.

— Radzę ci, żebyś na niej poprzestał — zauważył Cain.

— Lepszej nie dostaniesz.

Giles Sans Pitie przyglądał mu się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

— Może minąć parę lat, zanim ktoś znowu tam ucieknie. Przypuszczam, iż nie ma takiego prawa, które mówiłoby, że tymczasem nie możemy zachowywać się wobec siebie serdecznie.

— Z całego serca pragnę życia w pokoju z innymi ludźmi — powiedział zgodnie Cain.

Giles spojrział na niego z rozbawieniem.

— Wybrałeś nader dziwną profesję jak na człowieka, który myśli w ten sposób.

— Być może.

— No dobrze, możemy teraz pogawędzić?

— O czym?

— O czym? — powtórzył drwiąco łowca. — A o czym zawsze rozmawiają dwaj łowcy głów, kiedy spotykają się przy butelce rumu?

I zaczęli dyskutować o Santiago.

Mówili o światach, gdzie najprawdopodobniej ostatnio przebywał i wymienili zbrodnie, o które niedawno go oskarżono. Obaj słyszeli pogłoskę, według której rzekomo obrabował górniczą kolonię na planecie Bemor VIII; obaj uważali ją za nieprawdziwą. Dotarła do nich również wiadomość, że w rejonie Antares okradziono flotyllę zdalnie sterowanych stat-

ków towarowych. Cain sądził, że mogła to być robota Santiago, jego towarzysz natomiast uważał, że przestępca przebywał prawdopodobnie w tym czasie na Doradusie IV, z ukrycia kierując trzema morderstwami. Wymienili informacje na temat światów, które odwiedzili, nie znajdując żadnego śladu jego bytności; mówili także o innych spotkanych ostatnio łowcach nagród, którzy również nie natrafili na trop.

— Kto na niego teraz poluje? — spytał Giles Sans Pitie.

— Wszyscy.

— Chodzi mi o to, czy ktoś ostatnio do nas nie dołączył?

— Słyszałem, że Anioł wkroczył do strefy — odpowiedział Cain.

— Sądzisz, że szuka Santiago?

Cain tylko popatrzył na niego.

— Istotnie, to głupie pytanie — wycofał się Giles Sans Pitie. — Zapomnij, że je zadałem. — Przerwał. — Mówią, że Anioł jest najlepszy.

— Tak mówią.

— Myślałem, że działa na Zewnętrznej Granicy, gdzieś daleko na Obrzeżu.

Cain skinął głową.

— Pewnie doszedł do wniosku, że Santiago tam nie ma — stwierdził.

— Mogę powiedzieć ci o milionie miejsc, gdzie na pewno go nie ma. Dlaczego Anioł miałby myśleć, że Santiago znajduje się akurat na Wewnętrznej Granicy?

Cain wzruszył ramionami.

— Sądzisz, że ktoś mu podsunął tę myśl? — nastawał łowca.

— Wszystko jest możliwe.

— To bardziej niż możliwe — potwierdził Giles po chwili zastanowienia. — Nie ruszałby się ze swej bazy przez pół galaktyki, gdyby nie dostał sprawdzonej informacji. Na jakiej planecie działa?

— Ile światów jest tu wokół? — odrzekł Cain wzruszając ramionami. — Wybierz sobie.

Giles Sans Pitie zmarszczył brwi.

— Facet może wiedzieć coś, czego warto byłoby posłuchać.

— Myślisz, że ci to powie, jeśli w ogóle uda ci się go znaleźć?

— Tak, ponieważ jedyną kwestią, w jakiej łowcy nagród nigdy nie kłamią, jest sprawa Santiago. Wiesz o tym. Póki ten przestępca będzie żył, ludzie nie będą mieli o nas dobrej opinii.

— Może tam, skąd Anioł pochodzi, myśli się inaczej — zasugerował Cain.

— W takim razie będę musiał wytłumaczyć mu podstawowe zasady — odparł Giles.

— Życzę powodzenia.

— Chcesz może popracować ze mną, póki nie znajdziemy Anioła?

— Zawsze działałam sam — zauważył Cain.

— W porządku — powiedział łowca nagród i nagle przypomniawszy sobie o swoim rumie, pociągnął długi łyk. — Gdzie o nim słyszałeś?

— W systemie Meritonia.

— Myślę, że wyruszę w drogę jeszcze w tym tygodniu — stwierdził Giles, wstając. — To była interesująca rozmowa, Cain.

— Dzięki za mm — powiedział Cain z ironią, spoglądając na pustą butelkę.

— W każdej chwili do usług — roześmiał się jego towarzysz. — I naprawdę postaraj się w przyszłości unikać systemu Praeteep, dobrze? — Podniósł stalową pięść. — Nie prowokuj mnie, bo będę musiał udzielić ci lekcji na temat naruszania zasad.

— Czyżby?

— Oczywiście, że nie. — Zabrzmiało to jak szczerą odpowiedź.

Cain nic nie odpowiedział. Giles Sans Pitie postawił pustą butelkę na ladzie, zostawił tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na jeszcze jedną kolejkę dla Caina, obiecał Gentry'emu, że wróci późnym wieczorem, aby skosztować pewnych bezalkoholowych towarów i wyszedł w pachnące gorącym i wilgocią, nocne powietrze Moritatu.

Gentry obsłużył dziewczynę o melancholijnych oczach, a potem zaniósł butelkę do stolika Caina.

— Co to jest? — spytał Cain, lustrując klarowny płyn.

— Coś, co warzyło się na sposób altairiański — odrzekł stary człowiek. — Smakuje całkiem jak gin.

— Nie lubię ginu.

— Wiem — zachichotał Gentry. — Dlatego jestem pewien, że zaprosisz mnie, abym usiadł z tobą i pomógł ci go wypić.

Cain westchnął.

— Siadaj, stary.

— Dziękuję, jeśli nie masz nic przeciwko temu. — Usadowił się wygodnie na krześle, odkorkował butelkę i pociągnął z niej. — Dobry trunek, jeżeli wolno mi wyrazić swoją opinię.

— Oszczędzasz cholernie dużo pieniędzy, nie podając szklanek — zauważył Cain. — Nikt ich tutaj chyba nie używa.

— Nie martwię się oszczędzaniem pieniędzy — odparł stary. — A z tego, co słyszę, zarabianie ich nie należy do twoich problemów.

Cain nic nie powiedział, a Gentry wypił kolejny haust i mówił dalej:

— Czy stary Giles Bez Litości ostrzegał cię przed systemem Praeteep?

Cain skinął głową.

— Masz zamiar go posłuchać?

— Aż do czasu, kiedy będę miał tam do załatwienia następnego interesu.

Karczmarz roześmiał się.

— Brawo, Czyżyk! Stara Stalowa Pięść ostatnio trochę za bardzo nam się rządzi.

— Zaczyna mnie męczyć przypominanie ci, jak się nazywam — powiedział z irytacją Cain.

— Jeżeli nie chcesz być legendą, nie powinieneś się stąd ruszać. Za dwieście lat ludzie będą cię znali tylko pod tym imieniem.

— Za dwieście lat nie będę musiał ich słuchać.

— Poza tym — ciągnął Gentry — Czyżyk nie ma na swoim koncie żadnych listów gończych. Natomiast Sebastiana Cai na widziałem na wielu.

— To było bardzo dawno temu.

— Nie tłumacz się — zachichotał stary człowiek. — Widziałem listy na prawie wszystkich łowców nagród, teraz czy wcześniej. To nie jest moja sprawa... Do cholery! Gdyby sam Santiago wszedł tymi drzwiami i poprosił o jedną z moich

rozrywkowych dziewczyn, dałbym mu najładniejszą, jaką mam.

— Nie wiesz, czy już tu nie był — wtrącił Cain.

— Na pewno nie — zaoponował Gentry. — Nie jest tak trudno go zauważyć.

— Jedenaście stóp i trzy cale, pomarańczowe włosy? — spytał Cain z rozbawieniem.

— Zaczynasz ganiać za człowiekiem, który tak wygląda i będziesz przez długi, długi czas daleko stąd?

— A ty myślisz, że jak on wygląda?

Stary nieznacznie pociągnął z butelki.

— Nie wiem — przyznał. — Ale wiem, że ma bliznę takiego kształtu. — Zakreślił palcem na stole wygiętą literę „S”.

— Na grzbiecie prawej ręki — dodał.

— Jasne, że ma.

— Naprawdę! — krzyknął energicznie stary. — Znam człowieka, który go widział.

— Nikt go nie widział — odpowiedział Cain. — Albo przynajmniej nikt, kto go widział, nie wiedział, że to Santiago.

— Tak myślisz ty — zauważył Gentry. — Człowiek, którego kiedyś spotkałem, spędził z nim wiele tygodni w więzieniu.

Cain spojrzał znudzony.

— Santiago nigdy nie został aresztowany. Gdyby tak było, wszyscy wiedzielibyśmy jak wygląda.

— Nie mieli pojęcia, że to on.

— Skąd więc wiedział o tym twój człowiek?

— Ponieważ gang Santiago uwolnił go wtedy i jeden z ludzi tak go nazwał.

— Bzdury.

— Przeszedłem zaoferować ci przysługę, a ty kręcisz nosem — stwierdził Gentry. — Masz piekielne szczęście, że jestem starym człowiekiem, który nie ma wystarczająco dużo siły, aby dać ci nauczkę za znieważanie go w ten sposób.

— Jaką przysługę?

— Sądziłem, że mogłoby cię zainteresować, kim jest mój przyjaciel i gdzie można go znaleźć.

— Jest pół tuzina łowców nagród, którzy często tu zagładają

— zauważył Cain. — Dlaczego chcesz podarować to mnie?

— No cóż... wiesz, „podarować” to nie jest dokładnie to słowo, które miałem na myśli. — Gentry wyszczerzył zęby. — Takie nazwisko, nazwisko człowieka, który rzeczywiście spędził nieco czasu z Santiago, powinno być teraz trochę warte, prawda?

— Być może.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Nie usłyszałem jak dotąd żadnej oferty.

— Wróćmy do mojego pytania — powiedział Cain. — Dlaczego właśnie ja?

— Och, wcale nie właśnie ty — odparował Gentry. — Sprzedałem to Barnaby’emu Wheelerowi kilka miesięcy temu, ale krąży plotka, że został zabity w trakcie pościgu za jakimś zbiegiem, czy coś takiego. Zaproponowałem to również Rozjemcy\* MacDougalowi, dopiero co, w zeszłym tygodniu, ale nie chciał rzucić forszą. A dziś wieczorem zobaczę, czy nie można skusić tym starej Stalowej Pięści, zanim wykorzysta jedno z moich biednych niewiniątek. — Uśmiechnął się. —

*\* W oryg. „peacemaker”; oznacza również śmiercionośną broń. (przyp. tłum. ).*



Muszę przecież być w porządku wobec wszystkich moich klientów.

— Ludzie gonią za Santiago od trzydziestu albo więcej lat

— rzucił Cain. — Jeżeli masz jakieś informacje warte wysłuchania, dlaczego dopiero teraz wystawiasz je na rynek?

— Nie mam nic przeciw Santiago — odpowiedział stary.

— Nigdy nie zrobił mi żadnej krzywdy. W dodatku im dłużej będzie pozostawał na wolności, tym dłużej wy, chłopcy, będziecie szukać go tu na Granicy, a im dłużej tu zostanieie, tym więcej pieniędzy wydacie w Centrum Handlowym Gentry'ego.

— Więc co cię skłoniło do zmiany stanowiska?

— Powiadają, że Anioł przyleciał do strefy. Nie chciałbym, aby jakiś przybłęda zgarnął nagrodę.

— Dlaczego myślisz, że ją zdobędzie? — spytał Cain.

— Wiesz, co o nim mówią — odparł Gentry. — Jest najlepszy. Założę się, że Czarny Orfeusz poświęci mu dobre dwadzieścia zwrotek, kiedy tamten w końcu znajdzie Santiago. A więc — pociągnął jeszcze jeden haust — bronię się najlepiej, jak tylko umiem. Anioł zabierze te pieniądze i wróci na Obrzeże, zanim będzie miał okazję coś z nimi zrobić. Jeśli ty je dostaniesz, wydasz sporo z nich na Pamięć.

— Jeżeli się nie wycofam.

— Och, nie wycofasz się — powiedział Gentry z przekonaniem. — Faceci tacy jak ty, Giles czy Anioł piekielnie lubią zabijać. Za bardzo, żeby to rzucić. Macie to we krwi, to i zamiłowanie do włóczęgi, jak młode kozły.

— Ja nie lubię zabijać — oznajmił Cain.

— Chcesz mi powiedzieć, że zabijasz ludzi jedynie dla pieniędzy? — zapytał stary człowiek, śmiejąc się sarkastycznie.

— Nie.

— Jesteś więc pierwszym uczciwym, jakiego spotkałem. Ilu ludzi zabiłeś za darmo, zanim dowiedziałeś się, że można dostać za to złoto? Dwóch? Trzech?

— Więcej niż możesz sobie wyobrazić.

— Żołnierz?

Cain chwilę milczał, zanim odpowiedział:

— Kiedyś tak myślałem. Myliłem się.

— Co to ma, do cholery, znaczyć?

— Mniejsza o to, stary. — Cain nagle wyprostował się na krześle. — W porządku, ile żądasz za to nazwisko?

— Jakiego rodzaju walutę możesz zorganizować?

— A jaką chcesz?

— Myślę, że mogą być kredyty — stwierdził Gentry. — Chociaż naprawdę interesują mnie franki Bonapartego lub dolary Marii Teresy.

— Nie widziałem franka Bonapartego od dziesięciu lat — zauważył Cain. — Nie sądzę, żeby jeszcze były w obiegu.

— Słyszałem, że stale się ich używa w systemie Binder.

— A ile ta informacja ma kosztować w kredytach?

Stary zrobił w myślach szybkie obliczenia.

— Sądzę, że dziesięć tysięcy wystarczy.

— Dziesięć tysięcy! Za nazwisko człowieka, który może widział, a może nie widział Santiago dziesięć czy dwadzieścia lat temu?! — Cain potrząsnął głową. — To za dużo.

— Nie dla takiego łowcy jak ty. — Gentry popatrzył na niego. — Widziałem list gończy na faceta, którego ciało przyniosłeś. Wiem, ile za nie dostałeś.

— A jeśli ten mężczyzna nie żyje, albo mimo wszystko okaże się, że wcale nie widział Santiago?

— Wtedy dostaniesz darmową przepustkę i będziesz mógł zapładniać moje kwiatki przez cały miesiąc.

— Byłem w twoim ogrodzie ubiegłej nocy — powiedział Cain. — Należałoby go odchwaścić.

— Czemu się wykręcasz? — zapytał Gentry. — Od jak dawna jesteś na Granicy, Cain?

— Jedenaście lat.

— Czy przez ten cały czas spotkałeś kogoś, kto widział Santiago? Proponuję ci coś, na co nigdy przedtem nie trafiłeś, za może jedną dziesiątą sumy, którą właśnie zarobiłeś na Prateep, a ty targujesz się jak jakiś Dabih, handlarz futer! Jeżeli będziesz siedzieć tu, obrażać najpiękniejsze kwiatki na Granicy i targować się ze starym człowiekiem, który nie ma tyle siły, żeby się wykłócać o cenę, nie zrobimy żadnego interesu.

Cain patrzył na niego przez chwilę, a potem stwierdził:

— Powiem ci coś, stary człowieku. Dam ci dwadzieścia tysięcy.

— W tym musi być jakiś hak, co? — zauważył podejrzliwie Gentry.

— Jeden warunek — odparł Cain. — Nie podasz tego nazwiska nikomu innemu.

Gentry zmarszczył brwi.

— Nigdy?

— Przez sześć miesięcy.

— Niech będą cztery.

— Zgoda — przytaknął Cain. — Ale jeżeli mnie oszukasz, to może chociaż Bóg będzie miał dla ciebie trochę litości, bo ja z pewnością nie.

— Nie mam powodu, żeby kłamać. W ciągu następnych czterech miesięcy ma tu przybyć jeszcze tylko dwu chłopczków. Zapewne jeden z nich będzie bez forsy, a istnieje jedynie pięćdziesiąt procent szans, że ten drugi rzuciłby pieniądze. Nie każdy radzi sobie tak dobrze jak ty i Sans Pitie.

— W porządku. Gdzie znajdę twojego człowieka?

— Nie zobaczyłem jeszcze ani grosza.

Cain wyciągnął plik banknotów, wyłuskał dwadzieścia i położył je na stole. Gentry podnosił jeden po drugim, każdy trzymał w górze pod światło, aż w końcu skinął głową i włożył wszystkie do kieszeni.

— Czy słyszałeś kiedyś o świecie, który nazywa się Port Eitrange?

Cain potrząsnął głową.

— Gdzie to jest?

— Siódma planeta w systemie Bellermaine. Tam będzie.

— A jego nazwisko?

— Stern.

— Jak do niego trafię?

— Po prostu puść w obieg wiadomość, że go poszukujesz. Sam cię znajdzie.

— Jaki jest? — spytał Cain.

— Prawdziwie miły chłop, jeśli przymkniesz oko na parę jego małych dziwactw.

— Na przykład?

— Cóż, pije za dużo, oszukuje w kartach, nie cierpi ludzi, zwierząt i obcych, absolutnie nienawidzi księży i kobiet i znany jest z tego, że ma od czasu do czasu konflikty z policją. Ale wzięwszy wszystko razem, nie jest gorszy niż większość tych, których tu spotykasz i prawdopodobnie lepszy od niektórych.

- Czy mam się na ciebie powołać?
- Tak, to powinno zmusić go, żeby nadstawił ucha — powiedział Gentry. — Kiedy masz zamiar wyruszyć?
- Dziś wieczorem — stwierdził Cain wstając.
- Cholera! — krzyknął Gentry. — Gdybym wiedział, że jesteś taki nerwowy, naciągnąłbym cię na trzydzieści!
- Nie jestem nerwowy. Po prostu nie mam żadnego powodu, żeby tu dłużej zostać.
- Mogę zaoferować ci siedem absolutnie wspaniałych powodów, wszystkie razem i każdy z osobna osobiście wybrane i wyszkolone przez najbardziej ulubionego syna Moritatu, czyli mnie.
- Może kiedy będę w pobliżu następnym razem.
- Masz lepszy pomysł na spędzanie czasu?
- To zależy od tego, czy powiedziałaś mi prawdę — stwierdził Cain idąc do drzwi. Nagle zatrzymał się i obrócił do Gentry'ego. — A tak przy okazji, przypuszczam, że twój przyjaciel Stern będzie chciał, żeby mu zapłacić?
- Podejrzewam, że raczej tak. Człowiek zaprzeda je du- szę diabłu, a potem spędza resztę swego życia, próbując zgromadzić dostateczną ilość forsy, aby odkupić ją z powrotem. — Gentry zachichotał z rozbawieniem. — Baw się dobrze, Czy- żyk.
- Przestań mnie tak nazywać.
- Powiem ci coś — oznajmił Gentry. — Przynies gło- wę Santiago, a ja pomęcę starego Orfeusza tak długo, aż nie nauczy się, jak ma się do ciebie zwracać.
- Umowa stoi — zapewnił go Cain.

### 2.

*Oto Jonathan Jeremy Jacobar Stern.  
Oszalały z żądz, rzuca wszędzie szmal,  
Jest stary i dziki, i wciąż taki sam.  
Taki jest Jonathan Jeremy Jacobar Stern.*

Mówią, że Czarny Orfeusz trafił na zły dzień Sterna. Stern nie był wciąż taki sam, właściwie nigdy nie przestał zmieniać się i uczyć, a ściśle rzecz biorąc, zmienił się tak bardzo, że ludzie o nim zupełnie zapomnieli. Urodził się jako syn górnika i kurwy, a zanim się skończył, ogłosił się królem systemu Bellermaine. Nauczył się grać w karty i szło mu nie najgorzej. Nauczył się kraść i stał się w tym bardziej niż biegły. Nauczył się zabijać i zarobił co nieco, polując na poszukiwanych zbiegów. I gdzieś po drodze nauczył się najważniejszej rzeczy ze wszystkich — tego, że król, który nie ma następców, nigdy nie powinien obracać się do nikogo plecami.

Ludzie nie wiedzieli, dlaczego nienawidzi księży. Plotka głosiła, że jego niechęć bierze się stąd, że pierwszy raz poszedł do więzienia, ponieważ doniósł na niego jakiś ksiądz. Według innej legendy kiedyś zaufał paru księżom, prosząc ich o popilnowanie swego dobytku, gdyż musiał uciekać przed policją. Kiedy udało mu się wrócić, nie czekało na niego nic poza listem, w którym poradzono mu, aby okazał skruchę.

Nietrudno było domyślić się, czemu nienawidzi kobiet. Wychował się w domu publicznym, a przedstawicielki płci

pięk-26 nej, które spotykał, odkąd zaczął samodzielne życie, niewiele się różniły od tych, które poznał wcześniej. Był człowiekiem o potężnych żądzach, człowiekiem, który nie umiał zostawić w spokoju żadnej kobiety. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, że zainteresowanie nim przedstawicielek płci pięknej nie jest tak zimne i wyrachowane jak jego zainteresowanie nimi.

Niektórzy szeptali, że to był prawdziwy powód jego przeprowadzki na Port Etrange, ponieważ nie umiejąc kontrolować swej namiętności do kobiet, zdecydował się ich wyrzec, a odkrywszy świat z rasą humanoidalną, do woli mógł rozkoszować się, popełniając niezwykle zbrodnie namiętności; zbrodnie, których nikt jeszcze nie zdołał nazwać.

Sam Port Etrange miał długą i interesującą historię. Pierwotnie była to planeta górnicza, potem okazała się uzdrowisko wakacyjne, następnie słabo chroniona kolonia kama, aż w końcu planetę opuszczono i stała się wymarłym światem. Wówczas wprowadził się tam Stern, zamieszkał w pewnym luksusowym hotelu i przekształcił małą część planety, zamieszkaną przez ludzi, w faktorię handlową, a pozostały obszar zostawił w stanie zniszczenia i rozkładu. Dość żyzne pola utrzymywały tubylczą ludność, obywatele osady natomiast woleli importować całe pożywienie z paru okolicznych kolonii rolniczych. Kiedy mężczyźni zaczęli przeważać liczebnie nad kobietami, zaczęła się moda na import kobiet, ale Stern szybko położył temu kres.

Wszystkiego tego Cain dowiedział się podczas pierwszej godziny na Port Etrange. Wylądował statkiem w lokalnym porcie kosmicznym — jedynie wielkie światy, takie jak Deluros VIII czy Lodin IX, posiadały stacje orbitalne, gdzie można było zostawić statek i wahadłowcem udać się na planetę —

wynajął pokój w większym z dwu czynnych hoteli, po czym zjechał na parter do tawerny, którą spostrzegł, kiedy wszedł do budynku.

Była zatłoczona i pomimo chromowanych stolików i ręcznie wykonanych krzeseł — pozostałości po dniach świetności hotelu — robiła wrażenie równie obskurnej i zniszczonej jak wszystkie inne bary w faktoriach handlowych na Granicy. Jedyne wolne krzesło stało przy małym stoliku, zajęтым przez niskiego, chudego człowieka, który wyróżniał się obfita szopą niesfornych rudych włosów.

— Mogę się przysiąść? — spytał Cain.

— Proszę bardzo — odparł mężczyzna. Spojrzał na łowcę.

— Jesteś tu nowy?

— Tak. Właśnie przyleciałem. — Cain rozejrzał się po sali.

— Szukam kogoś. Zastanawiam się, czy możesz mi go wskazać?

— Nie ma go teraz tutaj.

— Nie wiesz, kogo szukam — zauważył Cain.

— Cóż, jeśli powiesz, że nie chodzi o Jonathana Sterna, to będzie to dla mnie absolutne zaskoczenie — zachichotał mężczyzna. — Jest to jedyna osoba, z którą chcę się zobaczyć wszyscy, którzy przybywają na Port Etrange.

— Rzeczywiście, szukam Sterna — przyznał Cain.

— Cóż, przypuszczam, że mogę mu przekazać wiadomość. Masz jakieś imię?

— Cain. Powiedz mu, że przysyła mnie Geronimo Gentry.

— Miło cię poznać, Cain. — Mężczyzna wyciągnął szczupłą, bladą rękę. — Jestem Terwillinger. Półpensówka



Terwillinger — dodał, jak gdyby to imię miało coś znaczyć. Czekał na reakcję Caina, a kiedy żadnej nie zauważył, wstał. — Wracam za minutkę.

Terwillinger przeszedł do lady, powiedział coś do barmana i wrócił do stolika.

— W porządku — oznajmił. — Wie, że jesteś tutaj.

— Kiedy będę go mógł zobaczyć?

— Gdy znajdzie trochę czasu.

— Jak prędko to nastąpi?

Półpensówka Terwillinger zaśmiał się.

— To zależy. Czy jest dłużny Gentry'emu pieniądze?

— Nie sądzę.

— W takim razie chyba raczej wcześniej niż później. —

Wyciągnął talię kart. — Masz ochotę na małą gierkę hazardową podczas czekania?

— Wolałbym raczej trochę informacji na temat Sterna.

— Nie wątpię — uśmiechnął się Terwillinger. — Powiem ci coś. Ty stawiasz pieniądze, a ja kawałki z życia Sterna. Za każdego kredyty — opowieść.

— Dlaczego nie mogę po prostu zapłacić ci dwudziestu kredytów za to, co chcę wiedzieć i na tym poprzestać? — zasugerował Cain.

— Ponieważ jestem graczem, a nie handlarzem — padła odpowiedź.

— Przy kredycie za stawkę chyba zbytnio się nie wzbogacisz — zauważył Cain.

Terwillinger uśmiechnął się.

— Pierwszą moją grę w karty zacząłem jedną półpensówką Nowej Szkocji. Zanim gra się skończyła, miałem dwa miliony funtów. Stąd moje imię. — Zamilkł. — Oczywiście, przegrałem wszystko w następnym tygodniu, ale i tak nieźle

się bawiłem podczas rozgrywki i chyba jeszcze nikt nigdy nie miał takiej dobrej passy. Od tamtego czasu stale próbuję to powtórzyć.

— Kiedy to było?

— Och, kilkanaście lat temu — stwierdził Terwillinger, znowu się uśmiechając. — Ale nadal pamiętam to uczucie: coś jak pierwszy raz z kobietą, tyle, że trwało dłużej, bo sześć dni i pięć nocy. Właśnie dlatego zawsze zaczynam od małych sum — przez szacunek dla tamtych czasów. Jeśli później będziesz chciał podnieść stawkę, to proszę bardzo.

— Jeśli ja podniosę stawkę, co postawisz dla równowagi?

Terwillinger podrapał się w głowę.

— No cóż, jak sądzę, mogę zacząć stawiać pogłoski zamiast faktów. Są w każdym razie o wiele bardziej interesujące — zwłaszcza te, które związane są z *fali*.

— Co to jest *fali*? — spytał Cain.

— Tak mówią na siebie sami tubylcy. Nie przypuszczam, aby był to najlepiej utrzymany sekret w galaktyce, że nasz przyjaciel Stern ma nieco dziwne gusta.

— Trzymajmy się faktów, bo czas ucieka — zauważył Cain. Kiwnął głową w stronę kart. — Rozdajesz.

Grali i rozmawiali przez ponad godzinę. Po tym czasie Cain wiedział trochę więcej o Sternie, a Terwillinger był bogatszy o jakieś czterdzieści kredytów.

— Wiesz, ciągle jeszcze mi nie powiedziałaś, dlaczego chcesz się z nim zobaczyć — rzucił karciarz.

— Potrzebuję pewnych informacji.

— Kogo masz zamiar zabić? — spytał Terwillinger wesoło.

— Dlaczego myślisz, że chcę kogoś zabić?

— Tak wyglądasz. Jestem graczem, pamiętasz? Moja praca to czytanie z twarzy. Twoja twarz mówi mi, że jesteś łowcą głów.

— A jeśli powiem ci, że jestem dziennikarzem? — spytał Cain.

— Odpowiem, że ci wierzę — stwierdził Terwillinger. — Nie lubię, jak wściekają się na mnie łowcy głów.

Cain roześmiał się.

— Możesz mi powiedzieć coś o twarzy Sterna?

— Tylko tyle, że był za długo z *fali*. Niewiele pozostało w niej ludzkiego.

— Jak te *fali* wyglądają? — spytał Cain.

— Albo bardzo przyjemnie, albo bardzo dziwnie. To zależy.

— Od czego?

— Od tego, jak długo byłeś sam — odrzekł Terwillinger.

— Ciągle nie powiedziałaś mi, jak wyglądają.

Terwillinger uśmiechnął się szeroko i potasował karty.

— Co byś powiedział, gdybyśmy trochę podwyższyli stawkę?

Cain potrząsnął głową.

— One nie są dla mnie warte więcej niż Stern.

— Może będą, kiedy powiem ci, co robią?

— Plotka?

— Doświadczenie.

Cain uniósł brwi.

— Myślałem, że tego nie pochwalasz.

— Każdy pozwala sobie na zrobienie czegoś nowego, raz czy dwa, po prostu, żeby spróbować — wyjaśnił Terwillinger. — Jestem przeciwny nałogom, a nie eksperymentowaniu.

— Nie planuję tu być tak długo, żeby zrobić którąkolwiek z tych rzeczy — powiedział Cain. — Lepiej odłóż karty.

— Och, możemy zawsze zagrać o coś innego — zauważył Terwillinger. — Za pięćdziesiąt kredytów od gry mogę ci powiedzieć, gdzie znaleźć braci Sulimanów.

— Za późno. Zostali ujęci jakiś tydzień temu.

— Wszyscy trzej?

Cain skinął głową.

— Cholera! — zaklął Terwillinger. — Hmm, za setkę mogę ci powiedzieć coś na temat pewnego konkurenta, który wtargnął do strefy.

— Wiem o Aniele.

— Nowiny rzeczywiście szybko się rozchodzą — podsumował ponuro Terwillinger.

— Powiem ci coś — stwierdził Cain. — Zagram z tobą o tysiąc za partię, jeżeli masz jakieś informacje na temat Santiago.

— Oprócz ciebie pytało już o niego pięciuset innych facetów. — Karciarz potrząsnął głową. — Zastanawia mnie, w jaki sposób ciągle jeszcze udaje mu się być na wolności, jeśli tak wielu ludzi przez tyle lat go szuka.

W tym właśnie momencie przez salę przeszedł barman i zatrzymał się przed ich stolikiem.

— Czy pan nazywa się Cain?

— Tak.

— On chce pana widzieć.

— Gdzie go znajdę? — spytał Cain.

— Pokażę ci drogę — zaoferował się Terwillinger.

Barman skinął głową i wrócił do swoich obowiązków.

— Chodź ze mną — powiedział karciarz, wstając.

Cain podniósł się i położył kilka banknotów na stoliku.

Wyszli bocznymi drzwiami na zakurzoną drogę, która niegdyś była główną ulicą miasta i weszli do mniejszego z dwu czynnych hoteli Port Etrange. Terwillinger poprowadził łowcę przez hall, który kiedyś zapewne wyglądał całkiem elegancko, ale teraz znać było na nim ząb czasu i zaniedbanie: gładkie chromowe kolumny zaśniedziały, migotanie kolorowych światełek nie było zsynchronizowane z atonalną muzyką, a frontowe drzwi pozostały otwarte jeszcze przez prawie całą minutę po tym, jak dwaj ludzie przez nie przeszli.

Zbliżyli się do rzędu wind i podeszli do ostatniej. Terwillinger wezwał ją cichą komendą.

— Zawiezie cię prosto do niego — oznajmił.

— Jaki jest numer jego pokoju?

— Należy do niego całe cholerne piętro. Zrobisz jeden krok z windy i już jesteś pośrodku jego salonu.

— Dzięki — powiedział Cain, wchodząc do windy.

Drzwiczki zamknęły się za nim, a wtedy uświadomił sobie, że nie zna numeru piętra. Winda jednak natychmiast ruszyła w górę i łowca uznał, że z pewnością zatrzyma się we właściwym miejscu.

Kiedy stanęła, Cain wysiadł prosto do okazałego mieszkania na najwyższym piętrze. Miało pełne pięćdziesiąt stóp na sześćdziesiąt i wypełnione było, aż do przesady, dziełami sztuki kupionymi — lub skradzionymi — w całej galaktyce. Na środku pokoju znajdowała się wypełniona wodą okrągła wanna z platynowymi uchwytnymi, a w parującej od gorąca wodzie siedział wychudzony mężczyzna o zapadniętych policzkach i ciemnych wilgotnych oczach. Jego chude ramiona spoczywały na brzegach wanny i Cain zauważył na palcach u rąk wspaniałe pierścienie. Człowiek palił wielkie cygaro, które jakimś cudem pozostało suche.

Po obu stronach wanny stały dwie humanoidalne postacie, obie w oczywisty sposób rodzaju żeńskiego. Ich skóra pokryta była jakąś połyskującą w świetle, tłustą wydzieliną, która mogła, ale nie musiała być naturalna. Ich ręce wydawały się giętkie i jakby pozbawione kości, nogi były smukłe i dziwnie połączone. Obie istoty miały okrągłe, wyraziste twarze o wielkich, bardzo czerwonych trójkątnych ustach i różowych oczach o wyglądzie kanciastych szczelin. Obie były nagie i pozbawione jakiegokolwiek owłosienia na ciele. Nie miały piersi, ale ich odsłonięte dolne organy płciowe przypominały kobiece. W obu był jakiś subtelny, obcy wdzięk, który Cain uznał za fascynujący, chociaż jednocześnie wydał mu się trochę przykry. Żadna z istot nie zwracała na niego uwagi.

— Pan się gapi, panie Cain — powiedział mężczyzna w wannie.

— Przepraszam — usprawiedliwił się Cain. — Słyszałem o *fali*, ale nigdy przedtem ich nie widziałem.

— Miłe, użyteczne pieszczochy — rzucił mężczyzna, wyciągając rękę i wymierzając przyjacielskiego klapsa w nagi pośladek *fali*. — Mniej więcej tak inteligentne jak roślina doniczkowa, ale na swój sposób bardzo, bardzo przyjemne. — Pyknął z cygara. — Rozumiem, że chciał pan mnie widzieć.

— Jeżeli nazywa się pan Stern.

— Jonathan Jeremy Jacobar Stern, do pana usług — odparł gospodarz. — Czy rozmowa zajmie nam dużo czasu?

— Mam nadzieję, że nie.

— Jaka szkoda — westchnął Stern z udawanym żalem. — Gdyby tak było, zaprosiłbym pana tu do mnie. Nie ma naprawdę nic lepszego jak posiedzieć w gorącej wodzie, aby się odprężyć i zrzucić z siebie troski całego dnia. Zajmę się panem za chwilę.

-- Obrócił się do jednej z *fali* i wyciągnął ramiona. — Pomóż mi wyjść, moja piękna.

Giętkimi rękoma istota chwyciła jego dłoń i pomogła mu wstać, jej towarzyszka natomiast podeszła do szafy i szybko wróciła z jakąś szatą.

— Dziękuję wam — powiedział naciągając szlafrok. — Teraz chciałbym, żebyście obie stanęły sobie, o tam, i nie przeszkadzały nam przez moment. — Wskazał miejsce przy dalszej ścianie pokoju i obie *fali* natychmiast odeszły i stanęły w bezruchu.

— Są chyba bardzo posłuszne? — rzucił Cain, kiedy Stern prowadził go w stronę krzeseł i kanapy.

— Posłuszne i łagodne — przytaknął Stern, rozpierając się na sofie i spoglądając na istoty z nieukrywanym pożądaniem.

— Ten olej na ich skórze... czy jest naturalny?

— A dlaczego pan sądzi, że nie?

Cain wzruszył ramionami.

— Po prostu wydał mi się niezwykły.

— Jest niezwykły — odparł Stern, uśmiechając się do *fali*.

— Pachnie jak najwspanialsze perfumy. — Odwrócił się do Caina. — Proszę podejść i samemu sprawdzić.

— Wierzę panu na słowo.

— Jak pan chce — Stern wzruszył ramionami. — Dotknięcie tego, to naprawdę rozkosz, sama delikatność i zmysłowość. Jestem przekonany, że musi to być jakaś ich cecha płciowa. Najwyraźniej nie działa za bardzo na ludzi — dodał z wyraźną nieszczerością — ale wyobrażam sobie, że partnerów tych istot doprowadza do zupełnego szaleństwa. Kuszący aromat, zmysłowy dotyk. — Ponownie spojrzął na nie z za-

chwytem. — Sprawia, że wyglądają jak para syren wyłaniających się z wody. — Nagle oderwał wzrok od obcych i znowu popatrzył na Caina. — Tak więc, przysłał tu pana Geronimo Gentry?

— Tak.

— Myślałem, że już nie żyje.

— Niezupełnie — odparł Cain, wreszcie siadając.

— Jak sobie radzi?

— Prowadzi bar i burdel na Pamiątce — powiedział Cain.

— Sądzę, że powodzi mu się całkiem nieźle. Tylko za dużo mówi.

— Tak było zawsze. A właściwie po co tu pana przysłał?

— Mówił mi, że może pan mieć pewne informacje, które są mi potrzebne.

— Bardzo prawdopodobne. Wiem zbyt wiele rzeczy. Czy wspomniał również, że nie jestem instytucją charytatywną?

— Nawet gdyby mi tego nie powiedział, domyśliłbym się sam. Widziałem niektóre z pańskich świecidełek — powiedział Cain, wskazując ruchem głowy dzieła sztuki ustawione w dobrze widocznych miejscach.

— Jestem kolekcjonerem — stwierdził Stern, szeroko się uśmiechając.

— Tak też sądziłem.

— Nie powiedział mi pan jeszcze, czym się pan zajmuje, panie Cain.

— Również jestem kolekcjonerem — odrzekł łowca.

— Naprawdę? — spytał Stern z nagłym zainteresowaniem. — A co pan zbiera?

— Ludzi.



— Jest na nich całkiem niezły rynek zbytu — zauważył Stern. — Ale w przeciwieństwie do mojej kolekcji, ich ceny nie rosną.

— Jest taki jeden, którego wartość ciągle wzrasta.

— A więc chce pan informacji na temat Santiago. — To nie było pytanie.

Cain skinął głową.

— Właśnie po to tu jestem. Jest pan jedyną osobą, która go widziała.

Stern zaśmiał się rozbawiony.

— Jego organizacja działa w całej galaktyce. Czy nie sądzi pan, że któryś z jej członków także musiał go widzieć?

— Powinienem ująć to inaczej — powiedział Cain. — Jest pan jedyną osobą, o której wiem, że go widziała.

— To pewnie prawda — zgodził się Stern wesoło. Jego cygaro zgasło. Strzelił palcami, a jedna z *fali* natychmiast podbiegła i zapaliła je ponownie. — Moja droga dziewczynka — rzekł, czule ściskając jej bezkostną rękę. Istota, jak szczeniak, wyprężyła się cała z radości, a potem wróciła na swoje miejsce w końcu pokoju. — Wspaniałe zwierzątko — skomentował Stern. — Wierne, kochające i całkowicie niezdolne do wydawania jakichkolwiek dźwięków: trzy cudowne zalety, których nigdy nie znalazłem u żadnej ze znanych mi kobiet. — Zamilkł i popatrzył na nią z miłością. — Jaka to słodka, głupiutka, maleńka istotka! Ale wróćmy do interesów, panie Cain. Chce pan porozmawiać o Santiago.

— Właśnie.

— I jest pan przygotowany na to, żeby zapłacić?

Cain skinął głową.

— Są tacy, którzy twierdzą, że rozmowa jest tania. Mam nadzieję, że pan w to nie wierzy.

— Wierzę, że należy płacić, jeśli otrzymuje się w zamian rzeczy wartościowe — odparł Cain.

— Wspaniale! Czuję w panu bratnią duszę.

— Doprawdy? — zauważył cierpko Cain. — Mógłbym się założyć, że nie zapłacono nawet za jedną rzecz w tym mieszkaniu.

— Zapłacono za te wszystkie rzeczy, panie Cain — Stern uśmiechnął się rozbawiony. — Może nie pieniędzmi, ale ludzkim smutkiem, cierpieniem, a nawet życiem. To dużo wyższa cena, nie uważa pan?

— To zależy od tego, kto płacił.

— Nikt specjalnie ważny — mruknął Stern, wzruszając ramionami. — No, wprawdzie oni wszyscy prawdopodobnie mieli żony, mężów i dzieci, ale są to tylko nic nie znaczące punkciki pojawiające się na moment na firmamencie mojego życia, a oczywiście jedynie ono ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Z pewnością musi pan podzielać mój punkt widzenia, skoro trudni się pan odbieraniem życia.

— Cenię życie, które odbieram, trochę wyżej niż pan — stwierdził Cain. — Tak jak rząd.

— Skoro już o tym mowa, wróćmy jeszcze raz do dyskusji na temat wartości i pieniędzy — przerwał mu Stern. — Myślę, że zażądam piętnastu tysięcy kredytów za kontynuowanie naszej rozmowy, panie Cain.

— Dobrze, ale za te pieniądze liczę na coś więcej niż tylko zewnętrzny opis człowieka, którego nie widział pan od piętnastu czy dwudziestu lat — odpowiedział Cain. — Chcę nazwy więzienia i miejsca, gdzie się ono znajduje, muszę wiedzieć, kiedy został pan uwięziony i chcę usłyszeć nazwisko, którego Santiago używał w tamtym czasie.

— Ależ oczywiście! — krzyknął Stern. — Czy robię na panu wrażenie człowieka, który zatrzymywałby dla siebie jakieś informacje, panie Cain?

— Nie wiem — odrzekł łowca. — A jest pan taki?

— W żadnym wypadku — zapewnił go Stern.

— Bardzo pocieszające.

— Świetnie, że się rozumiemy, panie Cain. Czy mogę najpierw zobaczyć pieniądze?

Cain wyjął portfel, odliczył odpowiednią sumę i wręczył ją Sternowi.

— Zdaję sobie sprawę, że nikt nie używa już gotówki w sercu Demokracji — stwierdził Stern — ale banknoty są takie miłe w dotyku i cieszy mnie, iż my tutaj ciągle pobłażamy sobie w tych sprawach. — Szybko przeliczył pieniądze, następnie skinął na *fali*, która podeszła i wzięła je od niego.

— Przetrzymaj to dla mnie, moja śliczna — powiedział, potem pokiwał głową i obserwował ją, jak szła z powrotem na miejsce z niesamowitą gracją. — Wspaniałe stworzenie! — zamruczał. — Absolutnie wspaniałe!

— Mówiliśmy o Santiago...

— W rzeczy samej — odparł Stern, obracając się niechętnie od *fali*. — Przyrzekam panu, że skupię się na tym. Za piętnaście tysięcy kredytów zasłużył pan sobie na moją uwagę.

— Czyta pan w moich myślach.

— No więc, od czego zaczniemy? Od początku, ma się rozumieć. Przez pewien czas byłem uwięziony na dalekim świecie Kalami III za, hmm, rzekome naruszenie lokalnych praw.

— Kradzież? — podsunął Cain.

— Przechowywanie kradzionych towarów i próba morderstwa, ściśle rzecz biorąc — odparł Stern bez jakiegokolwiek oznaki skruchy. — W każdym razie, poza mną był tam w tym czasie tylko jeden więzień, człowiek, który występował pod nazwiskiem Gregory William Penn. Miał czterdzieści parę, może pięćdziesiąt lat, około sześciu stóp i cztery cale wzrostu i był potężnie zbudowany, ale nie był gruby, miał czarne włosy, piwne oczy i dokładnie wygoloną twarz. Władał przynajmniej sześcioma językami obcymi, tak mi w każdym razie powiedział. Ja sam nie mówię żadnym, ale też — uśmiechnął się do *fali* nigdy nie miałem takiej potrzeby. Na grzbiecie prawej ręki miał długą na dwa cale bliznę w kształcie litery „S” Wydawał się, ogólnie mówiąc, miłym i inteligentnym facetem. Nie opowiadał mi o swojej przeszłości ani terażniejszości, ale na szachownicy, którą pożyczyl od naszych strażników, okazał się świetnym graczem.

— Skąd pan wie, że to był Santiago?

— Korzystaliśmy z gościnności więzienia Kalami przez jedenaście dni, kiedy nagle włamało się do niego pięciu uzbrojonych mężczyzn, powaliło i związało osobnika, któremu polecono opiekę nad nami i uwolniło mojego więziennego towarzysza. Bardzo skrupulatnie wymazali dane w więziennym komputerze, a później dowiedziałem się, że zrobili to samo w sądzie. W ostatniej chwili, zanim uciekli, jeden z ludzi krzyknął coś do niego, nazywając go „Santiago”.

— Jeżeli to jest cała pańska historia, żądam zwrotu pieniędzy — powiedział Cain. — Na Granicy włóczy się prawdopodobnie z tysiąc pomniejszych oszustów, którzy chcieliby, aby ludzie myśleli, że są Santiago, a jeżeli więziennne dane zostały zniszczone, nie może pan nawet udowodnić, iż ten czło-

wiek w ogóle istniał, nie mówiąc już o tym, czy był tym, kim pan twierdzi, że był.

— Niech pan będzie cierpliwy, panie Cain — rzucił swobodnie Stern. — To nie wszystko.

— Cholernie dobrze by było. Jak dawno temu wydarzył się ten incydent?

— Siedemnaście standardowych lat galaktycznych temu. Może z sześć miesięcy później, za pomocą łapówki, kupiłem sobie własną drogę na wolność.

— Wiem, że w swoim czasie był pan łowcą nagród — wtrącił Cain. — Dlaczego pan go nie ścigał?

— Wszyscy mamy swoje pasje, panie Cain — wyjaśnił Stern. — Pańską jest najwyraźniej gonienie za kryminalistami po całej galaktyce. Moja, jak wkrótce potem odkryłem, wiąże się z czymś zupełnie innym.

— W porządku. Proszę mówić dalej.

— Krótco po wyjściu z więzienia zauważyłem nagle niesamowity ruch w moich interesach.

— Co to były za interesy? — przerwał Cain.

— Lubię myśleć o tym jako o hurtowej sieci powtórnej dystrybucji.

— Paserstwo.

— Paserstwo — zgodził się Stern. — Do czasu, kiedy znalazłem się na Port Etrange, byłem niemal pewny, że robię transakcje z Santiago, ale oczywiście nigdy nie byłem tak nietaktowny, żeby pytać.

— Kogo chciał pan pytać?

— Głównie stykałem się z człowiekiem o nazwisku Duncan Black, wielkim facetem z przepaską na lewym oku, ale od czasu do czasu zdarzali się też inni.

— Nikt już nie nosi przepasek na oku — przerwał ostro Cain.

— Black nosił.

— Dlaczego nie sprawił sobie nowego oka? Ja mam jedno takie. Widzi lepiej niż to, z którym się urodziłem.

— Skąd mam wiedzieć? Może myślał, że wygląda dzięki niej buńczucznie i romantycznie. — Stern umilkł. — W każdym razie przez cały czas nieźle mi się wiodło w interesach. A siedem lat temu dostałem przesyłkę towarową, która ostatecznie usunęła wątpliwości, czy rzeczywiście robię interesy z Santiago.

— Co to było?

— Widzi pan ten przycisk do papieru, o tam? — spytał Stern, wskazując na pobliskim stoliku coś, co sprawiało wrażenie małej sztaby złota.

— Tak.

— Proszę się temu przyjrzeć.

Cain wstał, podszedł do stołu, wziął przycisk i zaczął go oglądać.

— Wygląda jak złota sztabka — stwierdził.

— Proszę ją podnieść i obrócić — podsunął Stern.

Cain musiał użyć obu rąk, żeby podnieść ciężki przedmiot. Kiedy mu się wreszcie udało, zauważył dziewięciocyfrowy numer wypalony na spodzie.

— Ten numer pokrywa się z numerami ładunku złota, które Santiago ukradł z konwoju wojskowego.

— Kradzież na Epsilon Eridani? — spytał Cain.

Stern pokiwał głową.

— Jestem pewien, że potwierdzi pan sobie ten numer za pomocą swoich źródeł. Ze wszystkich innych sztabek numery zostały usunięte, ale z jakiegoś powodu o tej jednej zapomnia-

no, więc zatrzymałem ją sobie na pamiątkę. Poza tym, nigdy nie wiadomo, co i kiedy może się człowiekowi przydać. — Uśmiechnął się. — Tak czy owak, od tamtego momentu byłem już zupełnie przekonany, iż Black i pozostali są przedstawicielami Santiago.

— To nadal nie jest dowód, że człowiek, którego pan widział w więzieniu, to Santiago — powiedział Cain, odkładając sztabkę złota na miejsce.

— Jeszcze nie skończyłem — zwrócił mu uwagę Stern. — Jakiś rok po otrzymaniu przeze mnie tej złotej przesyłki, pewien przemytnik nazwiskiem Kastartos, jeden z ludzi Santiago, z którymi robiłem interesy, przybył do mnie z fascynującą propozycją. Najwidoczniej nie był zadowolony ze swoich zarobków, a może nie podobały mu się warunki pracy. W każdym razie zdecydował się wydać policji Santiago, żeby dostać nagrodę. Ponieważ był człowiekiem ostrożnym, postanowił, że nie będzie działał sam i zaproponował mi podział zysków pół na pół, jeżeli osobiście pójdę do władz w jego imieniu. Zadałem mu szereg pytań i w końcu podał mi opis pasujący jak ulał do człowieka, którego widziałem w więzieniu na Kalami. Było kilka rozbieżności — jak można było oczekiwać po upływie jedenastu lat — ale całość brzmiała jak charakterystyka tego samego mężczyzny, a kiedy opisał bliznę na prawej ręce, byłem już całkowicie pewien.

— I co pan zrobił?

— Zarobiłem znaczną sumkę na handlu z Santiago i — tak jak Kastartos — nie miałem ochoty się narażać. Ostatecznie nie tylko groziłyby mi odwet ze strony organizacji Santiago, lecz na wiadomość o zdradzie część moich pozostałych klientów pewnie straciłaby ochotę na kontakty ze mną — wyjaśnił Stern. — A więc wybrałem jedyny możliwy kierunek działania:

poinformowałem Duncana Blacka o propozycji Kastartosa i pozwoliłem, żeby wszystko potoczyło się dalej własnym torem. — Potrząsnął głową. — Biedny, mały człowieczek. Nie widziałem go już nigdy więcej.

— Czy powiedział panu, gdzie można znaleźć Santiago?

— Sądziłem, że będę dłużej żył, jeśli akurat na to pytanie nie poznam odpowiedzi.

— Czy nadal pan robi z nim interesy?

— Nawet gdyby tak było, i tak bym panu nie powiedział -- odparł Stern. — Ale nie widziałem Duncana Blacka od prawie trzech lat i mimo że zawsze istnieje możliwość, iż Santiago kontaktuje się ze mną przez kogoś innego, bardzo w to wątpię.

— Gdzie mogę znaleźć Duncana Blacka?

— Gdybym to wiedział, ta mała rozmowa kosztowałaby pana pięćdziesiąt tysięcy kredytów — odparł Stern. — Mogę jedynie powiedzieć, że w tamtych czasach, kiedy robiłem z nim interesy, jego statek nosił tablicę rejestracyjną z Belladonna.

— Belladonna? — powtórzył Cain. — Nigdy o niej nie słyszałem.

— To opuszczony świat, trzeci w systemie Clovis. Jestem pewien, że musi znajdować się w wykazie planet w pańskim komputerze pokładowym. — Stern urwał. — Czy ciągle domaga się pan zwrotu pieniędzy, panie Cain?

Łowca popatrzył na niego z namysłem.

— Nie, chyba że dowiem się, że pan kłamał.

— Dlaczego miałbym kłamać? — spytał Stern. — Od siedmiu lat żyję z dala od świata i w najbliższej przyszłości nie mam zamiaru się stąd ruszać. Z pewnością nie miałby pan zbyt



wielkich trudności, gdyby zechciał mnie pan odnaleźć. — Wstał.

Czy mam rozumieć, że nasza rozmowa jest skończona?  
Cain kiwnął głową.

— A więc pozwoli pan, że ponownie się zanurzę.

Zrzucił z siebie szatę i ruszył w kierunku wanny.

— Chodźcie, moje kochane — zanucił, a dwie *fali* pode-  
szły i delikatnie pomogły mu usiąść w wodzie. — Coś mi  
się zdaje, że mam ochotę na kąpiel z masażem — stwierdził. —  
Czy pamiętasz, czego cię nauczyłem? — *Fali* natychmiast we-  
szła do wanny i zaczęła masować mu ramiona i tors swoi-  
mi dziwnymi, długimi i zmysłowymi dłońmi.

— Czy chciałby pan do nas dołączyć, panie Cain? — spy-  
tał Stern, nagle uświadamiając sobie, że łowca jeszcze nie wy-  
szedł z pokoju. — Nie jest to zaproszenie, które otrzymu-  
je wielu z moich gości i z pewnością serce mi nie pęknie, je-  
śli pan odmówi, ale przypuszczam, że przynajmniej tyle mogę  
zrobić dla człowieka, który właśnie wydał piętnaście tysięcy  
kredytów na bezużyteczne informacje.

— Bezużyteczne?

— Anioł goni teraz za Santiago, nie słyszał pan?

— Słyszałem.

— I mimo to zapłacił mi pan? — zapytał Stern. — Mu-  
si pan być albo świetnym zabójcą, panie Cain, albo cholernie  
pewnym siebie człowiekiem. — Zajęczał z rozkoszy, kie-  
dy *fali* zaczęła głaskać jego lewe udo. — Czy wielu ludzi pan  
już zabił?

— Jak mi pan zapłaci piętnaście tysięcy kredytów, z  
przyjemnością odpowiem panu na to pytanie — odparł Cain.

Stern zaśmiał się tubalnie.

— Obawiam się, że tego nie uczynię, panie Cain. Być może kiedyś Pańskie czyny znajdą się w śpiewniku Czarnego Orfeusza, tak jak i moje, ale jest pan po prostu kolejnym drobiazgiem pojawiającym się w moim życiu i przyznam, że nic mnie pan nie obchodzi.

— A one? — spytał Cain, wskazując na dwie *fali*.

— One ucieleśniają upadek mojego gustu — uśmiechnął się Stern. — Ale są dla mnie o wiele ważniejsze, niż można by sądzić. Zapewniam pana, że nie chodzi tylko o rozkosz. Któregoś dnia, jak przypuszczam, nadam im nawet imiona. — Zwrócił się do jednej z istot: — Delikatniej, moja śliczna, delikatniej. — Wziął jej rękę i zaczął ostrożnie nią kierować.

Cain patrzył przez kilka sekund na tę dziwną trójkę, potem obrócił się i przywołał windę. Kiedy drzwi się zamykały, dotarł do niego dźwięk drżącego z pożądania głosu Sterna:

— Chodź, moja pieszczoszko. Połóż się na plecach i pozwól, że ci pokażę jak należy to robić.

Cain zjechał na parter, przeszedł przez brudną ulicę, wszedł do hotelu i chwilę później dotarł do swojego pokoju. Na łóżku siedział Półpensówka Terwillinger i układał pasjans.

— Co tu robisz, do cholery? — zapytał Cain, kiedy drzwi się zasunęły.

— Czekam na ciebie — odparł mały karciarz.

— Skąd wiedziałeś, że to jest mój pokój?

— Zapytałem w recepcji.

— I podali ci również kod mojego zamka?

— Poniekąd — odparł Terwillinger. — Oczywiście, prawdopodobnie nawet nie wiedzą, że to zrobili.

— No dobrze — powiedział Cain. — A właściwie dlaczego na mnie czekasz?

— Bo wiem, kim jesteś. Jesteś Czyżyk, prawda?

- Nazywam się Sebastian Cain.
  - Ale ludzie wołają na ciebie Czyżyk? — nalegał Terwillinger.
  - Niektórzy tak.
  - To wspaniale. Ponieważ jeśli jesteś Czyżykiem, to powinieneś jak najszybciej opuścić Port Etrange i udać się na poszukiwanie lepszej zwierzyny.
  - Przejdźmy do rzeczy — powiedział Cain.
  - Chciałbym prosić o podwiezienie.
  - Nie biorę pasażerów.
  - Pozwól mi to sformułować trochę mocniej. Chodzi o to, że naprawdę muszę się stąd wynieść. Od tego zależy moje życie.
  - Dlaczego?
  - To długa i raczej zawikłana historia.
  - Opowiedz mi w skrócie — stwierdził Cain.
- Terwillinger patrzył na niego przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.
- Kiedy byłem w systemie Spinos, jakieś cztery miesiące temu, zapomniałem zapłacić Człowiekowi-Górze Batesowi dwustu tysięcy kredytów.
  - To gracz, prawda?
  - Bardzo wielki i niezwykle nerwowy — stwierdził szczerze Terwillinger.
  - Powiedziałbym więc, że nie był to mądry pomysł.
  - Miałem zamiar mu to wynagrodzić. Po prostu byłem wtedy chwilowo niewypłacalny. Do cholery, Demokracja robi tak przez cały czas. — Zamilkł. — Ale parę minut temu dowiedziałem się, że facet ma wylądować na Port Etrange, a prawdę mówiąc, nadal odczuwam brak tego, po co tu przyleciał.
  - Jak duży jest ten brak?

— Och, nieduży.

— Pytam, jak duży? — powtórzył Cain.

— Jakieś dwieście tysięcy kredytów, mniej więcej — powiedział Terwillinger ze zmęczonym uśmiechem.

— Naprawdę ci nie zazdroszczę — mruknął Cain.

— Wcale nie zależy mi na twoim współczuciu — zauważył Terwillinger z nutą rozpaczony w głosie. — Chcę, żebyś zabrał mnie swoim cholernym statkiem jak najdalej od tego miejsca!

— Mówiłem ci już, nie biorę pasażerów.

— Zapłacę ci za przelot.

— Myślałem, że nie masz pieniędzy — zauważył Cain.

— Odpracuję to — powiedział Terwillinger. — Będę gotował. Będę ładował towary. Będę...

— Kuchnia jest całkowicie zautomatyzowana, a jedyny towar, który przewożę, mogę załadować sam — przerwał mu Cain.

— Jeżeli mnie nie weźmiesz, zginę.

— Każdy kiedyś musi umrzeć — odparł Cain. — Poproś kogoś innego.

— Prosiłem już. Nikt nie chce mieć na karku Człowieka--Góry Batesa. Ale liczyłem na to, że człowiekowi takiemu jak Czyżyk, człowiekowi, którego opiewa się w pieśniach, taka drobnostka nie sprawiłaby żadnego kłopotu.

— No to się przeliczyłeś.

— Naprawdę mnie nie weźmiesz?

— Naprawdę cię nie wezmę.

Będziesz miał moją śmierć na sumieniu — zauważył Terwillinger.

Dlaczego? spytał Cain. — Nie jestem twoim dłużnikiem.

Terwillinger przyglądał mu się badawczo przez chwilę, a polem zmusił się do uśmiechu.

Żartujesz, prawda? Po prostu chcesz, żebym najpierw trochę pocierpiał.

— Nie żartuję.

Ależ tak! — Mały karciarz prawie krzyczał. — Nie możesz wysłać mnie na pastwę Człowieka-Góry Batesa! Ten facet łamie ludziom karki, jak gdyby to były wykałaczk!

Wiesz zauważył Cain z pewnym rozbawieniem — zachowujesz się zupełnie inaczej niż wczoraj w barze.

— Kiedy byliśmy wczoraj w barze, nie goniło mnie to wysokie na osiem stóp nieszczęście z przekrwionymi oczyma — wydarł się Terwillinger.

Przestaniesz wreszcie wrzeszczeć? — spytał chłodno Cain.

Zorganizowałem dla ciebie spotkanie ze Sternem — przypomniał Terwillinger desperacko. — To powinno być coś warte.

Cain sięgnął do kieszeni, wyjął małą srebrną monetę i rzucił ją Terwillingerowi.

— Dzięki — stwierdził.

Do cholery, Czyżyk! Jak możesz?!

Nie umiem współczuć. Zostawisz mnie w końcu w spokoju, czy mam cię wyrzucić siłą?

Terwillinger wydał z siebie ciężkie westchnienie człowieka, który wie, że poniósł klęskę. Wstał, pozbierał z łóżka karty i powoli podszedł do drzwi.

Bardzo ci dziękuję — powiedział z sarkazmem.

Zawsze do usług odparł Cain, odsuwając się, żeby wypuścić go na korytarz.

Drzwi ponownie się zasunęły.

Cain przez chwilę stał zupełnie nieruchomo, potem nagle otworzył drzwi.

— Hej, Terwillinger! — zawołał za oddalającą się postacią karciarza.

— Tak?

— Co wiesz o człowieku, który nazywa się Duncan Black?

— Facet z przepaską na oku? — spytał Terwillinger, obracając się i robiąc niepewny krok w stronę Caina.

— Tak.

— Grywałem z nim w karty. Co chcesz wiedzieć?

— Gdzie najłatwiej go znaleźć? — zapytał Cain.

Twarz Terwillingera rozpromieniła się nagle w szerokim uśmiechu.

— Zdaje się, że właśnie zarezerwowałem sobie bilet na statek — powiedział.

— Wiesz, gdzie on jest?

— Tak.

— Gdzie?

— Powiem ci, kiedy mnie stąd zabierzesz.

Cain kiwnął głową na zgodę.

— Wyruszam zaraz po kolacji. Zbierz swoje ciuchy i czekaj na mnie w porcie kosmicznym za dwie godziny.

Terwillinger wyjął talię kart.

— Cały bagaż, którego potrzebuję, mam ze sobą — stwierdził uszczęśliwiony. — A teraz, jeśli pozwolisz, zejdę na dół na jakąś małą partyjkę i w ten sposób skrócę sobie samotne minuty przed odlotem. — To powiedziawszy, okręcił się na obcasie i odszedł poszukać trzech pozostałych z czwórki nowo przybyłych na Port Etrange.

### 3.

*Półpensówka Terwillinger najzuchwalszy z graczy, Terwillinger chwata, każdą stawką płaci,*

*Półpensówka Terwillinger — hałaśliwy zawadiaka.*

*Jeśli kiedyś przegra duszą, będzie wielka draka.*

— Remi.

— Cholera! — powiedział Terwillinger, uderzając ręką o stół. — Złapałeś mnie z dziewiętnastką. — Przesunął karty w stronę Caina. — Rozdajesz.

— Na razie mam dość.

— Jesteś pewien?

— Przez te pięć dni grałem w karty więcej niż podczas ostatnich dwadziestu lat — stwierdził Cain. — Przerwijmy na parę godzin.

— Próbuję tylko cię zabawić — zauważył Terwillinger, tasując karty i wkładając je z powrotem do kieszeni jaskrawej koszuli. — Jak sytuacja?

— Jesteś mi dłużny trochę ponad dwa tysiące i dwieście kredytów.

— Nie przypuszczam, żebyś miał zamiar to zapisać — zamruczał Terwillinger.

Cain uśmiechnął się.

— Raczej nie.

— Co byś powiedział, gdybym przyrządził jeszcze jeden dzbanek tej świetnej kawy, którą otworzyliśmy dziś po

południu? — spytał karciarz, kierując się do kuchni. — Przecież nie zakleisz puszki plastrem — zamruczał, szukając kawy w przepelnionej, ciasnej kuchni. — Cholera, coś mi się zdaje, że ten statek nie został zbudowany z myślą o dodatkowym pasażerze. — Wydał pomruk tryumfu, kiedy w końcu znalazł kawę w stosie zapasów skondensowanej żywności.

— Trochę oszczędniej z tym towarem — upomniał go Cain. — Jest drogi.

— I tak też smakuje. Skąd jest: z Belore czy z Canphor?

— Z Brazylii.

— Nigdy nie słyszałem o Brazylii.

— To kraj na Ziemi.

— Chcesz powiedzieć, że pijesz kawę z samej Ziemi? — spytał Terwillinger. — A to ci dopiero! Doskonale traktujesz gości, Czyżyk.

— Dzięki. I mówię ci po raz kolejny: nazywam się Cain.

— Właśnie chciałem cię o to zapytać. Nie wygląda, żebyś miał głos śpiewaka, jak więc doszło do tego, że nasz drogi bard przezwał cię Czyżykiem?

— Ponieważ nazywam się Sebastian Nightingale Cain. Nightingale znaczy słowik. Orfeusz zachwyił się moim drugim imieniem, ale zakazałem mu go użyć, więc wybrał dla mnie innego ptaszka. — Cain skrzywił się. — Powinienem był wtedy dokładniej mu wytłumaczyć, o co mi chodzi.

— Wiesz, masz rację. Czarny Orfeusz popełnił całe mnóstwo głupot. W którejś linijce nazywa mnie zawiadaczka. A przecież jestem najłagodniejszym i najbardziej przyjacielskim facetem w całej galaktyce. Po prostu użył tego słowa, żeby je z czymś zrymować.

— Ale pewnie nie masz nic przeciwko tej części, która mówi, że zastawiłeś swoją duszę — zauważył Cain.



Terwillinger się roześmiał.

— Cholera! To jest pierwsza rzecz, której człowiek się pozbywa, kiedy przybywa na Granicę. Nadmierny balast, nic więcej.

— Przegrywanie w karty chyba zrobiło z ciebie cynika — rzucił Cain.

— To nie ma nic wspólnego z kartami — odparł hazardzista. — To jest oczywisty fakt. Ty zabijasz ludzi, żeby żyć. Gdzie twoja dusza znajdzie się po śmierci?

— Chyba wróci na Sylarię, tak przypuszczam — mruknął w zamyśleniu Cain.

— Czy to ten świat, na którym brałeś udział w rewolucji?

— Jeden z takich światów.

— Powinieneś być głębiej to przemyśleć — moralizował Terwillinger. — Bez względu na to, jakiego rodzaju obietnice robi człowiek, który pragnie władzy, w chwili gdy dorwie się do steru, okazuje się nie lepszy od tego, którego zastępuje.

— Byłem bardzo młody — tłumaczył się Cain.

— Trudno wyobrazić sobie ciebie jako smarkacza.

Łowca nagród zachichotał.

— Nie tyle byłem smarkaczem, co idealistą.

— No cóż, głowa do góry. Granica jest pełna ludzi, którzy chcieli poprawić życie w tej galaktyce.

— Tak jak i rząd — powiedział Cain ironicznie. — Pomysłabyś, że ktoś wie, jak to zrobić.

— Przez cały czas mówisz w taki sposób, jakbyś miał zamiar przekonać mnie, że nadal wierzysz w cały ten idealistyczny nonsens.

— Nie przejmuj się tym — odparł Cain, odchylając się do tyłu i opierając stopę o ściankę. — To było bardzo, bardzo dawno temu.

Karciarz przeszedł do monitora kontrolnego — robił to co jakieś kilka godzin, odkąd opuścili Port Etrange — i uspokoił się, kiedy nie dostrzegł nawet śladu pościgu ze strony Człowieka-Góry Batesa.

— Wiesz — stwierdził Terwillinger, nalewając kawy i podając filiżankę Cainowi — nigdy nie powiedziałaś mi, dlaczego zostałeś łowcą nagród.

— Byłem przez dwanaście lat terrorystą. Tak naprawdę umiałem robić tylko jedno — zabijać ludzi.

— Ach tak — odparł karciarz z pozornym żalem. — A ja myślałem, że dlatego, iż wierzyłeś w sprawiedliwość.

Cain poklepał broń przy boku.

— Nauczyłem się używać tej broni dlatego, że wierzyłem w sprawiedliwość, honor, wolność i tak dalej... Spędziłem dwanaście lat walcząc o to, a potem oceniłem rezultaty. — Zamilkł. — Teraz wierzę jedynie w broń.

— No cóż, spotkałem już przedtem rewolucjonistów, którym otworzyły się oczy, ale jesteś pierwszym, który kiedykolwiek walczył niezależnie.

— Nikt nie płacił mi za to, co robiłem.

— Chodzi mi o to, że przenosiłeś się z jednego ogarniętego rewolucją świata na drugi.

— Kiedy pierwszy człowiek, o którym pomyślałem, że może zrobić coś dobrego, zaczął rządzić, jakby miał gliniane ręce, rozejrzałem się za kimś innym. Brałem udział w trzech rewolucjach i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak wiele gliny Bóg włożył we wszechświat. — Uśmiechnął się smutno. — Uczyłem się powoli.

— Przynajmniej stoczyłeś piękną walkę — zauważył Terwillinger.

— Stoczyłem trzy głupie walki — poprawił go Cain. — Nie jestem specjalnie dumny z żadnej z nich.

— Musiałeś być bardzo poważnym młodzieńcem.

— Prawdę mówiąc śmiałem się wtedy o wiele częściej niż teraz. — Wzruszył ramionami. — Był to okres, kiedy wydawało mi się, że jeden dobry człowiek może coś zmienić. Teraz za naprawdę zabawny uważam tylko fakt, że tak wielu ludzi ciągle w to wierzy.

— Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, odniosłem wrażenie, że nie jesteś jedynie przeciętnym łowcą głów — powiedział Terwillinger. — Jak ci mówiłem, mam dar czytania z twarzy.

— No cóż, jeżeli już o tym mówimy, to muszę ci powiedzieć, że kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, iż jesteś kiepskim graczem.

— Do cholery, jestem najlepszym graczem, jakiego kiedykolwiek spotkasz.

— Zdawało mi się, że wygrałem z tobą dość łatwo — zauważył Cain.

— Po prostu pozwoliłem ci wygrać.

— Tak, tak, jasne.

— Nie wierzysz mi? — spytał karciarz. — Sprawdźmy to.

Wyjął karty, potasował je dokładnie i na malutkim chromowym stoliku rozdał po pięć kart.

— Masz coś, co jest warte stawki? — spytał.

Cain podniósł swoje karty, powoli rozsunał je w wachlarz i stwierdził, że ma cztery króle i waleta.

— Możliwe — odpowiedział ostrożnie.

- Co powiesz na dwa tysiące dwieście kredytów?
- Załatwmy to jedną setką.
- Jesteś pewien?
- Taki jest mój limit.

Terwillinger rozłożył swoje karty na stole. Miał cztery asy i damę.

— Dlaczego w takim razie kiedy graliśmy pierwszy raz, pozwoliłeś mi wygrać wszystkie partie? — spytał Cain.

— Ponieważ zawodowi gracze są bardzo ostrożni, gdy chodzi o oszukiwanie zawodowych zabójców — odparł Terwillinger. — Poza tym, byłem sam. Gdyby rozniosła się wiadomość, że łatwo wygrywam, żaden amator nie zagrałby ze mną i nie mógłbym stosować takich sztuczek jak ta.

— A dlaczego pozwoliłeś mi wygrać w remika, kiedy już odlecieliśmy z Port Etrange? — ciągnął Cain.

— To był po prostu mój sposób na utrzymanie cię w dobrym nastroju i podzięka za uratowanie życia. — Uśmiechnął się szeroko. — Oprócz tego, miałem uczucie, jak gdybym płacił ci pieniędzmi.

— Bodaj cię diabli wzięli! — zaśmiał się Cain. — Dlatego właśnie nie pozwoliłeś, żeby komputer na ślepo rozdał nam karty. W porządku, ty mały draniu, spłaciłeś swój dług.

— Chyba nadal wolę być twoim dłużnikiem.

— Dlaczego?

— Mam swoje powody — mruknął Terwillinger.

— Jak chcesz — powiedział Cain. — Mam jeszcze jedno pytanie.

— Pytaj.

— Jak, do diabła, ktoś taki jak ty mógł przegrać z Człowiekiem-Górą Batesem dwieście tysięcy kredytów?

— Czy wiesz, jakie jest ryzyko, że facet wyłoży ci pokera, kiedy siedzisz na czterech asach? — spytał Terwillinger.

— Jak sądzę, niewielkie — stwierdził Cain.

— Masz cholerną rację! Wiesz co? Jeżeli grasz w karty codziennie, może ci się to przydarzyć z pięć razy, zanim umrzesz ze starości. Miałem takiego głupiego pecha, że pierwszy raz zdarzyło mi się to przy grze z facetem, który łamie ludziom karki.

— Jak ci się udało ujść z życiem?

— Poczekaj, aż Bates będzie musiał odejść na stronę, a wtedy powiedziałem pozostałym graczom, że idę do swego pokoju po pieniądze, żeby spłacić dług i wydostałem się z tej piekielnej planety, zanim ktokolwiek się o tym dowiedział. — Terwillinger zmarszczył brwi. — Chciałbym zobaczyć pęcherz tego faceta zakonserwowany dla nauki. Wypił chyba z sześć kwart, zanim wstał!

— Daruj niestosowne pytanie, ale widziałem przecież, co potrafisz zrobić z talią kart. Dlaczego nie zastosowałeś wobec niego żadnej sztuczki, zachowując naturalnie odpowiednią ostrożność?

— Czy widziałeś kiedyś Człowieka-Górę Batesa? — spytał Terwillinger z gorzkim uśmiechem.

— Nie.

— No cóż, nie jest to typ faceta, którego chciałbyś rozwścieczyć, zwłaszcza gdy siedzi obok ciebie.

— Nawet za dwieście tysięcy kredytów?

— Nie warto ryzykować. Byłbym w takim niebezpieczeństwie jak ty kłusując na terytorium Anioła.

— Z tego co słyszę, to raczej on zaczął kłusować na moim — stwierdził Cain.

— To co innego.

— Dlaczego?

— Bo to jest Anioł. — Terwillinger podszedł do dzbanka i dolał sobie kawy. — W dodatku wszyscy wiedzą, że przybył tutaj po Santiago. Nie możesz nazwać tego kłusowaniem, jeżeli nikt nie wie, gdzie Santiago się ukrywa. Ale w ten sposób poruszamy zupełnie inny temat — dodał ostrożnie. — Przeleciałeś całkiem niezły kawałek drogi tylko po to, aby porozmawiać z Jonathanem Sternem. Zwykle łowca nagród nie oddala się tak bardzo od swego terytorium, chyba że sądzi, iż może dowiedzieć się czegoś na temat Santiago. A więc moje pytanie brzmi: czy jest jakiś związek między Duncanem Blackiem a Santiago?

— Nie sądzę, żeby to była twoja sprawa — odciął się Cain.

— Spójrz na mnie — powiedział mały karciarz. — Czy wyglądam na twojego pieprzonego rywala?

— Nie. Wyglądasz jak jakiś pieprzony sprzedawca.

— Odpowiedz mi tylko na to jedno pytanie. Przysięgam, że nie sprzedam tego nikomu innemu.

— Tak się jakoś składa, że mam wrażenie, iż twoje obietnice nie są wiele warte.

— Do cholery, Cain, to jest ważne!

— Dla kogo?

— Dla nas obu.

Cain patrzył na niego przez długą minutę; potem kiwnął głową.

— Tak, Black jest związany z Santiago.

— To dobrze! — sapnął Terwillinger z westchnieniem ulgi.

— Dlaczego dobrze?

— No cóż, po pierwsze, chcę, żebyś pamiętał, że ciągle wiszę ci ponad dwa tysiące kredytów i że nie będę mógł spłacić tego długu, jeśli będę martwy.

— Przejdź do sedna.

Mały karciarz wziął głęboki wdech.

— Wiem, gdzie znaleźć Duncana Blacka, ponieważ wiem, gdzie jest pochowany. — Terwillinger podniósł szybko rękę, żeby Cain nie próbował mu przerywać. — Powinienem był ci to powiedzieć jeszcze na Port Etrange, wiem o tym. Zachowałem się cholernie nie w porządku, ale gdybym postąpił inaczej, nie zabrałbyś mnie ze sobą i Człowiek-Góra Bates jadłby mnie w chwilę później na kolację.

— Mógłbym jednak polecieć z powrotem i oddać mu ciebie

— stwierdził Cain.

— Ale teraz wszystko już jest w porządku! — dorzucił szybko Terwillinger. — Wszystko w porządku — powtórzył.

— Właśnie z tego powodu musiałem wiedzieć, czy Black jest związany z Santiago.

— Wyjaśnij — rzekł złowieszczo Cain.

— Widzisz, gdyby facet był ci dłużny pieniądze albo coś w tym rodzaju, nie miałbyś szczęścia, a ja byłbym w wielkich kłopotach. Zrozum, do cholery, ten biedny gnojek nie żyje od prawie trzech lat. — Przerwał, żeby zaczerpnąć oddechu. — Ale teraz, kiedy wiem, do czego był ci potrzebny, nadal mogę ci pomóc.

— W jaki sposób?

— Jest taka kobieta, z którą żył — odparł Terwillinger. — Załatwiła dla niego wiele transakcji. Prawdopodobnie wie,

kogo znał i może ci powiedzieć wiele ciekawych rzeczy o jego kontaktach.

- I nadal żyje? — spytał z ironią Cain.
- Jeszcze dwa miesiące temu żyła.
- Gdzie mogę ją znaleźć?
- Właśnie tam, gdzie się udajemy: w systemie Clovis.
- Na Belladonnie?
- Niezupełnie — odpowiedział Terwillinger.

### 4.

*Mieszka na cmentarzu umarłych statków,  
Płynąc przez pustkę, gdzie marzeń nie staje Pewnie ciągle  
jeszcze śni o ustach kochanków. Sargassowa Róża nie taka jest,  
jak się zdaje.*

Czarny Orfeusz raz tylko spojrział na Sargassową Różę i natychmiast wiedział, że jest w niej coś więcej, niż można było zobaczyć na pierwszy rzut oka.

Tajemnicą pozostaje fakt, jak ją w ogóle znalazł, bo raczej trudno przypuszczać, że miał coś do załatwienia sześć tysięcy mil nad Belladonną. Może przyciągnęły go statki tkwiące w przestrzeni jak połyskujące na wędce ryby, niektóre umierające, inne już martwe. Nazwał też stację kosmiczną — nie podobąca mu się dotychczasowa nazwa — Stacja Numer 14 — i obwołał ją Wilczą Jagodą, co było całkiem dobrym określeniem dla cmentarzyska statków kosmicznych, zwłaszcza ta-



kiego, które okrężało planetę o podobnie roślinnej nazwie — Belladonnę.

Spędził tam w górze parę dni, rozmawiając z Sargassową Różą i notując jej historię jak wszystkie opowieści, które słyszał. Niektórzy twierdzą, że skończyło się to w łóżku, ale nie mają racji: od czasu gdy umarła jego Eurydyka, Czarny Orfeusz nigdy z nikim nie spał. Poza tym Sargassowa Róża nie należała do kobiet, które wskakiwałyby pierwszemu napotkanemu facetowi do łóżka.

Prawdę mówiąc, to był właśnie jeden z jej problemów. Stuknęła jej czterdziestka, a miała dotąd tylko trzech kochanków. Dwaj opuścili ją dla innych kobiet, a Duncan Black zostawił ją kilka lat wcześniej i zaczął pracować w czeluściach piekielnych. Bez przerwy się kłócili, ale kochała go tak mocno, jak tylko umiała po dwu pierwszych miłosnych zawodach. Kiedy jego serce ostatecznie przestało bić, rozpacziała tak, że była na krawędzi samobójstwa.

Rok później, kiedy Czarny Orfeusz pojawił się u niej, ciągle jeszcze rozpacziała, mimo to jednak zadała sobie trud, by oprowadzić go po Wilczej Jagodzie. Zagrzebał się głęboko między brzuchy metalowych lewiatanów i spędził tam prawie cały dzień, gryzmołąc coś, podczas gdy jej ludzie patroszyli wnętrza i wypuszczali statki w przestrzeń, żeby dryfowały. Później, z niemal dziecięcym entuzjazmem, Orfeusz obserwował, jak kosmiczne holowniki wciągają nowe wraki do doków stacji. Zanim odleciał do następnego miejsca, znalazł nawet czas, żeby nazwać trzy maleńkie księżycy Belladonny, obdarzając je również roślinnymi mianami: Pokrzyk, Naparstnica i Ciemiemik.

Kiedy do Wilczej Jagody przybyli Cain i Terwillinger, nie było tam zbyt wiele do oglądania. Pokrywa stacji poznaczo-

na była małymi, pośpiesznie łatanymi dziurami, wypalonymi przez meteory, a jeden z jej doków został zupełnie zniszczony przez jakiś oderwany holownik i zasypany straszną ilością kosmicznego pyłu. Całe zewnątrz wymagało odnowienia.

Ale oni nie przybyli przecież oglądać Wilczej Jagody, a raczej kobietę, do której stacja należała, więc Cain ostrożnie wprowadził swój statek do doku, poczekał na zamknięty ruchomy pas, który miał go dołączyć do komory powietrznej, a następnie wszedł za Terwillingerem do wnętrza stacji.

Podłoga łagodnie wyginała się przed i za nimi, a wąska taśma, wykonana z jakichś nieokreślonych ruchomych części wydawała się czepiać ich stóp.

— Nie powiedziałaś mi, że tu nie ma grawitacji — zauważył Cain.

— Staraj się tylko, żeby zawsze jedna noga była na taśmie

— odparł Terwillinger. — Wtedy nie odleczysz.

— Chodziłem już kiedyś po grawimatach — odburknął z rozdrażnieniem łowca nagród. — Po prostu nie lubię, gdy nie ma ciężenia tuż po jedzeniu.

— Trzeba mi było powiedzieć.

Cain już miał wybuchnąć, że przecież nie mógł przypuszczać, iż wewnątrz stacji może panować grawitacja zerowa, ale uznał, że nie ma ochoty na powtarzanie od nowa całej tej gadaniny.

Nagle zaczęła się do nich zbliżać jakaś humanoidalna istota o wielkiej czaszce, głęboko osadzonych złotych oczach i pomarańczowej, siateczkowatej skórze.

— A cóż to jest, do diabła? — zapytał Cain.

— Pomarańczowa Małpa — odpowiedział Terwillinger.

— Róża używa ich jako obstawy.

— Nigdy dotąd ich nie widziałem — stwierdził Cain. — Skąd pochodzą?

— Z Varien IV — odrzekł karciarz. — Same nazywają siebie Hagibenami. My zwiemy je Pomarańczowymi Małpami. To lepiej do nich pasuje. Pracują za grosze, całkiem szybko uczą się naszego języka i uwielbiają grawitację zerową. Trudno przebić taką kombinację, szczególnie, kiedy sobie uświadomisz, jak wiele obcych ras w ogóle nie chce pracować, żądając przy tym ogromnie dużo pieniędzy.

Pomarańczowa Małpa zatrzymała się przed nimi.

— W jakiej sprawie? — zagaiła wesołym głosem, który brzmiał bardziej jak śpiew niż jak mowa.

— Przylecieliśmy, aby zobaczyć się z Sargassową Różą — oznajmił Terwillinger.

— Sargassowa Róża woli osobiście nie prowadzić interesów z naszymi klientami — odparowała. — Jeśli powiecie mi, czego potrzebujecie, zaprowadzę was do odpowiednich działów.

— Z nami będzie prowadzić interesy osobiście — powiedział Terwillinger. — Jestem jej starym przyjacielem.

Pomarańczowa Małpa spojrzała na niego.

— Nazywasz się Półpensówka Terwillinger i zostałeś siłą usunięty z Wilczej Jagody za oszukiwanie przy grze w karty niektórych członków personelu. — Małpa przerwała. — Osobiście byłam wśród tych, którzy eskortowali cię do statku.

— Czyżby? — spytał Terwillinger z zaskoczeniem, ale zupełnie się nie zmieszał.

— Tak.

— Przepraszam, że cię nie poznałem, ale każda z was, Pomarańczowych Małp, wygląda dla mnie tak samo.

— To jest zupełnie zrozumiałe — puszyła się obca. — Wszystkie jesteście tak samo piękne.

— No cóż, jeżeli już ustaliliśmy, że jesteście starymi przyjaciółmi, może powiesz Róży o naszym przybyciu.

— Powiem jej, Półpensówko Terwillingerze, ale ona woli nie spotykać się bezpośrednio z klientami.

Cain zrobił krok do przodu.

— Mimo to, zrób to, dobrze? — stwierdził bardzo spokojnie. — Powiedz jej, że sprawa dotyczy pewnego naszego wspólnego przyjaciela.

Pomarańczowa Małpa patrzyła na niego przez chwilę, wreszcie przywołała towarzysza, żeby ich popilnował, a potem obróciła się i skierowała w głąb stacji kosmicznej. Wróciła kilka minut później i podeszła do Caina.

— Róża poleciła mi, abym was do niej zaprowadził — powiedziała swoim łagodnym, śpiewnym głosem. Jeżeli była zaskoczona czy rozczarowana, dobrze ukrywała swoje uczucia.

Cain i Terwillinger przeszli za nią przez trzy wielkie pomieszczenia magazynowe. Przystanęli przed małymi drzwiami.

— Jest w środku — oznajmiła Pomarańczowa Małpa.

— Dzięki — odparł Cain. Otworzył drzwi i wszedł do zagraconego meblami biura. Za nim podążał Terwillinger.

Przy chromowym biurku, które zmatowiało ze starości, siedziała przeciętna kobieta, ubrana w metalicznie złoty kostium, który również nie lśnił świeżością. Włosy miała ciemnobrązowe, oczy w kolorze przygasłej zieleni, nos wydatny, zaokrągloną brodę. Kobieta nie była ani gruba, ani chuda, a jeśli kiedykolwiek posiadała atrakcyjną figurę, minęło od tamtych dni wiele czasu i nie został już po niej nawet ślad. We

włosy miała wpiętą małą, białą różę, którą Cain uznał za sztuczną.

Spojrzała wprost na łowcę nagród.

— Chciał się pan ze mną widzieć, panie Cain.

— Zna pani moje nazwisko?

Uśmiechnęła się.

— Wiem o panu wiele rzeczy, Sebastianie Nightingale Cain. Nie wiem jedynie, kto pana do mnie przysłał.

— Mężczyzna nazwiskiem Stern. Mieszka na Port Etrange.

— Jonathan Jeremy Jacobar Stern — stwierdziła. — No, no, no, jest to nazwisko, którego nie słyszałam od lat. — Wskazała dwa krzesła. — Proszę, siadajcie. — Obróciła się do Terwillingera. — O ile się nie mylę, szuka cię Człowiek-Góra Bates.

— Masz wspaniałych informatorów — zauważył karciarz. Minę miał nietęgą.

— W rzeczy samej — zgodziła się. — Niewiele rzeczy dzieje się w tej części Granicy, o których bym nie wiedziała.

— Mogę więc być pewien, że zna pani również powód mojej wizyty — stwierdził Cain.

— Wiem, że jest pan łowcą nagród — odparła — i powiedział mi pan, że przysłał pana Stern, a więc mogę całkiem łatwo zgadnąć, po co pan tu przyleciał. — Umilkła. — Ale Stern nie przysłałby pana do mnie. Kazałby panu poszukać Duncana Blacka. — Zwróciła się ponownie do Terwillingera: — Oczywiście, ty powiedziałeś panu Cainowi, aby tu przyleciał. Stern nie wie, że Duncan nie żyje, ale ty tak.

— Cóż, nie ma chyba wielkiego sensu rozmawiać z Duncanem, póki jego duszy — stwierdził Terwillinger na swoje usprawiedliwienie.

— I bez wątpienia pan Cain w zamian za tę informację przyrzekł chronić cię przed Człowiekiem-Górą Batesem. — Przez chwilę badawczo przyglądała się łowcy. — Zrobił pan zły interes, panie Cain. Trzeba było zostać na Pamiątce.

— Dlaczego uważa pani, że przyleciałem z Pamiątki? Znowu się uśmiechnęła.

— Znam numer rejestracyjny pana statku, odkąd zaczęłam obserwować pana dwa dni temu. W ostatnich czterdziestu ośmiu godzinach dowiedziałam się o panu takich rzeczy, jakich nawet pan sam może już nie pamiętać. Wiem kiedy i na której planecie się pan urodził, wiem, dlaczego opuścił pan bardziej zaludnione światy Demokracji, wiem, ilu ludzi pan zabił i kim oni byli. A pan mi tu najbezczelniej w świecie zaprzecza, że przybywa z Pamiątki. Jeśli chce pan mojej szczerości, powinien pan zaofiarować mi w zamian własną.

— Przepraszam — burknął zawstydzony Cain.

— Nie ma potrzeby — odparła. — Nie jest pan bardziej fałszywy niż większość przedstawicieli pana płci.

— Czy pani mi pomoże? — spytał Cain, ignorując jej komentarz.

— Traci pan czas.

— Mam bardzo dużo czasu do stracenia — oznajmił. — I mogę zapłacić za pani czas.

— Nie powiedziałam, że pan marnuje mój czas — stwierdziła Sargassowa Róża. — Bardzo chętnie sprzedam panu informacje, których pan potrzebuje.

— Nie jestem pewien, czy rozumiem o co pani chodzi.

— Powiem panu to, co pan chce wiedzieć, ale to się panu po prostu na nic nie zda, ponieważ na Wewnętrzną Granicę przybył Anioł.

— Jestem już trochę zmęczony słuchaniem o nim — mruknął Cain z rozdrażnieniem w głosie.

— Obawiam się, że podobnie jak każdy uciekinier w odległości dziesięciu tysięcy lat świetlnych — odparła. — No, Terwillinger, sądzę, że czas, abyś opuścił ten pokój. To, co mam do powiedzenia panu Cainowi, jest przeznaczone tylko dla jego uszu.

— Dlaczego? — spytał karciarz.

— Z tego samego powodu, dla którego odmawia ci się dostępu do towarów w moim magazynie. Nie chcę, żebyś sprzedał coś, co jest moje, pierwszemu znającemu się na rzeczy kupcowi, którego spotkasz.

— Obrażasz mnie — powiedział Terwillinger, próbując zachować się z godnością, jednak bez większego powodzenia.

— Proszę bardzo, możesz się na mnie obrażać do woli — stwierdziła Sargassowa Róża. — Ale i tak nie pozwolę ci pozostać w tym pokoju.

Terwillinger już miał zaprotestować, ale pomyślał chwilę i ruszył do drzwi.

— Będę w pobliżu. — Patrzył na Caina. — Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebował.

Cain popatrzył na niego z rozbawieniem i chwilę później za małym karciarzem zasunęły się drzwi.

— Jeżeli chce pan znaleźć Santiago, doprawdy powinien pan ostrożniej dobrać sobie towarzyszy podróży, panie Cain — oznajmiła Sargassowa Róża, rozsiadając się na krześle.

— Może — odparł Cain. — Ale na jego korzyść przemawia fakt, że przyprowadził mnie do pani. W innym razie stra-

ciłbym masę czasu szukając Duncana Blacka albo wróciłbym na Port Etrange, żeby wyrwać moje pieniądze z zachłanych łap Jonathana Sterna.

— To prawda — przyznała, wzruszając ramionami. — Czy mogę zaproponować panu drinka?

— Dlaczego nie.

Nacisnęła guzik na klawiaturze komputera i jakiś mały, pokryty futrem, czerwony obcy — stanowczo niehumanoidalny — wszedł drugimi drzwiami i postawił na biurku butelkę i dwie szklanki.

— Czy ma pani w ogóle jakichś ludzi na Wilczej Jagodzie? — spytał Cain, kiedy obcy opuścił biuro.

— Chodzi panu o rasę czy o płęć? — spytała Sargassowa Róża. — W obu wypadkach odpowiedź brzmi: nie. Jedni i drudzy mają brzydki zwyczaj opuszczania człowieka właśnie wtedy, kiedy najbardziej się ich potrzebuje. Szczególnie jeśli chodzi o mężczyzn.

— Musi się pani tu czuć samotna — stwierdził Cain.

— W końcu można do tego przywyknąć. — Napełniła dwie szklanki, a Cain podszedł i wziął jedną.

— Dziękuję — powiedział, wracając na miejsce i popijając małymi łykami. Nagle zaśmiał się z samego siebie.

— O co chodzi, panie Cain?

Cain podniósł szklankę.

— Właśnie zauważyłem, że w tym pokoju panuje normalne ciśnienie — odparł. — Ależ ze mnie spostrzegawczy łowca! Gdybym nie stwierdził, że ten drink nie odlatuje, w ogóle bym się nie domyślił.

— Pomarańczowe Małpy lubią grawitację zerową. Ja uznałam stały kontakt z nią za rzecz nieco denerwującą, dostosowałam więc moje biuro do własnych potrzeb.



— To musiało kosztować majątek — zauważył Cain.  
— Kosztowało. Na szczęście mam majątek wystarczający na to, żeby go trwonić.

Wypił kolejny łyk.

— Całkiem niezły trunek.

— Musi taki być — zgodziła się. — Pochodzi wprost z Delurosa VIII.

— Sprowadza pani towary aż z tak daleka?

— Byłby pan zaskoczony tym, co przechodzi przez Wilczą Jagodę, panie Cain — odpowiedziała. — A może by pan nie był. Co dokładnie Stern powiedział panu o Duncanie Blacku?

— Tylko to, że Black sprzedawał kradzione rzeczy i że był pośrednikiem między nim a Santiago — odparł Cain. — Wiem, że zetknął się ze złotem, które Santiago zdobył podczas napadu na Epsilon Eridani.

— Ach, to dopiero był ładunek! — uśmiechnęła się. — Czyste złoto warte sześćset milionów kredytów!

— Z tego, co mówił Terwillinger, odniosłem wrażenie, że podążyła pani śladami Blacka.

— Terwillinger mówi za dużo.

— Większość ludzi mówi za dużo — przytaknęła Cain.

— Poza tym, zacznijmy od tego, że to właściwie Duncan poszedł w moje ślady — mówiła dalej. — Pracowałam przy kradzionych towarach na długo przedtem, zanim Duncan Black w ogóle o tym pomyślał. — Przerwała. — Dokonałam rozdziału majątku, aby utrzymać jego lojalność. — Spojrzała na Caina.

— Czy to wydaje się panu wyrachowane i niemoralne?

— Już dawno temu przestałem się bawić w ocenianie, co jest, a co nie jest moralne — rzucił.

— W każdym razie — kontynuowała Sargassowa Róża, popijając drinka — Duncan bardziej niż ja lubił robić interesy z ludźmi, a więc postawiłam go na pierwszej linii i zawierał transakcje w takich miejscach jak Port Etrange i z takimi facetami jak Stern.

— A więc to pani zainicjowała kontakty z Santiago, nie Black.

— W rzeczywistości to Santiago skontaktował się ze mną

— odpowiedziała. — Chociaż miało to miejsce kilka lat wcześniej, zanim dowiedziałam się, że to właśnie z nim robię interesy.

— Czy spotkała go pani kiedykolwiek? — spytał Cain.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Albo raczej powinnam powiedzieć, że nic mi o tym nie wiadomo.

— Ale mogło się to zdarzyć?

— Kto to może wiedzieć? — odparła, wzruszając ramionami. — Spotykałam tak wielu ludzi dostarczających towary, które Santiago być może ukradł... Ale prawdę mówiąc, nie mogę sobie wyobrazić, po co miałyby się narażać, przylatując tutaj.

— Czy zna pani kogoś, kto z całą pewnością spotkał się z nim twarzą w twarz? — nalegał Cain.

— Tak.

— Kogo?

— Zanim panu powiem, panie Cain — oznajmiła Sargassowa Róża — jest kilka rzeczy, o które chciałabym pana zapytać, by zaspokoić własną ciekawość.

— Na przykład?

— Spędził pan większość swej młodości walcząc o obalenie różnych rządów. Podstawą działalności Santiago jest, według moich informacji, atakowanie i okradanie tych instytucji, które posiada lub kontroluje Demokracja albo przynajmniej są niezbędne dla jej istnienia. Był pan rewolucjonistą i kiedyś nałożono cenę na pańską głowę. Zasięg działań Santiago jest oczywiście daleko szerszy, ale można go także uważać za rewolucjonistę, ponieważ większość jego zbrodni jest wymierzona przeciwko Państwu. Ma pan tak wiele z nim wspólnego, że po prostu nieco mnie intryguje, dlaczego tak desperacko chce pan go zabić.

— Wielka część jego przestępstw jest skierowana przeciw Demokracji tylko dlatego, że Demokracja ma więcej cennych rzeczy niż jakikolwiek inny ewentualny przeciwnik — powiedział Cain. — A co się tyczy jego rewolucyjności, to może pani powiedzieć to samo o każdym rabusiu pociągów, który kiedykolwiek na starej Ziemi ograbił transport z rządowymi pieniędzmi. Ten człowiek jest przestępcą, najnormalniej i po prostu.

— Czy słyszał pan, żeby kiedykolwiek kogoś zabił? — zapytała.

— Zamordował siedemnaścioro kolonistów na Silverblue, dopiero co, w zeszłym roku — odparł Cain.

— Brednie! — obruszyła się Sargassowa Róża. — Nie był na Zewnętrznej Granicy od lat.

— Jest pani pewna? — spytał ostro Cain.

— A z jakiego innego powodu Anioł, przybyłby do naszej strefy? — odrzekła.

— Może mu się wymknął — zasugerował Cain.

— Sam pan w to nie wierzy. Aniołowi nie można umknąć, zawsze chwyta tego, kogo ściga.

— Jest tylko łowcą głów, a nie supermanem.

— Nadal nie powiedział mi pan, dlaczego chce pan zabić Santiago.

— A dlaczego wszyscy chcą go zabić? — rzucił z uśmiechem Cain. — Jest za niego cholernie duża nagroda.

— Nie przyjmuję takiej odpowiedzi — pokręciła głową. — Jest pan bardzo bogatym człowiekiem, panie Cain, a więc na pewno pieniądze nie są dla pana głównym motywem.

— Pieniądze zawsze stanowią motyw — powiedział Cain. — A poza tym — dodał zadumany — to mogłoby coś znaczyć.

— Co na przykład?

— Że coś zmieniłem — odparł. — Że chociaż raz dokonałem czegoś naprawdę ważnego.

— A co z ludźmi, którym pan pomógł zdobyć władzę? — spytała Sargassowa Róża.

— To byli źli ludzie — skrzywił się Cain. — Nie zostanie po nich nawet ślad w podręcznikach do historii.

— A przestępcy, których pan pochwycił?

— Nawet nie słyszałem o większości z nich, zanim nie zacząłem ich ścigać. — Na chwilę umilkł. — Ale Santiago to co innego. On przecież coś znaczy, a więc człowiek, który go pokona, będzie również coś znaczył.

Uśmiechnęła się.

— A więc chce pan, aby opisywano pana w pieśniach i w legendach.

— Jestem już w pewnej pieśni. I wcale mi się to nie podoba. — Dokończył drinka. — Wystarczy mi, że sam będę wiedział, co zrobiłem. Nikt inny nie musi o tym wiedzieć.

— Cóż, muszę przyznać, że jest to zupełnie oryginalne podejście — stwierdziła Sargassowa Róża.

— Teraz proszę pozwolić, że ja zadam pytanie — powiedział Cain.

— Nie ustaliliśmy jeszcze ceny — zauważyła.

— Pytanie nie dotyczy sprawy.

— W takim razie proszę pytać.

— To jasne, że zarobiła pani dużo pieniędzy dzięki współpracy z Santiago. Dlaczego chce mi pani pomóc?

— Santiago przeniósł się gdzieś ze swoim handlem krótko po śmierci Duncana. Nic mu nie jestem dłużna. Poza tym jestem kobietą interesów: wszystko, co posiadam, jest na sprzedaż, włącznie z informacjami.

— Czy sprzedała je już pani komuś innemu?

— Nikt jeszcze o nie nie prosił, ale jeśli ktoś poprosi, sprzedam mu je.

— W porządku — powiedział Cain. — Co właściwie mogę od pani kupić?

— Mam nazwisko, holografie i aktualne miejsce pobytu człowieka, który robił interesy bezpośrednio z Santiago. Mam nazwiska i holografie czterech agentów Santiago, z którymi sama zawierałam transakcje trzy lata temu. Mam kilka sztabek w skrzyniach pakowych, na których opisane jest miejsce ich pochodzenia. I wiem, kto zabił Kastartosa.

— Kastartosa? — spytał Cain. — Człowieka, który próbował namówić Sterna, żeby wydał Santiago dla nagrody?

Skinęła głową.

— To była raczej zupełnie nieudana próba.

— Co pani chce w zamian za to wszystko?

— Chcę, żeby pan zabił Santiago.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Tylko tyle?

— Tak.

— Czy mogę spytać dlaczego?

— Duncan Black był dobrym człowiekiem... — zaczęła. — Właściwie nie, nie był. Był mało ważny, niesolidny i słaby. Ale był mój! Kiedy dowiedział się, że robimy interesy z Santiago, pomyślał, że moglibyśmy zarobić trochę więcej pieniędzy, przyłączając się do nich. Nie wiem, jakiego rodzaju propozycję im zrobił, ale nic z tego nie wyszło. — Wypiła trochę. — Dwa tygodnie później znaleziono Duncana martwego na Binder X. Jako oficjalną przyczynę śmierci podano zawał serca.

— Chce mi pani powiedzieć, że to Santiago go zabił?

— Santiago prawdopodobnie nawet nie wiedział o jego istnieniu. Ale jednak ktoś go zabił i gdyby nie kontakty z Santiago, Black byłby tu nadal. — Przerwała. — Nie był kimś wielkim, ale był wszystkim, co miałam. — Popatrzyła na Caina. — Santiago nie znał Duncana, a ja nie znam Santiago. Myślę, że to będzie czysta transakcja.

— W porządku — stwierdził Cain. — Zobaczmy, co pani ma.

Wstała, podeszła do schowka ukrytego w ścianie za wielkim, jasnym ekranem komputera i za pomocą kombinacji szyfrowej otworzyła sejf.

— Może pan zabrać to wszystko z sobą — powiedziała, wyciągając z sejfu kilka rzeczy i wracając na krzesło. — Mam kopie.

— Nie wiem skąd, ale byłem tego pewien — zauważył Cain, wyciągając rękę i biorąc od niej parę holografii.

— Cztery pierwsze to zdjęcia agentów, z którymi robiłam interesy — wyjaśniła. — Ich nazwiska są z tyłu.

— Jeden z nich wygląda, jakby oddychał metanem — zauważył Cain, trzymając w górze holografię delikatnego, bladego osobnika.

— Bo tak jest — odparła. — Widziałam go tylko raz. Bardzo źle się czuł w świecie tlenowym z tą całą swoją konieczną do przeżycia aparaturą. Przypuszczam, że po pierwszej wycieczce tutaj znalazł odpowiedniejsze miejsce dla upłynniania swojego towaru.

— Kto to jest? — spytał Cain, podnosząc holografię ciemnowłosej kobiety o kredowobiałej skórze i bardzo egzotycznej urodzie.

— Altair z Altair — odpowiedziała Sargassowa Róża. — To ona zamordowała Kastartosa.

Cain z uwagą obejrzał holografię.

— Jest zawodowym zabójcą?

— Jednym z najlepszych. Dziwi mnie, że nigdy pan o niej nie słyszał.

— To duża galaktyka — odparł Cain. — Jest tu cała masa ludzi, o których nie słyszałem. — Popatrzył jeszcze raz na Altair z Altair. — Jest pani pewna, że ona jest człowiekiem?

— Kto to może wiedzieć? Ale jestem pewna, że jest płatnym mordercą.

Dotarł do ostatniej holografii.

— Czy to ten człowiek, który spotkał Santiago?

— Tak. Nazywa się Sokrates. Nie pracowałam z nim od ponad roku, ale wiem, gdzie można go znaleźć. Od czasu do czasu robimy małe interesy.

— Może to nie jest jednak aż tak duża galaktyka — zauważył Cain, wpatrując się w nalaną, uśmiechniętą twarz na holografii.

— Co pan ma na myśli?

— Znałem tego człowieka, kiedy nazywał się Whittaker Drum.

— To nazwisko nic mi nie mówi — stwierdziła Sargasowa Róża.

— Wcale nie twierdzę, że powinno.

— Kim on jest?

Cain uśmiechnął się z ironią.

— Człowiekiem, któremu pomogłem zdobyć władzę na Sylarii.

— Rozpozna pana?

— Mam taką nadzieję — odpowiedział Cain.



*Udawał dobrego, lecz nikt mu nie wierzył,*

*W cieniu szubienic pół życia przeżył.*

*Choć Sokrates co wieczór przed ołtarzem klęka,*

*Nic nie zawróci go z drogi do piekła.*

Niewielu było ludzi na Wewnętrznej Granicy, których Czarny Orfeusz darzył niechęcią. Do tych nielicznych należał niestety Sokrates. Można by sądzić, że mordercy, bandyci czy hazardziści bardziej powinni drażnić pieśniarza, jednak ci byli przeważnie dość uczciwi i szczerzy w tym, co robili, a Czarny Orfeusz szczególnie nie cierpiał właśnie hipokrytów.

Niektórzy twierdzą, że pieśniarz musiał choć trochę szanować Sokratesa, ponieważ w przeciwnym razie nie poświęciłby mu nawet tej jednej jedynej zwrotki. Z drugiej strony



jednak Czarny Orfeusz wiedział, iż Sokrates był sławny, gdyż jeszcze jako zwyczajny, stary Whittaker Dram rządził całą planetą. Należała mu się więc choć jedna strofa. Zresztą, bard uważał, że jego zadaniem jest opisywanie ludzi, których spotkał. Ich ocenę wolał pozostawiać innym.

Mimo to Orfeusz znany był z tego, że zwykł wtrącać swoje trzy grosze do każdej historii, napisał więc, że Sokrates skończy w czeluściach piekielnych. Och, napisał też coś w tym rodzaju o Półpensówce Terwillingerze i o kilku innych, ale w stosunku do nich odnosiło się wrażenie, że żartuje, a przecież nigdy nie powiedział tego o Cyborgu Schusslerze — któremu zdawało się, że już jest w piekle — ani nawet o samym Santiago. Było po prostu w Sokratesie coś takiego, co pieśniarza denerwowało. No i większość ludzi na Granicy uwierzyła w słowa piosenki, że Sokrates nie pożyje zbyt długo.

Tak naprawdę nikt nie wiedział, jak zdobył przydomek Sokratesa, ale było niemal pewne, że Czarny Orfeusz nie nadał mu tego imienia. Był Whittakerem Drumem, kiedy pisał swoje rozprawy rewolucyjne, był Whittakerem Drumem, kiedy stanął na czele rządu Sylarii i nadal był Whittakerem Drumem, kiedy wyrzucono go parę lat później. Potem pewnego dnia pojawił się na Declanie IV i nagle nazywał się już Sokrates. Najpierw złapał szczególnie złośliwą chorobę weneryczną, a potem równie silny pociąg do religii, lecz ani jedno, ani drugie nie przeszkodziło mu w interesach. Zajął się finansowaniem przedsięwzięć, które eufemistycznie można by określić jako inwestycje o wysokiej stopie ryzyka.

Prawdopodobnie nie wiedział, że ma podobne do siebie towarzystwo na Declanie IV. Właściwie trudno było wyjaśnić, co jest atrakcyjnego w tym światku — z tym jednym może wyjątkiem, że była to ostatnia planeta przed Wewnętrzną Grani-

cą — ale w ciągu siedmiu lat, które Sokrates tam przeżył, stała się domem dla pięciu wygnanych prezydentów planet, dwu królów, którzy popadli w niełaskę i jednego zdymisjonowanego oficera sił powietrznych.

Mieszkańcy Declanu IV byli społecznością pogranicza, które wyzbyło się swojego pochodzenia i z trudem próbowało wpasować się w prosty szablon światów Demokracji. Declan zamienił dwie brudne faktorie w sześć rozlazłych miast; najpierw spacyfikował, a potem zdziesiątkował sześcionożne torbacze, które stanowiły kiedyś dominującą na planecie formę życia; sprowadzał — zawsze co najmniej dziesięć lat po tym, jak wychodziły z mody — nowe style i rozrywki z Delurosa VIII; przekupił co większych handlarzy, aby założyli sklepy na planecie i praktycznie ich utrzymywał, odkąd się zjawili; wprowadził swoje drużyny do różnych międzyplanetarnych lig sportowych i dość paskudnie zanieczyścił atmosferę. Jako kolonia zbyt młoda nie szanowała odpowiednio swej przeszłości, a więc budynki — większość z nich była całkiem ładna — bez przerwy burzono i zastępowano je modniejszymi wersjami, z których sporo wyróżniało się potworną brzydotą. Ogół obywateli uznał również poniewczasie, że wymordowanie tubylczej populacji nie było chyba najbardziej cywilizowanym uczynkiem i nagle każde przedsiębiorstwo, każda szkoła i każdy hotel zaczęły walczyć ze wszystkich sił o nielicznych, pozostałych na planecie pierwotnych mieszkańców, chcąc ich zatrudniać, uczyć i dawać mieszkanie. Tubylcy spokojnie i z zimną krwią najmowali się na służbę tym, którzy oferowali najwięcej, przeżytkali wszystkie możliwe upokorzenia i powoli stawali się wystarczająco bogaci, żeby zdobyć jakiś rodzaj ogólnego szacunku drugiej kategorii.

Cain i Terwillinger wylądowali w dość dużym porcie kosmicznym, wypełnionym setkami błyskających i migoczących świateł, które oznajmiały, że praca nad stacją orbitalną powinna zostać ukończona w ciągu roku. Strawili dziesięć minut przechodząc przez kontrolę celną, po czym zmarnowali kolejne pięć, w czasie których Terwillinger opowiadał zupełnie sensowną i absolutnie nieprawdziwą historię, mającą wyjaśnić, dlaczego jego paszport jest od siedmiu lat przedawniony, i w końcu wsiedli do jednoszynowej kolejki, która miała ich zabrać do miasta o nazwie Wspólnota.

— Uwierzyłyś w to? — zżymał się karciarz, siadając obok Caina. — W ciągu ostatnich dziesięciu lat byłem może na stu światach i pierwszy raz ktoś zażądał ode mnie okazania paszportu.

— Nie jesteście już na Granicy — odpowiedział Cain, wyglądając przez okno na pola uprawne. — Oni tu w Demokracji działają inaczej.

— Jak to się stało, że ciebie nie zahaczyli?

— Mój paszport jest ważny.

— Po co go przedłużasz?

— Nigdy nie wiem, czy ten, kogo szukam nie skieruje się do Demokracji — odparł Cain.

Wyjął nabyty właśnie plan miasta i zaczął go studiować. We Wspólnocie było dwadzieścia głównych alei ruchomych: osiem z północy na południe, osiem z zachodu na wschód i cztery ukośne. Cain znalazł na planie ulicę, przy której według Sargassowej Róży mieszkał Sokrates, wybrał najkrótszą drogę do tego miejsca i schował mapę z powrotem do kieszeni.

Spędzili dziesięć minut jadąc północno-wschodnim ruchomym chodnikiem, mijając bardzo ruchliwe, lśniące metalem i szkłem centrum handlowe; przez kolejne dziesięć prze-

mieszczali się promenadą prowadzącą ku zachodowi i w końcu dojechali ruchomą alejką do wyłożonej jaskrawymi płytami ulicy.

— Jeszcze dwa osiedla — oznajmił Cain, sprawdzając po raz kolejny plan.

— Zaczynam sobie przypominać, czego nie lubię na tak zaludnionych planetach — mruknął Terwillinger ponuro, kiedy zaczęli przechodzić przez dzielnicę mieszkaniową, nad którą górowały setki jasnych wież. — Zbyt są, cholera, zatłoczone. — Spojrzał w górę na budynki. — Ulice są za wąskie i nie można zobaczyć nieba.

— Ależ można.

— W każdym razie ma się takie uczucie, jakby nie było można — upierał się Terwillinger. — I jest brudno.

— Tak samo jak w faktoriach na Granicy.

— Tamten brud jest czysty. Tu zaś sadza, smar i śmieci.

— Interesujące rozróżnienie — zauważył Cain.

— I panuje hałas. Zbyt duży ruch i zbyt wielu ludzi. Do diabła, nawet ruchomy chodnik zgrzyta i turkocze.

— To jeszcze nic — odparł Cain. — Powinieneś polecieć kiedyś na Deluros VIII.

— Dziękuję, obejdę się — powiedział karciarz. — Zwiedzanie jakiejś planety, na której stoi tylko jeden budynek, nie należy do ulubionych przeze mnie sposobów przyjemnego spędzania czasu.

— Ściśle rzecz biorąc jest tam parę milionów budowli. Ale stoją tak blisko siebie, że rzeczywiście wydają się jedną.

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć — stwierdził Terwillinger — ale właściwie ani trochę mnie to nie interesuje. Urodziłem się na Granicy i naprawdę mam zamiar tam umrzeć.

— Zwłaszcza jeśli Człowiek-Góra Bates jednak cię dopadnie — zauważył Cain.

— Wtedy naśle na niego ciebie i to będzie koniec tego wielkiego draba — odparował karciarz z uśmiechem. Zamilkł na chwilę. — A tak przy okazji, wymyśliłeś już, jak nakłonić Sokratesa do mówienia?

— Sposobem wypróbowanym przez wszystkich, którzy o cokolwiek go prosili: pieniędzmi.

Przeszli na drugą stronę ulicy i Cain sprawdził numer na narożnym budynku.

— Jesteśmy prawie na miejscu — oznajmił.

Podeszli do właściwego domu — lśniącego, wysokiego bloku z czterema oddzielnymi mieszkaniami w wieżyczkach — odszukali główne wejście i znaleźli się w przestronnym korytarzu. Zbliżył się do nich odziany w liberię obcy o wyglądzie sześcionożnego kangura z pyskiem pandy i przemówił do aparatu tłumaczącego.

— Pozdrowienia i przywitania, niech spłynie na was radość — odezwał się. — Na imię mam Wixtol. Jestem konsjerżem Apartamentów Tudora. W czym mogę pomóc?

— Chcielibyśmy odwiedzić starego przyjaciela — powiedział Cain. — Gdzie możemy znaleźć spis mieszkańców budynku?

— Będzie mi niezmiernie przyjemnie wskazać panom drogę do apartamentu waszego przyjaciela — odparł obcy — jeżeli tylko będziecie tak szczerzy, żeby dostarczyć mi jego nazwisko.

— Whittaker Drum.

— Bezgraniczny żal, drodzy przyjaciele — oznajmił Wix-tol. — Padam na twarz, aby poinformować panów, że nie mamy takiego mieszkańca.

— Używa także nazwiska Sokrates — stwierdził Cain.

Obcy w zachwycie uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Najwyższa radość! Pan Sokrates mieszka w apartamencie dwadzieścia dziewięć czternaście, niech będzie pochwalony.

Jeżeli panowie raczą pójść za waszym pokornym sługą, zaprowadzę panów do windy.

Torbacz począpał kaczkowatym krokiem na prawo, a Cain z Terwillingerem szli o krok za nim.

— To jego język, czy też coś nie w porządku z tłumaczem? — wyszeptał karciarz.

— Bo ja wiem — odpowiedział Cain. — Może powiedziano mu, że w taki sposób mówią gospodarze domów.

Wkrótce dotarli do wind. Wixtol przytrzymał dla nich otwarte drzwiczki, wcisnął guzik dwudziestego dziewiątego piętra, podziękował im wylewnie za przybycie, w końcu życzył bezpiecznej i szczęśliwej jazdy w górę. Potem drzwi się zamknęły, a moment później ruszyli wyłożonym lustrami korytarzem prowadzącym do mieszkania numer 2914.

Kiedy doszli do frontowych drzwi, Cain zatrzymał się i czekał.

— Gdzieś cię już chyba kiedyś widziałem — odezwał się chrapliwy męski głos. — Kim jesteś?

— Nazywam się Cain.

Chwilę trwała cisza.

— Sebastian Cain?!

— Tak.

— Bodaj cię diabli wzięli! — wykrzyknął mężczyzna. — Co u ciebie słyszać?

— Cześć, Whittaker. Kopa lat.

— Co tu robisz?

— Sargassowa Róża podała mi twoje nowe nazwisko i poradziła, jak cię znaleźć. Muszę z tobą pogadać, jeśli zechcesz poświęcić mi trochę czasu.

— Będę zachwycony. Ale najpierw zrób kroczek w lewo, żeby mój system zabezpieczeń mógł cię prześwietlić.

Cain wykonał polecenie i usłyszał niegłośnie brzęczenie.

— Sądzisz, że będziesz potrzebował dwu rewolwerów i noża, aby ze mną porozmawiać? — spytał głos.

— Nie.

Drzwi rozsunęły się na parę cali.

— Wrzuć je do środka, Sebastianie. Zwrócę ci wszystko, kiedy będziesz wychodził.

Cain wyjął broń i wsunął ją przez małą szczelinę do korytarza.

— Teraz twój przyjaciel.

— Nazywam się Terwillinger — powiedział karciarz, przesuając się na miejsce, które zwolnił Cain. — I nie noszę broni.

— W porządku — zamruczał głos. — Jesteś czysty. — Nastąpiła krótka przerwa, a potem drzwi otworzyły się na oścież. — Możecie wejść.

Wkroczyli do małego przedpokoju, z którego zabrano już broń i przeszli do wielkiego, bogato umeblowanego salonu. Na podłodze leżał gruby, kosztowny dywan. Krzesła i stoły wykonane były z rzadkiego, twardego drewna pochodzącego z dalekiego Doradusa IV. Oświetlenie było dyskretne i przyściemnione, wielkie okno wychodziło na miasto. Wszędzie znajdowały się dzieła obcej sztuki, a ściany pokrywały dosłownie dziesiątki ikon oraz złotych i srebrnych krucyfiksów. Na środku pokoju, odziany w jedwabny szlafrok, stał z wielkim

uśmiechem na twarzy mały, pękaty człowieczek o przerzedzonych siwych włosach.

— Jak się miewasz, do cholery? — Sokrates podszedł do Caina i przygarnął go w przyjacielskim, niedźwiedzim uścisku. — Co porabiałeś od tamtych czasów, Sebastianie?

— Jestem łowcą nagród.

— No, no, właściwie dlaczego nie? — pokiwał głową Sokrates. — Zabijanie ludzi było zawsze jedną z tych rzeczy, które umiałeś robić najlepiej. — Uśmiechnął się. — Do diabła, ileż to czasu! Siadaj. Czy mogę zaproponować ci coś do picia?

— Może później — odparł Cain, siadając na kanapie. — Jak to się dzieje, że nie widzę tu żadnej ochrony?

— Po co? Jestem ogólnie szanowanym biznesmenem i nie trzymam na górze żadnej gotówki.

— Jest chyba paru ludzi na Sylarii, którzy chętnie zobaczyliby cię martwego? — zasugerował Cain.

Sokrates roześmiał się.

— Nawet gdyby wiedzieli, jak mnie znaleźć — a nie wiedzą — bardzo wątpię, czy któryś z nich w ogóle mnie pamięta. Obalili jeszcze czterech czy pięciu dyktatorów, odkąd stamtąd wyjechałem. — Obrócił się do Terwillingera. — Ty także jesteś łowcą nagród?

— Stanowczo nie — odpowiedział rozbawiony karcjarz. — Jestem tylko turystą, który wysoko sobie ceni pana propozycję dotyczącą drinka.

— Co ma być?

— Obojętnie co, byle było mokre.

Sokrates podszedł do ściany, dotknął jakiegoś szczególnego miejsca i chwilę później kwadratowa część muru odsunęła się do tyłu i ukazał się mały, ale dobrze zaopatrzony barek.

— Whisky?



— Może być — odparł Terwillinger. Postawił tyłem małą, proste krzesło i usiadł okrakiem, przyciskając pierś do oparcia. Sokrates przygotował drinka i podał go karciarzowi, a potem zwrócił się do Caina:

— Cholera, dobrze znów cię widzieć, Sebastianie! —

Usiadł naprzeciw niego na pięknym, ręcznie wykonanym krześle. — To musi być.....Ile to już? Chyba ze dwadzieścia lat.

— Dwadzieścia jeden — stwierdził Cain.

— Mam nadzieję, że wiedzie ci się dobrze?

— Nie narzekam.

— Ani ja, szczerze mówiąc. W gruncie rzeczy rozpocząłem zupełnie nowe życie: nowe nazwisko, nowy świat, nowe pieniądze.

— Widzę, że nadal pociągają cię małe przyjemności — zauważył Cain, wskazując kosztowne wyposażenie pokoju.

— To prawda — padła odpowiedź. — Ale, w końcu, czymże byłoby życie bez paru zbytków? — Umilkł. — Teraz powiedz mi, Sebastianie, jaki jest cel twojej wizyty po tak długim czasie?

— Chodzi mi o informacje.

Nagle Sokrates cały przeistoczył się w człowieka interesów.

— Sprzedajesz czy kupujesz?

— Kupuję.

— Za parę minut ma do mnie ktoś przyjść, musimy więc skrócić to spotkanie bardziej, niżbym chciał, ale chyba moglibyśmy zjeść później razem kolację i powspominać stare czasy. Jakiego rodzaju informacji potrzebujesz?

— Szukam kogoś. Możesz mi pomóc go znaleźć.

— Jeżeli tylko potrafię. Kto to jest?

— Santiago.

Sokrates zmarszczył brwi.

— Przykro mi, Sebastianie. Zapytaj o kogokolwiek innego, a nie będziesz nawet musiał płacić za odpowiedź.

— Nie mam ochoty szukać nikogo innego — powiedział Cain.

— Więc będziesz musiał. Zostaw go w spokoju.

— Przyjacielskie ostrzeżenie? — spytał Cain.

— Mówię poważnie. Jest dla ciebie zbyt potężny. — Sokrates przerwał. — Do diabła, on jest dla wszystkich zbyt potężny.

— Czego więc może chcieć od rekina pożyczek?

— Ależ ja jestem finansistą — obruszył się Sokrates.

— Bardzo dobrze wiem, kim jesteś — odciął się Cain. — Powiedz mi lepiej, dlaczego ten facet robi z tobą interesy. Nie ma chyba kłopotów z pieniędzmi.

— Aranżuję od czasu do czasu spotkania między stronami różnych, hmm, transakcji handlowych. — Sokrates uśmiechnął się. — Zdaje mi się, że moim powołaniem jest ułatwiać życie tym, którzy pragną dużo zarobić.

— Z tego, co tu widzę, można by sądzić, że twoim powołaniem jest coś zupełnie innego — zauważył Cain, wskazując na krucyfiksy i ikony.

Sokrates wzruszył ramionami.

— Każdy robi to, co uważa, że musi. Dobry Pan jest bardzo wyrozumiały. Szczególnie, kiedy widzi wielkość moich cotygodniowych datków.

— Sam zrobię porządną dotację, jeśli powiesz mi, co wiesz o Santiago.

— Nie ma mowy.

— Podaj swoją cenę.

— Nie powiem ci tego za żadną cenę — oznajmił Sokrates.

— Te informacje nie są na sprzedaż.

— Daj spokój, Whittaker, wszystko, co kiedykolwiek posiadałeś, zawsze było na sprzedaż.

Sokrates głęboko westchnął.

— Bez wątpienia mówisz o Sylarii.

— Ściśle rzecz biorąc, tak — potwierdził Cain.

— To była zupełnie inna sytuacja, przejąłem skorumpowany i ospały rząd...

— I władałeś tak źle, że Demokracja w końcu cię spławiła.

— To jest krzywdzący i niesprawiedliwy osąd, Sebastianie.

— Daj spokój, Whittaker, widziałem jak twoje oddziały szturmowe zmasakrowały dziesięć tysięcy mężczyzn i kobiet.

— Wszyscy popełniamy błędy — rzucił Sokrates lekko.

— Wcale się nie wypieram, że wtedy podjąłem złą decyzję.

— Jestem pewien, że byłoby to dla nich cholerne pocieszenie, gdyby dowiedzieli się, że oceniasz to w ten sposób.

— A jednak powinienem był zabić te trzydzieści tysięcy — stwierdził poważnie Sokrates.

Terwillinger zachichotał, Cain natomiast nadal wpatrywał się uparcie w przedsiębiorcę.

— Po rewolucji — mówił dalej Sokrates — albo zmuszasz swoich wrogów, by się przystosowali, albo się ich pozbywasz. Nie możesz przecież zostawić ich w spokoju i pozwolić, żeby spiskowali przeciwko tobie. Tamtych nie mogłem zasymilować, gdyż było ich zbyt wielu, więc powinienem był się

ich pozbyć. Jak się okazało, miałem zbyt miękkie serce. Naprawdę wierzyłem we wszystkie te głupstwa, które zwykłem recytować w przemówieniach. Potem więc spędzałem dzień po dniu siedemdziesiąt procent mojego czasu, chroniąc własną dupę i próbując poprawić życie ludzi na Sylarii. Czy to dziwne, że poniosłem klęskę?

— Do diabła, ty nie tylko poniosłeś klęskę, Whittaker — zauważył Cain. — Zostawiłeś Sylarię w o wiele gorszym stanie, niż ją zastałeś.

— Bardzo w to wątpię — odparł Sokrates. — Może podwyższyłem podatki i zbyt długo stosowałem prawo wojenne, ale zniosłem bezprawne rewizje i pozwoliłem na lokalne wybory.

— A potem wymordowałeś zwycięzców.

— Tylko niektórych. Tylko tych, którzy próbowali sabotować moje rządy. — Uśmiechnął się. — Poza tym, w końcu wygrali, prawda? To znaczy, do diabła... teraz rządzą tą cholerną planetą, a ja ukrywam się tu pod pseudonimem.

— Ponieważ obrabowałeś ich skarbiec — zwrócił mu uwagę Cain.

— Wziąłem sobie pieniądze na koszty podróży i nieprzewidziane wydatki — powiedział Sokrates, wzmszając ramionami. — Demokracja nie zapłaciła mi wcale tak dużo za zwolnienie mojego stanowiska, a w każdym razie nie tyle, ile powinienem był dostać. — Rozparł się wygodnie na krześle. — Zdaje się, że przestałeś być idealistą, Sebastianie.

— Rzeczywiście — przytaknął Cain. — Na szczęście nawet w najmniejszym stopniu nie zawdzięczam tego tobie.

— Widzisz? Nie ma potrzeby zasklepiać się w goryczy. Obaj staliśmy się lepszymi ludźmi. Ja znalazłem Boga i

mam skromną fortunę, a ty zostałeś wziętym łowcą nagród i realistą. Najwyraźniej Sylaria nieźle nam się przysłużyła.

— Znalazłeś Boga czy kupiłeś Go sobie?

— To zależy od punktu widzenia — odrzekł Sokrates. — Wspieram jego kościoły tysiącami kredytów i opiewam Jego chwałę każdego ranka, a On w zamian za to dość skutecznie chroni mnie i pomaga mi w interesach. Uważam ten związek za obustronnie korzystny.

— Jestem tego pewien — zakpił Cain. — Ale odbiegamy od tematu.

— Sylaria?

— Santiago.

Sokrates potrząsnął głową.

— Powiedziałem ci już: ta sprawa jest zamknięta.

— He by kosztowało jej otwarcie?

— Więcej pieniędzy, niż będziesz miał kiedykolwiek — rzucił Sokrates. — Demokracja zdołała mnie odsunąć od władzy. Zapewniam cię, że Santiago może zrobić mi coś dużo gorszego.

— Santiago nie jest w tym osamotniony — zauważył Cain. Sięgnął do jednej ze swych niezliczonych kieszeni i wyjął mały ceramiczny pistolet, który wycelował w Sokratesa.

— Jak udało ci się przedostać go przez mój system zabezpieczeń? — spytał Sokrates, zupełnie nie okazując strachu.

Cain uśmiechnął się.

— Sądzisz, że jesteś jedyną osobą w galaktyce, która ma system bezpieczeństwa? Łowcy nagród znają je na co dzień. Struktura molekularna tej broni została zmieniona w taki sposób, że nie oddziałuje na żadne przyrządy wykrywające.

— Bardzo pomysłowe — zauważył Sokrates. — Ale to ci i tak nic nie da. Przecież jeśli mnie zabijesz, nie będę mógł powiedzieć ci tego, co chcesz wiedzieć. — Powoli sięgnął do kieszeni, wyciągnął cygaro i zapalił je.

— Tyle że jeśli nie zechcesz mi powiedzieć — odwzajemnił się Cain — dlaczego miałbym pozwolić ci żyć?

— Jesteś łowcą głów — zauważył Sokrates z przekonaniem. — Zabijasz dla pieniędzy. A za moją głowę nie ma nagrody.

— Nie kuś swojego szczęścia — stwierdził Cain. — Jesteś człowiekiem, którego mógłbym zabić za darmo.

Sokrates zachichotał rozweselony.

— Byliśmy dziwną paczką filantropów na Sylarii, nieprawdaż?

— Gdybym był tobą, martwiłbym się jednak nieco bardziej, przyjacielu — odezwał się Terwillinger. — Czyżby celuje w twoim kierunku!

— Przypuszczam, że to ma coś znaczyć. — Sokrates lekceważąco pykał cygarem, okazując zupełny brak zainteresowania.

— To oznacza, że ten facet zrobi to, co mówi — wyjaśnił Terwillinger. — Dla niego takie sprawy to tylko interesy. Działa tak przez cały czas.

— Po prostu liczę na to, że będzie trochę bardziej rozgarnięty niż ty — odparł Sokrates spokojnie. — Jeśli mnie zabije, nie dostanie informacji, których potrzebuje, a poza tym wiecie już, że w każdej chwili oczekuję gościa.

— Nie mam powodu, żeby pozwolić ci żyć, jeżeli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć — tłumaczył cierpliwie Cain. — A co do twego gościa... może wcale nie przyjdzie. Kiedyś słyngałeś z kłamstw.

— Nie tym razem, Sebastianie — odparł Sokrates, patrząc na zegarek. — Jest już kilka minut spóźniona. — Uśmiechnął się. — To reporterka. Zabij mnie teraz, a dowiedzą się o tym wszystkie sieci telewizyjne stąd do Delurosa.

Cain patrzył na niego przez długą chwilę. Potem rozejrzał się szybko po pokoju.

— Bardzo piękna waza — stwierdził, wskazując na przedmiot o delikatnej, żłobionej strukturze. — Zrobiona przez Canphorytów?

— Przez Robelian — odparł Sokrates. — Dlaczego pytasz?

— Ile jest warta? Jakies dwadzieścia tysięcy kredytów?

— Mniej więcej.

Cain błyskawicznie wypalił z pistoletu i waza roztrzaskała się na tysiące maleńkich kawałeczków, a Terwillinger wydał z siebie okrzyk przestrawu.

— Co robisz, do cholery? — zapytał Sokrates wściekle. Skoczył na równe nogi i bardzo szybko usiadł z powrotem, kiedy Cain ponownie wycelował w niego broń.

— Negocjuję — odrzekł Cain. — Ile zapłaciłeś za ten krucyfiks z Chrystusem wysadzonym kamykami?

— Do diabła, Sebastianie! To jest bezcenne dzieło sztuki!

— Masz dziesięć sekund, żeby wyznaczyć na nie cenę — rzucił Cain. — Potem, jeśli mi nie powiesz tego, co chcę wiedzieć, dam ci jeszcze kilka sekund, żeby go pocałować na pożegnanie.

Sokrates gwałtownie osunął się na krzesło.

— Zniszcz je wszystkie — z rezygnacją machnął ręką. — Mogę je zastąpić innymi o wiele łatwiej, niż ty możesz zastąpić mnie.

— Mówisz poważnie?

— Tak.

— Może podszedłem do całej tej sprawy niewłaściwie. — Cain skierował broń o kilka cali niżej. — Ile kosztuje twoja rzepka kolanowa?

— I tak ci nie powiem — stwierdził butnie Sokrates.

— Odwaga u Whittakera Druma? No, no, absolutnie zadziwiająca.

— Wcale nie jestem bohaterem — wyjaśnił Sokrates. — Ale nie ma takiej rzeczy, którą mógłbyś mi zrobić, a która by była porównywalna z tym, co on by mi zrobił.

— Gdybym był tobą, nie stawiałbym tak łatwo swego życia na szali.

— Właśnie je stawiam. Wiem, że możesz zrobić, co chcesz, ale nie zabijesz mnie.

Dokładnie w tej samej chwili rozległ się piszczący dźwięk dzwonka.

— To ona — powiedział Sokrates, obracając głowę i patrząc na mały ekran holograficzny. — Lepiej odłóż broń i wyjdź, póki jeszcze możesz.

— Odpada — stwierdził Cain. — Czego ona chce?

— Może tego samego co ty.

Rozległ się kolejny brzęczek.

— Lepiej ją wpuśćmy — zauważył Terwillinger, obserwując ekran kontrolny, żeby sprawdzić, czy Sokrates nie kłamał. — Dziewczyna musi wiedzieć, że on jest tutaj.

Cain skinął głową i karciarz podszedł do niewielkiej tablicy rozdzielczej na ścianie, tuż za krzesłem Sokratesa. Pierwsze dwa guziki, które wcisnął, zaalały apartament muzyką i przygasiły światła w przedpokoju, ale w końcu uderzył we właściwy klawisz i usłyszeli dźwięk otwieranych frontowych drzwi.



Chwilę później do pokoju weszła kobieta o jasnych włosach. Miała około trzydziestu pięciu lat i kilka funtów nadwagi, chociaż w żadnym razie nie można jej było nazwać grubą. Nośła bluzę i spodnie raczej niezbyt eleganckiego kroju. Nie była umalowana. Przez ramię przerzuconą miała skórzaną torbę.

Jednym spojrzeniem zlustrowała sytuację i od razu zwróciła się do Caina.

— Nie zabijaj go, zanim z nim nie porozmawiam — powiedziała. — Sprawię, że ta chwila ci się opłaci.

— Nikt tu jeszcze nikogo nie ma zamiaru zabijać — wtrącił się Sokrates ze spokojem. — Jesteśmy nadal na etapie zastraszania.

— Kim jesteś i czego tu szukasz? — spytał Cain. Wstał i cofnął się o kilka kroków, żeby mieć oboje, ją i Sokratesa, w polu widzenia.

— Mogłabym zadać ci to samo pytanie — odparła.

— Mogłabyś — zgodził się. — Ale ja spytałem pierwszy i ja mam broń.

Popatrzyła na niego przez chwilę, potem wzruszyła ramionami.

— Nazywam się Virtue MacKenzie. Jestem dziennikarką. Robię programy holograficzne.

— Co tu robisz?

— Przyleciałam na Declan, żeby zrobić reportaż o Sokratesie.

— Gdzie twoja ekipa techniczna? — spytał Cain.

— Sama wykonuję wszelkie prace tego typu — stwierdziła. Po czym dodała: — Nie będę już odpowiadać na pytania. Teraz twoja kolej.

— Mam jeszcze jedno — powiedział Cain. — Czy rozmawiałaś już kiedyś z Whittakerem Drumem?

— Kto to jest, do cholery, Whittaker Drum?

Cain uśmiechnął się z zadowoleniem.

— W porządku. Powiedziałaś mi wszystko, co chciałem wiedzieć. — Chwilę milczał. — Terwillinger, wyrzuć ją stąd.

Karciarz ruszył w kierunku kobiety.

— Nie podchodź bliżej — powiedziała Virtue z groźbą w głosie.

Terwillinger wyszczerzył zęby i zrobił kolejny krok. W tej właśnie chwili kobieta kopnęła go tuż pod kolaniem. Upadł na podłogę klnąc, jęcząc i chwytając się z czułością za nogę.

— Nie słyszysz zbyt dobrze, co? — zapytała pogardliwie.

— Nie do wiary! — stwierdził Sokrates, niezmiernie ubawiony. — To się staje interesujące.

— Zamknij się! — warknął Cain.

— Czy teraz jesteś już gotowy odpowiedzieć na moje pytania? — zapytała Virtue, lekceważąc Terwillingera i zwracając się znowu do Caina.

— Jasne — odparł.

— Kim jesteś?

— Sebastian Cain.

— Ten, którego nazywają Czyżykiem? — spytała.

Cain skrzywił się.

— Tak.

— Dlaczego chcesz go zabić?

— Nie chcę — odparł Cain. — Chcę tego samego, co ty.

— A czego ja chcę?

— Informacji na temat Santiago.

Dlaczego tak sądzisz?

— Ponieważ nie wiesz, że Sokrates nazywał się kiedyś Whittaker Drum, a jedyną ważną rzeczą, która przydarzyła mu się od czasu zmiany nazwiska, było spotkanie Santiago.

— To mnie obraża — obruszył się Sokrates.

— Jaką masz sprawę do Santiago? — spytała Virtue.

— Zawodową — odrzekł Cain. — A ty?

— Również — powiedziała. — Naprawdę robię filmy. Przekonałam paru sponsorów, że uda mi się zrobić pierwszorzędnny program o Santiago i zdołałam wydusić z nich dość pokaźną zaliczkę.

— I teraz musisz go dostarczyć — zauważył Cain rozbawiony.

Skinęła głową.

— Trwało prawie cały rok, zanim doszłam tak daleko. Nie chcę, żebyś go zabił, zanim z nim nie porozmawiam. — Spojrzała na Terwillingera, który podnosił się z bólem. — A ten kim jest?

— Nikim szczególnie ważnym — odparł Cain.

— Straszne dzięki — zamruczał karciarz, zginając nogę i krzywiąc się z bólu. — Myślę, że coś mam złamane.

— Gdyby tak było, nie mógłbyś się ruszać w ten sposób — zauważyła Virtue. — Przestań wreszcie jęczeć i zamknij się.

Terwillinger przeszył ją pełnym nienawiści wzrokiem, a potem znowu zaczął sobie masować kolano.

— W porządku, panie Cain — stwierdziła, wracając do łowcy nagród. — Co teraz?

— A co radzisz?

— Nasze interesy są zbieżne, ale przecież nie identyczne — odpowiedziała. — Nie dbam o to, czy zabijesz Santiago, jeśli dostanę moją historię i przypuszczam, że ty nie pozadro-

ścisz mi reportażu, kiedy otrzymasz zapłatę. Nie widzę zbytniego sensu, żeby walczyć na śmierć i życie o to, kto z nas wydobędzie potrzebne nam informacje.

Skinął głową i powiedział:

— Wracamy więc znów do ciebie, Whittaker.

Sokrates uśmiechnął się.

— Nic się nie zmieniło, Sebastianie. Nie możesz sobie pozwolić na zabicie mnie, a ja nie mogę pozwolić, żeby Santiago się dowiedział, że go zdradziłem. A więc, możesz oczywiście sprawić mi niemało bólu, ale i tak nie dostaniesz tego, co chcesz.

— To możliwe — przyznał Cain. — No dobrze, w takim razie sobie pocierpisz.

— Nie bądź dupą, Cain — powiedziała Virtue. — Można go o wiele łatwiej zmusić do mówienia.

— Jestem otwarty na propozycje — stwierdził Cain.

— Zasuniemy mu dwa centy niatholu i powie nam wszystko, co chcemy wiedzieć.

— Niathol nie znajduje się w podręcznym wyposażeniu łowcy nagród — zauważył Cain ironicznie.

— Ale składa się szczęśliwie dla ciebie, że znajduje się na moim podręcznym wyposażeniu — powiedziała, otwierając torbę.

— Wiedziałaś, że będziesz musiała go użyć?

— Przewidywałam taką możliwość — stwierdziła, wyciągając małą paczuszkę.

— Nie mogłaś wiedzieć, że tu będę. Jak miałaś zamiar zrobić to sama?

— Podobnie jak przekonałam twojego przyjaciela, żeby mnie zostawił w spokoju — odparła, wyjmując małą fiol-

kę, która owinięta była taśmą chłodzącą. Chwilę później napełniała już płynem małą, sterylną strzykawkę.

— Cóż, Whittaker — zapytał Cain — pozwolisz nam, czy też będę musiał cię przytrzymać?

— W porządku, Sebastianie — odparł Sokrates z westchnieniem. — Wynoś się z tym prochem. Powiem ci to, co chcesz wiedzieć.

— To bardzo rozsądnie z twojej strony, ale sądzę, że skoro mamy niathol, nie musimy polegać na kaprysach twojej pamięci. Podwiń rękaw.

Sokrates zrobił, co mu kazano, i Virtue zbliżyła się do niego ze strzykawką w ręce.

— Cholera, masz tam chyba o wiele więcej niż dwa centymetry — zauważył Cain.

— Nie wstrzyknę mu wszystkiego — odpowiedziała. — Po prostu wrzucimy strzykawkę do atomizera, kiedy skończymy.

— Terwillinger — rozkazał Cain — podejdź do niego i chwyć go, żeby się nie mógł ruszyć, na wypadek, gdyby zmienił zdanie.

Terwillinger popatrzył niechętnie na Sokratesa.

— Dlaczego nie zrobisz tego sam? — zasugerował karciarz.

— Trzymam broń — wyjaśnił Cain. — A ty masz robić to, co ci mówię. Dalej. Przecież cię nie kopnie.

Terwillinger bardzo ostrożnie przykuśtykał do Sokratesa.

— Słyszałem o niatholu, ale nigdy go nie używałem — zauważył Cain. — My, łowcy, nie szukamy zwykle zwierzeń. Ile czasu minie, zanim zacznie działać?

— Jakies dziewięćdziesiąt sekund — odparła Virtue. — Może trochę dłużej. — Zmusiła Terwillingera, żeby trzy-

mał ramię Sokratesa w bezruchu, kłuła go parę razy, aż znalazła żyłę, po czym zaczęła wstrzykiwać niathol.

Potem wszystko rozegrało się tak szybko, że nawet Cain nie był pewien dokładnego przebiegu wypadków.

Sokrates obojętnie wyjął wolną ręką cygaro z ust i nagle zgasił je na prawym nadgarstku Virtue. Dziewczyna krzyknęła i odskoczyła, wypuszczając z ręki strzykawkę, która pozostała wbita w jego ramię. Terwillinger zareagował natychmiast, zadając Sokratesowi cios, który wylądował na szyi tamtego, ale siła rozpędu odrzuciła ciało karciarza między Caina i Sokratesa.

— Wyrwij mu ją! — wrzasnął Cain, ale zanim skończył mówić, zanim Terwillinger upadł na podłogę i zanim Virtue zdołała zatrzymać Sokratesa, ten wepchnął cały tłoczek strzykawki w swoje ramię.

— Przegrałeś, Sebastianie — rzucił z ironicznym uśmiechem, kiedy Cain stwierdziwszy, co się stało, opuścił broń.

— Ty głupi gnoju! — wrzasnęła Virtue. — Za minutę będziesz martwy.

— Przynajmniej nie będę cierpieł — powiedział Sokrates, a jego słowa zaczęły zmieniać się w bełkot.

— No cóż, jak już spotkasz swojego Boga twarzą w twarz, mam nadzieję, że ci wybaczy — rzekł Cain.

— Bądź spokojny, Sebastianie. — Sokrates zaśmiał się pusto. — Mam go w kieszeni.

Nagle upadł do przodu.

— Cholera! — warknęła Virtue. — Kto, do diabła, mógł przypuszczać, że zachowa się w ten sposób? — Podniosła jego jedną powiekę, patrzyła przez kilka sekund na źrenicę i oceniła:

— Jest gotów.

— Naprawdę nie żyje? — spytał Terwillinger.

Virtue spojrzała na niego pogardliwie i nie udzieliła odpowiedzi.

— Straszne dzięki — powiedział gorzko Cain.

— Nie bądź taki mądry! — odpaliła. — Jeśli sądziłeś, że to zrobi, mogłeś mnie uprzedzić.

— Trzeba było zrobić tak, jak mówiłem.

— Twój sposób także by nic nie dał. Czy nie rozumiesz, że wolałby znieść wszystko, co mógłbyś mu zaaplikować, niż pozwolić, by Santiago dowiedział się, że go zdradził? — Przerwała i popatrzyła z zadumą na Sokratesa. — Doprawdy, kim jest ten człowiek, że wyzwała w ludziach taki strach?

— Daj sobie lepiej spokój, zwróć zaliczkę i nie szukaj go dłużej — zauważył Cain.

— Większość forsy już wydałam — odparła. — Nie mogę wrócić bez programu. Oprócz tego strawiłam na ten projekt rok życia.

— Są ludzie, którzy od trzydziestu lat szukają Santiago — zauważył Cain.

— Większość z nich nigdy nie doszła tak daleko — Virtue wzruszyła ramionami. — A dziennikarka, która wreszcie dostarczy taśmy lub holografie Santiago, będzie tak samo słynna jak on sam. Cały jeden pokój zajmą jej nagrody, a poza tym będzie mogła wybierać tematy i stawiać warunki. — Po chwili dodała: — Warto chyba się trochę wysilić.

— Baw się dobrze.

— Jeszcze nie przegrałam — odparła z determinacją. — Mam inne informacje.

— Tak? — odpowiedział, nagle zainteresowany.

Skinęła głową.

— Więc jak, panie Cain?

— Co?

— Powiem panu, co wiem, jeśli pan mi powie to, co pan wie — oznajmiła z szerokim uśmiechem.

Wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie.

— Ale jest warunek.

— Jaki?

— Będziemy w kontakcie i każde z nas będzie przekazywało drugiemu stałe raporty na temat postępów w poszukiwaniach.

— W jaki sposób?

Nagłym ruchem wyciągnęła kciuk w stronę Terwillingera.

— Użyjmy jego. I tak nie nadaje się do niczego innego, prawda?

— Niech będzie przekłeta ta chwila! — krzyknął rozpaczliwie karciarz.

— Nie ma mowy — Cain pokręcił głową. — Musiałby mieć do dyspozycji statek.

— Niech weźmie twój — zaproponowała Virtue. — Nie będziemy tak daleko od siebie.

— Dlaczego myślisz, że po prostu nim nie zwieje?

— Czy przestaniecie mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było? — zapytał z rozdrażnieniem Terwillinger.

— Zamknij się — rzuciła Virtue. Obróciła się znowu do Caina. — Zaproponuj mu dziesięć procent od nagrody. Wystarczy, by kupić lojalność tego małego gnojka.

— Dotąd nie przyrzekłem mu ani grosza. Dlaczego mam to zmieniać?

— Ponieważ teraz nie masz żadnych informacji.

Cain na długą chwilę opuścił głowę w zamyśleniu, potem spojrzął w górę.



— Jeżeli twoje wskazówki są takie same jak moje, nie będzie żadnej umowy.

— Jasne — odparła.

— Czyja nie mam tu nic do powiedzenia? — warknął Terwillinger.

— Dziesięć procent od dwudziestu milionów kredytów nie wystarczy, abyś robił to, co ci się każe? — spytała Virtue.

Karciarz najpierw obrzucił ją piorunującym spojrzeniem, potem dotarło do niego, co się mu oferuje i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Wchodzę w to — oznajmił.

— Wcale ci się nie dziwię — mruknęła dziennikarka. — No więc, ustalone. Teraz, jak sądzę, należy zrobić coś z ciałem.

— Zajmę się tym — powiedział Cain.

— Po wizycie w lokalnym urzędzie pocztowym, kiedy zobaczysz, czy są na niego jakieś listy gończe? — zapytała.

— Właśnie.

— Myślę, że powinnam dostać połowę — mówiła dalej. — Zabił go mój niathol.

— Jesteś dziennikarką czy łowcą nagród? — spytał szyderczo Cain.

— Dlaczego nie mielibyśmy uznać, że jestem źle opłacaną dziennikarką i podzielić się?

Popatrzył na nią i w końcu skinął głową na zgodę.

— W porządku. Jeżeli wyznaczono za niego jakąś nagrodę, dostaniesz połowę.

— Wiesz — zauważył Terwillinger, który bacznie się jej przyglądał — byłabyś piekielnie atrakcyjna, gdybyś tylko troszeczkę się postarała.

— Niestety, nie mogę o tobie powiedzieć tego samego — odszczeknęła, koncentrując się z powrotem na Cainie. — W porządku, Czyżyk, jesteś gotowy porównać fakty?

— Tak — odpowiedział.

— Mam wrażenie, że będzie to długi i sympatyczny związek — zauważyła Virtue.

— Wystarczy, jeśli po prostu przyniesie korzyści — odparł Cain.

— To się rozumie samo przez się.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— To wcale nie jest takie pewne.

Virtue wyciągnęła rękę.

— Partnerzy?

— Partnerzy.

Uścisnęli sobie ręce ponad ciałem nieodżałowanego Whittakera Drama.

## Część 2

### KSIĘGA KRÓLOWEJ CNOTKI

#### 6.

*Wie, czego chce i gdy chce, to ma,  
Rozpusta nie wzbudza w niej skruchy,  
Pije jak szewc i klnie jak drwał,  
Królowa Cnotka — zwycięstwa szła.*

O Virtue MacKenzie można było powiedzieć wiele dobrego i złego, ale z pewnością nie to, że była cnotliwa. Czarny Orfeusz znowu sobie zażartował.

Widział ją tylko raz, w systemie Delphini — blisko tak zawsze pociągających go światów Demokracji — i zrobiła na nim prawdziwe wrażenie. Piła wtedy i grała w karty, i nawet nie była świadoma jego obecności. Kiedy zarzuciła jakiegoś koledze dziennikarzowi szulerstwo i poparła swoje oskarżenie parą szybkich kopniaków w pachwinę, a potem jeszcze roztrzaskała o czubek jego głowy butelkę whisky, natychmiast zagwarantowała sobie takim zachowaniem parę strof w wiecznie kontynuowanym poemacie Orfeusza.

Prawdę powiedziawszy, przez kilka pierwszych miesięcy nie wiedziała nawet, że się w nim znalazła, a gdy się w końcu dowiedziała, wściekła się straszliwie na pseudonim, którym obdarzył ją bard. Po paru tygodniach jednak ochłonęła i uzna-

ła, że obecność w pieśni Czarnego Orfeusza jest opłacalna i może otworzyć jej niejedne drzwi na Granicy.

Tak się rzeczywiście stało. Musiała poczekać, aż zwolennicy i interpretatorzy barda domyślą się, że Virtue MacKenzie i Królowa Cnotka to jedna i ta sama kobieta, i zaczną szerzyć tę informację na Wewnętrznej Granicy. Kiedy tylko wiadomość się rozeszła, udało jej się dzięki temu wejść w parę dotąd niedostępnych miejsc na Terrazane, gdzie poszukiwała Sokratesa i pomogło uzyskać od jakiegoś kupca na Jeffersonie III jego adres.

Sława niewiele jej dała na Pegazie, ale tu była Demokracja, a nie Granica, i Czarnego Orfeusza znano tutaj równie słabo jak wyrzutek i wykolejeńców, o których śpiewał. Virtue i Cain już trzy tygodnie temu wymienili informacje w mieszkaniu Sokratesa (każde zachowało dla siebie parę rodzynków, w każdym razie Virtue zakładała, że Cain zatrzymał sobie pewne informacje — skoro ona tak zrobiła) i zdecydowali, że Cain jest lepiej przygotowany, aby tropić zawodową zabójczynię taką jak Altair z Altair, podczas gdy Virtue swobodniej niż on porusza się po Demokracji i powinna zacząć łowy na starszych, sławniejszych światach.

Spędziła niemal cały tydzień, poszukując Salvatore'a Acosty: jednego z czterech spekulantów, którzy dostarczali towary Sargassowej Róży i dowiedziała się własnymi sposobami, że został zamordowany na Pegazie dwa miesiące wcześniej.

Pegaz odkryto jako światek górniczy, bogaty w złoto i pierwiastki rozszczepialne, a teraz stał się gęsto zaludnionym członkiem Demokracji. Nazwę zawdzięczał dominującym na planecie trawożercom, małym koniopodobnym zwierzętom, które tuż za kłębem miały parę dziwnych narośli. Nigdy nie używały ich do niczego innego niż utrzymywanie równowagi,

ale wypukłości te wielce przypominały szczątkowe skrzydła i dlatego ssakom nadano miano pegazów.

Sama planeta była jednym z tych osobliwych małych światków, które wydawały się podobne do Ziemi, ale tak naprawdę nie nadawały się do zamieszkania. Powietrze zawierało tlen, azot i różne inne gazy, których potrzebują ludzie, ale istniały one w nieodpowiednich proporcjach i dwudziestominutowe wystawienie się na tę atmosferę pozbawiało człowieka tchu, powodując zadyszkę; godzina mogła być zgubna dla osób z problemami oddechowymi, a nawet najzdrowsi mieszkańcy nie mogli oddychać tym powietrzem dłużej niż dwie godziny.

Jednak z jakiegoś powodu planeta stała się bardzo pożądanym miejscem dla posiadaczy nieruchomości. Być może dzięki wspaniałym krajobrazom, ponieważ Pegaz był przepięknym światem z pokrytymi śniegiem górami i dosłownie tysiącami wijących się rzek. Kwitła tu złoto-brązowa roślinność, która sprawiała, iż krajobraz nieustannie wyglądał rześko i jesiennie. Jednak bardziej prawdopodobne, że swą popularność planeta zawdzięczała położeniu — znajdowała się między górniczymi światami Spicy a wielkim centrum finansowym na Dedalu II. Pierwsi górnicy żyli pod ziemią, sztucznie wzbogacając powietrze, którym oddychali i jednocześnie chroniąc się przed niezwykle chłodnymi nocami. Odkąd światek zaczął przyciągać tłumy nowych mieszkańców, rozpoczęło się architektoniczne szaleństwo — najpierw zbudowano jedno ukryte pod kopułą miasto, potem powstało pięć innych, a w końcu siódme, które było prawie tak duże jak pierwszych sześć razem wziętych. Wszystkie nosiły greckie nazwy. Najnowsze i największe było miasto Hektor, nazwane tak na cześć

mitycznego wojownika, którego lokalni historycy fałszywie uważali za jeźdźca albo trenera skrzydlatych koników.

Virtue MacKenzie dotarła na Pegaza, wynajęła pokój hotelowy w Hektorze, po czym od razu skontaktowała się z Leanderem Smythem, reporterem, który od dawna był jej dłużny przysługę i teraz bardzo niechętnie pozwolił jej dotrzeć poprzez komputer w jej pokoju do nie opracowanych jeszcze danych, które posiadał na temat morderstwa Acosty. Informacji nie było wiele: Acosta miał na sumieniu długi rejestr nieczystych sprawek i ponad miarę wrogów. Poderżnięto mu gardło, kiedy opuszczał „Perłę Morza” — restaurację z wyszynkiem, dostarczającą rozrywki mniej zdrowym elementom pegazyjskiej społeczności — i natychmiast zmarł. Było to przypuszczalnie morderstwo dokonane przez podziemie, ponieważ Acosta co najmniej od dziesięciu lat nie utrzymywał osobistych kontaktów z żadnymi tak zwanymi „uczciwymi ludźmi”.

Potem Virtue poprosiła o przewodnik po sklepach i restauracjach, który posiadał każdy hotel, ale nie zdołała znaleźć żadnej notatki na temat „Perły Morza”, co było najwyraźniej oznaką, że ten lokalny pub czy restauracja miał swoją stałą klientelę i ani potrzebował, ani pragnął większej liczby gości. Virtue włączyła następnie wideoplan miasta i nastawiła go na rejon wokół restauracji. Wydawał się tak samo lśniący, błyszczący i dobrze utrzymany jak pozostała część Hektora, ale zauważyła, że policjanci patrolują ten teren parami, co wzmocniło tylko jej wstępny wniosek, że odwiedzenie go w pojedynkę i zadawanie niedwuznacznych pytań było zbyt ryzykowne.

Pięć minut później połączyła się z lokalną siedzibą działu prasowego policji i szybko dowiedziała się, że władze nie są skłonne udzielać jakichkolwiek informacji dziennikarzowi

s poza ich świata. Natychmiast zadzwoniła jeszcze raz, poprosiła o połączenie z działem zabójstw, przedstawiła się jako zasmucona przyrodnia siostra Acosty i zapytała, jakie zrobiono postępy w sprawie aresztowania mordercy brata. Odpowiedź była zupełnie jasna: nie było absolutnie żadnych postępów i nic nie zapowiadało, że jakieś nastąpią. Z pogardliwego sposobu, w jaki mówiono o Acoście wyraźnie odczuła, że gdyby policja w końcu znalazła mordercę, najchętniej uściskałaby mu rękę i może nawet przypięto by facetowi medal.

W końcu kazała komputerowi sprawdzić, czy w jej skrytce pocztowej — prostym terminalu na głównej poczcie miasta — nie ma jakiejś wiadomości od Caina albo Terwillingera, ale okazało się, że nic na nią nie czeka. Zdecydowała, iż przed wyjazdem do Khalythorpe'a, oddychającego metanem przemytnika, który był następny na liście Sargassowej Róży, spędzi jeszcze trochę czasu tutaj, badając okoliczności zamordowania Acosty.

Spytała komputer, jakie poniosła dotąd wydatki, dowiedziała się, że ma do zapłacenia za prawa użytkowania i dostępu prawie trzysta kredytów i nakazała maszynie, aby ostrzegła ją, kiedy dojdzie do poziomu pięćsetkredytowego.

Potem otworzyła butelkę camoriańskiej wódki, napełniła kubek z łazienki i krzywiąc się, jakby była to oliwa, piła małymi łykami alkohol i obmyślała następny krok. Postanowiła dostać się do głównego komputera lokalnej biblioteki. Wystukała nazwisko Acosty i kazała maszynie przejrzeć związane z nim wiadomości z ostatnich pięciu lat. Rejestr był zupełnie pusty. Później spróbowała znaleźć jakieś podobieństwo między jego morderstwem i innymi zabójstwami, które miały miejsce w tym samym rejonie i odkryła, że z trzydziestu dziewięciu zbrodni popełnionych w Hektorze podczas ubiegłego roku,

trzydzieści dwie zdarzyły się w odległości nie większej niż miła od miejsca, gdzie znaleziony został Acosta, a dziewiętnaście z nich popełniono przy użyciu noża. Zupełnie możliwe — wynioskowała ze smutkiem — że mężczyzna zjawił się po prostu w złym miejscu o złej porze. W każdym razie nie było powodu zakładać, że przyczyną jego śmierci były kontakty z Santiago.

Z jednej ślepej uliczki trafiła w następną i w końcu stanęła przed alternatywą: zacząć wypytywać ludzi, którzy znali Acostę albo poddać się i wyruszyć na poszukiwanie człowieka oddychającego metanem. Podjęła decyzję i powiedziała komputerowi, żeby połączył ją z biurem Leandera Smythe'a.

Chwilę później na małym ekranie, tuż nad głośnikiem, pojawił się korpulentny mężczyzna w średnim wieku z lekko nierównym przeszczepem włosów.

— Wiem, że pozałuję tego pytania — powiedział, kiedy ją rozpoznał — ale co mogę dla ciebie zrobić?

— Mam twarde orzechy do zgryzienia, Leanderze — zaczęła.

— Kogo próbujesz nabrać, Virtue? — odparł Smythe. — Jesteś na tej cholernej planecie dopiero od czterech godzin.

— Wystarczająco długo, aby stwierdzić, że normalnymi kanałami niczego się nie dowiem. — Umilkła. — Nienawidzę prosić o przysługę — dodała nieszczercze — ale potrzebuję twojej pomocy.

— Zainkasowałaś już swoją przysługę tego ranka — przypomniał jej.

Uśmiechnęła się.

— Jesteś mi dłużny coś więcej, Leanderze. A może wolisz, żebym odświeżyła ci pamięć?

— Nie! — krzyknął szybko. — Nie przez telefon.



— W takim razie zaproś mnie na obiad i porozmawiamy w cztery oczy.

— Jestem zajęty.

— W porządku. — Wzruszyła ramionami. — Więc będę musiała po prostu znaleźć kogoś innego z twojej sieci, kto zrobi dla mnie ten drobiazg w zamian za interesującą historię o pewnym tutejszym dziennikarzu.

Wyciągnęła rękę w kierunku wideofonu, żeby przerwać połączenie.

— Poczekaj! — wtrącił natarczywie.

Cofnęła rękę i triumfalnie wyszczerzyła zęby.

— Na dachu mojego budynku jest restauracja — powiedziała. — Spotkajmy się tam za pół godziny.

— Stawiasz — stwierdziła. — Jestem tylko biedną, pracującą dziewczyną.

Rozłączyła się, sprawdziła, że za użycie komputera do jej hotelowego rachunku zostaną dodane 493 kredyty, poprosiła bez większej nadziei o dziesięcioprocentową zniżkę dziennikarską, wsiadła do windy, zjechała na czwarte piętro hotelu, wyszła na pomost i złapała Wiszącą Tubę — co w terminologii mieszkańców oznaczało nadziemną kolej jednoszynową — i udała się do budynku, w którym znajdowało się biuro Smythe'a. W trakcie drogi zauważyła, że na zewnątrz, poza kopułą panuje dość silna burza z piorunami i że południowe niebo jest niemal czarne. Zastanowiła się odruchowo, gdzie przed taką pogodą kryją się mali trawożercy — od których wzięła nazwę planeta — ponieważ w drodze z portu kosmicznego do miasta nie widziała dla nich zbyt wielu naturalnych kryjówek.

Przybyła do budynku Smythe'a i pokazała strażnikowi przy drzwiach swoją kartę dziennikarza. Mężczyzna prześli-

znał po niej pobieżnie wzrokiem, skinął głową, przepuścił ją do korytarza i wskazał windę, którą dostała się na dach.

Restauracja mogła wywrzeć wrażenie na każdym, kto urodził się na Granicy, ale Virtue uznała, że wszystko tu jest jednak trochę przesadne: stoliki były zbyt małe, a wszystkie meble zbyt ozdobne i kręciło się tam zbyt wielu bardzo pewnych siebie kelnerów. Ponieważ Smythe jeszcze nie przyszedł, dowiedziała się, który stolik zarezerwował, i pozwoliła, aby *maitre d'hotel* zaprowadził ją na miejsce, po czym zamówiła alkoholowy koktajl z baru.

Smythe zjawił się jakieś pięć minut później, podszedł od razu do lady, kupił sobie drinka, a potem dosiadł się do niej.

— Dobrze cię znowu widzieć po tych wszystkich latach, Virtue — oznajmił, witając ją sztucznym uśmiechem.

— Jak miło, że to mówisz — odparła cierpko. — I jak dobrze kłamiesz.

— Zdobądźmy się przynajmniej na pozór uprzejmości — stwierdził niespieszony. — W każdym razie do czasu, aż nie zjemy obiadu.

— Niech będzie.

Wziął menu, zdawał się studiować je przez chwilę, polecił Virtue jakieś danie, skinął na kelnera i zamówił lunch dla obójga.

— Dużo czasu upłynęło — zauważył, kiedy kelner odszedł w kierunku kuchni. — Ile to będzie: pięć lat?

— Sześć.

— Widywałem twoje nazwisko w mediach. Ten kawałek, który zrobiłaś o wojnie z Borgawami był całkiem niezły.

— Szkaradne stwory, prawda? — rzuciła.

— Jak ci się udało wylądować z pierwszą falą inwazji?  
— spytał. — To jest zwykle zarezerwowane dla bardziej zasłużonych korespondentów.

— Przekupiłam pewnego miłego młodego majora.

— Jasne — przytaknął z odcieniem goryczy. — Zawsze wiedziałaś, jak dostać to, czego chcesz.

— Nadal wiem — odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Przez chwilę wytrzymywał jej spojrzenie, potem zaniepokojony odwrócił wzrok.

— Czy poślubiłaś w końcu tego faceta, z którym żyłaś?

— Żyłam z wieloma mężczyznami — odparowała. — Nigdy nie wyszłam za żadnego z nich.

— Szkoda. — Wyjął piękną papierośnicę i zaproponował dziewczynie papierosa.

— Nie, dziękuję.

— Są bardzo dobre — obruszył się, wyciągając jednego i zapalając go. — Sprowadzane z systemu Kakkab Kastu.

— Wolę własne — stwierdziła, wyjmując charakterystyczne pudełko.

— Czy nie uważasz, że są trochę cierpkie? — spytał.

— Palę je, odkąd jestem na Granicy — odrzekła Virtue. — Po jakimś czasie człowiek zaczyna się do nich przyzwyczajać.

— A od kiedy jesteś na Granicy?

— Już prawie rok.

— I co robisz?

— To samo, co teraz na Pegazie: nie ustaję w pogoni za tematem. — Po chwili dodała: — Znalazłam też bardzo interesującego partnera.

— Myślałem, że zawsze pracujesz sama — zauważył Smythe.

— Tym razem potrzebowałam pomocy.

— Czy to jest ktoś, kogo znam?

— Chyba nie — zaprzeczyła Virtue. — Słyszałeś kiedyś o Czyżyku?

Potrząsnął głową.

— Czy to jest jej pseudo?

— To facet.

— Nie widziałem nigdy żadnych jego reportaży.

— To mnie nie dziwi. On jest łowcą nagród.

— Cholera, nad jaką historią pracujesz?

— Jeśli ci powiem, skończymy wymianę żartów i zaczniemy mówić o interesach.

Poruszył się niezadowolony, ale potem kiwnął głową na zgodę.

— Musimy do tego dojść prędzej czy później. Sądzę, że powinniśmy jak najszybciej mieć to za sobą. — Zamilkł. — Sal-98 vatore Acosta był drobnym przemytnikiem, który umarł bez grosza przy duszy. Nie był wart niczego więcej niż pięciosekundowej notatki pośmiertnej. Kogo naprawdę szukasz?

— Santiago.

Roześmiał się.

— Ty i dziesięć tysięcy innych dziennikarzy.

— Ja to co innego — stwierdziła poważnie Virtue. — Ja go dostanę.

— Życzę ci szczęścia.

— Nie potrzebuję szczęścia — stwierdziła. — Potrzebuję informacji.

— Wiesz o Acoście prawdopodobnie więcej niż ja.

— Zapomnij o Acoście — rzuciła Virtue. — Z niego już nic się nie da wyciągnąć. Potrzebuję czegoś innego.

— Na przykład czego?

— Kogoś, kto powie mi, gdzie jest Santiago.

Smythe znowu się zaśmiał.

— Dlaczego nie poprosisz o jakiś milion kredytów, jak już przy tym jesteś? Na jedno wyjdzie.

— Ta osoba nie musi wiedzieć, gdzie jest siedziba Santiago? Musi tylko wskazać mi właściwy kierunek.

— Czemu, do cholery, myślisz, że ktoś na Pegazie ma jakieś kontakty z Santiago?

— Ponieważ, z całym należnym szacunkiem dla twojego pięknego miasta, nie jest to przecież kurort wypoczynkowy. Acosta przebywał tutaj, ponieważ dostarczał jakieś towary, pieniądze albo jeszcze coś innego, na czym można zbić kasę. Prawdopodobnie nie robił interesów bezpośrednio z tym, kogo szukam, ale to nie znaczy, że twoja pomoc mi się nie przyda.

— Chcesz mi powiedzieć, że Acosta pracował dla Santiago — spytał Smythe.

— Nie bezpośrednio. Wątpię, czy się kiedykolwiek spotkali. Acosta po prostu przekazywał kradzione rzeczy albo może pieniądze... Chcę od ciebie nazwiska największego spekulanta w Hektorze.

— Harrison Brett — odparł Smythe bez wahania.

— Ma kryminalną przeszłość?

— Tak.

— Opowiedz mi o nim.

— Był ze trzydzieści razy zatrzymany.

— Skazano go?

Smythe wyglądał na zaniepokojonego.

— Dwa razy.

— Wyroki w zawieszeniu?

Skinął głową.

— Kto go kryje? — spytała szybko.

Smythe wzruszył ramionami.

— Wszyscy.

Uśmiechnęła się.

— Daj spokój, Leanderze. Rozmawiasz z Virtue, a nie z jakimś jełopem u siebie w studiu. Wiesz, czego chcę.

— Dlaczego po prostu nie przyciśniesz Bretta? — spytał tonem, który sugerował, że zna odpowiedź równie dobrze jak ona.

— Jak przycisnąć faceta, który wie, że nie może pójść do więzienia? — odparła. — Proszę o nazwisko.

— Nie znam żadnego innego nazwiska — zastrzegł się.

— To nie jest mądre, Leanderze — zauważyła złowieszczo. — Wcale nie jest mądre.

— Naprawdę nie znam — odpowiedział, broniąc się.

— Ja jednak znam inne nazwisko — stwierdziła. — Nazwisko, które znam, to Leander Smythe. Nawet znam parę faktów, które się wiążą z tym nazwiskiem. Chcesz je usłyszeć?

— Nie — oznajmił, wypuszczając gwałtownie dym z papierosa.

— To są interesujące szczegóły — kontynuowała. — Wszystkie dotyczą tego, jak sfałszował dowody przy swojej pierwszej dużej historii i pomógł wysłać pewnego niewinnego człowieka do więzienia na osiem lat.

— Zataiłaś to, na litość boską! — syknął. — Jeżeli wiedziałaś, że był niewinny, dlaczego nie ujawniłaś tego, kiedy miałaś okazję?

— Och, facet zasługiwał na to, żeby iść do więzienia — powiedziała figlarnie. — Jak wieść niesie, to był niezły drań i policja próbowała od lat go przyskrzynić. — Popatrzyła na niego z powagą. — Ale fakt faktem, że nie był winny czynów, o które go oskarżono na podstawie twoich informacji.

— W takim razie powinnaś była powiedzieć wtedy coś na ten temat.

— Tak też zrobiłam. — Dopija drinka. — Powiedziałam ci, że jesteś mi dłużny przysługę w zamian za moje milczenie i że pewnego dnia zjawię się, aby o nią poprosić.

— Wiesz? — poskarżył się żałośnie. — Nigdy nie zaszedłem tak daleko jak ty. Zawsze byłeś zbyt ambitna, zawsze spiskowałaś i knułaś.

— Dlaczego miałabym temu zaprzeczać? — powiedziała cicho.

— Dodam tylko, że ułatwili mi to właśnie tacy ludzie jak ty.

— Co zrobisz, kiedy już się w końcu wdrapiesz na szczyt i nie znajdziesz więcej ciał, które trzeba podeptać?

— Będę się dobrze bawić — odparowała. — I będę chronić swoją osobę o niebo lepiej, niż większość z was umiała.

— Ile różnych innych przysług nazbierało ci się przez te lata? — spytał z goryczą.

— Kilka.

— A ilu ludzi szantażowałaś za ich pomocą?

— Nie szantażuję cię, Leanderze — odcięła się Virtue. — Mam inne wskazówki. Jeśli nie chcesz oddać mi przysługi, nie musisz. Po prostu zapomnij, że o to prosiłam.

— Mówisz poważnie?

— Najzupełniej. — Przerwała. — Oczywiście, będę musiała złożyć wizytę twoim przełożonym. Mimo wszystko, jestem dziennikarką, a to, co zrobiłeś, trzeba ujawnić, nawet po tych wszystkich latach. — Uśmiechnęła się. — Nie martw się: nie pójdziesz do więzienia, ale lepiej rozejrzyj się za jakimś nowym zajęciem.

— Czy chociaż raz zrobiłaś coś, nie myśląc o korzyściach?

— spytał.

— Tak.

— Ile miałaś wtedy lat? Sześć?

— Mniej. Potem nagle zauważyłam, że nic z tego nie mam.

— Kogo twój łowca nagród musiał dla ciebie zabić, zanim zdecydowałaś się zacząć z nim współdziałać?

— Wyobraź sobie, że musiał zrezygnować z zabicia kogoś — oznajmiła Virtue. — Ale odbiegamy od tematu. Potrzebne mi nazwisko.

Smythe nerwowo zapalił kolejnego papierosa, mimo że nie skończył jeszcze pierwszego.

— Musisz zrozumieć. Nie mogą mnie z tym skojarzyć.

— Nie skojarzą — zapewniła go, pochylając się z przejęciem do przodu. — Nazwisko.

— Czy to będzie wszystko? — zapytał. — Nigdy więcej nie poruszysz już tej przeklętej historii?

— Przyrzekam.

Westchnął.

— Dimitri Sokol.

— Czy jest potężny?



— Bardzo. To multimilioner, dyrektor połowy tuzina spółek, piastuje też parę politycznych stanowisk i fama głosi, że ubiega się o ambasadorstwo na Lodinie XI.

— Coraz lepiej — powiedziała z drapieżnym, szerokim uśmiechem. — Co masz na niego?

— Oficjalnie nic.

— Daj spokój, Leanderze. Po prostu wywal z siebie wszystko, a potem zapomnij, że mi cokolwiek powiedziałeś. Kobiety?

Smythe potrząsnął głową.

— Odpada.

— Faceci? Mali chłopcy? Narkotyki?

— Tylko pieniądze. Finansuje operacje przemytnicze w systemie Binder, chociaż myślę, że musiałabyś żyć kilka razy, żeby przebić się przez sieć jego korporacji. Mam wrażenie, że był luźno zaangażowany w parę morderstw sześć lat temu — bardzo luźno — i wiem, że daje i bierze łapówki. W każdym razie, swego czasu zdecydował, że chce zostać szanowanym obywatelem i wyczyścił swój wizerunek z ostatnich trzech lat.

— A teraz chce zostać ambasadorem?

— Tak mi mówiono.

— W porządku, Leanderze: zacznij rzucać nazwiskami i datami, a potem może każde z nas pójdzie w swoją stronę.

— Naprawdę nie znam żadnych pewnych nazwisk ani dat. To wszystko plotki i zbiegi okoliczności.

— Wiem. No to przypatrzmy się im.

— Do diabła! Żałuję, że nie mogę dać ci jakiejś pigułki samobójczej albo czegoś takiego, po prostu na wypadek, jeśli ci coś nie wyjdzie.

— Nie wzięłabym jej.

— Wiem — mruknął.

Przyniesiono obiad, a kiedy jedli — ona żarłocznie, on zupełnie apatycznie — Smythe przedstawił wszelkie detale, jakie znał na temat machlojek Sokola. Virtue nie robiła żadnych notatek, ale wiedział, że byłaby w stanie wyrecytować mu słowo po słowie, choćby od ich rozmowy minął miesiąc.

— Spróbuję zmontować spotkanie z Sokolem na jutrzejsze popołudnie — oznajmiła Virtue, kiedy skończyli deser i sączyli poobiednie drinki.

— Dlaczego sądzisz, że zobaczy się z tobą? — spytał Smythe.

— Odmówiłbyś udzielenia wywiadu dziennikarzowi z Delurosa, spodziewając się w najbliższej przyszłości ambasadorstwa? — spytała, chichocząc. — Niemożliwe.

— Od kiedy jesteś z Delurosa?

— Od dzisiejszego poranka.

— On cię sprawdzi, zanim się z tobą spotka.

— Wiem — stwierdziła Virtue. — Dlatego musisz wpisać moje nowe dane do komputera twojej sieci. To jest pierwsze miejsce, na które spojrzy, jeśli będzie miał co do mnie jakieś wątpliwości.

— Gówno muszę! — wybuchnął, ale szybko obniżył głos, kiedy stwierdził, że przyciąga uwagę innych gości. — Tego nie było w naszej umowie — dodał ciszej.

— To prawda, nie będę straszyć cię swoją... ach, dziennikarską nieostrożnością ponownie, dałam ci słowo i mam zamiar go dotrzymać.

— A więc sprawa załatwiona — rzekł trwardo. — Nie załaduję do komputera fałszywych danych.

— To jest twój wybór — zauważyła. — Przypuszczam, że będę musiała powiedzieć Sokolowi, żeby sam do ciebie zadzwonił i spytał. — Wzruszyła ramionami. — Zawsze

istnieje szansa, że się nie pokapuje, kto dał mi materiał przeciwko niemu.

— Zrobiłabyś to, prawda? — powiedział ze złością. — Naprawdę byś to zrobiła!

— Nie powstrzymasz mnie przed znalezieniem Santiago, ani ty, ani nikt inny. Stawiam na to całą moją zawodową karierę.

— Może znajdzie sobie inny zawód? Załóż rodzinę albo coś takiego, zamiast szantażować swoich starych przyjaciół. Jezu, ale mi żal tego twojego partnera!

— On umie całkiem dobrze zadbać o siebie. Myślę, że powinieneś skierować swoje współczucie raczej na taką słodką, niewinną dziewczynę jak ja.

— Niewinną? — zapytał z oburzeniem.

— Pamiętaj, żeby zmienić moje dane, dobra? — rzuciła słodko, odsuwając do tyłu krzesło i wstając.

— Tak, tak — zamruczał.

— I jeszcze jedna rzecz, Leanderze.

— Jaką jeszcze malutką przysługę mogę ci oddać? — spytał. — Wydrzeć sobie gałki oczne, bo chcesz sobie nimi pograć w kulki?

— Może innym razem. — Nagle spoważniała. — Jestem pewna, że pójdzie gładko, ale na wypadek, gdybym nie wróciła albo jeśli nie dam ci znać, że ze mną wszystko w porządku, chcę, żebyś skontaktował się z Sebastianem Cainem.

— A kto to, do cholery, jest?

— Czyżyk. — Dała mu numer rejestracyjny statku Caina.

— Powinien być w systemie Altair za dzień lub dwa.

— Jaką wiadomość mam mu przekazać?

— Myślałam, że to się rozumie samo przez się — odpowiedziała. — Może nikt nie będzie opłakiwał mojej śmierci, ale na pewno, do cholery, ktoś mnie pomści.

### 7.

Ponieważ Czarny Orfeusz nigdy nie wracał do zaludnionych światów Demokracji, a Dimitri Sokol nigdy ich nie opuszczał, było zupełnie naturalne, że bard nie obdarzył Sokola żadną strofą ani przydomkiem. Nigdy się nie spotkali, nigdy ich drogi się nie przecięły, nawet nigdy jeden nie dowiedział się o istnieniu drugiego. I chyba dobrze się stało: Czarny Orfeusz zapewne nie polubiłby przedsiębiorcy. Orfeusz kochał pozabawionych zahamowań, barwnych mężczyzn i kobiety Granicy, a Sokol był chłodny, wyrachowany i opanowany. Czarny Orfeusz malował swoje obrazy w barwach ostrych; Dimitri Sokol był cały pastelowy.

Uważał się za człowieka cywilizowanego i jako taki pozbliżał przestępstwom popełnianym w sposób cywilizowany. Kiedy jakiś człowiek musiał zostać zabity, ręce milionera chwyciły za książeczkę czekową, ale nigdy za broń. Jeśli przygotowywał jakiś przemyt czy nielegalne spekulacje, angażował tak wiele spółek holdingowych i pośredników między sobą i najętymi ludźmi, że efekt był taki, jak gdyby sam znajdował się na Delurosie VIII. Łaknął powszechnego szacunku, czym Czarny Orfeusz pogardzał, podobnie jak gardził rozgłosem, chociaż poświęcił całe swoje życie na unieśmiertelnianie innych.

Gdyby Orfeusz znał Sokola, uważałby go za hipokrytę i byłaby to rzeczywiście właściwa ocena. Inna rzecz, że Sokol był tak przekonywający grając porządnego obywatela, iż ludzie naprawdę go szanowali. Nawet Bard Wewnętrznej Granicy musiałyby to docenić.

Miał letnie rezydencje na Seabright i na Poluksie IV oraz sieć biur — których nie odwiedzał od lat — na Canphorze VII. Każdego roku przekazywał wielkie darowizny na cele dobroczynne, a ostatnio dał jeszcze dodatkowo pieniądze na szpital w Pallas Atena — najstarszym z siedmiu zamkniętych miast Pegaza. Był mecenasem sztuk i zawsze można było liczyć na to, że wspomocze hojnymi datkami lokalną orkiestrę symfoniczną czy balet; nie dotował już opery, ale że było powszechnie wiadomo, iż nie spodobał mu się romans jego córki z jednym z pierwszych tenorów, więc nikt mu tego nie wyrzucał.

Większą część ostatnich dwu lat spędził pracując w apartamencie na szczycie jednego z bardziej atrakcyjnych budynków mieszkalnych w mieście. Było tam w sumie dwanaście pokoi: dziewięć służyło jako rodzinna rezydencja — nadal mieszkał z nim syn i dwie córki — a pozostałe trzy pomieszczenia, z własnym osobnym wejściem, zostały przekształcone w biura.

Było nieco po dwunastej w południe, kiedy Virtue MacKenzie stawiała się w hallu budynku. Poczekała, aż strażniczka zapowie jej przybycie, a potem pomknęła windą prosto do biura Sokola. Wysiadła i znalazła się w małym korytarzyku recepcyjnym, gdzie sekretarka oznajmiła jej, że jest oczekiwana i wprowadziła ją do bogato umeblowanego gabinetu.

— Pan Sokol zaraz do pani przyjdzie — powiedziała sekretarka, wracając na swoje miejsce przy windzie.

Virtue wykorzystała tę chwilę na zbadanie otoczenia. Dwie ściany obwieszane były obrazami z całej Demokracji, większość z nich była cenna, niektóre dobre, ale żadne nie wskazywało na jakiegokolwiek konsekwentne zainteresowania właściciela. Trzecia ściana była właściwie jednym wielkim oknem, za którym Virtue dostrzegła przejmujący krajobraz z niebieską rzeką i głębokim wąwozem tuż za kopułą na pierwszym planie. Na podłodze leżał miękki dywan wykonany z jakiegoś sztywnego, nieznanego jej materiału, który wydawał się cofać przed dotknięciem jej stopy, a potem, gdy już ją postawiła, włoski natychmiast podnosiły się i przywierały do nogi. Zauważyła również wielki wideoekran holograficzny, którego kontrolki wbudowane zostały w oparcie skórzanej kanapy. Poza tym w pokoju stały cztery dobrane pod kolor krzesła, dwa z nich były prawie zupełnie nowe, a pozostałe dwa wykazywały pewne oznaki zużycia. W rogu ustawiono starannie jakiś obcy instrument muzyczny, wielki jak pianino, ale Virtue nie знаła tego typu. Znajdowało się na nim sześć małych kostek — każda stanowiła hologram członka rodziny Sokola. Virtue podniosła jedną, zawierającą podobiznę ślicznej młodej kobiety, i przyjrzała się jej.

— Moja najmłodsza córka — odezwał się mocny, przyjazny głos. Odwróciła się i zobaczyła, że Sokol jest już w pokoju.

Był to wysoki mężczyzna, krzepki, ale nie tęgi, ze starannie wypielęgnowaną fryzurą stalowosiwych włosów i eleganckim wąsem. Oczy miał intensywnie niebieskie, nos zupełnie prosty, policzki kanciaste, ale nie wydatne. Nosił eleganckie haftowane ubranie w stylu, który był właśnie modny na Delurosie VIII.

— Jest bardzo ładna — zauważyła Virtue, odkładając kostkę na miejsce.

— Dziękuję pani — stwierdził Sokol. — Powiem jej, że pani tak uważa. — Dotknął ukrytej za obrazem kontrolki i natychmiast zniknęła część dywanu, a z podłogi wyrósł mały, ale dobrze zaopatrzony barek.

— Napije się pani drinka?

— Bardzo chętnie — odpowiedziała.

— Czego konkretnie?

— A co pan poleca?

Wyciągnął rękę po butelkę o dziwnym kształcie.

— Koniak cygniański. Prezent od przyjaciela, który właśnie wrócił z Altair.

— Sądziłam, że powiedział pan, iż jest cygniański — zauważyła Virtue, odnotowując sobie do przyszłego wykorzystania uwagę na temat Altair.

— Bo tak powiedziałem. Ale cygniański koniak można kupić w całej galaktyce. — Umilkł, a potem uśmiechnął się. — Gdyby kiedykolwiek skosztowała pani trunku, który warzy się na Altair, wiedziałyby pani, dlaczego przywiózł mi ten zamiast tamtego.

Nalał dwie lampki i podał jej jedną.

— Bardzo dobry — pochwaliła, upiwszy trochę.

— Zechce pani usiąść? — spytał, prowadząc ją do krzesła, po czym usiadł naprzeciw. Wyjął wielkie cygaro. — Pozwoli pani, że zapalę?

— Oczywiście.

— Pochodzi z samej starej Ziemi — stwierdził z dumą, zapalając cygaro. — Są ostatnio bardzo trudne do zdobycia.

— Mogę to sobie wyobrazić.

— Ale — zauważył, wypuszczając kłęby dymu — warto się wysilić. — Zamilkł na chwilę. — A tak przy okazji, gdzie jest pani ekipa z kamerami?

— Nie potrzebuję żadnej ekipy — odparła. Otworzyła swoją mocno zniszczoną torbę i wyjęła z niej małe, metalowe urządzenie o wielu okienkach. Umieściła przyrząd na stole między nimi. — Posiada parę szerokokątnych, trójwymiarowych obiektywów, które będą podążać za panem, gdziekolwiek pan się ruszy w obrębie tego pokoju. Ma też wbudowany mikrofon, który nagra każde słowo, które pan powie. — Przycisnęła mały guzik. — Jakość nie będzie studyjna, ale nie zawsze mogę przewidzieć, jakie znajdę warunki do nagrywania, a to jest dość poręczny i przydatny wynalazek.

— Zdumiewające! — powiedział, oglądając z fascynacją kamerę. — Rejestruje obszar trzystu sześćdziesięciu stopni bez konieczności zmiany ustawienia?

Kiwnęła głową.

— Właśnie! Oznacza to również, że będę razem z panem na wszystkich ujęciach. Potem zaniosę materiał do laboratorium, a tam opracują wywiad, dostosowując go do ogólnie przyjętego schematu pytanie-odpowiedź, wycinając z kadru jedną osobę, kiedy mówi druga. Nikt z wyjątkiem pana, mnie i naszych techników nie będzie wiedział, że nie miałam z sobą całej ekipy.

— Czy ten wywiad zostanie pokazany na Delurosie VIII? — spytał, a wyraz jego twarzy odzwierciedlał zainteresowanie.

— Tak, na Delurosie oraz w pół tuzinie innych systemów.

— Czy mogę otrzymać kopię?



— Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby pan jej dostać — odpowiedziała Virtue. — Oczywiście, będzie pan potrzebował profesjonalnej aparatury, żeby to sobie obejrzeć.

— Mam trochę niezłego sprzętu, a w razie kłopotów bez problemu mogę pożyczyć jeszcze lepszy.

— To świetnie. Zaczynamy?

— Kiedy tylko będzie pani gotowa — odparł Sokol.

Przez następne trzydzieści minut przeprowadziła profesjonalny wywiad, mając nadzieję, że może uda jej się któregoś dnia go sprzedać, jeżeli nie sieci Leandera Smythe'a, to jakiegomuś innemu pegazowskiemu dziennikowi albo może na Lodi nie XI, o ile Sokol w końcu zostanie tam skierowany.

— No cóż — oznajmiła, wyłączając kamerę. — Sądzę, że to wszystko.

— Było mi bardzo przyjemnie — skłonił się Sokol. — Zawiadomi mnie pani, kiedy będzie gotowy, prawda?

— Oczywiście — odrzekła Virtue. — Chociaż przede wszystkim zależy to od tego, jak pan odpowie na moje następne pytanie.

— Co proszę?

— Mam jeszcze jedno pytanie.

— Przecież wyłączyła pani już kamerę.

— To się nie nadaje do nagrywania — odparła.

— W porządku. — Rozparł się wygodnie. — Proszę pytać.

— Chciałabym, żeby pan dobrze się zastanowił, zanim pan odpowie.

— Jestem przyzwyczajony do pytań, którymi się mnie zasypuje — odpowiedział z pewnością siebie w głosie.

— Cieszę się, że to słyszę — stwierdziła Virtue, patrząc na niego. — A więc... gdzie mogę znaleźć Santiago?

Przez chwilę spoglądał zaskoczony. Potem jego przystojną twarz rozjaśnił uśmiech zawodowego polityka.

— Osobiście uważam, że ten Santiago to po prostu mit Granicy. Gdyby rzeczywiście istniał, już dawno byłby martwy.

— A jednak on żyje.

— Bardzo w to wątpię.

— Jeśli interesuje pana ktoś martwy, panie Sokol — rzuciła — to proszę sprawdzić, co dzieje się z Sidneyem Peru.

Z twarzy Sokola zniknął uśmiech.

— Kim jest Sidney Peru?

— Przemytnikiem. Został zamordowany sześć lat temu.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— A co z Heinrichem Klausmeierem? — spytała.

— To nazwisko również jest mi zupełnie obce.

— Obaj pracowali dla pana — stwierdziła. — I obaj zostali zamordowani.

— Co to ma być: polowanie z nagonką? — spytał zimno. — Bo jeżeli tak jest, to przyszła pani w złe miejsce. Każdy, kto chce, może przejrzeć moje akta. Nie mam nic do ukrycia.

— Wydaje mi się, że ma pan bardzo wiele do ukrycia, panie Sokol — zauważyła Virtue. — Na przykład gang przemytniczy na Binderze X.

— Nie byłem od pięciu lat na Binderze — odparł. — Poza tym, prasa już próbowała mi to przyczepić, kiedy pierwszy raz kandydowałem na stanowisko. Nie uzyska pani nic więcej niż pani koledzy z tego prostego powodu, że nie jestem przestępcą.

— Moi poprzednicy nie wiedzieli tego, co ja wiem.

— A co pani niby wie? — spytał bez niepokoju.

— Wiem, że jeżeli nie wskaże mi pan miejsca, gdzie mogę znaleźć Santiago, zanim minie tydzień, na pana wideoekranie pojawi się bardzo interesujący reportaż kryminalny.

Patrzył na nią długo i twardo, a potem uśmiechnął się z wyższością.

— Niech pani robi, co chce. Nigdy nie słyszałem o nikim, kto nazywa się Peru czy Klausmeier.

Przyjrzała mu się. Nie miała wątpliwości, że kłamie. Wydaje mu się, że aż tak trudno go rozgryźć? Zdecydowała się spróbować jeszcze raz.

— Salvatore Acosta powiedział mi przed śmiercią coś zupełnie innego — stwierdziła.

Sokol prychnął drwiąco.

— Jeszcze jedna tajemnicza postać. Kim, do cholery, jest Salvatore Acosta?

— Dawno temu pracował dla pana.

— Nikt o nazwisku Acosta nigdy dla mnie nie pracował.

— Mam taśmę z rozmową, w trakcie której oskarża pana o udział w zabójstwach Peru i Klausmeiera.

— Nie wierzę w ani jedno pani słowo.

— Chce pan sobie pozwolić na takie ryzyko? — spytała. — Może ta sprawa trafi do sądu, a może nie, ale na pewno, do diabła, będzie kosztować pana stanowisko na Lodinie XI.

— Nie ma pani żadnej kasety, ale jeżeli nawet rzeczywiście ma ją pani, to po prostu ten mężczyzna kłamie.

Wzruszyła ramionami i ruszyła do drzwi.

— Ma pan prawo do własnego zdania. — Odwróciła się do niego. — Nasza montażownia nie może zacząć pracy nad wywiadem, zanim nie będziemy mieli pańskiej autoryzacji. Prześlę formularz jutro rano.

Sokol popatrzył na nią.

— Wie pani? Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby była pani ze mną otwarta i uczciwa — stwierdził w końcu.

Roześmiała się.

— Jak mogłabym być jeszcze bardziej otwarta?

— Gdyby pani po prostu powiedziała: „Panie Sokol, sądzę, że nie ma pan racji uważając, iż Santiago nie żyje i chciałabym, aby przekazał mi pan posiadane przez siebie informacje, które mogłyby mi pomóc dotrzeć do niego. ”, wówczas byłbym szczęśliwy, że mogę z panią o tym porozmawiać. Ale nie lubię, kiedy ktoś mnie straszy i szantażuje, szczególnie, że jedyne informacje, jakie pani posiada, to kłamstwa i oszczerstwa.

Popatrzyła na niego przez chwilę, a potem powtórzyła:

— Panie Sokol, sądzę, że nie ma pan racji uważając, iż Santiago nie żyje i chciałabym, aby przekazał mi pan posiadane przez siebie informacje, które mogłyby mi pomóc dotrzeć do niego.

Przesłał jej piękny uśmiech.

— Jeżeli tak się sprawa przedstawia, bardzo mi miło, że mogę pani pomóc w miarę swoich możliwości. Człowiek, z którym powinna się pani zobaczyć, to pewien bandyta mieszkający na Granicy.

— Jak się nazywa?

— Nie mam pojęcia, jakie jest jego prawdziwe nazwisko, ale sam siebie nazywa Uroczy Swagman\*.

— Gdzie go znajdę?

— Ma bazę na planecie zwanej Goldenrod\*\* w systemie Jolain.

\* *Swagman (ang.) — włóczęga, próżniak, a także włamywacz.*

\*\* *Goldenrod (ang.) — złoty, rod (ang.) — różdżka.*

— Jaki jest jego związek z Santiago?

— Pracował dla niego.

— Tak jak wielu innych — zaznaczyła Virtue. —  
Co sprawia, że akurat on jest taki wyjątkowy?

— Zna Santiago osobiście.

— Mam nadzieję, że mówi pan prawdę — powiedziała złowieszczo.

— Niech pani robi, co pani chce z tą taśmą — stwierdził obojętnie. — Prawda nie może mi zaszkodzić, a kłamstwo nie może pomóc pani. — Podeszedł do wyjścia, machnął ręką przed ukrytym czujnikiem i drzwi wsunęły się w ścianę. — Oczekuję, że zobaczę wywiad, jak tylko zostanie zmontowany.

— Pokażę go panu jak najszybciej — odparła, przechodząc z korytarzyka recepcyjnego do windy.

Sokol powstał chwilę, patrząc na miejsce, w którym przed chwilą stała Virtue, potem zapalił kolejnego papierosa, wrócił do barku i nalał sobie następny kieliszek koniaku.

— Słyszałeś? — spytał towarzyskim tonem.

— Tak — odparł jakiś głos.

— Chcę, żebyś ją obserwował.

— Tylko obserwował? — spytał głos.

— Aż nie dowiemy się, gdzie ma tę kasetę albo nie upewnimy się, że blefowała. Nie chcę, żeby opuściła moją planetę, zanim nie poznam prawdy. A tymczasem zdobądź jej pełne dossier. Nie te bzdury, które podała nam dziś rano sieć, ale fakty. — Przerwał na chwilę. — Masz cztery godziny.

— To może potrwać trochę dłużej.

— Cztery godziny — powtórzył Sokol.

Zdobycie dossier Virtue zabrało tylko trzy godziny i dziesięć minut, a Sokol w tym czasie udzielił jeszcze jednego wywiadu, tym razem lokalnemu reporterowi, po czym zaczął przygotowywać mowę, którą miał następnego wieczora wygłosić na wiecu politycznym. W końcu do pokoju wszedł mężczyzna o jasnych włosach, w nieokreślonym wieku, z małym notatnikiem w ręku.

— Usiądź — powiedział Sokol. To nie była prośba.

— Wszystko wprowadziłem do komputera — zaczął mężczyzna. — Ale pomyślałem, że będzie pan chciał przejrzeć to ze mną osobiście, na wypadek, gdyby miał pan jakieś pytania.

— Co masz o niej?

— Nazywa się albo Virtue Patience MacKenzie albo Virtue Patia MacKenzie — odczytał mężczyzna. — Akta są trochę niejasne. Osobiście sędzę, że zmieniła swoje drugie imię z Patience na Patia, kiedy doszła do pełnoletności. Ma trzydzieści sześć lat. Urodziła się na Belore, dorastała na Syriuszu V, studia skończyła na Arystotelesie...

— To ta uniwersytecka planeta, którą utworzono kilka lat temu? — wtrącił Sokol.

— Tak. Stopnie miała średnie, ale Arystoteles jest dość duży i Virtue udało się zatrudnić w sieci miejscowego dziennika od razu po ukończeniu nauki.

— Od jak dawna związana jest z siecią na Delurosie? — spytał polityk.

— Nigdy w swoim życiu nie była na Delurosie. Pracowała na etacie przez jakieś dziesięć lat, głównie w sektorze Alfard, potem jako dziennikarka niezależna.

— Profil osobowościowy?

— Zawsze była bardzo bystra, już jako dziecko. Pije więcej niż powinna i znana jest z tego, że grywa w karty, niezbyt dobrze, jeśli mogę dodać coś od siebie. Ma chyba kłopoty z kontaktami męsko-damskimi. W każdym razie, ma za sobą sześć poważnych romansów, z których żaden nie trwał dłużej niż rok.

— Dla mnie to nie brzmi zbyt poważnie — zauważył Sokol.

— To jest bardzo poważne, ponieważ znaczy to, że nie interesuje jej nic z wyjątkiem własnej pracy.

— Więc lepiej powiedz mi trochę o tej jej pracy.

— Virtue uwielbia obrażać wszelkie autorytety. Ściśle rzecz biorąc, dwa razy została wyrzucona za niesubordynację. To, co robi, jest całkiem niezłe, grubo powyżej przeciętnej, ale nigdy nie otarła się nawet o coś w rodzaju przełomowej historii, która mogłaby zapewnić jej sławę. Bardzo łaknie sukcesu. Boi się upływającego czasu i staje się strasznie niecierpliwa. Jakiś rok temu zdołała przekonać paru sponsorów, żeby wyłożyli prawie dwa miliony kredytów na „plan Santiago”. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak się jej to udało. Możliwe, że spała z nimi, ale najbardziej prawdopodobne, że ich zaszantażowała. Pracuje nad tym projektem od jakichś jedenastu miesięcy i przepuściła już dwie trzecie pieniędzy. — Zamilkł. — Mam wrażenie, że jest to dla niej sytuacja „być albo nie być”. Jeśli wróci z pustymi rękami, będzie skończona.

— Dlaczego po prostu nie wzięła tych pieniędzy i nie zniknęła?

— Woli być bogata i sławna niż tylko bogata.

— Znam to uczucie — mruknął z ironią Sokol. Popatrzył na blondyna. — Coś jeszcze?

— Tak. Jakieś trzy tygodnie temu znalazła Whittakera Drama i może nawet go zabiła.

— Co to za głupawe stwierdzenie — ocenił Sokol. — Zabiła go albo go nie zabiła.

— To nie jest takie proste. Kiedy była na Declanie IV, weszła w jakieś układy z łowcą nagród nazwiskiem Cain, który szuka Santiago dla nagrody. Słyszałem, że jest całkiem dobry w tym swoim fachu. Oboje byli w mieszkaniu Drama w tym samym czasie. Trudno ustalić, kto w końcu go zabił. — Spojrzał w notatnik. — Jest w to zamieszana jeszcze jedna osoba: karciarz o nazwisku Terwillinger. Cain wziął go z sobą w Port Etrange i od tego czasu podróżują razem. Nie wiem, czy również należy do spółki. Osobiście przypuszczam, że w zamian za jakąś przysługę Terwillinger zetknął Caina z Drumem albo z kimś, kto wskazał mu Druma.

— Jakiego rodzaju przysługę?

— Nie wiem... ale hazardziści łatwo robią sobie wrogów. Zapewne więc dobrze jest mieć obok siebie uzbrojonego łowcę głów, szczególnie na Granicy.

— W porządku — powiedział Sokol. Zapalił cygaro i przez moment patrzył na żarzący się czubek. — Wróćmy do MacKenzie. Jak do mnie dotarła? Dram nawet nie wiedział, że istnieję.

Jasnowłosa mężczyzna wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Więc powiem ci jak — kontynuował Sokol w zamyśleniu. — Ktoś jej powiedział: albo ten Acosta, albo ktoś inny. Z kim się spotkała, odkąd przybyła na Pegaza?

— Tylko z Leanderem Smythem.

Sokol uśmiechnął się.



— No i mamy odpowiedź. Głupi mały gnojek wcisnął jej całe to gówno, którym usiłuje mnie oblepić przez ostatnie lata.

— Może — zgodził się blondyn. — Ale chyba powinniśmy się upewnić, zanim zrobimy jakiś ruch.

— To nie powinno być zbyt trudne. A tak *a propos*, kim był Acosta?

— Przemysłowikiem. Prawdopodobnie od czasu do czasu sprzedawał dla Santiago trochę towaru.

— Czy mieliśmy z nim kiedykolwiek jakieś kontakty?

— Nie bezpośrednio.

— Mógł znać moje nazwisko?

— Nie można tego całkowicie wykluczyć.

— Spróbujmy z innej strony — zastanowił się Sokol. — Kiedy został zamordowany?

— Parę tygodni temu.

— Zanim Virtue MacKenzie wylądowała na Pegazie?

— Tak.

Sokol uśmiechnął się.

— Więc nigdy go nie spotkała.

— Nie można być tego pewnym. Nie musiała spotkać się z nim na Pegazie.

— Oczywiście, że musiała — odparł Sokol. — W przeciwnym razie przyszłaby prosto do mnie w chwili, w której by się czegoś dowiedziała. Blefowała przez cały czas.

— Stać pana na takie ryzyko?

Sokol zmarszczył brwi.

— Rzeczywiście, chyba nie. Ta mała nie może wyrządzić mi żadnej poważnej krzywdy, ale mogłaby pogrzebać stanowisko na Lodinie XI. — Przerwał i zaczął ugniatać w palcach cygaro. — Prześledź miejsca pobytu Acosty w ostatnim

roku i sprawdź, czy ci dwoje mogli spotkać się gdzieś poza Pegazem.

Jasnowłosa mężczyzna wrócił jakąś godzinę później.

— A więc? — zapytał Sokol.

— Miał pan rację: Acosta i MacKenzie ani razu nie zbliżyli się do siebie nawet na odległość pięćdziesięciu lat świetlnych.

— Wiedziałem! — krzyknął Sokol z tryumfem.

— Co chce pan teraz zrobić? — spytał mężczyzna.

— Dziewczyna pewnie ma gdzieś w Hektorze skrytkę pocztową. Istnieje niebezpieczeństwo, że już się skontaktowała z Cainem, chcę więc, żebyś jutro znalazł jakiś sposób dotarcia do Santiago. Ostrzeż go, aby był w pogotowiu, na wypadek gdyby Cain albo ten karciarz zdołali jakoś dopaść Swagmana.

— Jutro?

Sokol skinął głową.

— Jeszcze dziś po południu odszukaj Leandera Smythe'a i twoja w tym głowa, żeby już nigdy więcej nie rozpuszczał żadnych złośliwych plotek na mój temat. Byłoby niemądre zabijać przedstawiciela prasy, ale masz dać mu lekcję, którą popamięta. I nie mów, kto cię przysłał. Sam się domyśli.

— To zajmie mi popołudnie i jutrzejszy ranek — powiedział blondyn. — A co z nocą?

— Nocą? Idź do domu i prześpij się.

— A Virtue MacKenzie?

— Nie ma kasety, a więc nie stanowi bezpośredniego zagrożenia. Nie chcę, żeby stała się jej jakakolwiek krzywda, póki jest na Pegazie.

— A kiedy odleci?

Sokol uśmiechnął się.

— To już zupełnie inna sprawa, prawda?

### 8.

*Nazywają go Ojcem Williamem,  
Istotą życia, bądź życia poznaniem.*

*Gdyż grzesznych zbawianie — jedynie zabawą, A grzesz-  
nych zabijanie to prawdziwa sława.*

Kiedykolwiek ludzie zbierali się wokół Czarnego Orfeusza, aby wysłuchać jego opowieści, prędzej czy później ktoś zadawał bardowi pytanie: która z postaci, jakie spotkał podczas swoich wędrówek wywarła na nim największe wrażenie? Orfeusz prostował się na krześle, popijał łyczek wina i spoglądał przed siebie w dal, zatapiając się we wspomnieniach na tak długo, że słuchacze myśleli, iż nie otrzymają już odpowiedzi. Wtedy nagle uśmiechał się i mówił, że widział wielu mężczyzn i wiele kobiet na Wewnętrznej Granicy — zabójców, takich jak Czyżyk i Jednorazowy Charlie, postaci tragiczne jak Cyborg Schussler, przedsiębiorców jak Descartes White (któremu zmienił imię na Carte Blanche i był z tego przydomka niezwykle zadowolony), dobre kobiety jak Milcząca Annie i Błogosławiona Sarah, złe kobiety jak Płaskonoska Sal i Siostra Sleaze, nawet prawdziwych supermenów jak Człowiek-Góra Bates — ale nikt z nich nie wytrzymał porównania z Ojcem Williamem.

Było to uczucie od pierwszego wejrzenia. Nie pociąg fizyczny, ale coś podobnego do miłości, jaką odczuwa malarz-

pejzażysta w stosunku do pięknego zachodu słońca. Czarny Orfeusz malował swoje słowne obrazy na bardzo szerokich płótnach, ale Ojciec William i tak wydawał się zbyt duży, aby się na nich zmieścić.

Pierwszy raz Orfeusz zobaczył go w systemie Corvus, kiedy wygłaszał z ambony kazanie o ogniu piekielnym i wiecznym potępieniu i zachęcał wszystkich wiernych — wśród których znajdowały się pewne dość znane osobistości — żeby podzielili się swoim bogactwem z ubogimi, wrzucając datki do jego własnej, opatrzonej monogramem puszką. Następne spotkanie odbyło się dwa lata później, w gwiazdozborze Quinelus, gdzie Ojciec William pogodnie błogosławił gasnące dusze właśnie zabitych przez siebie czterech mężczyzn i jednej kobiety. Orfeusz natknął się na niego trzeci i ostami raz na Girodusie II i zafascynowany obserwował, jak kaznodzieja zastrzelił dla nagrody dwóch przestępców, po czym zdjął z nich skalpy, (branie skalpów nie było konieczne, ale nikt nie czuł się na tyle odważny, by dyskutować na ten temat z Ojcem Williamem). Pieniądze z nagrody Ojciec William przekazał tamtejszemu kościołowi i spędził następne dwa dni szerząc ewangelię wśród tubylców o obłych, ciężkich cielskach.

Orfeusz próbował dowiedzieć się więcej na temat jego przeszłości, ale bezowocnie. Jedynym tematem, na który Ojciec William chciał rozmawiać, był Bóg, a gdy wlał w swój potężny brzuch parę kielichów, natychmiast wdawał się w dyskusje o Sodomie i Gomorze. Był postacią jak z baśni — miał sześć stóp i pięć cali wzrostu, ważył blisko czterysta funtów; zawsze był ubrany na czarno. Nosił parę czarnych skórzanych kabur z pistoletami laserowymi, które — jak twierdził — zawierały oczyszczający ogień Pana. Wyrzekł się wszystkich przyjemności ciała z wyjątkiem obżarstwa, tłumacząc, że

anemiczny kaznodzieja to żaden kaznodzieja i że zrzuci masę kalorii, niosąc religię chrześcijańską bezbożnym światom Granicy. Szczerze wierzył, że każda planeta, na której gościli poszukiwani zabójcy bardziej potrzebuje zbawienia niż inne i nie ustawał w wysiłkach przyprowadzenia tych światów do owczarni Pańskiej, wykorzeniając zło i rozpowszechniając Słowo Boże wśród tych, którym udało się przeżyć. Przeklętych wówczas skazywał na należne im, piekielne kary, a pozostałych, zbawionych od wpływu zła, wyrывał z chciwej władzy Szatana na całą wieczność, a przynajmniej do czasu, kiedy rząd wypuści za nimi listy gończe.

Ojciec William z pewnością zasługiwał na większą sławę. Czarny Orfeusz poświęcił mu tylko trzy zwrotki, jedną trzecią tego, co dał Gilesowi Sans Pitie, który nawet w przybliżeniu nie był postacią tak barwną czy interesującą, ale Orfeusz uważał, iż niosący Biblię łowca głów już przez sam ten fakt jest postacią tak wspaniałą, że trudno powiedzieć o nim coś jeszcze, co by temu dorównywało. A ponieważ zwrotki były krótkie i zwięzłe, a stale rozrastająca się epepeja składała się teraz z ponad dwu tysięcy strof, należało wybaczyć ludziom, że nie zwrócili uwagi na bohaterskie wyczyny kaznodziei.

Do takich właśnie osób należała Virtue MacKenzie. Nie wiedziała, że Ojciec William wygłasza kazanie na Goldenrod, a nawet gdyby wiedziała, nie miałyby to dla niej żadnego znaczenia. Chciała jedynie odnaleźć przestępcę znanego jako Uroczy Swagman i poprzez niego dotrzeć do Santiago.

Wylądowała na Goldenrod, małym światku o umiarkowanym klimacie, który należał do kartelu przedsiębiorstw rolnych. Plony zbierały roboty, pracujące pod kierunkiem garstki mężczyzn i kobiet, którzy udawali, że dowodzą maszynami, choć w głębi duszy wiedzieli, że pełnią jedynie role me-

chaników i strażników. Na planecie znajdowało się tylko jedno miasto — stara faktoria, starsza niż otaczające ją farmy. Jak wiele granicznych miasteczek, również i to przyjęło nazwę planety i wobec nym czasie zapewniało dach nad głową prawie ośmiu tysiącom mieszkańców.

Virtue miała przeczucie, że nie zostanie tu długo, więc zamiast rezerwować pokój w hotelu, zostawiła rzeczy na statku i wsiadła w wahadłowiec lecący do osady. Kiedy wysiadła, znalazła się tuż przy pomniku założyciela planety na centralnym placu miejskim, otoczonym przez długie, niewysokie budynki.

W przeciwieństwie do Caina, który spędził dwa dziesięciolecia podróżując z jednej faktorii do drugiej i który zwykle zdobywał informacje w sposób raczej mało oficjalny, wypytyjąc po barach i burdelach, Virtue odszukała lokalne biuro prasowe — świat ten był zbyt mały, aby posiadać swoją własną sieć i zatrudniał właściwie tylko jednego korespondenta — gdzie przedstawiła swoją kartę dziennikarza i zapytała o miejsce pobytu Uroczego Swagmana.

— Są dużo ważniejsze rzeczy, o które powinnaś się zatroszczyć, niż spotkanie się ze Swagmanem — powitał ją mężczyzna w średnim wieku.

— Na przykład? — spytała Virtue.

— Może na początek poważnie się zastanowisz, jak zdołasz opuścić tę planetę żywa.

— O czym ty mówisz?

— No cóż — powiedział — to nie jest dziennik telewizyjny, więc wiadomość jest nie potwierdzona, ale plotka mówi, że strasznie wkurzyłaś pewnego jegomościa z Pegaza. Uznał, że rekompensowanie własnych krzywd zbyt blisko do-

mu może zaszkodzić jego interesom, wybrał więc Goldenrod jako najbardziej stosowne do tego miejsce.

— Czy kazał mnie sprzątnąć?

— O ile się nie mylę, wynajął trzech zabójców, których zadaniem jest dopilnować, żebyś nie odleciała z Goldenrod.

— Kim oni są?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Wspaniale — zamruczała. Wyjrzała na ulicę, próbując zgadnąć, którzy z licznych przechodniów są płatnymi mordercami; potem obróciła się z powrotem do korespondenta. — W jaki sposób mogę postarać się o ochronę policyjną?

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Nie jesteś już w Demokracji. Nie mamy tu departamentu policji.

— Ale chyba jakoś chronicie swoich obywateli? — naciskała.

— Goldenrod jest światem Swagmana i on go ochrania.

— Myślałam, że Goldenrod jest zależna od sieci korporacji, które dysponują tymi terenami.

— No cóż, oficjalnie tak jest. Ale wszystkie te firmy mają swoje siedziby na Delurosie, na Ziemi oraz na Canphorach V i VI i dopóki nasze gospodarstwa przynoszą zyski, tamci nie interesują się zbyt, co się tutaj dzieje. Poza tym, jeśli pozwala się komuś takiemu jak Swagman zostać na swoim świecie, oczekuje się wdzięczności.

— A więc udzielili mu azylu, a on w zamian za to pilnuje, żeby nikt nie próbował okraść albo oszukać ich przedstawicieli, tak? — spytała Virtue.

— Coś w tym rodzaju — odparł mężczyzna. — Nie znam dokładnie ich umowy, ale myślę, że jesteś całkiem blisko prawdy.

— Świetnie — stwierdziła Virtue. — A więc zawiadommy go, że chciałabym się z nim widzieć i przekonajmy go, żeby rozciągnął swoją opiekę i na mnie.

— Myślałem, że rozumiałaś sytuację — powiedział mężczyzna z irytacją — ale widzę, że nie.

— Co mi umknęło?

— Wynajęty zabójca nie może tu działać bez zgody Swagmana. Tak się rzeczy mają.

— Nigdy go nie spotkałam — pokręciła głową Virtue. — Co może mieć przeciwko mnie?

— Prawdopodobnie nic. W gruncie rzeczy to bardzo sympatyczny człowiek. Ale taki morderca płaci mu łapówkę, aby móc tu pracować i w niczym nie zaszkodzić Swagmanowi, jeśli ci powiem, że on lubi pieniądze bardziej niż ludzi.

— A więc lepiej go znaleźć, zanim oni znajdą mnie.

— Nawet nie wiesz, kim są — odpowiedział mężczyzna.

— To mogliby być na przykład ci trzej niechlujnie wyglądający faceci, którzy sterczą niedaleko od nas po drugiej stronie ulicy — wskazał przez okno na trzech uzbrojonych mężczyzn — ale mogą nimi być również trzy stare damy, które robią tam zakupy, albo barmani, albo nawet mechanicy w porcie kosmicznym. Gdybym był na twoim miejscu, wróciłbym jak najszybciej na statek i wynosiłbym się stąd, zanim ktoś dowie się, że tu jestem.

— Nie przebyłam całej tej drogi tylko po to, żeby teraz zawrócić — stwierdziła stanowczo Virtue. — Gdzie mogę znaleźć Swagmana?

Mężczyzna wzruszył ramionami.



— Niech cię diabli! — warknęła. — Pomożesz mi czy nie?

— Naprawdę nie wiem, gdzie go znaleźć! — odparł wyprowadzony z równowagi mężczyzna. — Nie wiem nawet, czy jest teraz na planecie. Chyba nie sądzisz, że przy swojej profesji chce, aby wszyscy znali jego plany i terminy.

— W porządku. Jeśli jest na planecie, to gdzie go mam szukać?

— Ma dom wysoko na wzgórzach, prawdziwą fortecę. Nie zdołasz się tam dostać. Wszędzie wokół jest od cholery systemów bezpieczeństwa. Jeśli będziesz próbowała się tam wdrzeć, zginiesz.

— No to jak mam się z nim skontaktować?

— No cóż, tuż za miastem zamieszkał Ojciec William, więc mam wrażenie, że tak na wszelki wypadek Swagman będzie chciał mieć na niego oko przez parę następnych dni.

— Kim jest Ojciec William?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Od jak dawna jesteś na Granicy?

— Wystarczająco długo — odparła spokojnie. — Czy Czarny Orfeusz go opisał?

Mężczyzna skinął głową.

— Przyjrzał mu się diablo dokładniej niż tobie. Ty jesteś Królową Cnotką, prawda?

— Tak.

— Powinnaś więc wiedzieć, co jest w pieśni.

— Mam lepsze rzeczy do roboty, niż wkuwać osiem tysięcy linijek na pamięć. No więc, powiesz mi, kim on jest?

— Po trochu kaznodzieją, po trochu łowcą nagród i dobroczyńcą. Przypuszczam, że wszystko zależy od tego, z kim ma do czynienia.

— Czy wie, jak dotrzeć do Swagmana?

— Tak sędzę. Niewiele jest rzeczy na temat przestępców, których by Ojciec William nie wiedział.

— Jeżeli jest łowcą nagród, istnieje ryzyko, że chce dostać dla siebie Swagmana — zauważyła Virtue. — Dlaczego pozwolił mu wylądować na Goldenrod?

— Może dlatego, że wywołałby niezły bunt, gdyby próbował go powstrzymać. Ojciec William jest najpopularniejszym kaznodzieją na Granicy, a są tacy, którzy twierdzą, że jest również najlepszym strzelcem. Jeśli chce gdzieś lecieć, to leci i już.

— Dimitri Sokol nie mógłby go wynająć, co? — spytała w zamyśleniu Virtue.

— Skądże znowu. Jest łowcą głów, a nie płatnym zabójcą.

— No cóż — stwierdziła Virtue z westchnieniem. — Przypuszczam, że właśnie z nim muszę się teraz zobaczyć. Gdzie go znajdę?

— Rozbił namiot jakąś milę na zachód od miasta.

Spojrzała na zegarek.

— Kiedy zacznie kazanie?

— Dzisiejsze kazanie zaczęło się mniej więcej dwie godziny temu.

— Więc powinno się niedługo skończyć — zaryzykowała pytanie.

Roześmiał się.

— Nie skończy się przed zmrokiem.

— Żartujesz! — krzyknęła. — O czym on, do cholery, mówi, że zabiera mu to osiem godzin?

— O wszystkim, co przyjdzie mu do głowy — wyjaśnił dziennikarz. — Musisz pamiętać, że jest jedynym przed-

stawicielem cywilizowanej religii, z jakim ma kontakt większość tych ludzi. Nie usłyszą kazania przez następne parę lat, aż do czasu, gdy Ojciec William będzie znowu tędy przelatywał. W bardzo krótkim czasie musi więc wtłoczyć do ich głów wszystko, co wie na temat ognia piekielnego i wiecznego potępienia.

— To brzmi pasjonująco — stwierdziła bez entuzjazmu. Potem wstała. — Chyba lepiej już pójść.

— Jeżeli koniecznie chcesz kontynuować swoje poszukiwania, może przynajmniej poczekaś do zmroku? — podsunął.

— Nie znam miasta — odparła Virtue. — Po co dawać im przewagę? — Zamilkła. — Poza tym, mało prawdopodobne, że będą próbowali zabić mnie w biały dzień. Cholera! Tak bardzo bym chciała, aby był tutaj mój partner! Ta sytuacja pasuje bardziej do niego niż do mnie.

— Kim jest twój partner?

— Sebastian Cain. Słyszałeś kiedyś o nim?

— Czyżyk? — zapytał, patrząc na nią z nowym zainteresowaniem. — Pracuje z tobą?

Przytaknęła.

— Zgadza się z tobą — pokiwał głową. — Ta sytuacja jest niemal wymarzona dla takiego faceta jak Cain. Dlaczego więc jesteś tu zamiast niego?

— Poleciał w okolice Altair.

Jej uwaga wywarła na korespondencie silne wrażenie.

— Pozwól, że zaryzykuję pytanie: czy szuka Altair z Altair?

— Tak.

Gwizdnął cicho.

— Nie wiem, do czego wy dwoje jesteście zdolni, ale zapewniam cię, że możecie mieć spore kłopoty.

— Na to wygląda — powiedziała, wyglądając przez okno. Trzej mężczyźni zniknęli z ulicy.

— No cóż, życzę ci szczęścia — powiedział mężczyzna. — Będziesz go potrzebować.

— Dzięki. — Ruszyła do drzwi. — Jedna mila na zachód, tak?

— Tak — odrzekł.

Wyciągnęła z torby mały pistolet i wsunęła go sobie za pasek, potem wyszła na wilgotne powietrze Goldenrod. Na ulicy zauważyła sporo dwu- i trzyosobowych grup ludzi, stanęła więc na chwilę nieruchomo i badawczo im się przyjrzała, próbując zorientować się, czy ktoś z nich nie zwraca na nią zbyt dużej uwagi.

To bez sensu — pomyślała, patrząc na mieszkańców. Skąd, do cholery, mam wiedzieć, jak wygląda wynajęty morderca i jak odróżnić go od kogoś najzwyczajniej w świecie zaferowanego swoimi sprawami?

Przez następną minutę stała bez ruchu, podświadomie oczekując, że usłyszy dźwięk wystrzału albo poczuje laserowy promień przepalający jej ciało, potem przeszła do rogu i skręciła w lewo. Jeszcze trzy razy skręcała w lewo, zatrzymując się przed biurem korespondenta i próbując sprawdzić, czy ktoś za nią idzie, aż ostatecznie uznała, że na planecie, gdzie jedynym przedstawicielem prawa jest bandyta żyjący w twierdzy na szczycie odległego wzgórza, im krócej będzie tkwić w miejscu wystawiając się na cel, tym lepiej.

Skierowała się ku zachodowi i tak długo, jak tylko się dało kryła się w cieniu budynków. Kiedy przeszła dwieście jardów, miasto nagle się skończyło i jakąś milę przed sobą zoba-

czyła barwny namiot ustawiony w środku pofałdowanego pola. Jeszcze raz rozejrzała się dokoła, stwierdziła, że nikt za nią nie idzie i — oglądając się co chwilę za siebie — żwawo ruszyła ku namiotowi.

Kiedy znalazła się mniej więcej w połowie drogi, przechodząc przez niżej położony fragment pola na moment straciła z widoku namiot i nagle zobaczyła jakąś starszą parę idącą w kierunku miasta. Mężczyzna ubrany był w wyjściowy garnitur, najwyraźniej włożony na cześć Ojca Williama, i szedł podpierając się laską. Kobieta niosła kosz piknikowy i parasol. Trzymając rękę bardzo blisko kolby pistoletu, Virtue przystanęła i pozdrowiła ich.

— Czy Ojciec William skończył mówić? — spytała.

— Och, co to, to nie — powiedziała stara kobieta wyraźnie rozbawiona tą sugestią. — Idę po prostu do domu, żeby zażyć lekarstwa i zrobić sobie małą drzemkę, a potem wrócę.

— Nie widziało się go wcześniej, co? — spytał stary człowiek.

— Nie — odparła Virtue. — Słyszałam, że Ojciec William przyleciał tylko na parę dni, więc pomyślałam, że przylecę go posłuchać. Jestem z Salinas IV.

— Doprawdy? — zapytał starzec. — Słyszałem, że to uroczy świętek.

— Owszem.

— Pochodzimy z Seabright — dodała stara. — Ale przybyliśmy na Granicę, żeby się dorobić.

— To było jakieś czterdzieści lat temu — zachichotał stary.

— Nie mogę powiedzieć, żebyśmy byli bogatsi niż wtedy, ale na Goldenrod mieszka się bardzo przyjemnie. No i

oczywiście planeta leży na trasie regularnego objazdu Ojca Williama.

— A tak przy okazji, czy mogę panią poczęstować kanapką?

— spytała kobieta, podnosząc koszyk.

— Nie, dziękuję. — Pokręciła głową Virtue.

— Chciałabym, żeby się pani poczęstowała — nalegała kobieta. — Nie lubię patrzeć, jak się marnują, a kiedy wrócimy do domu, wyrzucimy je po prostu do kosza. Jemy dzisiaj obiad z przyjaciółmi.

— Bardzo pani dziękuję, ale naprawdę nie jestem głodna.

— Tutaj — powiedziała kobieta, zajęta pokrywką koszyka.

— Proszę tylko popatrzeć, może zmieni pani zdanie. Są tu kanapki, ciasteczka i...

Nagle Virtue kątem oka dostrzegła jakiś ruch i rzuciła się na ziemię.

Stary człowiek zamachnął się na nią laską, a gdy mu wypadła z rąk, zaczął szperać w kieszeni. Virtue rzuciła mu się na nogi, usłyszała jakieś łupnięcie w jednej z nich i zerwała się z pistoletem w ręku. Stara kobieta wyjęła z koszyka rewolwer — Virtue nie umiała powiedzieć, czy był laserowy, dźwiękowy czy też zwykły — i wycelowała w dziewczynę.

— Masz bardzo dobry refleks, moja droga — zauważyła stara z uśmiechem.

— No i co zrobimy? — spytała Virtue, lekceważąc starca, który jęczał i wił się na ziemi. — Pozabijamy się nawzajem czy też ogłosimy zawieszenie broni, żeby wynieść tego rannego wojownika z pola bitwy?

— No cóż, mogłabym zaczekać na posiłki — stwierdziła stara. — Wiesz przecież, że je mam.

— Tak, słyszałam, że jest was troje.

Stary człowiek znowu zajęczał.

— Ale z moim drogim mężem nie jest najlepiej — mówiła dalej kobieta. — Miał już problemy z chodzeniem, zanim tak brutalnie złamałaś mu nogę. Więc albo będę musiała od razu wyprawić cię na tamten świat, albo zgodzę się na rozejm.

— Jeśli pani strzeli, zrobię to samo — zagroziła Virtue.

— Pewnie, ale czy celny strzał w głowę da ci sposobność rewanzu? — spytała kobieta, podnosząc rękę z wysokości piersi Virtue i celując teraz między oczy dziennikarki.

— Może wystrzelę pierwsza? — powiedziała Virtue. Równocześnie zastanawiała się, jak Cain poradziłby sobie w takiej sytuacji i doszła do wniosku, że przede wszystkim w ogóle by się w nią nie wpakował. — I kto wtedy zaopiekuje się pani mężem?

— Tak, to właśnie muszę rozważyć — zgodziła się kobieta z ubolewaniem. — Staliśmy się już trochę na to za starzy.

— Robiliście to często?

— Dwanaście razy — odparła, nie bez dumy. — Ludzie zawsze oczekują, że płatni zabójcy będą wyglądać tak jak ci na taśmach video: nikczemni i potężni. Wiedliśmy dzięki temu całkiem zamożne życie. — Obniżyła w zaufaniu głos. — Czarny Orfeusz nawet chciał nas opisać, ale wyjaśniliśmy mu, że przewagę uzyskujemy właśnie przez zaskoczenie. Popularność mogłaby nas przegnać z interesu. — Uśmiechnęła się. — Uszanował nasze życzenie, no ale przecież on zawsze był gentlemanem.

Stary człowiek spróbował się przewrócić na drugi bok, ale zajęczał tylko z bólu i zemdłał.

— W porządku, moja droga — powiedziała starucha, wzdychając. — Zgadzam się na zawieszenie broni. Naprawdę muszę znaleźć lekarza.

— Raczej nie tak szybko — zauważyła Virtue. — Kim jest trzeci członek waszego zespołu?

— Jeśli ci powiem, wystawię na niebezpieczeństwo jego życie — oznajmiła sztucznym tonem. — Poza tym, jeżeli jemu nie uda się ciebie zabić, będę musiała ruszyć za tobą jeszcze raz, jak tylko zaprowadzę Henry'ego do lekarza.

Virtue zastanowiła się przez chwilę nad słowami starej i kiwnęła głową na zgodę.

— Niech będzie. Zawieramy rozejm.

— A więc, odłóż, proszę, swoją broń — rzuciła kobieta.

Virtue uśmiechnęła się.

— Pani pierwsza.

— Liczę na to, że masz swój honor — stwierdziła stara, otwierając pokrywkę koszyka i wrzucając rewolwer do środka.

Virtue wsunęła pistolet z powrotem za pas i szybko rozbroiła starego człowieka.

— Na pani miejscu — mruknęła — zabrałabym Henry'ego do domu i tam bym z nim została. Następnym razem, kiedy panią zobaczę, będę musiała panią zabić.

— Pomóż mi przenieść go w cień, dobrze? — poprosiła stara kobieta, wskazując odległe o dwadzieścia stóp drzewo. — Może minąć trochę czasu, zanim znajdę jakiegoś lekarza i przyprowadzę go tu, a nie chcę zostawiać biednego Henry'ego w słońcu.

— Pani żartuje, co? — spytała Virtue, nie wierząc własnym uszom.



— Jeśli będzie leżał tutaj, może umrzeć. To bardzo stary człowiek.

— To bardzo stary człowiek, który właśnie próbował mnie zabić.

— Taka praca — stwierdziła stara kobieta. — Ale jak widzisz, w obecnym stanie nie może już stanowić dla ciebie zagrożenia.

Virtue wzruszyła ramionami i skinęła głową, zaskoczona szaloną ideą udzielania pomocy jednemu ze swoich niedoszłych zabójców. — W porządku, ale koszyk zostanie na ziemi.

— Oczywiście — zgodziła się stara.

Kobiety podeszły do starca, pochyliły się nad nim i chwyciły ciało w taki sposób, żeby mogły ciągnąć mężczyznę za ręce i ramiona. Virtue zauważyła, że dłoń starej kobiety zakrada się ku kieszeni Henry'ego i chwyciła ją za nadgarstek dokładnie w chwili, kiedy tamta wyciągała nóż.

— Sądziłam, że zawarłyśmy umowę — zauważyła Virtue z nieprzyjemnym uśmiechem.

— Zawsze najważniejsze jest zadanie — powiedziała stara kobieta, czerwona na twarzy i zasapana z wysiłku. — Co masz zamiar ze mną zrobić?

— Na pewno nic gorszego niż to, co pani chciała zrobić ze mną — odparła Virtue. — Zanieśmy najpierw drogiego, starego Henry'ego w cień, ale jeśli będzie pani próbowała czegoś jeszcze, zabiję panią.

Kiedy zaciągnęły mężczyznę pod drzewo, Virtue obróciła się do jego żony i wyciągnęła pistolet.

— Zapytam panią jeszcze raz: jak rozpoznam trzeciego napastnika?

— To naprawdę kłóciłoby się z moją etyką zawodową — pokręciła głową stara kobieta. — Poza tym, jeśli wypalisz

do mnie z tego, istnieje duże ryzyko, że tamten usłyszy dźwięk wystrzału i będzie wiedział, gdzie jesteś.

— To prawda — zauważyła Virtue. Trafiła mocnym kopnięciem w kolano starej kobiety i poczuła jak ścięła i wiązadła puszczają. Kobieta z krzykiem upadła na ziemię.

— To powinno panią unieruchomić na resztę dnia — powiedziała Virtue, podchodząc do koszyka i wyjmując z niego butelkę. Otworzyła ją, stwierdziła, że jest to mrożona herbata, zakorkowała ponownie i wróciła do starej kobiety, która szlochała kurczowo trzymając się za kolano.

— Gorący dzień — zauważyła Virtue. — Istnieje niebezpieczeństwo, że zupełnie się odwodnicie, zanim ktoś was znajdzie.

Stara nadal płakała w milczeniu.

— Niech mi pani powie, jak wygląda Numer Trzy, a zostawię wam tę butelkę.

Stara kobieta popatrzyła na nią przez łzy.

— Rób, co chcesz — stwierdziła. — Nie mogę go zdradzić.

— Ostatnia szansa — powiedziała Virtue. — Nie będę tracić na panią więcej czasu.

Kobieta potrząsnęła głową.

Virtue wzruszyła ramionami i położyła butelkę na ziemi jakieś dwadzieścia jardów od pary. Potem odwróciła się do koszyka, wyjęła broń, włożyła ją do swojej torby i udała się w stronę namiotu.

Weszła do środka i znalazła się na końcu prowizorycznego kościółka. Po każdej stronie szerokiego przejścia stało czterdzieści czy pięćdziesiąt rzędów ławek i wszystkie, z wyjątkiem kilku ostatnich, wypełnione były ludźmi. Z przodu, na wysokim prowizorycznym podwyższeniu, znajdował się elek-

troniczny syntetyzer dźwięku, który bezustannie wygrywał ciche hymny.

Na ambonie stał ogromny mężczyzna i popatrywał po swoich wiernych rozpalonymi, zielonymi oczyma. Miał rozczochrane, rude włosy i przetykaną siwizną brodę, cały był ubrany na czarno, z kabur po bokach wystawały mu doskonale widoczne, lśniące kolby laserowych pistoletów.

— A jeżeli twoja ręka obrazi cię, obetnij ją — grzmiał Ojciec William głębokim, donośnym barytonem. — Ponieważ Pan jest czymś więcej niż ideałem, czymś więcej niż obiektem miłości, nawet czymś więcej niż stwórcą. — Umilkł na chwilę dla wzmocnienia efektu. — Nigdy nie zapominajcie, moje dzieci, że Pan jest również chirurgiem. Nie używa miecza pokuty. Używa skalpela sprawiedliwości!

Virtue zajęła miejsce tuż przy przejściu w przedostatnim rzędzie.

— Tak, bracia — kontynuował Ojciec William — Mówimy o infekcji. Nie o infekcji ciała, ponieważ ciało jest dziedziną lekarzy, ale o infekcji duszy, która leży w kompetencjach Pana i pewnych tymczasowych emisariuszy, których raczył wysłać, aby Go reprezentowali.

Przerwał i sięgnął po szklanekę, która wypełniona była jakimś niebieskim płynem; wypił łyk i podjął na nowo:

— Widzicie, ciało i duch mają z sobą wiele wspólnego. Po pierwsze i najważniejsze — mogą przynosić przyjemność Panu, ciało przez owocowanie i pomnażanie się, duch przez wielbienie Go i opiewanie Jego chwały. Ale mają jeszcze coś z sobą wspólnego. Każde z nich może zostać zainfekowane. Mogą stać się przyczynami rozkładu, niewidocznego ani dla człowieka, ani dla Boga.

Do namiotu wszedł chudy mężczyzna z zakręconym na końcach wąsikiem i gęstymi, krzaczastymi bokobrodami. Rozejrzał się za wolnym miejscem i w końcu podszedł do Virtue.

— Czy mogłaby się pani troszeczkę przesunąć? — wyszeptał.

Odsunęła się nieco w lewo, żeby zrobić mu miejsce.

— Chciałem przyjść tu wcześniej, ale jeden z moich żniwiarzy zachorował — dodał ze skrucą. — Dużo straciłem?

Potrząsnęła głową i położyła palec na ustach.

— Przepraszam — zamruczał, przenosząc uwagę na Ojca Williama.

— Powiedzcie mi, co robimy, jeśli ciało zostanie zaatakowane przez niegroźną infekcję? — Kaznodzieja spojrzął po wiernych, jak gdyby zachęcając ich do odpowiedzi. Nikt się nie odezwał. — Dajemy mu antybiotyki. A jeżeli zostanie zaatakowane przez poważniejszą infekcję, podajemy inne lekarstwa. — Schwycił swymi wielkimi rękoma krawędzie ambony. — Kiedy natomiast zostanie zaatakowane przez nowotwór, co wtedy czynimy? — Zrobił prawą ręką poziomy ruch. — Odcinamy tę część! — krzyknął.

Umilkł i wziął głęboki wdech, po którym wolno wypuszczał powietrze.

— Ale co z duszą? Co robimy, kiedy zostanie zainfekowana? W jaki sposób zaaplikować jej antybiotyki? Jak amputować kawałek duszy, zanim infekcja się rozszerzy?

— Odpowiedź brzmi — ciągnął dalej Ojciec William — nie jesteśmy w stanie zrobić i nie robimy żadnej z tych rzeczy, ponieważ w przypadku duszy nie ma takich półśrodków, moje dzieci. Wasze ciała to jedynie ubrania, które wdziewacie na przemijającą chwilę waszego życia, a dusze są w was, będziecie je nosić przez całą wieczność i w ich przypadku nie

możecie pozwolić sobie na podjęcie jakiegokolwiek ryzyka. Nie możecie dać żadnego antybiotyku i zalecić dwa tygodnie w łóżku dla odpoczynku, ponieważ ona nie zdoła przyjąć leku i nie zdoła się położyć, a poza tym, jest zbyt, cholera, ważna, aby próbować leczyć ją półśrodkami. — Siła i natężenie jego głosu wzrosło.

— Nigdy o tym nie zapominajcie: nie ma czegoś takiego jak mniejsza infekcja duszy! Nie ma podziału na zakażenia poważne i drobne, śmiertelne i nie powodujące śmierci. Jest po prostu infekcja i kiedy ją zobaczycie, macie ciąć przy pomocy świętego ostrza Pana!

Nagle Virtue poczuła czubek noża dźgający jej klatkę piersiową.

— Bądź cicho i nie ruszaj się! — wyszeptał chudy mężczyzna.

Ojciec William odchrząknął.

— Niektórzy z was chcą wiedzieć: jaki zabieg może wyleczyć duszę? No cóż, moje dzieci, to jest piekielnie dobre pytanie i nie będzie wam się podobała odpowiedź, ponieważ jest tak niemiła jak gniew Pana. — Zamilkł dla efektu. — Nic nie może uzdrowić zainfekowanej duszy. — Rozejrzał się po wiernych, jego oczy płonęły. — Sądzicie, że możecie oszukać Boga fałszywym datkiem? Ha! — Ryknął pogardliwym śmiechem tak gwałtownie, że system głośnikowy wydał z siebie rozdzierający uszy skowyt.

— A więc dlaczego tniemy? Ponieważ — i to jest istota wszystkiego, bracia — musimy działać szybko, żeby powstrzymać infekcję przed rozszerzaniem się na inne dusze. Musimy powstrzymać zło przed przenoszeniem się z jednej duszy na następną!

— Zacznę krzyczeć o pomoc — wyszeptała Virtue.

— To może zacznie się krzykiem — odparł chudy — ale zapewniam cię, że skończy się charczeniem.

— To nic nowego — kontynuował Ojciec William. — Co zrobił Bóg, kiedy ludzie Sodomy zostali zainfekowani? Wyciął raka. Nie czuwał przy swoim chorym pacjencie i nie pielęgnował go w chorobie. Użył noża! A co zrobił, kiedy zobaczył, że cały świat stał się grzeszny? Czy zstąpił z niebios i dokonał małej operacji? Do diabła, nie! Zalał ziemię powodzią na czterdzieści dni i czterdzieści nocy!

Zamilkł i otarł czarną chusteczką pot z twarzy.

— Wkrótce ma zrobić przerwę — wyszeptał chudy. —

Wtedy wstaniesz i bardzo powoli wyjdiesz. Pójdę tuż za tobą.

— Ukłął ją koniuszkiem noża dla podkreślenia swoich słów.

— Dlaczego miałabym to zrobić? — wyszeptała w odpowiedzi. — I tak mnie przecież zabijesz.

— Mogę to uczynić szybko i bezboleśnie, ale mogę sprawiać ci ból godzinami — odpowiedział z obojętnością w głosie. — To jest jedyna alternatywa, jaką masz. Wybieraj.

Zastanowiła się, czy nie rzucić się w stronę drzwi, ale odczytała chyba jej myśl, bo nagle schwycił ją za ramię. Zapadła się w tył na oparcie, jej umysł galopował, poszukując możliwości ucieczki, ale nie znalazła żadnej. Zdecydowała już, że nie opuści namiotu jak owca prowadzona na rzeź — w najgorszym razie zmusi go, żeby ją zabił na oczach dwu tysięcy świadków. Jeśli ten facet działa za wiedzą i zgodą Swagmana, nie mogła być pewna, czy ktokolwiek mszy choćby palcem, żeby go powstrzymać i naprawdę się obawiała, że nikt tego nie zrobi.

— Pomyślelibyście, że niektórzy ludzie nauczeni doświadczeniem nie powtórzą już swoich błędów, prawda? — zapytał Ojciec William, podnosząc głos. — Sądziłibyście, że nauczyli się, iż Bogu nie można zamydlić oczu, że nie można ukryć infekcji przed Jego niebiańską kliniką!

Popatrzył z furią na wiernych.

— Tak moglibyście myśleć... ale niektórzy ludzie nigdy niczego się nie uczą.

Nagle twarz Ojca Williama wypełniła się gniewem.

— Sądziłibyście, że mają przynajmniej tyle oleju w głowie, żeby nie próbować wykonywać dzieła Szatana w domu Pana! — wrzasnął, wyciągając pistolet i wypalając w kierunku Virtue.

Wielu członków widowni krzyknęło, kilku zaklęło, a większość — włącznie z Virtue — rzuciła się na podłogę.

Przez następne trzydzieści sekund panowało straszne zamieszanie. Potem ludzie zaczęli wstawać i pytać, co się stało. Virtue podniosła się i stwierdziła, że chudy mężczyzna nie żyje

— jego lewy oczodół spalony był do kości.

— Nie dotykajcie go! — zagrzmiał Ojciec William, kiedy wierni zaczęli oglądać zwłoki. — Ten człowiek jest poszukiwany listem gończym. Należy do mnie i do Pana.

Kaznodzieja rozglądał się po zgromadzeniu.

— Pan jest moimi oczami i uszami i niewiele umyka uwadze nas obu. — Ojciec William przerwał na moment. — Pan kieruje moją ręką i pomaga mi celnie strzelać. Błogosławione niech będzie imię Pana!

Włożył pistolet z powrotem do kabury.

— To jest lekcja praktyczna, moje dzieci. Jak widzicie, Dobro może powstać ze Złego. Zdejmę teraz skalp z tego grzesznika i oddam go władzom. A wtedy okaże się, że po-

przez swoją śmierć zrobił on o niebo więcej dla Pana, niżby kiedykolwiek za życia pomyślał dobrych rzeczy. — Opuścił głowę. — Zmówmy w myślach krótką modlitwę za jego biedną, grzeszną czarną jak smoła duszę, a potem niech się już o nią martwi Szatan.

Kontynuował kazanie przez następne pół godziny, lekceważąc martwe ciało, mówiąc o wszystkim, co mu przyszło do głowy, począwszy od pojęcia „oko za oko” po kwestię Dnia Sądu Ostatecznego, który — jak zapewniał — nastąpi o wiele szybciej, niż większość ludzi podejrzewa.

Wreszcie gdy skończył, wyjaśniając, że skróci swoje kazanie przez wzgląd na zmarłego, a także dlatego, że urząd pocztowy Demokracji zostanie wkrótce zamknięty, kazał młodemu chłopakowi z miasta wziąć platynową puszkę na dary dla biednych i przejść w tę i z powrotem wzdłuż naw. Nie pozwolił wyjść wiernym z namiotu, póki każdy nie złożył datku.

— Chcę widzieć was tutaj wszystkich jutro wczesnym rankiem — powiedział Ojciec William, dając znak, że teraz już mogą wstać i wyjść. — Tematem będzie „Seks i grzech” i z tego powodu proponuję, żebyście zostawili dzieci w domu. Datki będą wysoko cenione, a jeżeli ktoś chciałby przynieść ze sobą parę kawałków ciasta czekoladowego z grubą warstwą karmelowego lukru, przyrzekam zrobić z niego dobry użytek. — Nagle wskazał na Virtue. — Bądź w pobliżu, młoda damo. Musimy poważnie porozmawiać.

Młody chłopak oddał mu puszkę na datki i szepnął coś do ucha.

— Zatrzymajcie się! — krzyknął głośno i ludzie, którzy jeszcze nie wyszli, zamarli w miejscu.

— Nie wiem, kto z was sławi imię Szatana ani nawet, jakiej jest płci, ale wiem z bardzo dobrego źródła, że próbowano



przemycić pewnego królewskiego jena do puszeki na datki. Cóż, jak wiecie królewski jen nie jest nigdzie mile widzianą walutą z wyjątkiem Obrzeża i coś mi się zdaje, że dobry Pan uzna ten czyn za osobistą zniewagę. A więc mam zamiar poprosić tego przystojnego młodego człowieka, żeby wyruszył jeszcze raz pomiędzy was i zobaczył, czy nie zdołacie znaleźć w swoich sercach trochę uczucia i nie rzucicie jakąś bardziej odpowiednią walutą, za którą kupię jedzenie i szczepionki dla biednych nieszczęśników z Kellatry IV, gdzie się niebawem udaję. A co się tyczy tego — dodał, podnosząc w górę niemile widziany pieniądz — zatrzymam go na wypadek, gdybym wpadł na jakiegoś bogobojnego misjonarza, którego powołanie zaprowadzi tam, gdzie będzie mógł tego użyć.

Chłopak wszedł między tłum i po pewnym czasie wrócił z dwoma nowiutkimi banknotami pięćdziesięciodolarowymi Marii Teresy. Ojciec William skinął głową z aprobatą i chwilę później Virtue została z nim sama w namiocie.

— Chcę ci podziękować — powiedziała, zbliżając się do niego i wyciągając rękę. — Ten facet by mnie zabił, gdybyś go nie dostrzegł.

— Nie mógłbym tego zrobić, gdybyś nie przysłała posłuchać mojego kazania — zauważył, ściskając jej rękę obiema dłońmi. — Tak powinno być. Przychodzisz sławić imię Pana i Pan cię chroni. Wygląda na to, że On sądzi, iż masz wielce ważną sprawę do załatwienia gdzieś tutaj.

— Tak.

— Tak ważną, że człowiek, za którego wyznaczono nagrodę, chciał cię zabić?

— Wynajął go Dimitri Sokol.

— No cóż, jestem pewien, że Szatan grzeje dla pana Sokola specjalne miejsce w piekle. — Umilkł. — A tak przy okazji, ten miał dwoje współników. Co im się przydarzyło?

— Nie będą mnie już więcej niepokoić — stwierdziła Virtue z naciskiem.

Ojciec William skinął z aprobatą głową.

— To dobrze. Cieszę się, że nie potrzebujesz przez cały czas opieki niebios. — Uwolnił jej rękę, podniósł szklankę i pociągnął kolejny łyk swego niebieskiego napoju. — Dlaczego Sokol chce twojej śmierci?

— Nie mam pojęcia — odparła, patrząc mu prosto w oczy.

— Wiesz — na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu — piekielnie dobrze się składa, że Bóg cię lubi, ponieważ w przeciwnym razie poraziłby cię niemotą za kłamstwo w Jego domu.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedziała Virtue.

— Widzisz, młoda damo — zauważył Ojciec William — Dimitri Sokol jest przemytnikiem i oszustem, który myśli, że wypracował swój własny gatunek skruchy. — Zaśmiał się pogardliwie. — Wydaje mu się, że zdoła wymazać wszystko, co kiedyś zrobił, jeśli teraz będzie udawać, że jest pokornym, praktykującym urzędnikiem państwowym! — Spojrzał na nią. — Jak przypuszczam, zaszantażowałaś go, on ci zapłacił i teraz próbuje odzyskać z powrotem swoje pieniądze.

— Ciepło, ciepło, ale to nie tak — stwierdziła Virtue. — W porządku, zaszantażowałam go...

— Absolutnie to akceptuję — wtrącił. — Niektórych trzeba.

— Ale nie chciałam pieniędzy — dodała. — Chciałam informacji.

— Ach — sapnął, a jego oczy rozbłyły z ciekawości. — Jakiego rodzaju informacji?

— Szukam Santiago.

Ojciec William uznał jej stwierdzenie za niesamowicie zabawne.

— Gdybym był tobą, młoda damo, dowiedziałbym się, gdzie jest i podążył w dokładnie przeciwnym kierunku. Te informacje dają ci za darmo i powinny znaczyć dla ciebie o wiele więcej niż wszystko, co ci powiedział Sokol.

— Powiedział mi, żebym porozmawiała z Uroczym Swagmanem.

— Naprawdę? No, cóż, pewnie miał rację. Ale nie sądzę, żebyś znalazła Swagmana, uczęszczając na jakieś kazania, a już zwłaszcza na moje.

— A gdzie mogę go znaleźć?

— Na wzgórzach, jakieś dziesięć mil od miasta. Każdy wskaże ci drogę.

— Mówiono mi także, że trudno się z nim zobaczyć.

— To zależy od tego, kim jesteś i o czym chcesz z nim rozmawiać.

— Podobno możesz mnie do niego zabrać — wyznała bez ogródek.

— Zdaje mi się, że rzeczywiście mogę to zrobić — odparł Ojciec William.

— Naprawdę?

— Ale to jest zupełnie inna historia — powiedział powoli.

— Czy to znaczy, że mnie nie zaprowadzisz?

— Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że to inna historia. — Rozglądał się dokoła po pomieszczeniu, aż jego wzrok natrafił na ciało zabójcy. — Ten poganin niemalże do-

prowadził cię do osobistego spotkania z Bogiem — stwierdził. — Naprawdę byłaś bardzo blisko. Piekielnie dobrze się składa, że Bóg pomaga mi utrzymać ostrość spojrzenia i pewność ręki.

— Już ci podziękowałam. Chcesz, żebym to zrobiła jeszcze raz?

— No cóż, młoda damo. — Wyciągnął czarną chusteczkę i zaczął nią polerować znacząco puszkę. — Bywają podziękowania różnego rodzaju.

Patrzyła na niego przez chwilę, aż w końcu pojęła.

— Tysiąc kredytów — stwierdziła.

Uśmiechnął się.

— To zaledwie rozdział pierwszy tej innej historii, o której mówiliśmy.

— Proszę pamiętać, że jest to historia, a nie wielka powieść — zauważyła. — Dwa tysiące.

Zacisnął wargi i zastanowił się nad propozycją.

— Jak gotujesz? — spytał w końcu.

— Okropnie.

— Szkoda. — Popatrzył na nią przez moment i wzruszył ramionami. — Co u diabła? Razem z pieniędzmi z nagród i twoim szczodrym datkiem postaramy się, ażeby pięć tysięcy dzieci na Kelatrze IV nigdy już nie zapadło na *drypox* i błękitną gorączkę. — Pochylił się, podniósł lewą nogawkę spodni i wyciągnął długi myśliwski nóż, który miał przywiązany do łydki. — Pozwól tylko, że zanim wyjdziemy, zbiorę dla lokalnej policji dowody tego bigosu. — Obrócił się do niej. — Naprawdę masz te dwa tysiące kredytów, co?

Wyciągnęła z torby banknoty.

— Umowa stoi? — spytała.

Wziął od niej pieniądze, włożył do puszek na datki i szeroko się uśmiechnął.

— Pewne jak piekło. Chwała niech będzie Panu!

### 9.

*Swagman pojawia się znikąd i tak to już jest,  
Strzela, zgarnia forszę i znika jak duch.  
Tuż za nim uparcie pędzi policyjny pies,  
Lecz Swagman gdzie indziej pojawia się znów!*

Zważywszy, że władał jedną planetą i miał dość duże wpływy na dziesięciu czy piętnastu innych, można było oczekiwać, że Uroczego Swagmana będzie chronić istna armia przestępców i morderców, ale w rzeczywistości wcale tak nie było. Miał oczywiście informatorów i wiele znajomości zarówno w światku przestępczym, jak i wśród ludzi uczciwych, ale pracował głównie sam.

A wobec tego, że pracował sam, należało się spodziewać, że jest wielkim facetem, goldenrodowską wersją Człowieka-Góry Batesa. Tymczasem był o cal czy dwa niższy niż przeciętny mężczyzna, jakieś dwadzieścia funtów cięższy i prawdę mówiąc nie miał żadnego pozostawiającego niezatarte wrażenie znaku szczególnego, może z wyjątkiem oczu, które były niemal całkowicie bezbarwne.

Biorąc pod uwagę fakt, że nie był typem imponująco potężnym fizycznie, można by założyć, że musi być doskonałym strzelcem albo świetnym ekspertem od wybuchów, albo chociaż, że perfekcyjnie opanował sztuki walki. Ale Swagman nie był dobry w żadnej z tych dziedzin. Miał jedynie dość by-

stry umysł, oryginalne pojęcie moralności i stale pożądał rzeczy, które nie były jego.

Cechy te jednak wystarczyły, żeby przyciągnąć uwagę Czarnego Orfeusza, choć tak naprawdę zainteresował Barda Granicy akcent Swagmana.

Mówienie z akcentem było czymś niezwykłym.

Ludzie mówili z akcentem, kiedy mieszkali jeszcze na Ziemi i prawdopodobnie nabędą go znowu w przyszłości, tysiące lat po całkowitym zasiedleniu i ucywilizowaniu Granic: Wewnętrznej i Zewnętrznej. Ale w epokach Republiki i Demokracji, a nawet wczesnej Oligarchii, co stanowiło razem prawie sześć tysięcy lat, ludzie posługiwali się dwoma językami — językiem swojego rodzimego świata i językiem ziemskim (a w większości wypadków językiem ojczystym był właśnie ziemski). Na Granicy, gdzie ludzie przeprowadzali się z jednego świata na drugi z łatwością równą tej, z jaką ich bracia na Ziemi i Delurosie VIII przemieszczali się z miasta do miasta, język ziemski znali wszyscy: starannie upraszczany przez kolejne dekady stał się niezwykle łatwo przyswajalnym dla każdego kodem, w którym jednak prawie niemożliwe było mówienie z jakimkolwiek akcentem.

Kiedy więc Czarny Orfeusz spotkał Swagmana i usiadł, żeby z nim porozmawiać, rozmowa toczyła się drętwo przez jakieś pół minuty, do chwili aż Czarny Orfeusz dowiedział się, że tamten dorastał wśród obcych.

Swagman nigdy nie zaprzeczał faktom, ale nie można go było w żaden sposób nakłonić, by podał jakiegokolwiek szczegóły. Bardzo lubił stworzenia, które go wychowały i nie chciał ich narażać. Wiedział, że gdyby Czarny Orfeusz wprowadził je do swojej pieśni, przedstawiciele jego własnej rasy odnajdą

obcych i zaczną ich badać i wyzyskiwać, tak jak postępowali ze wszystkimi odkrytymi tubylcami.

W każdym razie bard był absolutnie urzeczony wybuchowym „g” i syczącym „sz” słynnego przestępcy. Pozostał na Goldenrod przez tydzień czy dwa i w tym czasie, jak mówią niektórzy, Swagman pozwolił nawet Orfeuszowi uczestniczyć w napadzie tylko po to, aby tamten mógł zobaczyć, jak to jest. Zostali przyjaciółmi, ponieważ mimo swoich skłonności do łamania prawa Swagman był osobą całkiem sympatyczną. Zobaczył Czarnego Orfeusza kilka lat później i ani słowem nie wspomniał, jak bardzo pieśniarz zranił jego dumę, poświęcając mu tylko jedną zwrotkę. A na Czarnym Orfeuszu fakt, iż Swagman ciągle przebywa na wolności zrobił wielkie wrażenie, więc — bez jakiegokolwiek sugestii ze strony przestępcy — od razu zasiadł do stołu i napisał na jego temat jeszcze kilka strof, w tym jedną z opisem twierdzy bandyty (i uparł się, żeby ją nazwać schloss dla stworzenia rymu).

Kiedy Virtue i Ojciec William stanęli przed ciężkimi drzwiami wejściowymi, dziewczyna uznała, że — schloss czy twierdza — jest to budowla piekielna. W mniej rozwiniętym technologicznie wieku już sam jej rozmiar zdołałby powstrzymać armię. Teraz niewiarygodnie wymyślne systemy zabezpieczające mogły odeprzeć wszelkie ataki z góry, z dołu i od frontu.

W końcu wielkie wrota otworzyły się z lekkim, bucącym dźwiękiem. W korytarzu, z rękoma na biodrach stał Swagman i patrzył na Virtue wesoło i z ciekawością.

Jeśli dziewczyna spodziewała się zobaczyć faceta o wyglądzie herszta bandytów, srodze się zawiodła. Swagman miał starannie wypielęgnowane, gładkie białe palce, pracowicie ustylizowane na najnowszą modę Delurosa blond włosy, czy-

sto wygoloną twarz bez szczególnych znamion czy blizn, a jego strój — od eleganckiej koszuli z aksamitu po półbuty z połyskującej jaszczurczej skóry — wydawał się raczej zapowiadać nowy styl kreatorów Demokracji, niż odbijać aktualnie istniejmy.

— Ach! — zawołał z powitalnym uśmiechem. — Tajemnicza Virtue MacKenzie, jak mniemam?

— A pan jest Swagman? — odparła Virtue.

— Jedyny i niepowtarzalny — stwierdził. — Dobry wieczór, Ojcie Williamie. Jak się posuwa dzieło zbawiania?

— Tak samo jak zwykle — rzekł kaznodzieja. — Szatan jest pełnoetatowym przeciwnikiem.

— Podobno znokautowałeś go dziś po południu — powiedział Swagman ze swoim wyraźnym akcentem. — Ale gdzie się podziały moje dobre maniery? Zapraszam państwa do środka.

Drzwi zamknęły się za nimi i ruszyli za Swagmanem do krótkiego korytarzyka, a stamtąd przeszli do wielkiej sali. Jedną ścianę od podłogi po sufit zajmował kominek, na innych wisały szeregi ręcznie utkanych kilimów z Borigi II i Kalamarii. Na środku stały cztery pięknie wykonane krzesła z dalekiego Antaresa, a po bokach liczne szafki z twardego drewna o licznych półkach, które mieściły skarby sztuki z dosłownie setek światów całej galaktyki.

— Co pani sądzi na temat moich świecidełek? — spytał Swagman, gdy Virtue zatrzymała się, żeby podziwiać kryształowy globus z Bokaru. Przedmiot był nieprawdopodobnie stary — pochodził z czasów, kiedy Bokarianie byli jeszcze rasą podróżników morskich, a nie kupcami żeglującymi po gwiazdach.



— Zapierają dech w piersi! — stwierdziła, zwracając uwagę na *praque*, sławne urządzenie do tortur z Sabeliusza III.

— To celniejsze stwierdzenie, niż ci się wydaje — zauważył surowo Ojciec William. — Wielu dobrych ludzi musiało wydać swoje ostatnie tchnienie, aby Swagman mógł zgromadzić ten nieprawnie uzyskany majątek.

— No, no, daj spokój — zachichotał bandyta. — Wiesz, że nie ma na mnie listu gończego, Ojciec Williamie.

— Jest ich sterta wysoka jak stąd do sufitu — odparł kaznodzieja.

— Ale nie za morderstwa — zwrócił mu uwagę Swagman.

— A ty zostawiasz karanie za pomniejsze przestępstwa pomniejszym sługom Pana.

— To prawda — przytaknął Ojciec William. — Ale niemoralne jest przesadne chwalenie się skarbami tak splamionymi krwią jak twoje.

— Nazywasz chwaleniem się eksponowanie ich za zamkniętymi drzwiami we własnym domu? — spytał Swagman, podnosząc brew. Na chwilę umilkł. — Może zmienimy temat? Jeśli nadal będziemy mówić o mojej kolekcji, na pewno mocno się pokłócimy. — Strzelił palcami. — Zobaczmy, co z kolacją. Kazałem służbie zacząć ją przygotowywać pół godziny temu, kiedy pierwsza bariera ochronna wykryła waszą obecność.

— Służbie? — powtórzyła Virtue. — Nie zauważyłam tu żadnej służby.

— Cała jest zmechanizowana — wyjaśnił Swagman. — I bardzo dyskretna.

— Mieszka pan sam? — spytała zaskoczona.

— Czy tak trudno w to uwierzyć? — odparł.

— Myślałam, że mieszkają tu również pana ludzie — przyznała.

— Jedną z korzyści mieszkania jedynie z robotami jest to, że nigdy przed końcem dnia nie musisz liczyć sreber stołowych albo sprawdzać oszklonych gablot — powiedział. — Poza tym, na co mogliby mi się tutaj przydać ci wszyscy ludzie?

— No cóż, ma pan reputację szefa gangu.

— Tak mi mówiono — stwierdził cierpko.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — nalegała.

— Nie wiem, jak pani sobie wyobraża szefów gangów — zauważył Swagman — ale w gruncie rzeczy jestem tylko dużej skali pracodawcą, który zatrudnia kryminalną klasę robotniczą, niczym więcej. — Dwa razy zabrzmiał dzwonek i Swagman odwrócił się do Ojca Williama. — Kolacja gotowa. Zakładam, że apetyt cię nie opuścił?

— Nigdy nie ruszam się bez niego — szczerze stwierdził kaznodzieja.

Gospodarz wprowadził ich do jadalni wypełnionej jeszcze większą liczbą unikatowych dzieł obcej sztuki. W pokoju dominował stół, który z łatwością mógł pomieścić ze czterdzieści osób. Wszystkie trzy nakrycia przygotowane dla nich znajdowały się na jednym jego końcu. Wszystkie krzesła miały tylko jedną nogę, były znacznie szersze przy podstawie niż na szczycie, ale o wiele bezpieczniejsze, niż na to wyglądały.

— Siadajcie, proszę — zaprosił ich Swagman, odsuwając krzesło dla Virtue.

— Dziękuję — powiedziała, a Ojciec William usadowił się naprzeciwko niej.

— Normalnie przyjąłbym takich miłych gości zastawą robeliańską — zaczął Swagman, usprawiedliwiając się. —

Ale jest w renowacji. Mam nadzieję, że może być atriański kwarc. Jest na swój sposób doprawdy czarujący.

— Ważne jest tylko to, co się na tej zastawie podaje — stwierdził Ojciec William, prostując się w krzesło, aby robot mógł postawić przed nim zakąskę ze zmutowanych skorupiaków.

— Wiem, że interesuje cię jedynie gromadzenie energii, dzięki której możesz toczyć swoją świętą wojnę — powiedział Swagman. — Jednak ci z nas, którzy mają tyle szczęścia, że są widzami raczej niż uczestnikami walki Dobra ze Złem, zostali podwójnie obsypani łaskami: mamy mianowicie okazję zachwycać się także naczyniami, w których ta energia przybywa.

— Znalazł się widz! — warknął Ojciec William, przeżuwając i mówiąc jednocześnie. — Pracuje dla ciebie więcej morderców niż dla Sokola!

— Mam więcej rachunków do zapłacenia — odparł lekko Swagman. — No i muszę dodać, że po twoim małym wybuchu wściekłości na Dariuszu X mam o czterech zabójców mniej niż w zeszłym miesiącu. — Uśmiechnął się do karnodziei. — Wiesz? Sprawiasz mi tak wiele kłopotów, że naprawdę powinienem kazać ci zapłacić za ten posiłek.

Ojciec William odpowiedział mu, szczerząc zęby:

— Nie poproszę cię o dotację do mojej puszki na datki dla biednych i uznamy, że jesteśmy kwita.

— Zgoda, do czasu, aż dziesiątkowanie moich ludzi wejdzie ci w krew.

— Biorę się za każdego zabójcę, który jest ścigany listem gończym! — powiedział stanowczo Ojciec William, wycierając kąciki ust serwetą, którą następnie zawiązał sobie wokół szyi jak śliniak.

Swagman wzruszył ramionami.

— Służą mi wiernie właśnie dlatego, że ich dokładnie nie sprawdzam. Ale to nieważne. Gorzej, że twoje ostatnie polowanie kosztowało mnie ładunek dzieł sztuki z Nelsona XVII. Czy rzeczywiście nie mogłeś poczekać jeszcze tydzień i dopiero wtedy wyruszyć na wojenną ścieżkę?

— Ha! — zamruczał Ojciec William, odsuwając pusty talerz i dając znak robotowi, żeby przyniósł następny.

Swagman zwrócił się do Virtue:

— Nigdy nie wdziewaj sutanny — zauważył z udawaną powagą. — Wysączy z ciebie całe współczucie dla drugiego człowieka.

— Nie wydaje mi się, żeby był pan specjalnie zmartwiony stratą czterech ludzi — zauważyła Virtue.

— To byli tylko ludzie. Zawsze mogę mieć następnych — odparł nonszalancko. — Ale naprawdę boli mnie strata tych kawałków. Była tam kinrossyjska czara ręcznie utoczona, która... — Westchnął i potrząsnął głową, po czym podniósł oczy. — No cóż, przypuszczam, że nasz przyjaciel od czasu do czasu musi zdobyć trochę punktów dla swojego Boga.

— Ciągłe bluźnisz — zauważył Ojciec William surowo — i mogę w którejś chwili zapomnieć, że wszystkie listy, jakie za tobą wysłano, nie wspominają nic o morderstwie.

— Nie myślisz chyba poważnie, żeby skrzywdzić mnie w moim własnym domu, co? — powiedział Swagman, ogromnie ubawiony. — Przestań mówić takie bzdury albo bardzo szybko zacznę w nie wierzyć i wtedy wszyscy tego pożałujemy. Szczególnie ty.

Kaznodzieja popatrzył na niego przez moment i wrócił do pałaszowania jedzenia, które miał przed sobą.

Virtue skończyła zakąskę i gdy tylko odsunęła pusty talerz, robot porwał go błyskawicznie.

— Są bardzo sprawne — stwierdziła, wskazując na wycofującego się robota i na trójkę, która wносиła główne danie. — Muszą kosztować masę forsy na Granicy.

— Rzeczywiście — zgodził się Swagman. — Na szczęście pieniądze, którymi za nie zapłacono, nie były moje.

— Wielce niemoralne — zamruczał Ojciec William z pełnymi ustami.

— Wielce praktyczne — poprawił go Swagman. — To jest wypróbowana i słuszna zasada w interesach: nigdy nie używaj swoich własnych pieniędzy, jeśli możesz użyć pieniędzy kogoś innego. Wiem po prostu, jak tę zasadę stosować. — Zwrócił się do Virtue: — Czy już wystarczająco długo stwarzaliśmy pozory, że jesteśmy jedynie dobrymi przyjaciółmi, czy też woli pani pobawić się jeszcze trochę, zanim zaczniemy rozmawiać o Santiago?

Spojrzała zaskoczona, ale tylko przez moment.

— Porozmawiamy o nim później — powiedziała.

— Jak pani sobie życzy — odpowiedział zgodnie Swagman. — Mógłbym spytać, czy jest jakiś szczególny powód ku temu?

— Cokolwiek ma pan do powiedzenia — powiedziała Virtue — nie chcę, żeby pan mówił o tym przy konkurencji.

— Ma pani na myśli Ojca Williama? — spytał Swagman. Obaj mężczyźni uznali jej spostrzeżenie za ogromnie zabawne.

— Co w tym śmiesznego? — zapytała Virtue.

— Powiesz jej, czy ja mam to zrobić? — Swagman popatrzył na karnodzieję.

Ojciec William spojrzał na Virtue przez stół.

— Ja go nie chcę — oznajmił.

— Nie chcesz pochwycić Santiago? — powtórzyła z niedowierzaniem.

— Właśnie.

— A myślałam, że ścigasz każdego zabójcę, na którego głowę wyznaczona jest nagroda — nalegała. — Przecież za niego jest najwyższa cena ze wszystkich. Dlaczego cię nie interesuje?

— Z kilku powodów — odparł Ojciec William. — Po pierwsze: póki Santiago jest na wolności, jego śladem podążają dwa tuziny łowców głów. Czyli o dwa tuziny mniej konkurentów dla mnie. Po drugie: trudno go odszukać i nie jest to warte takiego wysiłku, niezależnie od forsy za jego głowę. — Zamilkł. — I po trzecie: wcale nie jestem pewny, czy rzeczywiście kogoś zabił.

— Daj spokój — obruszyła się Virtue. — Jest poszukiwany za trzydzieści osiem morderstw.

— Jest jedynie oskarżany o trzydzieści osiem morderstw — odpowiedział Ojciec William. — A to różnica.

— Kłóćmy się o tę kwestię od lat — wtrącił się Swagman.

— Stale chcę się z nim sprzymierzyć, a on ciągle mi odmawia.

— Uśmiechnął się szeroko. — Okazuje się, że Bóg zatrudnia w naszych czasach bardzo wybrednych zabójców. — Zwrócił się do Ojca Williama: — Może masz rację — zauważył złośliwie. — Może sam zabił tylko trzydziestu dwu albo trzydziestu trzech z tych mężczyzn i kobiet, a resztę komuś zlecił.

— A dlaczego ty chcesz zabić Santiago? — spytała Virtue Swagmana.

— Chodzi pani o to, czy jest jakiś inny powód poza takim, że jestem uczciwym obywatelem, który uważa już nawet samo jego istnienie za nieprzyzwoite? — zapytał fałszywie. — Powiedzmy po prostu, że mam swoje powody.

Ojciec William, który skończył już główne danie, odsunął swój talerz i wstał.

— Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, pożegnaj się z wami, zanim ten facet zacznie wyjaśniać wszystkie swoje powody. Nie lubię się kłócić o pełnym żołądku.

Swagman nie ruszył się.

— Placek cytrynowy — powiedział kusząco.

— Z beżowym czubem? — spytał kaznodzieja.

— Przeczuwałem, że to cię zainteresuje.

Ojciec William wyglądał jak gdyby toczył ciężką walkę z samym sobą. W końcu westchnął.

— Przyjdę na niego jutro wieczorem.

— W takim razie nie zatrzymuję cię — stwierdził Swagman. — Jestem pewien, że sam trafisz do wyjścia.

— Dopilnujesz, żeby ta oto dama wróciła bezpiecznie do hotelu? — zapytał Ojciec William.

— Ależ oczywiście.

— Wyłączyłeś wszystkie swoje piekielne maszyny?

— Wszystkie z wyjątkiem tych dwu na dole, ale one są poinstruowane, że mają cię przepuścić.

— Upewnij się, że tak zrobią.

— Jasne — przytaknął Swagman. — I dziękuję ci za przyprowadzenie tej niewinnej młodej kobiety tu na górę do mojej jaskini grzechu.

Ojciec William popatrzył na niego groźnie, potem odwrócił się i wyszedł z pokoju.

— Interesujący człowiek — podsumował Swagman.

— Dziwię się, że wy dwaj nie skaczecie sobie do gardeł — stwierdziła Virtue.

— To nie byłoby korzystne dla naszej pracy — zachotał Swagman.

— Nie rozumiem.

— Pozwalam mu ustawiać namiot na moich światach i przekazuję od czasu do czasu informacje na temat różnych zabójców, którzy pojawiają się w tych stronach. W zamian za to kaznodzieja ostrzeże mnie, jeśli usłyszy, że szuka mnie jakiś łowca nagród, który nie jest tak kapryśny w wybieraniu sobie celu jak on sam.

— Jeśli już mówimy o zabójcach, dlaczego zgodziłeś się, by trzej tacy ścigali mnie po Goldenrod? — zapytała Virtue.

— To była sprawa czysto finansowa — odparł Swagman bez śladu jakichkolwiek wyrzutów sumienia. — Pozwoliłem im tutaj działać w zamian za jedną czwartą ich zapłaty. A Dimitri Sokol oferuje za ciebie dużo pieniędzy.

— Więc każdy może zabić każdego na Goldenrod, jeśli tylko dostaniesz swój udział? — powiedziała, a jej gniew rósł.

— To zależy od sytuacji.

— Co takiego było w mojej sytuacji, że uznałeś, iż można mnie poświęcić?

— Och, wiedziałem, że Lance będzie czekał na ciebie w namiocie i że Ojciec William go dostrzeże. Co się tyczy pozostałej dwójki... No cóż, gdybyś nie była dość dobra, ażeby obronić się przed Henrym i Marthą, nie byłabyś oczywiście również wystarczająco dobra, żeby szukać Santiago. — Upił wina. — Stwierdziłem, iż jeśli dotrzesz tutaj, będziesz warta, żeby rozmawiać z tobą o interesach, a jeśli nie, przynajmniej zostaną wynagrodzony.



Popatrzyła na niego. Była zła, że jej gniew ulotnił się tak szybko w obliczu jego jasnej i sensownej odpowiedzi. Wzruszyła ramionami.

— W porządku. Opowiedz mi o Santiago.

— W końcu na pewno to uczynię — odrzekł. — Ale najpierw ty mi wyjaśnisz, dlaczego cię interesuje i porozmawiamy o twojej spółce z Sebastianem Cainem.

— Moje zainteresowanie jest czysto zawodowe — powiedziała Virtue. — Jestem dziennikarką i wypłacono mi pokażny zadatek, żebym zrobiła o nim reportaż. — Jej twarz nagle spoważniała. — I zamierzam dostać tę historię, obojętnie ile trzeba będzie za nią zapłacić.

— Bardzo dobrze powiedziane — stwierdził Swagman. — Popieram to z całego serca. A co z Cainem?

— Postanowiliśmy połączyć nasze możliwości i informacje

— odparła Virtue. — Nasze interesy są zbliżone, ale nie identyczne. Oboje szukamy Santiago, ale on szuka go dla nagrody, a ja do mojego programu. — Przerwała na chwilę i popatrzyła na niego z zadumą.

— Chcesz coś dodać? — zasugerował wesoło.

— Tylko tyle, że nic w naszej umowie nie zostało spisane.

— stwierdziła, dobierając rozważnie słowa. — Gdybym spotkała kogoś, kto byłby w stanie lepiej mi pomóc... — Pozwoliła zawisnąć zdaniu.

— Cudownie! — roześmiał się Swagman. — Kobieta w moim typie!

— Zawrzemy umowę? — spytała Virtue.

Roześmiał się ponownie.

— Oczywiście, że nie, a przynajmniej nie na takich warunkach. Jeżeli oszukałeś jednego partnera, oszukasz innych, a Cain w twoich oczach musi być przecież potężniejszym przeciwnikiem niż ja. Przecież on jest łowcą głów, a ja tylko nieszkodliwym kolekcjonerem sztuki.

— Mówiono mi, że działasz w zupełnie innej branży.

— Człowiek nie powinien wierzyć we wszystkie obiełływe plotki, jakie usłyszysz — powiedział Swagman. — Tak to już jest. — Uśmiechnął się do niej. — Nie martw się, moja droga. Wygląda na to, że mamy do czynienia z kolejnym przypadkiem zbliżonych zainteresowań. Nie wykradnę ci twojej historii i chociaż oczywiście chciałbym trochę pieniędzy z nagrody, są rzeczy, których pragnę jeszcze bardziej.

— Na przykład?

— Chciałbym mieć o jednego konkurenta mniej — stwierdził Swagman. — Czy wiesz, że kiedyś pracowałem dla niego?

— Nie.

— Tak było. Nie bezpośrednio, w większości wypadków. Prawdę mówiąc, spotkałem go tylko dwa razy.

— Dlaczego przestałeś dla niego pracować? — spytała Virtue.

— Trochę się poróżniliśmy.

— Na jakim tle?

— Poszło o metodologię — odparł wymijająco. — W każdym razie, chociaż sam nie jest kolekcjonerem i tak naprawdę w ogóle nie interesuje się rzeczami ezoterycznymi, ma obecnie w swoim posiadaniu dużo wybornych dzieł sztuki. Gdybyśmy osiągnęli ugode i gdyby nasze małe przedsięwzięcie się powiodło, chętnie potraktowałbym te drobiazgi jak własne.

— O ile drobiazgów chodzi?

— Naprawdę nie umiem powiedzieć. Ale wszędzie na Wewnętrznej Granicy są jego magazyny i punkty przerzutowe. Jestem pewien, że takie trofeum by mnie usatysfakcjonowało. — Wzruszył ramionami. — Niech taki zachłanny, niemoralny facet jak Cain weźmie sobie te przeklęte pieniądze — zakończył z dezaprobatą.

— Zabrałybyś tylko te dziełka, które chciałbyś zatrzymać? — spytała Virtue, nagle dostrzegając jeszcze jedno źródło dochodu poza zapłatą za reportaż.

Potrząsnął głową.

— Obawiam się, że moi wierzyciele mają bardzo kosztowne upodobania, moja droga. Zatrzymam najładniejsze kawałki, a cała reszta pójdzie na wspomnienie mojego trybu życia, z tego nie mała część na zapłatę za moich służących. Nie, moja nagroda za pomoc okazaną tobie, jak mógłby ją określić nasz przyjaciel Ojciec William, to cały majątek należący tymczasowo do Santiago. Możesz na to przystać lub nie.

— Dlaczego nie szukałeś go wcześniej? — spytała Virtue.

— Szukałem, a raczej wysyłałem za nim ludzi — wyjaśnił Swagman. — Żaden z tych, którzy starali się do niego zbliżyć, nie przeżył. Wygląda na to, że muszę działać trochę aktywniej.

— Dlaczego akurat teraz?

— Cóż, przypuszczam, iż powinienem w tym momencie powiedzieć ci: „ponieważ podziwiam twoją odwagę” albo „ponieważ chciałbym przeżyć z tobą wzruszający romans” — odparł. — Ale chociaż obie te kwestie są stanowczo prawdziwe, fakt pozostaje faktem, że po prostu pewne nowe wydarze-

nia upewniają mnie, iż dłuższe czekanie może się okazać głupotą.

— Jakie nowe wydarzenia?

— Anioł przybył na Wewnętrzzną Granicę.

— Cain wspominał mi o nim — powiedziała Virtue.

— Więc bez wątpienia Cain jest świadom jego możliwości — zauważył Swagman. — Proponowałem pośrednio Aniołowi taką samą pomoc, jaką oferuję teraz tobie, w zamian za tę samą zapłatę. Odmówił mi. To znaczy, że albo naprawdę jest takim samotnikiem jak wszyscy uważają, albo jest tak blisko Santiago, iż nie potrzebuje już mojej pomocy. Może chodzi o tę pierwszą kwestię, ale nie mam ochoty ryzykować. — Umilkł.

— To jak będzie? Wchodzę do waszego zespołu czy nie?

— Jeśli chodzi o mnie, to wchodzisz — odparła Virtue.

— Będę musiała omówić to z Czyżykiem, gdy wypełni swoje zadanie na Altair, ale nie sądzę, żeby interesowało go coś poza nagrodą. Oprócz tego — skłamała — nie wiem, po co w ogóle mielibyśmy dyskutować na temat osobistego majątku Santiago.

— Wspaniale! — Wstał i poszedł do małej gablotki. — Trzeba to oblać butelką mojej najlepszej alfardyjskiej brandy.

Wrócił z karafką i dwoma kryształowymi kielichami.

— Za twoje zdrowie i wspaniałą przyszłość, moja droga — powiedział, trącając się z nią kieliszkiem pełym trunku. Patrzył na Virtue z zachwytem, zastanawiając się nad tym, ile fantastycznych prywatnych kolekcji sztuki widziała na świątach Demokracji i ile z nich pomoże mu w przyszłości zlokalizować.

— I za pomyślną współpracę — dodała Virtue, obserwując go z uwagą i w myślach dodając nagrody i pieniądze za

programy, które może jej pomóc uzyskać, odkąd ich spółka zacznie działać.

— Virtue, moja droga — stwierdził, obdarzając ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem — musimy omówić bardzo dużo rzeczy w najbliższych dniach.

— Coś mi się wydaje, że masz rację — odparła z drażącym błyskiem w oku.

Przez następną godzinę pokazywał jej niektóre ze swoich co wspanialszych dzieł sztuki. Potem, po minimalnej ilości uwag i potyczek słownych poszli do łóżka. Oboje uznali to doświadczenie za przemiłe, a jednocześnie udawali, że oceniają je jako absolutnie rozkoszne.

## 10.

*Wokół Żyły Głównej ciągną się wigwamy,  
Wielki Naród Siuksów ma w nich swe mieszkania. Słynie ze  
zbrodni, szczyli się kłamstwami,  
A wszystko to tłumaczy wolą przeznaczenia.*

Czarnego Orfeusza nie interesowały obce rasy. Nie był uprzedzony ani zajadły, ale widział swoje powołanie w tworeniu i uwiecznieniu mitycznego poematu o rasie ludzkiej. W gruncie rzeczy całkowicie się mylili ci, którzy sądzą, iż komponował jedynie nie powiązane z sobą czterowersowe piosenki o wyrzutkach i wykolejeńcach, którzy wywarli na nim wrażenie. Do chwili jego śmierci epos liczył około dwustu osiemdziesięciu tysięcy wersów, głównie w swobodnych stro-

fach albo nierymowanych jambicznych pentametrach i w przeważającej części gloryfikował postępującą ekspansję człowieka na Wewnętrznej Granicy. Małe ballady o niezwykle barwnych ludziach na pozór nie miały dla niego większego znaczenia niż odnośniki i znaki przestankowe w poemacie, a przecież były jedynymi fragmentami wielkiego utworu, które interesowały współczesnych (z wyjątkiem, oczywiście, uczonych, którzy kochali go, kiedy był nieprzejrzysty i wręcz ubóstwiali w tych nielicznych fragmentach, kiedy był niezrozumiały).

W każdym razie, chociaż Orfeusza specjalnie nie interesowali obcy, nie miał nic przeciwko umieszczeniu ich w poemacie, jeśli byli rzeczywiście wyjątkowi nie w kategoriach fizycznych — ponieważ wszystkie rasy są fizycznie jedyne w swoim rodzaju — ale kiedy w jakiś sposób interesujące były ich związki z ludźmi. A pod tym względem Wielki Naród Siuksów był nieco bardziej wyjątkowy niż inne.

W rzeczywistości to wcale nie był naród. Składał się tylko z osiemdziesięciu czterech osobników i jedynie dwa razy w dziejach zdarzyło się tak, że wszyscy znaleźli się na tej samej planecie w tym samym czasie. Reprezentowali siedem różnych inteligentnych ras, wszyscy oddychali tlenem, a każdy z nich pochodził ze świata, który został zdobyty przy pomocy wojska i był uciskany ekonomicznie albo przez Republikę, albo przez Demokrację, która po niej nastąpiła.

Niektóre rasy były tak „obce”, że ujarzmienie nie miało dla nich żadnego znaczenia. Wiele ras obraziło się na ludzi; jedynie nieliczne czegoś się od nich nauczyły.

Do takich wyjątków należał Wielki Naród Siuksów.

Byli to zabójcy i złodzieje, zbóje i przemytnicy, zabawiający się w ludzi na ludzkim terytorium: Wewnętrznej Granicy.

Ale w przeciwieństwie do mniej oświeconych braci, ci udali się prosto do źródła swojej indoktrynacji. Wszyscy zostali długoterminowymi członkami pewnego stowarzyszenia desperatów i zgodnie stwierdzili, że jeżeli mają grać na boisku człowieka, to bez wyjątku powinni lepiej poznać jego podstawowe zasady.

Podczas gdy studiowali tę księgę zasad, przejrzeni także książki historyczne. Dowiedzieli się, że zanim człowiek zaczął ujarzmić i wyzyskiwać rasy, które znalazł wśród gwiazd, długie stulecia praktykował podbój na swojej własnej planecie ojczystej. Przywódcą obcych, upierzonym złociście humanoidem z Moriotha II, wstrząsnęła szczególnie tragiczna historia amerykańskich Indian — narodu systematycznie dziesiątkowanego w jednym z krajów człowieka na jego rodzimym świecie. Przyjął imię Siedzącego Byka, mimo że był fizjologicznie niezdolny do tego, by usiąść i nie miał pojęcia, co to jest byk, a potem nadał każdemu członkowi swojej społeczności indiańskie imię (rzecz zastanawiająca, że tylko jeszcze jedno imię: „Szalony Koń” wywodziło się z plemienia Siuksów), przyswoił sobie pewne praktyki równinnych Indian i nazwał swoją grupę Wielkim Narodem Siuksów. Niedługo później przekonał pozostałych, że powinni zatroszczyć się o równowagę na Wewnętrznej Granicy. Działalność ta miała przynieść im pokaźne korzyści. Wolno im było przyjmować zlecenia tylko od przedstawicieli rasy ludzkiej, popełniać zbrodnie jedynie przeciwko członkom tej rasy i używać do tego celu jedynie broni, którą stworzyli sami ludzie.

Ponieważ Orfeusz, kiedy opisywał ich po raz pierwszy, zapomniał wspomnieć o tym, że są obcymi (poprawił się kilka lat później), większość czytelników poematu sądziła, że chodzi o bandę fanatyków szukających zemsty za niegodziwości po-

pełnione na Indianach amerykańskich w dawnych wiekach. Inni utrzymywali, że jest to towarzystwo nierozważnych idealistów, którzy chcą odegrać się za jakieś wymaginowane krzywdy małej grupki ludzi od dawna tępionej lub asymilowanej. Tylko ci nieliczni, którzy faktycznie mieli kontakt z Siuksami, wiedzieli, że to grupa obcych i zachłannych przestępców, dokładających wszelkich starań, aby dopasować się do kultury Granicy, której nigdy w pełni nie pojęli.

Ale jakakolwiek była motywacja Wielkiego Narodu Siuksów, nigdy nie kwestionowano jego umiejętności. Kwatera Siedzącego Byka znajdowała się na górniczej planecie Diamentowe Żłoże, mniej więcej dwadzieścia pięć mil na południe od miasta Żyła Główna, jedynej faktorii na planecie. Za pośrednictwem wodza można było załatwić sobie kontrakt na wszystko — począwszy od przemycanych towarów, skończywszy na ludzkim życiu.

Można było również kupić najrozmaitsze informacje i właśnie dlatego Swagman poinstruował nawigacyjny komputer statku Virtue MacKenzie, aby obrał kurs na Diamentowe Żłoże.

Dwa dni później wylądowali w maleńkim porcie kosmicznym na przedmieściach Żyły Głównej. Był sam środek poranka i przez unoszącą się nad ziemią parną mgiełkę przebiegało połyskliwe odległe słońce o barwie wyblakłej pomarańczy.

Swagman szybko przeszedł do lokalnego garażu, gdzie spędził niemal dziesięć minut na targowaniu się z właścicielem o cenę za wypożyczenie bardzo starego pojazdu lądowego.

— Dlaczego po prostu nie zapłaciłeś tyle, ile żądał? — spytała rozdrażniona Virtue, otwierając okno, żeby wpuścić



trochę powietrza, kiedy wjechali starym autem na wąską polną drogę wiodącą do siedziby Wielkiego Narodu Siuksów. — Z pewnością możemy sobie na to pozwolić.

— Oczywiście, że możemy, moja droga — przyznał uprzejmie. — Ale ten świat należy do Siedzącego Byka, dokładnie tak jak Goldenrod do mnie. Wódz zdołał się już zapewne dowiedzieć, że tu jesteśmy, a ponieważ nie rozdaje informacji za darmo, nie jest to zły pomysł poinformować go, że nie zawsze zgadzamy się zapłacić pierwszą cenę, jaką się nam proponuje.

— Czy proponuje drugą?

Swagman kiwnął głową.

— Drugą, trzecią i czwartą. Jest oddanym zwolennikiem handlu wymiennego.

— To chyba niezwykle interesująca postać — zauważyła, wyjmując chusteczkę i ścierając pot, który od pewnego czasu spływał jej po twarzy.

— To niebezpieczna postać — poprawił ją Swagman. - i dlatego ja poprowadzę pertraktacje w naszym imieniu.

— Dlaczego uważasz, że zrobisz to lepiej niż ja? — zapytała. — Gdybyś pozwolił mi targować się o pojazd, załatwiłabym nam jakiś z klimatyzacją albo przynajmniej z lepszą amortyzacją.

— Był tylko jeden — właśnie ten.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie: dlaczego sądzisz, że będziesz w tym lepszy niż ja?

— Ponieważ wódz jest obcym — odparł Swagman.

— No to co?

— Zostałem wychowany przez obcych. Wiem, jak działają ich umysły.

— Próbujesz mi powiedzieć, że zostałeś wychowany przez członków rasy Siedzącego Byka? — zapytała bez przekonania.

— Nie.

— Więc jaka to różnica?

— Jestem przyzwyczajony do kontaktów z obcymi.

— A co to ma do rzeczy? To tak jakbyś powiedział, że ponieważ świetnie strzelasz z pistoletu, będziesz dobry w szabli.

— Chrząknęła, kiedy pojazd zjechał w bok, omijając ogromny wybój, a potem zwróciła się do Swagmana: — A właściwie skąd ty się, do cholery, wzięłeś wśród obcych?

— Kiedy miałem trzy lata, moja rodzina znajdowała się na pokładzie statku kolonistów, który rozbił się na Pellinath IV. Przeżyłem tylko ja i jakaś druga osoba, która umarła parę dni później. Bellumi opiekowali się mną, póki nie skończyłem siedemnastu lat.

— Bellumi? — powtórzyła Virtue. — Nigdy o nich nie słyszałam.

— Jak większość ludzi — odparł Swagman. — Nie rozgłaszają o swoim istnieniu.

— Dlaczego nie powiadomili Demokracji, że cię znaleźli?

— To może wydawać się dziwne, ale nawet nie wiedzieli, że Demokracja istnieje. Pozostawałem więc z nimi do czasu, aż na planecie wylądowali ludzie z Oddziałów Pionierskich i zaczęli badać ten światek, a później zabrali mnie z powrotem z sobą.

— Jak czuje się człowiek, dorastając bez jakichkolwiek innych członków swojej rasy? — spytała z zaciekawieniem.

— Wszystko razem wzięwszy, całkiem dobrze. Myślę, że to bardziej zaszkodziło Bellumom niż mnie.

— Tak? A dlaczego?

— Byli społecznością oddaną idei kolektywizmu i koncepcja własności indywidualnej nie była wśród nich zbyt popularna.

— Szeroko się uśmiechnął. — Nie trzeba dodawać, że zupełnie nie podzielałem tego światopoglądu. Nie zagłębiałem na ich planetę od blisko trzydziestu lat, ale założyłbym się, że niektóre dziedziny ich gospodarki nadal się nie zmieniły.

— Zdawałoby się, że powinno im się udać odpowiednio cię zindoktrynować. Byłeś przecież u nich od dziecka — zauważyła Virtue.

— Tak właśnie myśleli. — Zaśmiał się wesoło. — Ale daj dwuletniemu dziecku szmacianą lalkę i powiedz mu, że należy do niego, a będzie miało taki szacunek dla własności prywatnej, jakiego nawet świętek pełen Bellumów nie jest w stanie osłabić. — Przez chwilę milczał. — W każdym razie, zawsze niezbyt chętnie wypełniałem czyjeś rozkazy, a więc kiedy mi powiedzieli, że żadna prawomyślna jednostka nigdy nie chciałaby posiadać jakichkolwiek materialnych dóbr, natychmiast i w niezwykłym tempie zacząłem gromadzić różne rzeczy. — Ponownie szeroko się uśmiechnął. — Sądzę, że zostało mi to do teraz.

— Interesujące — powiedziała i uznając, że woli upaść od kurzu, zamknęła okno. — Ale nie rozumiem, dlaczego miałbyś być dzięki temu lepiej niż ja przygotowany do rozmowy z Siedzącym Bykiem?

— To jest przedstawiciel obcej rasy, który próbuje działać jak człowiek — odparł Swagman. — W podobnym położeniu znajdowałem się trzy dekady temu. — Zamilkł na moment. — A poza tym, miałem już wcześniej z nim do czynienia, znam więc stosowne formy.

— Formy? Jakie formy?

— Wódz jest bardzo przywiązany do rytuałów Indian amerykańskich. Podejrzewam, że większość z nich nigdy nie istniała. Przeczytał po prostu zbyt wiele książek napisanych przez niedopieczonych antropologów.

— I to właśnie zainteresowało Czarnego Orfeusza do tego stopnia, żeby go opisać? — spytała Virtue. Najwyraźniej słowa Swagmana nie zrobiły na niej wrażenia.

— Orfeusz opisał też mniej barwne postaci — odparł Swagman. — Na przykład ciebie czy mnie.

— Może się zdziwisz, ale nie wiedziałam nawet, że pojawię się w tej cholerniej pieśni, aż do chwili, kiedy... się pojawiłam. — Prychnęła z pogardą. — Nadal nie mam pojęcia, gdzie i kiedy mnie widział i nie sądzę, żebym się kiedykolwiek dowiedziała, skąd wziął tę bezsensowną „Królową Cnotkę”.

— Ty nie jesteś cnotliwa i nie jesteś królową — stwierdził lekko Swagman — a ja, niezależnie od tego, co mówi piosenka, nigdy nie byłem ścigany przez policję. Czarny Orfeusz zwykle miesza prawdę z fikcją. Jest w końcu twórcą mitu, a nie historykiem.

— Nie jest ani twórcą mitu, ani historykiem — powiedziała Virtue. — Po prostu napisał balladę, zresztą niezbyt dobrą.

Swagman potrząsnął głową.

— Może ułożył swoją opowieść w formie ballady, ale nie należy do pieśniarzy, którzy pozwalają, by zasady poetyki zakłócały jasność wypowiedzi. Ostatnim razem, kiedy mnie odwiedził, wytknąłem mu, że piosenki o Sokratesie, Altair z Altair i Jednorazowym Charlie mają zupełnie niewłaściwy rytm, a on tylko uśmiechnął się i powiedział, że chce, by jego

utwory brzmiały prawdziwie. Nie muszą być poprawnie zrytmizowane.

— Ten człowiek jest głupcem.

— Jeżeli tak, to bardzo popularnym głupcem.

— Tak sądzisz? — spytała. — Powinieneś posłuchać, co myśli Cain na temat nazywania go Czyżykiem.

— Zamiast narzekać, powinien być zadowolony — powiedział Swagman. — Orfeusz uczynił go sławnym. — Zamyślił się. — Do diabła, upamiętnił nas wszystkich!

— Wiesz co — stwierdziła z zadumą wycierając sobie jeszcze raz czoło — może tracimy tutaj czas.

— O co ci chodzi?

— Czy nie powinniśmy złapać Orfeusza i właśnie jego zapytać, gdzie można znaleźć Santiago?

— On nic nie wie — odparł Swagman. — Gania za nim od przeszło dziesięciu lat.

— Ale przecież go opisał! — zaprotestowała Virtue. — Myślałam, że nigdy tego nie robi, póki nie spotka danej osoby.

— Santiago to specjalny przypadek. Poemat o Wewnętrznej Granicy nie miałby bez niego zbytniego sensu. Oprócz tego Orfeusz zachowuje się jak wszyscy inni artyści, jakich dotąd spotkałem: im bardziej rozwija swe dzieło, tym bardziej jest przerażony, że umrze, zanim skończy i że jakieś zupełnie niekompetentne indywiduum dopisze zakończenie za niego. Chciał być pewien, że zwrotki poświęcone Santiago zostaną napisane, zanim to się zdarzy. Sądzę, że stworzy je jeszcze raz, jeśli kiedykolwiek go znajdzie.

— A tak *a propos*, kto zamówił u niego tę przekłętą piosenkę? — spytała Virtue.

— Nikt. Robi to z własnej woli.

— Miałam więc rację — powiedziała rozstrzygająco. — To głupiec.

— Ponieważ robi coś, co go uszczęśliwia?

— Ponieważ rozdaje to za darmo.

— Może ma wystarczająco dużo pieniędzy — zasugerował Swagman.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

— Znasz kogoś, kto ma wystarczająco dużo pieniędzy?

Swagman uśmiechnął się.

— Może rzeczywiście jest głupcem — stwierdził w końcu.

Droga nagle opadła w zalesioną dolinkę i Swagman zaczął zwalniać.

— Co się stało? — zapytała Virtue.

— Jesteśmy już prawie na miejscu — wyjaśnił, zjeżdżając na bok drogi, która wspięła się z kotlinki i biegła przez wąskie pasmo wzniesień. — Widzisz tę polankę jakieś pół mili przed nami?

— Te dziwacznie wyglądające budowle na środku? — spytała Virtue, wypatrując między drzewami.

— To wigwamy — odparł Swagman.

— Co to są wigwamy?

— Namioty, w jakich mieszkali Indianie amerykańscy. Tak mi przynajmniej powiedział Siedzący Byk. Osobiście wątpię, żeby ktoś kiedykolwiek sypiał w czymś takim jak to. Nie wyglądają na zbyt wygodne i na pewno nie stanowią ochrony przed wrogami. — Wzruszył ramionami. — Ale nie warto spierać się o te sprawy. Mam ważniejsze rzeczy do roboty, niż badanie zwyczajów tubylców.

Zgasił silnik.

— Co teraz? — spytała Virtue.

— Teraz wysiadzimy i pójdziemy pieszo. — Otworzył drzwiczki od swojej strony. Virtue zrobiła to samo.

— Dlaczego? Jesteśmy jeszcze pewnie z pół mili od nich.

— Ponieważ Siedzący Byk życzy sobie, aby jego klienci przychodzili pieszo. Prawdę mówiąc, nie dziwię mu się. W pojeździe jest zbyt wiele miejsc, w których można ukryć całkiem potężną broń, a on ma naprawdę wielu wrogów. — Zamilkł. — Poza tym, w ten sposób może się popisać.

— Chyba nie nadążam za twoim tokiem myślenia — zauważyła Virtue.

— Jeśli wszystko odbędzie się tak, jak podczas mojej poprzedniej wizyty, pomaszujemy do jego obozu w otoczeniu uzbrojonej straży. Myślę, że dzięki temu Byk czuje, że kontroluje sytuację.

Jak gdyby w odpowiedzi na jego słowa, zza drzew i krzaków wyszło czterech obcych. Właściwie wyszło tylko trzech — wysokie, łyse, wychudłe, niebieskie istoty, każda obwieszona bronią jak wieszak — czwarty bowiem, który przypominał włochatą żółtą gąsienicę, raczej wypełził. Wszyscy czterej obcy pomalowani byli w barwy wojenne, a na głowach nosili przepaski. Swagman pomyślał, że wyglądają zupełnie niedorzecznie, ale Virtue uznała ich za dostatecznie interesujących, aby uwiecznić ich przy pomocy miniaturowej kamery holograficznej, którą miała wbudowaną w klamrę paska.

W końcu jeden z niebieskich obcych, który nosił imię Koczis, wycelował w nich strzelbę dźwiękową. Stali bez ruchu, podczas gdy gąsienica obwąchiwała ich w poszukiwaniu broni. Znalazła u Swagmana dwa ukryte pistolety, zabrała je i oddała innemu niebieskiemu. W końcu Koczis wykonał nagły ruch głową w kierunku obozu i dwoje ludzi ponownie ruszyło w tamtą stronę.

Na miejscu Koczis uroczyście poprowadził ich do ogniska, które zagasło ładne parę godzin temu, kazał im usiąść i odszedł, zostawiając ich pod opieką kolejnego niebieskiego obcego.

— Czy zdarzyło się już coś dziwnego? — wyszeptała Virtue.

— Jak do tej pory, to normalnie obowiązująca procedura — odrzekł uspokajająco Swagman.

Potem zasłona pobliskiego namiotu rozchyliła się i wyszedł Siedzący Byk. Virtue ukradkiem włączyła kamerę w sprzączce paska i ukryty mechanizm nagrywający.

Od razu jej wzrok przyciągnęły złote pióra. Początkowo myślała, że są częścią stroju — tak jak olbrzymi obrzędowy pióropusz, który wódz miał na głowie — ale potem zauważyła, że są naturalne i pokrywają całe ciało Siedzącego Byka.

Mierzył około pięciu stóp i był prawie tak szeroki, jak wysoki. Genitalia przykrywał ozdobioną paciorkami przepaską na biodra tak niedokładnie, że Virtue zaledwie raz rzuciła okiem i wiedziała, iż ma z pewnością do czynienia z osobnikiem rodzaju męskiego. Szedł, kołysząc się w biodrach, na potężnych, muskularnych nogach, które były złączone w tak dziwny sposób, że nie mogła sobie wyobrazić, jak mogłyby usiąść lub chociażby przykucnąć na pośladkach.

Jego twarz — podobnie jak twarze pozostałych obcych — pokryta była malowidłami, ale wydawała się niemal ludzka. Virtue nigdy nie przypuszczała, że jakakolwiek upierzona istota może nie mieć do kompletu dzioba. Siedzący Byk posiadał jedynie szeroki, płaski nos i wąskie, ściągnięte usta. Brunatne oczy przecięte były pionowymi szparkami źrenic. Jeśli miał uszy, nie dostrzegła ich, musiały być całkowicie zakryte przez okazały pióropusz.



— Witaj, Siedzący Byku — powiedział Swagman, podnosząc się. — Dobrze cię znowu widzieć.

— Proszę, nie wstawaj — odparł Siedzący Byk zgrzytliwym, kraczącym głosem, który podrażnił słuch Virtue. Nie pasował do niego tak bardzo, że dziewczyna pomyślała, iż obcy celowo go pogłębia, aby zrobić na nich wrażenie. Swagman usiadł z powrotem i skrzyżował nogi.

— Kim jest twoja towarzyszka?

— Virtue MacKenzie — przedstawiła się Virtue, zastanawiając się, czy wyciągnąć rękę, ale uznała, że lepiej nie. — Jestem dziennikarką.

Siedzący Byk przez chwilę patrzył na nią bez wyrazu, potem zwrócił się z powrotem do Swagmana. Odchrząknął i wydał z siebie denerwujący hałas, który zabrzmiał jak pocieranie metalu o metal. Virtue uznała, iż słyszy mimo wszystko jego naturalny głos.

— Jakiej przysługi oczekujesz od Wielkiego Narodu Siuksów?

— Informacji — odparł szybko Swagman.

— Czy zdobycie tej informacji przyniesie szkodę jednemu lub większej ilości ludzi? — spytał Siedzący Byk.

— Tak — powiedział Swagman.

Upierzony obcy zrobił głową nagły, niezdarny ruch, który Virtue wzięła za znak aprobaty.

— Czy zdobycie tej informacji przyniesie szkodę jednemu lub większej ilości przedstawicieli jakiegóż innej rasy?

— Z pewnością nie — stwierdził Swagman.

— Czy jesteś świadomy kary za kłamstwo?

— Powiedzmy, że mogę spróbować zgadnąć.

— Nie zgaduj, Uroczy Swagmanie. — Siedzący Byk wyprostował się, popatrzył prosto na niego i nagle Virtue stwier-

dziła, że wygląda o wiele bardziej jak obcy niż jak Indianin. — Jeśli na skutek informacji, których szukacie, jakakolwiek krzywda spotka kogoś innego niż Człowieka, ty i Virtue MacKenzie zostaniecie odnalezieni, obojętnie gdzie spróbujecie się ukryć. Sprowadzimy was z powrotem na Diamentowe Złoże, będziecie torturowani i w końcu, przywiązani do pała, umrzecie przez spalenie. Czy to rozumiesz?

— Dokładnie.

— W takim razie możesz przedstawić swoją prośbę.

— Szukamy Santiago. Czy wiesz, gdzie on jest?

— Tak.

Zapadła długa cisza.

— No i? — zapytała Virtue.

— Nie powiem wam.

— Nie chcesz czy nie możesz? — spytał Swagman.

— Powiedziałem to, co powiedziałem — odparł ze stoickim spokojem Siedzący Byk.

— Nie wiedziałem, że się go boisz — powiedział protekcyjnie Swagman.

— Nie boję się nikogo.

— No to dlaczego nie mówisz nam tego, co chcemy wiedzieć?

— Ponieważ Santiago prowadzi wojnę przeciwko ludziom. Ponieważ doprowadza ludzi do upadku. Ponieważ przynosi ludziom chaos. Ponieważ to jest Santiago.

— Daj spokój z tym gównem i podaj swoją cenę — rzucała nerwowo Virtue.

Siedzący Byk spojrzał na nią, a kiedy oddychał, jego źrenice rozszerzały się i zwężały.

— Kobiety nie odzywają się w radzie.

— Kobiety z pieniędzmi tak — odpowiedziała. — Ile chcesz?

— Jesteś wyjątkowo irytująca, nawet jak na przedstawiciela twojej rasy — stwierdził obcy. — Zaczynam rozumieć, dlaczego Dimitri Sokol żąda twojej śmierci. — Popatrzył na nią zimno. — Nie ma na to ceny. Nie powiem wam.

— To znaczy, że po prostu masz stracha! — zauważyła oschle Virtue.

— Nie boimy się nikogo — obruszył się Siedzący Byk, rozszerzając usta i prezentując rząd jasnożółtych zębów. — Nawet Demokracja kuli się ze strachu przed Wielkim Narodem Siuksów.

— Który z kolei kuli się ze strachu przed Santiago, zwykłym przestępcą, za którego głowę wyznaczona jest nagroda.

— Santiago nie jest jedynym człowiekiem, za którego można dostać nagrodę — zauważył znacząco Siedzący Byk. — Lepiej o tym pamiętaj.

— Grozisz mi? — zapytała Virtue. — Nic ci do tego, że jakiś przestępca z Pegaza życzy sobie mojej śmierci. Jeśli spróbujesz na tym zarobić, dowiesz się, co się przydarza zarozumiałym obcym, którzy zajmują się zabijaniem dziennikarzy! Czy to jasne?

Siedzący Byk popatrzył tylko na nią i nic nie odpowiedział.

— Teraz porozmawiajmy o interesach — stwierdziła Virtue. — Spiesz nam się.

Obcy nadal się w nią wpatrywał.

— Słuchaj no, ty... — zaczęła z zapalem.

Swagman dotknął jej ramienia.

— Wystarczy — powiedział. — On nie próbuje podbić ceny. Powiedział nam prawdę. I na wypadek, gdybyś zapomniała, dodam, że jesteśmy otoczeni przez jego ludzi.

— Czy próbujesz mi powiedzieć, że przebyliśmy całą tę drogę na próżno? — zapytała Virtue. — Rozmawiamy z nim od trzydziestu sekund i już się poddajemy, czy tak?

— Niezupełnie — Swagman pokręcił głową. — Możemy przynajmniej dowiedzieć się, jak się wiedzie konkurencji. — Zwrócił się ponownie do Siedzącego Byka: — Szukamy także informacji, która nie dotyczy Santiago.

— Słucham.

— Jest taki łowca nagród znany jako Anioł. Powiesz nam, gdzie on teraz jest?

Przeszli przez ten sam obrządek ustalania, komu taka informacja może, a komu nie może zaszkodzić, po czym Siedzący Byk potwierdził, że w parę minut może dowiedzieć się aktualnego miejsca pobytu Anioła. Przywołał niebieskiego obcego o imieniu Vittorio, zapytał go o coś w języku, którego Virtue nie знаła, odprawił go i ponownie obrócił się do Swagmana.

Rozpoczęło się targowanie. Siedzący Byk zażądał 20 000 franków Bonapartego. Swagman roześmiał mu się w twarz i oferował 750 kredytów. Dziesięć minut później 236 kredytów odpadło i w końcu Swagman poddał się. Wynegocjowany rachunek wynosił 6819 kredytów, płatne z góry.

Swagman pogrzebał w kieszeni i wyciągnął plik banknotów. Wezwano Vittoria, który wynurzył się z pobliskiego wigwamu, powiedział coś do Siedzącego Byka, wziął pieniądze, a potem ulokował się kilka kroków za Siedzącym Bykiem, splatając chude ramiona na wąskiej klatce piersiowej.

— Teraz wypalimy fajkę pokoju — oznajmił wódz. — A wtedy dam wam to, co kupiliście.

Skinął głową i brązowe, ślimakopodobne stworzenie — o którym Virtue myślała wcześniej, że to zwykła kłoda — przypełzło do niego i z fałd grubej, pokrytej skorupą skóry wydobyło długą, starannie wykonaną drewnianą fajkę.

Siedzący Byk wyjął jakieś maleńkie urządzenie laserowe, rozpałił kłoc drewna leżące między nim i dwojgiem ludzi, po czym dał znak żółtej gąsienicy, która przyczołgała się, podniosła zapaloną gałązkę i przytrzymała ją tuż nad końcem fajki. Siedzący Byk kilka razy głęboko się zaciągnął, zamruczał z zadowoleniem, a potem przekazał fajkę Swagmanowi, który wypełniwszy usta dymem, przez chwilę wyglądał jakby analizował jego smak i w końcu go wypuścił.

Kiedy przysła kolej na Virtue, wręczył jej fajkę i wyszeptał:

— Nie zaciągaj się.

Zrobiła, jak mówił, wzięła parę machów gęstego szarego dymu, ostrożnie, aby nic nie weszło jej do tchawicy, i wydmuchnęła.

— Co to jest? — spytała, krzywiąc twarz i podając fajkę żółtemu obcemu, który ją przyniósł. — Wydaje się mdło słodkie.

— Jakiś rodzaj halucynogennej mieszanki — odpowiedział cicho. — To jedna z jego ulubionych zabaw. — Skrzywił się. — Każe ludziom palić fajkę tylko po to, by obserwować, jak robią z siebie osłów. Tak mi się przynajmniej zdaje. Wprowadź jednego sztacha tego specyfiku do swojego organizmu i już teraz zobaczysz rzeczy, które zdarzą się dopiero za tydzień. — Zwrócił się do Siedzącego Byka: — Czy mogę otrzymać moje informacje?

— Vittorio mówi, że człowiek, którego szukasz, przebywa aktualnie na planecie Glenovar, w systemie Zeta Haliioth.

Swagman zmarszczył brwi.

— Jesteś pewny?

— Tak.

— Nie mylisz się? A może mówisz o niewłaściwym człowieku?

— Niemożliwe.

— W porządku. — Przerwał na moment. — Dam ci jedyną i ostatnią możliwość rozmowy na temat Santiago. Jesteśmy przygotowani na to, żeby zaproponować ci bardzo szczerą ofertę.

— Nie zdradzę Santiago.

— Myślałam, że zarabiasz na życie zdradzaniem ludzi — wtrąciła się chłodno Virtue.

— Tylko wtedy, kiedy szkodzi to innym ludziom — odparł łagodnie Siedzący Byk.

Swagman wstał i pomógł się podnieść Virtue.

— Jak sądzę, czas się rozstać.

— Nie potrzebujesz innych informacji?

— Nie.

— Nie jesteś ciekaw czegoś na temat ładunku rzeźb antracytowych, który znajduje się w drodze z Pisgah na Genovaith IV? — zasugerował pierzasty obcy, a jego usta skrzywiły się szyderczo w coś, co prawdopodobnie miało być uśmiechem.

Swagman odwzajemnił uśmiech.

— Byłem tego tak bardzo ciekaw, że wydałem rozkazy, aby ktoś dla mnie zapolował na niego, kiedy będzie mijał system Karobus. Miał się tam pojawić, hmm, jakąś godzinę temu.

— Naprawdę?

— Naprawdę — odrzekł Swagman.

— Jesteś bardzo sprytnym łobuzem, Uroczy Swagmanie — zauważył Siedzący Byk.

— W takim razie może powinienem poprosić o członkostwo w Wielkim Narodzie Siuksów — odparł ironicznie.

— Nie zostałeś zaakceptowany — stwierdził wódz. — Twoją broń umieściliśmy w twoim pojeździe. — Odwrócił się i kołysząc się w biodrach poczłapał z powrotem do wigwamu.

Kiedy upierzony obcy zniknął w namiocie, Swagman zwrócił się do Virtue:

— Mamy kłopoty — oznajmił ponuro.

— Tak?

Kiwnął głową.

— Anioł jest dużo bliżej Santiago, niż sądziłem.

— Bliżej niż my? — zapytała.

— Prawdopodobnie.

— Jak to możliwe? Jeżeli wiesz, kogo szuka, dlaczego nie byliśmy pierwsi?

— Nie wiem, kogo szuka. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że ktoś, kto szuka Santiago ma do wyboru trzy czy cztery możliwe kierunki pogoni. My podążamy szlakiem związanym z jego operacjami przemytniczymi. Jeżeli Anioł jest na Glenovarrze, to znaczy, że ruszył szlakiem pieniądza. — Zmarszczył brwi. — I idzie mu cholernie dobrze. Dostał się w cztery tygodnie tak daleko, jak ty przez prawie rok, a nie miał do pomocy Caina. Obawiam się, że znajduje się w odległości trzech albo czterech światów od kogoś, kto prawdopodobnie poda mu nazwę planety będącej siedzibą Santiago, a może nawet da jego adres i numer pokoju.

— Czy Altair z Altair będzie w stanie zrobić to samo dla Caina? — spytała Virtue.

Swagman wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Być może.

— Ale wątpisz w to.

— Naprawdę nie wiem — odpowiedział.

Virtue wstała i obróciła się w stronę wigwamu Siedzącego Byka.

— Hej, Siedzący Byku! — wrzasnęła. — Wyjdź tu jeszcze raz.

Obcy pojawił się chwilę później.

— Jaka jest twoja cena za zabicie Anioła? — zapytała.

Chwilę milczał, jak gdyby rozważał koszty.

— Pięć milionów kredytów — oznajmił w końcu.

— Pięć milionów?! — powtórzyła z niedowierzaniem.  
— Chyba żartujesz! Tyle Demokracja nie oferuje za żadnego przestępcę z wyjątkiem Santiago!

— Taka akcja zajmie czas wielu moim wojownikom i większość z nich zginie. — Przez moment milczał. — Czyżbyś jest zabójcą i twoim współnikiem. Dlaczego nie poprosisz jego, żeby zabił Anioła?

— Bo proszę o to ciebie — warknęła, zastanawiając się z wściekłością, czy jest ktoś na Granicy, kto nie wie, że weszła w spółkę z Cainem.

— Podałem ci moją cenę. Czy ją zapłacisz?

— Jasne, że nie — odparła.

Siedzący Byk wszedł z powrotem do wigwamu, nie mówiąc ani słowa więcej.

— Gdzie uda się Anioł, kiedy opuści Glenovar? — spytała Virtue Swagmana, kiedy ruszyli z powrotem do auta.

Wzruszył ramionami.



— Kto wie? Chyba do systemu Lambda Karos. Prędzej czy później krzyżuje się w nim większość szlaków pieniężnych.

— Może powinniśmy spróbować dostać się tam pierwszy i przeszkodzić mu — rzuciła.

— Nie wiem, z kim ma się skontaktować, ale sądzę, że każdy z jego informatorów zupełnie dobrze umie zadbać o siebie. Potrzebowałabyś do tego specjalisty, kogoś takiego jak Cain.

— A więc? — powiedziała wyczekująco.

Westchnął.

— Bezwarunkowo nie. Potrzebujemy go także do naszych własnych poszukiwań. Z nas trojga Cain ma największe szanse na to, że wyjdzie cało ze spotkania z Altair z Altair, a potem z innymi, podobnymi do niej osobami, które napotkamy podążając naszym tropem. Masz dużo wspaniałych przymiotów, Vir-tue: kłamiesz i oszukujesz, szantażujesz i straszysz z wielką buńczucznością i jesteś absolutnie zachwycająca w łóżku, ale po prostu nie jesteś wykwalifikowanym zabójcą.

Virtue zrobiła głęboki wdech, wstrzymała powietrze na może pół minuty, po czym energicznie je wypuściła.

— Myślisz, że Anioł dotrze tam pierwszy, prawda? — stwierdziła bez ogródek.

Dyplomatycznie wzruszył ramionami.

— Istnieje taka możliwość.

Virtue patrzyła na swojego towarzysza przez długą chwilę i doszła do wniosku, że postawiła na złego konia.

— Może powinnam polecieć do systemu Lambda Karos i poczekać tam na niego — rzuciła tonem, który — miała nadzieję — był wystarczająco obojętny.

— Na niego? — powtórzył Swagman. — Masz na myśli Anioła? Co by ci to dało?

Niewinnie wzruszyła ramionami.

— Kto wie? Może znajdę jakiś sposób, żeby go wysłać w złym kierunku albo przynajmniej sprawię, by poruszał się wolniej. — Chwilę milczała. — W każdym razie mielibyśmy pewne informacje o tym, gdzie jest i jak szybko się posuwa. To mogłoby być dla nas korzystne.

— Obawiam się, że o wiele za łatwo cię rozgryźć, moja droga — odparł Swagman z cieniem wesołego uśmiechu. — W jaki sposób mogłabyś skierować go w złą stronę, jeśli nie wiesz, kim jest jego człowiek ani jakich informacji mu dostarczy? Poza tym od tego, gdzie jest Anioł, o niebo ważniejsze jest posiadanie pewności co do kierunku, w którym zmierza. — Zamilkł, a po chwili zachichotał i potrząsnął głową. — Nie przygotowałaś się zbyt dobrze, Virtue. Anioł nie bierze sobie współników. Nigdy.

— Kto mówił cokolwiek o zostawaniu współnikiem Anioła? — zapytała ze złością, wściekła na siebie, że ją przejrzał.

— Chcę go tylko popilnować i może wysłać w złym kierunku.

— Albo potowarzyszyć mu w dobrym — rzucił z ironią Swagman.

— Jesteś bardzo nieufnym facetem — stwierdziła Virtue.

— Przypuszczam, że to wina twojego wychowania.

— A może wpływ mojego obecnego towarzystwa?

— Chcesz, to marnuj czas, szacując moje winy — powiedziała. — Mój mam zamiar poświęcić na szukanie Anioła.

— Jesteś niemądra, moja droga — zauważył Swagman.  
— Chyba nie słuchałaś Siedzącego Byka zbyt dokładnie.

— O czym ty mówisz?

— Sokol nadal chce cię sprzątnąć. Tak naprawdę, Siedzący Byk nie zabił cię w chwili, w której wylądowałaś na jego planecie jedynie dlatego, że byłaś ze mną, a ja zrobiłem z nim w ostatnich latach masę interesów. Jak tylko wyruszysz sama przed siebie, znajdziesz się znowu w niebezpieczeństwie.

— Sądzisz, że będę się trząść ze strachu przed jakimś pękatym, małym, żyjącym w namiocie obcym? — spytała ze śmiechem.

— Groźny dla ciebie może być każdy, kogo spotkasz. Nie wiesz, kogo Sokol wynajął. — Umilkł. — A jeśli chodzi o Siedzącego Byka, nie wygląda na potężnego i nie otacza się luksusem, ale jest naprawdę niebezpiecznym przeciwnikiem.

— A jeżeli zostanę z tobą, będziesz mnie chronić?

— Nie bezpośrednio. Ale większość ludzi nie lubi mnie obrażać.

— Cain przynajmniej miał trochę doświadczenia w zabi-  
janiu. Uśmiechnął się.

— Ja wynajmuję takich ludzi jak Cain, moja droga.

Doszli do powalonego drzewa, które zagradało im drogę i obeszli je dokoła.

— Co jest największym dziełem obcej sztuki w galaktyce? — spytała nagle.

Przez chwilę rozmyślał.

— Jest taki długi na milę arras na Antaresie III — odparł.

— Pracowało nad nim czterdzieści pokoleń Antaresjan i przedstawia on historię ich rasy w dwu tysiącach wybornych

scenek. Powiedziałbym, że to chyba dzieło najcenniejsze. A dlaczego pytasz?

— Co zaryzykowałbyś, żeby dostać je w swoje ręce?

— Wszystko, co mam.

— Cóż, Santiago to dla mnie najbardziej pożądana osoba w galaktyce i podejmę każde ryzyko, żeby go znaleźć.

— Powinienem dodać, że z pewnością nie zaryzykowałbym dla tego gobelinu życia — stwierdził Swagman.

— Dlatego, że nie jesteś już spragniony — powiedziała Virtue. — Ale ja jeszcze tak. Chcę być najlepsza i jeżeli spotkanie z Aniołem pomoże mi dostać to, czego pragnę, jestem gotowa go szukać.

Dotarli do pojazdu. Swagman wziął z siedzenia swoje pistolety i włożył je z powrotem do kieszeni.

— Jesteś pewna, że nie przemyślisz tego jeszcze raz?

— Tak.

Westchnął.

— W takim razie może lepiej polecę z tobą.

— Nie ma potrzeby, żebyśmy udawali się tam oboje. Będę informować ciebie i Caina o jego miejscu pobytu. — Przerwała. — A ty, jak sądzę, powinieneś udać się na Altair i połączyć z Czyżykiem.

— Może — zgodził się niechętnie. — Jednakże powstaje pytanie: jak mam się tam dostać? Mój statek został na Goldenrod.

— Taki zaradny facet jak ty? — stwierdziła Virtue. — Pewna jestem, że znajdziesz sposób. — Chwilę milczała. — Teraz, proszę cię, odwieź mnie z powrotem na mój statek.

— A jeśli odmówię?

— Wtedy pójde pieszko i rezultat będzie taki sam, tyle tylko, że powiem Cainowi, iż pracujesz dla Anioła i że powinien cię zabić natychmiast, gdy cię zobaczy.

Swagman popatrzył na nią, zdziwiony jedynie tym, że jej słowa wcale go nie zaskoczyły.

— Przypuszczam, że rzeczywiście byś tak postąpiła. — Zamyślił się. — Najbliższą dużą planetą jest Kakkab Kastu IV. Możesz przynajmniej tam mnie podrzucić?

Przez chwilę zastanawiała się nad tą propozycją i kiwnęła głową.

— Parę godzin w tę czy w tamtą nie ma chyba znaczenia. — Obróciła się w jego kierunku. — Ale zapłacisz za dodatkowe paliwo.

— Odejmiemy od twojej połowy wynagrodzenia dla Siedzącego Byka.

— Nigdy nie zgodziłabym się zapłacić Siedzącemu Bykowi — powiedziała. — Dostałabym te same informacje od Caina.

— Jeżeli nadal żyje.

— Jeśli Cain nie żyje, a ty zabijesz Santiago, chcę połowę nagrody.

— Jesteś bardzo operatywna, moja droga — zauważył Swagman, potrząsając głową z udawanym znużeniem.

— Każdy robi to, co musi — powiedziała Virtue.

— Oszczędź mi frazesów — rzucił sucho.

— Uważam, że są to słowa, które pomogą mi przeżyć.

— Tylko do chwili, aż spotkasz Anioła — prorokował. — Wtedy niech Bóg zlituje się nad twoją duszą, ponieważ trafi ona do Niego wkrótce potem.

## Część 3

### KSIĘGA UROCZEGO SWAGMANA

#### 11.

*Idź, jeśliś odważny, lecz ostrożnie, śmiałku,  
Idź do kryjówki Altair z Altair, łowczyni pyszałków.  
Módl się za ludzi podłych i za tych bez grzechu W sidłach  
Altair z Altair czekających kresu.*

O Altair z Altair opowiada się na Granicy wiele historii.

Niektórzy mówią, że — jak Uroczy Swagman — została wychowana przez obcych i dorastała, pałając gorzką nienawiścią wobec własnej rasy, nienawiścią, przed którą Swagman jakoś zdołał się uchronić.

Inni twierdzą, że wcale nie była człowiekiem, że mogła zmieniać swą postać wedle woli i wabić ofiary porywającym, syrenim śpiewem.

Homer z Troi, który sam ogłosił się Poetą Ludzi i spędził pół życia próbując bez powodzenia napisać sagę Granicy, która mogłaby się równać popularnością z eposem Czarnego Orfeusza, przysięgał, że Altair jest mutantem i zabija swych wrogów za pomocą psychicznych piorunów, niszczących ludzkie umysły.

Była nawet grupka na Walpurdze III — planecie zamieszkaney przez czarownice i wyznawców diabła — która wierzy-

ła, że Altair jest uświęconą wyznawczynią czarnej magii i sieje zagładę za pomocą czarów i trujących napojów.

Czarny Orfeusz jak zwykle udał się bezpośrednio do źródła. Po dotarciu do systemu Altair, niemal miesiąc szukał jej siedziby, a potem musiał poczekać jeszcze tydzień, zanim zgodziła się z nim zobaczyć. Kiedy w końcu spotkali się twarzą w twarz, raz tylko na nią spojrzął i uznał, że jest to najpiękniejsza kobieta, jaką widział od śmierci swojej ukochanej Eurydyki.

Gdy wychodził po około dwudziestu minutach, nie był nawet pewien, czy rzeczywiście jest kobietą, ale wiedział, że jest najgroźniejszym zabójcą, z jakim się kiedykolwiek zetknął.

Nigdy więc nie rozmawiał już z Altair z Altair, chociaż napisał o niej parę strof, a kiedy pytano go o nią, zawsze znajdował sposób, żeby zmienić temat. Nikt nie wiedział, co zdarzyło się w trakcie ich jedyne go krótkiego spotkania, ale było oczywiste, że wywarła na nim wielkie wrażenie, którego nie zapomniał do końca swego życia.

Jedną z osób, które żałowały, że Czarny Orfeusz nie napisał o niej trochę więcej, był Sebastian Cain. Może dzięki temu dowiedziałyby się, czego ma się spodziewać, kiedy w końcu tam dotrze.

Dopiero po dwu tygodniach udało mu się odkryć, że kobieta nie mieszka wcale na Altairze III, a raczej pod planetą i teraz przekradał się z bronią w rękę przez zawiłą sieć tuneli i korytarzy prowadzących do jej komnat. Wydał już dziesięć tysięcy kredytów tylko po to, żeby dowiedzieć się, jak i w którym miejscu dostać się do pozornie nieskończonego labiryntu. Później zmarnował niemal całe dwa dni, zwodząc trzech mężczyzn, którzy go śledzili, odkąd wylądował. Wreszcie nie do

końca pewien, czy już nikt za nim nie idzie, wszedł w podziemny świat Altair z Altair.

Było to dwie godziny temu. Od tej pory spadła temperatura, powietrze stało się nieświeże i przejmująco wilgotne. Korytarze jaśniały rozproszonym niebieskim światłem, które nadawało im fantastyczną poświatę, ale żaden z nich nie był oznakowany ani nazwany, więc kiedy Cain znalazł się ponownie w miejscu, od którego zaczął wędrówkę, wyciągnął mały nóż i zaczął na każdym skrzyżowaniu wyrzynać strzałki.

Zatrzymał się, starł z twarzy pot i zaklął pod nosem. Uznał, że do jej siedziby musi prowadzić jakaś krótsza droga i dał sobie jeszcze godzinę na jej znalezienie. Jeśli nie znajdzie kryjówki do tego czasu, wróci po śladach, wyjdzie z powrotem na powierzchnię, odbierze pieniądze od faceta, który sprzedał mu informacje — i może go również zabije — po czym zacznie swoje poszukiwania jeszcze raz od samego początku. Był pewien, że gdyby wrócił do hotelu, ponownie natrafiłby na trójkę swoich prześladowców. Może zdoła oddzielić jednego od pozostałych i jakimś sposobem — bezbolesnym, a może bardzo bolesnym — wydobędzie z niego potrzebne informacje.

Znowu ruszył, zastanawiając się, czy nie lepiej wyjść od razu na powierzchnię i poszukać krótszej trasy. Ale właśnie wtedy dotarł do następnego skrzyżowania i zobaczył, że tunel po prawej stronie jarzy się głęboką czerwienią, która kontrastowała z wszechobecnym dotąd błękitem. Wszedł bez wahania.

Korytarz przed nim ponownie skręcał w prawo, potem prowadził prosto przez około sto stóp, a w końcu robił szeroki półobrót w lewo, ale ani razu nie przecinał się z żadnym innym tunelem. Wreszcie droga rozszerzyła się, ściany stopnio-



wo zaczęły tworzyć sztucznie wykute, doskonale proste kąty z podłogą i sufitem i łowca zauważył, że oświetlenie staje się znacznie jaśniejsze.

W pewnej chwili korytarz nagle się skończył i Cain znalazł się w małym przedsionku, który prowadził do wielkiej, dobrze oświetlonej sali. Kiedy odkrył, że dalszą drogę blokuje elektronowe pole siłowe, odskoczył do tyłu.

Zbliżył się ostrożnie do wejścia i zajrzał do pomieszczenia. Miało około sześćdziesięciu stóp długości, a jego gładkie kamienne ściany iskrzyły się w sztucznym świetle jak wyszlifowane pryzmaty. Łowca nie miał pojęcia, jak wysoko znajduje się sufit, ponieważ pokój ginął w ciemnościach mniej więcej trzydzieści stóp nad podłogą. Przy dwu ścianach stały wielkie zbiorniki wodne, których boki stanowiło przezroczyste pole energetyczne; zbiorniki były wypełnione do wysokości mniej więcej ośmiu stóp obcymi formami życia. Na samym środku pokoju znajdował się pulpit z konsolą komputerową i pięć małych ekranów. Na jednym z nich widniał jakiś tekst, a pozostałe cztery prawdopodobnie przedstawiały różne rejony labiryntu. Po lewej stronie pulpitu stały dwie kanapy. Jedna była pusta, a na drugiej spoczywała na wznak leżąc kobieta. Jej uroda zapierała dech w piersiach. Skórę miała kredowobiałą, włosy długie i czarne, a wielkie oczy pod dziwnie wygiętymi brwiami były niemal przesadnie niebieskie. Rysy twarzy, od pełnych warg i delikatnego nosa do subtelnych w kształcie uszu, były przepięknie wyrzeźbione. Jej prosta szata — która wokół giętkiego ciała układała się w fałdy jak korkociąg i dużo więcej odsłaniała, niż zakrywała — była utkana z metalicznego materiału, który zdawał się zmieniać kolory za każdym oddechem czy poruszeniem kobiety.

— Witam, Sebastianie Cain — powiedziała wesołym, śpiewnym głosem. — Obserwowałam, jak szedłeś przez mój labirynt.

— Ty jesteś Altair z Altair?

— A któżby inny.

— Przeszedłem długą drogę, żeby z tobą pomówić — powiedział.

— Z przyjemnością z tobą porozmawiam. W końcu mamy z sobą wiele wspólnego. — Na chwilę zamilkła. — Dlatego właśnie pozwoliłam, żebyś mnie znalazł. Jesteś dopiero trzecią osobą, która kiedykolwiek weszła do tej sali.

— Jeszcze nie wszedłem — zauważył.

— Muszę dbać o siebie — stwierdziła przepraszająco. — Ostatecznie, za moją głowę wyznaczona jest nagroda, a ty jesteś łowcą głów.

— Nie interesujesz mnie zawodowo — zapewnił. — Mam po prostu parę pytań.

— I dlatego przez cały czas, odkąd wszedłeś do mojego labiryntu, trzymasz w ręku broń?

— Nie jesteś jedyną osobą, która czuje potrzebę ochrony — odparł. — Nie byłbym pierwszym człowiekiem, którego byś zabiła.

— Przecież oboje jesteśmy zabójcami — zauważyła Altair z Altair. — Może ogłosimy rozejm?

— Na jak długo?

— Uprzedzę cię przed jego końcem.

— W takim razie, zgoda.

— Zostaw swoją broń w korytarzu. Możesz zabrać ją, kiedy będziesz odchodził.

— Odpada!

— No to może mógłbyś przynajmniej schować ją do kabury?

Kiedy to zrobił, wstała, podeszła do komputera i przycisnęła mały ośmiokątny guzik.

— Osłona zdjęta — oznajmiła. — Możesz teraz wejść.

— Dziękuję.

Wkroczył do sali. Podłogę pokrywała miękka materia, o wiele bardziej elastyczna niż na to wyglądała; mieniła się kolorami za każdym razem, kiedy Cain stawiał stopę.

— Od dawna chciałam cię poznać — powiedziała Altair z Altair.

— Doprawdy?

— Tak — odparła. — Zabijanie jest profesją samotników. Rzadko jednemu z nas udaje się spotkać z kimś równym sobie.

— Właściwie nie jesteśmy sobie równi — stwierdził Cain. — Ty jesteś zabójcą do wynajęcia, a ja — łowcą nagród.

— Ale w naszej pracy istnieje wiele podobieństw — zauważyła. — Czekanie bez końca na pojawienie się ofiary, moment uniesienia w chwili zabijania, nieufność wobec sprzymierzeńców, tęsknota za samotnością. Nie zgadzasz się ze mną?

— Może — rzucił wymijająco. — Ale różnic jest znacznie więcej i fakt pozostaje faktem, że ty popełniasz morderstwo dla każdego, kto ci zapłaci honorarium, a ja zabijam przestępców na rozkaz mojego rządu.

— To prawda — powiedziała w zamyśleniu. — Ale cóż, nawet wśród łowców nagród są indywidualności wyjątkowe i jedyne w swoim rodzaju.

— W jakim sensie?

— Zwykle ci, którzy zarabiają na życie zabijając przestępców, sami byli kiedyś przestępcami. Rozjemca MacDougal był przemytnikiem, Giles Sans Pitie i Barnaby Wheeler bandytami, nawet Anioł był płatnym zabójcą. Z nich wszystkich tylko ty zawsze działałeś zgodnie z prawem.

— Mylisz się — odparł. — Za moją głowę także wyznaczono kiedyś nagrodę.

— Ale wydawało ci się, że walczysz w imieniu legalnego rządu na uchodźstwie — zauważyła z uśmiechem.

— Skąd o tym wiesz?

— Obserwuję cię od długiego czasu — stwierdziła Altair z Altair. — W naszym zawodzie nie żyje się zbyt długo, jeśli nie zna się twarzy wroga.

— Nie jestem twoim wrogiem.

— A Santiago nie jest twoim — odpaliła. — Dlaczego chcesz go zabić?

— Czemu myślisz, że szukam Santiago? — spytał.

— Któż inny mógłby odciągnąć cię tak daleko od Pamiętki? — odpowiedziała. — Powtarzam pytanie: dlaczego chcesz go zabić?

Uśmiechnął się.

— Zwróciłaś uwagę na wielkość nagrody?

— Jesteś bardzo cenionym łowcą głów. Nie potrzebujesz pieniędzy.

— Każdy potrzebuje pieniędzy.

— Taki człowiek jak ty musi mieć jeszcze inny powód — nalegała.

Popatrzył na nią, a potem wzruszył ramionami.

— To mogłoby coś znaczyć — powiedział w końcu.

— Wiedziałaś, że jesteś inny! — Podeszła z powrotem do tapczanu i rozciągnęła się na nim. — Czy wiesz, że ani jed-

no morderstwo, które popełniłam, nie miało żadnego znaczenia?

— A zabicie gubernatora Alzacji IV? — zapytał.

— W chwilę później mieli nowego gubernatora i w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. — Potrząsnęła głową. Nie, piękno zawodu płatnego zabójcy leży w tym, że żaden czyn niczego nigdy nie zmieni, i dlatego też nigdy nie zaniknie potrzeba morderstwa. Tylko ty spośród wszystkich zabójców, jakich znam, chcesz, żeby twoje działania coś znaczyły.

— Może powiesz mi coś o zabójcach, których znasz — zasugerował Cain.

— Masz kogoś konkretnego na myśli?

— Santiago.

— Nigdy go nie spotkałam.

— Wydaje mi się, że jednak spotkałaś — nalegał Cain.

— Dlaczego?

— Ponieważ zabiłaś człowieka o nazwisku Kastartos.

— Co ma jedno do drugiego? — spytała.

— Kastartos zamierzał zdradzić Santiago — odpowiedział Cain. — Próbował namówić Jonathana Sterna, żeby mu w tym pomógł. Stern nie sądził, żeby akcja warta była ryzyka i powiadomił Santiago o planach tamtego. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że został skazany na śmierć.

Popatrzyła na niego wesoło, ale nie zrobiła żadnej uwagi.

— Gdyby zlecenie wyszło bezpośrednio od niego, nie byłoby aż taką niedorzecznością przypuszczać, że spotkałaś go i wiesz, gdzie go można znaleźć, prawda? — kontynuował.

— Nigdy sam nie korzystał z moich usług — odparła. — Działa tylko przez pośredników.

— Kim oni są?

— To nie twoja sprawa.

— Mówisz tak ze strachu przed odwetem? Przecież nie ma powodu, żeby Santiago dowiedział się kiedykolwiek, że się spotkaliśmy.

— On już wie.

— Skąd?

— Bo to jest Santiago.

— Mówisz o nim, jak gdyby był supermanem — zauważył Cain.

— Jest tylko człowiekiem i może zostać zabity jak każdy inny człowiek — odpowiedziała. — Masz z nim wiele wspólnego.

— Chodzi ci o to, że obu nas można zabić? — spytał szycerco.

— O to też — stwierdziła z zagadkowym uśmiechem.

Nagle Cain usłyszał jakąś kotłowaną w jednym z wodnych zbiorników. Jasnopomarańczowa ryba bez oczu, cienka jak sztylet, wryła się w miękki piasek na dnie i prawie natychmiast wyłoniła z żółto-czarnym, pręgowanym skorupakiem w pysku. Podrzuciła go nad siebie i użądliła w podbrzusze, znajdując miękkie miejsce zapewne przy pomocy czegoś w rodzaju sonaru. Woda wokół zwierząt zaróżowiła się i w jednej chwili pół setki innych morskich przedstawicieli dziesięciu różnych ras rzuciło się do jedzenia.

— To bardzo piękne stworzenia, prawda? — zapytała Altair z Altair, a jej twarz wyrażała prawie nieludzkie podniecenie — I okrutne — dodała śpiewnym głosem. — Zabijają, aby zdobyć pożywienie, a kiedy się zaspokoją, zabijają z miłości do zabijania.

— Interesujące — powiedział dyplomatycznie.

— Fascynujące — zawołała z przekonaniem. — Jest tu jedna ryba, której nie widać, bo żyje w piasku. Piękne zwie-

rzę, jaskrawe jak poranne słońce. Inne istoty polują na nie bez końca, ale nie mogą go znaleźć. — Uśmiechnęła się. — Nazwałam je Santiago.

— A która ryba to Altair z Altair? — spytał.

— Żadna z nich. — Popatrzyła na niego przez półprzyknięte powieki. — Ja zabijam tylko dla pieniędzy.

— Nikt cię nie prosi, żebyś w ogóle zabijała — tłumaczył Cain cierpliwie. — Chcę tylko wiedzieć, gdzie znaleźć Santiago. — Umilkł. — Mogę dać ci procent od nagrody, jeżeli twoje informacje okażą się użyteczne.

— Doprawdy?

— Dziesięć procent ceny, jaka została wyznaczona za jego głowę i mogłabyś przez długi czas przebywać w domu wśród ryb.

— Czy wiesz, co zrobiłabym, gdybyś próbował zabrać mi moją jaskrawą rybkę? — spytała nagle.

— Co?

— Zabiłabym cię, Sebastianie Cain. Zabiłabym cię, ponieważ ta ryba jest moja, ponieważ chciałbyś wziąć coś, co nie należy do ciebie.

Chcesz mi powiedzieć, że masz wyłączność na Santiago?

— Santiago jest mój.

— Więc dlaczego wciąż jeszcze żyje?

— Ponieważ nagroda wzrasta z roku na rok, a ja jestem bardzo cierpliwa. Kiedy stanie się wystarczająco duża, wtedy go zabiję.

— Już teraz jest wielka.

— Będzie jeszcze większa.

Nie martwisz się, że ktoś cię może w tym ubiec?

— Czy rzeczywiście myślisz, że tak łatwo go zabić? — zapytała, najwyraźniej rozbawiona. — Przecież to jest Santiago.

— Jeżeli sądzisz, że i tak nie uda mi się go zabić, dlaczego nie udzielisz mi informacji, których poszukuję?

— To ci w niczym nie pomoże.

W takim razie, tobie też nie zaszkodzi — zauważył Cain.

Patrzyła na niego przez długą chwilę, potem westchnęła.

— Są ważniejsze rzeczy niż informacje.

— Na przykład?

— Darowanie życia — odparła. — Nikt, kto kiedykolwiek wszedł do mojej siedziby, nie otrzymał takiego prezentu. Ale ponieważ prowadzę samotnicze życie zabójcy, mam szacunek dla wszystkich sobie podobnych. Daj słowo honoru, że wrócisz na Pamiątkę i będziesz uganiał się za mniejszymi nagrodami, a może przeżyjesz.

— Chętnie. Jak już znajdę Santiago — odparował, lecz nagle stał się czujny.

— W takim razie jesteś głupcem — stwierdziła. — Wiesz, że właśnie teraz, gdy tu rozmawiamy, Virtue MacKenzie pędzi, żeby przyłączyć się do Anioła i tym samym cię zdradzić? Przez chwilę spoglądał na nią zaskoczony, po czym wzruszył ramionami.

— Nie po raz pierwszy zostanę zdradzony — mruknął. — A jej to nic nie da.

— To prawda — zauważyła Altair z Altair. — Ponieważ kiedy tylko skończymy, mam zamiar dopaść Anioła i wszystkich, którzy z nim pracują.

— Aby uzyskać przewagę? — spytał z ironią.

— Tak.



— Jeżeli zaczniesz zabijać każdego łowcę nagród, który szuka Santiago, spędzisz na tym życie.

— Większość z nich to nic nie znaczące w kosmosie drobinki pyłu — odparła. — Nawet Rozjemca MacDougal i Johnny Jeden Znak. Spośród was wszystkich tylko ty i Anioł jesteście w stanie go znaleźć.

— A Giles Sans Pitie?

— Anioł zabił go w zeszłym tygodniu — wyjaśniła. — Giles odszukał go na Glenovarze i zaproponował przymierze.

— Przerwała i zamyśliła się. — Anioł jeszcze bardziej nie lubi konkurencji niż ja.

— Ostrzegałem Gilesa, żeby trzymał się z dala od Anioła

— rzucił Cain.

— Wiesz oczywiście, że mam wszelkie powody, by zrobić z tobą to samo, co Anioł zrobił z Gilesem Sans Pitie?

— Raczej bym ci nie radził — powiedział Cain złowieszczo.

— Zapomnij o swojej broni, Sebastianie Cain — powiedziała z tajemniczym wyrazem swojej egzotycznej twarzy. — To ci nie przyniesie nic dobrego.

— Wybacz mi, ale nie uwierzę ci na słowo. — Wyciągnął broń i wycelował w kobietę.

— W jaki sposób mnie zabijesz? — spytała, a jej niebieskie oczy zapłonęły rozbawieniem. — Kulka w głowę? To twój znak firmowy, prawda?

— Nie mam smaku firmowego.

— Wszyscy dobrzy zabójcy mają znaki firmowe — odparła. — U Gilesa Sans Pitie to była metalowa dłoń, Rozjemca MacDougal ma cienki jak ołówek promień światła, Człowiek--Góra Bates — gołe ręce, a w twoim przypadku jest to

kulka. Tylko Anioł, który jest biegły we wszystkich rodzajach broni, morduje na różne sposoby.

- A jaki jest twój znak firmowy? — spytał Cain.
- Zobaczysz — odparła łagodnie.

I wtedy znalazł się nagle na skraju jasnoblękitnego strumyka, a gorące sylaryjskie słońce grzało mu szyję. Był boso i czuł między palcami nóg trawę miękką jak aksamit, długą i poruszającą się w takt delikatnej bryzy.

Spojrzał przez strumyk i zobaczył jakąś dziewczynę. Jasne włosy miała starannie splecione w warkocz, skórę opaloną i zdrową. Ubrana była w prostą niebieską sukienkę i stojąc po kostki w wodzie, delikatnie trzymała zadartą do kolan spódnicę.

Pomóż mi powiedziała. W jej głosie wczuć można było niepokój.

- Jest płytko — odparł ze śmiechem Cain. — Po prostu przejdź przez rzeczkę.
- Upadnę.
- Nie.

Nie drażnij się ze mną, Sebastianie — błagała, wyciągając do niego rękę. — Proszę!

- W porządku — zaśmiał się.

Dziwna rzecz uświadomił sobie, kiedy włożył stopę do strumyka i poczuł zimną wodę opływającą nogę — znał tę dziewczynę od lat, kochał ją od pierwszego dnia, w którym ją zobaczył, ale zupełnie nie mógł przypomnieć sobie jej imienia.

- Jennifer — stwierdziła.

Tak. Skinął głową. — Jennifer.

Proszę, pospiesz się, Sebastianie! — krzyknęła. — Boję się!

— Idę.

Pięcioma wielkimi krokami przeszedł strumyk, czując jak woda nadzwyczajnie go orzeźwia.

Widzisz? zaśmiał się. — Nic prostszego. — Przerwał, przez chwilę nie wiedząc, co powinien zrobić. — Co teraz?

— Teraz mnie przenieś.

Nie wystarczy, jeśli wezmę cię za rękę i poprowadzę? — spytał.

— Kamienie poranią mi stopy — powiedziała, na wpół nucąc słowa. — Nie mógłbyś mnie przenieść?

Westchnął.

— Skoro tego chcesz.

— Najpierw musisz odłożyć laskę — zauważyła. Zmarszczył brwi.

— Jaką laskę?

— Tę, którą trzymasz w prawej ręce. Nie możesz nieść mnie i trzymać jednocześnie laskę.

— Oczywiście, że mogę — powiedział, nagle zaniepokojony.

— Ona mnie zrani — stwierdziła — i może nawet porzuci mi sukienkę. Proszę cię, połóż ją, Sebastianie.

Zrobił krok do tyłu, ciągle nie mając ochoty upuścić laski.

— Coś tu jest nie w porządku — mruknął, jeszcze bardziej marszcząc brwi.

— Co takiego? — spytała niewinnie.

— Nie wiem — odparł. — Może to ta sukienka. Sukienka zmieniła się w spódniczkę koloru burgunda i białą bluzkę z żabotem.

— Czy tak lepiej, Sebastianie?

Popatrzył na nią.

— Tak sędzę — stwierdził w końcu.

— Więc przenieś mnie przez strumyk. Jestem już spóźniona.

— Na co?

Zachichotała.

— Przecież wiesz — powiedziała tonem wesołej poufałości.

— Och...

Stał bez ruchu.

— A więc? — spytała wreszcie.

— Ciągle coś mi się nie podoba — odparł zaintrygowany.

— Ale co, Sebastianie?

— Nie wiem. Pozwól, że minutę pomyślę.

— Nie mamy ani minuty do stracenia, Sebastianie. Naprawdę jestem spóźniona. Nie dokuczaj mi.

Zrobił krok w jej kierunku.

— Już prawie wiem.

— Pospiesz się, Sebastianie! — krzyknęła, a w jej głosie pojawiła się nuta niecierpliwości.

Nadal coś mu się nie podobało w tym wszystkim, ale wyciągnął do niej rękę.

— Laska, Sebastianie — Zanuciła kusząco. — Połóż ją.

Odłożył.

— Dziękuję ci — powiedziała z dziwnym uśmiechem na wargach. — Czy jesteś szczęśliwy, Sebastianie?

— Tak myślę — powiedział, z przymusem rewanżując się jej uśmiechem.

— Tak się cieszę.

— Co masz w ręku? — spytał, patrząc na jakiś błyszczący przedmiot, którego przedtem nie widział.

— Kwiat. — I dodała: — Śliczny srebrny kwiat.

— Jest bardzo ładny — zauważył, a jego niepokój znowu wzrósł.

— Czy chciałbyś obejrzeć go dokładniej, Sebastianie?

— Tak, ja... Cholera! — wymamrotał, rzucając się po łaskę. Złapał ją, błyskawicznie przewrócił się na bok, wycelował w dziewczynę i ścisnął.

Nagle rozległ się głośny wybuch i z powrotem znalazł się w podziemnej sali. Altair z Altair leżała na plecach na podłodze, z małej dziurki między jej oczyma sączyła się krew, a w rękę zaciskała kurczowo srebrny sztylet.

Cain stał bez ruchu, gwałtownie dysząc; po całym ciele spływał mu strumieniami pot. Próbował odzyskać spokój. Dopiero po długiej minucie przestały mu się trząść ręce i w końcu włożył broń z powrotem do kabury.

Podszedł do Altair z Altair i spojrzał na nią.

— Niestety na Sylarii nie ma żadnych strumyków — powiedział cicho.

Obejrzał ją, aby się upewnić, że nie daje znaków życia, potem wyprostował się i stał przez chwilę z rękoma na biodrach.

— Świetnie — wymruczał. — Wróciłem do punktu wyjścia.

— Niekoniecznie — odezwał się jakiś głos.

— Kto tu jest? — zapytał, przykucnąwszy natychmiast obok zwłok i pospiesznie wyciągnął pistolet.

— Nazywam się Schussler — stwierdził głos i dopiero wtedy Cain zorientował się, że pochodzi z komputera. — Jeśli wrócisz po śladach, znajdziesz mnie czekającego na ciebie przy wejściu do labiryntu.

— Jak cię rozpoznam? — spytał Cain.

— Nie będziesz miał specjalnych trudności — powiedział głos z gorzkim chichotem. — To jedno mogę ci przyrzec na pewno.

## 12.

*Rani go myśl o ciele, lecz wolał byt od niebycia, Dlaczego Los musiał przeciąć jego taniec życia?*

*Tęskni za kobietą, za dziewiczą świeżością —  
Cyborg Schussler, nieszczęśnik udęczony młodością.*

Podczas wędrówek po Wewnętrznej Granicy Czarny Orfeusz spotkał wiele niezwykłych postaci. Byli wśród nich zabójcy i przemytnicy, kaznodzieje i łowcy nagród, milionerzy i biedacy, święci i grzesznicy — cała plejada wyrzutków, poszukiwaczy przygód i wykolejeńców — ale żaden z nich nie dorastał nawet do pięt Cyborgowi Schusslerowi, którego tragedią było to, że wcale nie chciał być niezwykły.

Taki na przykład Ojciec William uwielbiał być w centrum zainteresowania, a Schussler się tego bał. Sokratesa cieszyła władza, Schussler nią pogardzał. Sebastian Cain szukał samotności, Schussler jej nienawidził. Anioł zabił niezliczoną liczbę ludzi, Schussler miłował każde życie z wyjątkiem swego własnego. Sargassowa Róża nie potrzebowała kontaktu z ludźmi, Schussler za nim tęsknił. Żaden mężczyzna, kobieta czy obcy, których Orfeusz wciągnął do swojej pieśni, nie byli przeciętni, ale Schussler był największy spośród nich. I wcale tego nie pragnął.

Większość ludzi widziała w nim cud nauki, ostatni spektakularny krok ku absolutnemu połączeniu człowieka i maszyny, ale Czarny Orfeusz zajrzał pod połyskującą powierzchnię cyborga, pod to cudo technologii, prosto w udręczoną duszę Schusslera i zapłakał nad tym, co zobaczył.

Spotkali się tylko raz, na Altairze III. Orfeusz pozostał z nim przez cały dzień i noc, a w tym czasie Schussler wyrzucił z siebie dziwną, nieszczęsną historię swego życia. Rozstali się następnego ranka: Orfeusz, aby kontynuować międzygwiazdową podróż, a Schussler, by służyć dalej swej pani i czekać, bez nadziei, na wyzwolenie przez śmierć.

Sytuacja zaczęła się zmieniać, kiedy na Altairze wylądował Uroczy Swagman. Wydawałoby się, że on i Schussler powinni mieć ze sobą dużo wspólnego, ponieważ jeden z nich wzrastał wśród obcych, a drugi był przez nich zbudowany. Ale siłą napędową życia Swagmana było gromadzenie przedmiotów należących do innych osób, podczas gdy Schussler — który sam był przedmiotem — uważał wszystkie formy prywatnej własności za niemoralne. Jednak ponieważ każdego z nich interesował wynik spotkania Caina z Altair z Altair, więc szybko osiągnęli ugodę.

Było wczesne popołudnie, kiedy Cain wyłonił się z labiryntu, przysłaniając ręką oczy przed rażącym, bladeżółtym słońcem. Rozejrzał się wokół po jałowym, czerwonym krajobrazie i w odległości około osiemdziesięciu jardów od siebie zobaczył malutki statek kosmiczny o obcej konstrukcji. Opierał się o niego wytwornie ubrany mężczyzna. Gdy zobaczył Caina, natychmiast skierował ku niemu swe kroki.

— Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że przeżyłeś! — krzyknął z dziwnym akcentem.

— Czy ty jesteś Schussler? — spytał Cain, zaczynając się już pocić w gorącym powietrzu.

— Obawiam się, że nie. Ludzie nazywają mnie Uroczy Swagman.

— Virtue MacKenzie przesłała mi wiadomość, że mogę się na ciebie wpakować — stwierdził Cain. — Nie jesteś przypadkiem trochę za daleko od swojej posiadłości?

— Nie, póki ty tu jesteś, nie — odpowiedział lekko Swagman. Popatrzył po niegościnniej okolicy. — Chociaż można by sobie życzyć bardziej interesującego świata, jak przypuszczam. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, dlaczego ludzie decydują się na życie tutaj; podejrzewam, że jedyne, co rośnie na Altairze III, to kurz i robaki.

— Nie wiem, jaki interes zrobiła z tobą Virtue, ale to była jej, a nie moja transakcja — zauważył stanowczo Cain. — Gdzie jest Schussler? Na pokładzie statku?

— Poniekąd — Swagman wyszczerzył zęby. — Ponieważ tak się składa, że on jest statkiem.

— O czym ty mówisz? — zapytał Cain, strzepując wielkiego czerwonego robaka, który usiadł mu na szyi.

— O Schusslerze — wyjaśnił Swagman. — To cyborg.

Cain popatrzył na statek, którego kadłub połyskiwał w świetle południowego słońca.

— Nigdy jeszcze nie stworzono takiego cyborga — stwierdził z przekonaniem.

— No cóż, teraz taki istnieje. Orfeusz poświęcił mu trzy strofy.

— Orfeusz pisze tak cholernie dużo, że chyba nigdy tego nie przeczytam — odpowiedział Cain.

— Może powinieneś spróbować — rzucił Swagman. — Wtedy dowiedziałbyś się czegoś o Schusslerze.



Cain ponownie spojrzął na pojazd.

— Naprawdę jest statkiem kosmicznym? — spytał z powątpiewaniem.

— Dlaczego miałbym cię okłamywać?

— Od ręki mogę wymyślić setkę powodów. — Zama-  
chał ręką, odstrasżając chmurę maleńkich, komaropodobnych  
insektów. — Jak się porozumiewa?

— Ma system mówiący. Brzmi tak samo jak interkom  
statku.

— Muszę z nim porozmawiać.

— Nigdzie nie odchodzi — zauważył Swagman, obraca-  
jąc się lekko, żeby ochronić twarz przed kurzem wznieconym  
przez nagły, gorący podmuch wiatru. — Może porozmawiasz  
najpierw ze mną?

— O czym?

— O Santiago.

— Nie interesuje mnie to — odparł Cain.

— Santiago?

— Rozmowa z tobą — odciął się Cain. — Słyszałem  
co nieco o tobie, Swagman.

— Same kłamstwa, mogę cię zapewnić — powie-  
dział Swagman przymilnie.

— Doprawdy?

— Z pewnością — odparł Swagman z wesołym uśmie-  
chem. — Ci, którzy mogliby powiedzieć ci prawdę na mój te-  
mat, leżą martwi i bezpiecznie zakopani w ziemi. — Wyciągnął  
cienkie cygaro i zapalił je. — Jeśli nie chcesz rozmawiać o San-  
tiago, to może w takim razie o Virtue?

— A co się dzieje z Virtue?

— To, co Altair z Altair ci mówiła, to prawda. Leci na  
spotkanie z Aniołem.

— Skąd wiesz, co mi powiedziała Altair z Altair? — spytał ostro Cain.

— Byłem świadkiem twojego małego pojedynku — odparł Swagman, strzepując popiół na ziemię, celując i nie trafiając nim w dziesięcionożnego, purpurowo-złotego altairiańskiego żuka.

— Jak to możliwe?

— Z pomocą naszego przyjaciela cyborga, tego tutaj — wyjaśnił lekko Swagman. — Jest połączony z jej komputerem. — Uśmiechnął się. — Byłbym nieszczerzy, gdybym się nie przyznał, że wiedziałem, iż przybyłeś tu, żeby uzyskać informacje od Altair z Altair. Słyszałem o niej trochę i sądziłem, że nie będzie zbyt chętna, żeby ci je dać. Tak więc, ponieważ nie było sensu, abyśmy obaj ryzykowali życie, odszukałem Schusslera i kiedy obserwowaliśmy was stąd, przez cały czas wspierałem cię moralnie. — Swagman umilkł. — Co ona ci zrobiła na samym końcu?

— A jak to wyglądało? — spytał z zaciekawionym Cain.

— Nic specjalnego. Zmuszała cię, żebyś przeszedł przez jakiś strumyk, ale nie mogliśmy żadnego dojrzeć, i zdaje mi się, że próbowała cię przekonać, iż twój rewolwer to laska? — Modulacja jego głosu sprawiła, że zdanie to równie dobrze mogło brzmieć jak pytanie albo jak stwierdzenie.

— Coś w tym rodzaju.

— No cóż, muszę powiedzieć, że jesteś naprawdę tak dobry, jak opowiadała Virtue. Każdy bukmacher postawiłby dziesięć do jednego, że Altair z Altair cię zabije, zwłaszcza na swoim terytorium.

— *Happy end* nastąpił zapewne dzięki twojemu moralnemu wsparciu. — stwierdził Cain cierpko. — Co byś zrobił, gdyby mnie zabiła?

— Bardzo niewiele mógłbym zrobić — przyznał Swagman. — Po twojej śmierci i przejściu Virtue na stronę wroga, zostałbym zupełnie pozbawiony wsparcia.

— Są gorsze rzeczy niż brak popleczników — zauważył Cain. — Na przykład posiadanie ich... — Przerwał. — Dlaczego Virtue postanowiła odszukać Anioła?

— Można by sądzić, że to raczej oczywiste — odparł Swagman. — Doszła do wniosku, że tamten ma więcej szans, żeby zabić Santiago niż ty.

— Tak ci powiedziała?

— Oczywiście, że nie. Oznajmiła, że ma zamiar szpiegować go i może podsunąć mu jakieś fałszywe wskazówki.

— Bzdury — obruszył się Cain.

— Dokładnie tak samo myślę. Z drugiej strony, nie brałbym jej zdrady zbyt serio. Z tego, co wiem o Aniele, przypuszczam, że od chwili, gdy Virtue go spotka, jej życiowe ambicje będą istniały może jeszcze z dziesięć minut. Patrząc na całą sprawę optymistycznie.

— O wiele trudniej ją zabić, niż ci się wydaje. — skomentował Cain. Chwilę milczał; po chwili znów spojrzał na Swagmana. — W porządku — powiedział. — A więc Virtue polecała, żeby się połączyć z Aniołem. Dlaczego sądzisz, że szukam kolejnego współnika?

— Wcale nie musisz szukać — zaśmiał się Swagman. — Masz go tuż przed sobą.

— A jak myślisz, co możesz wnieść do tej spółki? — spytał sceptycznie Cain.

— O wiele więcej niż Virtue — odparł Swagman, wyjmując chusteczkę i obcierając twarz z potu. — Po pierwsze: pracowałem kiedyś dla Santiago. Mogę go rozpoznać.

— Sam go rozpoznam.

— Masz na myśli jego bliznę? — Swagman roześmiał się.

— A jeśli będzie nosił rękawiczki albo ma sztuczną protezę zamiast ręki? — Jego oczy zwięzły się. — Wiem również inne rzeczy — dodał przekonywająco. — Wiem, do jakiego świata zmierza Anioł, żeby wpakować się tam w kłopoty. Znam pół tuzina facetów, którzy są nadal na żołądźce Santiago. Potrafię zlokalizować niemało magazynów, w których trzyma kradzione towary. — Przez jego twarz przemknął uśmiech zadowolenia.

— Jak można to porównać z tym, co mogłaby dla ciebie zrobić Virtue MacKenzie?

— Czego chcesz w zamian? — spytał Cain, z uwagą mierząc go wzrokiem.

— Nic, co mogłoby cię zainteresować — odparł Swagman.

— Chociaż gdybyś poczuł, że jesteś zobowiązany dać mi jakiś procent nagrody, prawdopodobnie nie umiałbym odmówić.

— A cóż takiego cię interesuje?

— Czy wiesz, w jaki sposób zarabiam na życie? — odważemnił się pytaniem Swagman.

— Kradniesz, szmuglujesz i zabijasz — stwierdził Cain. Swagman zaśmiał się.

— A co poza tym?

— Przypuszczam, że sam mi powiesz.

— Nie minę się z prawdą, jeśli ci powiem, że kolekcjonuję dzieła sztuki. Ty chcesz pieniądze, a mnie one w zasadzie nie interesują. Chcę pewnych rzeczy, które należą do Santiago, a które ciebie nie interesują. Virtue, jeśli opierać się na nieprawdopodobnym przypuszczeniu, że faktycznie mówiła

prawdę i nie próbuje połączyć się z Aniołem, chce tylko dziennikarskiej sensacji. Żadne z naszych pragnień nie koliduje ze sobą pod 194 żadnym względem. Nie widzę zatem powodu, żebyśmy nie mogli pracować razem.

— Dlaczego nie poszukasz go sam? — spytał Cain, wycierając oko, w które dostało się nieco potu. — W ten sposób miałbyś i nagrodę, i dzieła sztuki.

— Nie jestem zabójcą — stwierdził Swagman. — Jak już powiedziałem, ciągle nie wiem dokładnie, co Altair z Altair próbowała ci zrobić tam na dole, ale jestem przekonany, że nie przeżyłbym tego. A z pewnością dużo łatwiej zabić ją niż Santiago. Dostarczę ci informacji, a ty zajmiesz się stroną praktyczną. Tak sobie wyobrażam naszą umowę.

— Wezmę to pod uwagę.

— Lepiej rozważ to szybko.

— Dlaczego? — spytał ironicznie Cain. — Znajdziesz sobie innego zabójcę?

— Nie — odparł z powagą Swagman. — W zupełności mi odpowiadasz. Ostatecznie zabiłeś przecież Altair z Altair. Wiesz, ilu łowców nagród zginęło, próbując się do niej zbliżyć? — Pacnął w insekta, który bzyząc latał wokół jego twarzy. — Ale uczestniczysz w wyścigu i każda minuta zwłoki to punkt dla Anioła.

— Wydawało mi się, że mówiłeś coś o jakiejś planecie, która przysporzy mu trudności.

— Tak — zapewnił go Swagman. — Ale on je pokona. Jest najlepszy.

— Więc dlaczego nie zaoferowałeś swoich usług jemu?

— Ponieważ on ich nie potrzebuje. A ty tak. — Wyciągnął rękę. — A więc, umowa stoi?

Cain spojrzał na jego rękę, ale nie uściśnął jej.

— Co masz do stracenia? — dodał Swagman.

Cain patrzył na niego przez długą chwilę, w końcu prawie niedostrzegalnie kiwnął głową.

— W porządku, do czasu aż twoje informacje nie okażą się fałszywe.

— Nie okażą się.

— Poddajmy je próbie. Gdzie Virtue MacKenzie chce znaleźć Anioła?

— W Lambda Karos III, jeśli będzie miała szczęście.

— A jeśli nie będzie miała szczęścia?

— Albo na Nowym Ekwadorze, albo na Questados IV. To zależy od tego, czego dowie się na Lambda Karos.

Cain patrzył na niego przez moment.

— Półpensówka Terwillinger czeka na mój powrót przy statku. Przypuszczam, że najlepiej będzie, jeśli odeślę go stąd, żeby miał oko na Virtue, kiedy ona będzie pilnować Anioła. Będziemy przynajmniej wiedzieli, na czym stoimy.

— Możesz mu zaufać? — spytał Swagman.

— Mogę mu zaufać, ponieważ działa w swoim interesie — odparował Cain. — Wzbogaci się, jeśli pozostanie mi wiemy.

— Pytam tylko z ciekawości: jeśli on jest na twojej liście płac, dlaczego nie pomógł ci w walce Altair z Altair?

— Z tego samego powodu, co ty — wyjaśnił Cain. — Był w drodze.

— No tak, rozumiem — powiedział Swagman chichocząc. — A tak przy okazji, jeśli mówimy o tym samym Terwillingerze słyszałem, że depcze mu po piętach Człowiek-Góra Bates.

— Wiem. Jeszcze jeden powód, dla którego mały karcciarz będzie w stosunku do mnie lojalny. — Cain zamilkł na

chwile, a Swagman w tym czasie rzucił cygaro i wdeptał je obcasem w błotnistą ziemię. — A teraz, o ile nie masz już nic do dodania, proponuję porozmawiać ze Schusslerem.

— Tylko zachowuj się przyzwoicie. — Pogroził mu palcem Swagman, idąc o krok za łowcą nagród, który skierował się w stronę statku kosmicznego. — Jest może trochę dziwny, ale potrzebujemy go.

— Jego? Masz na myśli Schusslera?

Swagman skinął głową.

— Nie jestem tu jedyną osobą, która posiada cenne informacje. Schussler zna każde miejsce, w którym była Altair z Altair, każdego, kogo widziała. Nawet jeśli sama nigdy nie spotkała Santiago, jest prawie pewne, że to Schussler przekazywał do Kastartosa. Musi wiedzieć, skąd to zlecenie pochodziło.

Co można zaoferować statkowi? — spytał z ironią Cain. Nie może mieć żadnego pożytku z pieniędzy.

Jestem pewien, że coś wymyśli — uspokajał go Swagman.

— No, nie wiem... — wątpił Cain. — Jakiś facet, który chciał zostać statkiem kosmicznym...

Mam wrażenie, że „chciał” nie jest w tym wypadku odpowiednim słowem.

Dotarli do statku i przystanęli. Nagle pokrywa luku otworzyła się.

-- Idz - powiedział Swagman, wyciągając następne cygaro. — Dołączę do ciebie za parę minut.

-- Dlaczego? — spytał podejrzliwie Cain.

Swagman podniósł cygaro.

-- Nie lubi, kiedy palę wewnątrz.

Cain skrzywił się.

— Gdybym był w jego sytuacji, prawdopodobnie też nie chciałbym, żeby ktoś kopcił w moim brzuchu.

Wszedł do małego statku przez właz i znalazł się w jasno oświetlonej kabinie. Pulpity sterownicze i terminale były niepodobne do żadnych, jakie kiedykolwiek widział i nawet cyfrowe odczyty na ekranach wypisane były w nie znanym mu systemie.

Schussler? — zapytał z wahaniem. — Jesteś tutaj?

-- Znwsze jestem tutaj — odrzekł Schussler, a jego melodyjny głos okazał się zupełnie inny, niż spodziewał się łowca.

— Jestem Cain.

— Wiem. Widzę cię.

--- Tak? — spytał Cain zaskoczony. — W jaki sposób?

Jestem podłączony do różnych receptorów.

A więc możesz zaglądać do wnętrza samego siebie tak samo dobrze, jak widzieć na zewnątrz?

-- I słyszeć, i czuć zapach, a także używać zmysłów, jakich nie może sobie wyobrazić żadna istota ludzka.

— To musi być wygodne — zauważył Cain.

— Jeśli ktoś lubi być statkiem kosmicznym.

— A ty lubisz?

— Nie.

— Więc dlaczego nim jesteś?

— To się zdarzyło siedemnaście lat temu — zaczął opowiadać Schussler. — Byłem przemysłowcem, leciałem na Alfa Prego na jakąś konferencję. Mój statek rozbił się na Kallos II.

— Nigdy nie słyszałem o tej planecie.

— To peryferyjny świat należący do rasy gwiazdnych podróżników zwanej Graalami.

— O nich również nigdy nie słyszałem — stwierdził Cain.



— Demokracja ich jeszcze nie zasymilowała — odpowiedział Schussler. — W każdym razie rozbiłem się i oni mnie znaleźli, ale gdy już oddzielili mnie od całego tego poskręcane go metalu, nie pozostało ze mnie zbyt wiele. — Głos umilkł na chwilę, a kiedy zaczął mówić na nowo, stał się o wiele bardziej drżący: — Utrzymywali mnie przy życiu, Bóg wie jak, przez pięć miesięcy, aż przebudziłem się ze śpiączki, a wtedy dali mi do wyboru: umrzeć szybko i bezboleśnie albo przyjąć od nich życie cyborga. — Schussler westchnął. — Byłem wtedy młodszy i chciałem zobaczyć wiele rzeczy, wybrałem więc to drugie.

— Ale dlaczego jako statek kosmiczny? — zapytał Cain.

— Kalkos II jest światem, w którym buduje się statki. Użyli tego, co mieli.

— A co z protezami? — przyciskał go Cain. — Sam mam sztuczne oko, które wprawiłem sobie pewnego dnia i widzi ono lepiej niż to stracone.

— To nie byli ludzie — wyjaśnił Schussler.

— Mogli skontaktować się z jakimś ludzkim światem.

— Nie zostało ze mnie zbyt wiele. — Przerwał. — Czy chciałbyś zobaczyć moją prawdziwą istotę, ludzkie resztki, które kierują tym statkiem?

Cain wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie?

— Przejdź do terminala komputera znajdującego się najbliżej ekranu obserwacyjnego.

— Tego?

— Tak.

— Te klawisze nie mają żadnego sensu.

— Napisy są w języku Graalów. Naciśnij trzeci od lewej w górnym rzędzie.

Cain zrobił, co mu powiedziano. Schussler pokierował nim przy naciskaniu jeszcze siedmiu klawiszy.

Nagle do tyłu odsunęła się część wewnętrznej ściany, ukazując małe, czarne pudełko — długie na dwanaście cali — do którego przyłączone były dosłownie setki przewodów i rur.

— O Jezu! — mruknął Cain. — Tylko tyle z ciebie zostało?

— Widzisz teraz, dlaczego nie zastanawiali się nad założeniem protez? — spytał gorzko Schussler, kiedy zasunęła się płyta w ścianie. — Ale wykonali wcale niezłą robotę, zważywszy całą sytuację. Kiedy próbuję poruszać palcami, zmieniam żyroskopy. Kiedy czuję głód, zaspokajam go odpowiednim dla mojego syntetycznego ciała paliwem. Kiedy chcę mówić, uruchamiam skomplikowany system mikroskopijnych spiral wibracyjnych i ostateczny rezultat słyszysz w tej chwili. Nie kontroluję tego statku, ja nim jestem. Za pomocą aparatury panuję nad wszystkimi moimi funkcjami, pilotuję samym sobą, porozumiewam się z innymi statkami, nawet celuję i strzelam, kiedy zaistnieje trzeba. Prawdę mówiąc, nie znam jeszcze wszystkich moich możliwości, ponieważ komputery Graalów nie opierają się na systemie dwójkowym ani na jakimkolwiek innym systemie znanym ludziom i stale, każdego dnia uczę się o sobie nowych rzeczy.

— To wygląda na całkiem interesujący żywot — stwierdził Cain bez większego entuzjazmu.

— To jest straszny żywot — odpowiedział Schussler.

— Cóż, ale lepsze to, niż być martwym.

— Kiedyś też tak myślałem — odparł Schussler. — Ale myliłem się. — Chwilę milczał. — Mogę dla ciebie zrobić analizę powietrza, ale nie mogę nim oddychać. Nie ma takiej

potrawy, którą możesz sobie wyobrazić, a której nie umiałbym przygotować w mojej kuchni, ale nie mogę jej skosztować. — Nastąpiła kolejna przerwa, a potem piękny głos przemówił znowu, tym razem w bardziej bolesnym tonie: — Mogę policzyć pory w skórze na kobiecej ręce, dać chemiczny rozkład jej budowy, zmierzyć jej paznokcie do milionowych części centymetra, ale w żadnym razie nie mogę jej dotknąć!

— Jeżeli jesteś tak nieszczęśliwy, dlaczego się nie zabijesz? — spytał Cain. — To nie powinno być zbyt trudne: trzasnąć w jakąś planetę albo zważyć się prosto w sam środek jakiejś gwiazdy.

— Człowiek mógłby — zauważył gorzko Schussler. — Maszyna nie.

— Ale przecież ty jesteś człowiekiem — powiedział Cain.

— Po prostu nałożyłeś na siebie statek zamiast ubrania.

— Chciałbym, żeby tak było, ale niestety tak nie jest. Jestem statkiem i statek jest mną, a kiedy Graalowie połączyli nas dwoje w ten diabelski alians, zaprogramowali mi dwie dyrektywy, które są tak potężne, że nie mogę ich zmienić. Pierwsza z nich ma chronić moją egzystencję.

— A druga?

— Zbudowanie mnie kosztowało Graalów dużo pieniędzy. Część z nich zwróciła im się, kiedy sprzedali mnie na aukcji. Wyjaśnili mi, że ponieważ długość mojego życia jest teraz właściwie nieograniczona, będę zapewne szczęśliwy, jeśli spędzę niewielką jego część, pomagając im zamortyzować poniesione na mnie koszty. — Westchnął, a był to harmonijny odgłos, który przypomniał Cainowi dźwięk powietrza przepływającego przez piszczałkę organową. — Moją drugą dyrekty-

wą jest posłuszeństwo rozkazom mojego właściciela przez okres trzydziestu lat.

— Kto jest twoim właścicielem?

— Była nim Altair z Altair — odpowiedział Schussler.

W tej właśnie chwili do statku wszedł Swagman.

— Cholera, zbyt gorąco tam na zewnątrz — powiedział, 200 podchodząc do wyściełanego siedzenia i osuwając się na nie. Obrócił się do Caina. — Zadał ci już pytanie?

— Które pytanie? — spytał Cain.

Swagman zaśmiał się.

— Nie wiedziałem, że ma w zestawie więcej niż jedno. — Przerwał. — A więc, Schussler, zadałeś już je?

— Jeszcze nie — odparł cyborg.

— Pytam jeszcze raz: jakie pytanie? — rzucił Cain.

— Mamy jeszcze parę rzeczy do przedyskutowania — wykręcił się Schussler. — A potem będę miał prośbę.

— Wiesz? — powiedział Swagman do Caina. — Zaproponowałem mu dobrą, stałą posadę na Goldenrod, ale mi odmówił.

— Nie będę przewoził kradzionych rzeczy — stwierdził stanowczo Schussler.

— Ktoś mógłby ciebie samego uznać za kradzioną rzecz — zauważył uprzejmie Swagman — ponieważ do wypełnienia kontraktu zostało ci jeszcze trzynaście zaległych lat.

— Nie jestem kradzioną rzeczą — odgryzł się Schussler.

— Będę należał do Caina przez najbliższych trzynaście lat.

— Co?! — zapytał Cain przestraszony. — To nie jest prawo altairiańskie.

— Taki jest jeden z warunków mojej umowy z Graalami — stwierdził Schussler. — Zdawali sobie sprawę z tego,

że Altair z Altair bez przerwy łamie ludzkie prawo, więc formalnie ustalono, że gdyby została zabita przez jakiegoś przedstawiciela rządu ludzi, zanim mój kontrakt wygaśnie, wtedy stanę się własnością tego człowieka. Jako łowca nagród, któremu Demokracja zapłaci za zabicie Altair, stajesz się moim nowym właścicielem.

— Ależ ja nie chcę być twoim właścicielem — stwierdził Cain.

— Chwileczkę — wtrącił się Swagman. — Nie bądź taki szybki.

— Schussler, kiedy byłem w jaskini, zasygnalizowałeś, że możesz mi pomóc — powiedział Cain, patrząc na tablicę, za którą egzystował właściwy cyborg. — Co miałeś na myśli?

— Mogę pokazać ci, gdzie bywała Aitair z Altair, z kim rozmawiała i całe mnóstwo innych rzeczy.

— Jeśli wprowadzisz to wszystko do mojego komputera pokładowego, od razu cię uwolnię — rzucił Cain. — Nie potrzebuję jeszcze jednego statku.

— Terwillinger będzie potrzebował twojego, jeśli rzeczywiście wyślesz go do Lambda Karos — zauważył Swagman.

— Może użyć twojego — powiedział Cain. — Jesteśmy partnerami, pamiętasz?

— W tym sęk — wtrącił Schussler — że nie mogę wprowadzić moich informacji do twojego komputera. — Język, jakiego używają moje systemy, jest inny.

— Daj spokój — obruszył się Cain. — Używasz takiego samego języka jak mój komputer za każdym razem, kiedy zestawiasz współrzędne lądowania. O co naprawdę ci chodzi?

— Proszę, weź mnie z sobą! — krzyknął nagle Schussler z nutą rozpaczony w głosie. — Minęło tyle czasu, odkąd ostatnio mogłem rozmawiać z drugą ludzką istotą! — Cain

wyglądał, jak gdyby się wahał, więc Schussler mówił dalej: — Będę ci służył z absolutną lojalnością, póki nie znajdziesz Santiago. Będę cię prowadził i chronił, karmił i przewoził, i nie proszę o nic w zamian, z wyjątkiem twojego towarzystwa.

— O nic? — powtórzył znacząco Swagman.

— Aż nie znajdziesz Santiago — podkreślił Schussler. —

Wtedy będę miał jedną małą prośbę.

— Jaką? — zapytał Cain.

— Żebyś mnie zabił — powiedział cyborg.

### 13.

*Czyżyk, gdy pracuje, nigdy nie zna lęku,  
Gdy zabija, to szybko i pewnie, bez błędu.  
Strzeż się, przyjacielu, spojrzenia Czyżyka,  
Jeśliś jego celem, jesteś już bez życia.*

— One nie należą do ciebie — zauważył Schussler.

Swagman, zmęczony siedzeniem na niewygodnym krześle, wstał i oglądał liczne dzieła obcej sztuki umocowane na ścianach kabiny dowodzenia.

— Ale nie są również twoje — odpowiedział beztrąsko. Pociągnął onyksową rzeźbę, przełamując pole magnetyczne, za pomocą którego była połączona ze ścianą. — Interesująca rzecz — ocenił, zbadawszy ją dokładnie. — Gdzie twoja świętej pamięci, nieodżałowana właścicielka to znalazła? Na Hesperite III?

— Na Neiburi II — odrzekł Schussler.

— Ten sam gwiazdozbiór — zauważył Swagman z nutą satysfakcji. — A nie dałbym złamanego kredytu za to, że miała taki wyśmienity gust. Wiesz, ile ten mały kawałek wart jest na wolnym rynku?

— Nie — powiedział Schussler.

— Ani ty — wtrącił się Cain, podnosząc oczy znad stołu, gdzie rozłożył jeden ze swoich pistoletów i skrupulatnie go czyścił. — Ale założę się, że możesz podać nam jego czamorynkową cenę niemal do dziesiątych części kredytu.

— Jasne, że tak — wyszczerzył zęby Swagman.

— Odłóż ją — powiedział Schussler.

— Tylko podziwiam.

— Raczej szacujesz — stwierdził cierpko Cain.

— Siłą przyzwyczajenia — przyznał Swagman, trzymając rzeźbę przy ścianie przez moment, póki nie zadziałało pole magnetyczne. Zaczął oglądać kolejny przedmiot.

— Cały czas cię obserwuję — zauważył Schussler.

— To pocieszające.

— Lepiej nie próbuj niczego ukraść — kontynuował cyborg.

— Nigdy nie okradam przyjaciół — stwierdził Swagman.

— Wiem o tobie wszystko, Swagman — powiedział Schussler. — Nie masz przyjaciół.

— Ten statek upraszcza sprawę — ocenił Swagman z uśmiechem. — Jeśli to rozproszy twoje wątpliwości, powiem ci, że nie okradam również swoich partnerów, zwłaszcza jeśli jednemu z nich zdarzyło się być łowcą głów. — Nagle wpadła mu w oko mała rzeźba i wyciągnął ją z pola. — No, no, no... — zadumał się. — Życie jest nigdy nie kończącym się potokiem niespodzianek.

— Co tam masz? — spytał Cain.

Swagman podniósł w górę przedmiot.

— Nie wygląda nadzwyczajnie.

— Prawdę mówiąc, jest to raczej mierne dzieło sztuki — zgodził się Swagman. — Ale interesującym czyni go miejsce, z którego pochodzi.

— A skąd pochodzi?

— Z Pellinath IV.

— Nigdy o nim nie słyszałem — przyznał się Cain.

— Jest to planeta, na której dorastałem. Ta rzecz została wyrzeźbiona przez jednego z Bellumów.

— Twoich dobroczyńców? — spytał Schussler z zainteresowaniem.

Swagman pokiwał głową, oglądając rzeźbę.

— Myślę, że chyba sprzedałem to... och, jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu na Nowej Rodezji. Zastanawiam się, w jaki sposób Altair z Altair dostała to w swoje ręce?

— Jacy byli ci Bellumi? — zapytał Schussler.

— Całkiem mili, biorąc pod uwagę poważne rozbieżności, jakie mieliśmy w poglądach na temat kapitalizmu wolno-rynkowego — odpowiedział Swagman. — Ale karmili mnie i dali mi schronienie, więc jestem im za to wdzięczny.

— Ale nie na tyle, żeby ich nie okraść — zauważył ironicznie Cain.

— To prawda — zgodził się Swagman. — Z drugiej strony, gdyby Bóg naprawdę był przeciwny temu, co robię, nie stworzyłby towarzystw ubezpieczeniowych. — Przerwał. — Poza tym, nie wzięłem zbyt dużo. Są wyjątkowo kiepskimi artystami. Pewnie dlatego, że to daltoniści. No i nie mają kciuków. — Popatrzył jeszcze raz na rzeźbę i odłożył ją na ścia-



nę; potem odwrócił się do płyty, która skrywała właściwego Schusslera. — Opowiedz mi o Graalach.

— W zasadzie byli humanoidalni — odparł cyborg. — Jeżeli uważać za rasę humanoidalną to, co chodzi na dwu nogach. Poza tym, nie mieli wiele wspólnego z ludźmi.

— Nietrudno w to uwierzyć, patrząc na kształty foteli tu w środku — zauważył Swagman z przekąsem. — Jakiego rodzaju sztukę tworzyli?

Statek wydał z siebie wesoły, melodyjny chichot.

— Nic, co mogłoby cię zainteresować. Oni nie mają oczu. Używają jakiejś formy sonaru. I chociaż nigdy nie widziałem ich dzieł sztuki, jestem pewien, że odzwierciedlają te ograniczenia.

— Co za szkoda — westchnął Swagman. — Moi obcy przynajmniej dali mi, aczkolwiek z bólem serca, trochę powodów, żebym ich zapamiętał.

— Tak jak moi — szepnął Schussler, a melodia jego głosu nie pasowała do ironii słów.

— A właściwie gdzie jest ten świat, w którym cię zmontowali? — spytał Swagman. — Nigdy nie słyszałem o systemie Kalkos.

— W gwiazdozbiornie Corbellus — odpowiedział Schussler.

— Byłem tam kiedyś — stwierdził Swagman. — Słyszałeś coś o planecie Słodka Nadzieja?

— Słyszałem — przytaknął cyborg — ale nigdy tam nie byłem.

— Ja też o niej słyszałem — wtrącił się Cain. — Czy Orfeusz jej nie opisał? Coś o Arabskim Denebie albo Delphinim, czy jakoś tak?

— Arabski Darley — poprawił go Swagman. — Orfeusz nadał mu to imię. Prawdę mówiąc, nadał imiona wszystkim trzem patriarchom. — Chwilę milczał. — Moje własne, skromne interesy prowadziłem jedynie z Berberyjskim.

— Nie przypominam sobie żadnej wzmianki o nim — stwierdził Cain.

— Boję się, że po kontaktach ze mną nie odnosił się już zbyt ufnie do nieznanym — wyszczerzył zęby Swagman.

— Nie chciał rozmawiać z Czarnym Orfeuszem.

— Rozgarnięty facet — zamruczał Cain.

— Nie zrozumiałem tej piosenki — odezwał się nagle Schussler. — Brzmiała, hm, niecenzuralnie.

— *Arabski Darley pożądaniem żyje i kolejna żona dziecko mu powije* — zacytował Swagman. — Myślę, że jest to tak samo niecenzuralne, jak wszystko, co napisał Orfeusz. — Odwrócił się do tablicy, która skrywała Schusslera. — Słodka Nadzieja została zasiedlona przez trzy bardzo wielkie rodziny, które nagle się poróżniły i zaczęły między sobą walczyć. Ponieważ była to krwawa rodzinna wendeta, żadna ze stron nie chciała przywozić żołnierzy najemnych z zewnątrz. Wtedy, pewnego dnia, Arabski wpadł na pomysł kupienia za pomocą poczty paru setek młodych panien i spłodzenia swojej własnej armii... Wszystko w ramach obowiązków, możecie być pewni.

— Zachichotał. — Po niecałym tygodniu dwaj pozostali patriarchowie poszli w jego ślady, po czym spędzili następnym dwadzieścia lat walcząc całymi dniami, a nocami robiąc małych żołnierzyków.

— A skąd takie imiona? — zapytał Schussler.

— Orfeusz dowiedział się, że wszystkie konie wyścigowe na starej Ziemi pochodzą od trzech podstawowych rozpło-

dowców, tak więc nazwał trzech patriarchów: Arabski Darley, Turecki Byerly i Berberyjski Godolphin, na cześć tych trzech ras.

— Czego dotyczyły twoje interesy z Berberyjskim? — spytał Cain.

— Wiedziałem, że nie potrzebuje najemników, ale pomyślałem, że mogłyby go zainteresować statki z ładunkiem broni.

— Dobry interes?

— Kiepski — przyznał się Swagman. — Wojsko skonfiskowało broń miesiąc po tym, jak ją dostarczyłem.

— Nawet nie wiedziałem, że wojsko dociera aż do gwiazdozbioru Corbellus — powiedział Schussler.

— Bo tak nie było: do czasu, aż ktoś bezmyślnie nie przywłaszczył sobie paru tysięcy sztuk różnej broni laserowej zgromadzonej w jednym z wojskowych magazynów.

— Czy z tego powodu Santiago cię usunął? — spytał Cain.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo okradanie wojska nie jest w jego stylu. A do takiej operacji potrzebowałeś jego siły. Myślę, że wyrzucił cię za sprzedanie broni, którą chciał zatrzymać.

— Nie mógłbyś się bardziej mylić — stwierdził z oburzeniem Swagman.

— Chcesz mi wmówić, że ukradłeś tę całą broń sam? — spytał Cain.

— Och nie, operacją od początku do końca kierował Santiago — potwierdził Swagman. — Rzeczywiście, były między nami pewne niewielkie rozbieżności zdań co do jej ostatecznego przeznaczenia, ale rozstaliśmy się z powodów zupełnie z tym nie związanych.

— Mózg ci się skurczył? — skomentował ironicznie Cain.

— Dziwi mnie, że Santiago albo Berberyjski Godolphin nie kazali cię zabić — powiedział Schussler.

— Berberyjski chciał — odparł Swagman. — Na szczęście, mój niedoszły zabójca próbował zaatakować mnie w twierdzy na Goldenrod, gdzie nawet Aniołowi by się to nie udało.

— Skąd wiesz, że to właśnie Berberyjski wynajął tego zbirą, a nie Santiago? — spytał cyborg.

— Bo wciąż żyję. — Swagman powędrował do stolika Caina, który włożył już naboje do pierwszego pistoletu i przygotowywał właśnie do czyszczenia i oliwienia drugi. Wiesz — odezwał się, patrząc na części pistoletu, które leżały starannie rozłożone na stole. — Pewna rzecz ciekawi mnie od chwili, kiedy widziałem cię w starciu z Altair.

— Pytaj — rzucił Cain, nie podnosząc głowy.

— Dlaczego używasz zwykłej broni?

— Jest celniejsza niż pistolet laserowy czy dźwiękowy i nie potrzebuje energii do wystrzału, nie może jej się wyczerpać moc.

— Ale robi taki straszny hałas.

— Co z tego?

— Myślałem, że najodpowiedniejsze w twoim zawodzie jest działanie z ukrycia i w ciszy.

Cain uśmiechnął się.

— To potrzebne, kiedy się podkradam do ofiary. Gdy zacznę strzelać, niezbyt dbam, kto się dowie, że działam. — Przerwał. — Nie jestem jednym z twoich ludzi, Swagman. Działam zgodnie z prawem. Nie muszę się wynosić chyłkiem, kiedy już wykonam swoją robotę.

— Punkt dla ciebie — przyznał Swagman.

— Strzelba laserowa jest dobra, jeśli musisz wypalić w jakiś wielki cel — kontynuował Cain. — Ale nie strzela celnie. Każdy lubi coś innego: ja wybrałem kule.

— Zastanawiam się, jaką metodę zastosował Anioł w wypadku Gilesa Sans Pitie? — zadumał się Schussler.

Cain wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że dowiemy się tego w odpowiednim czasie. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Czarny Orfeusz oparł się pokusie wstawienia tego do swojej głupiej epopei.

— Co masz przeciwko naszemu przyjacielowi Orfeuszowi? — spytał Swagman.

— To jest twój przyjaciel, nie mój.

Uczył cię sławnym — zauważył Swagman. — Dzięki tej piosence za sto lat ludzie nadal będą znali ciebie i Schusslera. Nawet ja będę istniał. Potraktuj to jako formę nieśmiertelności.

Nieśmiertelność jest wartością wielce przecenianą — wtrącił Schussler, a piękne, harmonijne tony jego głosu zadźwięczały goryczą.

Większość ludzi, których znam, nie zgodziłoby się z tym stwierdzeniem — zauważył Swagman.

Większość ludzi, których znasz, spędza całe swoje życie stąpając o krok przed toporem kata — odciął się cyborg.

Większość ludzi, których on zna, już spotkała kata — skomentował Cain.

Niektórzy z nich spotkali mniej oficjalnych oprawców odparował Swagman. — Ciągle jestem zły na ciebie za tę sprawę na Declanie IV.

— Zależało ci z jakiegoś powodu na Sokratesie? — spytał Cain.

— Na Sokratesie?! — prychnął pogardliwie Swagman. — Oczywiście, że nie. Declan IV ma dwanaście milionów mieszkańców. Można ich wymieniać między sobą i każdego z nich bez końca zastępować kimś innym. — Przez moment milczał.

Ale zniszczyłeś robeliańską wazę, której szukałem przez trzy lata.

— To była tylko waza — powiedział Cain. — Poleciałem tam po coś znacznie ważniejszego.

Tylko waza?! — wrzasnął Swagman, urażony do żywego. — Mój dobry człowieku, istniało tylko sześć takich waz!

— Widziałem krocie podobnych.

Tylko przez chwilkę Swagman spoglądał z niedowierzaniem. Potem westchnął z bezradnością.

Przypuszczam, że dla ciebie każda waza wygląda dokładnie tak samo.

Bardzo możliwe — stwierdził Cain, wsuwając lufę pistoletu w odpowiednie miejsce i obracając ją delikatnie, póki nie usłyszał odgłosu szczęknięcia. — Tak samo jak dla ciebie ludzie są podobni jeden do drugiego.

— I nic dla ciebie nie znaczy fakt, że jest prawie bilion ludzi rozrzuconych po Demokracji, a tylko sześć robeliańskich waz o takim kształcie i wzorze?

— Oznacza to, że skończysz swoją robotę, zanim mnie się to uda.

— Oznacza to — odpalił Swagman — że zniszczyłeś niepowtarzalne dzieło sztuki.

— Zabiłem też człowieka, który bardzo chciał zostać unicestwiony — odrzekł Cain. — Ogólnie powiedziałbym, że rachunek wyszedł na plus.

— Nie było nawet listu gończego na Sokratesa.

- Nazwij więc zabicie go przysługą wobec ludzkości.
- Nie wiedziałem, że pracujesz jako filantrop — stwierdził Swagman.
- Są rzeczy ważniejsze niż pieniądze — zauważył Cain.
- To prawda, ale za większość tych rzeczy trzeba płacić pieniędzmi. — Swagman położył ręce na karku, przeciągnął się z głośnym mruzeniem, a potem odwrócił się do pulpitu Schusslera. — Robię się głodny. Co masz w swojej kuchni?
- Komplet półproduktów sojowych — odpowiedział cyborg.
- Nie masz żadnego mięsa?
- Obawiam się, że nie, ale mogę przygotować dania, które będą smakować zupełnie tak samo jak mięso.
- Słyszałem już coś na ten temat — mruknął Swagman.
- Musisz zjeść to, co ci oferuje — powiedział Cain. — Nie udajemy się w stronę żadnej planety ze sklepem spożywczym.
- Swagman wzruszył ramionami.
- Możesz przyrządzić potrawę o smaku skorupiaków w sosie kremowym?
- Mogę spróbować. — Westchnął Schussler. — A ty co byś chciał, Sebastianie?
- Coś lekkiego.
- Co powiesz na stek? — zaproponował cyborg.
- A co powiesz na sałatkę? — odparował Cain. — Jadłem już kiedyś sojowe steki.
- Jeżeli pójdziecie do kuchni, znajdziecie tam wasze obiady
- oznajmił Schussler.
- O czym ty mówisz? — zapytał podejrzliwie Swagman.
- Przecież dopiero co je zamówiliśmy.

— Dzięki technologii Graalów przygotowywanie posiłków zajmuje mi tylko chwilę — wyjaśnił cyborg. — Szczególnie kiedy mogę pracować na tak podatnym materiale jak soja.

Cain i Swagman wymienili niepewne spojrzenia, po czym weszli do kuchni — długiego wąskiego pomieszczenia, w którym nie zważyli prawie żadnego wyposażenia.

— Gdzie mamy jeść? — spytał Swagman.

— Mogę wystawić mały stoliczek — powiedziała Schussler — ale nie będzie dość miejsca dla was obu.

— Postoimy — stwierdził Cain. — Co z jedzeniem?

— Będzie za sekundę — odparł Schussler. — O, już jest.

Odsunęła się połyskująca metalowa płyta i dwa dziwnie wyglądające naczynia pojawiły się na błyszczącej ladzie.

Swagman wyciągnął rękę po swoje mięczaki, potem cofnął ją i zamruczał jakieś przekleństwo.

— Zapomniałem ci powiedzieć, że talerz jest gorący.

— Dzięki — stwierdził ze złością Swagman. Włożył rękę do kieszeni, wyjął ozdobioną monogramem, jedwabną chusteczkę, owinął ją dokoła palców i przysunął do siebie talerz. — Chciałbym to zjeść z pomocą noża i widelca.

— Przykro mi, że nie mogę ci pomóc — przeprosił Schussler. — Altair z Altair nie używała ludzkich sztuczków. Wołała takie.

Na kontuarze zjawiała się para dziwnie wyglądających metalowych przedmiotów.

Swagman podniósł jeden z nich w górę i zaczął oglądać.

— Świetny — zauważył. — Prawie jak pałeczki do jedzenia zupy.

Cain podniósł drugi, oglądał go przez chwilę, a potem zaczął nim jeść swoją sałatkę.

— Jak to zrobiłeś? — spytał Swagman.



— Widziałem takie rzeczy w systemie Teron — odparł Cain, wbijając się w sztucznego pomidora i okręcając wokół niego kawałek sztucznej sałaty. — Pewien tamtejszy łowca nagród pokazał mi, jak się tego używa. Nie jest to takie trudne, kiedy się połapiesz.

— Jak nimi jeść sos kremowy? — spytał Swagman, wpatrując się w swój talerz.

— Spróbuj, a zobaczysz — powiedział Cain, zwracając z powrotem całą swoją uwagę na sałatkę.

Trzy czy cztery razy Swagmanowi się nie udawało, ale w końcu nabrał podstawowej biegłości w posługiwaniu się swoim sztucem i zdołał donieść kawałek pseudomięszaka do ust, nie upuszczając go.

— I jak? — zapytał z troską Schussler. — Co o tym sądzicie?

— Nie jest złe — stwierdził dyplomatycznie Cain.

— Powiem ci, czym to nie jest — zamruczał Swagman. — Nie jest to goldenrodzki homar. — Wziął do ust kolejny kęs.

— Ale, jak przypuszczam, mogło być gorsze.

— Zrobisz mi przysługę? — spytał Schussler po chwili ciszy.

— To zależy — odrzekł Swagman. — O co chodzi?

— Powiedz mi, jak to smakuje.

— Żeby być zupełnie szczerym, to smakuje jak sojowy produkt podany jako skorupiak w sosie kremowym.

— Proszę — nalegał z niepokojem Schussler. — Przygotowałem to, ugotowałem i podałem, ale nie mogę tego spróbować. Opisz to dla mnie.

— Tak jak powiedziałem: w zarysie coś zbliżonego do ryby w sosie kremowym.

— Nie możesz być tak pozbawiony wyobraźni! — krzyknął Schussler z nutą rozpaczy dźwięczącą w pięknym, melodyjnym głosie. — Opowiedz mi o sosie: czy jest soczysty? ostry? słodkawy? Czy możesz odróżnić przyprawę? Do jakiego mięczaka jest podobny w smaku?

— Nie jest to potrawa, o której można by napisać poemat — stwierdził Swagman. — Wszystkie smaki są raczej łagodne.

— Opisz je.

— Zmuszasz mnie, żebym cię obraził. To danie nie jest za bardzo warte jedzenia, a co tu dopiero mówić o opisywaniu — powiedział Swagman z irytacją. — Po pierwsze, dodatkowo psujesz to, co i tak było nie zostawiającym jakichkolwiek wrażeń posiłkiem.

— Jesteś mi to winien! — wrzasnął Schussler.

— Później — odparł Swagman. — Dzięki twojemu zrządzeniu „to” z każdym kęsem smakuje gorzej.

Cain westchnął, wyciągnął swój przyrząd i podniósł kawałek sztucznej ryby, obmaczał go w sosie kremowym i włożył do ust. Przeżuł go dokładnie, potem zaczął opisywać Schusslerowi odcienie smaku, a Swagman w tym czasie wziął swój talerz i poszedł z powrotem do kabiny dowodzenia, by samotnie dokończyć posiłek.

Cain dołączył do niego po dwudziestu minutach.

— Nadal się dąsa? — spytał Swagman.

— Sam go zapytaj.

Swagman obrócił się do konsoly Schusslera.

— Masz zamiar spędzić całą noc, prosząc mnie, abym opisał ci, jak się czuję, kiedy śpię, co?

Odpowiedzi nie było.

— A to ci dopiero: urażony statek kosmiczny.

— Zraniłeś jego uczucia — wyjaśnił Cain.

— Nie bez powodu. Albo zgnieciemy te kaprysy w zarodku, albo będzie spędzał każdą wolną chwilę pytając, jak smakują nam różne rzeczy i jak się czujemy.

— Mówienie o tym nie kosztuje zbyt wiele. On dużo przeżył.

Swagman popatrzył uważnie na Caina.

— Dochowaliśmy się dziwnego pokolenia zabójców w tym sezonie — stwierdził w końcu.

— Wiesz — zauważył Cain — zawsze mógłby cię zapytać, jak się czujesz, kiedy zredukuje do zera zawartość tlenu w kabinie.

— Nie może tego zrobić, jeżeli chce umrzeć w zaplanowanym czasie — odparł z przekonaniem Swagman. Na moment zamilkł. — Zamierzasz rzeczywiście go zabić, jeśli znajdziemy bazę Santiago?

— Powiedziałem, że to zrobię.

— Wiem, co powiedziałaś.

— Zrobię, co przyrzekłem.

— Ale nie będziesz zbyt szczęśliwy z tego powodu.

— Nigdy nie jestem szczęśliwy, gdy zabijam — stwierdził Cain.

Swagman rozważył tę odpowiedź, a także niektóre inne uwagi, które Cain poczynił od czasu opuszczenia Altair III i przez następne kilka minut obserwował swego nowego współnika, porównując jego cechy z tym, co wiedział o Aniele i rozmyślając nad tym, czy Virtue MacKenzie dokonała mimo wszystko trafnego wyboru.

### 14.

*Nieszczęsny Biedny Yorick, tak dobrze mi znany,  
Wciąż miewa zwidy i mgliste omamy.  
Niegdyś pełen nadziei i szlachetnej wiary,  
Dziś znaczą dlań tyle, ile senne mary.*

Nie nazywał się Biedny Yorick — w każdym razie nie od początku. Urodził się jako Herman Ludwig Menke i przeżył z tym nazwiskiem dwadzieścia lat, kiedy to przyłączył się do podróżującej po Obrzeżu Galaktycznym trupy aktorskiej i przyjął imię Brewstera Mossa. Plotka głosi, że jako Moss występował nawet dla Anioła, zanim jeszcze tamten stał się Aniołem.

Poza tym, nim ukończył czterdzieści lat, posługiwał się jeszcze jednym nazwiskiem: Sterling Wilkes. Wsławił je niemal bez niczyjej pomocy wywołując na Lodinie XI modę na szekspirowski renesans. Później pseudonim ten zaczął się kojarzyć głównie z różnymi chemicznymi uzależnieniami jego właściciela.

Sześć lat później, po wieczornym skandalu — gdy przed zebraną publicznością przeżył kolejny halucynogeny trans — zakazano mu występów na scenie. Przyszedł czas na nowe imię — „Biedny Yorick” wydawał się wyjątkowo pasować do rzeczywistości — i na nowe zajęcie. Ponieważ Yorick miał talent artystyczny i znał się jedynie na sprawach teatru, pojawił się na Wewnętrznej Granicy jako wytwórca rekwizytów, a w następnej dekadzie uruchomił niekończący się strumień nieprawdziwych koron i fałszywej broni, sztucznych klejnotów i

imi-215 tacji tronów, z niemal prawdziwymi kamieniami w niemal wartościowych oprawach.

Niestety nadal utrzymywał kontakty ze sporą grupą handlarzy narkotyków. Przestał wprawdzie wstrzykiwać sobie środki halucynogenne, ale zamiast tego zaczął żuć nasiona alfaneli. Nałóg zmuszał go do ciągłego powiększania dochodów, więc swoją wspaniałą ręką fałszerza tworzył mniej usankcjonowane prawem przedmioty, niż te związane ze sceną. Ale jakość pracy cierpiała z powodu jego uzależnienia, stracił więc najpierw legalne zajęcie, a potem także większość fałszerskich zleceń i musiał się zniżyć do sprzedawania pospiesznie wykonanych portretów znanych sobie aktorów; portretów, które wykonywał podczas niezwykle rzadkich okresów jasności umysłu.

Kilka lat później do Czarnego Orfeusza trafiły cztery obrazy i bard natychmiast stwierdził, że ma do czynienia z interesującym, chociaż kapryśnym talentem.

Prawie rok pieśniarz szukał Biednego Yoricka, który mieszkał wówczas w zrujnowanym hotelu na Hildegardzie, ciągle wydając każdy grosz, który zarobił, na zaspokojenie nałogu. Orfeusz próbował przekonać go, żeby wyruszył z nim w kosmos i ozdobił ilustracjami poemat, ale Yorick bardziej dbał o następną dawkę niż o potomność i w końcu Bard Wewnętrznej Granicy przyznał się do porażki. Kupił więc resztę obrazów Yoricka, zamówił portret Eurydyki, który nigdy nie został ukończony i odleciał na zawsze. Poświęcił Biednemu Yorickowi tylko jedną zwrotkę w swojej piosence; chciał napisać ich więcej, aby opowiedzieć swojemu audytorium, jak rzadki talent drzemie ukryty pod tą zniszczoną powierzchownością, ale uznał, że napływ zleceń przyniósłby jedynie rezul-

tat w postaci jeszcze większej ilości dostaw narkotyków, co przyspieszyłoby śmierć malarza.

Na usprawiedliwienie Yoricka trzeba powiedzieć, że naprawdę próbował dokończyć obraz Eurydyki, lecz otrzymaną zaliczkę wydał w przeciągu tygodnia, a stale musiał zaspokajać narkotyczny głód. Ponieważ Orfeusz nie zostawił mu ani jednego obrazu, który mógłby sprzedać, wrócił do fałszerstw, ale 216 od czasu do czasu — tu godzinę, tam dzień — pracował nad swoim nie dokończonym arcydziełem.

Prawdę mówiąc, akurat je malował, kiedy Schussler wyładował na Roosevelcie III.

— Nieprzyjemny mały świątek — stwierdził Cain, gdy ze Swagmanem wynurzyli się z wnętrza cyborga na mokrą nawierzchnię portu kosmicznego i przystanęli, chroniąc się przed stale padającym na planecie deszczem.

— Bardzo odpowiednie miejsce — odparł Swagman, kierując się do terminalu portu. — Szukamy nieprzyjemnego małego faceta. — Przerwał. — Kto by pomyślał, że Biedny Yorick stanowi tak pożądane, ostatnie ogniwo między Altair z Altair i Santiago?

— Podejrzewałbym raczej, że już prędzej ty nim jesteś — zauważył Cain z odrobiną ironii. — Szczególnie po tej przemowie, jak to niby ja cię potrzebuję.

— Potrzebowałeś i Schusslera, i mnie. On wiedział, że powinieneś odnaleźć Yoricka, a ja wiem, gdzie go znaleźć.

— Może czas, żebyś podzielił się ze mną tą tajemną wiedzą? — zasugerował Cain.

Swagman wzruszył ramionami.

— Nie mogę dać ci adresu. Wjedziemy do miasta, znajdziemy najtańszy hotel w najbiedniejszej dzielnicy i zaczekamy.

— A jeżeli go tam nie będzie?

— Będzie, tam albo gdzieś w pobliżu — stwierdził Swagman. — A jeśli zajdzie potrzeba, po prostu podążymy za lokalnym „sprzedawcą snów” i ten zaprowadzi nas prosto do niego.

— Jak wygląda Biedny Yorick? — spytał Cain.

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Nigdy go nie spotkałem.

— Ale jesteś pewien, że wiesz, gdzie jest — zauważył Cain uszczypliwie.

— Robiłem z nim już kiedyś interesy — wytłumaczył mu Swagman. — A mam zwyczaj dowiadywać się, ile się da na temat moich handlowych wspólników. Wiem, że Yorick jest na Roosevelcie III; znalezienie jego obecnego mieszkania to tylko problem techniczny.

Dotarli do terminalu portu, wynajęli pojazd i wjechali do pobliskiego miasta, które — podobnie jak planeta — nazywało się Roosevelt. Ktoś — architekt, planista miejski, dyrektor korporacji, w każdym razie ktoś w tym rodzaju — miał kiedyś wobec Roosevelta wielkie plany. Port kosmiczny został tak rozbudowany, że wytrzymałby dziesięć razy większy ruch niż ten, jaki się w tej chwili odbywał, miasto poprzecinano licznymi szerokimi arteriami, centralny plac szczylił się dwoma drapaczami chmur, które nie byłyby niestosowne nawet na Delurosie VIII. Ale kilka wieków temu Demokracja przerwała ekspansję na Granicy, aby zjednoczyć kolonie, a kiedy zaczęła się rozwijać znowu, skierowała się w inną stronę. Roosevelta III pozostawiono po prostu jako kolejny nieważny trybik w wielkiej ludzkiej maszynie — ani opuszczony, ani ważny. Niedoszła megalopolia stała się miasteczkiem o mniejszych potrzebach, a dwa wielkie drapacze chmur ze stali i szkła stop-

niowo otaczano skromnymi budynkami mieszkalnymi, nijakimi sklepami, niezbyt imponującymi biurami i prozaicznymi budowlami użyteczności publicznej (wyglądało to, jak gdyby leśni, zgłodniaли padlinożercy zgromadzili się wokół ogromnego zwierza, cierpliwie czekając na zakończenie jego agonii).

Swagman objechał miasto, a potem z niezawodnym instynktem skierował się ku największej ze zrujnowanych parceli i zatrzymał pojazd.

— Powiedziałbym, że jesteśmy teraz najwyżej czterysta jardów od niego — stwierdził, wręczając Cainowi parasol. Sam otworzył drugi.

— Rzeczywiście straszliwa mina — zgodził się Cain, beznamiętnie mierząc wzrokiem grupę pijaków i włóczęgów, którzy przez lejący deszcz spozierali na nich ze swoich suchych kryjówek wewnątrz zniszczonych barów i obskurnych hoteli.

— Mam wrażenie, że nie jestem odpowiednio ubrany na tę okazję — zauważył Swagman, oceniając krytycznie swoją atłasową koszulę, dobrze skrojone spodnie i ręcznie szyte buty.

— Nie tylko ty tak myślisz — stwierdził Cain. Obserwował wyjątkowo wielkiego, barczystego mężczyznę, który bacznie się im przyglądał z odległości pięćdziesięciu stóp, lekceważąc deszcz, który ściekał mu po nie osłoniętej głowie.

— Cóż, nie chciałbym, żeby ten motłoch ruszył ze swych miejsc — powiedział Swagman bez niepokoju. — Myślę, że weźmiesz to na siebie.

— Co robisz, kiedy znajdujesz się w takiej sytuacji jak ta i nie ma obok ciebie żadnego łowcy głów? — spytał Cain cierpko.



— Nie jestem zupełnie pozbawiony własnych środków obrony — odparł Swagman. Wyjął z kieszeni przedmiot wielkości piłki golfowej. Podrzucił go niedbale w powietrzu, złapał i schował z powrotem.

— Bomba zapalająca?

Swagman kiwnął głową.

— Jest potężniejsza niż na to wygląda. Może objąć swoim zasięgiem całe osiedle, a ogień po detonacji rozłazi się jak cholera nawet przy takiej deszczowej pogodzie. — Uśmiechnął się. — Ale wolałbym jej nie używać. Nie byłoby dobrze, gdyby Yorick usmażył się jak frytka, zanim będziemy mieli okazję z nim porozmawiać.

— Według ciebie, jesteśmy jakieś czterysta jardów od niego — przypomniał Cain, spoglądając w górę i w dół ulicy. — Zakres poszukiwań zmniejsza się do piętnastu czy dwudziestu walących się hoteli i pensjonatów. Skąd będziesz wiedział, który jest właściwy?

— No wiesz? Zapytamy, oczywiście — stwierdził Swagman, wchodząc do jakiejś tawerny. Spędził chwilę cicho szepcząc z barmanem, potem obrócił się do Caina, który czekał w drzwiach.

— Poszczyściło ci się?

— Jeszcze nie — przyznał Swagman. — Ale nie martw się. Dzień dopiero się zaczął, chociaż jest może trochę za wilgotny.

Przebrnął w deszczu do dwu następnych tawern, ale również bez sukcesu.

— Ach! — powiedział z uśmiechem, zanim weszli do kolejnego baru, w oknie którego znajdowała się akwarela z gołą kobietą o wielkich piersiach. — Zbliżamy się! Poznaję ten styl.

— Zbierasz obrazy Yoricka?

— Co lepsze z nich.

Swagman wszedł do budynku, rozmawiał chwilę z barmanem, położył pięćsetkredytowy banknot na drewnianej ladzie o pokierszowanym blacie, nic więcej nie powiedział i w chwilę później wyszedł na chodnik.

— Mieszka w hotelu „San Juan Hill”, tam, w górze ulicy — oznajmił. — Kiedy nie ma dość gotówki na nasiona alfaneli, sprzedaje swoje obrazy za drinki.

— To całkiem niezły malarz — skomentował Cain, patrząc na akt.

— Jest diabelnie dobrym malarzem, jeżeli weźmie się pod uwagę, że prawdopodobnie nawet nie pamiętał swego imienia, kiedy to tworzył. Proponowałem właścicielowi, że go kupię, ale nie chciał sprzedać. Mam niejasne podejrzenie, iż jest to całkiem niezła podobizna jego dziewczyny.

— Albo współnika w interesach.

— Jedno nie wyklucza drugiego — odrzekł Swagman, kierując się ku „San Juan Hill”. — Szczególnie tutaj.

Tylko jeden człowiek miał ochotę ich zatrzymać, ale coś w twarzy Caina przekonało go, żeby się nad tym ponownie zastanowił i do hotelu dotarli bez przeszkód.

Minęło wiele czasu, odkąd ktoś po raz ostatni sprzątał hall „San Juan Hill”, a jeszcze więcej od chwili, kiedy go malowano. Podłoga, szczególnie wokół wejścia, była brudna i wszędzie pachniało pleśnią. Mały, tani dywanik przed recepcją otaczało jasne pole po nieco większym dywanie, który usunięto jakiś czas temu. Mniej brudne, prostokątne plamy na ścianach znaczyły miejsca, gdzie dawniej wisały obrazy i holografie. Kilka krzeseł i kanap strasznie potrzebowało naprawy, a w jedynej kabinie wideotelefonicznej brakowało kamery.

Swagman rozejrzał się wokół i wyglądał na usatysfakcjonowanego tym, co zobaczył, gdyż uznał miejsce za typowe — biedny Yorick zwykle w takich mieszkał. Podeszedł do recepcji.

Nieogolony urzędnik, którego lewy łokieć wyzierał przez dziurę w koszuli, spojrział na przyjezdnego ze znudzonym wyrazem twarzy.

— Dzień dobry — odezwał się Swagman z przyjaznym uśmiechem. — Straszna pogoda na dworze.

— Przelazłeś pan całą tę drogę przez mój hall, żeby mi to powiedzieć? — odpowiedział kąśliwie recepcjonista.

— Wyobraź sobie. Szukam przyjaciela.

— No to powodzenia — odparł urzędnik.

— Na imię ma Yorick — stwierdził Swagman.

— Wielka sprawa.

Swagman wyciągnął rękę i schwycił urzędnika za połą poplamionej koszuli, przyciągając go do siebie przez ladę.

— Nazywa się Biedny Yorick — powiedział z uprzejmym uśmiechem. — Nie chciałbym cię popędzać, ale naprawdę się spieszymy. — Pociągnął koszulę, aż nie zaczęły ustępować szwy.

— Pokój trzysta siedemnaście — wymamrotał recepcjonista.

— Dzięki. — Swagman puścił go. — Bardzo mi pomogłeś. — Rozejrzał się wokół. — Nie przypuszczam, żeby któraś winda była na chodzie?

— Ta w środku — powiedział urzędnik markotnie, wskazując na trzy stare windy.

— Wspaniale — rzekł Swagman. Skinął głową na Cai-na, który przeszedł przez hall i dołączył do niego przed windą. — Wiesz czego naprawdę nienawidzę? — zapytał. — Chamskich służących. Osłaniasz moje tyły, prawda?

— On nie zamierza nic zrobić — zauważył Cain.  
— Skąd wiesz, że nie ma broni ukrytej pod ladą?  
— Jeśli kiedykolwiek była tu jakaś broń, dawno już została skradziona lub sprzedana — powiedział Cain, kiedy drzwiczki się zasunęły i winda ruszyła w górę. — Ale z powrotem lepiej zejźmy po schodach. Po co narażać się na niespodzianki.

Winda drgnęła, zatrzymała się i kołysała chwiejnie, kiedy Cain i Swagman wysiadali na trzecim piętrze. Było w jeszcze gorszym stanie niż parter. Niektóre pokoje nie miały w ogóle drzwi, inne pokrywało naprędce nagryzmołone graffiti, a unoszący się nad wszystkim zapach zmienił się z pleśni na urynę.

— Trzysta siedemnaście — oznajmił Swagman, wskazując na ostatnie drzwi na piętrze.

Zapukał raz i nie usłyszawszy odpowiedzi, wystukał numer 317 na kluczu komputerowym.

— Zawsze podziwiam skomplikowane systemy zabezpieczeń, ty nie? — skomentował z uśmiechem, kiedy drzwi wsunęły się w ścianę.

Wątły, zniszczony mężczyzna z przegniłymi zębami i ziemistą cerą siedział zupełnie nagi na rozklekotanym krześle przy rozbitym oknie, obojętny na deszcz, który opryskiwał go, odbijając się od fragmentów szyby. Krótkimi, niezwykle szybkimi ruchami pędzla pracował nad obrazem. Mruczał coś do siebie, zamalowując kontur pięknej kobiecej twarzy, nie całkiem zachowując właściwe proporcje. Na podłodze leżały rozrzucone tanie pojemniki wypełnione sztucznymi diamentami, rubinami, szafirami i szmaragdami, jakaś skomplikowana maszyna do pokrywania metali nieszlachetnych pozłotą i liczne narzędzia jubilerskie.

Mężczyzna podniósł oczy na swoich gości, błyskając ku nim szybkim, nerwowym uśmiechem, nałożył jeszcze kilka bryzgów koloru na płótno, potem niedbale rzucił paletę na podłogę i obrócił się, aby znowu spojrzeć na Caina i Swagmana.

— Dzień dobry, Yoricku — powiedział Swagman. — Zastanawiam się, czy możesz nam poświęcić kilka minut?

Yorick patrzył na niego przez chwilę, zmarszczył brwi, spojrzął ponownie na swoje płótno i wówczas zwrócił się do Swagmana jeszcze raz, z zakłopotanym wyrazem twarzy.

— Nie jesteś w moim obrazie — odezwał się w końcu.

— Nie — odparł Swagman. — Jestem w twoim pokoju.

— W moim pokoju? — powtórzył Yorick.

— Właśnie.

— Cóż — stwierdził malarz, wzruszywszy ramionami — musi być tak albo siak. — Spojrzął z uwagą na Swagmana. — Czy ja cię znam?

— Słyszałeś o mnie. Jestem Uroczy Swagman.

Yorick opuścił głowę, nadal marszcząc brwi.

— Uroczy, Uroczy, Uroczy, Uroczy, Uroczy... — zamruczał. Nagle spojrzął w górę. — Nie znam cię, ale słyszałem o tobie — powiedział z zadowolonym uśmiechem. Zwrócił się do Caina: — Ale znam ciebie.

— Czyżby? — zdziwił się Cain.

— Jesteś Czyżyk — stwierdził z naciskiem, nagle zupełnie trzeźwy. — Wiem o tobie wszystko. Byłem na Bellefontaine, kiedy zabiłeś Jacka z Diamonds. Ależ to był strzał! — Nagle jego twarz znowu utraciła wszelki wyraz. — Strzał — stwierdził, kiedy wybrzmiało ostatnie słowo. — Strzał, strzał, strzał. — Tak samo szybko jak się pojawiła, pustka znowu zniknęła z jego zniszczonego oblicza. — Co tu robisz, Czyżyku?

— Potrzebuję paru informacji — odpowiedział Cain, siadając na krawędzi nie załanego łóżka Yoricka.

— Ja też potrzebuję trochę czegoś — zauważył Yorick, mrugnął porozumiewawczo i zachichotał. — Dużo trochę czegoś. Takie małe rzeczy do żucia, takie słodkie małe rzeczy.

— Może przeprowadzimy wymianę? — zaproponował Cain.

— Może, może, może. — Mówiąc, Yorick, wypluwał słowa, rozdzielając sylaby. — Może możemy. — Chwilę milczał, potem nagle rozejrzał się czujnie. — To co z handelkiem? — zasugerował.

— Dobry pomysł — zgodził się Cain.

— Dlaczego on jest tutaj? — spytał Yorick, wskazując na Swagmana.

— Podobają mu się twoje obrazy — wyjaśnił Cain.

— Och, doprawdy? — zachichotał Yorick. — Jemu podoba się coś więcej niż tylko obrazy. Jesteś Swagman, prawda?

— Jedyń w swoim rodzaju — stwierdził Swagman.

— A więc, jedyny w swoim rodzaju Swagmanie — zapytał Yorick — czy muzeum na Rhinegold kiedykolwiek odkryło jedyną w swoim rodzaju Księżniczkę Północnego Wybrzeża, którą sfalszowałem dla ciebie?

— Ciągłe siedzi sobie w swojej szklanej szafce pod całodobową strażą — odparł Swagman z uśmiechem.

— A ty masz prawdziwy kamień?

— Oczywiście.

— Oczywiście — powtórzył Yorick. — Wiście-oczy — recytował, przestawiając sylaby. — O-wiście-czy. — Wstał i spojrzął na Swagmana. — Mój kurier został zabity! — krzyknął oskarżycielsko.

— To bardzo godne pożałowania — stwierdził Swagman. — Mam nadzieję, że nie sądzisz, iż miałem z tym coś wspólnego.

— Gwarantowałeś jego bezpieczeństwo — zauważył Yorick ponuro.

— Gwarantowałem, że bezpiecznie dostanie się do mojej twierdzy — poprawił go Swagman. — To, co zrobił po jej opuszczeniu, było jego własną sprawą.

— Nigdy nie dostałem pieniędzy.

— Dałem je kurierowi. Moje zobowiązanie wobec ciebie skończyło się na tym. — Włożył rękę do kieszeni. — Jednakże nie chciałbym, żebyśmy stali się wrogami. Czy to wyrównuje rachunki? — Wyciągnął trzy małe, brązowe ziarna.

— Daj, daj, daj, daj, daj! — zapiszczał Yorick, wyrывая je z ręki Swagmana. Szybko przeszedł do zniszczonej szafy, wysunął górną szufladę i położył dwa z nasion na kupce brudnych ubrań. Trzecie wsunął sobie do ust.

— Skąd je, do cholery, wziąłeś? — spytał Cain. — Na Altair nie wiedziałeś jeszcze, że polecimy zobaczyć się z Biednym Yorickiem.

Swagman uśmiechnął się.

— Jak myślisz, za co zapłaciłem barmanowi pięćset kredytów?

— Za informacje. W każdym razie tak sądziłem.

— Za takie gówno? Te informacje warte były dwadzieścia pięć kredytów, najwyżej. Reszta była za ziarna alfanelli.

Yorick usiadł na krześle, a kiedy umieścił nasionko między policzkiem i dziąsłem i pozwolił sokom wypływać do gardła, jego twarz szybko złagodniała i uspokoiła się.

— Dziękuję — powiedział, a jego oczy rozjaśniły się. — Wiesz, czasem myślę, że nie jestem szalony jedynie w tych chwilach, gdy mam ziarno w ustach.

— Dobrze — stwierdził Cain. — Po prostu possij je sobie. Nie żuj, aż nie skończymy rozmawiać.

— Czego tylko sobie życzysz, Czyżyku — odparł Yorick uprzejmie. — Och, nie do wiary, to jest dobre. Nie wiem, jak żyłem, zanim nie odkryłem tego towaru.

— Trzeźwo — zasugerował ironicznie Cain.

Yorick zamknął oczy i uśmiechnął się.

— Ach tak: zabójca, któremu przeszkadza kodeks moralny. Wiem tyle o tobie, Czyżyku... — Zamilkł. — Pozwoliłeś odejść mojemu przyjacielowi.

— Odejść? — spytał zaciekawiony Swagman.

— Quentinowi Cicero — wyjaśnił Yorick, skinąwszy głową ciągle z zamkniętymi oczyma. — Złapałeś go i puściłeś go wolno. Dobry z ciebie człowiek, Czyżyku.

— Puściłeś wolno Quentina Cicero?! — zawołał Swagman, zwracając się do Caina.

— To nie jest takie proste — odparł Cain. — Miał zakładniczkę.

— To nigdy nie powstrzymało żadnego łowcy nagród — zauważył spokojnie Yorick. — Bo cóż by się stało, gdyby ją zabił? Jeszcze jeden powód, aby go arestować.

— Puściłeś go wolno? — powtórzył z wściekłością Swagman. — Ten gnojek zabił dwu moich ludzi!

— Przykro mi to słyszeć — powiedział Cain.

— Przykro ci? Jeden z nich miał pięćdziesiąt tysięcy moich kredytów!

— Ale zakładniczka przeżyła — zauważył Yorick.



— Wiesz co? — stwierdził Swagman. — Jeśli nadal będziesz darowywał życie złoczyńcom, prędzej czy później doprowadzisz do plajty pewnego szanowanego przemysłowca!

— Będę o tym pamiętał następnym razem — powiedział Cain.

— Kogo teraz szukasz, Czyżyku? — spytał Yorick i znów zamilkł. — Wiem, gdzie możesz znaleźć Altair z Altair.

— Już ją znalazłem.

— Czy była człowiekiem? — spytał Yorick. — Nigdy nie potrafiłem tego na pewno stwierdzić.

— Ja też nie umiem — odparł Cain.

— Ale była piękna.

— Bardzo — zgodził się Cain.

— Ile dostałeś za jej zabicie? — spytał Yorick.

— Nic.

Yorick uśmiechnął się.

— W takim razie szukasz Santiago. — Z zadowoleniem ssał ziarno. — To zabawne, jak wszystko staje się jasne po minucie lub dwu, jak absolutnie zrozumiałe. Zabiłeś ją i rozmawiałeś z jej statkiem, a teraz jesteś tutaj.

— To prawda.

— I chcesz, żebym ci powiedział, dokąd masz teraz lecieć.

Cain kiwnął głową, a Yorick, nie usłyszawszy odpowiedzi, otworzył oczy.

— W jaki sposób masz zamiar go zabić, Czyżyku?

— Nie dowiem się, póki go nie znajdę — stwierdził Cain.

— A jeżeli będzie miał zakładnika?

— A będzie miał?

Yorick zaśmiał się.

— Skąd mogę wiedzieć?

— Więc skąd ja mam wiedzieć, co zrobię? — odpowiedział pytaniem Cain.

Yorick patrzył na Caina przez długą chwilę.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Czyżyku — stwierdził w końcu. — Myślę, że powiem ci to, co chcesz wiedzieć.

— Dziękuję.

— Ja też jestem dobrym człowiekiem, a więc pewnie zapłacisz mi trzy tysiące kredytów.

— Piętnaście tysięcy — dorzucił szybko Swagman.

— Zamknij się — rzucił Cain, wyciągając plik pieniędzy i odwijając sześć pięćsetkredytowych banknotów.

— Dziękuję ci, Czyżyku — powiedział Yorick. Obmacał się w poszukiwaniu kieszeni, po czym stwierdził, że jest nagi. Poszedł do szafy i włożył pieniądze do tej samej szuflady, w której wcześniej umieścił dwa nasiona alfanelli. Wreszcie wrócił na krzesło i leniwie usiadł. — Człowiekiem, z którym powinienes się spotkać, jest Billy Trzy Oczy.

— Słyszałem o nim.

— Każdy tutaj o nim słyszał. Wysłano za nim wiele listów gończych, Czyżyku.

— Jaki jest jego związek z Santiago?

— Pracuje dla niego.

— Bezpośrednio?

Yorick skinął głową.

— Kiedy sfałszowałem komplet platerów za ruble Stalina Nowej Gruzji, właśnie Billy Trzy Oczy odebrał ode mnie zastawę i dostarczył ją Santiago. A gdy ostatnim razem Santiago chciał coś zlecić Altair z Altair, byłem pośrednikiem.

— Gdzie znajduje się teraz Billy Trzy Oczy? — spytał Cain.

— Na Bezpiecznym Porcie. Słyszałeś kiedyś o nim?

— Nie.

— Osadnicza planeta w systemie Westminster.

— Jak go rozpoznam?

Yorick zachichotał.

— Jest dość łatwy do zauważenia. Giles Sans Pitie złapał go mniej więcej osiem lat temu i — zanim tamten zdołał uciec — wyrzeźbił na jego czole szczerbę tą swoją metalową pięścią. Właśnie w ten sposób Billy zdobył swój przydomek, gdyż Orfeusz uznał, że blizna wygląda jak trzecie oko.

— Ile jest miast na Bezpiecznym Porcie?

— Nie ma żadnego — odparł Yorick. — Żadnego, żadnego, żadnego, żadnego, żadnego — dodał mieszając słowa.

— Possij sobie znowu ziarno — rzucił Cain. — Zaczynasz odpływać.

Przez chwilę Yorick głośno cmokał i jego oczy rozjaśniły się jeszcze raz.

— W ogóle żadnych miast — powiedział leniwie. — Są dwie czy trzy małe wioski. Większość ludzi to farmerzy. Zrób po prostu obchód po tamtejszych tawernach. Będzie w jednej z nich. — Przerwał. — Chcesz czegoś jeszcze?

— Nie sędzę.

— To dobrze. — Yorick uśmiechnął się. — Zaczyna mi się wszystko rozmazywać. Padnę za parę minut, jeśli nie zgryzę ziarna.

Cain wstał.

— Dzięki — stwierdził.

— Dla Czyżyka wszystko.

Cain podszedł do drzwi i zwrócił się do Swagmana, który ciągle stał w miejscu.

— Chodź — powiedział.

— Idź przodem — powiedział Swagman. — Mam mały interes do omówienia z przyjacielem Yorickiem.

— Poczekam na dole.

Swagman potrząsnął głową.

— To może potrwać.

— O czym ty, do diabła, mówisz? — zapytał Cain.

— Chcę zamówić kilka obrazków.

— Więc zrób to i wyjdźmy stąd.

— Widzisz, jak on wygląda — stwierdził Swagman. — Jeśli ma spełnić moje życzenie, muszę trochę go poniańczyć.

— Rób, jak uważasz — rzekł Cain. — Ale nie licz na to, że będę marnował czas, uganiając się za bazgrołami, które dodasz do swojej kolekcji.

— Leć przodem na Bezpieczny Port — powiedział Swagman. — Wynajmę statek i tam do ciebie dołączę.

— Jeśli wyjdę sam z tego hotelu, nasza spółka przestanie istnieć — zauważył Cain.

— Jeśli zabijesz Santiago, zanim cię dogonię, spółka będzie skończona — zgodził się Swagman. — Ale jeżeli dołączę do ciebie, zanim go znajdziesz, będzie nadal obowiązywać.

— Za połowę.

— Nie potrzebujesz tego, co ja — przekonywał go Swagman.

— Wymyślę, co z tym zrobić.

Swagman wyglądał na zaniepokojonego.

— Bezpieczny Port jest po prostu kolejnym przystankiem po drodze. Nadal mnie potrzebujesz.

— Nie tak bardzo, jak ty potrzebujesz mnie — stwierdził Cain. Zmarszczył brwi. — Ale co ci to da, jeśli zostaniesz? Ile mogą być warte te obrazy?

— Przyznaję, że nie tyle, ile Santiago — zapewnił go Swagman. — Ale Yorick jest tu i teraz, a Santiago może nadal o lata świetlne od nas. Dogonię cię.

— Za połowę.

Swagman westchnął.

— Za połowę. — Przerwał. — Jeśli opuścisz Bezpieczny Port, zanim tam dotrę, zostaw dla mnie wskazówkę, jak cię znaleźć.

— Gdzie mam ją zostawić?

— Jeżeli nie znajdziesz nikogo, komu mógłbyś zaufać, każ Schusslerowi odesłać ją na Goldenrod.

Cain obrócił się do Yoricka.

— Kiedy stąd wyjdę, nic, co zdarzy się między wami dwoma, nie będzie mnie obchodziło, ale powinienem cię ostrzec, że zostawienie tych trzech tysięcy kredytów w jednym pokoju ze Swagmanem jest jak pozostawienie kawałka mięsa w klatce z głodnym lwem.

— Obrażasz mnie — obruszył się Swagman, bardziej ubawiony niż urażony.

— Obrażaj się, ile chcesz — powiedział Cain. — Ale bądź szczerzy i nie zaprzeczaj temu albo niech Bóg natychmiast położy cię trupem. — Podeszedł do szafy i stanął obok. — Może hotel mógłby przetrzymać je dla ciebie, póki Swagman nie odleci?

Yorick uśmiechnął się.

— Na tle tego hotelu Swagman wygląda jak debiutant.

— Masz może jakichś przyjaciół, którym mógłbym to zostawić?

Yorick potrząsnął głową.

— W porządku — stwierdził Cain. — Zdeponujmy je w filii banku w porcie kosmicznym. Powiem im, żeby wydano je

tylko tobie. Dźwięk twojego głosu powinien być tu zarejestrowany.

— Byłoby miło — powiedział Yorick. — Ale zostaw mi tysiąc kredytów. Nie chcę iść do banku od razu, kiedy skończy mi się zapas ziaren.

— On ci je zabierze — zauważył Cain.

— Tysiąc kredytów? Przecież ich nie potrzebuje.

— I co z tego?

— To są moje pieniądze! Zostaw mi tysiąc kredytów.

Cain otworzył szufladę i wyjął cztery pięćsetkredytowe banknoty.

— Powiem im, żeby ci ich nie wydawali, jeśli będziesz w towarzystwie.

— Dziękuję ci, Czyżyku — powiedział Yorick łagodnie.

— Jesteś pewien, że nie chcesz policzyć fałszywych kamyków, zanim wyjdiesz? — spytał ironicznie Swagman.

— Nie — odparł Cain. — Ale przed naszym odlotem każe Schusslerowi zrobić szybką inwenturę dzieł sztuki Altair z Altair.

Cain obrócił się i ruszył w stronę drzwi. Swagman prawie podbiegł do szafy, wyszukał kolejne nasionko i przyniósł je Yorickowi.

— Masz — powiedział. — Nie zaczynaj żuć, zanim nie porozmawiamy.

Yorick wyjął z ust pierwsze ziarno, teraz jasnożółte i ostrożnie położył je na parapecie, potem wsunął sobie nowe do ust. Swagman stanął przy oknie i spoglądał na deszcz, dopóki nie dostrzegł postaci Caina oddalającej się w stronę pojazdu.

— Jaki rodzaj malarstwa cię interesuje, Swagmanie? — spytał uprzejmie Yorick, delektując się soczystym sokiem świeżego nasiona.

— Żaden — powiedział Swagman.

— Więc po co było to wszystko?

— Billy Trzy Oczy nie żyje. Rozjemca MacDougal dopadł go cztery miesiące temu.

— Biedny Billy — powiedział Yorick, uśmiechając się spokojnie. — Uwielbiałem to nacięcie na jego czole. — Spojrzał na Swagmana. — Może lepiej idź i powiedz o tym Czyżykowi.

Swagman potrząsnął głową.

— Poczekam sobie po prostu, aż odleci z planety, zanim ją opuścę.

— Cóż, nikt nigdy nie zarzucał ci grzechu lojalności.

— I nikt nigdy nie będzie — odparł Swagman. — Mnie to obojętne. Byłem zdecydowany pozostać z nim całą drogę, aż do progu Santiago. — Chwilę milczał. — Ale on nie jest tym.

— Tym?

— Tym, który zdoła zabić Santiago.

— Wiem — stwierdził Yorick z błogim uśmiechem. — Dlatego też powiedziałem mu prawdę.

— Jaką prawdę? — zapytał Swagman.

— Na temat Bezpiecznego Portu. To jego następny krok.

— Przecież właśnie ci powiedziałem: Billy Trzy Oczy nie żyje. A więc — powiedział Swagman, wyciągając plik banknotów i trzymając je kusząco przed nosem Yoricka — jaki jest mój następny krok?

— Kto wie? — odrzekł grzecznie Yorick. — A dokąd się wybierasz?

— Gdzie, jak sądzisz, powinienem pojechać, żeby znaleźć Santiago?

— Żeby go znaleźć? — powtórzył Yorick. — Jedź z Czyżykiem.

— Pozwól, że się wyrażę jaśniej. Gdzie powinienem pojechać, żeby go zabić?

— On jest moim najlepszym klientem — powiedział Yorick. Umilkł, zamyśliwszy się. — On jest moim jedynym klientem. Nie chcę, żeby został zabity.

— Kupię ci tyle ziaren alfanelli, że już nigdy więcej nie będziesz go potrzebował.

— Nie będę żył dostatecznie długo, aby wydać te pieniądze, które dał mi Czyżyk — wyjaśnił Yorick łagodnie. — Po co miałbym chcieć więcej?

Swagman patrzył na niego przez chwilę, a potem wzruszył ramionami. Przechadzał się po pokoju, oglądając sztuczne klejnoty i w końcu zatrzymał się przed jednym z płócien.

— Masz zamiar to kiedykolwiek skończyć? — spytał.

— Prawdopodobnie nie.

— Kupię od ciebie ten obraz, jeśli skończysz.

— Został już sprzedany twojemu przyjacielowi, Czarnemu Orfeuszowi.

Swagman obejrzał portret z nowym zainteresowaniem.

— Eurydyka?

— Wydaje mi się, że tak ją nazywał. Zostawił mi parę holografii, ale zgubiłem je dawno temu.

— Mogłeś być cholernie dobrym artystą.

— Ale wtedy nie byłbym tak szczęśliwy — rzekł Yorick.

— Strasznie głupią rzecz teraz powiedziałaś.

— Moje malarstwo przynosi przyjemność innym. Moja słabostka daje rozkosz mnie.



— Jesteś głupcem — powiedział Swagman.

Yorick uśmiechnął się.

— Ale lojalnym głupcem. Czy masz jeszcze coś do dodania, Swagman?

— Nie.

— To dobrze. — Roztarł ziarno na miazgę zębami trzonowymi. — Mam jakąś minutę, zanim zacznie działać. Czy mógłbyś wyjść?

Swagman pozbierał z podłogi kilka rozrzuconych szkieł i delikatnie wsunął je za koszulę.

— Za chwilę — stwierdził z uśmiechem, idąc do drzwi.

— Teraz, kiedy opuściłeś towarzysza, dokąd się udasz? — spytał Yorick.

— Nie jestem całkowicie pozbawiony widoków na przyszłość — odparł Swagman ze zwykłą pewnością siebie.

— Tacy ludzie jak ty nigdy nie są — zauważył Yorick, a jego oczy zaczęły mętnieć.

— Tacy ludzie jak ja, zawsze dostają to, czego chcą — powiedział Swagman, robiąc tytułem próby krok w głąb pokoju i obserwując reakcję Yoricka. — A ludzie tacy jak Cain nawet nie wiedzą, czego chcą.

Yorick nic nie odpowiedział, jego kruche ciało popadło w zupełną katatonię. Swagman obserwował go jeszcze przez chwilę, potem przeszedł do szaty i wziął jeden z dwu pozostałych pięćsetkredytowych banknotów.

— Zwrot kosztów — wyjaśnił swojemu zastygłemu w bezruchu gospodarzowi.

Zrobił dwa kroki w kierunku drzwi, zatrzymał się, wzruszył ramionami, wrócił do szafy i przywłaszczył sobie ostatni banknot.

— Brzydki nałóg: narkotyki — powiedział, patrząc na Biednego Yoricka i potrząsając głową z nieszczerym żalem. — Któregoś dnia podziękujesz mi, że oddaliłem od ciebie pokusę.

Kilka minut później wkraczał już do portu kosmicznego i zatopiony w myślach badał każdy element swojej sytuacji z zimną precyzją matematyka. Zanim jeszcze znalazł się wewnątrz, rozważył wszystkie możliwe okoliczności i znalazł rozwiązanie. Krótco potem zaczął snuć plany działań, dzięki którym ponownie znajdzie się w centrum wydarzeń.

## Część 4

# KSIĘGA ANIOŁA

### 15.

*Nazywają go Aniołem Śmierci, tchnieniem nocy,  
Nikt, kto go spotkał, nie przeżył tej chwili,  
Ma talent i rozum, lecz bez życia oczy,  
Kocha zabijanie jak zapach wanilii.*

Nikt nie wiedział, skąd przybył. Istniała plotka, że urodził się na samej Ziemi, ale nigdy tego nie potwierdził.

Nikt nie wiedział, gdzie zaczął swą krwawą karierę, ani dlaczego wybrał to szczególne zajęcie. Niektórzy mówili, że kiedyś był żonaty, a jego żona została zgwałcona i zamordowana, więc teraz mści się za to na całej galaktyce. Mówiono również, że kiedyś był najemnikiem i wpadł w obłąd podczas jakiejś szczególnie krwawej akcji, ale żadna z osób, które kiedykolwiek go spotkały, uszły z życiem i były w stanie o tym opowiedzieć, nie uważała, aby zachowywał się jak szaleniec. W gruncie rzeczy, właśnie fakt, iż łowca był całkowicie normalny psychicznie, tak ludzi przerażał. Inni myśleli, że — jak Cain — Anioł to po prostu były rewolucjonista, któremu w pewnej chwili otworzyły się oczy.

Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, ani nie wiedział, dlaczego otrzymał taki pseudonim.

Nikt nie wiedział, z jakiej przyczyny na miejsce swoich działań wybrał Zewnętrzną Granicę na Galaktycznym Obrzeżu, skoro tak wiele było światów w obrębie samej Demokracji, gdzie mógł z powodzeniem uprawiać swój krwawy proceder.

Ale jednego wszyscy byli pewni: kiedy upatrzył sobie ofiarę, jej dni były policzone.

Uprawiając fach, w którym można było zdobyć sławę jednym zabójstwem — Sebastian Cain, Giles Sans Pitie i Rozjemca MacDougal mieli dotąd na swoim koncie łącznie niecałe siedemdziesiąt, a Johnny Jeden Znak ciągle czekał na swoje szóste — Anioł upolował już ponad stu zbiegów. Pracując w zawodzie, w którym anonimowość idzie w parze z sukcesem, Anioł znany był na tysiącach światów. Każdy z łowców głów wykrawał sobie własne terytorium i nie pozwalał nikomu przekraczać granic; Anioł lekceważył te reguły i chodził, gdzie chciał.

Orfeusz spotkał go tylko raz, na Barbizon — wrotach do Wewnętrznej Granicy — trzy tygodnie przed dniem, kiedy łowca zabił Gilesa Sans Pitie. Rozmawiali jedynie przez dziesięć minut i ten czas wystarczył Orfeuszowi w zupełności. Jego czytelnicy oczekiwali, że poświęci Aniołowi nie mniej niż tuzin zwrotek — w końcu dał przecież trzy Cainowi i dziewięć Gilesowi Sans Pitie — ale z wnikliwością, która uczyniła go Bardem Wewnętrznej Granicy, Orfeusz napisał o nim tylko jedną strofę. Kiedy proszono go o wyjaśnienie, po prostu uśmiechał się i odpowiadał, że te cztery linijki mówią wszystko, co miał do powiedzenia o Aniele.

Virtue MacKenzie żałowała, że nie napisał trochę więcej, bo może dzięki temu miałyby lepsze wyobrażenie o tym, czego

ma oczekiwać, jeśli spotka się wreszcie z Aniołem. Dotarła do systemu Lambda Karos dwa dni po jego odlocie i minęła się z nim znowu na Questados IV. Przybyła na Nowy Ekwador trzy dni później i szukała jakiejś wiadomości na temat jego miejsca pobytu w lokalnych biurach prasowych, ale niczego nie znalazła i w końcu wróciła do hotelu, gdzie ucięła sobie krótką drzemkę, wzięła prysznic, przebrała się i zeszła na kolację do restauracji na parterze.

Trzy godziny później siedziała przy stole w tyle „Królewskiej Wieży” — tawerny, w której spotykali się lokalni dziennikarze. Troje reporterów, w tym jedna kobieta, i jeszcze jeden mężczyzna — poszukiwacz złota, który wzbogacił się na pasie asteroidów (dwie planety od Nowego Ekwadoru) tkwili dookoła stolika, wpatrując się w grzbiety kart Virtue.

— Zdecyduj się na coś — zauważył niecierpliwie poszukiwacz złota.

— Nie popędzaj mnie — powiedziała Virtue, popijając whisky i gapiąc się w karty, aż na powrót udało jej się skoncentrować na nich uwagę. — Myślę. — W końcu przez podarty filc pchnęła stukredytowy banknot na środek stołu. — Sprawdzam.

Poszukiwacz złota i jeden z reporterów spasowali, kobieta podwyższyła stawkę o następne pięćdziesiąt kredytów, ostatni mężczyzna dorzucił się, a Virtue, po jeszcze jednej chwili zastanowienia, dołożyła się do puli.

— Obejrzyj je sobie i zapłac — wyszczerzyła zęby kobieta, odwracając karty.

— Niech mnie diabli! — mruknęła Virtue, rzucając karty na stół. Chwyciła stojącą obok butelkę i nalała sobie kolejną szklanekę. — Nie uczyłaś się przypadkiem grać od małego szczura nazwiskiem Terwillinger?

— Ktoś rezygnuje? — spytał jeden z mężczyzn, niedwuznacznie spoglądając w stronę Virtue.

— Teraz, kiedy jestem do tyłu prawie dwa tysiące kredytów?! — wrzasnęła kłótliwie.

— Ktoś inny?

— Cholera — zaklął poszukiwacz złota. — Jeśli ona chce nadal grać, chętnie dobiorę się do jej forsy.

— Zapomnij o tym, na dzisiaj koniec z przegrywaniem — stwierdziła Virtue.

— Więc lepiej daruj sobie alkohol — powiedział poszukiwacz złota. — To on cię pokonał na stole.

— Kiedy zechcę twojej rady, poproszę cię o nią — odparła Virtue, próbując przypomnieć sobie, jakie właściwie były karty zwycięzczyń.

— Życzę ci powodzenia. — Wzruszył ramionami. — Kto rozdaje?

— Ja — powiedział dziennikarz. Zaczął tasować karty.

W tym momencie do tawerny wszedł dobrze ubrany mężczyzna, rozejrzał się wokół i podszedł prosto do piątki graczy. Nie zwracali na niego uwagi, póki nie zatrzymał się kilka stóp od nich.

— Przepraszam — powiedział — ale zastanawiam się, czy mógłbym się do was przyłączyć?

Czworo miejscowych spojrzało na niego i nie udzieliło żadnej odpowiedzi.

— Rób, co chcesz — stwierdziła Virtue.

— Dziękuję — rzekł. — A tak przy okazji, radzę wam rozpocząć nową grę w zupełnie innym miejscu.

— Tak? — spytał niespokojnie poszukiwacz złota. — A gdzie na przykład?

— Tam — powiedział złowrogo, wskazując na pusty stolik w najdalszym końcu sali.

Poszukiwacz złota i trójka dziennikarzy prawie poprzewracali się nawzajem, prześcigając się w biegu do wskazanego stolika. Zdezorientowana Virtue podniosła się, aby do nich dołączyć, mamrocząc pod nosem:

— Co, do cholery, jest nie tak z tym stolikiem?

— Ty zostań — rzucił mężczyzna stanowczo, sadowiąc się na jednym z pospiesznie zwolnionych krzeseł.

Spojrzała przez stół i przyjrzała się mężczyźnie w mrocznym świetle tawerny. Był wysoki, chociaż nie tak wysoki jak Cain, i zupełnie dobrze zbudowany, chociaż nie był przesadnie muskularny. Włosy miał tak jasne, że wydawały się prawie białe, a brwi były ledwie widoczne. Nawet w przybliżeniu trudno było określić jego wiek. Zimne, przenikliwe oczy wydawały się ni to niebieskie, ni to szare; na dobrą sprawę były prawie przezroczyste. Reszta raczej przyjemnej twarzy nie wyróżniała się niczym szczególnym, ale te niemal bezbarwne oczy natychmiast zwracały uwagę.

Miał na sobie ciemnoszare ubranie, które na pierwszy rzut oka wydawało się czarne. Było doskonale skrojone i wybornie uszyte. Pod marynarką nosił srebrzystą koszulę w staroświeckim stylu, a jego buty, choć pozbawione ozdób *a la* Swagman, wydawały się jednak jeszcze bardziej kosztowne. Na małym palcu lewej ręki nosił platynowy pierścień, w którym tkwił prawdziwie bajeczny diament.

— Jesteś Anioł — powiedziała. To nie było pytanie.

Skinął głową.

— Sądziłam, że wyglądasz inaczej — stwierdziła, próbując zyskać na czasie i starając się skupić.

— W jakim sensie?

— Że jesteś bardziej podobny do zabójcy.

— A jak wygląda zabójca? — spytał Anioł.

— Chudszy i bardziej wygłodzony — odparła. Nagle przysła jej do głowy pewna myśl. — Przyszedłeś tu, żeby mnie zabić?

— Chyba nie — odparł, wyciągając długie, cienkie cygaro.

— Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że zapalę?

Popatrzyła w jego bezbarwne oczy i potrząsnęła głową.

— To dobrze — kontynuował. Nagle pochylił się do przodu.

— Siedzisz mnie od tygodnia. Dlaczego?

— Uważasz, że ktoś cię śledzi? — odrzekła Virtue, udając zdziwienie.

Anioł uśmiechnął się zimnym, pozbawionym emocji uśmiechem.

— Dotarłaś do Lambda Karos w dwa dni po moim wyjeździe i rozpytywałaś o mnie. Twoim następnym przystankiem było Questados IV. Znowu usiłowałaś się dowiedzieć miejsca mojego pobytu. A teraz jesteś tutaj. Na co innego to może wyglądać?

— Na zbieg okoliczności — zasugerowała nieprzekonywująco.

Patrzył na nią tak długo, aż poczuła się nieswojo.

— Muszę wydawać ci się bardzo głupi, skoro tak mi odpowiadasz — stwierdził w końcu. — Cóż, pozwól, że zapytam cię po raz kolejny: dlaczego mnie śledzisz?

— Jestem dziennikarką — wyjaśniła Virtue. — A ty jesteś romantyczną postacią. Pomyślałam, że można by zrobić o tobie niezłą historię.



Popatrzył na nią znowu bez wyrazu i znowu poczuła się strasznie nieprzyjemnie.

— Powtórzę moje pytanie jeszcze tylko jeden raz — powiedział — chcę więc, żebyś bardzo dobrze przemyślała swoją odpowiedź.

— Sprawiasz, że bardzo się denerwuję — zauważyła Vir-tue obłudnie.

— Ja natomiast denerwuję się, kiedy ktoś mnie śledzi — odpowiedział Anioł. — Dlaczego to robisz?

— Chciałam się z tobą spotkać.

Virtue zauważyła, że jej szklanka jest pusta i sięgnęła po whisky, ale Anioł był szybszy — chwycił butelkę i odstawił na drugi koniec stołu.

— Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać? — naciskał.

— Myślę, że możemy pomóc sobie nawzajem.

Popatrzył na nią, ale przez długi czas nic nie powiedział, tak że w końcu znowu przemówiła:

— Szukasz Santiago. Ja też.

— Więc jesteśmy konkurentami.

— Nie — rzuciła szybko. — Nie szukam nagrody. Chcę tylko nakręcić o nim reportaż. — Umilkła. — I rzeczywiście mogłabym także zrobić film o tobie.

— Nie interesują mnie twoje dziennikarskie aspiracje — powiedział Anioł. — Dlaczego miałbym wchodzić z tobą w układ?

— Posiadam informacje, których być może nie znasz — stwierdziła Virtue.

— Wątpię.

— Możesz pozwolić sobie na ryzyko?

— Tak sędzę. — Przerwał i spojrział na nią jeszcze raz. — Ale nie wiem, czy mogę zaryzykować, że wrócisz do Sebastiana Caina i powiesz mu, gdzie jestem i dokąd się udaję.

— Kto to jest Sebastian Cain? — spytała niewinnie.

— Bardzo głupi facet, który bierze zbyt dużo niepotrzebnego bagażu — odpowiedział Anioł. — Czy zaproponowałaś mu to samo, co oferujesz mnie: on dostanie nagrodę, a ty opowieść?

— Tak. Poza tym jeszcze Swagman ma coś dostać. Przypuszczam, że kolekcję sztuki Santiago.

— I Cain przysłał cię tutaj, żebyś mnie szpiegowała?

Potrząsnęła głową.

— Przyłot tutaj to mój własny pomysł. — Popatrzył na nią w milczeniu i znowu poczuła się zmuszona, aby powiedzieć więcej, niż zamierzała: — Ustaliłam kandydatów i jadę za zwycięzcą. Jeśli ktokolwiek jest w stanie zabić Santiago, to właśnie ty.

— I będziesz absolutnie lojalna wobec mnie? — zapytała ironicznie. — Aż do chwili, gdy nie usłyszysz o kimś innym, kto jest jeszcze lepszy, prawda?

— Nie mów tak. To nie w porządku.

— A zdradzanie współników jest w porządku? — spytał z nutą niechęci w głosie. — Zastanawiam się, co jest w Cainie takiego, że ludzie go opuszczają. Zostawił go także Uroczy Swagman, jak wiesz.

— Kto ci to powiedział? — spytała Virtue, autentycznie zaskoczona.

— Mam swoje źródła. Oczekuję, że skontaktuje się ze mną w każdej chwili, aby zobaczyć, czy nadal nie potrzebuję współników. — Zamilkł. — Powiem mu, że nie potrzebuję.

— Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć? — spytała, nagle przestraszona świadomością tego, co przydarza się jego niedoszłym partnerom. Rozejrzała się wokół w nadziei na czyjeś wsparcie albo pocieszenie i odkryła jedynie, że goście jeden po drugim cicho opuszczają tawernę, rzucając przy tym przerażone spojrzenia na Anioła.

— Nie jestem pewny — stwierdził. — Posiadasz pewne informacje, które mogą mi się przydać.

— Mówiłam ci, że tak jest — powiedziała zadowolona.

— Nie na temat Santiago — mruknął pogardliwie. — Wiesz o nim mniej niż nic.

— O czym w takim razie mówisz?

— O Sebastianie Cainie — odparł Anioł. — Zbliżam się do Santiago. Jeszcze trzy, może cztery światy, jeszcze tydzień, jeszcze miesiąc i będę tam. — Pyknął z cygara. — Cain tak, że się zbliża. Ma statek-cyborga i odwiedził już tego narkomana na Roosevelcie III. — Przerwał. — No i zabił Altair z Altair — dodał z odrobiną podziwu.

— Mogę ci powiedzieć o nim wszystko — stwierdziła Virtue zwycięsko.

— Wiem.

Zamilkła.

— A co będę z tego miała?

— Pierwszorzędny materiał o śmierci Santiago.

— I serię reportaży o tobie — dodała szybko.

Popatrzył na nią jeszcze raz.

— Nie nadużywaj swego szczęścia. Interesuje mnie parę informacji o Cainie, ale nie muszę ich mieć za wszelką cenę.

— Jeden reportaż?

Nie odpowiedział, ale jego zimne przezroczyście oczy wydawały się przewiercać ją na wylot.

- W porządku — powiedziała w końcu z rezygnacją.
- Podjęłaś mądrą decyzję — zauważył Anioł.
- Cóż, skoro będziemy razem podróżować, może mi powiesz, dokąd się udamy? — spytała Virtue.
- Dowiem się za kilka minut.
- Bazując na czymś, co ja ci powiem? — spytała sceptycznie.
- Potrząsnął głową.
- Już ci mówiłem: nie posiadasz żadnych użytecznych wiadomości o Santiago, ale na Nowym Ekwadorze jest taki facet, który je ma. Liczę, że pojawi się przy naszym stoliku lada moment.
- Dlaczego?
- Ponieważ prosiłem go o to.
- Czy wszyscy robią to, o co ich poprosisz? — zapytała tonem pełnym urazy.
- Większość ludzi tak — odparł Anioł.
- A co z tymi, którzy postępują inaczej?
- Szybko żałują, że się lepiej nie zastanowili. — Przerwał na chwilę. — Czas, abyś zaczęła mi opowiadać o Cainie.
- Teraz?
- Od razu jak wytrzeźwiejesz — odparł, dając znak barmanowi, który pospiesznie podszedł, kłaniając się służalczo.
- Pani życzy sobie filiżankę czarnej kawy — stwierdził Anioł.
- A co dla pana?
- Myślę, że białe wino. — odparł Anioł. — Nie za słodkie. Może coś z Alfarda.
- Proszę bardzo, drogi panie — powiedział barman, szybko się oddalając, by zrealizować zamówienie. Wrócił

chwilę później, postawił przed Virtue wielką filiżankę kawy i podsunął lampkę wina Aniołowi.

— To nie jest wino alfardyjskie — stwierdził łowca, upijając z kieliszka.

— Nie, proszę pana — przytaknął zdenerwowany barman. — Nie mamy żadnego stamtąd. Ale to jest z Walkirii, która ma wspaniałe winnice. Świetny rocznik, naprawdę.

Anioł wypił kolejny łyk, podczas gdy barman obserwował go z lękiem, i w końcu skinął potwierdzająco głową. Barman natychmiast dał znak pomocnikowi, który przyniósł do stołu butelkę.

— Ile jestem ci winien? — spytał Anioł.

— Na koszt firmy, proszę pana.

— Jesteś pewien?

— Tak, proszę pana. To przyjemność pana obsługiwać.

— Dziękuję — powiedział Anioł, patrząc, jak tamci szybko wycofują się na swoje pozycje za barem.

— To nie jest zbyt sprawiedliwe — zauważyła Virtue.

— Co?

— Ja piję kawę, a ty wino.

— Myślałaś, że w życiu wszystko jest sprawiedliwe? — spytał Anioł z ironią.

— Chciałabym pić whisky i grać w karty — kontynuowała z posępną miną, przyglądając się reporterom, którzy rzucaли w ich kierunku ukradkowe spojrzenia.

— Oni nie pragną twojego towarzystwa.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Ponieważ siedzisz i rozmawiasz ze mną. Przeczekają stosowny według nich okres — pewnie jeszcze jakieś pięć minut — i wyjdą, zanim będziesz mogła powtórnie do nich dołączyć.

- Jesteś pewien?
- Absolutnie.
- Czy to ci się zdarza zawsze? — zapytała.
- Tak.
- Musisz być bardzo samotnym człowiekiem.
- Są rzeczy, które to kompensują — odparł cierpko. — Z pewnością Sebastian Cain tyle ci chociaż powiedział.
- Nie jestem pewna, czy on się z tobą zgadza.
- W takim razie, dlaczego został łowcą nagród? — spytał Anioł, nagle zaintrygowany.
- Chce zrobić coś ważnego — powiedziała z cynicznym uśmiechem. — Albo znaczącego. Nie wiem dokładnie.
- Niech nas Bóg chroni przed porządnymi ludźmi o dobrych intencjach — oznajmił Anioł. Napił się wina i ponownie zapalił zgasłe cygaro.
- Wydaje mi się, że znaczna ich liczba może cię wyeliminować z interesu — skomentowała Virtue.
- Nie uważam, żeby mi to groziło w najbliższym czasie.
- powiedział. — Wróćmy do Caina. Jeśli się kogoś szuka, znacznie szybszy jest szlak pieniądza niż szlak przemytu. Dlaczego wybrał ten drugi?
- To było związane z pierwszą ważną wskazówką, którą zdobył.
- Nie tak trudno zdobyć informację.
- Może udaje ci się je wyciskać łatwiej niż jemu.
- Kiedy tak mówisz, Cain wydaje mi się niemal niegroźny
- zauważył Anioł. — To się nie zgadza z moim zdaniem na jego temat, szczególnie biorąc pod uwagę, jak daleko zaszedł.

— Łowcy nagród nie są jednakowi — odpowiedziała Vir-tue, wkładając rękę do swojego worka i wyjmując papierosa. — Nie mogę sobie na przykład wyobrazić Caina zabijającego każdego bez wyjątku, tak samo jak nie widzę ciebie, jak puszczasz kogoś wolno.

— Źle mnie osądzasz. Ja zabijam tylko zbiegów.

— A Giles Sans Pitie?

— I głupców — dodał.

— Słyszałam o nim wiele dobrych i wiele złych rzeczy — stwierdziła Virtue — ale nigdy przedtem nie słyszałam, żeby ktoś nazwał go głupcem.

— To dlatego, że większość ludzi się go bała.

— A właściwie dlaczego go zabiłeś?

— Proponował mi przymierze. Odmówiłem. Groził mi. — Uśmiechnął się ponuro. — To było głupie z jego strony.

— Zabiłeś go, bo ci groził?

— Bez wątpienia sugerujesz, że uczciwiej byłoby pocze-kać, aż zada mi kilka ciosów w głowę tą swoją metalową pię-ścią? — podsunął Anioł.

— Skąd wiesz, że nie blefował?

— Nie wiem. Ale kiedy człowiek wybierze już jakąś po-stawę, powinien być konsekwentny i przygotowany na wszystko, również na śmierć. Giles Sans Pitie powiedział, że mnie zabije. Zabiłem go, gdyż to wydawało mi się jedyną moż-liwą odpowiedzią na jego słowa.

— W jaki sposób go zabiłeś? — spytała zaciekawiona.

— Skuteczny — odparł. — Teraz włóż rękę do swoje-go worka i wyłącz dyktafon. Mieliśmy rozmawiać o Cainie, a nie nagrywać program biograficzny o mnie.

— Nie wiń dziewczyny za to, że próbuje — powiedzia-ła nonszalancko, wyłączając magnetofon.

Anioł nalał sobie jeszcze jedną lampkę wina, a w tym czasie czwórka graczy milcząco opuściła tawernę.

— Jak Cain zareagował, kiedy dowiedział się, że będzie musiał stanąć twarzą w twarz z Altair z Altair?

— Nie był przerażony, jeśli to miałeś na myśli — powiedziała Virtue.

— Nie o to mi chodziło. Każdy facet, który działa w naszym zawodzie tak długo jak Cain, już dawno nauczył się opanowywać strach. — Anioł pochylił się lekko do przodu. — Czy był podniecony?

— Niewiele rzeczy go podnieca. „Zrezygnowany” jest słowem, które bym uznała za właściwe.

— Jaka szkoda.

— Dlaczego? Czy ciebie podnieca zabijanie ludzi?

— Zabijanie ludzi jest po prostu pracą, którą w miarę możliwości trzeba wykonywać szybko i skutecznie — stwierdził Anioł. — Ale zabicie kogoś takiego jak Altair z Altair... — Jego twarz ożywiła się. — Najwyższe poziomy rywalizacji w każdej dziedzinie życia są trudne do odróżnienia od sztuki, a ja właśnie sztukę uważam za podniecającą.

— I dlatego uganiaś się za Santiago? — spytała Virtue.

— Ponieważ jest dla ciebie przeciwnikiem na najwyższym poziomie?

Potrząsnął głową.

— Poluję na Santiago, ponieważ potrzebuję nagrody, którą wyznaczono za jego głowę. Wyzwanie, jakie stanowi, jest tylko dodatkową premią.

— Daj spokój — powiedziała Virtue sceptycznie. — Dużo wiem o tobie. Naprawdę oczekujesz, że uwierzę w to, iż potrzebujesz jeszcze więcej pieniędzy?

— Twoja wiara nic mnie nie obchodzi — odrzekł Anioł.



— Ale przecież zarobiłeś już dziesiątki milionów kredytów!

— naciskała.

— Moi wierzyciele mają kosztowne gusta — stwierdził. Nagle jego uwagę przyciągnął mały, korpulentny, łysawy facet o czerwonej twarzy, który wszedł ostrożnie do tawerny. Rozejrzał się wokół niespokojnie, zobaczył Anioła i podszedł do nich.

— Pan Breshinsky? — zapytał Anioł.

Mężczyzna przytaknął. Z jego twarzy skapywał pot.

— Powiedziano mi, że chce się pan ze mną widzieć — powiedział tonem pełnym rozwagi.

— Powiedziano ci też, jakich informacji poszukuję.

— Z przykrością muszę pana poinformować, że nie mam do nich dostępu — stwierdził nerwowo Breshinsky.

— Jesteś naczelnikiem wydziału kont w oddziale Banku Misthaven na Nowym Ekwadorze, czyż nie?

Breshinsky znowu skinął głową.

— Musisz więc wiedzieć, na którym świecie Dimitrios Galos założył swoje pierwsze konto handlowe.

— Zgodnie z przepisami nie wolno mi panu tego powiedzieć — zaprotestował Breshinsky. — To jest informacja poufna.

— Którą teraz przekażesz mnie. — Anioł patrzył bacznie na speszonego bankiera.

— Nie ma mowy!

— No to po co tu się w ogóle pokazałeś?

— Przyszedłem, ponieważ nikt jeszcze nie odmówił Aniołowi.

— W takim razie ty też mi nie odmawiaj, bo bardzo się na ciebie rozgniewam — stwierdził ze spokojem Anioł.

— To może mnie kosztować posadę!

— To może cię kosztować znacznie więcej niż tylko posadę.

Breshinsky wydawał się walczyć z sobą.

— Kim jest pańska towarzyszka? — spytał w końcu. — Nie mogę wyjawiać takiej delikatnej informacji przy kimś trzecim.

— Osobiście gwarantuję jej milczenie.

— Jest pan pewien? — spytał Breshinsky, patrząc na Virtue.

— Przecież już ci dałem słowo.

Nastąpiła kolejna nieprzyjemna przerwa.

— Możemy przynajmniej porozmawiać na temat jakiejś rekompensaty? — spytał Breshinsky, a jego ręce zatrzęśły się dostrzegalnie. — Jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw, zniszczy całą moją przyszłość.

— Oczywiście — zgodził się Anioł. — Nie jestem aż tak niegodziwy.

— To bardzo dobrze — uspokoił się Breshinsky. Wyciągnął jedwabną chusteczkę i wycierał sobie czoło. — Mogę usiąść?

— To nie będzie potrzebne — odparł Anioł. — Nigdy się nie targuję. Zrobię jedną propozycję, a ty możesz ją przyjąć lub odrzucić.

— W porządku — powiedział Breshinsky. — Jaka jest pańska propozycja?

— Pańskie życie, panie Breshinsky — odparł łagodnie Anioł. Mały, tęgawy człowieczek najpierw stracił oddech, a potem nerwowo zachichotał.

— Pan żartuje!

— Nigdy nie żartuję w interesach.

Breshinsky patrzył na niego przez długą chwilę i wydał z siebie dźwięk, który był czymś pośrednim między westchnieniem a szlochem.

— Konto zostało założone na planecie Słoneczna Plaża.

— Dziękuję, panie Breshinsky — stwierdził Anioł. — Bardzo mi pan pomógł.

— Czy mogę już iść?

Anioł skinął głową i mały bankier szybko ruszył do drzwi.

— Naprawdę byś go zabił, gdyby ci nie powiedział? — spytała Virtue.

— Oczywiście.

— Myślałam, że zabijasz tylko zbiegów.

— I głupców — dodał Anioł. — W końcu dochodzi się do wniosku, że każdy jest albo jednym, albo drugim.

— Włącznie z Santiago?

— No więc, prawie wszyscy — poprawił się.

— Jesteś bardzo cynicznym facetem — powiedziała.

— Pewnie z powodu towarzystwa, w jakim się obracam — odparł. Zauważył, że cygaro znowu zgasło, więc zapalił nowe.

— Jutro o wschodzie słońca wylatujemy na Słoneczną Plażę.

— Chyba lepiej wrócę już do hotelu i zacznę się pakować — stwierdziła Virtue. — Na chwilę zamilkła. — Co mam zrobić ze swoim statkiem?

— Rób, co chcesz — rzucił Anioł.

— Wielkie dzięki.

— Jeśli jesteś niezadowolona, ciągle jeszcze możesz zostać na Nowym Ekwadorze — powiedział Anioł.

— Skądże znowu — odparła. — Jesteśmy teraz współnikami. Zostaję z tobą.

— Nie jesteśmy współnikami — poprawił ją. — Jesteśmy towarzyszami podróży, niczym więcej. I zostaniesz ze mną tylko tak długo, jak długo będziesz mi potrzebna. — Wstał. — Spotkamy się o wschodzie słońca przy moim statku.

— Skąd będę wiedziała, który to? — spytała, kiedy zaczęła się oddalać w kierunku drzwi.

Zatrzymał się i obrócił do niej.

— Podobno jesteś dziennikarką — powiedział. — Znajdź go.

Wyszedł, a Virtue MacKenzie stwierdziła, że siedzi samotnie w niemal zupełnie opustoszałej tawernie. Przez wiele minut pozostawała bez ruchu, pogrążona w myślach; próbowała przyswoić sobie to, co widziała i czego dowiedziała się o Aniele. Nie miała już wątpliwości, że właśnie on znajdzie Santiago i była niemal pewna, że zdoła go zabić. Ale po raz pierwszy od czasu, kiedy zaczęła swoje poszukiwania, straciła pewność, czy dobrze postąpiła. Anioł przerażał ją jak żaden człowiek, którego spotkała dotąd w życiu.

Przejrzała w myślach różne opcje: ponownie odnaleźć Caina i połączyć się z nim albo ze Swagmanem, podążać dalej własną drogą, rzucić wszystko w diabły i żyć za nie wydaną jeszcze resztkę zaliczki. Potem porównała je wszystkie z perspektywą pozostania u boku Anioła i w końcu doszła do wniosku, że może nie podjęła decyzji najbezpieczniejszej, ale na pewno najwłaściwszą.

Wstała, podeszła do drugiego końca stołu, tam gdzie Anioł odstawił jej butelkę, wypła dwa potężne łyki i skierowała się do swojego hotelu, przetrząsając pamięć w poszukiwaniu faktów na temat Caina i Santiago, które w oczach Anioła mogłyby wzmocnić i przedłużyć wartość jej osoby.

### 16.

*Przyjdź do legowiska Królowej Cnotki,*

*Przyjdź i zobacz rzeczy, o jakich nie śniłeś:*

*Stos pieniędzy jak góra wysoki I zuchwałą królową, o której marzyłeś.*

Ludzie pytali Czarnego Orfeusza o tę strofkę, odkąd tylko się pojawiła, gdyż była tak bardzo różna od pierwszej zwrotki o Virtue MacKenzie. Na początku bard był autentycznie zmieszany — przecież wcale tego nie napisał, ale potem domyślił się, kto to za niego zrobił i dlaczego, i uznał, że należy zostawić te cztery linijki, chociażby po to, aby wprawić w jeszcze większe zakłopotanie uczonych, którzy porobili kariery na fałszywej interpretacji jego dzieła.

Kiedy Anioł bąknął mimochodem, że stale potrzebuje pieniędzy, Virtue postanowiła przekonać go, że może mu w tym pomóc. Napisała więc ten tekst, dyskretnie puściła w ruch trochę pieniędzy i w końcu postarała się, żeby strofa zwróciła jego uwagę.

Gryzło ją sumienie, że napisała trochę więcej, niż należało. Zresztą piosenka i tak nie przyniosła zamierzonego efektu. Kiedy Anioł ją usłyszał, zrobił jedynie uwagę, że Orfeusz musiał odkryć jakąś drugą Królową Cnotkę. I nigdy do tematu nie wrócił. Swagman, gdy zwrotka dotarła do jego uszu, doszedł do wniosku, że pieniądze nie są jedyną rzeczą, jaką Virtue jest zdolna ułożyć w stos wysoki do samego nieba. A jeśli chodzi o Caina, który usłyszał ją już na Bezpiecznym Porcie,

skrzywił się i powiedział do Schusslera, że niektóre z tych rzeczy, co to niby się nie śniły, widywano zbyt często. Ze wszystkich ludzi i obcych, których Virtue spotkała na Wewnętrznej Granicy, tylko Siedzący Byk, wódz Wielkiego Narodu Siuksów uważał, że strofa została faktycznie napisana przez Czarnego Orfeusza i całkowicie zgadzał się z tym, że zuchwałość to jedna z głównych cech Królowej Cnotki.

Po prawdzie, utworek ten odniósł tylko jeden pozytywny skutek — Virtue zyskała jeszcze jeden kawałek nieśmiertelności, kiedy Orfeusz włączył te cztery wersy do swojej ballady.

Tymczasem w trakcie dwudniowej podróży na Słoneczną Plażę sprawy toczyły się dalej swoim tokiem. Anioł wypytał Virtue dokładnie o każdą cechę charakteru Caina, o każdą cząstkę jego przeszłości, o każdą nadzieję, jaką mógł żywić w związku ze swoją przyszłością. Odpowiadała, mówiąc prawdę, kiedy mogła i kłamiąc, kiedy nie znała odpowiedzi.

Nawet gdyby Anioł zakładał, że jej wiedza na temat Caina jest w najlepszym wypadku fragmentaryczna, portret, który wyłaniał się z tej opowieści, zaintrygował go i zaniepokoił. Rozumiał ludzi, którzy zabijali dla pieniędzy, i ludzi, którzy zabijali z nienawiści, a nawet tych, którzy zabijali ot, tak sobie, ale Cain wydawał się nie należeć do żadnej z tych kategorii. I, podobnie jak nie ufał wszystkiemu, co sprzeciwiało się jego doświadczeniom, postanowił nie ufać Cainowi.

Virtue również próbowała dowiedzieć się jak najwięcej o Aniele, szczególnie o jego przeszłości i powodach, dla których został najpierw płatnym zabójcą, a potem łowcą nagród. Nawet nie silił się, by jej odmówić, po prostu ignorował jej pytania, a kiedy patrzył na nią bezbarwnymi oczyma, czuła, że nie ma ochoty naciskać.

W końcu dotarli na Słoneczną Plażę, gdzie panował znacznie większy ruch, niż się spodziewała. Na większości światów Granicy po prostu hamowało się i lądowało, ale tutaj postępowano podobnie jak w sercu Demokracji.

Najpierw jakiś głos zjawił się w ich radiu i poprosił, żeby się przedstawili.

— „Krzyż Południa”, dwieście osiemdziesiąt jeden standardowych dni galaktycznych od Spicy VI, dowodzony przez Williama Jenningsa; rasa: Człowiek — odpowiedział Anioł.

— Numer rejestracyjny?

Anioł wyrecytował jedenastocyfrową liczbę.

— Cel wizyty?

— Turystyczny.

— Jest pan w stanie wylądować na planecie sam czy też potrzebuje pan pomocy stacji orbitalnej?

— Mogę lądować w każdym porcie kosmicznym zaliczanym do Klasy Siódmej albo wyższej.

— Proszę utrzymywać orbitę, póki nie będzie potwierdzenia — stwierdził głos i połączenie zostało przerwane.

— Kto to jest William Jennings? — spytała Virtue.

— To ja, póki nie przejdziemy przez cło.

— Przypuszczam, że miejsce pochodzenia statku i numer rejestracyjny są także fałszywe.

— Są nieprawdziwe — odparł Anioł. — Jest różnica między fałszem a nieprawdą, ponieważ mogę udowodnić, że nie kłamię, dokładnie tak, jak mogę udowodnić, że jestem Williamem Jenningsem.

— Dlaczego nie powiesz im, kim naprawdę jesteś? — spytała Virtue. — Zawód łowcy nagród nie jest nielegalny.

— A po co wzbudzać strach u ofiary i wyzwać chęć rywalizacji?

— Dlaczego w takim razie w ogóle podajesz jakieś nazwisko? — nalegała.

— Nie dbam o to, że ktoś może się dowiedzieć, iż byłem na jakimś świecie, kiedy go już opuściłem — odrzekł Anioł pogardliwie.

Radio ponownie przemówiło:

— Uwaga, „Krzyż Południa”. Musimy wiedzieć, ile innych istot inteligentnych znajduje się na pokładzie twojego statku.

— Jedna — odparł Anioł.

— Proszę się przedstawić.

— Virtue MacKenzie, pasażerka, rasa: Człowiek, która weszła na pokład na Nowym Ekwadorze dwa standardowe dni temu.

— Jaki był cel waszego pobytu na Nowym Ekwadorze?

— Turystyczny.

— Przewidywana długość pobytu na Słonecznej Plaży?

— Nie mam pojęcia — mruknął Anioł.

— Wymagam precyzyjnej odpowiedzi — stwierdził rozdrażniony głos.

— Zamierzam zostać tutaj przez dziesięć dni.

— Gospodarka Słonecznej Plaży jest oparta na suwerenach Plantageneta. Czy chce pan wymienić walutę?

— Chcę jedynie pozwolenia na lądowanie mojego statku.

— Proszę utrzymywać orbitę — powiedział głos i znowu połączenie się przerwało.

— Czuję się, jakbym była znowu w Demokracji — skomentowała Virtue.



— To udręka — zgodził się. — Kiedy będę miał swoją własną planetę, nie będę tolerował takiego biurokratycznego nonsensu.

— Swoją własną planetę? — powtórzyła.

Skinął głową.

Zaśmiała się.

— Łudzisz się, że Demokracja podaruje ci na własność planetę w dowód wdzięczności za zabicie Santiago?

— Nie.

— No to o czym mówisz?

Obrócił się do niej i przez chwilę sądziła, że może zdecydował się tu i teraz, raz na zawsze, położyć kres jej wścibstwu. Zamiast tego poinstruował komputer statku, aby wyświetlił hologram przekroju Galaktycznego Obrzeża.

— Widzisz to? — spytał, wskazując na świecąca, żółtą gwiazdę.

Kiwnęła głową.

— To jest gwiazda G-IV z jedenastoma planetami. Czwarta z tych planet nazywa się Odległy Londyn. Jego zaludnienie wzrosło do prawie trzystu tysięcy, od czasu gdy zaczęto go kolonizować. — Przerwał. — Odległym Londynem rządziła dziedziczna monarchia, której ostatni reprezentant zmarł kilka lat temu, pozostawiając niemałe długi. Rząd dał ogłoszenie, że poszukuje nowego monarchy.

— Pod warunkiem, że spłaci rodzinne długi świętej pamięci króla? — spytała Virtue.

— Dokładnie — odparł Anioł.

— Ile jeszcze potrzebujesz?

— Pieniądze za zabicie Santiago powinny wystarczyć.

— I wtedy schronisz się w odległym zaciszu jako władca wieśniaków? — spytała.

— Zawsze chciałem rządzić jakimś światem.

— Cóż — powiedziała — tam przynajmniej żaden idiota nie będzie opóźniał naszego lądowania. — Umilkła. — Pomyślałeś już o innych ulepszeniach, które wprowadzisz?

— Nie. Ale sądzę, że jedną rzecz mogę ci zagwarantować.

— Tak? Co takiego?

— Na ulicach mojego miasta będzie bezpiecznie.

— Nie przypuszczam, żebym chciała być przestępcą w twoim mieście — przyznała. — Co o tym pomyśle sądzi ludność?

— Patrząc na kilku poprzednich władców, ludzie się zgodzą.

— A jeśli nie?

— W takim razie będą musieli się dostosować — zauważył łagodnie.

Nagle radio zaskrzypiało, przerywając ciszę, w której trwało.

— „Krzyż Południa”, macie pozwolenie na lądowanie. Teraz dostarczymy współrzędne do waszego komputera. — Nastąpiły dwie sekundy ostrego buczenia, po którym statek zaczął hamować i kierować się w dół ku powierzchni Słonecznej Plaży.

— Mam nadzieję, że twój paszport jest ważny — zauważył Anioł. — Nie przypuszczam, żeby celnicy byli choć trochę mniej napuszeni i zarozumiali.

— Jasne — odparła.

Ale kiedy wylądowali, Virtue stała się obiektem dziesięciominutowego subtelnego nękania, ponieważ jej paszportu nie oglądano i nie rejestrowano od Pegaza. Kiedy wreszcie celnicy ją zwolnili, nigdzie nie było widać Anioła, więc szybko

przeszła przez port kosmiczny i zaczęła go szukać. Minęła nie-licznych ludzi, którzy tam handlowali, a także wielu obcych sprzedających wszystko — od niestrawnych słodyczy po osobliwe drewniane rzeźby — i w końcu znalazła łowcę przy stoisku z tytoniem, gdzie kupował świeży zapas cygar od jakiejś różowej, trzynożnej istoty z Hesperite III.

To miejsce jest po prostu zalane obcymi — zauważyła.

Nie wiedziałam, że Słoneczna Plaża jest tak kosmopolityczna.

Nie jest wyjaśnił Anioł. — Nie wolno im opuszczać strefy wolnego handlu wokół portu kosmicznego.

Tak przy okazji, chcę ci podziękować za pomoc w urzędzie celnym — powiedziała z sarkazmem.

- Moje papiery były w porządku.
- Mogłeś przecież poczekać.
- Partnerzy czekają. Towarzysze podróży nie.

Zapłacił za cygara, włożył je do kieszeni w klapie i kierując się według drogowskazów ruszył do głównej wypożyczalni pojazdów. Virtue podążyła za nim.

Kiedy dotarli na miejsce, zatrzymał się i obrócił do niej.

Nie jedziesz ze mną. Znajdź sobie własny środek transportu i zamelduj się w gospodzie „Powitanie”.

- Dlaczego nie możemy wjechać razem do miasta? — spytała. — Tak byłoby wygodniej.
- Ponieważ jesteś śledzona.
- Co?!
- Słyszałaś, co powiedziałem.
- Nie widzę nikogo — zaprotestowała Virtue.
- Ale ja widzę.
- Skąd wiesz, że to nie ciebie śledzą?

Ponieważ kiedy opuściłem cło, został na zewnątrz i czekał na ciebie.

— Jak wygląda? — spytała Virtue.

— Nie jest aż tak niezręczny — odparł Anioł. — Tylko dwa razy mi mignął.

— Skąd wiesz, że mnie śledzi, jeżeli tylko dwa razy ci mignął?

— Wiem — stwierdził spokojnie.

— I teraz zamierzasz po prostu odjechać? — zapytała.

— Mnie nikt nie szuka — rzucił Anioł.

— Mam nadzieję, że na Odległym Londynie nie oczekują rycerskiego króla.

— Z pewnością nie — powiedział Anioł, idąc ku wypożyczalni pojazdów.

— Poczekaj! — zawołała Virtue. — Co mam zrobić z tym facetem?

— To zależy tylko od ciebie. Ale gdybym był tobą, spróbowałbym dowiedzieć się, czego chce, zanim zaprowadziłbym go do swojego hotelu.

— To jest przecież także twój hotel — jęknęła z rozpaczą. — Jeśli nie pomożesz mi go zgubić, dowie się, gdzie się zatrzymałeś, co może być warte dla kogoś trochę pieniędzy.

— To nie jest mój hotel — odparł.

— Nie? W takim razie, gdzie się zatrzymasz?

— Tego typu informacją nigdy nie dzielę się z towarzyszami podróży.

— Więc jak cię znajdę?

— To ja cię odnajdę. — powiedział. — Spotkam się z tobą w hallu gospody „Powitanie” o zachodzie słońca.

— Jeśli nadal będę żyła — zauważyła gorzko.

— Jeśli nadal będziesz żyła — przytaknął.

Rzucił bagaż na tylne siedzenie pojazdu, wspiął się na miejsce kierowcy, zarejestrował pojazd na swoje konto za pomocą karty identyfikacyjnej i odjechał.

Virtue odczekała dziesięć minut, rzucając przerażone spojrzenia na różne, co bardziej zacienione miejsca, potem wynajęła auto i wyjechała w jaskrawe słońce. Kiedy znajdowała się w pół drogi do miasta, stwierdziła, że wszystkie przybory nocne zostawiła w porcie kosmicznym, ale uznała, że po nie nie wróci.

Po dotarciu do pobliskiego miasta — które, co nie było zaskakujące, przyjęło tę samą nazwę, co planeta — początkowo miała zamiar tak długo chodzić po ulicach i oglądać sklepowe wystawy, aż nie rozpozna swojego prześladowcy. W upale zdołała wytrzymać tylko trzydzieści sekund. Ktokolwiek nadał nazwę planecie, posiadał złośliwe poczucie humoru: Słoneczna Plaża była pustynnym światem, w którym na jedną stopę wybrzeża przypadało pięćset mil piachu. Kiedy Virtue opuściła wnętrze swego klimatyzowanego pojazdu, opadło ją wręcz porażające gorąco i miała wrażenie, że jedyną odmianą w tym klimacie może być najwyżej burza piaskowa.

Przeszła parę uliczek i poczuła się zupełnie wyczerpana tym niezwykłym spacerem. Zatem gdy znalazła się obok małej eleganckiej restauracji, weszła, zajęła stolik frontem zwrócony do drzwi i udawała, że studiuje menu, bez przerwy uważnie obserwując wejście.

Pięć minut później przez okno zajrzała znajoma brodata twarz, zwieńczona czupryną rozczochranych rudych włosów, a w następnej chwili do restauracji wpadł Półpensówka Terwillinger i podszedł prosto do jej stolika.

— Cholera! — warknęła jednocześnie z ulgą i wściekłością. — To ty mnie śledzisz?

— Taaak. — Był zziajany. — Musimy porozmawiać.

— Nie mam ci nic do powiedzenia.

— Masz mi więcej do powiedzenia, niż sądzisz — stwierdził Terwillinger, obserwując drzwi tak samo bacznie jak Virtue chwilę wcześniej. Dał znak kelnerowi. — Czy ten lokal ma jeszcze jakąś inną salę?

— Inną salę, proszę pana?

— Niewidoczną z ulicy — wyjaśnił Terwillinger.

— Nie otwieramy jej przed porą kolacji — powiedział kelner.

Terwillinger zamachał przed nim stukredytowym banknotem.

— Otwórz ją teraz — stwierdził. — I zaniknij od razu, jak tylko usiądziemy.

Kelner wziął banknot bez słowa i poprowadził ich do mniejszej salki, która posiadała tylko sześć pokrytych koronką stołów.

— Przynieś dwa piwa i zatrzymaj resztę — rzucił mały karciarz. Oboje z Virtue usiedli.

Kelner zmarszczył butnie brew i wyszedł z sali.

— Co tu, do cholery, robisz? — zapytała Virtue, kiedy zostali sami.

— Czekam na ciebie — odparł Terwillinger. — Zamierzalem dać ci jeszcze dwa dni, a potem, gdybyś się nie pojawiła, poleciałbym na Hallmark.

— Dlaczego skradasz się jak przestępca?

— Mam swoje powody — powiedział.

— Chodzi ci o Anioła? — spytała Virtue. — Jego nie interesuje, z kim rozmawiam.

— Anioł mnie nie martwi.

— W takim razie kim się przejmujesz?

— Człowiekiem-Górą Batesem.

— Nadal cię szuka?

— Ten facet po prostu nie umie zapomnieć urazy! — poskarżył się zrzędliwie Terwillinger. — Ściga mnie przez pół Wewnętrznej Granicy.

— Tak jak ty mnie — zauważyła Virtue. — Czy byłeś też na Nowym Ekwadorze?

Mały karciarz potrząsnął przecząco głową.

— Leciałem za tobą od samego Questados IV. Potem Bates zaczął znowu deptać mi po piętach, więc zdecydowałem się przeskoczyć parę światów, na wypadek, gdyby się tobą posłużył, aby mnie znaleźć. — Na chwilę umilkł, żeby zaczerpnąć tchu, a potem kontynuował: — Swagman powiedział mi, że Anioł prawdopodobnie zahaczy o Słoneczną Plażę albo Hallmark, zależnie od tego, czego się dowie na Lambda Karos, więc przyleciałem tutaj... To miała być planeta wakacyjna. — Skrzywił się. — Powinno się wypatroszyć i poćwiartować faceta, który ją tak nazwał. Powieszenie byłoby dla niego karą zbyt lekką.

— A właściwie po co mnie szukałeś?

— Cain mnie wysłał.

— Żeby mnie szpiegować?

— No cóż, „szpiegowanie” jest dość brzydkim słowem — stwierdził Terwillinger, wyciągając z kieszeni talię kart i nerwowo ją tasując. — Poza tym, gdybym cię rzeczywiście szpiegował, pozostałbym w ukryciu. Nigdy byś nie wiedziała, że jestem w pobliżu.

— Chyba że usłyszałabym dźwięk łamanych kości — powiedziała złośliwie.

Skrzywił się.

— Nie przypominaj mi.

— W porządku — stwierdziła. — Nie szpiegujesz. Po prostu jesteś tutaj, żeby zakosztować wspaniałego klimatu Słonecznej Plaży. — Przerwała. — Po co jeszcze tu jesteś?

— Żeby ocenić sytuację.

— I jak ją oceniasz?

— To chyba dość oczywiste — stwierdził Terwillinger. — Przeskoczyłaś na inny statek. Pracujesz teraz dla Anioła.

— Teraz wrócisz i powiesz o tym Cainowi?

— Nie mam wyboru.

— Oczywiście, że masz — odparła Virtue. — Możesz mu nie powiedzieć.

— I zaryzykować stratę dziesięciu procent nagrody? — zapytał Terwillinger. — Odpada!

Do sali wszedł kelner i postawił przed nimi szklanki i baniak z piwem.

— Dziękuję — powiedziała Virtue, od razu napełniając swoją.

— Co państwo zamawiają?

— To jest wszystko, czego chcieliśmy — odparł karciarz.

— Pozwoli pan zwrócić sobie uwagę, że to jest restauracja, a nie tawerna — stwierdził z nadmierną drażliwością kelner.

Terwillinger wyjął kolejny banknot stukredytowy z kieszeni i wręczył go kelnerowi.

— Powiedz nam to znowu za godzinę — powiedział.

Kelner włożył do kieszeni pieniądze, zabrał tacę i obrócił się do drzwi tanecznym i dobrze wyćwiczonym ruchem. Chwilę później znowu byli sami.

Virtue błyskawicznie opróżniła swoją szklankę i zwróciła się z powrotem do karciarza.



— Jak daleko zaszedł Cain?

Terwillinger wzruszył ramionami.

— Skąd mogę wiedzieć? Nie miałem z nim kontaktu od Altair III.

— Anioł wspomniał, że podobno Cain otrzymał pewne informacje od jakiegoś narkomana na Roosevelcie III.

— Nie słyszałem nic o tym — powiedział Terwillinger.

— Jeśli nie wiesz, gdzie on jest, to jak, do cholery, masz zamiar się z nim skontaktować?

— Przez Schusslera.

— Schusslera? — powtórzyła Virtue. — Kim on jest?

— Schussler jest bardziej czymś niż kimś — odparł Terwillinger.

— To ten cyborg-statek, o którym słyszałam?

Przytaknął.

— Schussler należał do Altair z Altair, prawda?

— Tak.

— Więc ma prawdopodobnie dostęp do wiadomości w jej bankach danych?

— Nie wiem — stwierdził Terwillinger. — Chyba tak.

— Coż, to znaczy, że Cain ma jeszcze jedno, niezłe źródło informacji — zastanowiła się głośno. — Może być bliżej, niż sądzimy. — Nagle obróciła się do Terwillingera. — Dlaczego Swagman go opuścił?

— Opuścił go? Nic o tym nie wiedziałem.

— Raczej nie jesteś kopalnią wiadomości — zauważyła złośliwie.

— Mam je zbierać, a nie rozdawać — odgryzł się karciarz.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Może go wyrzucił — zasugerowała w zamyśleniu.

— Kto wyrzucił kogo?

— Cain — wyjaśniła. — Może uznał, że nie potrzebuje już dłużej Swagmana. Może doszedł do wniosku, że wystarczy mu cyborg.

Do sali znowu wszedł kelner.

— Wydawało mi się, że powiedziałem ci, abyś zostawił nas w spokoju — zdenerwował się Terwillinger.

— Wiem, proszę pana, ale jeśli pan jest panem Terwillingerem, to mam dla pana wiadomość.

Twarz karciarza zbladła.

— Czy ktoś ci ją dał osobiście?

— Nie, proszę pana. Przyniesiono ją z portu kosmicznego.

— Wynoś się.

— Ale, proszę pana, wiadomość...

— Nie chcę jej słyszeć! — warknął Terwillinger.

Kelner popatrzył na niego przez chwilę, potem wzruszył ramionami i wyszedł.

— Do diabła! — mruknął karciarz.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytała Virtue.

— Człowiek-Góra Bates — powiedział Terwillinger. — Wylądował na Słonecznej Plaży... ale ktoś mnie chyba musi śledzić, bo inaczej nie wiedziałby, że tu jestem.

— Twój przyjaciel Bates nie ma zbyt wiele oleju w głowie — skomentowała Virtue, nalewając sobie piwa do szklanki. — Dlaczego ujawnia się, skoro na ciebie poluje?

— Nie widziałaś go — powiedział nieszczęśliwym tonem Terwillinger. — Nie ma sposobu, żeby ukrył swoją obecność.

— Ale powiadamiać o swoim przybyciu, bój się Boga! — prychnęła z pogardą.

— Po prostu informuje mnie, że wie, iż jestem tutaj — powiedział Terwillinger. — To taki jego żart. Myśli, że mnie przerazi. — Zamilkł i uśmiechnął się blado. — I ma rację.

— Co masz zamiar zrobić?

Zaśmiał się nerwowo.

— Wypić parę drinków, a później uciec tak szybko, jak się da.

— Wrócisz do Caina?

— To mój anioł stróż. — Przerwał z zadumą. — Chyba że...

— Chyba że co?

— Cain jest parę tysięcy lat świetlnych stąd, a ty masz swego własnego anioła. Zapomnę o moim raporcie, jeśli namówisz go, by mnie chronił.

— Jak długo? — spytała.

— Póki nie będę bezpieczny daleko stąd.

— Jest jeden warunek.

— Jaki? — zapytał podejrzliwie.

— Zanim odleczisz, skontaktujesz się z Cainem i powiesz mu, że nadal jestem wobec niego lojalna — odparła Virtue.

— Po prostu na wypadek, gdyby dotarł tam pierwszy? — spytał szyderczo karciarz.

— Zawsze istnieje taka możliwość.

— No, nie wiem — stwierdził z powątpiewaniem Terwillinger. — Jeśli dowie się prawdy, stracę mój udział.

— Na drodze do twojego statku znajduje się Bates — zauważyła. — Czym jest dziesięć procent dla martwego człowieka?

Patrzył przez chwilę na grzbiety swoich kart, potem pokiwiał głową.

— Niech będzie — rzekł w końcu. — Ale jesteś w stanie namówić Anioła, żeby mnie bronił, prawda?

Virtue wyszczerzyła zęby i zapewniła go:

— Zrobi wszystko, co mu każę.

### 17.

*Jest największy z największych,*

*Najpodlejszy z podłych.*

*Od rana do nocy nie trzeźwieje wcale.*

*Człowiek-Góra Bates, zwadę wciąż chce znaleźć.*

Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Hiram Ezekial Bates. Urodził się na skolonizowanej planecie Hera i kiedy miał osiem lat, mierzył już sześć stóp i dwa cale.

Jego rodzice zasięgaliby porady u wielu specjalistów. Byli wśród nich ludzie niekompetentni, którzy sugerowali, że chłopiec po prostu zbyt wcześnie dorasta. Inni twierdzili, że jego system przysadkowy dziwnie się zachowuje, ale po poddaniu dziecka niezliczonym badaniom i testom nie umieli przepisać niczego, co by je wyleczyło. W końcu, kiedy miał dwanaście lat — mierzył już wówczas siedem stóp i trzy cale — znaleźli lekarza, który potrafił zatrzymać jego wzrost.

Sęk w tym, że nikt nie pytał Hiramusa o zdanie, a tymczasem jemu podobała się myśl, że jest największą istotą ludzką w galaktyce. Kiedy więc rodzice zabrali go do lekarza, Hiram w czterech miejscach uszkodził kręgosłup biednego medy-

ka, połamał mu obie nogi i dokumentnie zdemolował jego biuro.

Właśnie tego dnia nazwano go Człowiekiem-Górą Batesem.

Został osadzony w domu poprawczym dla nieletnich przestępców. Ale gołymi rękoma pogruchotał mur z cegieł i uciekł w nieznanym kierunku, ujawniając się jakieś pięć lat później na Wewnętrznej Granicy. Do tego czasu osiągnął swój pełny wzrost: osiem stóp i siedem cali i wagę około 575 funtów twardych jak skała mięśni. Spędził mnóstwo czasu, zajmując się w różnych miejscach do rozmaitych prac, aż w końcu rzucił wszystko w diabły i został hazardzistą.

Miał prawie trzydzieści lat, kiedy Czarny Orfeusz zobaczył go po raz pierwszy. Bates siedział przy pokerze w tylnej sali baru na Binderze X, otoczony przez pięciu prostych górników. Dość ostro przegrywał i nie był oczywiście szczęśliwy z tego powodu. W końcu popatrzył z furią na stół i głośno oznajmił zaczepnym głosem, że jego szczęście się właśnie odmieniło i zamierza wygrać kilka następnych partii.

W kolejnym rozdaniu pula doszła do sześciu tysięcy kredytów, kiedy Bates uznał, że pora wyłożyć karty na stół. Miał parę szóstek. Dwu z jego przeciwników miało kolory, a jeden fula. Wszyscy zrzucili karty na kupkę pośrodku stołu, obrazkami do dołu i stwierdzili, że nie mają niczego, czym mogliby go pobić. I po części mieli rację.

Potem nastąpiły jeszcze dwa takie pokazy, a kiedy Bates powetował sobie wieczorną stratę, zabrał wygrane pieniądze, porzucił grę i skierował się głębiej na Granicę. Wszystko to wywarło na Czarnym Orfeuszu mocne wrażenie.

Ich ścieżki skrzyżowały się jeszcze raz, mniej więcej pięć lat później, na Bariosie IV. Uwagę Orfeusza przyciągnęły od-

głosy barowej burdy, a kiedy wszedł do obskurnej knajpy w porcie kosmicznym, zobaczył jak Człowiek-Góra Bates właśnie rzuca wyzwanie całej klienteli. Było to spracowane, mocno pijące towarzystwo — poszukiwacze złota, ładowacze i kupcy — a Bates rozrzucał ich po barze, jak wiązkę wykałaczek, śmiejąc się przez cały czas swoim głębokim basem. Jednego po drugim wyrzucał przez okna albo miotał na ściany, aż na nogach pozostali już tylko oni dwaj: Bates i Orfeusz.

— Opisz to koniecznie w twojej cholernej pieśni! — krzyknął z pasją, cisnął na ladę dość pieniędzy, aby zapłacić za szkody i wyszedł w mglistą noc.

Orfeusz spełnił jego życzenie i poświęcił mu sześć zwrotek.

Próbował też zorganizować walkę między Batesem a Łamaczem Czaszek Murchisonem, który był nieoficjalnym mistrzem wagi ciężkiej na Wewnętrznej Granicy, ale Murchison sprawdził przeciwnika i uznał, że nie chce mieć nic wspólnego z wielkoludem.

W czasie gdy Virtue MacKenzie meldowała się w recepcji gospody „Powitanie”, Półpensówka Terwillinger stał w hallu i popatrując uważnie na ulicę, myślał o tym, jak bardzo zgadza się z Murchisonem.

— W porządku — powiedziała Virtue, podchodząc do niego. — Wszystko załatwiłam.

— To dobrze — odparł mały karciarz. — Chodźmy na górę do twojego pokoju i poczekajmy tam na Anioła.

— Ma się ze mną spotkać tutaj.

— Kiedy?

— O zachodzie słońca.

— To jeszcze co najmniej dwie godziny — zajęczał Terwillinger. — Do diabła, Bates będzie miał dosyć czasu, by dostać się tutaj z portu kosmicznego spacerkiem.

— Nikt nie spaceruje w takim klimacie.

— Cholera! Wiesz, o co mi chodzi! — Próbował się opanować. — Nie mam zamiaru siedzieć przez dwie godziny w tym pieprzonym hallu tego idiotycznego hotelu. Mógłbym równie dobrze stanąć na ulicy ze środkiem strzelniczej tarczy namalowanym na czole.

— No dobra — zgodziła się Virtue. — Wyślij wiadomość, a potem możesz ukryć się w moim pokoju.

— Wiadomość? Jaką wiadomość?

— Do Caina.

— Teraz? — zapytał.

— Kiedy chcesz — odparła Virtue słodko. — Ale nie będziesz mógł pójść na górę, zanim tego nie zrobisz.

Terwillinger obrzucił ją piorunującym spojrzeniem, po czym wydał z siebie westchnienie rezygnacji.

— Wygrałaś. Skąd mam ją wysłać?

— Jestem pewna, że hotel posiada krótkofalowy nadajnik podprzestrzeni. Po prostu spytaj w recepcji.

— Jaki jest numer twojego pokoju?

— Po co ci mój numer? — spytała podejrzliwie Virtue.

— Muszę wpisać go na rachunku.

— Gównu musisz!

— Ale ja nie mam pieniędzy.

— Daj spokój, ty mały szczurze — powiedziała Virtue. — Widziałam, jak dawałeś kelnerowi łapówkę w restauracji.

— To były pieniądze Caina — powiedział nieprzekonująco.

— Wydawaj sobie czyją chcesz forszę, byle nie moją.

— Na pewno za to nie zapłacisz? — naciskał. — Wydaje mi się to niemoralne: wysłać mu nieprawdziwą wiadomość za jego własne pieniądze.

— Nie tak niemoralne jak kręactwa, których się dopuszczasz, żeby wyłudzić je ode mnie — stwierdziła stanowczo. — A teraz sięgnij do kieszeni i wygrzeb coś.

Wzruszył ramionami i poszedł do recepcji. Wskazano mu kabinę nadajnika falowego, do której się skierował.

— Mam nadzieję, że mogę dotrzymać ci towarzystwa — stwierdziła Virtue, dołączając do niego.

— Jesteś bardzo nieufna — zauważył karciarz. — Będziesz kiedyś zrzędliwą starą babą.

— Zrzędliwą, ale bogatą starą babą — poprawiła go z uśmiechem.

Blisko dwie minuty zajęło mu ułożenie wiadomości i jeszcze jedną oznaczenie odpowiedniej trasy, zaszyfrowanie w taki sposób, by Schussler ją otrzymał i wyemitowanie jej. Gdy skończył, uiścił opłatę w recepcji i obrócił się do Virtue:

— Zadowolona? — spytał. — A może wolałabyś, żebym stanął na ulicy z nazwiskiem wypisanym na czole?

— Nie kuś mnie — powiedziała, kierując się ku windowi. Ruszył za nią i w chwilę później szli korytarzem czwartego piętra.

— Jesteśmy na miejscu — stwierdziła, przyciskając kciukiem mechanizm blokujący drzwi. Niecałą sekundę komputer recepcyjny badał odcisk jej palca, a potem drzwi wsunęły się w ścianę.

— Ładnie — skomentował Terwillinger, wślizgując się przed nią do pokoju. — Bardzo ładnie.

— Nieźle — zgodziła się, wchodząc i polecając drzwiom, żeby się za nimi zamknęły.



Pokój były duży i przestronny, miał dwadzieścia pięć stóp długości. Był tam pluszowy dywan, królewskich rozmiarów łoże i para bardzo wygodnych krzesel. Jedna ściana mieściła schowaną we wnęce szafkę z holograficznym programem rozrywkowym, w którym wyświetlano właśnie w tej chwili zestaw płatnych ogłoszeń dotyczących — raczej doczesnego — nocnego życia Słonecznej Plaży. Mały stolik między krzesłami rozkładał się w stół do gier, z planszą na szachy, trik-traka i *jacob* — karcianą grę obcych, która była ostatnim krzykiem mody wśród najelegantszych elit hazardzistów.

— Nie byłem w takim miejscu od czasu, kiedy zbiłem moją drugą fortunę! — krzyknął Terwillinger.

— Twoją drugą fortunę? — powtórzyła Virtue. — I co się z nią stało?

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— To samo, co z pierwszą.

Spojrzała na niego, westchnęła, potrząsnęła głową i podeszła do szafy.

— Otwórz się — mruknęła.

Nic się nie wydarzyło.

— Otwórz się — powtórzyła.

Nadal nic.

— Cholera! Nie działa. Gdybym miała coś do schowania, zadzwoniłabym do recepcji i poskarżyłabym się.

— Chwileczkę — powiedział Terwillinger. — Widziałem już kiedyś coś takiego.

Podszedł do ozdobnych drzwi i przełożył przez nie rękę.

— Co, do cholery, zrobiłeś? — spytała.

— Nic — odparł. — Tu nie ma żadnych drzwi. To tylko projekcja holograficzna. — Uśmiechnął się i wskazał na parę dobrze ukrytych holoobiektów. — Są tańsze niż cięż-

kie drzwi, a gdy się do nich przyzwyczaisz, okazują się też wygodniejsze. I — dodał — możesz zmieniać ich wygląd za cenę paru nowych taśm wizualnych.

— Zastanawiam się, co jeszcze jest nieprawdziwe? — powiedziała Virtue, obchodząc pokój i dotykając różnych przedmiotów. — Chyba jednak tylko drzwi do szafy — stwierdziła w końcu.

— Spróbuj z łazienką — zasugerował.

Podeszła do drzwi, próbowała przejść przez nie, ale tylko się uderzyła.

— Nie chodziło mi o drzwi — stwierdził, polecając im, żeby się otworzyły. — Ale postawiłbym kredyty przeciw kamieniom, że te przetykane złotem zasłony wokół suchego prysznicza nie są prawdziwe.

— Suchego prysznicza? — spytała drażliwie. — Cholera! Miałam zamiar dziś wieczorem wziąć długą, gorącą kąpiel.

— Na pustynnym świecie? — zapytał. — Do diabła! Założę się, że nawet w ich własnych mieszkaniach woda jest tylko w kranie do picia.

— No cóż — stwierdziła, wracając do sypialni i idąc ku jednemu z krzeseł. — Możemy równie dobrze się odprężyć i poczekać na Anioła.

— Nie mam nic przeciwko temu — zgodził się Terwilinger, siadając naprzeciw niej. Wyjął karty i zaczął je tasować na stole. — Co powiesz na malutką gierkę hazardową?

— Nie, dziękuję.

— Jesteś pewna?

— Gdybyś grał w gierki hazardowe zamiast w gierki o z góry ustalonych wynikach, nie musiałbyś się teraz tutaj ukrywać — odpowiedziała.

— Możesz rozdawać — zaproponował.

— Oko — rzuciła od razu, biorąc od niego karty. — Dziesięć kredytów partia. Rozdający wygrywa wszystkie remisy.

— W porządku, jeżeli zaakceptujesz mój rewers, gdy przegram.

— Możesz grać pieniędzmi Caina — powiedziała. — W końcu jesteśmy przecież współnikami, a więc wszystko pozostanie, jak to się mówi, w rodzinie.

— Co za cholera — mruknął, wzruszając ramionami. — Niech ci będzie.

Grali przez prawie dwie godziny i Terwillinger wygrał czterysta kredytów, chociaż ani razu nie dane mu było rozdać. W końcu Virtue wyjrzała przez okno, oddała Terwillingerowi talię, wyjęła z torby cztery stukredytowe banknoty, położyła je na stole i wstała.

— Już czas — stwierdziła.

— Może pójdziesz się z nim spotkać i przyprowadzisz go tu na górę? — zasugerował nerwowo Terwillinger.

— A co, jeśli się spóźni i wpadnie najpierw na twojego przyjaciela? — odparła. — Naprawdę chcesz bronić się tutaj, w pokoju, który ma tylko jedno wyjście?

— Masz rację — przyznał niechętnie, idąc za nią do drzwi.

Zeszli do hallu, który w porze kolacji był o wiele bardziej zatłoczony. Virtue szybko zlustrowała twarze.

— Czy już tu jest? — spytał karciarz.

— Nie.

— Więc co robimy?

— Czekamy — odparła.

— A jeśli ktoś go zabił? — spytał Terwillinger. Widać było, że ogarnia go ślepe przerażenie.

— Jeśli ktoś zabił Anioła, to lepiej padnij na kolana i zaczynij się modlić — stwierdziła Virtue — ponieważ zapewniam cię, że Dzień Sądu Ostatecznego jest już blisko. A teraz przestań się trząść i postaraj się nie zmoczyć portek.

Terwillinger był zbyt zajęty gapieniem się przez okno hallu na ciemniejącą ulicę, żeby udzielić odpowiedzi.

— Możesz się odprężyć — powiedziała Virtue chwilę później, kiedy przez drzwi wszedł Anioł. — Już jest.

Terwillinger z ulgą wypuścił głośno powietrze i Virtue zastanowiła się całkiem bez sensu, jak długo wstrzymywał oddech.

— Dowiedziałeś się czegoś ciekawego? — spytała, kiedy Anioł przeszedł hall i zbliżył się do niej.

— Co nieco — odparł wymijająco. — Będę się musiał zobaczyć jutro z jeszcze jednym facetem. — Przerwał. — Kim jest twój przyjaciel?

— Półpensówka Terwillinger.

— To ten, którego zauważyłem w porcie kosmicznym?

— Tak. Pracuje dla Sebastiana Caina.

Anioł popatrzył na Terwillingera i nic nie powiedział.

— Cóż, w tej chwili fakty nie przedstawiają się dokładnie w ten sposób — zauważył nerwowo karciaż. — Moje usługi są ostatnio do kupienia.

— No to życzę im powodzenia — odparł Anioł. — A teraz odejdz.

— Co? — zapytał Terwillinger.

— Wiem o tobie wszystko. Jesteś nieuczciwym karciażem, który przyczepił się do Caina na Port Etrange i zostawił go na Altair III. Nie możesz mi nic zaoferować.

Virtue obróciła się do Terwillingera.

— Przykro mi — stwierdziła.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę! — krzyknął, przyciągając spojrzenia ze wszystkich stron hallu. — Zawarliśmy umowę! Ja dotrzymałem swojej części. Teraz musisz zapewnić mi ochronę!

— Jakąkolwiek umowę zawarłeś, zawarłeś ją z nią — powiedział zimno Anioł.

— Nie! — wrzasnął z rozpaczą Terwillinger. — Potrzebuję właśnie ciebie! — Anioł popatrzył na niego w milczeniu. — Nie rozumiesz? — krzyczał. — Człowiek-Góra Bates przyleciał tu i chce mnie zabić!

— Jak mi mówiono, nie bez powodu — stwierdził Anioł. Karciarz obrócił się do Virtue.

— Albo przekonasz go, żeby mnie chronił, albo mu powiem, do czego mnie zmusiłaś.

— Może mimo wszystko mógłby być dla nas użyteczny — zauważyła ostrożnie Virtue.

— Widzę, że okazał się już użyteczny dla ciebie — odparł Anioł cierpko. — Dla mnie jest zupełnie bezwartościowy.

— Mogę powiedzieć ci pewne rzeczy na temat Caina — krzyknął Terwillinger natarczywie. — Gdzie jest, dokąd się udaje i tak dalej.

— Wiem już, gdzie jest i dokąd się udaje.

— Mogę ci powiedzieć, gdzie jest Santiago!

— Nie wiesz, gdzie jest Santiago — stwierdził Anioł. — Teraz odejdz.

— Ale ja...

Nagle Terwillinger zmartwiał, jego oczy przykleiły się do drzwi wejściowych. Przez hall przeleciały pomruki przerażenia, a Virtue i Anioł obrócili się, żeby sprawdzić, jaka jest przyczyna tego zamieszania.

Tuż za drzwiami stał wielki jak góra człowiek. Jego zmierzwiona brązowa grzywa spływała na ramiona, zęby błyskały biało pod bujnym wąsem, a niebieskie oczy obrzucały piorunującymi spojrzeniami Półpensówkę Terwillingera. Mężczyzna ubrany był w strój ręcznie uszyty z wyprawionych skór zwierząt, które zabił gołymi rękami. Jego wysokie buty — z wyjątkiem stalowych obcasów — również były wykonane ze skóry.

— Jesteś mój! — wrzasnął Człowiek-Góra Bates, zło-wieszczco wskazując palcem na Terwillingera.

Recepcjonista szybko dotknął konsoly komputera i ciężkie drzwi wejściowe zasunęły się.

— Musisz mi pomóc! — bronił się Terwillinger.

— Dostosuj się do sytuacji — powiedział Anioł. — Zabieraj dupę.

Zawiedziony i przerażony Terwillinger zaczął niemiłosiernie kląć; jego oczy przylepiły się do drzwi. Dobiegał zza nich głuchy odgłos — powtarzające się regularnie co jakieś pięć sekund gwałtowne łomotanie — i karciarz nie miał wątpliwości, że Człowiek-Góra Bates próbuje pięściami utorować sobie drogę do środka.

— Nie możesz czegoś zrobić? — spytała Virtue.

— Nie ma na niego listu — odparł bez emocji Anioł.

Drzwi zaczęły się poddawać i w chwilę później zupełnie się rozwarły. Klienci i obsługa pouciekali w najdalsze kąty, kiedy Bates wszedł do sali.

— Jestem Człowiek-Góra Bates! — zaryczał. — Mój ojciec był trąbą powietrzną, a matka piorunem! Jestem Lewiatanem, wielką bestią z mrocznych głębi! — Zaczął chodzić w tę i z powrotem przed przerażonym Terwillingerem. — Jestem na wpół cyklonem i na wpół tornado! Jestem Behemotem, ol-

brzymim monstrum Granicy z piekła rodem! Zostałem spłodzony w supernowej i ochrzczony lawą! Mogę pokonać w walce, picciu, pieprzeniu i przeklinaniu każdego człowieka czy też obcego, który kiedykolwiek się narodził, wyszczenił albo wykluł!

Terwillinger z rozpaczą obrócił zalaną łzami twarz w stronę Anioła, który odsunął się kilka stóp od niego.

— Błagam! — zaskamlał.

— Sądziś, że ten karzełek ci pomoże? — zapytał Bates. Odrzucił w tył swoją wielką głowę i zaśmiał się. — No, no, schrupałbym go jak robaka! Odgryzłbym mu ramiona i nogi i wyplułbym kości!

Anioł popatrzył na niego z wyrazem umiarkowanego zainteresowania, ale nic nie powiedział.

— Przeleciałem pół galaktyki, żeby cię znaleźć, ty chuderlawy, wszawy robaku! — wrzasnął Bates, skupiając ponownie uwagę na Terwillingerze. — Gnałem bez jedzenia, snu i kobiet, cały czas czekając na tę chwilę.

Wyciągnął ręce z szybkością zaskakującą jak na tak wielkiego mężczyznę, schwycił karciarza za poły koszuli i przyciągnął do siebie.

— Teraz dowiesz się, co czeka wszystkich, którzy myślą, że można oszukać Człowiekiem-Górą Batesa!

Jedną ręką podniósł Terwillingera wysoko nad głowę.

— Virtue! — zawył karciarz. — Na Boga, każ mu coś zrobić!

Anioł obserwował bez emocji, jak Bates owinął swoje ramiona wokół Terwillingera i ścisnął. Rozległ się okrzyk przejmującego bólu, potem trzask miażdżonych kości, a w końcu Bates odrzucił martwe ciało na podłogę hallu.

Popatrzył z furią po twarzach i położył stopę na karku Terwillingera.

— Jestem Człowiekiem-Górą Batesem i zasłużyłem sobie na tę sprawiedliwą i straszną zemstę! — zaryczał wyzywająco. — Obejrzelście przed chwilą coś, o czym będziecie mogli opowiadać swoim wnukom.

Obracał się powoli, aż stanął twarzą w twarz z Virtue i Aniołem.

— Ty! — zagrzmiął, wskazując na nią swoim olbrzymim palcem.

— Ja? — spytała Virtue.

— On do ciebie krzyczał — powiedział Bates. — Dlaczego?

Virtue spróbowała sformułować jakąś odpowiedź, ale spostrzegłszy, że jej usta są zbyt suche, aby mogła mówić, wzruszyła tylko ramionami.

— Był mi dłużny dwieście tysięcy kredytów. Co cię z nim łączy?

— Ledwie go znałam — zdołała wybąkać.

— Kim jesteś?

— Och, nikim ważnym — stwierdziła, robiąc ze strachu krok do tyłu.

— Jeśli dowiem się, że skłamałaś, wrócę po ciebie — obiecał.

Przełknęła ślinę i nic nie powiedziała.

— No więc? — zapytał, przenosząc uwagę na recepcjonistę.

— Co, proszę pana? — spytał mężczyzna trzęsącym się głosem.

Bates wskazał na ciało u swoich stóp.

— Nie masz zamiaru posprzątać tego bałaganu?



— Tak, proszę pana — powiedział urzędnik, wystukując numer ochrony. — Już, proszę pana.

— To dobrze. Nie chciałbym, żeby ludzie myśleli, iż taki zwykowny hotel jak ten przyjmuje wstrętne, małe glizdy. — Podkreślił ostatnie słowo splunięciem na ciało Terwillingera, po czym znów podniósł oczy. — W porządku! Niech wszyscy wracają do swoich spraw.

Nikt się nie ruszył.

— Chyba coś powiedziałem, nie?! — ryknął.

Nagle w hallu zaroilo się jak w ulu. Ludzie pospieszyli do wyjść i wind. W następnej minucie w hallu nie pozostał nikt poza Batesem, Virtue, Aniołem, recepcjonistą i dwoma właśnie przybyłymi ludźmi z ochrony, którzy przyszli tylko po to, by zabrać poskręcane ciało małego karciarza.

Człowiek-Góra Bates zrobił parę kroków w kierunku Virtue i Anioła.

— Wy też! — rzucił. — Wynoście się!

Anioł ruszył w kierunku frontowych drzwi.

— Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś takiego! — wyszeptała Virtue. — Wygląda jak ucieleśnienie jakiejś pierwotnej siły!

— Za dużo mówi — powiedział Anioł.

— Słyszałem to! — zauważył Bates złowieszczo.

Anioł nadal zmierzał do drzwi, ale Bates podszedł do niego wielkimi krokami, złapał go za ramię i obrócił w swoją stronę.

— Nikt nie odchodzi, kiedy do niego mówię — stwierdził ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

Anioł uwolnił rękę i spojrzał na niego.

— Nie lubię, jak się mnie dotyka — powiedział łagodnie.

— Nieee? — Bates wyszczerzył zęby, kładąc jeszcze raz dłoń na ramieniu Anioła.

Anioł zrzucił jego rękę.

— Nie, nie lubię.

Nagle Bates uderzeniem w pierś rzucił go na ścianę.

— Zostaw go! — krzyknęła Virtue. — Nic ci nie zrobił!

— Znieważył mnie — powiedział Bates, robiąc groźny krok w stronę Anioła. — Poza tym, moja krew teraz wrze! Kiedy skręcę komuś kark, pobudza mi to krążenie.

— Anioł, powiedz mi, że przepraszasz i wynośmy się stąd w cholerę! — wrzasnęła Virtue z rozpaczą. Wizje bogactwa i sławy zaczęły odpływać, a oczyma wyobraźni zobaczyła wygięte ciało Anioła, leżące jak kłoda obok zwłok Terwillingera.

— Jesteś Anioł? — zapytał Bates, a wyraz niepewności na jedną zaledwie chwilę pojawił się na jego twarzy.

— Zgadza się.

— Dlaczego powiedziałeś, że za dużo mówię?

— Bo tak jest — odparł Anioł.

— Nie obchodzi mnie, kogo zabiłeś! — ryknął Bates, nagle znowu rozwścieczony. — Masz powiedzieć, że ci przykro albo będę znany jako człowiek, który gołymi rękami zabił Anioła.

Anioł patrzył na niego zimno przez dłuższą chwilę. W końcu odezwał się:

— Przykro mi, że mówisz za dużo.

— Jak sobie chcesz! — odburknął Bates. — Już jesteś martwy! Dziś wieczorem będzie jeszcze jedna duszyczka w piekle! — Zrobił dwa kroki do przodu i znalazł się w zasięgu ręki łowcy.

— Jeszcze możesz się wycofać — stwierdził Anioł. — Nie ma na ciebie listu.

Bates wyryczał jakieś przekleństwo, cofnął rękę i zamierzył się sierpowym na głowę łowcy. Ten uchylił się i pięść olbrzyma ugrzęzła w ścianie. Próbował ją wyrwać z muru, a wtedy Anioł wysunął do przodu prawą rękę, zrobił nią dwa niesamowicie szybkie ruchy i uskoczył w bok.

Bates wyryczał kolejne przekleństwo, starając się raz jeszcze oswobodzić rękę. Potem na jego obliczu pojawił się wyraz konsternacji i powoli opuścił wzrok na swój brzuch, z którego przez rozcięcie wzdłuż koszuli wylewały się wnętrzności.

— Nie wierzę w to! — zamruczał, próbując je podtrzymać drugą ręką.

Broń Anioła wsunęła się w rękaw.

— Ależ ja jestem Człowiekiem-Górą Batesem! — wymamrotał olbrzym z niedowierzaniem i umarł.

— Mój Boże! — krzyknęła Virtue, patrząc z niezdrowym urzeczeniem na Batesa, który ciągle zwisał uczepiony ręką ściany. — Czym go ciąłeś?

— Czymś ostrym — odpowiedział Anioł spokojnie. Podszedł do recepcji. — Lepiej zadzwoń po policję — stwierdził.

— Wdusiłem alarm, kiedy ten facet wyłamał drzwi — odparł recepcjonista. Twarz miał bladą i spoconą. — Będą tutaj lada chwila.

— Nam nadzieję, że chętnie zaświadczysz, iż zabiłem go w obronie własnej — kontynuował Anioł.

— Oczywiście, panie... Ach... panie Anioł?

Łowca popatrzył na niego przez chwilę, a potem zwrócił się do Virtue.

— To była twoja wina, wiesz? — powiedział.

— Moja? — powtórzyła.

Skinął głową.

— Gdybyś nie obiecała Terwillingerowi, że będę go chronił, nie czekałby tutaj, aż Bates się pojawi.

— Wtedy Bates zabiłby go dwieście stóp albo pół mili stąd, albo w porcie kosmicznym — tłumaczyła się Virtue. — Nie wiń mnie za to.

— Ale ja nie musiałbym go zabijać — wyjaśniał cierpliwie Anioł. — To był niepotrzebny wysiłek. Nie wart nawet kredytu w żadnym miejscu na Granicy.

— On tylko tyle dla ciebie znaczył? — zapytała z niedowierzaniem Virtue. — Po prostu niepotrzebny wysiłek? Mój Boże, to był sam Lewiatan, dokładnie tak jak powiedział!

— Był tylko człowiekiem. Krwawił jak każdy inny.

Wtedy właśnie przyjechała policja i przez następne parę minut Anioł szczegółowo relacjonował przebieg wydarzeń jakiemuś uprzedzającemu grzecznemu funkcjonariuszowi, który miał dobre wyczucie i nie poprosił go o okazanie paszportu.

Wreszcie łowca skończył składać zeznania i kiedy policjant przesłuchiwał recepcjonistę, a dwaj inni próbowali wyjąć rękę Batesa ze ściany, wrócił do Virtue.

— A tak przy okazji, co właściwie Terwillinger zrobił, że obiecałaś mu moją opiekę?

— Nic.

— Zadałem ci pytanie — stwierdził. — Oczekuję odpowiedzi.

— Wysłał zupełnie niepotrzebną wiadomość do człowieka, którego nigdy więcej nie mam zamiaru oglądać — powiedziała Virtue żarliwie, patrząc ze strachem na olbrzymie zwłoki Człowieka-Góry Batesa.

— Do Caina? — spytał.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

— Kto to jest Cain?

### 18.

*Spotkali się, widać drogi ich zejść się musiały,  
Simon Prostak zabił pasztetnika w pogodny dzień biały,  
Tak polubił smak nowego życia zbira,  
Ze z jego lśniącego noża wciąż krew inna spływa.*

Nigdy nie używał noża. Zwrotka ta jest tylko jednym z do wodów na to, że Czarny Orfeusz przesadzał niekiedy ze swoją małą „licentia poetica”.

Poza tym o Simonie można powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie był prostakiem.

W rzeczywistości ukończył studia matematyczne oraz w dziedzinie optyki laserowej i jeszcze jakichś dwu czy trzech nauk ezoterycznych i przez prawie dziesięć lat nauczał na jednym z największych uniwersytetów na Lodinie XI. Swego czasu śmiało zainwestował w rynek artykułów spożywczych, ale z powodu rekordowych zbiorów *kirtt*, lodińskiego odpowiednika pszenicy, w jednej chwili ceny na zboże spadły, pochłaniając całe jego życiowe oszczędności. Krótco później doszedł do wniosku, że za profesorską pensyjkę nigdy nie kupi wszystkich tych rzeczy, które pragnie mieć.

Toteż opuścił Demokrację i wyruszył na Wewnętrzną Granicę, gdzie podjął kolejne studia, których głównym przed-

miotem była zbrodnia, a fakultatywnym — bigamia. Zamordował swoje cztery żony i zdołał pobrać ubezpieczenie za trzy pierwsze, kiedy to właśnie przyszło mu do głowy, że zarobi o wiele więcej pieniędzy, jeśli zabijania nie ograniczy wyłącznie do swoich połowic.

Bezwłocznie przedzierzgnął się więc w zabójcę do wynajęcia. Ponieważ miał umysł naukowca, posługiwał się skonstruowaną przez siebie bronią laserową. Bardzo szanował przedstawicieli swego zawodu o większych od niego samego możliwościach fizycznych, postanowił więc wyspecjalizować się raczej w niezwykle wymyślnych, śmiercionośnych pułapkach niż w bezpośrednich pojedynkach.

Jego nowa profesja zmusiła go do wielkiej skromności i tak się tym przejął, że zaczął na wszelki wypadek udawać ignorancję we wszelkich dziedzinach. Orfeusz oczywiście przejrzał go na wylot — jedną z rzeczy, które bard robił najlepiej, było odnajdywanie prawdy ukrytej pod płaszczykiem pozorów — i nazwał go Simonem Prostakiem, co stanowiło osobisty żart pieśniarza. Imię przyłgnęło, a niedługo potem holografie Simona zaczęły zdobić ściany urzędów Wewnętrznej Granicy.

Anioł stał właśnie w urzędzie pocztowym portu, sprawdzając, czy są jacyś nowi zbiegowie godni uwagi i przez krótką chwilę przyglądał się twarzy Simona, a Virtue z torbą przewieszoną przez ramię tkwiła przy wejściu i czekała na niego.

— Myślałam, że tropisz Santiago — powiedziała, kiedy dołączył z powrotem do niej. — Po co zawracasz sobie głowę oglądaniem gromady jakichś drugorzędnych przestępców?

— Siła przyzwyczajenia — odparł, idąc korytarzem, który prowadził do jego statku. — Poza tym, nie wiem, czy Ca-

in albo ktoś inny już nie zabił Santiago, a ja mam planetę do kupienia.

— Wychodzi więc na to, że ściana w urzędzie pocztowym jest twoją zawodową gazetą codzienną — skomentowała Virtue.

— Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

— Dlatego, że nie jesteś dziennikarzem — stwierdziła.

Tym razem było znacznie mniej problemów z urzędnikami niż podczas ich ostatniej drogi przez port kosmiczny — Virtue sądziła, że lokalne władze wprowadziły zarządzenie, aby wypuścić Anioła z planety tak szybko, jak się tylko da — więc już kilka minut później znaleźli się w jednym z trzech tunelów prywatnych hangarów do wynajęcia i wspięli się na statek.

— Coś jest nie w porządku — powiedział Anioł, oglądając pomocniczą tablicę kontrolną, która znajdowała się wewnątrz pokrywy włazu.

— Co takiego?

— Włączył się system zabezpieczeń. Nie dotykaj niczego.

— Czy statek wybuchnie? — spytała z lękiem.

Potrząsnął głową.

— Wątpię. Gdyby podłożono tu bombę, rozerwałoby cię na kawałki w chwili, kiedy postawiłaś nogę na pokładzie.

— Pewnie dlatego pozwoliłeś, żebym przeszła pierwsza przez luk? — zapytała.

Nie odpowiedział i przez kolejną minutę stał bez ruchu, rozglądając się ostrożnie po statku, po czym obrócił się z powrotem w jej stronę.

— W porządku — powiedział. — Wracajmy na ziemię, tylko ostrożnie.

Podążyła za nim przez właz i chwilę później stała jakieś pięćdziesiąt stóp od niego, wpatrując się w statek, a Anioł rozmawiał z ochroną portu przez interkom.

— Nic się nie dzieje — stwierdziła, kiedy do niej dołączył.

— Jeśli nie wybuchł, kiedy po nim chodziłaś, raczej nie powinien eksplodować z powodu twojego spojrzenia — odparł.

— Więc co się właściwie stało? — spytała.

— Dowiemy się.

Podszedł do nich zaniepokojony funkcjonariusz służby bezpieczeństwa.

— Coś nie w porządku? — spytał.

— Ktoś był na statku podczas mojej nieobecności — odpowiedział Anioł.

— Tak? Kto?

— Sam chciałbym wiedzieć.

Policjant podszedł do interkomu, poprosił o połączenie z biurem, poszeptał cicho przez chwilę i potem wrócił do Anioła.

— Z tego, co zrozumiałem, wynika, że tuż przed wschodem słońca był tu pański mechanik.

— Nie mam mechanika.

— Powiedziano mi, że jego papiery były w porządku. Miał nawet zlecenie, na którym widniał pański podpis.

— Czyj podpis? — zapytał Anioł ostro.

— Anioła, przypuszczam — odparł oficer. — Od ostatniej nocy pana tożsamość nie jest już sekretem.

— Skąd wiedzieli, że to jest mój podpis? — zapytał Anioł. — Z czym go porównali?

— Skąd, do cholery, mam wiedzieć? — odpowiedział pytaniem funkcjonariusz. — Przypuszczam, że nie zawracali so-



bie głowy porównywaniem go z czymkolwiek. Każdy pracuje na opinię swego przedsiębiorstwa. Może uwierzyli mu na słowo.

- Jakie naprawy miał rzekomo zamiar wykonać?
- Nie mam najmniejszego pojęcia — odparł oficer.
- Jak to?

— Proszę zrozumieć: spędziłem ostatnie pięć godzin, usiłując pomóc wydziałowi załadunku w schwytaniu jakiegoś zaginionego zwierzęcia, które podobno przyleciało z Sektora Antares. Spróbuję się dowiedzieć czegoś na temat pana statku, ale muszę skonsultować się z działem bezpieczeństwa i z ochroną. Ktokolwiek to, do cholery, był, w kartotece musi być jego zlecenie pracy.

— Niech pan to zrobi od razu — powiedział Anioł. — Potem połączcie się z jego pracodawcą i sprawdźcie, czy kiedykolwiek o nim słyszał. A później proszę wziąć mechanika, za którego może pan osobiście ręczyć i niech przejrzy mój statek od góry do dołu.

- Gdzie pana znajdę? — spytał funkcjonariusz.
- Poczekam na pański raport w restauracji.
- To może potrwać dłużej niż chwilę.
- Niech pan dopilnuje, żeby trwało dwie chwile.

Anioł skierował się w dół korytarza, a Virtue podążyła za nim. Minęli kilka sklepów z pamiątkami i parę lokali dla obcych, aż w końcu dotarli do wielkiej restauracji przeznaczonej dla ludzi. Łowca rozejrzał się wokół, potem minął szereg pustych stolików, aż doszedł do jednego, który mu odpowiadał — w rogu pomieszczenia.

- Dlaczego tutaj? — spytała Virtue, siadając naprzeciw.
- Ktoś grzebał przy moim statku — stwierdził. — Czuję się bezpieczniej siedząc tyłem do ściany.

— Ale nie masz nic przeciwko temu, że ja usiądę tyłem do wejścia? — zapytała.

— Zupełnie nic.

— Zawsze się tak troszczyłeś o bliźnich, czy też przyszło to wraz z wiekiem? — spytała z sarkazmem.

— Siadaj, gdzie chcesz — odparł, wskazując na grupę pustych stolików. — Dla mnie to bez różnicy.

Westchnęła.

— Zmieńmy temat. Dowiedziałeś się czegoś ciekawego tego ranka?

— Dowiedziałem się, jak się nazywa i gdzie się znajduje następny świat, który odwiedzimy.

— Zechcesz podzielić się ze mną tym łakomym kąskiem wiedzy, czy może zagramy w zgadywanki?

— Powiem ci, kiedy opuścimy Słoneczną Plażę.

— To głupie! — warknęła. — Nawet jeżeli powiesz mi, na jaką planetę lecimy i tak nie będę wiedziała, kogo albo czego będziesz tam szukał. Naprawdę sądzisz, że wynajmę jakiś środek lokomocji i odlecę stąd, kiedy ty będziesz czekał, aż mechanik sprawdzi twój statek?

— Nie.

— Więc dlaczego tak postępujesz?

— Ponieważ dla człowieka mojej profesji stanowczo najważniejszą sprawą nie jest biegłość w posługiwaniu się bronią ani fizyczna sprawność, lecz skrupulatne kontrolowanie drobiazków.

— Jaki to ma związek ze sprawą, o której mówimy?

— Słuchaj uważnie, ponieważ wyjaśnię to tylko raz — zaczął Anioł, zapalając cienkie cygaro. — Jeżeli podam ci nazwę naszego następnego portu, będziesz mogła zrobić z tą wiadomością tylko dwie rzeczy: zignorować ją lub jej użyć. Je-

śli ją zignorujesz, jak to się prawie na pewno stanie, to znaczy, że wcale jej nie potrzebowałaś, a jeżeli się nią posłużysz, to wyłącznie na moją szkodę.

— Ale na Nowym Ekwadorze powiedziałeś mi, że dalej polecimy na Słoneczną Plażę. — zauważyła.

— Na Nowym Ekwadorze mój statek był gotowy do odlotu — stwierdził. — Jeśli skorzystałabyś z tych informacji bez mojej zgody, na pewno nie pożyłabyś tak długo, aby zobaczyć Słoneczną Plażę.

— Nie umiem wyrazić, jak wzruszona jestem takim zaufaniem — rzuciła z przekąsem.

— Mojego zaufania nie otrzymuje się łatwo — odparł. — Nie zrobiłaś nic, żeby na nie zasłużyć.

— O czym ty mówisz? Opowiedziałam ci wszystko o Cainie, prawda?

— Zdrada współnika nie należy do postępów, które wzbudzają zaufanie — zauważył Anioł. Zamilkł. — Czy wspominałem ci, że rano zatrzymałem się przy centrum informacyjnym twojego hotelu, gdy jeszcze spałaś?

— Tak?

Kiwnął głową.

— Byłem ciekaw, jaką wiadomość kazałaś wysłać Terwillingerowi do Caina wczoraj po południu. Mężczyzna na dyżurze był tak uprzejmy, że pokazał mi jej kopię.

— Nie wolno mu było tego zrobić!

— Kiedy omawiałem z nim alternatywy, wydawał się szczęśliwy, wybierając właśnie to rozwiązanie.

— Powiedziałam ci o tym zeszłej nocy — stwierdziła Virtue, broniąc się. — To niczego, cholera, nie oznacza. Po prostu asekuruję się na dwie strony, ale jesteś jedynym, na którego mogłabym postawić pieniądze.

Popatrzył na nią i nic nie odpowiedział.

— Widzisz — kontynuowała — mogłam zostać wczoraj w porcie kosmicznym, po tym jak poszedłeś do miasta, i odlecieć stąd następnym statkiem. Nie zrobiłam tego. To powinno ci coś powiedzieć.

— Dowodzi to jedynie, że masz dobrze rozwinięty instynkt przetrwania. — odrzekł.

— Nie wiem, dlaczego tracę czas rozmawiając z tobą — warknęła.

— Ponieważ chcesz znaleźć Santiago — stwierdził Anioł, kiwając na kelnerkę i pokazując jej, żeby przyniosła dwie kawy. — Problem — kontynuował — tkwi w tym, że on chyba znalazł nas pierwszy.

— Sądzisz, że statek to sprawka Santiago? — spytała Virtue.

— Nie osobiście, naturalnie. Ale podejrzewam, że wydał takie polecenie.

— Dlaczego nie kazał cię po prostu zabić?

— Trochę trudniej mnie zabić, niż ci się wydaje — powiedział cicho.

— Ale jaki cel można osiągnąć uszkadzając statek? — nalegała. — To nie może być ostrzeżenie. On musi wiedzieć, że nie uda mu się ciebie przestraszyć.

— Dlatego właśnie się niepokoję — stwierdził Anioł. — To wszystko nie ma żadnego sensu, a Santiago nie jest głupcem.

— Może uszkodzenie statku zlecił Cain albo Swagman — zasugerowała. — Obaj skorzystaliby na opóźnieniu twoich działań.

Potrząsnął głową.

— Ale mieliby jeszcze większą korzyść, gdyby mnie zatrzymali raz na zawsze.

— Fakt, że statek jeszcze nie wybuchł, nie daje jeszcze pewności, że nie ma tam bomby.

— Nikt nie będzie płakać po nas i nikt żadnego z nas nie pomści — odparł Anioł. — Gdyby była tam bomba, wybuchłaby w chwili, gdy wchodziliśmy na statek.

— Mów za siebie! — warknęła. — Ja mam kupę przyjaciół.

— Wątpię — powiedział Anioł.

Przyniesiono kawę i musieli poczekać, aż kelnerka oddali się na tyle, żeby nie mogła ich usłyszeć. Wtedy podjęli rozmowę.

— Może to jakiś przyjaciel Człowieka-Góry Batesa? — spytała Virtue.

— Nie sądzę, żeby miał jakichś przyjaciół — odparował Anioł. — Poza tym nie mści się śmierci przyjaciela, niszcząc statek jego zabójcy. — Zmarszczył brwi. — To musi być robota Santiago. Żałuję, że tylko tyle z tego rozumiem.

Do kafejki weszła ubrana w kombinezon kobieta, która rozejrzała się wokół i podeszła do ich stolika.

— Czy pan jest... Czy pan jest Williamem Jenningsem? — spytała z wahaniem.

— Tak.

— Właśnie obejrzałam pański statek — zaczęła. — Muszę go przebadać o wiele szczegółowiej, zanim będę mogła dać panu dokładny raport zniszczeń, ale miał pan rację: ktoś przy nim grzebał.

— Przypuszczam, że nie było żadnych bomb?

Potrząsnęła głową.

— Nie, a przynajmniej żadnej nie znalazłam. Nie wydaje mi się, żeby ktoś starał się pana zabić, chciał jedynie zatrzymać pana tutaj przez parę dni.

— Ile dni?

— Na podstawie tego, co zobaczyłam dotąd, mogę powiedzieć, że załatwienie części i zamontowanie ich zajmie dwa, trzy dni. — Przerwała na chwilę. — I będzie sporo kosztowało. Czy przedstawić panu najpierw kosztorys?

Anioł potrząsnął głową.

— Proszę po prostu zrobić wszystko, co niezbędne, żeby statek działał.

— Gdzie mogę się z panem skontaktować, kiedy będzie gotowy? — spytała.

— Nie może pani — powiedział. — Sam będę się dowiadywał parę razy dziennie. O kogo mam pytać?

Podawała swoje nazwisko i numer identyfikacyjny i wyszła z kafejki.

— Nadal wyglądasz na zaniepokojonego — zauważyła Virtue.

— Bo nadal jestem — odparł. — Co zyskuje Santiago zatrzymując mnie tutaj na dwa lub trzy dni? Nie jestem chyba jeszcze aż tak blisko niego.

Dopił kawę i zamówił następną.

— Może przenieśliśmy się do drink baru? — zaproponowała Virtue, patrząc ze wstrętem na swoją filiżankę.

— Nie, ponieważ mamy mieć jasne umysły, dopóki nie dowiemy się, co się dzieje — odparł Anioł z równą niechęcią.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem wzruszyła ramionami i wypila kolejny łyk z filiżanki.

Siedzieli w milczeniu już od pięciu minut, kiedy odnalazł ich funkcjonariusz służby bezpieczeństwa.

— Szukałem tego mechanika... — zaczął.

— Jego przedsiębiorstwo nigdy o nim nie słyszało i nie może pan znaleźć go w spisie pracowników firmy — mruknął Anioł.

Policjant westchnął i skinął głową.

— Ktoś rzeczywiście kręcił się przy statku. — Wyjął dwuwymiarową kopię karty identyfikacyjnej mechanika. — To ten facet. Czy przypomina panu kogoś?

Anioł przyjrzał się zdjęciu, które znajdowało się nad podpisem i odciskiem kciuka mężczyzny.

— Nie — stwierdził. — Mogę zatrzymać fotografię?

— Tak, proszę — odparł funkcjonariusz. — Jest w komputerze, jeśli będziemy potrzebowali następnej kopii. — Przerwał. — Nadal sprawdzamy od tej strony, ale przypuszczam, że ma pan... ee... pewnie swoje własne źródła?

Anioł nic nie odpowiedział.

— No cóż, w takim razie — stwierdził policjant — jeśli pozwolicie, wrócę do pracy.

— Będzie się pan zajmował sabotażystą?

Potrząsnął głową.

— Na jednym z pasażerskich terminali zepsuł się skaner — wyjaśnił przepaszająco. — Po prostu dzień jak zwykle. Ale zapewniam, że moje biuro nie ustaje w pogoni za pańskim tajemniczym mechanikiem.

Anioł popatrzył na niego.

— Jeśli nie znajdą rozwiązania do jutra rana, sam zajmę się dochodzeniem — przyrzekł funkcjonariusz z nerwowym śmiechem. Cofnął się, potknął o jakiś stół, przeprosił, potem obrócił się i wyszedł szybko z kafejki.

— Mogę popatrzeć? — spytała Virtue.

— Proszę bardzo — powiedział Anioł, wręczając jej kartę.

Przyjrzała się brodatej twarzy.

— Stawiam pięć do dziesięciu, że jest teraz gładko ogolony, o ile te włosy na zdjęciu są jego własne.

Oddała mu zdjęcie. Rzucił na nie ostatnie spojrzenie, potem wsunął do kieszeni, położył na stoliku kilka monet i wstał.

— Chodźmy — powiedział.

— Dokąd?

— Nie znajdziemy odpowiedzi, tkwiąc tutaj — odparł Anioł. — A portowa administracja w niczym nam nie pomoże. — Chwilę milczał. — Pod pewnym względem to może być dla nas bardzo szczęśliwy traf.

— Co masz na myśli? — spytała.

— Ponieważ jeśli uda mi się znaleźć faceta, który chciał zniszczyć statek, zmuszę go, aby powiedział mi, gdzie przebywa Santiago. A wtedy zaoszczędzimy parę tygodni.

— Gdzie zaczniemy go szukać?

— Nie zaczniemy, ale zacznę — oznajmił stanowczo. — Ty wrócisz do hotelu i poczekasz tam na mnie.

— Akurat, cholera!

Popatrzył na nią chłodno.

— Jeśli nie podałem ci nazwy naszego następnego portu przeznaczenia, na pewno tym bardziej nie pozwolę ci pojechać ze mną, jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, że mogę rzeczywiście dowiedzieć się czegoś o siedzibie Santiago.

Już miała znowu zaprotestować, ale coś w jego bezbarwnych oczach sprawiło, że zrezygnowała.

W milczeniu szli przez lotnisko do strefy wynajmu pojazdów. Kiedy tam dotarli, Virtue zwróciła się do Anioła:



— Znowu osobne środki transportu? — spytała złośliwie.

Potrząsnął głową.

— Pojedziemy razem.

— To nie może być kurtuazja, a rycerskość już wyklużyliśmy — zauważyła podejrzliwie.

— Chcę być pewien, że udasz się prosto do hotelu.

— Masz zamiar postawić strażnika pod drzwiami, by się również upewnić, że tam zostanę?

— Od chwili, gdy wejdiesz do hotelu, przestanie mnie obchodzić, co zrobisz. Ale nie próbuj mnie śledzić.

Anioł wynajął pojazd i zaraz na początku dziesięciominutowej drogi do miasta okazało się, że klimatyzacja pamięta lepsze czasy. Virtue zdecydowała się nie narzekać z tego powodu, póki Anioł nie zacznie. Zdumiało ją, gdy zobaczyła, że na końcu podróży jego twarz jest tak samo sucha, jak była w porcie, podczas gdy ją pot przemoczył do suchej nitki.

Anioł zatrzymał samochód przy wejściu do gospody „Powitanie”, gdzie kilku robotników zajmowało się wymianą rozbitych przez Człowieka-Górę Batesa drzwi, i spojrzał uważnie na dziewczynę.

— Nie skontaktuję się z tobą do jutra, chyba że dowiem się czegoś. Nalegam jeszcze raz, żebyś za mną nie jechała. Ponieważ nie wiem, od czego zacząć, zamierzam udać się w najgorsze rewiry lokalnej przestępczości i spróbować tam powęszyć. Pewnie nie zostanę przyjęty szczególnie uprzejmie i nie sądzę, abym mógł cię ochronić, jeśli zaczniesz się gdzieś w półmroku. Idź więc po prostu do swojego pokoju, zjedz kolację i odpocznij.

— Wydaje ci się, że dowiesz się, kto uszkodził twój statek, przepytując grupkę podrzędnych oszustów? — zapytała z ironią.

— Może nie — przyznał. — Prawdopodobnie człowiek, który manipulował przy statku, znajduje się teraz daleko od Słonecznej Plaży. Ale będę tkwił tutaj przez kilka następných dni, a muszę przecież od czegoś zacząć, więc... — Nagie urwał i popatrzył z uwagą przez okno na nędznie ubranego żebraka, który prosił o monety około pięćdziesiąt stóp od ich auta.

W końcu Anioł uśmiechnął się.

— Teraz to wszystko ma sens — powiedział cicho.

— Co?

— Nieważne. — Obrócił się z powrotem do niej. — Kiedy wejdiesz do hotelu, znajdź sobie miłe, wygodne miejsce w hallu.

— O czym ty mówisz?

— Słyszałaś.

— Jest mi gorąco, jestem zmęczona i odkąd tkwię w tej cholernej dziurze, mam ochotę pójść do swego pokoju, wziąć suchy prysznic i zmienić te ciuchy.

— Nie radzę — zagroził Anioł.

— Jestem już nieco znudzona i zmęczona twoim rozkazywaniem! — warknęła Virtue.

— W porządku — powiedział, wzruszywszy ramionami.

— Rób, jak chcesz.

— Dlaczego nie mam iść do swojego pokoju? — zapytała z nagłym przypiływem wątpliwości.

— Ponieważ wyciągnąłem wnioski z fałszywych przesłanek — wyjaśnił. — Sądziłem, że ktoś mnie próbuje zatrzymać. A on przecież gania za tobą. — Sięgnął do tablicy ste-

rowniczej i uruchomił klamkę drzwi. — Teraz idź do hallu i nie rozglądaj się.

Virtue natychmiast wyszła na chodnik, nie czując wcale dotkliwego gorąca, a Anioł włączył silnik, ruszył i pospiesznie zaczął się oddalać. Zmuszając się, żeby patrzeć tylko prosto przed siebie, przeszła obok recepcji, potem skręciła w lewo i znalazła krzesło częściowo niewidoczne od strony wejścia.

Siedziała zupełnie bez ruchu, bojąc się zwrócić na siebie czyjąś uwagę i zastanawiała się, co ma teraz zrobić. Zaczęła ukradkiem obserwować ludzi w hallu, próbując stwierdzić, którzy z nich wyglądają na zabójców i doszła do nieprzyjemnego wniosku, że absolutnie wszyscy.

W końcu, po długiej jak wieczność chwili, do hallu wszedł Anioł w towarzystwie żebraka, który wyglądał na strasznie zmieszanego. Łowca spojrział w jej kierunku i wykonał szybki ruch głową.

Wstała pośpiesznie i wskazała pytająco na siebie. Kiwnął głową, a kiedy dołączyła do niego przed windą, zauważyła, że Anioł przyciska do pleców żebraka małą ręczną broń.

— Przecież cały czas panu mówię: bardzo się pan myli — zajęczał żebrak, kiedy wszyscy troje znaleźli się sami w windzie. Wjeżdżali na piętro Virtue. — Nigdy przedtem w moim życiu nie widziałem pana, klnę się na Boga, że nie widziałem.

— Ale ja cię widziałem — odparł Anioł groźnie. — Popatrywałeś na mnie ze ściany w urzędzie pocztowym.

— Nigdy dotąd nie byłem w żadnym urzędzie pocztowym.

Anioł nie odpowiedział i w kilka sekund później winda zatrzymała się.

— Kto to jest? — spytała Virtue, kiedy weszli do pustego korytarza.

— Nazywa się Simon Prostack — wyjaśnił Anioł, dźgając żebraka bronią, póki mężczyzna się nie ruszył. — I jest trochę bardziej doświadczony, niż stara się wyglądać.

— No właśnie, widzi pan, w tym sęk — wtrącił żebrak. — Wcale nie mam na imię Simon. Nazywam się Brubaker, proszę pana, Robert Brubaker. Mam przy sobie kartę identyfikacyjną.

— Idź, idź — powiedział Anioł.

— Jeśli jest rzeczywiście poszukiwanym zabójcą, w jaki sposób udało mu się przejść przez cło? — spytała Virtue.

— Tak samo jak Williamowi Jenningsowi. Gdybym był poszukiwany, mógłbym zdobyć dziesięć autentycznych paszportów potwierdzających, że jestem Robertem Brubakerem.

— Przypuszczam, że rzeczywiście mógłbyś — zgodziła się Virtue.

— Ale ja naprawdę nazywam się Robert Brubaker! — zaprotestował żebrak. — Jestem uczciwym, ciężko pracującym facetem.

— O tak, na pewno ciężko pracujesz — przytaknął Anioł, kiedy doszli do pokoju Virtue. — Zatrzymaj się tutaj.

Żebrak przystanął.

— W porządku — stwierdził Anioł, cofając się piętnaście stóp w głąb korytarza. — Virtue, otwórz drzwi, a potem stań z boku. — Ty — krzyknął, wskazując na żebraka — wchodzisz pierwszy!

— Potem będę mógł iść do domu? — spytał mężczyzna.

— Potem o tym porozmawiamy.

Virtue wyciągnęła rękę, pozwoliła, żeby komputer zbadał odcisk jej kciuka i odskoczyła, kiedy drzwi zaczęły się wsu-

wać w ścianę. Żebrak, potrząsając głową i wzdychając, jak gdyby naprawdę wierzył, że wpadł w towarzystwo szaleńca, wszedł do pokoju.

Nic się nie zdarzyło. Anioł podeszedł do wejścia.

— Przejdź do okna — rozkazał.

Żebrak zrobił, co mu powiedziano.

— Teraz usiądź na każdym krześle, a potem na łóżku.

Anioł czekał, póki żebrak nie wykona wszystkich poleceń, potem skinął głową na Virtue. Wsunęła się do pokoju, a wtedy Anioł zrobił krok do środka.

— Musiałeś się pomylić — oceniła Virtue.

— Zamknij drzwi i bądź cicho — rozkazał Anioł, bacznie obserwując pokój.

— Hej! — odezwał się żebrak ze wściekłością. — Obiecałeś, że pozwolisz mi odejść!

— Przyrzekłem jedynie, że porozmawiamy — odparował Anioł, chodząc ostrożnie po obwodzie pokoju. Jego spojrzenie przesuwało się z jednego mebla na drugi. — Powiesz mi, gdzie to jest?

— Gdzie co jest? — zapytał mężczyzna.

— Może szafa! — krzyknęła nagle Virtue.

— Otwórz ją — rozkazał Anioł żebrakowi.

— Jest już otwarta — zauważyła Virtue, odsuwając się od ściany. — To tylko projekcja holograficzna.

— Jak się ją wyłącza?

— Nie wiem.

— Zadzwoń na dół i powiedz, żeby wyłączyli — powiedział Anioł.

Zrobiła, co kazał i w chwilę później obraz szafy błysnął i zniknął, pozostawiając tylko jeden metalowy pręt sterczący wzdłuż długiej na cztery stopy wnęki.

— Co za ulga! — odetchnęła dziewczyna. — Przez minutę byłam pewna, że tam jest bomba.

Żebrak podszedł do Anioła.

— Mam żonę i troje dzieci na utrzymaniu — prawie płakał. — Czy mógłbym odejść?

Anioł pchnął go z powrotem na krzesło.

— Jesteś już martwy, Simonie — stwierdził. — Do rozstrzygnięcia została jedynie kwestia, kiedy cię zabiję: teraz czy później.

— Ale ja nie mam na imię Simon! — krzyknął z rozpaczą mężczyzna. — Jestem Robert Brubaker!

— Zamknij się — rzucił cicho Anioł. Kontynuował systematyczną inspekcję pokoju. Kiedy doszedł do łazienki, zatrzymał się i obrócił do żebraka z uśmiechem na twarzy.

— Sprytnie — zauważył z zachwytem. — Bardzo sprytnie, Simonie.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Nieźle to sobie wymyśliłeś.

— Niczego nie wymyśliłem!

— Nie mogłeś mieć pewności, że przed Virtue do pokoju nie wejdzie pokojówka, więc nie mogłeś pozwolić, aby bomba zabiła pierwszą osobę, która przejdzie przez próg albo włoży rękę do szafy.

— Słuchaj pan — powiedział żebrak. — Jeśli wejdę do łazienki, czy wtedy pozwoli mi pan odejść?

— Tak — zgodził się Anioł. — Ale wygląda na to, że jest ci gorąco i nie czujesz się chyba najlepiej. Sądzę, że przydałby ci się suchy prysznic.

— Nie potrzebuję suchego prysznica. Chcę tylko odejść stąd.

— Ale ja nalegam.

— Niech cię diabli! — krzyknął żebrak. — Celujesz pan we mnie bronią, zaciągasz mnie tutaj, oskarżasz o to, że jestem kimś, o kim nigdy nie słyszałem i grozisz, że mnie zabijesz! Czy to nie za dużo? Nie możesz pan po prostu odczepić się ode mnie?

— Najpierw suchy prysznic — oznajmił Anioł.

— Nie obnażam się przed obcymi kobietami.

— Możesz pozostać w ubraniu.

— Psze pani?! — poprosił, zwracając się do Virtue. — Czy nie może pani zmusić go, żeby zostawił mnie w spokoju? Jestem tylko dziadem ulicznym, który nigdy nikomu nie zrobił żadnej krzywdy!

— Ona tu nie rządzi — zauważył Anioł, wyciągając rękę i łapiąc go mocno za nadgarstek. — Kończmy z tym.

Żebrak odsunął się i Anioł go puścił.

— W porządku — mruknął żebrak. — Wygrałeś.

— A więc on naprawdę jest Simonem Prostakiem? — zawołała Virtue.

— Przecież ci mówiłem.

— Dlaczego suchy prysznic? — spytała.

— To jest jedyna rzecz, którą pokojowa — tak można logicznie zakładać — zostawi w spokoju, nawet jeśli będzie sprzątała łazienkę — powiedział Anioł. — A na planecie, gdzie średnia temperatura oscyluje koło stu dwudziestu pięciu stopni, jest to pierwsze miejsce, do którego skierowała-byś swoje kroki, zaraz po powrocie do pokoju. — Zwrócił się do Simona:

— Czy mam rację?

Simon Prostak pokiwał ze zmęczeniem głową.

— Materiał wybuchowy czy lasery? — spytał Anioł.

— Lasery.

— Dlaczego chciałeś mnie zabić? — zapytała Virtue.

— Kazał cię sprzątnąć taki jeden facet z Pegaza. — odparł Simon.

— Dimitri Sokol? — spytała zaskoczona.

— Tak, właśnie ten.

— Próbował już na Goldenrod — zauważyła Virtue. — Myślałam, że dał spokój.

— To nie jest gra, w której obowiązują gentlemańskie zasady — wtrącił się Anioł. — Tylko dlatego, że Sokołowi raz się nie udało, nie możesz sądzić, iż się poddał. — Przerwał.

— Kiedy dostrzegłem tego oto naszego przyjaciela stojącego przed hotelem, stwierdziłem, że przedtem wyciągnąłem mylne wnioski. Simon na pewno zrobił rekonesans tego miejsca ostatniej nocy, żeby dowiedzieć się numeru twojego pokoju i przy okazji musiało dotrzeć do jego uszu, że nie zatrzymałem się tutaj. Fakt, iż znalazł się pod hotelem, dowodził w każdym razie, że chodziło mu o ciebie. Po prostu czekał w pobliżu, by móc poświadczyć twoją śmierć. Prawdopodobnie Sokol zażądał holografii albo może nawet twojego ciała. — Anioł zwrócił się do Simona. — Uszkodziłeś mój statek, żeby zatrzymać Virtue na Słonecznej Plaży i tu ją zabić. Powiedz mi tylko jedno: dlaczego posługujesz się takimi wyszukаныmi metodami? Czemu jej po prostu nie zastrzeżyłeś, kiedy wylądowaliśmy w porcie?

Simon Prostack nie odpowiedział.

— Jeśli będę musiał zapytać jeszcze raz — stwierdził łagodnie Anioł — pożałujesz, że nie odpowiedziałeś za pierwszym.

Simon Prostack popatrzył w jego przezroczyście oczy i uznał, że to nie są żarty.



— Sokol puścił w obieg wiadomość, że dziewczyna podróżuje z łowcami głów: najpierw z Czyżykiem, potem z Ojcem Williamem, a teraz z tobą. Zrozumiałem, że jeśli spróbuję zaatakować otwarcie, natknę się na ciebie. Nie lubię nierównej walki, uznałem więc, że najbezpieczniej będzie uszkodzić twój statek i zabić ją, kiedy wróci tutaj. Wierz mi, Anioł — powiedział szczerze — nigdy nie miałem zamiaru zabijać ciebie. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby utrzymać cię z dala od całej tej sprawy.

— Powiedziałaś to tak, jak gdyby zabicie mnie było rzeczą zupełnie przyzwoitą! — warknęła Virtue.

— Cóż, musiałaś mu przecież coś zrobić, w przeciwnym razie nie kazałby cię stuknąć — wyjaśnił Simon.

— To, co mi zrobiłam, jest wyłącznie sprawą moją i jego — stwierdziła Virtue.

— Najwyraźniej już nie — zauważył Anioł. Obrócił się do Simona Prostaka. — Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie: ile Sokol ci zaproponował?

— Pięćdziesiąt tysięcy kredytów.

— Tak dużo? — spytała zaskoczona dziennikarka.

— Virtue, chcę, żebyś zapamiętała sobie tego osobnika — powiedział Anioł. — W porządku, Simon, czas na ten suchy prysznic.

— Ale ja nie chciałem cię zabić! — bronił się Simon z rozpaczą.

— Jesteś poszukiwany i jest za twoją głowę nagroda.

— Poszukiwany żywy lub martwy! — zaprotestował Simon. — Skontaktuj się z policją i wydaj im mnie żywego!

— Pod prysznic — rzucił bez emocji Anioł.

— Ale dlaczego? Jestem dla ciebie wart tyle samo żywy czy martwy!

— Spiesz mi się, a kosztowałeś mnie już trzy dni.

— I za to chcesz mnie zabić? To szaleństwo!

Anioł wycelował swoją broń w Simona Prostaka.

— Ruszaj albo zabiję cię tu, gdzie stoisz.

Simon, zalany łzami strachu — spływały mu potokami po twarzy — wstał niechętnie i poszedł do łazienki. Anioł podążył za nim i chwilę później Virtue usłyszała krótki okrzyk bólu. Potem wyłonił się tylko Anioł.

— Jak dobrze, że zniknął — zauważyła Virtue. — Wyobrażasz sobie?! Ten sukinsyn nie widział niczego złego w zabicu mnie!

— Gdy już wezmę nagrodę, chyba poinformuję twójgo przyjaciela Sokola, że oczekuję na zwrot kosztów za naprawę mojego statku.

— Nigdy tego nie zrobi.

— Mam sposoby, żeby go do tego zachęcić — stwierdził Anioł cierpko. — Teraz chcę, żebyś rzuciła okiem na Simona.

— Dlaczego?

— Bo sobie tego życzę.

Wzruszyła ramionami i weszła do łazienki. Simon Prostak leżał na boku; skóra jego twarzy i części tułowia spalona była od setek maleńkich laserowych promieni, które poraziły zabójcę, kiedy Anioł uruchomił suchy prysznic. W powietrzu było czuć zapach przypieczonego mięsa, a z niezliczonej ilości ran mężczyzny unosiły się wąskie smugi czarnego dymu.

Virtue z trudem opanowała torsje i słaniając się na nogach poczłapała z powrotem do sypialni.

— Boże, wygląda strasznie! — przyznała.

— Zmarł straszną śmiercią — odpowiedział spokojnie Anioł.

— Nie mogłeś wydać go policji? — spytała. — Nikt nie zasługuje na to, aby umierać w taki sposób.

— Mogłem.

— Więc czemu tego nie zrobiłeś?

— Ponieważ potrzebowałam lekcji pokazowej.

— Facet umarł tylko dlatego, że chciałeś dać mi lekcję? — zapytała, nie dowierzając.

— I tak miał umrzeć: albo ja, albo rząd by go zabił — odparł Anioł. — Nie marnuj na niego zbyt wielu łez. Zamordował więcej niż dwudziestu pięciu mężczyzn i kobiet, a śmierć, którą zmarł, była przeznaczona dla ciebie.

— Czego miałam się z tego nauczyć? — zapytała Virtue.

— Jesteś rozsądną, odważną i zaradną kobietą... — zaczął Anioł.

— Dziękuję ci — wtrąciła szyderczo.

— Ale zupełnie nie masz wyobraźni — kontynuował. — Działasz pochopnie, w ogóle nie myśląc o konsekwencjach. Prosiłem, żebyś obejrzała zwłoki Simona, ponieważ powinnaś zrozumieć, iż masz do czynienia z ludźmi, dla których to wszystko nie jest jakąś podniecającą przygodą, ale śmiertelnie poważną rozgrywką.

— Wiem już o tym.

— Chciałem pogłębić tę wiedzę — wyjaśnił Anioł — z nim powiem ci to, co muszę ci zaraz powiedzieć.

— Co takiego? — spytała lękliwie.

— W ciągu minionych dwudziestu czterech godzin musiałem zabić dwu ludzi. Ani jeden z nich nie miał do mnie żadnej sprawy.

— Bates nie chciał też niczego ode mnie — przerwała. — Szukał Terwillingera.

— Który z kolei przybył tutaj, żeby znaleźć ciebie — stwierdził Anioł. — Mam przez ciebie strasznie dużo kłopotów i kosztowałaś mnie już trzy dni zwłoki w pościgu za Santiago.

— Do czego zmierzasz?

— Dotąd miałem zamiar pozwolić ci odejść, kiedy zechcesz — powiedział. — Ale po naszym pobycie na Słonecznej Plaży jesteś moją dłużniczką i kiedy dotrzemy do planety Santiago, będziesz musiała ten dług spłacić.

— Jak?

— Powiadomię cię, kiedy dolecimy. Jeśli spróbujesz opuścić mnie wcześniej albo nie będziesz słuchać moich poleceń, obiecuję ci, że przyjmę propozycję Sokola i osobiście cię zabiję.

Kiedy spojrzała w jego zimne, pozbawione życia oczy, wiedziała, że mówi prawdę i ta wiedza przeraziła ją bardziej niż cokolwiek, co Sokol albo nawet Santiago mogliby jej kiedykolwiek zrobić.

## Część 5

### KSIĘGA KSIĘŻYCOWEJ FALI

#### 19.

*Morze gwiazd zwiedziła Księżycowa Fala,  
Gwałt powstrzymywała gdzieś w tysiącu barach,  
Glebę setki światów omiotła spojrzeniem,  
Wciąż szukała pereł — znalazła kamienie.*

Pod złachmanionym, pełnym tłustych plam fartuchem kryła się naprawdę całkiem ładna dziewczyna. Miała niebieskie oczy, które widziały zbyt wiele rzeczy i wylały zbyt wiele łez, barczyste ramiona, które nosiły zbyt wielkie ciężary, wysmukłe palce, które w lepszym życiu byłyby delikatne i białe.

Jeśli miała jakieś inne imię niż Księżycowa Fala, nie pamiętała go. Jeśli gdzieś istniał jej rodzinny świat, również go nie pamiętała.

Miała dziewiętnaście lat i spotkała Czarnego Orfeusza już cztery razy. Zaczął nawet żartować, że gdyby powędrował do najmniejszego baru na najodleglejszej planecie i tak znalazłby w nim Księżycową Falę szorującą podłogi, wycierającą stoły albo zmywającą naczynia. Jej krótkie życie opisał w jednej zwrotce, którą stworzył pewnego wieczora na Voorhite

XIV. Grał wtedy na lutni i śpiewał balladę, by nie oszaleć z powodu chlorowej atmosfery, jaka panowała poza kopułą ludzkiej kolonii.

Urzekło go to porzucone dziecko o przyszłości, która wydawała się nie bardziej obiecująca niż jej przeszłość. Skąd pochodziła? Na ilu przebywała światach? Czego szukała? Czy nie miała wyższych aspiracji, niż być ulubioną barmanką galaktyki? Próbowała mu pomóc, ale naprawdę nie знаła odpowiedzi na żadne z jego pytań.

Ostatnim razem widział ją na Trefoil III. Sama obsługiwała ze dwadzieścia pięć stolików i coraz trudniej jej było nadążyć. W pewnej chwili pracodawca zaczął krzyczeć na dziewczynę i grozić, że ją uderzy, jeśli nie zacznie sprawniej wykonywać jego poleceń. Wówczas Orfeusz podszedł do niego i oznajmił, że ponieważ mała nie pamięta, kiedy się urodziła, on oficjalnie ogłasza, iż tego dnia właśnie przypadają jej siedemnaście urodziny i dlatego zabierają na kolację. Tłum był spragniony i rozzłoszczony i prawdopodobnie nawet Sebastianowi Cainowi albo Rozjemcy MacDougalowi nie udałooby się wyprowadzić z tawerny jedynej barmanki, wychodząc bez szwanku, ale ponieważ Czarny Orfeusz był tym, kim był, bez słowa protestu pozwolili mu zabrać ją z baru.

Nakarmił dziewczynę i kupił jej nowe ubranie, a nawet zaproponował, by podróżowała z nim, póki nie znajdzie dla niej stałej pracy na jakimś innym świecie. Odpowiedziała z rozbijającą szczerością, że nie doznała od swojego szefa żadnej niezyczliwości i nie potrzebuje innej pracy. Orfeusz odniósł wrażenie, że dziewczyna nie chce się z nikim wiązać — emocjonalnie czy też finansowo — gdyż boi się, iż to ją zmusi do pozostania na jakimś jednym, wybranym świecie. A ona szukała czegoś, z czego jeszcze do końca nie zdawała sobie

sprawy. Rozmawiali do samego rana i bard, który znajdował tak wielką przyjemność w poznawaniu nieskończenie różnorodnych ludzi i światów, zupełnie nie potrafił zrozumieć zamiłowania do włóczędzy u kogoś, kto wydawał się nie interesować niczym.

W końcu, kiedy nadeszła pora wyjazdu, zaproponował jej kilkaset kredytów, dość, żeby mogła wynająć sobie przelot na kolejną planetę z kolejną tawerną, ale odmówiła. Wyjaśniła, że rzadko zabiera jej więcej niż miesiąc czy dwa zaoszczędzenie odpowiedniej sumy, by mogła wyruszyć do następnego świata i że czułaby się winna, biorąc pieniądze od mężczyzny, który zrobił dla niej już tak wiele.

Orfeusz odleciał z przekonaniem, że będzie widywał ją regularnie co kilka lat. Jednakże już nigdy więcej się nie spotkali, ponieważ podczas gdy bard kontynuował swoją niekończącą się podróż, opisując ludzi i zdarzenia, Księżycowa Fala ostatecznie dotarła — po wielokroć błędząc i gubiąc drogę — na osadniczy świat Bezpieczny Port. Właśnie tam Cain zobaczył ją po raz pierwszy.

Późnym popołudniem, tuż po wylądowaniu na planecie łowca powędrował do „Ziarna Jęczmienia” — większej z dwu tamtejszych tawern. Lokal był zupełnie pusty. Cain sprawdził napis na drzwiach, który brzmiał: „Otwarte całą dobę”, wzruszył ramionami i usiadł przy stole.

— Zaraz do pana podejść, sir — odezwała się Księżycowa Fala, wychodząc z kuchni z olbrzymim dzbanem piwa. Przeniosła go przez salę i postawiła na wielkim stole.

Uśmiechnęła się do niego, zniknęła znowu i wróciła pół minuty później, dzierżąc ogromną pieczeń, którą postawiła obok dzbana.

— Wygląda na prawdziwe mięso — stwierdził Cain.

— Bo to jest prawdziwe mięso — odrzekła z dumą. — Hodujemy krowy na Bezpiecznym Porcie. — Podeszła do stolika łowcy. — Czy mogę panu w czymś pomóc, proszę pana?

— Możliwe — odparł. — Szukam kogoś.

— Kogo?

— Billy'ego Trzy Oczy. Słyszałaś kiedyś o nim?

Skinęła głową.

— Tak, proszę pana.

— Nie wiesz przypadkiem, gdzie go mogę znaleźć?

— Nie żyje, proszę pana.

Cain zmarszczył brwi.

— Jesteś pewna?

Ponownie kiwnęła głową.

— Kiedy i gdzie?

— Został zabity dokładnie tam — powiedziała, wskazując ulicę — przez kogoś o nazwisku MacDougal.

— Rozjemca MacDougal? — spytał Cain.

— Tak, proszę pana. Takie było jego imię.

— Cholera! — mruknął Cain. Podniósł oczy na dziewczynę. — Czy miał tu jakichś przyjaciół?

— Pan MacDougal?

— Billy Trzy Oczy.

— O tak — stwierdziła. — Wszyscy lubili Billy'ego.

— Chyba nie mówimy o tej samej osobie.

— Jestem pewna, że tak, proszę pana — powiedziała Księżycowa Fala. — Ostatecznie, ilu jeszcze mężczyzn mogłoby nazywać się Billy Trzy Oczy?

— Miał wielką bliznę na czole?

— Tuż nad grzbietem nosa.

— I naprawdę wszyscy go lubili? — kontynuował zaskoczony Cain.



— Tak, proszę pana — odparła Księżycowa Fala. — Zawsze opowiadał zabawne historie. Było mi przykro, kiedy umarł.

— Kogo mogłabyś nazwać jego najbliższym przyjacielem na Bezpiecznym Porcie?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, proszę pana. Widywałam go tylko tutaj.

— Zwykle przychodził sam?

— Tak, proszę pana. Ale kiedy już tu wszedł, rozmawiał ze wszystkimi.

— Rozumiem — stwierdził Cain z westchnieniem. — Chyba zostanę tutaj i pogadam z ludźmi, z którymi się stykał. Przynies mi piwo, dobrze?

— Dobrze, proszę pana. — Przeszła do baru, przytrzymała kufel pod kranem i postawiła przed nim.

— Dzięki — mruknął Cain.

— Muszę pana uprzedzić, że pewnie nikt nie pojawi się tu wcześniej niż za jakieś trzy, cztery godziny.

— A co z tą grupą, dla której przygotowałaś kolację? — spytał Cain, wskazując na pieczeń.

Uśmiechnęła się.

— Och, to nie jest żadna grupa. To tylko jeden człowiek.

— Tu jest przecież ze cztery czy pięć funtów mięsa — zauważył Cain. — Chcesz mi powiedzieć, że to wszystko zje jeden człowiek?

Księżycowa Fala skinęła głową.

— No tak, proszę pana. I ciasto czekoladowe, które czeka w piekarniku.

Cain popatrzył jeszcze raz na pieczeń.

— Założył się z kimś, że to zje? — spytał z ciekawości.

— Nie, proszę pana — odparła Księżycowa Fala. — Spożywa taki posiłek codziennie.

— Nie ma chyba przypadkiem jedenastu stóp i trzech cali wzrostu i pomarańczowych włosów, co? — spytał Cain półzartem.

Dziewczyna roześmiała się.

— Nie, proszę pana. Jest zwykłym człowiekiem.

— Jeśli może wpakować w siebie tyle jedzenia, w żadnym razie nie można go nazwać „zwykłym” człowiekiem — odpowiedział Cain. Na chwilę zamilkł, rozmyślając. — A przy okazji, od kiedy nie żyje Billy Trzy Oczy?

— Od czterech, pięciu miesięcy, proszę pana. — Urwała. — Och! — rzuciła nagle. — Zapomniałam o ziemniakach!

— Powinnaś zmienić napis na drzwiach — skomentował Cain. — Myślałem, że to miejsce jest jedynie tawerną.

— I tak jest.

— Ale podajesz jedzenie — zauważył.

— Tylko Ojcu Williamowi. To specjalny klient.

Obróciła się w kierunku kuchni, ale Cain złapał ją za ramię.

— Ojciec William jest na Bezpiecznym Porcie? — zapytał.

— Tak, proszę pana. Będzie tutaj za parę minut.

— Od jak dawna tu jest?

— Nie jestem pewna, proszę pana — powiedziała Księżycowa Fala. — Może od tygodnia.

— Nie widziałem jego namiotu po drodze do miasta.

— Namiotu, proszę pana?

— Jest kaznodzieją.

— Wiem, proszę pana, ale mówi, że przebywa tu na wakacjach.

Cain zmarszczył brwi.

— Czy on także pytał o Billy’ego Trzy Oczy?

— Nie, proszę pana. — Popatrzyła niepewnie. — Pan sprawia mi ból.

— Przepraszam — stwierdził Cain, uwalniając rękę dziewczyny. — Jesteś pewna, że nic nie mówił na temat Billy’ego Trzy Oczy?

— Nie do mnie, proszę pana. — Ruszyła do kuchni. — Proszę mi wybaczyć, ale muszę przygotować ziemniaki.

— Wspominał coś może o Santiago? — zapytał Cain.

— Dlaczego miałby to robić? — spytała Księżycowa Fala, zatrzymując się kilka stóp przed kuchennymi drzwiami.

— Ponieważ jest również łowcą nagród.

— A co to ma wspólnego z Santiago?

Cain popatrzył na nią, zdziwiony jej ignorancją.

— Santiago to najbardziej poszukiwany przestępca na Granicy.

— Pan się musi mylić, proszę pana — stwierdziła Księżycowa Fala, pochylając się do przodu w taki sposób, że drzwi wyczuły jej bliskość i odsunęły się, by ją wpuścić. — Santiago jest bohaterem.

— Dla kogo? — spytał Cain.

Roześmiała się, jakby powiedział dowcip i zanim zdążył zadać dalsze pytania, weszła do kuchni. Łowca popijał w zamysleniu piwo i patrzył z uwagą na drzwi, które ukryły ją przed jego wzrokiem.

Pojawiła się ponownie chwilę później, niosąc wielką tacę wypełnioną zapiekаныmi ziemniakami.

— Opowiedz mi o Santiago — poprosił Cain, kiedy podeszła do stolika Ojca Williama.

— Nie znam go, proszę pana — odparła Księżycowa Fala.

— Dlaczego sądzisz, że jest bohaterem?

— Wszyscy tak mówią.

— Kto to są wszyscy? — nalegał Cain.

— Och, po prostu masa ludzi — oznajmiła, wruszając ramionami. — Czy podać panu jeszcze jedno piwo, proszę pana?

— Wolałbym raczej, żebyś opowiedziała mi o Santiago — naciskał Cain.

— Ależ ja naprawdę go nie znam — zaprotestowała Księżycowa Fala.

— Ma jedenaście stóp wzrostu i pomarańczowe włosy — stwierdził tubalny głos od drzwi. — Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Cain obrócił się i zobaczył wielkiego, niezmiernie grubego, ubranego na czarno mężczyznę. Od tła ubrania odbijały się dwa bliźniacze pistolety laserowe. Olbrzym stał w drzwiach.

— Ojciec William? — spytał Cain.

— Do usług — odparł kaznodzieja, podchodząc i wyciągając wielką rękę. — A ty jesteś...?

— Sebastian Cain — odparł Cain, zaskoczony siłą jego tłustych palców.

— A! — powiedział Ojciec William z uśmiechem. — Jesteś przyjacielem Virtue MacKenzie!

Cain skinął głową.

— A ty uratowałeś jej życie na Goldenrod.

— To Pan jest wybawicielem — odparł Ojciec William. — Ja jestem tylko Jego instrumentem.

— Co Jego instrument robi na takim zapadłym, małym światku jak Bezpieczny Port? — spytał Cain.

— Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział — rzekł Ojciec William z uśmiechem.

— Może nie, ale przypuszczam, że i tak mi powiesz. Pozwól, że sam wyrobię sobie opinię.

— Cóż, prawdę mówiąc, kiedy dowiedziałem się, jak wspaniałe jedzenie przyrządza to dziecko — uśmiechnął się do Księżycowej Fali — uznałem, że czas zrobić sobie wakacje, a ponieważ lubię wygodę, więc nie może być dla mnie lepszego miejsca.

— Naprawdę gotujesz sama? — spytał Cain.

— Tak, proszę pana — powiedziała Księżycowa Fala.

Łowca obrócił się ponownie do Ojca Williama.

— Nadal nie powiedziałaś mi, skąd się tu wzięłaś.

Ojciec William znowu się uśmiechnął, a palce jego prawej ręki popłynęły w dół ku rękojeści pistoletu.

— Nie sądziłem, że muszę ci się tłumaczyć.

— Tak tylko spytałem — zauważył Cain, wzruszając ramionami.

— Jeśli nie będziesz nalegał, nie będę miał obiekcji, żeby ci powiedzieć — zagrzmiał karnodzieja. — Wylądowałem tu parę dni temu, ponieważ mój statek wymagał kilku drobnych napraw. — Przeszedł do swojego stolika. — Chciałbym kontynuować naszą rozmowę, ale grzechem byłoby pozwolić ostygnąć temu wspaniałemu posiłkowi. Przyłączysz się do mnie?

— Usiądę z tobą — zgodził się Cain wstając — ale nie jestem głodny.

— Jak tak można? — oburzył się nieszczercze Ojciec William. Podniósł olbrzymią serwetkę, owinął ją wokół szyi, przyciągnął do siebie tacę i odkroił kilka wielkich kawałów mięsa. Potem nabił jeden na widelec, włożył do ust i zaczął hała-

śliwie przeżuwać. — Pozwolisz, że zadam ci podobne pytanie: co taki łowca nagród jak Sebastian Cain porabia na Bezpiecznym Porcie?

— Po prostu siedzi sobie i pije piwo.

— Bóg nie lubi kłamców, Sebastianie — stwierdził Ojciec William. Popatrzył na Caina. — A ja jeszcze mniej.

— Przyleciałem tutaj, żeby spotkać się z Billym Trzy Oczy.

— Był poszukiwany listem?

— Może — odpowiedział Cain.

— Może? — powtórzył Ojciec William, pochłaniając żarłocznie kolejną porcję jedzenia i popijając wielką szklanicą piwa.

— Nie wiem. Nie przyleciałem tutaj, żeby go zabić. Chodziło mi tylko o pewne informacje.

— Na temat Santiago?

— Dlaczego tak sądzisz? — spytał Cain.

— Bo mówiłeś o nim, kiedy wchodziłem.

— Myślałem, że wszyscy tutaj mówią o Santiago.

— Wiem także o twojej spółce z Virtue MacKenzie — zauważył Ojciec William. Skończył ostatni kawałek mięsa z talerza, rozważył nałożenie sobie drugiej porcji zapiekanych ziemniaków, zrezygnował i z nową mocą zabrał się do krojenia pieczeni. — Czego chciałeś się dowiedzieć od Billy'ego Trzy Oczy?

— Gdzie znaleźć Santiago.

— Zamierzasz go zabić? — spytał Ojciec William między jednym a drugim kęsem.

— Zamierzam spróbować — odrzekł Cain. Zamilkł. — Mam uczucie, że znalazłem się bardzo blisko niego.

— Dlaczego tak myślisz?

— Ponieważ najgorszym przestępstwem, jakie prawdopodobnie ktokolwiek kiedykolwiek popełnił na Bezpiecznym Porcie, była drobna kradzież w sklepie, a tymczasem w ostatnich czterech miesiącach wyładowało tutaj trzech łowców: ty, ja i Rozjemca MacDougal. To musi przecież coś znaczyć.

Ojciec William zmarszczył brwi.

— MacDougal jest tutaj?

— Już nie. Zabił Billy’ego Trzy Oczy i odleciał.

— No więc widzisz — powiedział rozstrzygająco kaznodzieja.

— Co widzę?

— Zbieg okoliczności. Obaj, ty i MacDougal szukaliście Billy’ego Trzy Oczy, a ja jestem tutaj, ponieważ mam kłopoty ze statkiem.

— Dlaczego Billy Trzy Oczy osiadł tutaj? — spytał Cain.

Ojciec William wzruszył ramionami.

— Kto to może wiedzieć?

— Ktoś musi — stwierdził Cain. — Był zabójcą. Co robił na takim świecie jak Bezpieczny Port?

— Najprawdopodobniej się ukrywał. — Ojciec William wziął ostatni kęs mięsa. — Księżycowa Falo! — zawołał.

— To jej imię?

Kaznodzieja przytaknął.

— Cudowne, prawda? Przywołuje wyobrażenie gwiazdnego pyłu i ulotnego piękna.

— Słyszałem je już gdzieś wcześniej — powiedział Cain, marszcząc brwi.

— Tak, proszę pana? — powiedziała Księżycowa Fala, wyłaniając się z kuchni.

— Myślę, że czas na ciasto, moje dziecko — oznajmił Ojciec William.

Księżycowa Fala popatrzyła na talerz i zmarszczyła brwi.

— Ciągłe panu powtarzam, że jeżeli będzie pan kończył posiłki w takim tempie, kiedyś się pan rozchoruje.

— Kto mówi, że kończę? — Ojciec William roześmiał się.

— Zjadłbym jeszcze ziemniaków i wypił pół dzbana piwa. Ale ciasto przyniesie miłą odmianę.

— Czy nie wolałby pan raczej trochę odpocząć i dać sobie czas na przetrwanie tego, co już pan zjadł? — spytała Księżycowa Fala.

— Będę trawił do czasu, aż nie wrócisz z ciastem. — Przerwał. — Posmarowałaś go tym karmelkowym lukrem, o którym mówiliśmy wczoraj, prawda?

— Tak, proszę pana.

Rzucił jej platynową monetę.

— Oto moja dziewczynka!

Pochwyciła monetę, włożyła ją do kieszeni i wróciła do kuchni po ciasto.

— Zachwycające dziecko — powiedział Ojciec William.

— Marnuje tutaj czas. Chciałem ją zatrudnić na stanowisku mojej osobistej kucharki, ale załatwiła mnie odmownie.

— Może sądzi, że nie jesteś w stanie dać jej pracy na dłuższy czas, zważywszy tempo, w jakim pochłaniasz jedzenie — skomentował cierpko Cain.

— Nonsens! — obruszył się kaznodzieja. — Nasz Pan ma dla mnie ważną robotę, Sebastianie. Zamierzam żyć długi, długi czas. I — dodał — otrzymałem go więcej niż łowcy głów próbujący zabić Santiago.

— Ty też jesteś łowcą głów — zauważył Cain.

— Och, ale należę do tych mądrych. Nie poluję na Santiago.



— A właściwie dlaczego nie? Z nagrody za jego głowę mógłbyś wybudować wiele kościołów.

— Ludzie bez powodzenia próbują znaleźć go od trzydziestu albo i więcej lat — odparł Ojciec William. — Rzecz niewarta wysiłku.

Z kuchni znowu wyszła Księżycowa Fala, niosąc suto wyglądające ciasto pokryte czekoladową polewą.

— Bardzo interesujące popołudnie — zauważył Cain, kiedy postawiła ciasto na stole.

— Doprawdy? — spytał kaznodzieja, patrząc na ciasto ze szczęśliwą miną dziecka odpakowującego prezent.

Cain pokiwał głową.

— Tak. Do tej pory spotkałem dwoje ludzi na Bezpiecznym Porcie. Jeden z nich uważa, że Santiago jest bohaterem, a drugie to łowca nagród, który w ogóle się nim nie interesuje.

— Księżycowa Falo, moja droga — odezwał się Ojciec William, lekceważąc uwagę Caina — sądzisz, że gdybyś dobrze się rozejrzała, znalazłabyś jakieś lody do tego soczystego ciasta?

— Obawiam się, że wczoraj zjadł pan całe nasze zapasy, proszę pana — odparła.

Spojrzał zbity z tropu.

— Sprawdź w każdym razie, tak na wszelki wypadek.

Wzruszyła ramionami i skierowała się do kuchni.

— Księżycowa Fala — powtórzył Cain. — Czy Orfeusz nie opisał jej jakieś parę lat temu?

Ojciec William skinął głową.

— Opowiadała mi o nim. Zdaje mi się, że również proponował jej pracę i jemu też odmówiła. To bardzo niezależna młoda kobieta.

— A także bardzo światowa — dodał Cain. — Zastanawiam się, co tu robi.

— Dlaczego jej o to nie zapytasz? — zasugerował Ojciec William, kończąc piwo. — Jeśli chodzi o mnie — dodał, pocierając swoje pękate ręce — nie sędzę, bym czekał, aż znajdzie te lody. — Podniósł nóż. — Pozwolisz, że ukroję ci kawałek?

— Nie, dziękuję — wykręcił się Cain, kiedy kaznodzieja odkroił jedną trzecią ciasta i położył na jego talerzu.

Ojciec William patrzył przez moment na ciasto, potem podniósł kawałek i skosztował.

— Sebastianie — oznajmił z miną pełną uniesienia, charakteryzującego zazwyczaj jedynie jego kontakty z Bogiem — nie wiesz, co tracisz!

— Dwadzieścia tysięcy kalorii, biorąc z grubsza — powiedział Cain.

— Wygłaszam ostre kazania i ostro zabijam — stwierdził poważnie Ojciec William. — Bóg rozumie, że muszę także ostro jeść. Nie można być sługą Pana, będąc chuderlakiem, nie tu na Granicy.

— Wierzę ci — powiedział Cain. — Po prostu mam nadzieję, że twój żołądek i nerki również to wytrzymają.

— Pan jest moim pasterzem — zauważył kaznodzieja, rzucając się z zapałem na ciasto. — Czuję się zupełnie dobrze.

Księżycowa Fala ponownie zbliżyła się do stolika.

— Przykro mi, Ojciec Williamie, ale naprawdę nie ma już lodów.

— Pamiętaj, żeby je jutro kupić! — upomniał ją Ojciec William z dziecięcym naleganiem.

— Spróbuję.

— Dobra dziewczyna! — powiedział, ponownie przenosząc uwagę na ciasto.

— Pozwoli pan, że odniosę już ziemniaki?

Położył wielką rękę na baniaku.

— Wezmę się za nie, dziecko, nic się nie bój.

— Myślałaś kiedykolwiek o tym, żeby zostać szefem sił powietrznych? — spytał Cain z uśmiechem.

— Och nie, proszę pana — odpowiedziała poważnie Księżycowa Fala. — Lubię dokładnie taką właśnie pracę.

— Ojciec William mówił, żebym cię zapytał, dlaczego przyleciałaś na Bezpieczny Port — ciągnął Cain.

— Nie wiem — odparła, wzruszając ramionami. — Usłyszałam o nim i wydało mi się to przyjemne miejsce.

— Jak długo tu jesteś?

Popatrzyła na sufit i poruszyła w milczeniu wargami, zliczając dni i miesiące.

— Dwa lata miną w przyszłym tygodniu, proszę pana.

— Jak na ciebie, to długi pobyt w jednym miejscu, prawda?

— Co pan ma na myśli, proszę pana?

— Orfeusz mówi, że byłaś na ponad stu światach.

— To był bardzo miły człowiek — stwierdziła. — Umieścił mnie w swojej piosence.

— Napisał, że lubisz podróżować po całej galaktyce.

— Tak.

— Ale tutaj się zatrzymałaś — zauważył Cain.

— Podoba mi się ten świat.

— A wszystkie inne ci się nie podobały?

Wzruszyła ramionami.

— Niektóre.

— A reszta?

— Przypuszczam, że były dość miłe. Po prostu ten podoba mi się bardziej.

— Co jest w nim takiego specjalnego? — spytał Cain.  
Spojrzała z zakłopotaniem.

— Nic.

— No to dlaczego podoba ci się bardziej?

— Nie wiem. Ludzie są dobrzy, lubię swoją pracę i mieszkam w przyjemnym miejscu.

— Wystarczy, Sebastianie — powiedział Ojciec William.

— Mówiłeś, żebym ją spytał — stwierdził Cain.

— Jest różnica między pytaniem a zadreczaniem. Zostaw ją już w spokoju.

Cain wzruszył ramionami.

— Przykro mi, jeśli cię zdenerwowałem, Księżycowa Fala.

— Ależ nie, proszę pana — odparła. — Pan i Ojciec William jesteście dla mnie bardzo mili.

Wszedł jakiś starszy mężczyzna i usiadł przy stoliku, tuż obok tego, który opuścił Cain. Księżycowa Fala odeszła, żeby go obsłużyć.

— No cóż, Sebastianie — stwierdził Ojciec William, kończąc kawałek ciasta na swoim talerzu i przecinając pozostałe dwie trzecie na połowę — pewnie odlecisz stąd teraz, kiedy dowiedziałeś się, że mężczyzna, którego szukasz, nie żyje.

— Chyba tak — odparł Cain.

— Cóż, to była dla mnie przyjemność poznać cię i rozmawiać z tobą.

— Jak długo jeszcze tu zostaniesz? — spytał Cain.

— Sposób, w jaki ta dziewczyna przyrządza strawę, sprawia, że mógłbym zostać tu na zawsze — odparł Ojciec William. — Ale jak sądzę, za jakieś dwa, trzy dni wyruszę da-

lej. Muszę zbawić jeszcze tyle dusz. Jest też kilka, które trzeba wysłać prosto do szatana.

— Ale nie duszę Santiago?

Ojciec William uśmiechnął się.

— Przypuszczam, że gdybym wpadł na niego przypadkiem, poważnie bym się nad tym zastanowił — odpowiedział.

— Ale mam ważniejsze rzeczy do roboty, niż uganiać się po całej galaktyce za jakimś błędnym ognikiem.

— Każdemu według uznania — stwierdził Cain, wstając.

Ojciec William wyciągnął umazaną czekoladą rękę i Cain ujął ją w swoje dłonie.

— Jesteś interesującym człowiekiem — ocenił Cain. — Mam nadzieję, że spotkamy się znowu któregoś dnia.

— Kto wie? — odparł kaznodzieja. — Niezbadane są wyroki boskie.

Kiedy Cain wyszedł na wilgotne powietrze Bezpiecznego Portu, zapadła już ciemność i dobrą chwilę rozważał, w którą stronę ma iść. Trzy maleńkie księżycy planety były wyraźnie widoczne, ale dostarczały bardzo niewiele światła, nie było też lamp na pustej ulicy.

Miasteczko składało się tylko z pięciu osiedli i Schussler wylądował niecałe dwie mile stąd. Gdy tylko łowca ustalił kierunek, z którego przybył, natychmiast ruszył z powrotem i przez następne dziesięć minut szedł brudną ulicą, aż dotarł do olbrzymiego pola zmutowanej kukurydzy, wyrosniętej na dziesięć czy dwanaście stóp, na której łodygach znajdowało się przeciętnie po dwadzieścia kolb.

W oddali usłyszał porykiwanie cielaka. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że importowane embriony muszą gdzieś dorastać, zanim zostaną zarżnięte, ale podczas gdy pieczeń Ojca Williama nie zdziwiła go specjalnie, głos cielaka hodowane-

go na tym obcym świecie niezliczone biliony mil od miejsca, gdzie zostało poczęte, wydał mu się czymś wysoce niestosownym.

Szedł dalej i po kolejnych piętnastu minutach dotarł do Schusslera, który rozpoznał go z odległości kilkuset jardów i otworzył wąż.,

— Czy Billy Trzy Oczy powiedział coś, co może nam się przydać? — spytał cyborg, gdy Cain usadowił się w kabine dowodzenia.

— Billy nie żyje — odrzekł Cain. — Dopadł go cztery miesiące temu Rozjemca MacDougal.

— Przykro mi to słyszeć — powiedział Schussler. Nastąpił moment ciszy. — Założę się, że Swagman wiedział o tym wszystkim od samego początku! — wykrzyknął nagle.

— Wcale bym się nie dziwił.

— Dokąd teraz polecimy?

— Na razie nigdzie — odparł Cain. — Dzieje się tu coś zabawnego.

— Zabawnego?

— Wpadłem na Ojca Williama.

— Co on tu robi? — spytał Schussler.

— Powiedział, że spędza wakacje.

— Ciekawe — zamruczał Schussler. — Ale zakładam, że to możliwe.

— Wszystko jest możliwe — zauważył Cain. — Tylko dlaczego tutaj i dlaczego akurat teraz?

— To rzeczywiście niezwykle, że tylu łowców nagród odwiedza ostatnio pewien niewinny, mały rolniczy świątek — przyznał Schussler.

— I spotkałem dziewczę o imieniu Księżycowa Fala.

— Nie kojarzę tego imienia.

— Jest tylko barmanką — wyjaśnił Cain. — Niezbyt piękną i nie bardzo rozgarniętą. Ma może ze dwadzieścia lat.

— Skąd więc to zainteresowanie?

— Ponieważ opisał ją Orfeusz.

— Orfeusz opisał tysiące ludzi.

— I czworo z nich przebywa na jakiejś małej, skolonizowanej planecie w obrębie dwu mil — stwierdził Cain.

— Nie pomyślałem o tym — przyznał Schussler. — To doprawdy intrygujące.

— Też tak myślę.

— Naprawdę bardzo intrygujące — powtórzył cyborg.

— W każdym razie, według Orfeusza Księżycowa Fala odwiedziła ze sto planet.

— Ja sam byłem na ponad trzystu — powiedział Schussler. — Co w tym takiego dziwnego?

— Nic. Ale to oznacza, że musiała zaliczać co najmniej jeden świat w miesiącu, od momentu gdy skończyła dziesięć czy jedenaście lat, a teraz, z jakiegoś powodu, tkwi na Bezpiecznym Porcie już dwa lata. Co skłoniło ją do tego, by przerwać podróżowanie?

— Dobre pytanie — zgodził się cyborg. — Jaka jest odpowiedź?

— Nie ma żadnej. Na razie.

— Czy dowiedziałeś się o niej czegoś więcej?

— Tak — przyznał Cain. — Dziewczyna sądzi, że Santiago jest bohaterem.

— Dlaczego? — spytał Schussler.

— Nie wiem — odparł Cain. — Ale na pewno choler nie chciałbym się dowiedzieć. — Przerwał. — Możesz zdobyć dla mnie pewne informacje?

— Jakiego rodzaju?

— Wiem, że nie mają na tej planecie portu kosmicznego, ale musi być tu przecież jakiś ośrodek nawigacyjny, który zezwolił ci na lądowanie i podał odpowiednie współrzędne.

— Tak, jest coś takiego.

— Skontaktuj się z nimi i spróbuj się dowiedzieć, od jak dawna przebywa na tym świecie Ojciec William.

Schussler zdobył tę informację już trzydzieści sekund później.

— Przebywa na Bezpiecznym Porcie prawie od miesiąca.

— Powiedział mi, że wylądował tutaj mniej więcej tydzień temu, ponieważ miał problemy z silnikiem. Księżycowa Fala mówiła to samo.

— Jeśli chcesz, mogę sprawdzić jeszcze raz.

— Nie trzeba. — Cain popatrzył na pulpit i zmarszczył brwi. — Zastanawiam się, na co czeka?

— Zbliżamy się, prawda? — spytał Schussler i jakaś nuta nostalgii na moment zadźwięczała w jego melodyjnym głosie.

— Tak, jesteśmy już całkiem blisko — powiedział łagodnie Cain.

## 20.

*Jednorazowy Charlie wciąż popełnia błędy,  
Lecz co bardziej istotne — żadnego dwukrotnie.  
Serce ma smoliste niczym z piekła kłęby,*



*Krew zaś przypomina lodu zimne sople.*

Musiał to sprawić jego pseudonim.

Czarny Orfeusz z pewnością nie miał innego powodu, żeby wprowadzić go do świata swojej ballady. Nie był bohaterem ani złoczyńcą, hazardzistą ani złodziejem, cyborgiem ani łowcą nagród. Prawdę mówiąc, w ogóle nie był nikim interesującym — był po prostu robotnikiem sezonowym nazwiskiem Charles Marlowe Felcher, który wędrował z jednej rolniczej planety na inną. Pił trochę za wiele, żeby pocieszyć się, że nie pracuje wystarczająco dużo.

Był raczej zawadiaką z natury, ale nie miał zbyt imponującej postury, a jego znajomość walki wręcz i samoobrony pozostawiała sporo do życzenia. Nie czuł zbyt wielkiego przymusu, by spłacać swoje długi, ale ponieważ wszyscy o tym wiedzieli, nikt nie kwapił się udzielać mu kredytu, zwłaszcza barmani. Nosił na biodrze imponujący pistolet dźwiękowy, lecz nie strzelał z niego zbyt celnie i bardzo często zapominał go naładować.

Ale nosił taki właśnie pseudonim, więc Orfeusz nie mógł go pominąć milczeniem i nie poświęcić mu zwrotki.

Jako że nie był zbyt gadatliwym facetem, nikt nie wiedział dokładnie, dlaczego nazywano go Jednorazowym Charliem.

Niektórzy mówili, że otrzymał takie przezwisko, ponieważ w młodości raz się ożenił, a potem opuścił żonę, wyruszył na Granicę i przysiągł, że już nigdy więcej w swoim życiu nie zamieszka z żadną kobietą. Inni tworzyli zawiłe opowieści o tym, jak to odsiedział pewien czas za taką czy inną zbrodnię i ślubował, że popełni każde przestępstwo tylko raz, by policja nie była w stanie go zidentyfikować. Trzecia historia głosiła, że Charlie dokonuje takiego spustoszenia w czasie swoich pija-

tyk, że nigdy już nie powraca na planetę, którą odwiedził wcześniej. Kilku z jego wrogów (a oczywiście miał ich wielu) twierdziło, że imię to wymyśliła Płaskonosą Sal — jedna z najbardziej znanych prostytutek systemu Tumiga — ponieważ zapłacił jej, by spędziła z nim cały weekend, a potem udał mu się zaledwie jeden numer.

Orfeusza nie interesowało pochodzenie jego imienia, a tylko fascynujące skojarzenia, które przywodziło na myśl. Zwrotka ta natomiast pojawiła się w takiej, a nie innej formie, gdyż pieśniarz trafił na zły dzień Charliego — miał niezłego kaca i nie był w zbyt przyjaznym nastroju.

Fragment o Jednorazowym Charlie od niedawna wzbogacał poemat i skutkiem tego bardzo niewielu ludzi na Bezpiecznym Porcie ją słyszało. I chyba dobrze się złożyło, ponieważ prędzej czy później ktoś, kto usłyszałby tę piosenkę i towarzyszące jej opowieści, zacząłby wypytywać go o Płaskonosą Sal, a taka indagacja mogłaby się skończyć w lokalnym więzieniu albo w lokalnym szpitalu.

Charlie przybył na Bezpieczny Port w typowy dla planety dzień: gorący, słoneczny, nieco wilgotny, i spędził następną parę godzin, szukając pracy w co większych kartelach rolniczych. W czasie kiedy Cain obudził się, wziął prysznic i poszedł do miasta, tamten ciągle jeszcze objeżdżał okolicę.

Miejsce, które właśnie mijał łowca, wyglądało jak mała wioska na starej Ziemi z szeregiem drewnianych szop i domków ustawionych w zgrabne, małe prostokąty. Nawet styl był podobny: wiele domów posiadało mansardowe okna i olbrzymie werandy. Cain zatrzymał się, aby obejrzeć dokładniej jeden z nich i wcale go nie zaskoczyło, gdy zobaczył, że pod drewnopodobnym fornirem znajduje się warstwa tytanicznego stopu, a dom wyposażony jest w źródło energii jądrowej.

Minął kolejną grupę domków i zobaczył Ojca Williama siedzącego na ganku przed małym hotelem. Kaznodzieja kołysał się łagodnie na ogromnym, drewnianym bujanym fotelu. Kiedy zobaczył, że podchodzi do niego łowca, przysłonił ręką oczy.

— Dzień dobry, Sebastianie — powiedział. — Cudowny dzień, nieprawdaż?

Cain kiwnął głową.

— Tak. Dzień dobry, Ojcie Williamie.

— Myślałem, że odleciałeś dzisiaj rano w pogoni za Santiago.

— Nie ma pośpiechu — odparł Cain. — Pomyślałem, że sam skosztuję kilku potraw upichconych przez Księżycową Falę. — Na chwilę umilkł. — Poza tym, Santiago jest na wolności od trzydziestu lub więcej lat. Kilka dni więcej nie robi chyba różnicy.

— Słyszałem, że Anioł jest coraz bliżej niego.

— Tak mówią.

— I nie martwi cię to?

— Staram się, by nie spędzało mi to snu z powiek — odparł Cain.

— Jesteś śmiałym facetem, Sebastianie Cain — stwierdził Ojciec William. — Gdybym był na twoim miejscu, odleciałbym z planety zeszłej nocy.

— Ale nie jesteś na moim miejscu — zauważył Cain.

— To prawda — zgodził się kaznodzieja. — Cóż, baw się więc dobrze na Bezpiecznym Porcie. Może chciałbyś zjeść ze mną kolację dziś wieczorem?

— Może.

— Nie wydajesz się zbyt zachwycony — rzucił Ojciec William.

— Jesz tak cholernie szybko, że prawdopodobnie po-  
łknąłbyś moje ramię, zanim byś zauważył, że popełniłeś po-  
myłkę — wyjaśnił Cain z uśmiechem.

Ojciec William odrzucił głowę i długo ryczał ze śmiechu.  
W końcu odzyskał oddech.

— Podobasz mi się, Sebastianie! Naprawdę mi się podo-  
basz! — Nagle spoważniał. — Mam nadzieję, że nigdy  
nie będziemy musieli stanąć przeciwko sobie.

— Masz zamiar złamać prawo? — spytał Cain.

— Ja? — prychnął Ojciec William. — Nigdy.

— Ani ja.

Ojciec William patrzył na niego przez moment.

— Masz ochotę wejść na werandę i usiąść obok mnie  
na krótką chwilkę?

— Może później — odparł Cain. — Muszę zrobić zakupy.

— Odejdź w pokoju, Sebastianie — powiedział kazno-  
dzieja. Podniósł oczy i popatrzył na niebo. — Piękny dzień, je-  
den z tych, które powodują, że można zapomnieć, ile zła pano-  
szy się w całej galaktyce.

Cain skinął mu głową i ruszył dalej ulicą. Dotarł do małe-  
go wielobranżowego sklepu. Wszedł i w jednej chwili ochłó-  
dził go pęd zimnego powietrza.

— Dzień dobry panu — odezwał się właściciel, korpu-  
lenty człowieczek w średnim wieku. Rzedniejące włosy sta-  
rannie zaczesał, by przykryć wyłysiałe ciemię, ale jego usiło-  
wania wywoływały skutek dokładnie przeciwny do zamierzo-  
nego: wstydliwie ukrywana łysina natrętnie przyciągała  
wzrok. — Czy mogę panu w czymś pomóc?

— Możliwe — stwierdził Cain, patrząc na półki pełne  
towarów. — Ma pan tu jakieś książki albo taśmy z wiadomo-  
ściami?

— Bezpieczny Port nie ma dziennika telewizyjnego — odparł człowieczek. — Nigdy nie zdarza się tu nic zbyt ekscytującego — dodał z przepraszającym uśmiechem. — Ale mamy wybór taśm i czasopism z pobliskich światów. Interesuje pana coś szczególnego?

— Tak — odparł Cain. — Ma pan coś na temat Santiago?

— Nic, na co warto by spojrzeć — powiedział sklepikarz. — Tylko zwykłe, głupie spekulacje niekompetentnych ludzi, którzy nie mają co zrobić z czasem. — Westchnął. — Myślę, że ktoś powinien powiedzieć o nim prawdę po tych wszystkich latach.

— A jaka jest ta prawda? — spytał Cain.

— To wielki człowiek, naprawdę wielki człowiek, a ciągle traktuje się go jak zwykłego przestępcę.

— Nie chciałbym być nieuprzejmy — stwierdził ostrożnie Cain — ale żadna z opowieści, które o nim słyszałem, nie sugerowała, że jest kimkolwiek innym niż przestępcą.

— Widocznie rozmawiał pan z niewłaściwymi ludźmi.

— A pan należy do tych właściwych?

— Słucham?

— Co może mi pan powiedzieć o Santiago?

— Och, niewiele — odparł sklepikarz.

— Tylko tyle, że jest wielkim człowiekiem? — ironizował Cain.

— Tak, to prawda, proszę pana — przytaknął wesoło sklepikarz. — Znajdzie pan nasze czasopisma i taśmy w środku trzeciego rzędu, tuż za działem komputerowym.

— Dziękuję — odparł Cain. Przeszedł do stoiska z taśmami, przeglądał je przez parę minut i wyszedł.

Za sklepikiem znajdował się fryzjer i tam Cain ogolił się, słuchając jednocześnie właściciela, który zapewniał go, bijąc się w piersi, że nigdy nie słyszał o nikim imieniem Santiago.

Cain spędził resztę poranka wędrując po wiosce i nawiązując rozmowy z kim tylko się dało. Niemal połowa mieszkańców uważała, że Santiago jest świętym, podczas gdy druga część wydawała się w ogóle nie kojarzyć jego imienia.

W końcu łowca wrócił do hotelu, w którym mieszkał Ojciec William. Kaznodzieja ciągle bujał się leniwie w słońcu, popijając przez słomkę wielki koktajl z lodem.

— Cześć, Sebastianie — powiedział. — Postanowiłeś przyłączyć się do mnie?

— Może na parę minut — odrzekł Cain, wysuwając krzesło.

— I tak nie mam więcej czasu — stwierdził Ojciec William. — Zbliża się pora obiadu. — Zamilkł. — Udał ci się poranek?

— W każdym razie był interesujący — odparł Cain.

— Jakoś nie widzę, żebyś był przesadnie obarczony zakupami — stwierdził kaznodzieja z figlarnym uśmiechem.

— Przyniosę je, gdy wieczorem zrobi się chłodniej — skłamał Cain.

— Dobry pomysł — zauważył Ojciec William. — Potem odleczisz?

Cain wzruszył ramionami.

— Może.

— Gdzie zamierzasz się udać, Sebastianie?

— Jeszcze nie postanowiłem. A ty?

— Chyba na Szandor II albo Greenwillow. Ostatni raz prawilem tam kazania ładnych parę lat temu. — Przerwał. — Przypuszczam, że zatrzymam się po drodze w jakimś urzę-

dzie pocztowym i kiedy zobaczę najnowszą listę poszukiwanych zbiegów, wybiorę ostateczny kierunek.

— Na Bezpiecznym Porcie nie ma urzędów pocztowych? — spytał Cain.

Ojciec William potrząsnął głową.

— Nie jest to aż tak duża planeta. Pocztę dostarcza się co trzy tygodnie do tutejszych zakładów chemicznych. Część zabierają mieszkańcy, a reszta zostaje rozproszona przy dostarczaniu farmom nawozów i środków owadobójczych.

— Ile było dostaw poczty, odkąd tu jesteś?

— Dwie — odparł Ojciec William.

— Wczoraj wieczorem mówiłeś mi, że jesteś tu dopiero od tygodnia — zauważył Cain.

— Kiedy to mówiłem, nie wiedziałem, że twój bezbożny statek sprawdzi tę informację — odrzekł spokojnie kaznodzieja. — Kwestionowanie słów sługi Pana, Sebastianie, nie jest zbyt mądrym posunięciem.

— Czy kłamstwo nie jest już grzechem? — zapytał łagodnie Cain.

— Bóg jest bardzo wyrozumiały — stwierdził Ojciec William.

— Czy jest równie wyrozumiały dla wszystkich tych ludzi, którzy okłamali mnie dzisiejszego ranka?

— Nikt cię nie okłamał, Sebastianie.

— Kilkunastu powiedziało mi, że nigdy nie słyszało o Santiago.

— No więc prawie nikt cię nie okłamał — poprawił się Ojciec William.

— Kiedy ma się pojawić? — spytał Cain.

— Kto?

— Santiago.

Ojciec William zachichotał.

— Ponosi cię wyobraźnia, Sebastianie.

— Myślałem, że mieliśmy rozmawiać — stwierdził Cain.

— Właśnie rozmawiamy — zauważył kaznodzieja.

— Tylko jeden z nas mówi — poprawił go Cain. — Drugi nadal kłamie.

Ojciec William uśmiechnął się.

— Masz szczęście, że jestem na wakacjach, Sebastianie. Zdzieralem z ludzi skalpy za mniejsze obelgi niż ta. — Jego uśmiech zniknął. — Jednakże, nie kusiłbym losu, gdybym był tobą.

— Mam rozumieć, że nasza rozmowa dobiegła końca? — spytał kąśliwie Cain.

— Wcale nie — powiedział Ojciec William, wstając. — Ale proponuję, żebyśmy ją kontynuowali podczas obiadu. Jestem głodny jak wilk!

Ruszył niebrukowaną ulicą do tawerny, a Cain podążył za nim.

Księżycowa Fala postawiła już jakąś wielką porcję dla Ojca Williama i spojrzała nieco strapiona, kiedy zobaczyła, że kaznodzieja nie wchodzi sam.

— Nie wiedziałam, że pan przyjdzie, proszę pana — powiedziała przepraszająco. — Nie przygotowałam nic dla pana.

— Może zjeść jedną z moich kanapek — stwierdził wielkodusznie kaznodzieja.

Cain popatrzył na stół.

— Jesteś pewien, że siedem ci wystarczy? — spytał z ironią.

— Bóg poucza nas, że musimy ponosić ofiary — wyjaśnił Ojciec William, zawiązując sobie dokoła szyi serwetkę i



siadając. Obrócił się do Księżycowej Fali: — Czy pamiętałaś o tym, żeby kupić lody, moje dziecko?

— Tak, proszę pana — odparła Księżycowa Fala.

— Wspaniale! A tak przy okazji, pan Cain będzie moim gościem na kolacji.

— Pan Cain? — powtórzyła, spoglądając na łowcę. — Czy nie nazywają pana Czyżykiem?

Cain potwierdził.

— Nie jest to moje ulubione imię.

— Słyszałam o panu wszędzie na Granicy — kontynuowała z zapalem. — Czarny Orfeusz poświęcił panu trzy zwrotki!

— Umilkła, zakłopotana. — Przepraszam, że poprzedniej nocy nie poznałam pana.

— A niby dlaczego miałybyś mnie poznać? — spytał Cain.

— Przecież pan jest taki sławny!

— Nie bardziej niż ty i Ojciec William — zauważył łowca.

— Wszyscy jesteśmy w tej cholernej piosence.

Spojrzała z niepokojem.

— Nie lubi pan pieśni Orfeusza?

— Niespecjalnie. — Księżycowa Fala popatrzyła na niego, jak gdyby miała się za chwilę rozpłakać, więc szybko dodał:

— Ale zwrotka, którą napisał o tobie, jest śliczna.

— Naprawdę pan tak sądzi? — spytała, ponownie się uśmiechając.

Kiwnął głową.

— Znalazłaś kiedykolwiek te perły, których szukałaś?

— Tak naprawdę nie szukałam pereł — odparła. — Orfeusz tylko tak napisał.

— Więc czego szukałaś na tych wszystkich światach? — spytał Cain.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem.

— Może oboje szukaliśmy tego samego? — podsunął.

— Może — zgodziła się. — A czego pan szuka?

— Santiago.

— Nigdy go nie spotkałam, proszę pana.

— Znasz kogoś, kto go spotkał?

— Doprawdy nie wiem, proszę pana — odrzekła. — To znaczy... gdyby spotkał pan Santiago, najprawdopodobniej nie opowiedziałby pan o tym komuś takiemu jak ja, prawda?

— Chciałabyś go spotkać?

— Takiego wielkiego bohatera? — zapytała. — Nie miałby dla mnie czasu, proszę pana.

— Księżycowa Falo, moje dziecko — wtrącił się Ojciec William, który w trakcie ich rozmowy jadł z gorączkowym pośpiechem. — Myślę, że jestem gotów wypić kolejny dzban piwa.

— Już się robi, proszę pana — odparła, wchodząc za bufet i stawiając świeży dzban pod kurkiem.

— Lepiej się za to zabierz, Sebastianie — stwierdził Ojciec William — w przeciwnym razie nic dla ciebie nie zostanie.

— Jedz, jedz — powiedział Cain. — Naprawdę nie jestem głodny.

— Nie byłeś też głodny wczoraj wieczorem — zauważył kaznodzieja. — Trudno się dziwić, że taki z ciebie chuderlak. Nigdy nie jadasz?

— Jadłem na pokładzie statku — odparł Cain.

— Nie dałbym się za żadne skarby zaciągnąć na tę bezbożną mieszankę człowieka i maszyny — powiedział Ojciec William żarliwie. — Jestem zaskoczony, że Bóg pozwala na coś takiego.

— Gdyby Bóg nie chciał, żeby ludzie stawali się statkami kosmicznymi, nie stworzyłby Graalów — zauważył Cain z uśmiechem.

Ojciec William ze srogą miną podniósł oczy znad jedzenia.

— Sebastianie, możesz sobie zadawać te wszystkie głupie pytania na temat Santiago, ale kiedy wyśmiewasz się z Pana, stąpasz po bardzo kruchym lodzie. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Przepraszam, jeśli cię uraziłem — stwierdził Cain.

— Nie musisz się martwić o mnie — zauważył kaznodzieja. — Uraziłeś Pana.

— Więc przepraszam was obu.

Ojciec William patrzył na niego przez długą chwilę, zastanawiając się, czy Cain przypadkiem sobie z niego nie żartuje, ale w końcu pojednawczo kiwnął głową i wrócił do swego posiłku.

Księżycowa Fala przyniosła Ojcu Williamowi piwo. Cain już miał zacząć ją znowu wypytywać, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Charles Marlowe Felcher; wielkimi krokami przeszedł do baru i zamówił piwo i whisky. Wyglądał na zgrzanego i zniechęconego i rzeczywiście tak się czuł.

— Witam was tego popołudnia — powiedział, kiwając głową Cainowi i Ojcu Williamowi.

— Dzień dobry, sąsiedzie — odparł kaznodzieja. — Wydaje mi się jednak, że południe jeszcze nie minęło.

— Ale upał jest popołudniowy — odparł Jednorazowy Charlie, wypijając whisky i zabierając się za piwo. — Przełaziłem cały ranek, szukając pracy.

— Nie ma jej tu za wiele — oświadczył Ojciec William.

— Tak też mi powiedziano. — Skinął na Księżycową Falę i podniósł pustą szklankę po whisky. — Napełnij to, kochanie. — Znowu spojrział na Ojca Williama. — Nie wiedziałem, że w tej speluncie można również coś zjeść.

— Nie można — wyjaśnił kaznodzieja. — Jestem przyjacielem rodziny.

— Mieszkasz gdzieś tutaj?

— Jestem na wakacjach.

— Ty też? — spytał Caina.

— Ja tylko piję piwo — odparł Cain.

— Jak się nazywasz, przyjacielu? — spytał Ojciec William.

— Felcher, Charles Felcher — padła odpowiedź. — Ale większość ludzi nazywa mnie Jednorazowym Charliem.

— Mówił mi o panu Orfeusz — wtrąciła się Księżycowa Fala z nieprzychylną miną.

— Cóż, cokolwiek takiego ci mówił, było to prawdopodobnie kłamstwo — stwierdził Charlie. — W końcu za to mu płacą, prawda?

— Nikt mu nie płaci — zauważyła.

— Więc jest większym głupcem, niż myślałem — zaśmiał się Charlie, opróżniając drugą whisky i wystawiając pustą szklankę po raz kolejny.

— Orfeusz nie jest głupcem! — zawołała gorąco Księżycowa Fala. — To wielki artysta!

— Nie nauczono cię, że klient ma zawsze rację? — spytał Jednorazowy Charlie.

— Nie ma racji, kiedy mówi brzydkie rzeczy o Czar-  
nym Orfeuszu — odparła wyzywająco.

— Myśl sobie, co chcesz — powiedział wzruszając ra-  
mionami. — Przyszedłem tu tylko po to, żeby się napić i  
ochłonać.

Ojciec William wrócił do jedzenia, a Cain, sącząc w zamy-  
śleniu piwo, postanowił, że nie będzie wypytywał Księżycowej  
Fali o Santiago, do chwili aż Jednorazowy Charlie nie wyjdzie z  
tawerny albo przynajmniej nie straci przytomności. Biorąc  
pod uwagę tempo, w jakim tamten pochłaniał whisky zapijając  
piwem, uznał to drugie za bardziej prawdopodobne.

— Księżycowa Falo, moja droga, sądzę, że mógłbym  
zjeść jeszcze dwie czy trzy kanapki, zanim przyniesiesz mi de-  
ser — oznajmił Ojciec William, patrząc na opróżniony talerz.  
— I włóż na nie tym razem trochę więcej sera.

— Dobrze, proszę pana — potwierdziła, kierując się do  
kuchni.

— Wygląda na to, że to całkiem miło być przyjacielem  
rodziny — skomentował Jednorazowy Charlie, podnosząc  
oczy znad swojego drinka.

— To ma swoje plusy — zgodził się Ojciec William. —  
Zwłaszcza dla człowieka w sutannie, który przeznaczca  
wszystkie swoje pieniądze na cele dobroczynne.

Charlie wyszczerzył zęby.

— Jesteś księdzem?

— Mam zaszczyt służyć Panu tym i innymi swoimi ta-  
lentami — odrzekł Ojciec William.

— Nie możesz mieć dużo pracy na takim małym, mar-  
twym świątku jak ten.

— Jak ci powiedziałem, jestem tu na wakacjach.

— Idiotyczne miejsce na spędzanie wakacji.

— Może, ale właśnie tuje spędzam — uśmiechnął się Ojciec William. — A ty pracujesz, co?

— Pracuję nad tą butelką, oto nad czym pracuję... — stwierdził Jednorazowy Charlie, a jego słowa zaczęły przechodzić w bełkot.

Księżycowa Fala wróciła z kanapkami, położyła je przed Ojcem Williamem i wróciła na swoje miejsce za barem.

— Te kanapki wyglądają całkiem kusząco — powiedział Jednorazowy Charlie. — Też bym kilka zjadł.

— Przykro mi, proszę pana, ale to nie należy do naszych usług — odparła Księżycowa Fala.

— Jeśli możesz je robić dla kaznodziei, możesz je również zrobić dla uczciwego robotnika — powiedział z irytacją Charlie.

— Naprawdę nie mogę, proszę pana — odparła Księżycowa Fala. — Te pochodzą z prywatnej kuchni właściciela tawerny.

— Nie obchodzi mnie, skąd pochodzą! — odburknął Charlie. — Jeśli on może je dostać, to mogę i ja.

Księżycowa Fala poszukała wzrokiem Ojca Williama, który prawie niedostrzegalnie kiwnął głową.

— Dobrze, proszę pana — powiedziała do Jednorazowego Charliego. — Zaraz przyniosę panu kanapki.

Weszła do kuchni, a Charlie odwrócił się triumfalnie do Ojca Williama i Caina.

— Po prostu trzeba wiedzieć, jak rozmawiać z takimi osobami — stwierdził z zadowoloną miną.

Obaj patrzyli na niego w milczeniu i po chwili tamten wrócił do picia.

Księżycowa Fala pojawiła się parę minut później, niosąc dwa talerze. Jeden z nich postawiła na barze przed Jednora-

zowym Charliem, a drugi przyniosła Ojcu Williamowi. Pysznił się na nim deser.

— Ach! — krzyknął uszczęśliwiony. — Znalazłaś truskawki do mojego sernika! Jesteś naprawdę aniołem, moja droga!

— Czy to rzeczywiście taki dobry sernik? — spytał Charlie ponuro.

— Najlepsi! — zachwycił się Ojciec William. — Ta dziewczyna jest w kuchni skończoną artystką!

— Też zjem kawałek — powiedział do Księżycowej Fali.

— Obawiam się, że więcej nie ma — odparła.

— Nie będziemy przechodzić przez to wszystko jeszcze raz od nowa, prawda, kochanie? — powiedział. — Mówiłem ci, że chcę kawałek sernika.

— Ona mówi prawdę — stwierdził Ojciec William. — Piecze tylko jeden taki dziennie. Lubię świeży.

— To zrób jeszcze jeden — rzucił Jednorazowy Charlie do Księżycowej Fali.

— Nie mogę, proszę pana — wyjaśniła Księżycowa Fala. — Kupuję produkty każdego ranka. Ojciec William nie lubi, kiedy używam mrożonek.

— Jesteś Ojciec William? — spytał Jednorazowy Charlie z zaskoczeniem.

— Tak.

— Łowca nagród?

— Kiedy Bóg tak chce.

— Czy ta dziewczyna jest twoją krewną?

— Nie.

— W takim razie nie powinno cię interesować, co do niej mówię. — Jednorazowy Charlie odwrócił się ponownie do Księżycowej Fali. — Wyjdź i kup więcej produktów.

— Nie wolno mi wychodzić, proszę pana.

Chwycił ją; za ramię, kiedy go mijala.

— Myślałem, że uzgodniliśmy już, że klient ma zaw-  
sze rację.

— Pan mi zadaje ból! — zauważyła Księżycowa Fała,  
próbując uwolnić rękę.

— Zrobię ci gorsze rzeczy, jeśli się nie nauczysz, kto tu  
jest szefem — powiedział groźnie.

— Puść ją — wtrącił się łagodnie Cain.

— No, no, kogóż to słyszymy — stwierdził Charlie, spo-  
glądając na niego z furią i ciągle ściskając ramię dziewczyny.

— Kto cię prosił, żebyś się wtrącał?

— Też jestem przyjacielem rodziny — wyjaśnił Cain.

— Taak?! — powiedział Jednorazowy Charlie kłótliwie.

— Cóż, ty i twoja cholerna rodzina możecie iść się pier-  
dolić.

— Musiałeś za dużo wypić — zauważył Cain, powo-  
li wstając. — Pozwól jej odejść i wynoś się stąd.

— Też jesteś łowcą głów? — spytał uszczypliwie Char-  
lie.

— Prawdę mówiąc, tak.

— Masz jakieś nazwisko?

— Sebastian Cain.

— Czyżyk? — zapytał Jednorazowy Charlie, marsz-  
cząc brwi. — Czy macie tu jakiś zjazd?

— Jedyne, co tu mamy, to pijaka, który prosi się o kłopo-  
ty

— wycedził Cain złowieszczo.

— Daj spokój — zaśmiał się Charlie. — Wszyscy wiedzą,  
że wy, chłopcy, nie zabijacie ludzi, którzy nie są ścigani przez



prawo. To jest prywatna rozmowa między mną i tą małą. Może byś nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy?

— Masz tylko puścić dziewczynę i wyjść, a nikomu nie stanie się krzywda — powiedział powoli Cain.

Nagle Jednorazowy Charlie wykręcił ramię Księżycowej Fali, dobył wolną ręką nóż i przyłożył go do gardła barmanki. — Zrób jeden krok w moim kierunku, a poderżnę jej gardziółko! — warknął.

— Jak sądzisz, jest jakaś nagroda za głowę Jednorazowego Charliego? — spytał Cain, nie odwracając oczu od mężczyzny.

Ojciec William kiwnął głową, odsuwając poły płaszcza i pokazując swoje laserowe pistolety.

— Za głowę takiego grzesznika? Na pewno jest, Sebastianie. Do Charliego powoli docierało, że tym razem przesadził, ale w swoim pijanym mózgu nie znajdował żadnego wyjścia z sytuacji. Cisnął mocniej Księżycową Falę i zaczął krok po kroku wycofywać się w kierunku drzwi, trzymając dziewczynę przed sobą.

— Zróbcie jeden ruch, a ją zabiję!

Cain wzruszył ramionami i zwrócił się do Ojca Williama, jakby chciał coś powiedzieć. Nagle, jednym oślepiająco szybkim ruchem, obrócił się gwałtownie, wyjął pistolet i strzelił. Kula trafiła Jednorazowego Charliego między oczy, a sala rozbrzmiała dźwiękiem wystrzału.

Księżycowa Fala krzyknęła, kiedy Jednorazowy Charlie upadał na podłogę. Cain podszedł do niej i otoczył ją ramieniem.

— W porządku — powiedział łagodnie. — Jesteś już bezpieczna.

— Bardzo dobra robota — zauważył Ojciec William z niekłamany podziwem. — Jesteś rzeczywiście tak dobry, jak mówią. — Podszedł do ciała Jednorazowego Charliego i uważnie obejrzał jego twarz. — Nie wygląda na znajomą — stwierdził po chwili. — Ale nigdy nie wiadomo.

— Jeśli go chcesz, jest twój — zaproponował Cain.

— Mówisz poważnie?

— Potraktuj to jako mój spóźniony datek dla Kościoła — powiedział fałszywie Cain.

— Pan niech będzie pochwalony, mam jeszcze jednego nawróconego! — zaśmiał się Ojciec William wyciągając nóż, którego używał do skalpowania.

— Wyjdź na zewnątrz — rzucił Cain do Księżycowej Fali. — Nie powinnaś tego oglądać.

— Co on będzie robił? — spytała, patrząc na kaznodzieję jednocześnie z przerażeniem i fascynacją.

— Nic, co by nas mogło zainteresować — odparł Cain, prowadząc ją do drzwi.

Wyszła z nim na ulicę, ciągle jeszcze dygocząc. Mieszkańcy miasteczka wylali się ze swoich sklepów i domów i teraz skupiali się wokół tawerny. Cain zignorował ich i szedł tak długo, póki wraz z Księżycową Falą nie znaleźli się dostatecznie daleko od tłumu.

— Dobrze się czujesz? Może chcesz, żebym cię zabrał do lekarza? — zapytał.

— Wszystko w porządku, proszę pana — powiedziała.

— Na pewno? — spytał. Z tawerny dobył się dźwięk głosu

Ojca Williama, uspokajający gapiów, że nie popełniono tam żadnego przestępstwa, a jedynie kolejny grzesznik został wysłany do Szatana kilka lat przed terminem.

— Tak, proszę pana — odparła Księżycowa Fala. — Naprawdę czuję się zupełnie dobrze.

— W takim razie się cieszę. O włos uniknęłaś nieszczęścia.

Spojrzała na niego.

— Uratował mi pan życie. Dlaczego?

— Lubię cię — mruknął. — Poza tym, nigdy nie przepadałem za ludźmi w rodzaju Jednorazowego Charliego.

— Jak się mogę panu odwdzińczyć? — spytała.

— Możesz mi powiedzieć prawdę na temat Santiago.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego prośbą w milczeniu,

potem skinęła głową.

— Jeśli pan sobie tego życzy — stwierdziła.

— Ojciec William czeka na niego. Kiedy ma się pojawić?

— Jest tutaj przez cały czas — powiedziała Księżycowa Fala.

— Santiago jest teraz na Bezpiecznym Porcie?! — spytał z niedowierzaniem Cain.

— Tak.

— Od jak dawna?

— Od lat, jak sądzę — odparła Księżycowa Fala. — Mieszka tutaj.

— Niech mnie diabli! — wymruczał Cain. — Możesz mnie do niego zaprowadzić?

— Nie. Ale mogę przedstawić pana komuś, kto go dobrze zna.

— Kiedy?

Wzruszyła ramionami.

— Jeśli pan chce, nawet natychmiast.

Cain uświadomił sobie nagle obecność Ojca Williama; odwrócił się i zobaczył kaznodzieję stojącego dwadzieścia stóp od niego z przerażającym trofeum w ręce.

— Jesteś bardzo uparty, Sebastianie Cain — stwierdził. — Podziwiam takich ludzi.

— Jeżeli Santiago znajduje się tu przez cały czas, dlaczego go jeszcze nie złapałeś? — spytał Cain.

— Nie chcę go.

— Dlaczego?

— Mam swoje powody — odparł Ojciec William.

— Cóż, a ja mam swoje, żeby chcieć go złapać.

— Dałeś mi to już do zrozumienia.

— Nie mam nic przeciwko tobie — powiedział poważnie Cain. — Ale jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, zabiję cię.

— Nie mam najmniejszego zamiaru ci przeszkadzać — stwierdził Ojciec William, trzymając ręce daleko od swoich laserowych pistoletów.

— Będziesz tu, kiedy wrócę? — spytał Cain.

— Jeżeli wrócisz — poprawił go Ojciec William.

— A więc wtedy się zobaczymy — rzucił łowca. — Przerwał na moment. — Nie życzysz mi szczęścia? — dodał z ironią.

— Niech Bóg będzie z tobą mój synu — powiedział szczerze Ojciec William.

Potem Cain podążył ulicą za Księżycową Fałą, przez całą drogę podświadomie oczekując dotyku piekącego bólu lasera na plecach. Był trochę zaskoczony, kiedy skręcił za róg całej i zdrowy. Ostatnie słowa Ojca Williama ciągle jeszcze dźwięczały mu w głowie.

### 21.

*Milcząca Annie nie wydaje dźwięków,  
Nigdy nie mamrocze i nie krzyczy w lęku,  
Nikt nie zna jej szeptu, ni głosu radości,  
Lecz gdy kiedyś przemówi, zrobi to najgłośniej.*

Orfeusz miał dla niej uczucie specjalnego rodzaju.

Było w niej jakieś nieokreślone „coś” — jej wygląd, sylwetka, sposób poruszania się — co kazało mu myśleć, iż nosi w sobie wielki sekret.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo miał rację.

Nazywała się Milcząca Annie. Nie była niema, ale równie dobrze mogła być.

Wiedziano o niej jedynie tyle, że kiedy miała jedenaście czy dwanaście lat i mieszkała na Raxarze II, przydarzyło jej się coś bardzo złego. Spędziła dwa lata w szpitalu. Wyszła fizycznie zdrowa, ale się nie odzywała. Może mówić — orzekli lekarze — ale jej przeżycia wywołały u niej uraz, niewykluczone, że trwały.

Przez ostatnie lata zjawiała się w pewnych bardzo dziwnych miejscach — na Altairze III, Goldenrod, Kałami II — ale nigdzie nie zostawała długo. Nikt też się nie domyślał, co robiła na tych światach, a bardzo niewiele osób wiedziało, że swoim domem nazywała Bezpieczny Port.

— Milcząca Annie? — powtórzył Cain, kiedy Księżycowa Fala powiedziała mu, dokąd go zabiera. — Ona też tu jest?

— Tak, proszę pana.

— Wygląda na to, że połowa ludzi, o których pisał Czarny Orfeusz, znajduje się na Bezpiecznym Porcie — stwierdził.

— Wcale nie, proszę pana — odparła Księżycowa Fala.

— Tutaj jest tylko pan, ja, pański statek, Ojciec William i Milcząca Annie.

— Czy Orfeusz nie napisał, że jest głuchoniema?

— Nie odzywa się, ale doskonale słyszy wszystko, co się do niej mówi.

— Co ją łączy z Santiago?

— Pracuje dla niego, proszę pana — powiedziała Księżycowa Fala.

— Jesteś pewna?

Księżycowa Fala skinęła głową.

— Tak, proszę pana.

— A tak przy okazji — rzucił Cain — może przestała-byś mówić do mnie „proszę pana”. Na imię mam Sebastian.

— Dziękuję, proszę pana. To bardzo ładne imię.

— Tak sądzisz? — spytał z powątpiewaniem.

— Tak. Pan nie?

— Przypuszczam, że lepsze niż Czyżyk — odparł. Rozejrzał się wokół siebie. — Czy Milcząca Annie mieszka na środku pola kukurydzy? — spytał.

— Oczywiście, że nie — zaśmiała się Księżycowa Fala.

— No, ale tam właśnie się kierujemy — zauważył. — Jesteśmy już prawie milę od miasta.

— Ma mały domek około pół mili stąd, proszę pana.

— Sebastianie — poprawił ją.

— Sebastianie.

— Jak ją poznałaś?

Księżycowa Fala wzruszyła ramionami.

— Nawet już nie pamiętam. Chyba w kościele. Nie mogło to być w tawernie, ponieważ ona nie pije.

— I jesteście bliskimi przyjaciółkami?

— Po prostu przyjaciółkami — odparła, podkreślając słowo.

— Nigdy nie miałam naprawdę bliskiej przyjaciółki.

— Jak dobrze ją znasz?

— Czasem zachodzi do mnie rankiem i wypijamy razem herbatę, a kiedy mam wolny dzień, czasem ją odwiedzam.  
— odrzekła Księżycowa Fala.

— Dlaczego sądzisz, że zaprowadzi mnie do Santiago?  
— nalegał Cain.

— Az jakiego powodu miałyby odmówić?

— Przecież jestem łowcą nagród.

— Santiago o tym wie, proszę pana.

— Santiago wie o mnie? — spytał Cain ze zdziwieniem.

— Santiago wie wszystko — oznajmiła.

Popatrzył na nią pytająco, ale powstrzymał się od uwag i następne parę minut szli w milczeniu.

— To tu, proszę pana — powiedziała, wskazując mały budynek stojący pięćdziesiąt stóp od drogi.

— Wygląda na pusty — zauważył Cain.

— Och nie, Annie jest w domu, proszę pana — stwierdziła stanowczo Księżycowa Fala.

— Skąd możesz być tak pewna? — spytał.

— A gdzie indziej mogłaby być?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Cain, skręcając z drogi i podążając wąską ścieżką prowadzącą do drzwi wejściowych.

Począł, aż system zabezpieczeń obejrzy ich oboje i właśnie w chwili, kiedy był już zupełnie pewny, że miał rację

twierdząc, iż w domu nie ma nikogo, drzwi rozsunęły się i Cain stanął twarzą w twarz z niską, szczupłą kobietą ubraną w bardzo stary mundur wojskowy.

Wyglądała na mniej więcej trzydzieści lat. Jej rysy były ostre i zdecydowane. Miała bliznę, która zaczynała się na czole i biegła przez prawy łuk brwiowy w dół policzka. Była tak głęboka, że nie zdołała jej ukryć nawet chirurgia plastyczna. Kobieta nie stosowała żadnego makijażu, przez co jej blade wargi wydawały się jeszcze bledsze.

— Witaj, Annie — odezwała się Księżycowa Fala. — To jest Sebastian Cain. Chciał cię poznać.

Milcząca Annie gestem zaprosiła ich do środka i Cain podążył za dwiema kobietami przez mały przedpokój do salonu, który był o wiele większy, niż wydawał się z zewnątrz. Ściany zasłonięte były rzędami półek. Leżały na nich w nieładzie stosy książek i taśm. Na poobijanym biurku w rogu stał zakurzony komputer i Cain zobaczył z odczytu na ekranie, że kobieta coś czytała, zanim jej przerwali.

Meble dobrze pasowały do wystroju pokoju: były stare, niezbyt wygodne i ustawione bez jakiegokolwiek celu czy porządku. Milcząca Annie wskazała najpierw na Caina, a potem na największe z krzesel; łowca usiadł na nim, a Księżycowa Fala siadła przy nim po turecku na podłodze.

Milcząca Annie zrobiła gest nalewania.

— Tak, napiję się herbaty — odparła Księżycowa Fala. — A pan?

— Chętnie — odparł Cain.

Na ustach Milczącej Annie pojawił się wymuszony uśmiech, a potem na moment wyszła z pokoju. Wróciła, niosąc na plastikowej tacy poszczerbiony porcelanowy dzbanek i trzy filiżanki.



— Dziękuję — powiedział Cain, biorąc jedną z filiżanek.  
Milcząca Annie zrobiła ręką gest zgniatania.

— Nie rozumiem — potrząsnął głową Cain.

— Chce wiedzieć, czy masz ochotę na plasterek cytryny — wyjaśniła Księżycowa Fala.

— Nie, dziękuję — powiedział Cain, a Księżycowa Fala wyciągnęła rękę po filiżankę.

Milcząca Annie podeszła do przykrytego kocem tapczanu, położyła na pobliskim stoliku tacę i usiadła, patrząc pytająco na Caina.

— On chce się spotkać z Santiago — zaczęła Księżycowa Fala. Zamilkła na chwilę. — Powiedziałam mu, że go zaprowadzisz.

Milcząca Annie zmarszczyła brwi.

— Obiecałam mu, Annie — podkreśliła Księżycowa Fala.

Milcząca Annie zrobiła ręką jakiś ruch, którego Cain nie zrozumiał.

— Ponieważ uratował mi życie.

Kolejny ruch.

— Bardzo zły człowiek wszedł do tawerny i próbował mnie skrzywdzić, a pan Cain go powstrzymał.

Milcząca Annie badawczo spojrzała na łowcę.

— Zabierzesz go, Annie?

Milcząca Annie siedziała bez ruchu; po chwili kiwnęła twierdząco głową.

— Dziękuję! — krzyknęła uszczęśliwiona Księżycowa Fala. — Wiedziałam, że to zrobisz!

Milcząca Annie nadal patrzyła na Caina i on też się jej przyglądał. W końcu spojrzała ponownie na Księżycową Falę i zrobiła kolejny ruch rękoma.

Księżycowa Fala zwróciła się do Caina:

— Chce, żebym teraz odeszła.  
— W jaki sposób będę z nią rozmawiał?  
— Bardzo łatwo umie sprawić, żeby ludzie ją rozumieli  
— zapewniła go Księżycowa Fala.

— Miejmy nadzieję — stwierdził. — Nie wiem, co, do cholery, znaczą te wszystkie wymachiwania rękami.

— Mnie nauczyła języka migowego, ale umie też porozumiewać się na inne sposoby.

— Dziękuję ci więc za pomoc — Cain wstał i pomógł jej się podnieść. — Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

— Jesteś bardzo miłym człowiekiem, Sebastianie — powiedziała, stając na czubkach palców i całując go w policzek. Potem, nagle zawstydzona, obróciła się i wybiegła z pokoju.

— Kiedy możemy wyruszyć? — spytał Cain.

Milcząca Annie podniosła rękę dłońią do zewnątrz, dając mu do zrozumienia, żeby czekał, po czym podeszła do okna. Kiedy Księżycowa Fala dotarła do drogi i ruszyła z powrotem do wioski, Annie ponownie zwróciła się w jego kierunku.

— Wkrótce — powiedziała.

— Co? — spytał Cain z kompletnie ogłupiałą miną.

— Niedługo wyruszymy — dodała mocnym głosem. — Ale najpierw, jak sądzę, musimy trochę porozmawiać.

— Myślałem, że nie może pani mówić.

— Mogę, kiedy mam coś do powiedzenia, panie Cain — stwierdziła Milcząca Annie.

— Dlaczego pani udaje niemowę? — spytał.

— W ten sposób nie muszę odpowiadać na głupie pytania. — Usiadła i wypła łyk herbaty. — Pan przyjechał tu, żeby go zabić, prawda?

— Tak.

— Dlaczego?

— Za jego głowę jest nagroda.

— To jest jedyny powód?

— A potrzebny jest jeszcze inny? — odparł Cain.

— Miałam nadzieję na coś bardziej znaczącego — stwierdziła Milcząca Annie. — Nawet nie chcę przypuszczać, że źle pana oceniliśmy.

— Źle mnie oceniliście? — powtórzył Cain.

— Czekaliśmy na pana, panie Cain, odkąd tylko Santiago kazał Geronimo Centry'emu skierować pana na szlak, który w końcu doprowadził pana na Bezpieczny Port.

— Proszę pozwolić, że to sobie poukładam — rzekł zdezorientowany Cain. — Chce mi pani powiedzieć, że Santiago życzył sobie, abym go znalazł?

— Tak właśnie powiedziałam.

— Nie wierzę w to.

— Może pan wierzyć lub nie — odparła Milcząca Annie, wzruszając ramionami. — A jak niby pan się tu dostał po tych wszystkich latach jałowych poszukiwań?

Popatrzył na nią i nic nie powiedział.

— Nie mam zamiaru dawać panu do zrozumienia, że ułatwił to panu — kontynuowała. — To nie przysłużyłoby się jego celom. Ale umożliwił panu przyłot tu. Postanowił dać panu pierwszy bodziec.

— Po co?

— Obserwował pana od długiego czasu, panie Cain — kontynuowała Milcząca Annie. — Od kiedy tylko pan przyjechał na Granicę.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ obserwuje wszystkich.

— Nie z każdym się jednak spotyka.

- Tak — odparła. — Pan jest dopiero drugi.
  - Kto był pierwszy?
  - To nie ma znaczenia — powiedziała Milcząca Annie.
  - I tak już nie żyje.
  - A co z Ojcem Williamem? — spytał Cain.
  - Jak to co?
  - On również znalazł Santiago.
  - Myli się pan, panie Cain — odparła Milcząca Annie.
  - On nie poluje na Santiago.
  - A więc co tu robi?
  - Nie jestem pewna, czy mi pan uwierzy, jeśli panu powiem — stwierdziła.
  - Może nie — zgodził się Cain. — Ale może jednak powie mi pani najpierw i pozwoli samemu zdecydować?
  - Jest tutaj, żeby zapewnić Santiago ochronę.
  - Przede mną? — spytał sceptycznie Cain. — W takim razie czemu mnie nie usunął, kiedy miał okazję?
  - Nie chodzi o pana.
- Cain przez chwilę milczał.
- Anioł? — spytał w końcu.
- Skinęła głową.
- Niedługo tu będzie.
  - Zakładam, że dotarł tak daleko bez jakiegokolwiek pomocy ze strony Santiago.
  - Tak, to prawda.
  - I Santiago nie chce, żeby go Anioł znalazł? — kontynuował Cain.
  - Wątpię, czy w ogóle się nad tym zastanawiał — odparła Milcząca Annie. — Ojciec William sam wymyślił, że będzie go chronił.

— Dlaczego Ojciec William miałby pomagać człowiekowi, za którego schwytanie wyznaczono nagrodę? — spytał Cain.

— To właśnie zamierzam panu wyjaśnić, zanim pan się z nim spotka — stwierdziła Milcząca Annie, nalewając sobie kolejną filiżankę herbaty.

— Jaka jest w tym wszystkim rola Księżycowej Fali?

— To jest bardzo miła, młoda barmanka, nic więcej.

— Ale wie, że Santiago mieszka na Bezpiecznym Porcie — zauważył.

— Tak jak i każdy, z kim pan rozmawiał dziś rano.

— I nikt nie próbował wydać go dla nagrody?

— Prawdę mówiąc, pięciu czy sześciu ludzi próbowało — odparła Milcząca Annie. — Może ich pan znaleźć zakopanych na różnych cmentarzach planety.

— Wróćmy na minutę do Księżycowej Fali — powiedział Cain, próbując przyswoić sobie wszystko, co powiedziała mu Milcząca Annie. — Przez większą część swego życia, średnio co miesiąc, wędrowała z jednego świata na inny. Dlaczego przyleciała akurat tutaj?

— Po prostu zwykły przypadek.

— A dlaczego została?

— Z tego samego powodu, z którego ja zostałam — odparła Milcząca Annie.

— W porządku — zgodził się Cain. — Dlaczego więc pani została?

— Ponieważ Santiago jest wielkim człowiekiem.

— Santiago jest złodziejem i mordercą.

— Wszystko zależy od punktu widzenia — zauważyła.

— Punkt widzenia nie ma z tym nic wspólnego — odpowiedział Cain. — Ten człowiek zabijał i łupił jeszcze

przed moim urodzeniem. Demokracja ściga go za prawie czterdzieści morderstw, a prawdopodobnie popełnił ponad sto takich, na które nie ma dowodów. I wiem z wiarygodnych źródeł, że ma magazyny wypełnione towarami skradzionymi na całej Wewnętrznej Granicy.

— Nie pomylę się mówiąc, że pańskie źródła to Uroczy Swagman?

— Nie ryzykowałby życia, gdyby nie wiedział, że te magazyny istnieją — odparł Cain.

— Nie kwestionuję ich istnienia — zauważyła Milcząca Annie — a jedynie pańską interpretację. — Przerwała na moment. — I nawiasem mówiąc, nie przypuszczam, żeby Swagman ryzykował w tej chwili życie.

— Czy on również bierze w tym udział?

— Z pewnością nie — odpowiedziała. — Kiedyś był z nami, ale Santiago go wyrzucił.

— Jakiś konflikt między złodziejami? — zasugerował Cain.

— Tylko jeden z nich jest złodziejem — zauważyła surowo. — I już dla nas nie pracuje. Głosowałam za tym, by go zabić, ale Santiago się nie zgodził i Swagman odszedł cały i zdrów.

Cain wyprostował się na krześle i westchnął.

— W porządku — stwierdził w końcu. — Usłyszałem już wystarczająco dużo od pani i Księżycowej Fali o tym, jakim to wspaniałym człowiekiem jest Santiago. Przypuszczam, że powie mi pani teraz, dlaczego tak pani myśli?

— Oczywiście — odparła Milcząca Annie. — Mówi pan, że Santiago jest odpowiedzialny za zamordowanie stu czterdziestu osób. Proszę mi pozwolić zacząć od stwierdzenia, że aktualna liczba bliższa jest ośmiuset.

— Właśnie to czyni go wielkim człowiekiem? — spytał ironicznie Cain.

— A ilu ludzi pan zabił, panie Cain?

— Nie mówimy teraz o mnie — zauważył Cain.

— Mimo to proszę, żeby pan odpowiedział.

— Trzydziestu siedmiu.

— Kłamie pan, panie Cain — oznajmiła z uśmiechem.

— Akurat, cholera!

— Przypadkiem wiem, że zabił pan ponad pięć tysięcy kobiet i mężczyzn na samej Sylarii.

— To była wojna — powiedział.

— Nie, panie Cain. To była rewolucja.

— Próbuje mi pani powiedzieć, że Santiago jest rewolucjonistą? — spytał sceptycznie.

— Tak.

— Kobieta o imieniu Sargassowa Róża sugerowała mi to samo — zauważył. — Jej również nie uwierzyłem. Przeciwko komu miałyby być ta rewolucja?

— Przeciw Demokracji.

Cain zaśmiał się głośno.

— Naprawdę twierdzi pani, że Santiago chce doprowadzić do upadku Demokrację?

— Nie, panie Cain. Demokracja kontroluje dziesiątki tysięcy światów i mieszka w niej około dziewięćdziesięciu procent ludzkiej populacji tej galaktyki. Jej siły powietrzne liczą ponad trzydzieści milionów statków, posiada nieprzebrane bogactwa i zasoby. Głupotą byłoby nawet marzyć o jej pokonaniu.

— A więc?

— Chce tylko zneutralizować jej wpływy na Granicy, by zapobiegać co bardziej haniebnym nadużyciom.

— Gromadząc dzieła sztuki i mordując podrzędnych przemytników takich jak Duncan Black?

— Duncan Black był zdrajcą — powiedziała zimno. — Został stracony, a nie zamordowany.

— Wychodzi na to samo — zauważył Cain.

— Pan nigdy nie wykonał wyroku na kimś, kto zdradził — w pańskich oczach — słuszną sprawę, panie Cain? — zapytała.

Chwilę milczał.

— Wykonałem — przyznał w końcu. — Proszę mówić dalej.

— Mówi pan o gromadzeniu dzieł sztuki, ale o tym panu powiedział, jak słyszałam, Swagman — kontynuowała Milcząca Annie. — Ściśle rzecz biorąc, drogi jego i szefa rozeszły się, ponieważ Santiago odmówił zatrzymania pewnych błyskotek, które chciał posiadać Swagman. Santiago sprzedał je na czarnym rynku, gdzie Swagman musiał zapłacić za nie rynkową cenę.

— Żeby opłacić oddziały? — zasugerował Cain.

— Czy płacono panu na Sylarii albo na innych świątach, gdzie pan walczył? — spytała.

— Nie.

— My także nie płacimy — odparła. — Oddziały, jak je pan nazywa, pracują za darmo, panie Cain.

— Więc po co wam potrzebne pieniądze?

— Zobacz pan.

— Kiedy?

— Wkrótce.

— Dlaczego nie teraz? — upierał się.



— Ponieważ, zabijając Jednorazowego Charliego, narobił pan małego zamieszania w wiosce. — wyjaśniła Milcząca Annie.

— Księżycowa Fala nie wspominała nic o tym, że go zabiłem.

Uśmiechnęła się.

— Nie jestem tutaj całkiem odizolowana, panie Cain. Ojciec William skontaktował się ze mną i powiedział, co się zdarzyło, zanim przebyliście połowę drogi do mojego domu. — Umilkła. — W każdym razie, mimo że pańskie poczynania były całkowicie uzasadnione, nie udało się utrzymać w sekrecie pańskiej tożsamości.

— Nigdy tego nie próbowałem — wtrącił.

— Proszę pozwolić, że się poprawię — stwierdziła. — Nie mogliśmy już dłużej utrzymać w tajemnicy pańskiego zawodu. To niezbyt dobrze.

— Dlaczego?

— Ponieważ ludzie z tego miasteczka są gotowi oddać życie, aby chronić Santiago. Kiedy Ojciec William upewni się, że żaden z nich nie wybiera się tutaj, aby pana powstrzymać, skontaktuje się ze mną ponownie i wtedy wyjdziemy.

— Jeśli któryś z nich się pojawi, będę się bronił — uprzedził Cain.

— To nie będzie konieczne — stwierdziła. — Jeżeli istnieje taka potrzeba, Ojciec William nas ostrzeże.

— Dlaczego?

— Ponieważ Santiago chce, by dotarł pan do niego bez szwanku, a Ojciec William szanuje jego życzenia.

— Nawet jeśli kosztowałyby to życie paru zwolenników?

— Tak się prawie na pewno nie zdarzy, ale tak, nawet za taką cenę.

— Nie sugeruje pani przynajmniej, że jest świętym — zauważył Cain.

— Bo nie jest. Jest człowiekiem, który musi podejmować wielką ilość decyzji o czyjejs śmierci lub życiu. Żadna istota ludzka nigdy nie powinna być do tego zmuszana.

— To jego wybór.

— To jego powołanie — poprawiła go.

— Co czyni mnie dla niego aż tak ważnym? — zapytał Cain.

— Sądziłam, że to dla pana oczywiste — odparła Milcząca Annie.

Cain patrzył na nią przez długą chwilę. W końcu powiedział:

— Dlaczego miałbym się do niego przyłączyć?

— Ponieważ sam pan był kiedyś rewolucjonistą.

— Galaktyka jest pełna ludzi, którzy byli kiedyś rewolucjonistami — zauważył.

— Większość z nich się przystosowała. Pan nie.

— Przystosowałem się nawet lepiej niż większość — odpowiedział Cain z domieszką ironii w głosie. — Wykorzystałem to, czego się nauczyłem, w nowym celu. Kiedyś zabijałem ludzi za darmo. — Uśmiechnął się ponuro. — Teraz robię to dla pieniędzy.

— Santiago nie interesuje się panem z powodu ludzi, których pan zabił.

— A więc dlaczego się mną interesuje?

— Z powodu tych ludzi, których pan nie zabił — odrzekła Milcząca Annie.

Zmarszczył brwi.

— Chyba nie rozumiem.

— Puścił pan wolno Quentina Cicero.

— Miał zakładniczkę.

— Innym również pan darował — kontynuowała. — Spędził pan dziesięć tygodni polując na Carmellę Sparks, a potem pozwolił jej pan odejść.

— Miała ze sobą troje dzieci — stwierdził Cain, czując się nieswojo. — Jedno z nich było jeszcze niemowlęciem. Wszystkie by umarły.

— To nie powstrzymałoby Rozjemcy MacDougala albo Anioła — zauważyła.

— W takim razie może Santiago powinien porozmawiać z nimi, a nie ze mną.

— Nie interesują go ludzie, którzy zatracili do reszty swoje człowieczeństwo. Chce pana poznać właśnie dlatego, że ciągle jeszcze jest pan zdolny do aktów litości.

— Taak — powiedział Cain. — Cóż, nie wiem, czy ja chcę poznać jego.

— Zechce pan — stwierdziła pewnym siebie tonem. — To jest największy człowiek, jakiego znam.

— W jaki sposób go pani poznała?

— Dorastałam na Raxarze II — zaczęła. — Mieszkała tam wielka populacja obcych. Planetą rządili wojskowi, którzy mieli pilnować, aby tubylcy zachowywali się potulnie. — Lekko zadrżały mięśnie jej szczęki. — Kiedy miałam jedenaście lat, zostałam pobita i zgwałcona przez trzech żołnierzy. Demokracja niechętnie udzielała wojskowych dotacji, zatem nasz policyjny rząd nie życzył sobie nagłaśniania incydentów, które mogłyby spowodować kłopoty i cofnięcie pieniędzy, tak więc całą sprawę zatuszowano. Ci trzej mężczyźni zostali ode-

słani na inne światy i nigdy ich nie ukarano. A ja spędziłam dwa lata w szpitalu.

— Stąd ma pani bliznę na twarzy? — spytał Cain.

— Widzi pan tylko tę jedną — zauważyła gorzko Milcząca Annie. — W każdym razie Santiago usłyszał o tym, co się zdarzyło i...

— W jaki sposób? — przerwał Cain.

— Jest tu od długiego czasu — odparła. — Ma wszędzie swoje wtyki. Kiedy dowiedział się, co mi zrobili, zabił tych trzech mężczyzn. — Uśmiechnęła się smutno. — Sądzę, że moim prywatnym aniołem zemsty była świętej pamięci Altair z Altair.

— I wtedy przyłączyła się pani do niego?

— Pan by tak nie postąpił? — odpowiedziała.

— Ja zabiłbym ich sam.

— Nie wszyscy jesteśmy zabójcami, panie Cain — wyjaśniła. — To wymaga pewnego wrodzonego instynktu, który nie każdy posiada.

— A Santiago go ma?

— Nie jestem pewna, czy osobiście zabił kogokolwiek.

— Patrząc na liczbę zabójstw, które mu się przypisuje, mogłoby to zostać zinterpretowane w pewnych kręgach jako tchórzostwo — zauważył Cain.

— Nie zgadzam się z tym — powiedziała zimno Milcząca Annie.

— Jak go pani znalazła? — spytał Cain, pochylając głowę w przepaszającym geście za swój komentarz.

— Sam wiele ułatwia, kiedy chce zostać odnaleziony.

— Myślę, że chętnie bym na ten temat podyskutował — stwierdził drwiąco.

— Naprawdę pan sądzi, że odszukałby go pan, gdyby tego nie chciał? — spytała.

— Biorąc pod uwagę to, co mi pani powiedziała, chyba nie — przyznał.

— Pewnym osobom utrudnia bardziej drogę do siebie, a innym mniej — kontynuowała.

— Przynajmniej to mogę potwierdzić — powiedział Cain.

— Księżycowa Fala miała może najłatwiej ze wszystkich.

— Wydawało mi się, że mówiła pani, iż mała wylądowała tu przez przypadek?

— Bo to był czysty przypadek, że właśnie wtedy wylądowała na Bezpiecznym Porcie — wyjaśniła Milcząca Annie. — Ale prędzej czy później musiałyby się tu zjawić.

— Dlaczego?

— Jej rodzice pracowali dla Santiago. Demokracja wzięła ich do niewoli i zabiła, kiedy dziewczynka miała zaledwie cztery latka. — Przerwała. — Nie mógł wtedy jej pomóc, ponieważ istniało zbyt duże ryzyko, że jest pilnowana. Został więc jej aniołem stróżem. Gdziekolwiek leciała, na jakimkolwiek świecie pracowała, zawsze był ktoś, kto ją strzegł, kto ją chronił. W końcu, gdy już byliśmy pewni, że Demokracja z niej zrezygnowała, delikatnie zasugerowano jej, iż powinna skierować się w stronę Bezpiecznego Portu. Wreszcie tu przyleciała... Czekaliśmy tak długo, aż uzyskaliśmy absolutną pewność, że nie jest śledzona i wtedy powiedziano jej prawdę.

— Pani to zrobiła?

Milcząca Annie potrząsnęła głową.

— Ona nie wie, że mogę mówić.

— Sam Santiago jej powiedział? — spytał Cain.

— Nigdy go nie spotkała. — Milcząca Annie zamilkła. — To jest bardzo słodka dziewczyna, ale nasza walka nie jest jej walką. Poniosła już wystarczająco dużo ofiar. Im mniej wie, tym lepiej dla niej.

— Po co w takim razie Santiago w ogóle narażał się na niebezpieczeństwo, pozwalając, żeby się wszystkiego dowiedziała?

— Chciał, aby została na Bezpiecznym Porcie, gdzie mógłby lepiej ją chronić, gdyby kiedykolwiek powstała taka potrzeba.

— A jeśli Księżycowa Fala zechce wyjechać? — spytał Cain.

— Jest wolna.

— Mimo iż wie, gdzie leży świat Santiago?

— Tak.

Cain opuścił rękę, zagubiony w myślach. W końcu podniósł oczy na Milcząca Annie.

— Chciałbym go poznać — powiedział.

— Pozna go pan.

— Biorę pod uwagę fakt, że to może być pułapka.

— Dlaczego mielibyśmy zastawiać na pana tak misterną pułapkę?

— Nie wiem — przyznał. — Ale jeżeli pani mnie okłamała, zabiję go.

— Nie kłamię. — Podeszła do nadajnika. — Ojciec William miał dać nam sygnał, że droga jest czysta. Chyba sprawdzę, co się dzieje w tawernie.

— Może lepiej ja zadzwonię — ofiarował się Cain. — Może odebrać Księżycowa Fala, a pani ma pozostać niema.

Milcząca Annie uśmiechnęła się.

— Jeżeli odpowie, po prostu poproszę o rozmowę z Ojcem Williamem. Ponieważ nigdy nie słyszała mojego głosu, nie potrafi go rozpoznać.

— Ma pani rację — przyznał Cain.

Milcząca Annie przez chwilę mówiła coś cicho, potem przerwała połączenie i odwróciła się do Caina.

— W porządku — oznajmiła. — Możemy iść.

— Co go zatrzymało?

— Zaczął pić piwo i jeść i zupełnie o nas zapomniał — wyjaśniła z połowicznie wyrozumiętym uśmiechem.

— To do niego podobne — zgodził się Cain. Nagle zmarszczył brwi. — Musimy odłożyć wyprawę mniej więcej na jakąś godzinę.

— O co chodzi? — spytała.

— Muszę przedtem coś zrobić.

— Czy to ma coś wspólnego z Santiago? — spytała podejrzliwie.

— Pośrednio. Muszę dotrzymać pewnego przyrzeczenia.

— Wobec kogo?

— Wobec pewnego przyjaciela. — Podeszedł do drzwi. — Wrócę.

Kiwnęła głową. Opuścił jej mały domek i ruszył drogą w dół. Minął wioskę i po pół godzinie dotarł do celu.

— Nie wyglądasz na szczęśliwego — stwierdził Schussler, kiedy Cain wsunął się przez luk.

— Bo nie jestem — odrzekł Cain.

— A więc myliłeś się co do Bezpiecznego Portu?

Potrząsnął głową.

— Miałem rację.

— Santiago tu przybędzie? — spytał z podnieceniem Schussler.

— On tu już jest.

— Dzięki Bogu! — powiedział Schussler tonem, w którym było tyle ulgi, ile zdołało wyrazić metalowe urządzenie mechaniczne.

Chwilę panowała cisza.

— Czy pamiętasz naszą umowę? — spytał cyborg.

— Dlatego przyszedłem.

— Jesteś prawym człowiekiem, Sebastianie.

— Jak mam się do tego zabrać? — zapytał Cain, podchodząc do tablicy, która ukrywała właściwą istotę Schusslera. — W jaki sposób mogę cię wyłączyć, nie zadając ci zbyt wielkiego bólu?

— Nie jestem zdolny odczuwać bólu — powiedział Schussler. — Gdybym mógł, może nawet wybrałbym życie.

— Głupią rzecz teraz powiedziałaś.

— Tak myśli człowiek, który może czuć, Sebastianie.

— W porządku — stwierdził Cain, wystukując kod, żeby odsłonić to, co zostało z Schusslera. — Co mam teraz zrobić?

— Jestem tak zaprogramowany, że muszę wykonywać twoje polecenia, nawet kosztem własnego życia — odparł Schussler. — Po prostu rozkaż mi, żebym przestał funkcjonować i umrę.

Cain popatrzył na małe pudełko.

— Chcesz powiedzieć, że to wystarczy?

— Tak.

— Mogłem to zrobić w każdej chwili.

— Ale zawarliśmy umowę — wyjaśnił Schussler. — Byłem zobowiązany wypełnić swoją część.

— Jesteś gotowy? — spytał Cain.

— Tak... Sebastianie?



— Co?

— Lądowałem na planetach tlenowych, chlorowych i metanowych. Byłem na Delurosie VIII i na najbardziej mrocznych, martwych światach na obrzeżach Granicy. Latałem szybciej niż światło i torowałem sobie drogę przez burze meteorytów.

— Wiem.

— Jest jedna rzecz, której nigdy nie zrobiłem, jedno miejsce, którego nie odwiedziłem.

— Gdzie to jest?

— Nigdy nie widziałem wnętrza gwiazdy.

— Nikt nie widział.

— W takim razie będę pierwszy — stwierdził Schussler.

— Chcę zabrać z sobą ten piękny widok na całą wieczność!

— Tak więc rozkazuję — powiedział z żalem Cain.

— Dziękuję ci, Sebastianie — odparł cyborg. — Lepiej mnie teraz zostaw.

— Żegnaj, Schusslerze — wyrzucił z siebie szybko Cain, wychodząc przez właz.

— Obserwuj mnie, Sebastianie — poprosił Schussler. — Wkrótce zapadnie zmierzch. Poczekam do tej pory, żebyś mógł mnie widzieć w ciemnościach. — Przez chwilę nic nie mówił.

— Stanę się pierwszą wschodzącą tego wieczoru gwiazdą.

— Będę na ciebie patrzył — obiecał łowca.

Godzinę później, kiedy Cain i Milcząca Annie w końcu wyruszali w drogę, łowca zatrzymał się i spojrzał w górę. Początkowo nie zobaczył niczego niezwykłego, ale po chwili — prawdopodobnie tylko oczyma wyobraźni, ponieważ słoń-

ce świeciło jeszcze zupełnie jasno, a Schussler znajdował się w odległości osiemdziesięciu milionów mil — przez moment widział (tak mu się przynajmniej wydawało) jakiś niewiarygodnie jaskrawy kształt znaczący smugą niebo ku złotemu słońcu Bezpiecznego Portu. Punkcik poruszał się coraz szybciej, aż w końcu zamrugał jakby na pożegnanie i zniknął.

## Część 6

# KSIĘGA SANTIAGO

### 22.

*Kometa mu ojcem,  
Wiatr kosmiczny — matką.  
Bóg płakał żałośnie,  
Szatan śmiał się gładko.*

Równo czterdzieści zwrotek — oto ile poświęcił mu Czarny Orfeusz.

Nikt inny nie otrzymał więcej niż tuzin, ale przecież istniał tylko jeden Santiago.

Kiedy Orfeusz wreszcie postanowił o nim napisać, stanął przed moralnym i artystycznym dylematem, ponieważ do tej pory wszystkie jego słowne portrety zawsze opierały się na wiedzy z pierwszej ręki, a tego popularnego przestępcy nigdy nie spotkał. (Ściśle rzecz biorąc, widział go przez te lata przy pięciu różnych okazjach i nawet dwa razy z nim rozmawiał, ale wówczas nie wiedział, że rozmawia z Santiago i nie domyślił się tego nigdy później).

Z drugiej strony, Orfeusz czuł, że każda ballada, która ma aspiracje, by opisywać ludzi i zdarzenia tworzące Wewnętrz-

na Granicę, byłaby śmiesznie niekompletna, gdyby nie obracała się w większej części wokół Santiago.

Poszedł więc na kompromis. Poświęcił mu czterdzieści zwrotek, ale ani razu nie użył jego imienia. W ten sposób chciał zaznaczyć, że strofy o Santiago wymagają jeszcze jakiegoś zakończenia.

Sebastian Cain doszedł do wniosku, że legenda Santiago jest tak samo niepełna jak ballada. Siedział teraz obok Milczącej Annie, a jej pojazd przesuwiał się wśród bujnych pól, które wydawały się wić i falować w mrocznym świetle księżyców Bezpiecznego Portu. Zatrzymali się przed małym spichlerzem.

— Pierwszy przystanek — oznajmiła Annie, otwierając drzwi i wysiadając.

— Spichlerz? — spytał Cain. Gorąco i wilgoć uderzyły go z impetem.

Uśmiechnęła się.

— Miałam nadzieję, że nauczy się pan nie oceniać wszystkiego, co jest związane z Santiago, po pozorach.

Weszła na podest z prefabrykatów, wystukała kombinację na zamku i drzwi powoli otworzyły się do wewnątrz.

— Proszę za mną, panie Cain — powiedziała, wydając cicho komendę, po której zaciemniony budynek cały się rozświetlił.

Cain podążył za nią do chłodnego wnętrza spichlerza i znalazł się naprzeciw szeregu pojemników wypełnionych po brzegi kolbami zmutowanej kukurydzy. Wysoko nad jego głową znajdował się strych, który wyglądał, jakby nie używano go przez ostatnie dwadzieścia lat.

— No więc? — zapytał.

— Proszę obejrzeć trzeci pojemnik.

Podszedł i zajrzał do środka.

— Wygląda jak kukurydza — stwierdził.

— Tak właśnie ma wyglądać — odparła. — Proszę przypatrzeć się dokładnie.

Zagrzebał obie ręce, odrzucając kolby kukurydzy i dotarł do złotej sztabki.

— Napad na Epsilon Eridani? — spytał, z mozołem wyjmując sztabkę obiema rękami i oglądając ją z ciekawością.

Skinęła głową.

— Zostało nam ich jeszcze około czterdzieści.

— W tym kuble?

— Tak.

— Co się stało z resztą? — spytał Cain. — Widziałem jedną sztabkę u Jonathana Sterna na Port Etrange, ale nikt nie wiedział, gdzie podziła się reszta.

— Większość z nich się rozproszyła — odpowiedziała. — Chciałby się pan dowiedzieć gdzie są?

— Dlaczego nie? — Wzruszył ramionami.

— Proszę pójść ze mną.

Milcząca Annie weszła do małego biura, w którym mieściły się dwa wideotelefony, ścienny kalendarz wydrukowany na prawdziwym papierze, małe drewniane biurko, staroświeckie obrotowe krzesło i komputer. Wszystko, z wyjątkiem jednego telefonu i komputera, pokryte było warstewką kurzu.

Uruchomiła komputer, poczekała, aż zidentyfikuje wzór siatkówki jej oka i odcisk kciuka, a potem poleciła mu wyświetlić szczegóły dotyczące złota z Epsilon Eridani.

Cain przestudiował odczyt, który pojawił się na małym ekranie.

— Widzę, że Ojciec William dostał prawie jedną trzecią — zauważył.

— Jest jednym z łączników, przy pomocy których Santiago może karmić głodnych i leczyć chorych. Wielka ilość złota z Epsilon Eridani została sprzedana na czarnym rynku na Kabalka V.

— Kabalka V? To jest jakiś świat obcych, prawda?

— Obcy nie mieszkali tam wystarczająco długo, aby dowiedzieć się, co ludzie są w stanie zrobić dla złota — odparła.

— Co stało się z pieniędzmi, które dostaliście za sztabki? Wywołała kolejny wykres na ekranie.

— Wszystko poszło na szpitale? — spytał.

— Niezupełnie. Umożliwiło także akcję na Pico II.

— A co może być, do cholery, na Pico II? To jest tylko mały, brudny, zapomniany świeatek w gwiazdozbiornie Quinelus.

— Zostali tam uwięzieni niektórzy z naszych przyjaciół.

— Więc wydostaliście ich?

Potrząsnęła głową.

— To było niemożliwe.

— W takim razie co zrobiliście?

— Wyszadziliśmy w powietrze więzienie.

— Z waszymi przyjaciółmi w środku?

— Demokracja nie cofnie się przed niczym, żeby znaleźć Santiago — stwierdziła Milcząca Annie. — To byli lojalni ludzie, ale mogliby zacząć sypać. Jeśli tortura nie przynosi skutku, pozostają jeszcze narkotyki, a te zawsze skutkują.

— Nagroda za lojalność — zauważył cierpko Cain.

— Santiago nie jest bogiem i nie jest świętym — powiedziała. — Jest tylko człowiekiem i walczy przeciwko najpotężniejszej politycznej i militarnej machinie w tej galaktyce. Kiedy nasi ludzie wyruszają na akcję, wiedzą, co może im się przytrafić.

Cain nic nie powiedział.

— Dochowanie tajemnicy to nasza jedyna broń — kontynuowała. — Musimy ją utrzymywać wszelkimi środkami. — Przerwała, szukając słów, aby przejść do sedna. — Sądzi pan, że w jaki sposób Santiago zachowuje w sekrecie przez te wszystkie lata swoją tożsamość i miejsce pobytu? — spytała w końcu. — Wracamy z naszych misji albo w nich ginimy, ale w żadnym razie nie możemy sobie pozwolić na uwięzienie.

— A co zdarzyło się ludziom na Pico II?

— Zostali wzięci przez zaskoczenie, zanim zdołali popełnić samobójstwo. — Popatrzyła na niego spokojnie. — Wygląda na to, że pan nie pochwała tego, panie Cain. A wydawało mi się, że pan ze wszystkich ludzi najlepiej powinien wiedzieć, że rewolucja nie jest rozrywką dobrze wychowanych panów i że nie obowiązują w niej gentlemańskie reguły.

— To prawda — przyznał po zastanowieniu. — Nie lubię po prostu, kiedy ktoś zabija swoich własnych ludzi.

— Mam nadzieję, że pan nie sądzi, iż Santiago robi to bez wątpliwości — odparła Milcząca Annie. — To jest ponura sprawa. Nie ma nic romantycznego w nękanii przytłaczającej siły bez nadziei na zwycięstwo.

— Jeśli wie, że nie zwycięży, to po co w ogóle walczy?

— Żeby uniknąć przegranej.

— To brzmi głęboko, ale nie ma za cholerę sensu — powiedział Cain.

— Jestem pewna, że Santiago będzie szczęśliwy mogąc to panu osobiście wyjaśnić.

— Kiedy?

— Wkrótce — odparła, wyłączając komputer i kierując się z powrotem do pojazdu. — Proszę ze mną, panie Cain.

Dotarli do samochodu i chwilę później znowu jechali w wilgotnym, nocnym powietrzu wąską, wiejską drogą.

— Czy urodził się na Bezpiecznym Porcie? — spytał Cain po chwili ciszy.

— Nie.

— Od jak dawna jest tutaj?

— Bezpieczny Port stanowi jego siedzibę od piętnastu lat, chociaż połowę czasu spędza poza planetą.

— Czy kiedykolwiek go spotkałem? — spytał z ciekawością.

— Naprawdę nie wiem — odparła. — Możliwe. — Uśmiechnęła się. — Czarny Orfeusz widział go kilka razy, chociaż-wcale o tym nie wie.

— Jest dużo rzeczy, których ten cholerny śpiewaczyna nie wie — zauważył Cain.

— Jest pan bardzo krytyczny, panie Cain — stwierdziła Milcząca Annie. — Pańskie życie musi być pełne rozczarowań.

— Nie bardziej niż życie większości ludzi — odrzekł. Potem uśmiechnął się krzywo. — Chociaż faktycznie daje się w nim dostrzec brak sukcesów.

— Dajmy spokój fałszywej skromności. Jest pan łowcą nagród, któremu bardzo dobrze się wiedzie.

— Widziała pani zbyt wiele filmów video — powiedział. — Nie wyzywam złoczyńców, aby toczyć z nimi pojedynki w południowym słońcu. Nie ma nic podniecającego w podkradaniu się do osobnika, który nie widział cię nigdy wcześniej i dopadaniu go, zanim facet domyśli się, czego chcesz.

— Czy tak właśnie postąpił pan z Altair z Altair i Jackiem z Diamonds? — spytała z uśmiechem.



— Nie — przyznał. — W pierwszym wypadku byłem nieostrożny, w drugim niezdamy.

— A co z Alexandrem Starszym? Chroniło go sześciu ludzi, kiedy pan go schwytał.

— Czterech — poprawił ją.

— Pan unika odpowiedzi.

— Myślałem, iż interesujecie się mną z powodu tych ludzi, których nie zabiłem.

— To prawda. Ale ma pan wiele talentów i jestem pewna, że Santiago może mieć pożytek z nich wszystkich.

— Zobaczmy — stwierdził wymijająco.

Jechali w milczeniu przez około pół godziny wśród pól kukurydzy i pszenicy, na tle których tylko raz pojawiła się jakaś mała fabryka produkująca metan z odpadków zwierząt hodowanych na Bezpiecznym Porcie. W końcu Annie skręciła z drogi i podjechała do rzędu silosów.

— Kolejne łupy? — spytał, kiedy pojazd się zatrzymał.

— Centrum medyczne.

— Dlaczego je ukrywacie? — zapytał. — Demokracja ma ważniejsze rzeczy do roboty, niż robienie nalotów na szpitale.

— Ponieważ populacja Bezpiecznego Portu nie jest wystarczająco duża, aby utrzymać instytucję tej wielkości — wyjaśniła Milcząca Annie. — Kompleks taki jak ten mógłby niepotrzebnie zwrócić na nas uwagę.

Wysiadł z pojazdu i wszedł za nią do jednego z silosów. Poprowadziła go do windy i po krótkiej jeździe w dół znaleźli się wśród białych, sterylnych ścian sześćdziesiąt stóp pod ziemią.

— Jak duże jest to miejsce? — spytał, patrząc na lśniące korytarze, które rozchodziły się we wszystkich kierunkach.

— Nie potrafię panu podać powierzchni w stopach kwadratowych — odpowiedziała — ale rozciąga się pod całym kompleksem silosów. Mamy dwadzieścia trzy laboratoria, pół tuzina salek obserwacyjnych, parę sal operacyjnych i cztery separatki dla chorych zakaźnie. Jest również kantyna, a także obszerne mieszkania dla personelu, żeby naszych ludzi nie widywano, jak codziennie przyjeżdżają i odjeżdżają.

Zaczęli przechodzić przez laboratoria pełne lekarzy i naukowców w białych fartuchach i w końcu dotarli do pierwszej salki obserwacyjnej. Cain zatrzymał się, aby popatrzeć przez grube, jednostronne szkło i ujrzał dziewięcioro mężczyzn i kobiet, którzy leżeli w łóżkach podłączeni do aparatury kontrolnej utrzymującej ich przy życiu. Przypominali ofiary pożaru z poczerniałą, pokrytą pęcherzami i łuszczącą się z ich ciał skórą.

— Co im się stało? — spytał Cain, patrząc na starszą kobietę, o sterczących, odsłoniętych kościach policzkowych.

— Są z Hyperiona.

— Nigdy nie słyszałem tej nazwy.

— Został odkryty dopiero pięć lat temu — wyjaśniła. — Było tam około pięciu tysięcy pierwotnych mieszkańców. Wszyscy byli członkami jakiejś zagadkowej sekty religijnej.

— Wyglądają, jak gdyby wierzyli, że można przejść przez ogień — rzucił.

Potrząsnęła głową.

— Wierzyli, że można pokojowo współżyć z sąsiadami. W tym szczególnym przypadku sąsiadami była bardzo agresywna rasa humanoidalna i osiągnięcie kompromisu zabrało kolonistom prawie dwa lata. W końcu im się to udało... — Zamilkła. — A wtedy Demokracja uznała, że Hyperion

przyda jej się jako strategiczna baza militarna. Zdarzyło się tam parę incydentów z udziałem ludności tubylczej i planecie zablokowano środki dla ludności cywilnej. Kolonia, która załatwiła rozejm z tubylcami, odmówiła odlotu.

— I wojsko im to zrobiło?

— Nie bezpośrednio — odparła. — Armia doszła do wniosku, że pacyfikowanie tubylczych humanoidów to rzecz kłopotliwa i niewarta zachodu, więc wypuszczono w atmosferę jakiś środek chemiczny, który wyniszczył całą rasę. Ci ludzie nie wyglądali tak na początku. — Popatrzyła przez szkło na leżącą kobietę. Niestety, czynnik ten spowodował także mutację bakteryjną u kolonistów, której rezultatem była złośliwa choroba skóry. Ponieważ wcześniej kazano im wyjechać, wojsko nie chciało wziąć za nich odpowiedzialności.

— Ilu osadników przeżyło? — spytał Cain.

— Z pięciu tysięcy mniej niż połowa jeszcze żyje.

— Ilu z nich jest tutaj?

— Tylko ci, których pan widzi. Nie mamy ani miejsca, ani pieniędzy, żeby leczyć wszystkich, zatem przenieśliśmy tutaj przypadki reprezentatywne. Chcemy zobaczyć, czy możemy ich uzdrowić. Jeśli uda nam się wyhodować jakąś surowicę albo szczepionkę, wyekspedujemy ją razem z tą grupką na Hyperiona.

— Ilu światom w sumie pomagacie?

— Tylu, ilu tylko zdołamy.

— Prowadzenie tego rodzaju działalności — zauważył — musi kosztować małą fortunę.

— Wielką fortunę — poprawiła go. — Mamy jeszcze cztery inne kliniki na Wewnętrznej Granicy.

— Wszystkie funkcjonują potajemnie?

Kiwnęła głową.

— Gdyby Demokracja o nich wiedziała, byłaby o krok bliżej znalezienia Santiago. — Popatrzyła prosto na niego. — A gdyby go znalazła, ludzie z Hyperiona i setki innych światów Wewnętrznej Granicy nie mieliby gdzie się udać po pomoc.

Wyszli na korytarz prowadzący do następnej sali i Cain raptownie zrobił krok w tył, aby umożliwić sanitariuszowi przewiezienie na wózku wielkiej, ciężkawej istoty o osobliwym kształcie do jednego z pomieszczeń operacyjnych.

— Co to było, do cholery? — spytał.

— Tubylec z Kastora V — odpowiedziała.

— Pracujecie również dla obcych?

— Rasa z Kastora jest inteligentna i prześladowuje ich Demokracja. Te dwa warunki nam wystarczają.

— Jeśli zaczniecie leczyć wszystkich obcych, których uciska Demokracja, nie będziecie w stanie wybudować odpowiedniej liczby szpitali — stwierdził Cain.

— Wiem — odparła. — Ale robimy, co możemy. To tylko gest, ale bardzo ważny. — Zmierzyła go uważnie wzrokiem. — A może jest pan zdania, że przeznaczeniem rasy ludzkiej jest władać galaktyką samotnie?

— Nigdy nad tym za wiele nie myślałem — odparł. — Przypuszczam jednak, że jeśli siła stanowi prawo, człowiek ma pierwszeństwo na tym polu.

— A czy siła stanowi prawo? — spytała.

Cain wzruszył ramionami.

— Nie. Ale musi pani przyznać, że silnemu trudniej powiedzieć, że nie ma racji.

— Nie jest to jednak niemożliwe — zauważyła. — Tak właśnie działamy. — Znowu na niego popatrzyła. — Chciałabym wierzyć, że wywiera to wszystko na panu wraże-

nie, panie Cain. Bardzo nam zależy, aby pan dokładnie zrozumiał, o co walczymy.

— To robi wrażenie — rzucił wymijająco.

— Mam taką nadzieję — odparła.

Przez pozostałą część kompleksu przeszli w milczeniu; potem wrócili do windy.

— Ile jeszcze dowodów działania na rzecz społeczeństwa muszę zobaczyć, zanim spotkam się z Santiago? — spytał Cain, kiedy wyjechali na powierzchnię.

— Nie mamy ich więcej — powiedziała Milcząca Annie. — Przynajmniej nie na Bezpiecznym Porcie. Nie chcemy spektakularnymi działaniami przyciągać uwagi do tej planety.

Weszła do wnętrza silosa, a Cain podążył za nią. Doszli do pojazdu i po niedługim czasie znowu pędzili wiejskimi drózkami.

— Daleko jeszcze? — spytał po kilku minutach.

— Jakies piętnaście mil — odparła. — Jest ciemno od prawie trzech godzin. Nie zgłodniał pan?

— Poczekam.

— Mogę ich zawiadomić i gdy dotrzemy, będzie na nas czekał obiad.

— To nie jest konieczne.

— Nadal ma pan zamiar go zabić? — zapytała nagle.

— Nie wiem.

Nie odezwała się więcej i przez następne dwadzieścia minut jechali w milczeniu. Potem Annie ostro skręciła w lewo i zaczęła zjeżdżać wyboistą, polną drogą. W oddali Cain zobaczył biały dom zbudowany z gotowych elementów; przed budynkiem znajdowała się wielka weranda.

— Czy to tutaj? — spytał.

— Tak.

— Nie jest zbyt dobrze chroniony — zauważył. — Dostrzegłem tylko trzy urządzenia zabezpieczające, odkąd wjechaliśmy na tę drogę.

— Nie powinien pan dojrzeć żadnych.

— Moja praca polega na tym, żeby widzieć takie rzeczy.

Wzruszyła ramionami.

— Jest już ciemno. Prawdopodobnie niektóre z nich umknęły pańskiej uwadze.

— Wątpię.

— Musi pan także pamiętać, że Santiago nie ma wrogów na Bezpiecznym Porcie — zauważyła Milcząca Annie. — Może z wyjątkiem pana.

— Tak czy inaczej, jego ochrona jest nędzna — stwierdził Cain. — Ten facet na dachu rzuca się w oczy jak chore miejsce na zdrowym ciele.

— Jaki facet?

— Ten ze strzelbą laserową. Jakąś minutę temu księżyc oświetlił jego celownik na podczerwień.

— Nikogo nie widzę — stwierdziła, wpatrując się w ciemność.

— Ja go jednak zauważyłem i wydał mi się dość łatwym celem. Trzeba zorganizować coś więcej, niż to, żeby powstrzymać Anioła.

— Czy to jest pańska opinia jako zawodowca?

— Tak.

— Powtórzę mu to, co pan powiedział.

— Sam mu powiem — stwierdził Cain.

Podjechali pod dom i wysiedli z pojazdu. Milcząca Annie poprowadziła łowcę do drzwi frontowych, które wsunęły się w ścianę, jeszcze zanim Cain i Annie do nich dotarli. Z wnętrza buchnęło na nich zimne, suche powietrze.

Cain wszedł za Annie do pustego przedpokoju, a potem do ogromnego salonu. Znajdowało się w nim dużo, nieco podniszczonych, lecz bardzo dobrej jakości, krzesel i kanap ustawionych w małe grupki, a w murowanym kominku huczał nie dający ciepła pseudoogień. Znajdował się tu także przenośny barek, wielki ekran holograficzny i trzy lustra w eleganckich ramach. Jednakże wszystko inne w pokoju przesłaniały książki. Były wszędzie: ustawione starannie na półkach od podłogi po sufit, ułożone w stosy na stołach, niedbale ciśnięte na parapety okien, otwarcie puszące się na krzesłach i poręczach sof; leżały nawet na kominku.

W pokoju znajdował się tylko jeden człowiek — mężczyzna ubrany w brunatne, domowe ubranie. Siedział w wielkim fotelu, czytał książkę oprawną w skórę i popijał alfardyjską brandy.

Z wyglądu mógł mieć między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt pięć lat. Jego brązowe włosy były już przerzedzone i lekko siwiały na skroniach. Oczy — tego samego koloru co włosy — spoglądały na Caina spod długich, cienkich brwi, które były łagodnie wygięte ku górze i nadawały twarzy mężczyzny wyraz wiecznego zdziwienia. Nos złamano przynajmniej raz, a najpewniej wiele razy; zęby miał tak białe i równe, że Cain natychmiast uznał, iż muszą być sztuczne. Na grzbiecie prawej ręki widniała blizna w kształcie litery „S”.

Był krzepki, mocnej postury; powoli zaczynał tyć. Kiedy wstał, zrobił to z atletycznym wdziękiem.

— Długo czekałem, żeby się z tobą spotkać, Sebastianie — powiedział tubalnym głosem.

— Nie tak długo, jak ja czekałem, żeby się spotkać z tobą — odparł Cain.

Santiago uśmiechnął się.

— A teraz, kiedy już tu jesteś, co chciałbyś zrobić: rozmawiać czy strzelać?

— Najpierw porozmawiamy — stwierdził Cain. Rozejrzał się po salonie. — Masz całkiem niezłą biblioteczkę. Chyba nigdy przedtem nie widziałem tylu książek w jednym miejscu.

— Lubię czuć ciężar i kształt książki — odrzekł Santiago.

— Biblioteki komputerowe są zapełnione impulsami elektronicznymi. Książki wypełniają słowa. — Poklepał z czułością książkę i odłożył ją na krzesło. — Zawsze wolałem słowa.

— Masz także dużo luster — zauważył Cain.

— Jestem człowiekiem próżnym.

— Powiedz tym wszystkim, którzy stoją za nimi, żeby nie okazali się przesadnie gorliwi. Mogłem ich zlikwidować w chwili, gdy wszedłem do tego pokoju.

Santiago roześmiał się.

— Słyszeliście, co powiedział — stwierdził, obracając się do luster. — Zostawcie nas samych. — Zwrócił się z powrotem do Milczącej Annie, która stała cicho za Cainem. — Możesz również odejść. Będę zupełnie bezpieczny.

— Jesteś optymistą — rzucił Cain, kiedy Milcząca Annie opuściła pokój.

— Realistą — poprawił go Santiago. — Jeśli mnie zabijesz, zrobisz to w taki sposób, żeby przeżyć i odebrać nagrodę.

— Zmienił temat. — Czy mogę cię poczęstować brandy? Cain skinął głową. Santiago podszedł do barku i napełnił szklanekę. Łowca uważnie go obserwował.

— Proszę — powiedział Santiago, zbliżając się do niego i podając mu brandy.



— Jesteś za młody — zauważył Cain.  
— Operacja plastyczna — odparł Santiago z uśmiechem.  
— Mówiłem ci, że jestem człowiekiem próżnym.  
— Jesteś także człowiekiem poszukiwanym.  
— Tylko przez Demokrację — stwierdził Santiago. —  
Pozwól mi zasugerować, że czasami dobrze jest oceniać człowieka według jego wrogów.

— W twoim przypadku jest to absolutna konieczność — powiedział szyderczo Cain. — Ponieważ spotkałem już twoich przyjaciół.

Santiago wzruszył ramionami.

— Pracuje się z tymi, którzy są pod ręką. Gdyby udało mi się zwerbować lepszych sojuszników niż Biedny Yorick, Altair z Altair i tym podobni, zapewniam cię, że pracowałbym z kimś innym. — Przerwał. — Prawdę mówiąc, dlatego właśnie tu jesteś.

— Mówiono mi.

— Jesteśmy bardzo do siebie podobni, Sebastianie. Popieramy te same wartości, walczymy przeciwko temu samemu uciskowi, nawet zgadzamy się na te same sposoby walki. Bardzo chciałbym cię mieć po swojej stronie.

— Przestałem być rewolucjonistą — zauważył Cain.

— Angażowałeś się w niewłaściwe sprawy.

— Sprawy były właściwe — odparł Cain. — To ludzie byli nieodpowiedni.

— Tak, to prawda.

— Co czyni cię lepszym od nich?

Santiago patrzył na niego przez moment.

— Mam propozycję — oznajmił w końcu. — Miałeś długi, ciężki dzień, Sebastianie. Zabiłeś człowieka, widziałeś rzeczy, których żaden członek Demokracji nigdy nie oglą-

dał i w końcu stanął twarzą w twarz z najbardziej poszukiwanym mężczyzną w galaktyce. Musisz być zmęczony i głodny.

— Chwilę milczał. — Ogłosimy zawieszenie broni na dziś wieczór. Zjemy kolację, poznamy się trochę lepiej, a jutro rano, kiedy poczujesz się lepiej, przyrzekam, że porozmawiamy o interesach — moich i twoich.

Cain popatrzył na niego beznamiętnie, potem kiwnął głową.

— Myślę jednak, że kolację sobie daruję — powiedział.

— Zjadłeś dzisiaj przez cały dzień tylko jedną kanapkę.

— Jesteś bardzo dobrze poinformowany — zauważył Cain.

— A ty martwisz się bez potrzeby — stwierdził Santiago.

— Odkąd wylądowałeś na Bezpiecznym Porcie, miałem wiele okazji, żeby cię zabić. Nie pozwoliłem ci przejść całej tej drogi tylko po to, żeby cię po prostu otruć.

— To ma sens — przyznał Cain.

Santiago poprowadził go do jadalni, która tak samo jak salon zawałona była książkami.

— Ufam, że będziesz trochę łaskawszy dla mojej spizami niż Ojciec William — powiedział Santiago. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. — Patrząc, w jaki sposób ten człowiek je, zastanawiam się, jak to się dzieje, że jeszcze żyje.

— Wielu ludzi dziwi się, że ty żyjesz — zauważył Cain, sadowiąc się naprzeciwko Santiago.

— Wielu ludzi sądzi również, że nie żyję — powiedział Santiago. Nagle zachichotał. — Nie uwierzyłybyś w niektóre z historii, które o mnie opowiadają, Sebastianie. W zeszłym roku trzykrotnie słyszałem, że zostałem zabity i że spu-

stoszyłem mały świątek o nazwie Silverblue na Galaktycznym Obrzeżu. Jeszcze inna opowieść głosiła, że dokonałem zamachu na jakiegoś dyplomatę na Canphorze VII.

— Masz także jedenaście stóp wzrostu i pomarańczowe włosy — zauważył ironicznie Cain.

— Naprawdę? — spytał z zainteresowaniem Santiago. — Tego akurat nie słyszałem. — Wzruszył ramionami. — Cóż, przypuszczam, że to cena za anonimowość.

— Raczej nie nazwałbym cię anonimowym — stwierdził Cain. — Setki ludzi poświęciły życie, żeby cię upolować.

— A ja jestem tutaj, cały i zdrowy. Powiedziałbym, że jest to dość dobra definicja życia w anonimowości.

— Jeśli rzeczywiście chcesz być anonimowy, dlaczego nie zdementujesz pewnych mitów i legend, jakie powstają na twój temat.

— Im więcej przestępstw Demokracja mi przypisuje, tym więcej żołnierzy odwraca swoją uwagę od ludzi, którzy nie mogą się sami bronić — odparł. — Ale rozmawiamy znowu o interesach, a obiecałem, że pozwolę ci odpocząć.

— Nic nie szkodzi — mruknął Cain.

— Będziemy mieli na to wystarczająco dużo czasu jutro — zauważył Santiago. — Może porozmawialibyśmy o literaturze?

Cain wzruszył ramionami.

— Jak sobie życzysz.

— Dobrze — powiedział Santiago, kiedy z kuchni wyłonił się dwaj młodzi mężczyźni i zaczęli podawać do stołu. — Czytałeś kiedyś coś Tanblixta?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Właściwie to nie jest on, ale ono — zauważył Santiago.

— Ściśle mówiąc Canphoryta i absolutnie znakomity poeta.

— Nigdy nie interesowałem się zbytnio poezją — stwierdził Cain.

— Wspaniała zupa — rzucił Santiago, nabierając pełną łyżkę. — Ojciec William zwykle wypija jej cały galon.

— Jest bardzo dobra — zgodził się Cain, kosztując.

— Przeczytałem też ponownie szereg powieści napisanych w czasie, kiedy wszyscy mieszkaliśmy jeszcze na starej Ziemi

— kontynuował Santiago. — Rozwinąłem w sobie szczególną czułość dla Dickensa.

— *David Copperfield* — zasugerował Cain.

— Ach! — Santiago uśmiechnął się. — Wiedziałem, że jesteś wykształconym człowiekiem.

— Przyznaję tylko, że to czytałem — odparł Cain. — Nie mówię, że mi się podobało.

— A więc pozwól, że polecę ci książkę, którą właśnie skończyłem: *Opowieść o dwóch miastach*.

— Może spróbuję przeczytać ją jutro — bąknął Cain. — Jeżeli nadal będziemy rozmawiać.

— Będziemy — zapewnił go Santiago. — Kilka minut temu zapytałeś, czym się różnię od tych wszystkich innych rewolucjonistów, dla których walczyłeś. Przedyskutujemy jutro szczegóły, ale jeśli chcesz już teraz dam ci pewną wskazówkę.

— Mów.

— Moja sprawa była przegrana, zanim w ogóle się do niej przyłączyłem — odpowiedział Santiago z zagadkowym uśmiechem.

Cain długo rozważał to zdanie; wciąż jeszcze rozmyślał nad nim, kiedy już wstał od stołu i z Królem Przestępców zagłębił się w dyskusji o literaturze.

### 23.

*Mieszka na ogromnej, czystej górze złota,  
Ma gorący umysł, serce jak z kamienia.  
Z tej samotni właśnie swe intrygi mota,  
Czerpiąc rozkosz wielką z imperium tworzenia.*

To nie była oczywiście góra złota, ale farma tak piękna, że Cain nigdy nie widział w swoim życiu piękniejszej.

Otoczona była około 1800 akrami gruntu, podzielonego starannie na pszenicę, zmutowaną kukurydzę, soję i łąki do wypasu żywego inwentarza. Teren przecinały strumienie, a tu i tam błyszczały wodne lustra stawów.

— Prawdę mówiąc, ziemia jest tu trochę za bardzo po-fałdowana, aby ta kraina mogła być naprawdę wydajna — zauważył Santiago, kiedy dwaj mężczyźni usiedli na werandzie, spoglądając na opadające i wznoszące się pola. — Faktem jest, że pośrednicy nieruchomości w całej galaktyce wiedzą, iż im ładniejszy jest krajobraz, tym ziemia cięższa do uprawy. Idealna kraina rolnicza jest płaska. — Westchnął. — Ale tylko raz rzuciłem okiem na to miejsce i natychmiast się w nim zakochałem.

— Jest kojące — zgodził się Cain.

— Pękało mi serce, kiedy karczowałem drzewa, które zarastały pole. Najpiękniejsze zostawiłem, żeby trwały nie-  
tknięte i obok nich wzniosłem swój dom. — Santiago wskazał  
na parę okolicznych drzew. — Czasem wiązę między nimi ha-  
mak — stwierdził. — Uwielbiam wylegiwać się na nim, popija-  
jąc drinka z lodem i czuć się jak prawdziwy ziemianin.

— Jesteś dziwnym rewolucjonistą — zauważył Cain.

— Biorę udział w dziwnej rewolucji — odrzekł Santiago.

— Dlaczego?

— Dlaczego jest dziwna? — spytał Santiago.

— Dlaczego w niej uczestniczysz?

— Ponieważ ktoś musi.

— To nie jest powód.

— To jest najlepszy powód z możliwych — powie-  
dział Santiago. — Podstawowym obowiązkiem władzy jest  
chcieć się unieśmiertelnić. Podstawowym obowiązkiem wol-  
nego człowieka jest buntować się przeciwko temu.

— Słyszałem już gdzieś przedtem tę śpiewkę — mruk-  
nął cierpko Cain.

— Tak, ale śpiewana była przez ludzi, którzy sami łąk-  
nęli władzy, ludzi, którzy pragnęli zmienić swoje światy albo  
nawet Demokrację.

— A ty tego nie chcesz?

— Zmienić Demokracji? — zapytał Santiago. Potrzą-  
snął głową. — W chwili, w której człowiek zdobywa władzę,  
upodabnia się do tych, przeciwko którym walczył. — Umilkł.  
— Poza tym, jestem realistą i wiem, że to się nie może udać.  
Demokracja ma więcej statków kosmicznych, niż ja mam lu-  
dzi. Będzie nadużywać swej władzy jeszcze tysiąclecie po two-  
jej i mojej śmierci.

— Dlaczego więc nie przestaniesz? — spytał Cain.

Santiago popatrzył na niego przez chwilę w zamyśleniu.

— Wiesz, Sebastianie? Mam wrażenie, że byłbyś szczęśliwszy, gdybym okazał się kulturalnym, starszym, siwym panem, który zwracałby się do każdego *per* „mój synu” i gdybym ci powiedział, że tuż za rogiem znajduje się kraina wszelkiej szczęśliwości. Cóż, tak nie jest. Nie ustaję w tej walce, ponieważ widzę zło, a alternatywą dla walki jest rezygnacja.

Cain nic nie odpowiedział.

— Jeśli chcesz filozoficznego wyjaśnienia, znajdziesz je 364 w mojej bibliotece — kontynuował Santiago. — Ja tłumaczę to sobie o wiele prościej.

— Jak?

Uśmiechnął się okrutnie.

— Jeśli ktoś mnie szturcha, oddaję mu.

— Masz rację — przyznał Cain. — Ale...

— Ale co?

— Zmęczyło mnie przegrywanie.

— W takim razie przyłącz się do mnie i walcz przy moim boku — stwierdził Santiago.

— Przyznałeś przecież, że nie możesz zwyciężyć.

— Ale to nie oznacza, że muszę przegrać. — Chwilę milczał.

— Do cholery, nie obaliłbym Demokracji, nawet gdybym mógł.

— Dlaczego nie?

— Po pierwsze, ponieważ jak powiedziałem, nie chcę stać się taki sam jak ci, którzy teraz są u władzy i przeciw którym walczę. A po drugie, dlatego że Demokracja nie jest z gruntu zła czy skorumpowana. Jest to po prostu rząd, który — jak wszystkie rządy — podejmuje decyzje, kierując się korzyścią jak największej liczby ludzi. Z punktu widzenia samej

władzy i jej wyborców, Demokracja jest instytucją moralną i etyczną. Bez wątpienia wydaje jej się, że ma prawo plądrować Granicę i odmawiać pewnych praw swoim obywatelom, i w końcu — jeśli to umacnia jej pozycję w galaktyce — może nawet ma rację. — Przerwał. — Z drugiej strony, ci z nas, którzy muszą znosić lwią część tych nadużyć, nie powinni stać z boku z założonymi rękami i czekać po prostu, aż wszystko samo dobrze się skończy. Możemy się temu przeciwstawiać.

— W jaki sposób? — spytał Cain, patrząc na niego z uwagą.

— Poprzez zrozumienie natury wroga — odparł Santiago.

— To, o czym mówimy, nie jest jakąś tam planetarną machiną wojskowa. To jest przecież Demokracja. Obejmuje ponad sto tysięcy światów i nie zmienia się ani w ciągu jednej nocy, ani w ciągu wielu lat. — Umilkł. — Ale jeśli będziemy nękać i dręczyć ją wystarczająco mocno, może zdołamy ją przekonać, iż uciskanie nas kosztuje zbyt wiele pieniędzy i ludzkiego życia.

Może dojdą do wniosku, że lepiej zostawić nas w spokoju. — Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. — Bo powiedz sam, czy naprawdę warci jesteśmy wydatków, które ponosi Demokracja, by nas sobie podporządkować? Jesteśmy tylko masą nic nie znaczących, zbyt rzadko zaludnionych światów granicznych.

— I zdeorganizowanych — zauważył Cain.

— To jest akurat część naszej siły.

Cain podniósł brwi.

— Patrzysz bez przekonania — zauważył Santiago.

— Nigdy nie sądziłem, że brak organizacji może być zaletą.



— Bo nigdy przedtem tak nie było. Ale gdybyśmy się zorganizowali, gdybyśmy mieli armię, siły powietrzne i sieć dowódców, Demokracja wiedziałaby, gdzie uderzyć i zostalibyśmy zdziesiątkowani w ciągu tygodnia. W gruncie rzeczy, natura wroga sprawia, iż niecelowe jest, by wyłonił się spośród nas jakiś lider i zebrał ludzi pod swoją komendę.

— Z wyjątkiem ciebie.

Santiago zaśmiał się.

— Nie jestem przywódcą — powiedział. — Jestem czymś w rodzaju piorunochronu. Napadam, kradnę i zabijam, a Demokracja załamuje ręce i wyznacza nagrody za Króla Przestępców. — Przez jego twarz przemknął uśmiech zadowolenia. — Gdyby naprawdę wiedzieli, dlaczego to robię, gdyby mieli choćby najmniejsze podejrzenie, na co idą zdobycze moich podbojów, przysłaliby na Granicę pięćdziesiąt milionów ludzi, którzy przeszukaliby każdy cal każdego świata, aby mnie znaleźć. — Zamilkł. — Umiem się dobrze ukrywać, ale nie aż tak dobrze. Wolę więc być raczej uważany za bezczelnego przestępcę, niż za rewolucjonistę, który odnosi sukcesy.

— A odnosisz sukcesy jako rewolucjonista? — spytał Cain.

— Byłeś w centrum medycznym — odparł Santiago. — Widziałeś co próbujemy robić.

— Pierwszy lepszy zespół lekarzy mógłby robić to samo.

— To prawda — przyznał Santiago. — Ale lekarze nie mogliby sfinansować takiej kliniki i z pewnością nie zdołaliby 366 przeszukać tych miejsc na Hyperionie, gdzie flota zamierza budować swoją bazę.

— Milcząca Annie mówiła, że to był wypadek.

— Czy także przypadkiem wymordowano tubylczą populację złożoną z milionów inteligentnych istot? — zapytał Santiago. — Ten scenariusz rozgrywany jest ciągle od nowa w różnych miejscach Wewnętrznej Granicy. Próbuję pokazać władzy, że istnieje lepszy sposób i nie udaje mi się. Może chociaż uda mi się ich przekonać, że istnieje sposób mniej bolesny dla tubylców.

— Czy to się udaje?

— To zależy od punktu widzenia — odrzekł Santiago. — Istnieją setki kolonii, które nie zostały zdziesiątkowane. Żyją dziesiątki tysięcy ludzi, których mogłoby nie być. Garstka obcych ras, które nienawidziły wszystkich Ludzi, nauczyła się, że niektórzy z nas są odrobinę mniej godni nienawiści niż inni.

— Uśmiechnął się. — To kwestia proporcji. Powiedziałbym, że się nam udaje. Demokracja prawdopodobnie powinna się zastanowić, dlaczego poświęciliśmy tak wiele istnień i tak wiele lat dla tak nikłych rezultatów.

W tej właśnie chwili jakiś trzydziestoparoletni mężczyzna z białym pasemkiem znaczącym czarne jak węgiel włosy wyłonił się z wnętrza domu i podszedł do nich.

— Tak? — spytał Santiago. — Co się dzieje?

Brunet spojrział z wahaniem na Caina.

— To jest Sebastian Cain — powiedział Santiago. — Póki jest moim gościem, nie mam przed nim żadnych sekretów.

— Zwrócił się do Caina. — Sebastianie, przedstawiam ci Jacinto, jednego z moich najbardziej zaufanych współpracowników.

Cain skinął głową na powitanie.

— Miło mi pana poznać, panie Cain — rzekł Jacinto, pochylając lekko głowę. Zwrócił się z powrotem do Santiago. — Winston Kchanga odmówił zwrócenia nam naszych towarów.

— Przykro mi to słyszeć — rzucił Santiago, marszcząc brwi. — Przedstawił jakiś powód?

Jacinto tylko prychnął z pogardą.

— Obawiam się, że pan Kchanga przestał już być dla nas użyteczny — stwierdził Santiago.

Jacinto pokiwał głową i poszedł z powrotem do domu.

— Przypuszczam, że powinienem ci wyjaśnić, o co chodzi.

— To nie jest moja sprawa — odparł Cain.

— Mam nadzieję, że niedługo już stanie się twoją sprawą. Winston Kchanga jest przemytnikiem działającym w systemie Corvus. Zawarł z nami pewną umowę, pieniądze zostały wymienione na towar, a on postanowił nie honorować swego zobowiązania. Nie wie, że jestem w całą sprawę wplątany, ale to nie ma żadnego znaczenia. — Westchnął. — Godne pożałowania.

— Nie ma potrzeby się nad nim użalać — powiedział Cain.

— Jest poszukiwany listem gończym.

— Może powinienem dodać — zauważył Santiago — iż uważam za godne pożałowania to, że jeden z ludzi, za których walczymy, próbował nas oszukać. Wcale nie jest mi przykro, że muszę wydać decyzję o jego śmierci. — Popatrzył ostro na Caina. — Toczę wojnę, a kiedy toczy się wojnę, wtedy muszą być i ofiary. Mnie interesuje głównie to, żeby nie ginęli niewinni ludzie.

— Cholera, z tego, co wiem, wynika, że nie ma zbyt wielu rzeczy, których Kchanga nie miałby na sumieniu — mruk-

nał Cain. Po czym dodał: — Jest też list na twojego przyjaciela Jacinto. Był znany jako Esteban Cordoba.

— Jacinto nie opuścił Bezpiecznego Portu od siedmiu lat — stwierdził Santiago. — Masz nadzwyczajną pamięć, Sebastianie.

— To dzięki temu białemu kosmykowi w jego włosach — odparł Cain. — Dość trudno go zapomnieć.

— Jacinto jest moim najbardziej zaufanym towarzyszem — powiedział Santiago. — Służy mi wiernie od prawie piętnastu lat. — Popatrzył znowu na Caina. — Co proponujesz z nim zrobić?

Cain wzruszył ramionami.

— Nic.

Szeroki uśmiech rozświetlił twarz Santiago.

— A więc przyłączasz się do nas?

— Tego nie powiedziałem. Mamy jeszcze dużo do omówienia.

Santiago wstał.

— Może moglibyśmy rozmawiać podczas spaceru? — zaproponował. — Jest zbyt piękny dzień, żeby tak po prostu siedzieć w cieniu.

— Jak sobie życzysz.

— Chodź więc ze mną. W trakcie naszej rozmowy pokażę ci farmę.

Cain zszedł za Santiago z werandy.

— Wędkujesz, Sebastianie? — spytał Santiago.

— Nie.

— Musisz kiedyś spróbować. Zarybiłem trzy z tych stawów.

— Może któregoś dnia dam się namówić.

— Powinieneś. To bardzo relaksuje. — Zaczął okręzać jeden ze stawów. — Pewnie masz do mnie jakieś pytania?

— Kilka — przytaknął Cain, idąc za nim. — Na początek powiedz, kiedy zdecydowałeś, że potrzebujesz osobistej ochrony?

— Sądzisz, że właśnie tę funkcję zarezerwowałem dla ciebie?

— Jeśli jeszcze o tym nie pomyślałeś, to lepiej się nad tym dobrze zastanów — stwierdził Cain. — Anioł może być już bardzo blisko.

— Mam kilku goryli.

— Nie byliby w stanie mnie powstrzymać, gdybym teraz zdecydował cię zabić.

— To prawda, ale wiem, że tego nie zrobisz. A Anioła nie zamierzam oprowadzać po farmie.

— Zakładam, że nie pomagałeś mu siebie odnaleźć.

Santiago zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

— Nie. Sam tu dotrze.

— I znajdzie cię.

— Anioł nie pokona Ojca Williama.

— Anioł zabijał już lepszych niż Ojciec William — powiedział Cain.

— Nikt nie jest lepszy od Ojca Williama — odrzekł Santiago.

— Jeśli nie chcesz, żebym został twoim gorylem, to jaką rolę mi przeznaczyłeś? — spytał Cain.

— Mam dużo szczęścia, Sebastianie — powiedział Santiago. — Ale nikt nie żyje wiecznie. Chciałbym wierzyć, że moja praca będzie kontynuowana, gdy odejdę. Ale nie mogę tak myśleć, póki nie zostawię po sobie godnych następców — ludzi takich jak Jacinto i Milcząca Annie, i ludzi takich jak ty.

Cain popatrzył na niego.

— Naprawdę sądzisz, że Anioł cię zabije?

Santiago pokręcił głową.

— Nie. Ale nie mogę werbować ludzi w sposób, w jaki może to robić wojsko. Muszę obserwować wszystkich uważnie, a potem próbować przekonać najlepszych z nich, żeby się do mnie przyłączyli.

— Dlaczego teraz?

— Minęło dużo czasu, zanim upewniłem się, że jesteś człowiekiem, którego potrzebuję.

— Ilu już prosiłeś?

— Robię to, odkąd tu przyleciałem. Jesteś ostatni, ale nie jesteś jedyny.

— Jak wielu z nich spotkałem?

— Więcej niż przypuszczasz — odparł Santiago. — Czy w przeciwnym razie dowiedziałbym się o tobie?

— Wiem, że Geronimo Gentry jest jednym z nich.

— Tak, to prawda.

— A co z Terwillingerem?

Santiago potrząsnął głową.

— Nie.

— Stern?

— Nie. — Nagle Santiago roześmiał się. — Przypuszczam, że będę musiał zatrudnić go, jeśli kiedykolwiek będę chciał utworzyć wojskową grupę z *fali*.

— Stern twierdzi, że spotkał cię, kiedy byłeś w więzieniu na Kałami III.

— Więc pewnie mówi prawdę.

— Nie pasujesz do jego opisu.

Santiago wzruszył ramionami.

— Jak już mówiłem, miałem operację plastyczną.

— Czy odjęła ci również cztery czy pięć cali wzrostu?

— To było wiele lat temu, a Stern od bardzo długiego czasu przebywa z *fali...* no i jest o wiele niższy niż ty. — Spojrzał z rozbawieniem. — A może sugerujesz, że jestem oszustem?

— Nie — odparł Cain. — Czy sugerujesz, że ja nim jestem?

— Chyba cię nie rozumiem.

— Spojrzałem ostatniej nocy w tę twoją *Opowieść o dwóch miastach* — powiedział Cain. — Przyszło mi do głowy, że Anioł nigdy nie widział żadnego z nas.

— I sądzisz, że chcę, abyś zagrał mnie, jeśli on przyleci?

— A chcesz?

— Jasne, że nie. Nie jestem tchórzem. — Przerwał. — Poza tym, jak ci się podobała ta książka?

— Poza tym, była bardzo nudna.

— Przykro mi.

— Miałem inne zmartwienia na głowie — powiedział Cain.

— Nadal mam.

— Jakie na przykład?

— Na przykład: czy mam ci wierzyć — odparł Cain. — Zabiłem bardzo wielu ludzi dla osób, którym wierzyłem... i które zawsze potem mnie rozczarowały.

— Nie proszę cię, żebyś dla mnie kogoś zabił, Sebastianie

— odparł Santiago. — To byłaby bezczelność. Proszę cię, byś pomógł mi chronić ludzi przed nadużyciami odległego rządu.

— Nie minęło jeszcze dziesięć minut, jak rozkazałeś Jacinto, żeby dla ciebie kogoś zabił — zauważył Cain.

— To było dla sprawy, nie dla mnie — odpowiedział Santiago. — Ponieważ nie mogę opierać moich czynów na prawnie usakcjonowanych środkach, muszę działać inaczej. Nie można pozwolić, żeby Winston Kchanga oszukiwał nas i unikał kary za swoje postęпки. Gdyby rozeszła się plotka, że nie dbamy o nasze interesy, po krótkim czasie oprócz Demokracji polowałyby na nas również cały świat przestępczy. — Obrócił się i ruszył wzdłuż pola, na którym rosły rzędy wielkiej, zmutowanej kukurydzy. — W czasie rewolucji nie ma miejsca dla wrażliwych. Na pewno to rozumiesz.

— Tak, rozumiem — przyznał Cain. — Ilu ludzi mam zabić? Santiago przystanął i napotkał oczy Caina wpatrzone prosto w niego.

— Nigdy nie poproszę cię, żebyś zabił kogokolwiek, kto nie zasłużył na śmierć.

— Robię to teraz i dobrze mi za to płacą.

— Jeśli pójdiesz ze mną, będziesz robił to dalej. Ale nie zapłacimy ci ani centa. Wyznaczą nagrodę za twoją głowę i nawet ludzie, w których interesie będziesz walczył, będą chcieli twojej śmierci. — Santiago uśmiechnął się krzywo. — Niewiele ci oferuję, prawda?

— Niewiele.

— Pozwól mi więc to trochę osłodzić — kontynuował Santiago. — Będziesz miał jedną korzyść, której nie masz obecnie.

— Jaką?

— Pewność, że robisz coś, co ma sens.

— Nie da się ukryć, że to dużo znaczy — stwierdził szczerze Cain.

— Ale nikt nie będzie o tym wiedział poza tobą — powiedział Santiago.



— I nikt nie musi.

Chwilę trwała cisza.

— O czym myślisz, Sebastianie?

— Że chciałbym ci wierzyć.

— A wierzysz?

— Jeszcze nie wiem. — Zatrzymał się w cieniu wysokich na dwanaście stóp kolb. — Co będzie, jeśli uznam, że ci nie wierzę?

— Jestem nieuzbrojony, a moi goryle zostali w domu.

— Bardziej interesuje mnie, co ty możesz mi zrobić.

— Będziemy się tym martwić, kiedy nadejdzie czas.

— Będziesz musiał mnie zabić — powiedział Cain. — Albo przynajmniej spróbować. Wiem, jak wyglądasz i gdzie można cię znaleźć.

— Jest jeszcze paru innych, którzy także to wiedzą — odparował Santiago. — Gdybyś jednak przyłączył się do mnie, niektóre rzeczy stałyby się o wiele prostsze.

Szli dalej. Santiago wymieniał swoje zarzuty wobec Demokracji, mówił Cainowi o działaniach, które przedsięwziął, o ludziach, których uratował i o tych, których uratować nie zdołał. Cain słuchał w zamyśleniu, od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie, czasem wtrącał jakąś uwagę.

— Ten głos rozsądku cię postarza — powiedział Santiago, kiedy przechodzili obok strumyka tworzącego naturalną granicę między dwoma polami. — Jest do wykonania strasznie dużo pracy, a my mamy mało pieniędzy i ludzi. Powiedz, co ty byś zrobił: wszystkimi siłami naprawiał szkody i łagodził nieszczęścia, czy też raczej starałbyś się im zapobiegać? Czy lepiej wkładać wszystko, co posiadamy, na leczenie ofiar Demokracji, a potem wysyłać je z powrotem tam, gdzie znowu będą ciemione? A może zostawić je w miejscach, gdzie doznały

cierpień i podjąć odpowiednie kroki, by tak samo nie musieli cierpieć ich sąsiedzi?

— Lepiej starać się, żeby się to ponownie nie zdarzało — powiedział Cain z mocą.

— Odpowiedź godna łowcy głów — odparł Santiago. — Na nieszczęście, łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Napad na Epsilon Eridani był nietypowy. Nie mamy odpowiedniej siły ognia, aby walczyć z wojskiem. — Westchnął. — A ono ciągle rzuca nam wyzwania... Robimy to, co możemy, tam, gdzie możemy. Ratujemy niektórych ludzi, kiedy jest to możliwe, karzemy skutecznie innych. Tyle że całą sprawę musimy finansować z takich przedsięwzięć i w towarzystwie takich współtowarzyszy, że przez porównanie, na przykład Swagman wygląda na całkiem porządnego faceta.

— Jak to się stało, że nie kazałeś zabić Whittakera Droma? — spytał Cain.

— Sokratesa?

— Tak.

— Ponieważ nie jestem jakimś tam mścicielem-widmem wymierzającym sprawiedliwość całemu złu tej galaktyki — odparł Santiago. — Wiedziałem, co zrobił na Sylarii, wcześniej nim dowiedziałem się, że dla niego walczyłeś. — Obrócił się do Caina i popatrzył na niego. — Ale to było dwadzieścia lat temu, a Sylaria znajduje się o tysiące lat świetlnych stąd. Sokrates był dla mnie użyteczny, więc go wykorzystałem, tak samo jak wykorzystuję setki ludzi o wiele gorszych od niego.

Zatrzymał się i oglądał olbrzymią kolbę kukurydzy.

— Jeszcze trzy tygodnie i będą gotowe do żniw — oznajmił. — Najwyżej cztery. Byłeś kiedyś na farmie w czasie żniw, Sebastianie?

Cain potrząsnął głową.

— Nie.

— Człowieka ogarnia wtedy uczucie, że natura jakoś spełnia się i odnawia — zauważył Santiago. — Nawet powietrze ładniej pachnie.

Cain uśmiechnął się.

— Może powinieneś zostać farmerem.

— Przypuszczam, że w pewnym sensie nim jestem.

— Chodziło mi o zawód — stwierdził Cain. — Nie mówiłem o hobby.

— Ani ja — odparł Santiago. — Święty Piotr był rybakim. Ja jestem siewcą rewolucji. — Wydawał się zadowolony z siebie. — To mi się nawet podoba.

Przeszli jeszcze jakieś ćwierć mili. Pola kukurydzy zmieniły się w długie łańcuchy soi, które — kiedy dotarli do szczytu wzgórza — zdawały się ginąć w nicości za horyzontem.

— Co jest tam w dole? — spytał Cain, wskazując na starannie wypielegnowaną polankę wewnątrz małej doliny. Stała tam drewniana ławka, zwrócona przodem do upstrzonego barwnymi roślinami wodnymi stawu.

— Moje najbardziej ulubione miejsce — powiedział Santiago, kierując go tam. — Często przychodzę tu poczytać albo po prostu porozmyślać. Można stąd nawet zobaczyć niektóre ze zwierząt, które hodujemy. — Wziął głęboki wdech, jak gdyby nawet powietrze smakowało lepiej na tej polanie. — Posadziłem trochę kwiatów, ale już przekwitły i zwiędły. Zakwitną ponownie dopiero za pięć czy sześć miesięcy.

— Nie tylko kwiaty tu posadziłeś — zauważył Cain, wskazując na dwa kopce ziemi.

— To byli dwaj najlepsi ludzie, jakich kiedykolwiek znałem — szepnął Santiago.

— Więc dlaczego pochowałeś ich w nieoznaczonych grobach?

— Nikt nigdy nie przychodzi tu z wyjątkiem mnie, a ja wiem, kim oni byli — odparł Santiago.

Cain wzruszył ramionami; po chwili kątem oka uchwycił jakieś nagłe poruszenie. Obrócił się i zobaczył idącego ku nim człowieka. Promień słońca padł na białe pasemko we włosach mężczyzny i Cain rozpoznał Jacinto.

— Pomyślałem, że właśnie tu was znajdę — stwierdził Jacinto, kiedy w końcu dotarł do nich. Zwrócił się do Caina: — Deszcz czy słońce, on zawsze spędza tutaj parę godzin dziennie.

— Ładne miejsce — przyznał Cain.

— Masz jakąś sprawę? — spytał Santiago.

Jacinto skinął głową.

— Ojciec William jest w domu.

— To niezwykle, że przyjechał na farmę. Przypuszczam, że chce po prostu sprawdzić, czy Sebastian mnie nie zabił.

— Powiedział, że przyjechał porozmawiać z panem Cainem

— rzekł Jacinto.

— Jest prawie tak delikatny jak trzęsienie ziemi — zauważył Santiago. Odstąpił od grobów. — Cóż, chyba nie powinniśmy kazać mu czekać.

Ruszył z powrotem ku domowi, a Cain i Jacinto szli o krok za nim.

— Czy zostanie pan z nami przez dłuższy czas, panie Cain? — spytał Jacinto.

— To możliwe — odparł Cain.

— Mam nadzieję. Potrzebujemy kogoś takiego jak pan.

— Potrzebujemy mniej więcej tysiąca ludzi takich jak on — dodał Santiago. — Jednakże cieszymy się, że mamy chociaż jednego.

— Czy mogę zadać panu pytanie, które wymaga pana opinii jako profesjonalisty, panie Cain? — zapytał Jacinto.

— Proszę.

— Co pan sądzi o naszym systemie ochrony?

— Jest do niczego.

Jacinto błysnął triumfalnym uśmiechem do Santiago.

— To właśnie próbuję mu powiedzieć od miesiący. — Obrócił się znowu do Caina. — Jak by go pan zmienił?

— Na początek potrójcie liczbę waszych ludzi i nakazcie im całodobowe czuwanie. I zwróćcie im uwagę, że są doskonale widoczni w ciemnościach.

— No widzisz? — Jacinto zapytał Santiago.

— Przerabialiśmy to wszystko już dawno temu — powiedział z irytacją Santiago. — Nie będę więźniem na swojej własnej planecie. — Przyspieszył kroku, a Cain i Jacinto poszli powoli za nim.

— Przepraszam, że mieszam pana w tę kłótnię — szepnął Jacinto. — Ale Santiago po prostu nie chce sprowadzić żadnych dodatkowych ludzi na Bezpieczny Port.

— Ilu ma tutaj? — spytał Cain.

— Ma pan na myśli planetę?

— Nie licząc lekarzy, laborantów i tym podobnych.

— Może z pięćdziesięciu.

— A na farmie?

— Piętnastu, wliczając mnie.

— To nie powstrzyma Anioła.

— Wiem. Miejmy nadzieję, że pana obecność wystarczy za wszystko inne.

— Nie powiedziałem, że zostaję.  
— W takim razie, może Ojciec William...  
— Wątpię. — Cain przerwał. — Tak przy okazji mogę ci dać jeszcze jedną zawodową radę.

— Jaka?

— Jeśli kiedykolwiek opuścisz Bezpieczny Port, pofar-  
buj sobie włosy.

Jacinto spojrział zaskoczony.

— Zrobię tak — odparł. — Dziękuję ci.

Dogonili Santiago w chwilę później i pozostałą odległość do domu trzech mężczyźni przebyli razem. Santiago pokazywał Cainowi różne rzeczy, obok których przechodzili. Na werandzie czekał na nich Ojciec William.

— Dzień dobry, Santiago — powiedział kaznodzieja. — Dzień dobry, Jacinto. — Zwrócił się do Caina: — Jeszcze raz witam, Sebastianie. Jak ci upływa czas tutaj?

— Interesująco — odparł Cain.

— Dobrze sobie radzisz ze swoim gospodarzem? — spytał ostro.

— Jak dotąd.

— Cieszę się, że to słyszę.

— Byłem pewien, że się ucieszysz.

— Jak rozumiem, chciałeś porozmawiać z Sebastianem — stwierdził Santiago. — Jeśli wolisz, zostawimy was samych.

— To nie będzie konieczne — odparł Ojciec William z zagadkowym uśmiechem. — Przyjechałem tutaj tylko po to, żeby dostarczyć wiadomość od pewnego nowo przybyłego.

— Anioła? — spytał Cain, a w jego głosie pojawiło się napięcie.

Santiago potrząsnął głową.

— Nie, jest jeszcze w systemie Cantrell.

— Od kogo w takim razie? — nalegał Cain.

— Dlaczego po prostu tego nie przeczytasz? — zapytał Ojciec William, wręczając mu złożony w czworo arkusik papieru z bardzo kosztownej papeterii.

Cain zauważył, że list napisany był eleganckim, prawie kaligraficznym charakterem pisma i przeczytał na głos:

*„Uroczy Swagman przesyła Pozdrowienia i Życzenia Szczęścia swojemu partnerowi, Sebastianowi Cainowi i zaprasza go serdecznie do tawerny, „Ziarno Jęczmienia” na parę drinków o czwartej dziś po południu, w którym to czasie odnowią oni swoją Przyjaźń, a także przedyskutują pewne Kwestie dotyczące Interesu”.*

Cain rzucił kartkę na stół.

— W porządku, to tylko Swagman — powiedział.

— Milcząca Annie naciskała mnie, żebym go zabił, kiedy była okazja — stwierdził Santiago. — Myślę, że chyba miała rację.

— Będzie jakaś odpowiedź? — spytał Ojciec William, ciągle się uśmiechając.

— Dostarczę ją osobiście — rzekł stanowczo Cain.

## 24.

*Morderca i rabuś, złodziej i watażka,  
Zakrada się chyłkiem i strzela zniemacka,  
Nigdy nie wybacza, nigdy też nie wątpi,  
Dopóki wróg żyje, nigdy nie ustąpi.*

Czarny Orfeusz nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego Uroczy Swagman, który mienił się jego przyjacielem, odmówił mu udzielenia jakichkolwiek informacji na temat Santiago; nie chciał nawet powiedzieć, jak tamten wygląda. Pieśniarz był pewien, że się znają (zresztą przypadkowo podsłuchał rozmowę dwu współpracowników Swagmana na ten temat), ale Santiago był jedyną osobą, o której ten zwykle bardzo rozmowny przestępca nie miał ochoty mówić.

Z punktu widzenia samego Swagmana sprawa wyglądała trochę inaczej. Nikt — ani Orfeusz, ani nawet Ojciec William czy Virtue MacKenzie — nie rozumiał, że pieniądze stanowiły dla niego tylko narzędzie, środek do celu, a celem tym była kolekcja dzieł obcej sztuki. Nie wyjawiał zamiarów, jakie miał wobec Santiago, nie z powodu lojalności czy przyjaźni dla niego, ale po prostu dlatego, że Santiago żywego i wolnego można było ograbić — gdyby tylko Swagman zdołał wymyślić jakiś sposób — natomiast Santiago schwytany i uwięziony znalazłby się w rękach Demokracji, podobnie jak wszystkie zgromadzone przez niego przedmioty.

Trzecim wyjściem była śmierć Santiago i tę właśnie kwestię Swagman chciał przedyskutować na Bezpiecznym Porcie.

Siedział w tawernie, popijając jakąś mrożoną mieszaninę egzotycznych likierów z Antares i Ranchero. W ręku trzymał małą układankę obcych. Obracał kawałki o osobliwych kształtach z wprawą, którą musiał nabyć podczas długich godzin praktyki i od czasu do czasu podnosił oczy, żeby popatrzeć na twarz i kształty Księżycowej Fali — w każdym razie na to, co mógł rozróżnić pod rozczochranymi włosami i obdartym ubraniem.

W końcu znudziło go układanie, schował grę do kieszonki pięknie skrojonej atlasowej koszuli, z innej kieszeni wyjął ma-



łą przezroczystą kostkę i przez następne kilka minut podziwiał tkwiącego w środku maleńkiego, niebiesko-białego, żukopodobnego owada inkrustowanego klejnotami.

Właśnie go odkładał, kiedy Cain i Ojciec William weszli do tawerny i zbliżyli się do niego.

— Dzień dobry, Sebastianie — powiedział Swagman z przyjaznym uśmiechem. — Widzę, że otrzymałeś moją wiadomość.

Cain usiadł naprzeciw niego.

— Skąd się tu, do cholery, wzięłeś?

— Za chwilę o tym porozmawiamy — odparł Swagman, podnosząc rękę. — Najpierw dam ci prezent dla twojego szofera.

— Przypuszczam, że pijesz do mnie — stwierdził z zabawieniem Ojciec William.

— Właśnie. Księżycowa Fala!

— Tak, proszę pana?

— Prezent dla Ojca Williama, jeśli możesz.

Dziewczyna weszła do kuchni i wyłoniła się za moment niosąc olbrzymią tacę, na której spoczywał jakiś wielki wodny ptak zapieczony w sosie śmietankowym. Wokół mięsa leżały kluski i ziemniaki.

— Gdzie mam to postawić, proszę pana? — spytała Księżycowa Fala.

— Jak najdalej od tego stolika. — Swagman uśmiechnął się przepaszająco do Ojca Williama, który zachłannie wpatrywał się w ptaka. — Chciałbym porozmawiać z moim partnerem w cztery oczy. Twoje usta niech zajmą się czymś innym.

— Nawet się nie mogę obrazić za to stwierdzenie, biorąc pod uwagę wspaniałość tego z gruntu chrześcijańskiego

gestu — powiedział Ojciec William, zacierając ręce i przechodząc do stolika, na którym Księżycowa Fala postawiła tacę. Dał znak dziewczynie. — Coś mi się zdaje, że będę potrzebował dzban piwa, żeby spłukać takie jedzenie, moje dziecko. — Zaczęła protestować, ale kaznodzieja podniósł palec, nakazując milczenie. — Pamiętam, o czym rozmawialiśmy ubiegłej nocy, ale Bóg rozumie, że ciało jest słabe. Zacznę moją dietę od następnego poniedziałku.

— Na pewno?

— Chyba, że Opatrzność temu przeszkodzi.

Spojrzała z powątpiewaniem, ale przyniosła mu piwo i w chwilę później Ojciec William spożywał energicznie kolację, obojętny na cały wszechświat.

— Dobrze cię znowu widzieć, Sebastianie — stwierdził Swagman, zniżając głos, tak żeby nie słyszał go nikt poza Cainem.

— Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego — odwzajemnił się Cain. — Co tu robisz?

— Po prostu jestem. Ty podążyłeś szlakiem przemytu, a Anioł szlakiem pieniędzy. — Wyszczrzył zęby. — Ja zdecydowałem się pójść najprostszą ze wszystkich dróg: szlakiem łowców głów.

— Jest wiele światów, na których przebywa większa liczba łowców głów niż tu.

— To prawda — przyznał Swagman. — Ale nie ma tam ciebie i Ojca Williama. Wczoraj zabiłeś człowieka, ale nie wyjechałeś... a kaznodzieja tkwi tutaj od przeszło miesiąca.

— Santiago nie ma tutaj — rzucił Cain.

— Jeszcze o niego nie spytałem, a ty już kłamiesz — powiedział Swagman. Zamilkł. — Jeśli go naprawdę nie ma na Bezpiecznym Porcie, Orfeusz musiał zarządzić tutaj zebra-

nie wszystkich zabójców, których kiedykolwiek opisał. Wiesz, że Anioł też tutaj zmierza, prawda?

— Jak blisko jest? — spytał Cain.

— Dwa albo trzy dni stąd — odparł Swagman. — I jest z nim jeszcze jeden z naszych wspólników.

— Virtue czy Terwillinger? — zapytał Cain.

— Nie słyszałeś? Terwillinger, niestety, odszedł do wielkiego salonu gier w niebie.

— Kto go zabił? Anioł?

Swagman potrząsnął głową.

— Dopadł go w końcu Człowiek-Góra Bates.

Cain wzruszył ramionami.

— Nie powinien był go oszukiwać.

— Wiedziałem, że to ci złamie serce — zachichotał Swagman. — Jeśli dzięki temu poczujesz się trochę lepiej, powiem ci, że Anioł pomścił jego śmierć.

Cain zmarszczył brwi.

— Nie było listu na Batesa.

— Anioł musi być chyba z natury niezwykle szlachetnym osobnikiem — zauważył Swagman. — Daje pracę niekompetentnym dziennikarzom i mści śmierć nieuczciwych karciarzy. — Badawczo spojrział na Caina spod półprzymkniętych powiek. — Spotkałeś może ostatnio jakichś obywateli równie dbałych o dobro publiczne?

— Kogo masz na myśli? — spytał obojętnie Cain

— Wiesz kogo — powiedział Swagman. — Czy już cię zwerbował na Wielką Krucjatę?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Jeżeli zamierzasz udawać głupca, Sebastianie, nie mamy po co rozmawiać. Wiem, że jest tutaj i nie mogę uwie-

rzyć, że znajdujesz się na tym świecie od dwu dni i go nie znalazłeś.

Cain patrzył na Swagmana przez długą chwilę.

— Znalazłem go — odezwał się w końcu.

— I oczywiście go nie zabiłeś.

— Nie zabiłem.

Swagman uśmiechnął się.

— Wiedziałem, że tego nie zrobisz. Yorick też to wiedział.

— Potrzęsnał głową. — A myślałem, że cały ten idealizm wywietrzał ci z głowy po tym, jak ci piekielnie dokopano podczas twojej zapalczywej młodości.

— Też tak sądziłem — przyznał Cain.

— Przyzwyczajenie jest drugą naturą — stwierdził Swagman. Dał znak Księżycowej Fali, która właśnie przyniosła Ojcu Williamowi miskę gorących biszkoptów. — Napełnij jeszcze raz, jeśli możesz.

— Tak, proszę pana. — Spojrzała na Caina. — Życzy pan sobie czegoś?

— Może być zmiana towarzystwa.

— Słucham?

Westchnął.

— Wezmę piwo.

— Już, proszę pana.

— Nie mogę sobie wyobrazić, co Orfeusz w niej dostrzegł — zauważył Swagman, podążając wzrokiem za Księżycową Falą wracającą za bar.

— Nie przypuszczam, żebyś mógł to zrozumieć — odparł Cain.

Swagman uśmiechnął się.

— Mam wrażenie, że właśnie zostałem obrażony.

Cain popatrzył na niego i nic nie powiedział.

— A tak przy okazji — kontynuował Swagman. — Nie widziałem Schusslera, kiedy szedłem do miasta.

— Schussler nie żyje.

— To było głupie, Sebastianie. Otrzymujesz zupełnie za darmo statek z wielkim bankiem interesujących informacji i niszczysz go? Cóż za rozrzutność.

— Dałem mu słowo.

— Szczerze wątpię, czy obietnica dana maszynie jest prawnie wiążąca.

— Tym bardziej należy jej dotrzymać — odrzekł Cain.

— Mówisz coraz bardziej jak on — zauważył z rozba-  
wieniem Swagman.

— Jak Schussler? — spytał Cain.

— Nie. Wiesz o kogo mi chodzi.

Zbliżyła się Księżycowa Fala z napojami.

— Chcę jeszcze raz podziękować za uratowanie życia, proszę pana — powiedziała do Caina.

— Uczyniłem to z radością — odparł.

— Mam nadzieję, że Milcząca Annie zdołała panu po-  
móc. Skinął głową.

Uśmiechnęła się.

— Cieszę się. To znaczy, że też zrobiłam dla pana coś  
dobrego.

— Tak, zrobiłaś.

Uśmiechnęła się jeszcze raz i poszła z powrotem do  
kuchni, żeby przyrządzić deser dla Ojca Williama.

— Bardzo wzruszające jest to towarzystwo wzajem-  
nej adoracji, jakie we dwoje tworzycie — zauważył Swagman.

— Skoro tak to odbierasz.

— Czy gdybym ja uratował jej życie, też zabrałaby mnie na spotkanie z Santiago?

— Bardzo w to wątpię.

— Do czego zobowiązałeś się wobec niego?

— Do niczego, jak na razie.

— Ale zobowiążesz się? — nalegał.

— Może.

Swagman skrzywił się i smutno pokręcił głową.

— To głupota. Po prostu głupota.

— A więc radzę ci, żebyś się trzymał od tej głupoty z daleka

— stwierdził oschle Cain.

— Ten facet ma największą kolekcję dzieł sztuki na Granicy! — powiedział z irytacją Swagman. — I chyba nie zależy na tym nikomu z wyjątkiem mnie!

— Santiago ma także największą kolekcję szczepionek przeciwko błękitnej gorączce — odparł cicho Cain.

— Kto, do cholery, przejmuje się jakimiś szczepionkami? — zapytał Swagman. — Mówimy o niepowtarzalnych obiektach sztuki!

— Mów o nich trochę spokojniej — stwierdził Ojciec William z drugiego końca sali. — Przeszkadzasz mi w trawieniu.

— Jesteś jeszcze większym kretyńcem niż tamten — powiedział Swagman, zniżając głos i kiwając głową ku Ojcu Williamowi. — On przynajmniej myśli, że służy Panu.

— Może tak jest — zauważył Cain.

— Istnieje niebezpieczeństwo, że staniesz się nudziarzem, Sebastianie — odpalił niechętnie Swagman. — Znalezienie nowego celu w życiu to jedna sprawa, a raptowne nawrócenie się na dawną wiarę — inna.

Cain popatrzył na niego przez stół.

— Więc czego, do cholery, chcesz, Swagman?

— Bardzo dobrze wiesz, czego chcę.

— Będziesz musiał zdobyć to sam.

— Nonsens. Jesteśmy wspólnikami.

— Nasza spółka zostaje rozwiązana.

— To nie zmienia postaci rzeczy — zauważył Swagman.

— Tak? No więc jak ty się na to zapatrujesz?

Swagman pochylił się do przodu.

— Santiago jest już martwy, Sebastianie. Jeśli ty go nie zabijesz, zrobi to Anioł. To jest jasne jak słońce. — Wyciągnął kostkę z kieszeni i zaczął znowu oglądać wysadzanego klejnotami żuka. — Dlaczego pozwolić mu wziąć nagrodę za zrobienie tego, co możesz sam zrobić w jednej chwili?

— Anioł jej nie dostanie.

Swagman uśmiechnął się.

— Kto go powstrzyma? Ojciec William? — Zachichotał.

— Wykończenie Anioła to nie to samo, co zabijanie pospolitych grzeszników. — Popatrzył na Caina ze stanowczą miną.

— A może sądzisz, że sam jesteś w stanie go powstrzymać?

— Możliwe.

Swagman prychnął pogardliwie.

— Nie masz szans.

— Nie miałem też szans przeciw Altair z Altair.

— To co innego — powiedział poważnie Swagman. — Ona to nie Anioł.

— Zaczyna mnie męczyć słuchanie o tym facecie — stwierdził Cain.

— Będiesz jeszcze bardziej zmęczony, kiedy wszyscy zaczną opowiadać, jak ten facet zabił Santiago.

— Santiago ukrywał się przez ostatnie trzy dziesięciolecia — zauważył Cain. — Robi na mnie wrażenie kogoś, kto umie o sobie zadbać.

— O czym ty mówisz? — zapytał Swagman. — Sądzisz, że jesteś pierwszym łowcą nagród, który postawił stopę na Bezpiecznym Porcie?

Cain potrząsnął głową.

— Rozjemca MacDougal był tutaj cztery miesiące temu. Zabił Billy'ego Trzy Oczy przed tą tawerną. — Zaśmiał się groźnie. — Ale oczywiście wiedziałeś o tym, prawda?

— Nie mówię o Rozjemcy MacDougalu! — wtrącił oschle Swagman. — Cholera, do tej pory przyleciało tu pół tuzina łowców głów. Dwu z nich nawet udało się dotrzeć na jego farmę.

— Jaką farmę? — spytał niewinnie Cain.

— Na tę cholerną farmę, na której otrzymałeś notatkę ode mnie — stwierdził Swagman, podnosząc do światła kostkę. — Powiedziałem ci, że mam swoich informatorów.

— Kiedy rozstawaliśmy się dwa tygodnie temu, nawet nie wiedziałeś, że Santiago mieszka na Bezpiecznym Porcie — zauważył Cain beznamiętnie.

— Do wczoraj — przyznał Swagman. — Ale wiedziałem, że mieszka na farmie i wiedziałem, że zakopał dwu łowców nagród, którzy go tam znaleźli gdzieś pod jednym z pól pszenicznych. Nie wiedziałem po prostu, gdzie się ta farma znajduje.

— Kto ci to powiedział?

— Ktoś, kto pracował dla niego i widział te groby.

— Oznacza to, że Santiago umie się bronić, prawda?



— Jeżeli jakiś zwyczajny łowca głów może dostać się tak blisko niego, to Aniołowi bez wątpienia uda się go zabić — powiedział Swagman i zawiesił na chwilę głos. — Chyba, że zrobisz to pierwszy.

— Nie zamierzam zabijać Santiago — odparł Cain.

Swagman uśmiechnął się.

— Pozwól, bym przedstawił ci moją propozycję.

— Przedstaw ją, a potem daj mi spokój.

— Połowa — powiedział Swagman z pewnym siebie uśmiechem od ucha do ucha.

— Połowa czego?

— Połowa kolekcji. Zatrzymasz całą nagrodę i podzielimy się pół na pół dziełami sztuki.

— Przestań bawić się tym cholernym żukiem i wynoś się stąd — krzyknął Cain.

— Zdajesz sobie sprawę, co ci oferuję? — spytał Swagman, wkładając kostkę z powrotem do kieszeni.

Cain kiwnął głową.

— A ty zdajesz sobie sprawę z tego, że ja mam gdzieś twoją propozycję?

— Jesteś szalony! — krzyknął Swagman. — Nawet odjąwszy cenę kawałków, które chcę zatrzymać, reszta jest na czarnym rynku warta miliony!

— Może po prostu nie zbieram dzieł sztuki.

— Podejmujesz bardzo głupią decyzję życiową, Sebastianie.

— Czy to pogróżka? — spytał Cain.

Swagman potrząsnął głową.

— Tylko przepowiednia.

— W porządku. Złożyłeś tę swoją ofertę, a ja ją odrzucam. Co teraz?

— Teraz poczekamy.

— Na co?

— Aż zmienisz zdanie.

— Nie mam zamiaru — burknął Cain.

— Więc poczekamy, aż Anioł zabije Santiago.

— On nie zawrze umowy z tobą.

— Chyba nie — zgodził się Swagman. — Ale nie będzie również wiedział, gdzie są te dzieła sztuki. Więc albo ja je znajdę, albo on.

— Po co w takim razie w ogóle ze mną rozmawiasz? — spytał Cain, zaintrygowany.

— Ponieważ jesteś rozsądnym facetem i już zawarliśmy umowę, niezależnie od tego, czy uznajesz ten fakt, czy nie. Anioł może inaczej zapatrywać się na konfiskowanie przeze mnie dzieł sztuki.

— Cóż, pozwól, że cię uspokoję — rzucił poważnie Cain. — Jeśli spróbujesz wziąć cokolwiek, co należy do Santiago żywego czy martwego, sam cię zabiję.

Swagman popatrzył na niego.

— Zrobił na tobie wrażenie, co? — stwierdził ubawiony.

— Słyszałeś, co powiedziałem.

Swagman westchnął.

— W takim razie, jak sędzę, muszę zameldować się w pensjonacie, w którym zatrzymał się Ojciec William i poczekać na dalszy rozwój wypadków.

— Jak padlinożerca czekający na kres agonii — zauważył z niechęcią Cain.

— Trafnie dobrane porównanie — zgodził się Swagman bez jakichkolwiek śladów złości. — Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, jak niewielu padlinożerców umiera z głodu, kiedy podążają za właściwymi drapieżnikami.

Cain zwrócił się do Ojca Williama, który skończył jeść drób i właśnie z wielkim entuzjazmem wylizywał resztki jedzenia.

— Skończyliśmy rozmawiać. Może chciałbyś się do nas przyłączyć? — odezwał się swoim normalnym głosem.

— Albo możesz dalej stwarzać pozory, że nie słuchasz — wtrącił Swagman.

Ojciec William popatrzył wokół po sali i uśmiechnął się.

— Ja jadłem. To Bóg słuchał. — Kaznodzieja przez kolejny moment wycierał kawałkiem biszkopta resztki sosu śmietankowego, potem podszedł do nich i usiadł. — Czy doprowadziliście do końca wasze sprawy?

— Zgodziliśmy się, że się nie zgadzamy — rzekł Swagman.

— Masz zamiar wyjechać stąd dzisiaj, czy też będziesz dalej kalał swoją nieśmiertelną duszę? — spytał Ojciec William.

— Och, myślę, że zostanę parę dni w okolicy. — Swagman nagle uśmiechnął się szeroko. — Przyjemne miejsce na wakacje.

— Chociaż bardzo cię lubię Swagman, jeśli podniesiesz rękę na Santiago, upoluję cię jak zwierzę — zauważył Ojciec William.

Swagman zachichotał.

— Musisz stanąć w kolejce. Chyba wszyscy starają się trafić w ten sam cel.

— Pamiętaj, że jest za ciebie nagroda.

— Ale nie za morderstwo — odpalił Swagman.

— Nie licz na to, iż dzięki temu uratujesz swój grzeszny skalp — powiedział kaznodzieja. — Nie będziesz pierw-

szą osobą, która zostanie zabita za stawianie oporu podczas aresztowania.

— Aresztowania? — powtórzył Swagman ze śmiechem. — Od kiedy stałeś się karzącym ramieniem sprawiedliwości?

— A myślisz, że kim są łowcy nagród? — zapytał Ojciec William. — Tu na Granicy właśnie my stanowimy prawo. Nie możemy utrzymać pokoju, ale możemy karać przestępców, a to po jakimś czasie uczy ludzi należytego szacunku dla prawa.

— Nigdy nie patrzyłem na to w taki sposób — przyznał Swagman. — Ale przypuszczam, że jest w tym trochę prawdy.

— Więcej niż sądzisz, Swagman — stwierdził Ojciec William poważnie. — Radzę, żebyś o tym pamiętał.

— Może lepiej powiedz to temu oto mojemu partnerowi — zauważył Swagman. — Zamyśla nad tym, jak by tu pomóc poszukiwanemu przestępcy.

— Wiesz — powiedział kaznodzieja — dla wszystkich zainteresowanych stron najlepiej by było, gdybyś po prostu wrócił na Goldenrod i dalej podziwiał swoje uzyskane w bezprawny sposób posąжки.

— Mam właśnie zamiar spróbować powiększyć moją kolekcję.

— Ciągle jeszcze żyjesz tylko dlatego, że jak dotąd Santiago nie kazał mi cię zabić — kontynuował Ojciec William. — To jest jego świat, a ty się tu wdarłeś.

— Spróbuję nie popaść w bezsenność, martwiąc się o to — stwierdził Swagman.

— Może jednak lepiej zacznij się martwić — zasugerował Cain.

— Zabij mnie, a Santiago będzie musiał zacząć się martwić — odciął się Swagman pewny swego. — Jeżeli nie połączę się każdego dnia z Goldenrod, jeden z robotów powie moim ludziom, gdzie jestem.

— Nie przejmą się tym — powiedział Cain.

— Przejmą się, kiedy robot poinformuje ich, że jest to świat Santiago. — Swagman wyszczerzył zęby. — Tak naprawdę nigdy nie myślałeś, że przylecę tutaj nie ubezpieczysz się przedtem w jakiś sposób, prawda?

— Widziałem twoich ludzi — odparł Ojciec William. — Nie są zbyt groźni.

— Ale nieustannie mówią — odparował Swagman. — Wiesz? Od lat głowię się, jak ich zmusić, żeby trzymali język za zębami. Teraz cieszę się, że nie udało mi się rozwiązać tego problemu.

Ojciec William i Cain wymienili spojrzenia.

— W porządku — rzekł kaznodzieja po chwili zastanowienia. — Możesz zostać.

— Jakże to gościnnie z twojej strony — stwierdził ironicznie Swagman.

— Ale jeśli nie będziesz na swoim statku pięć minut po tym, jak zabijemy Anioła, również staniesz się trupem. — Zamilkł.

— Santiago nie urodził się na Bezpiecznym Porcie i nie musi mieszkać tu przez całe swoje życie. Gdybym był tobą, pamiętałbym o tym, zanim zdecydowałbym się na jakiś nierozważny krok.

— No cóż — powiedział Swagman wstając. — Nienawidzę zbyt szybko kończyć picie, ale chyba raczej zatroszczę się o nocleg. — Zwrócił się do Caina: — Kiedy się tylko uspokoisz, mam nadzieję, że przemyślisz jeszcze raz moją propozycję.

— Nie byłem zachwycony, gdy usłyszałem ją po raz pierwszy — odparł Cain.

— Pomyśl jednak — nalegał Swagman, kierując się do drzwi. — Pięćdziesiąt procent.

— Wynoś się! — wykrzyknął Cain, odwracając za nim głowę.

Swagman wzruszył ramionami i wyszedł.

— Cóż, Sebastianie — zauważył Ojciec William, prostując się na krześle — muszę stwierdzić, że jestem z ciebie dumny.

— Tak?

— Spoglądałeś w oczy wrogowi i nawet nie mrugnąłeś.

— Swagman nie jest wrogiem — odparł Cain. — Jest jednym z ludzi, za których się modlisz.

— Orzeźwiająca myśl — przyznał Ojciec William z zawziętym uśmiechem.

— O ile gorsza jest Demokracja? — zadumał się Cain.

— Nie chodzi o to, o ile gorsza — odpowiedział kaznodzieja. — Chodzi o to, o ile potężniejsza i skutkiem tego, jak bardzo może nas skrzywdzić.

Cain skinął głową.

— Wiem.

— Nic nie jest już tak jasne jak wtedy, kiedy byłeś młody, prawda? — zachichotał Ojciec William.

— Nie, nie jest.

— Łatwo postanowić, że chce się zmienić świat — zauważył kaznodzieja. — Trudniej wybierać między większym i mniejszym złem.

Cain westchnął.

— Właśnie — zgodził się. Po chwili zapytał: — A jak ty go poznałeś?

— Santiago?

— Tak.

— Po prostu mnie zwerbował, tak jak zwerbował ciebie.

— Wiedziałaś, że jestem tu na jego życzenie, prawda? — spytał Cain.

Ojciec William kiwnął głową.

— Dowiedziałem się prawie rok temu, że chce ciebie zwerbować. — Znowu zachichotał. — Muszę ci się przyznać, że nabrałem wątpliwości, kiedy powiedziano mi, że spiknąłeś się ze Swagmanem i tą młodą kobietą.

— Virtue?

— Właśnie.

— To interesująca dama — powiedział Cain. — Czasami mam wrażenie, że wyjdzie na tym najlepiej z nas wszystkich.

— Wie, jak dostać to, czego chce, trzeba jej to przyznać — potwierdził kaznodzieja.

— A teraz jest z Aniołem — powiedział Cain.

— Ciekawe czy już wie, że ugania się za kimś większym, niż jej się dotąd wydawało — zastanowił się Ojciec William nie bez nuty satysfakcji w głosie.

— Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie? — zapytał Cain.

— Jeśli zdołam.

— Kto jest pochowany w tych dwu grobach?

— Dwu ludzi, którzy oddali swe życie za sprawę Santiago.

— Swagman mówił, że byli łowcami nagród.

— Kiedyś, dawno temu, może faktycznie nimi byli. Nie wiem.

— Powiedział mi, że szukali Santiago i dotarli na farmę, gdzie zostali zabici.

— Swagman się myli — odpowiedział stanowczo Ojciec William.

— Jakie były ich imiona?

Ojciec William wzruszył ramionami.

— A kto to może wiedzieć? Nikt tutaj nie używa prawdziwych nazwisk, zwłaszcza ci, którzy pracują dla Santiago. — Przerwał. — Dlaczego tak cię interesują?

— Zawsze niepokoją mnie sprawy, których nie rozumiem.

— W takim razie nie rozmawiaj ze Swagmanem. On nigdy nie widział tej farmy. Santiago nie miał powodu, żeby cię okłamywać. A Swagman nie miał powodu, żeby powiedzieć ci prawdę. — Pochylił się w stronę Caina. — Co ci zaproponował?

— Połowę kolekcji.

— Bardzo hojnie — zauważył kaznodzieja. — Zastanawiam się, w jaki sposób miał zamiar cię na tym oszukać?

— Jestem pewien, że dobrze to przemyślał — odrzekł łowca.

Z kuchni wyłoniła się Księżycowa Fala i podeszła do Ojca Williama.

— Kiedy pan sobie życzy deser? — spytała.

— Właśnie teraz — odparł Ojciec William. — Przyłóż się do mnie, Sebastianie?

— Chętnie — powiedział Cain.

— Jesteś pewien? — spytał Ojciec William ze zdumieniem.

— Mógłbym zjeść małe kawałeczki.



Ojciec William popatrzył na niego takim wzrokiem, jak gdyby za chwilę miało mu pęknąć serce. W końcu zwrócił się do Księżycowej Fali:

— Moje dziecko, jak dużo czasu zajmie ci upieczenie kolejnego ciasta czekoladowego?

— Mam w kuchni jeszcze trzy takie, proszę pana — odparła.

— To dobrze. Przynieś dwa. — Obrócił się do Caina. — W ten sposób żaden z nas nie odejdzie od stołu głodny.

— Księżycowa Fala ma rację, wiesz? — mruknął Cain.

— Co do czego?

— Zajesz się na śmierć.

— Potrzebuję energii do pracy, która mnie czeka — powiedział poważnie Ojciec William.

Cain wzruszył ramionami.

— To jest twoje życie.

— Nie, Sebastianie. Ono należy do Pana, tak jak twoje należy teraz do Santiago.

— Przypuszczasz, że przyłączę się do Santiago? — spytał Cain.

— Nie przypuszczam — odparował kaznodzieja. — Wiem.

— Przecież jeszcze nie zdecydowałem.

— Ależ zdecydowałeś, Sebastianie — stwierdził Ojciec William. — On dobiera swoich rekrutów bardzo starannie i nigdy się, jak dotąd, nie pomylił. Mogłeś go zabić ostatniej nocy albo dzisiejszego ranka i wziąć największą nagrodę, o jakiej kiedykolwiek śniłeś. Ale nie zrobiłeś tego. Mogłeś teraz zawrzeć umowę ze Swagmanem. Tego też nie uczyniłeś. — Je-393 go grzmiący głos brzmiał teraz niemal łagodnie. —

Twój umysł może być niezdecydowany, ale serce wie, po której stronie staniesz.

Cain przez chwilę spoglądał z zaskoczeniem.

— Przypuszczam, że chyba masz rację — wyszeptał w zamyśleniu.

## 25.

*Zagadka w zagadce, człowiek — sto sekretów,*

*Co rusz łamigłówka albo zwykłe baśnie.*

*Któż mógłby pozować do tego portretu?*

*On, Król Przestępców właśnie!*

Jak przebiegło twoje spotkanie ze Swagmanem? — spytał Santiago, podnosząc oczy znad książki, kiedy Cain usiadł koło niego na werandzie.

— Mniej więcej tak jak oczekiwałem.

Santiago zaśmiał się.

— Był tak banalny?

— Był tak wygłodniały — odparł Cain.

— Przy okazji — powiedział Santiago — wysłałem jednego z moich ludzi do domu Milczącej Annie po twoje rzeczy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

— W porządku — stwierdził Cain, siadając i spoglądając na wielki obszar farmy. — Zostaję.

— Cieszę się, że to słyszę.

— Wiedziałeś o tym od samego początku.

— Tak — przyznał Santiago. — Ale cieszę się, że ty też wreszcie sobie to uświadomiłeś. Będziemy mieć z ciebie pożytek, Sebastianie.

— Wcześniej niż sądzisz — odparł Cain. — Swagman mówi, że Anioł będzie tutaj za jakieś dwa, trzy dni. — Chwilę milczał. — Czy to nie jest właściwa pora, żeby polecieć gdzieś na akcję?

— Gdzieś bardzo daleko? — spytał Santiago z uśmiechem.

— Im dalej, tym lepiej.

— Dziękuję ci za tę sugestię, Sebastianie, ale Bezpieczny Port jest moim domem. Nie zamierzam uciekać stąd przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa.

— To ma być pierwsza oznaka? — zapytał Cain. — Swagman powiedział mi, że pół tuzina łowców nagród dotarło tu do tej pory.

— Mylił się — powiedział Santiago. — Naprawdę było ich czterech i jeśli nie uciekłem przed nimi, nie ucieknę też przed Aniołem. Poza tym — dodał — chciałbyś służyć człowiekowi, który czmycha przed wrogiem?

— Nie przypuszczam, żeby to było gorsze, niż służenie człowiekowi, który pragnie śmierci — stwierdził z powagą Cain.

— Wierz mi, Sebastianie, trzeba czegoś więcej niż Anioła, żeby zabić Santiago. — Wpatrzył się w horyzont i westchnął z zadowoleniem. — Popatrz na ten zachód słońca. Czyż nie jest przepiękny?

— Jeżeli tak twierdzisz.

— Tak. — Santiago obrócił się do Caina. — Przypuszczam, że Swagman zatrzymał się na Bezpiecznym Porcie?

Cain pokiwał głową.

Santiago roześmiał się.

— Nie jest tak inspirujący jak zachód słońca, ale zupełnie dobrze umie przewidywać przyszłość. Co ci proponował za zabicie mnie jako dodatek do nagrody: trzecią część swoich zysków?

— Połowę.

Santiago spojrział wesoło.

— No cóż, dlaczego nie? I tak nie ma zamiaru ci zapłacić.

— Wiem — odparł Cain. Przerwał na moment. — W jakich okolicznościach spotkałeś go po raz pierwszy?

— Podejrzewam, że w ten sam sposób, co ty. Miał coś, czego potrzebowałem.

— Co takiego?

— Pewne kontakty handlowe.

— I chciał w zamian za te kontakty przyłączyć się do twojej organizacji?

Santiago potrząsnął głową.

— To był mój pomysł.

— Po co? — spytał zaintrygowany Cain.

— Niektórzy ludzie patrzą na wszystko wokół siebie spragnionym i wygłodniałym wzrokiem — odpowiedział Santiago. — Jeżeli chcesz w ogóle mieć z nimi jakiegokolwiek kontakty, powinieneś umieścić ich w takim miejscu, żebyś mógł nie spuszczać z nich oka.

Cain uśmiechnął się ironicznie.

— Jeśli to jest kryterium, według którego zatrudniasz ludzi, jestem zaskoczony, że nie masz stałej dziesięciomilionowej armii.

— Gdyby było dziesięć milionów Swagmanów, którzy mogliby pomóc mi osiągnąć moje cele, bądź pewien, że zatrudniłbym ich wszystkich — zauważył Santiago. — Jednak-

że z doświadczenia wiem, że niemal tak samo rzadko można spotkać przestępców dobrze znających swój fach jak prawdziwych bohaterów. — Nagle podniósł się. — Ale gdzie się podziały moje dobre maniere? Już wieczór, a ty jeszcze nie jałeś. Chodźmy do domu.

Cain wstał i wszedł za nim do środka.

— Naprawdę nie jestem głodny. — I dodał: — Oglądanie Ojca Williama pałaszującego dziesięcioletniego ptaka może zabić apetyt u każdego. — Skrzywił się. — Dziwię się, że zostawia kości.

Santiago roześmiał się.

— Znam to uczucie. — Zamilkł. — Cóż, przynajmniej pozwól, że ci zaproponuję drinka, aby uczcić fakt twojego przyłączenia się do nas.

Cain skinął głową na zgodę, poszli więc do salonu, gdzie na tapczanie siedział Jacinto czytający jedną z książek Santiago.

— Czy słyszałeś nowinę? — spytał go Santiago. — Sebastian zdecydował się zostać z nami.

— Wiem — odrzekł Jacinto. — Ojciec William powiedział mi o tym, kiedy wysadził go parę minut temu.

Santiago przeszedł do barku i obejrzał szeregi butelek.

— Coś specjalnego — mruknął na wpół do siebie. — Nagle jego twarz rozjaśniła się. — Ach! Właśnie to! — Wyciągnął rękę i złapał butelkę. — Korbelliańska whisky — stwierdził, pokazując nalepkę. — Produkowana jest z rośliny bardzo podobnej do jęczmienia, którą uprawia się na zboczach gór. Nic się nie może z nią równać w smaku. — Napełnił trzy szklanki i zaczął je podawać. — Co o niej sądzisz? — spytał, kiedy Cain wypił próbny łyk.

— Niezwykła — odpowiedział. Wypił jeszcze trochę. — Ma intrygujący smak. Sądzę, że mi smakuje.

— Sądysz, że ci smakuje? — zaśmiał się Santiago. — Sebastianie, jesteś chyba zbyt długo na Granicy. Nie pamiętasz już, co dobre.

Cain dokończył i poprosił o dolewkę.

— Potrzebuję więcej, żeby zadecydować.

— Proszę bardzo — powiedział Santiago, napełniając jeszcze raz jego szklankę. — Ale bądź ostrożny. Można się nią szybko upić.

Cain skończył drugiego drinka i nagle, po raz pierwszy od lat, poczuł lekki zawrót głowy.

— Rozumiem, co masz na myśli. — Wyszczrzył zęby. — Chyba przestanę, póki jeszcze jestem trzeźwy.

— To dobrze — zauważył Santiago. — Podobają mi się ludzie, którzy znają swoje możliwości.

— Może powinieneś zasugerować to Ojcu Williamowi następnym razem, kiedy przyjdzie na obiad — stwierdził z szyderstwem w głosie Jacinto.

— Dopóki jego brzuch ma ochotę trawić, nie widzę u tego człowieka żadnych ograniczeń — odparł Santiago i wzruszył ramionami. — Cóż, przypuszczam, że łowcy nagród, podobnie jak rewolucjoniści, istnieją we wszystkich możliwych kształtach i rozmiarach.

— Zresztą, tusza daje mu zapewne dodatkową przewagę — zauważył Jacinto.

— Tak? — spytał z zainteresowaniem Cain. — Jaką?

— Wydaje się zbyt powolny i gruby, żeby mógł wyciągnąć te swoje laserowe pistolety. To powoduje u wroga zbytnią pewność siebie.

— Wątpię — stwierdził Cain. — Musisz pamiętać, że każdego, kto tutaj nosi broń, trudno pokonać. A w naszym zawodzie nikt nie może sobie pozwolić na zbytnią pewność siebie.

— Prawdopodobnie dlatego ciągle jeszcze chodzisz po ziemi, podczas gdy tak wielu ludzi, którzy inaczej zapatrywali się na te sprawy, już nie żyje — powiedział Santiago.

— Być może.

— Są jeszcze jakieś inne powody? — spytał Jacinto.

— Kiedy byłem bardzo młody, nie bałem się śmierci i to dawało mi przewagę nad ludźmi, z którymi walczyłem. Po latach stwierdziłem, że nie ma nic szlachetnego ani uzasadnionego w śmierci; że może przydarzyć się każdemu, i stałem się bardzo ostrożny. To daje mi innego rodzaju przewagę.

— Z której korzystasz z nadzwyczajnymi wynikami — wtrącił Santiago. — Przypuszczam, że myślą tak wszyscy dobrzy łowcy nagród.

— Nie ma złych łowców — odparł Cain. — Są tylko dobrzy i martwi.

— Dlaczego właściwie zostałeś łowcą głów? — spytał Jacinto.

— Gdy stwierdziłem, że nie uda mi się jednym zuchwałym posunięciem sprawić, by nasza galaktyka stała się lepsza, postanowiłem spróbować osiągnąć to kroczek po kroczku.

— Żałujesz tego czasem?

— Tak naprawdę, to nie — odrzekł Cain. — Wszyscy dokonujemy wyborów. Większość z nas dostaje to, na co zasługuje. — Przerwał i zamyślił się. — Kiedyś, lata temu, myślałem, że któregoś dnia zechcę osiąść na jakimś świecie i założyć rodzinę. Zawsze miałem zamiar poszukać odpowiedniej kobiety, kiedy będę miał trochę wolnego czasu. — Uśmiechnął

się smutno. — Nigdy nawet nie zacząłem się rozglądać za taką. — Wzruszył ramionami. — Przypuszczam, że nie znaczyło to dla mnie zbyt wiele.

Santiago pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Ja zawsze bardzo chciałem mieć dzieci. Dorastałem jako jedynak i w dodatku bardzo samotny. Zawsze marzyłem, że mój własny dom będzie wypełniony dziećmi. — Drwiąco zachichotał. — A teraz w moim domu mieszkają zabójcy i szmuglerzy. Co jakiś czas zastanawiam się nad tym, jak, do cholery, to się mogło zdarzyć.

— Ludzie nie przylatują na Granicę, żeby zakładać rodziny — stwierdził Cain.

— Chyba, że są osadnikami — przytaknął Santiago. — Albo sklepikarzami. Albo kupcami. Albo farmerami. — Westchnął z ironią. — Albo kimkolwiek innym niż my.

— To i tak dobrze — powiedział Jacinto. — Żaden z nas nie spodziewa się, że umrze ze starości.

Santiago zwrócił się do Caina.

— Krytycyzm wobec siebie samego nie należy do mocnych stron Jacinto. — Uśmiechnął się. — A co do umierania ze starości, ja osobiście mam zamiar żyć wiecznie. Jest jeszcze zbyt wiele do zrobienia, aby myśleć o śmierci.

— A więc nie ryzykuj głupio — odparował Cain.

— Mówisz znowu o Aniele?

Cain kiwnął głową.

Santiago westchnął.

— Jak mogę prosić moich zwolenników, żeby ryzykowali życie, jeśli sam nie mam zamiaru się narażać? — zapytał z powagą.

— Chodziło mi o to, żebyś nie ryzykował „głupio” — zauważył Cain.



— On nie zdoła uciec przed Aniołem — stwierdził Jacinto.

Cain obrócił się do niego.

— Myślałem, że chciałeś wzmocnić jego bezpieczeństwo.

— Nadal chcę — odparł Jacinto. — Ale jeśli rozejdzie się plotka, że Santiago łatwo daje się zastraszyć, wtedy wszyscy, z którymi robimy interesy, sami zaczną otaczać się zabójcami i nie będą chcieli honorować swoich zobowiązań finansowych.

— Przerwał. — Nie robimy interesów z ludźmi szanowanymi, panie Cain. Tylko strach przed Santiago trzyma ich w ryzach, nic więcej.

— Prawdopodobnie jednak dobrze się stało, że nie masz dzieci — zauważył z ironią Cain. — Opinia najstraszniejszego człowieka na Granicy jest jedynym — i niezbyt dużym posagiem — jaki mógłbyś im pozostawić.

— Na pewno miałbym większą satysfakcję, gdybym mógł poprowadzić moją armię do zwycięskiej bitwy — zamyslił się Santiago. — Niestety, nie w takiej wojnie walczymy, a moje wojska składają się w przeważającej części z wykolejeńców, zatwardziałych grzeszników i przestępców, którzy nawet nie wiedzą, że wciągnięto ich w finansowanie rewolucji.

— Jak często masz z nimi bezpośrednie kontakty? — spytał Cain.

— Bardzo rzadko. Sprawy toczą się bez przeszkód, kiedy tamci myślą, że jestem jakimś półbogiem, z którym nie można się spotkać. Jeszcze teraz w ludzkiej duszy pozostała znaczna doza pierwotnego mistycyzmu. Głupotą byłoby tego nie wykorzystać. — Przerwał. — Nie oznacza to, że nie interesuję się osobiście moją akcją. Spędzam poza Bezpiecznym Por-

tem mniej więcej połowę roku, ale ponieważ tylko garstka ludzi wie, jak wyglądam, zazwyczaj mogę sprawdzać swoich pracowników, nie narażając się na niebezpieczeństwo zdementowania.

— Czy nikt nigdy cię nie podejrzewał?

— Powiedzmy, że nikt nigdy nie był na tyle zuchwały, aby rozpowiadać o swoich podejrzaniach co do mojej twarzy — odparł Santiago z uśmiechem zadowolenia. — Od czasu do czasu pozwalam im się dowiedzieć, zawsze grubo po czasie, że znajdowali się w mojej obecności i nie zdawali sobie z tego sprawy. Pomaga to przekonać ich, że jestem jakąś tajemniczą szychą świata przestępczego, przed którą niczego nie można ukryć. — Umilkł. — Powiedziałbym, że takie działania pochłaniają większą część czasu, który spędzam poza Bezpiecznym Portem.

— A co z resztą czasu?

— Mam na głowie naprawdę mnóstwo spraw — odparł Santiago. — Poszukuję potencjalnych rekrutów, szukam słabych punktów w systemie obronnym Demokracji i próbuję ustalić, na jakich światach najlepiej możemy wykorzystać nasze pieniądze i ludzi.

— Zawsze bez ich wiedzy, oczywiście — dodał Jacinto. — Gdybyśmy pozwolili im dowiedzieć się prawdy, wtedy Demokracja odkryłaby, kim naprawdę jest Santiago.

— A więc to jest jak partia szachów — stwierdził Cain. — Ruch i przeciwruch.

— Być może. Nie wiem — rzucił Santiago. — Nigdy nie grałem w szachy.

— Nigdy? — spytał ostro Cain.

— Nigdy — odparł Santiago. — Powiedziałeś to takim tonem, jakbym popełnił jakiś grzech.

— Przepraszam — powiedział Cain. — Po prostu mnie to zaskoczyło.

— Nie obraziłem się — stwierdził Santiago. Przerwał. — Jesteś pewien, że nie masz ochoty na obiad?

— Może za małą chwilkę.

— Jeszcze jednego drinka?

Cain potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję. Chciałbym ci zadać jedno pytanie.

— Proszę bardzo.

— Czy byłeś kiedykolwiek w więzieniu na Kalami III?

— Myślę, że jeśli polecisz tam i sprawdzisz akta, nie znajdziesz żadnej wzmianki na mój temat — odpowiedział Santiago.

— Nie o to pytałem.

Nagle Santiago uśmiechnął się szeroko.

— Wiem już! — oznajmił. — Stern ci powiedział, że grywałem z nim w szachy!

— A grałeś?

— Mówiłem ci już: nie gram w szachy.

— Dlaczego miałby kłamać?

— Może po to, aby ubarwić jakąś historyjkę, za którą dostał znaczną sumę pieniędzy.

— Ale byłeś uwięziony na Kalami III?

— Przez bardzo krótki okres. Pamiętam, że Stern przechwalał się mówiąc o ludziach, których oszukał i zabił, i ciągle snuł imponujące plany, jak to zamierza zostać władcą jakiegoś systemu słonecznego. Wydaje mi się, że graliśmy w karty, aż do chwili gdy jeden z więziennych dozorców nie odebrał nam talii.

— Santiago uśmiechnął się. — Jeśli dobrze pamiętam, Stern ciągle jest mi dłużny pieniądze za tamtą grę. — Spojrzał na Caina. — Masz jeszcze jakieś pytania?

— Tylko dwa.

— Pytaj.

— Kiedy tylko uporamy się z Aniołem, nie będzie sensu trzymać mnie tutaj na Bezpiecznym Porcie. Czym mam się zająć po tym wszystkim?

— Prawdę mówiąc, jeszcze nie postanowiłem — odparł Santiago. — Mamy trochę problemów z wydobyciem naszych pieniędzy od spadkobierców świętej pamięci pana Kchangi. Im szybciej to uczynimy, tym szybciej będziemy mogli nabyć żywność i przetransportować ją na Bortai.

— Bortai? — spytał Cain.

— Górniczy światek, jakieś dwieście lat świetlnych od Belladonny — wyjaśnił Santiago. — Pozostały im zapasy tylko na trzy tygodnie.

— Nie mogą sprowadzić więcej?

Santiago potrząsnął głową.

— Demokracja odcięła im fundusze.

— Dlaczego?

— Ponieważ mniej więcej miesiąc temu sprzedali dwieście ton rudy żelaza — może tygodniowe wydobywanie, ale na pewno nie więcej — paru obcym światom, które kiedyś odmówiły włączenia się w sieć gospodarczą Demokracji. W taki właśnie sposób Demokracja poinformowała ich, żeby nigdy więcej tego nie robili. — Wyraz okrucieństwa pojawił się na jego twarzy.

— Tymczasem ponad stu pięćdziesięciorgu dzieciom kolonistów grozi śmierć głodowa.

— Kiedy wyjeżdżam?

— Jeśli ostatecznie zdecydujemy, że wyjeżdżasz, nastąpiłoby to mniej więcej za tydzień — odpowiedział Santiago. — Najpierw damy współpracownikom Kchangi możliwość dotrzymania zobowiązań płatniczych.

— To zabierze masę czasu — zauważył Cain. — Kiedy wydobędę pieniądze, będziesz musiał jeszcze zakupić jedzenie i je dostarczyć.

— Wiem. Ale jak powiedziałem ci wcześniej, takie działania się opłacają. Warto poczekać, ponieważ może znajdziemy kogoś w organizacji Kchangi, z kim uda nam się w przyszłości rozpocząć współpracę. A jeżeli nie — dodał z taką samą srogością — pokażemy im, co to znaczy być niesolidnym wobec Santiago.

— Skąd weźmiemy wtedy pieniądze?

— Co myślisz, Jacinto? — spytał Santiago.

— Zeta Piscium — odpowiedział natychmiast Jacinto.

Santiago potrząsnął głową.

— Zbyt ryzykowne.

— Co jest na Zeta Piscium? — spytał Cain.

Santiago obserwował łowcę przez długą chwilę, potem zaczął mówić:

— Wojsko posiada wielką bazę na czwartej planecie systemu Zeta Piscium. Mamy gdzieś masę raportów na ten temat. — Chwilę milczał. — Zapasy dla całego sektora Quartermaine przechodzą przez biura Zety Piscium.

— I?

— Gdyby ktoś zniszczył ich system komputerowy, minęłyby miesiące, zanim zdołaliby uaktualnić dane — wyjaśnił Jacinto. — Nie mogliby wysłać ładunków broni ani wydrukować list płac, udałoby im się nabyć niewiele więcej niż filiżankę kawy, póki ich wydział księgowy nie ustaliłby, ile pieniędzy

jest na różnych kontaktach. — Przerwał. — Musielibyśmy oczywiście oskarżyć o to kogoś innego. Santiago jest przestępcą, ale nie może być uważany za rewolucjonistę.

— Wszyscy wiedzą, że jest odpowiedzialny za napad na Epsilon Eridani — zauważył Cain.

— Ale to była kradzież złota — wyjaśnił Jacinto z uśmiechem. — Ludzie uznali po prostu, że pomysłowy przestępca okradł flotę ze sztabek. — Zamilkł. — Ale cóż można zyskać niszcząc sieć komputerową na Zeta Piscium IV? Dlatego szef nie może być powiązany z tą sprawą.

— Jaki jest ich system zabezpieczeń? — spytał Cain.

— Bardzo zwarty — odparł Santiago. — Dlatego też nie będziemy próbować, mimo zapędu Jacinta.

— Ale pomyśl o ludziach, których uratujemy, jeśli zdołamy unieruchomić ich system choćby na dwa miesiące! — nalegał Jacinto.

Santiago popatrzył na niego.

— Wysoko sobie cenię twoje argumenty, ale twoje dobre serce nie usprawiedliwia braku rozwagi. Prawdopodobieństwo przegranej jest niezwykle wysokie.

— Ale...

— Nie możemy przyłączać się do każdej bitwy — przerwał Santiago. — Naszym celem jest dokonywanie znaczących działań nie po to, aby romantycznie ginąć. Rozmowę na ten temat uważam za skończoną. — Obrócił się z powrotem do Caina. — Miałeś drugie pytanie, Sebastianie?

— W porównaniu z tą, to mało ważna sprawa — powiedział przeprasząc Cain.

— To dobrze. Nie zniósłbym więcej ważnych pytań przed obiadem. Co chciałbyś wiedzieć?

— Ciekawi mnie ta blizna na twojej ręce.

Santiago podniósł prawą rękę, patrząc na szramę w kształcie litery „S”.

— Żałuję, że nie jest z nią związana żadna bohaterska historia. Po prostu zraniłem się haczykiem od wędki, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem.

— Wygląda jak rana od noża.

Santiago roześmiał się.

— Niestety, to nic tak podniecającego. Czy możemy teraz udać się do jadalni?

— Nie zadałem jeszcze mojego pytania.

Santiago spojrział skonsternowany.

— Przepraszam. A czego właściwie chcesz się dowiedzieć na jej temat?

— Dlaczego nadal ją masz? — spytał Cain. — To jedyna chyba twoja fizyczna cecha, która jest znana poza Bezpiecznym Portem. Dlaczego nie pozbyłeś się jej, kiedy robiłeś sobie operację plastyczną?

Santiago patrzył przez następną chwilę na swoją rękę, potem roześmiał się.

— Niech mnie kule biją, jeśli wiem dlaczego — odparł. — Mam ją od tak dawna, że nawet nie przyszło mi do głowy wspomnieć o niej chirurgowi.

— Mam nadzieję, że nosisz rękawiczki, kiedy podróżujesz pod przybranym nazwiskiem — powiedział Cain.

— Zawsze je noszę. Urodziłem się przecież w Demokracji. Moje odciski palców znajdują się w niektórych kartotekach. Z tego samego powodu noszę szkła kontaktowe, które zmieniają wzór siatkówki oka. — Wstał. — Pójdziemy już jeść?

Przeszli do jadalni i resztę wieczora spędzili omawiając najbliższe i dalekosiężne plany Santiago. Cain udał się na spacer z kolejną książką: poezjami Tanblixta, które uznał za

zupełnie niezrozumiałe. Następnego dnia kontynuował swoją rozmowę z Santiago i Jacinto i z każdą godziną rósł jego entuzjazm dla ich przedsięwzięć.

I właśnie wtedy, tuż przed zachodem słońca, na progu domu Santiago stanęła Virtue MacKenzie i rozmowy o rewolucyjnej przyszłości zostały nagle przerwane.

## 26.

*Świeci jaśniej niż zorza,  
Potężniejszy niż dom,  
Głębszy wiele od morza,  
Krzykiem głuszy burz grom.*

Wyobraź sobie — powiedział Santiago, prostując się w wygodnym fotelu i popijając brandy. — Dowiedziałem się, że był świętym patronem ciemniejszej hiszpańskiej szlachty. Przywoływali jego imię przed każdą bitwą z Maurami, zanim nie wygnali ich ze swego kraju.

— Santiago oznacza po hiszpańsku Świętego Jakuba, w języku używanym na starej Ziemi — dodał Jacinto, który siedział obok Caina na wielkim wygodnym tapczanie.

— Nie jest aż tak biblijne jak twoje imię, Sebastianie — zauważył Santiago.

— Drażni mnie moje drugie imię — stwierdził Cain. — Nigdy nie powinienem był pozwolić, żeby Orfeusz je poznał. Wtedy nie musiałbym znosić tego nonsensownego Czy-



żyka. — Westchnął. — Cóż, przeważnie nie wybieramy sobie naszych imion.

— Ale przecież wszyscy tutaj właśnie tak postępują — zauważył Santiago.

— To są pseudonimy na użytek Granicy — odparł Cain. — Nie są oficjalne.

— Jeśli przebywasz cały czas na Granicy, stają się wystarczająco oficjalne.

Nagle system bezpieczeństwa ostrzegł ich, że zbliża się jakiś pojazd. Został zidentyfikowany jako auto Milczącej Annie. W chwilę później drzwi się rozsunęły i pojawiła się w progu szczupła postać kobiety.

— Annie, co za miła niespodzianka! — powiedział Santiago wstając. — Czemu zawdzięczamy twoją niespodziewaną wizytę?

— Jest mały problem — odparła Milcząca Annie, wciąż stojąc w drzwiach.

— Tak?

Annie skinęła głową.

— Siedzi w aucie.

— Kto to jest? — spytał Santiago.

— Virtue MacKenzie.

Cain wstał i podszedł do okna, zobaczył Virtue siedzącą z zawiązanymi oczyma w pojeździe, obrócił się do Santiago i kiwnął głową.

— Gdzie jest Anioł? — zapytał.

— Na orbicie — odparła Milcząca Annie.

— Dlaczego ją tutaj sprowadziłaś? — spytał Santiago, bardziej zaintrygowany niż zdenerwowany.

— Wylądowała parę godzin temu, znalazła Ojca Williama i powiedziała mu, że ma wiadomość dla ciebie od Anioła.

— Milcząca Annie umilkła. — Uznał, że jeśli dziewczyna mówi prawdę, to zapewne zechcesz usłyszeć, o co chodzi...

— A jeśli kłamie? — spytał Cain.

— W takim razie nigdy nie opuści żywa Bezpiecznego Portu — obiecała zimno Milcząca Annie.

— Dlaczego Ojciec William nie przywiózł jej sam? — spytał Santiago.

— Chce być w mieście, kiedy Anioł wyląduje — odparła Milcząca Annie.

— To jest duża planeta — stwierdził Cain. — Czemu sądzi, że Anioł wyląduje w pobliżu miasta? Ja bym tak nie postąpił.

— A jednak tak zrobiłeś — odparowała Milcząca Annie.

— Ale ja nie wiedziałem, że Santiago jest tutaj — zauważył Cain.

— Wyląduje tam, ponieważ ma go na mnie naprowadzić Virtue, a ona tam właśnie wylądowała — wtrącił Santiago.

Cain pomyślał parę sekund i skinął głową.

— Chyba masz rację — przyznał.

— Cóż, nie kaźmy czekać naszemu gościowi. — Santiago przekazał swoją decyzję Milczącej Annie: — Wprowadź ją.

Milcząca Annie wyszła i wróciła po chwili z Virtue Mackenzie. Zdjęto jej już opaskę i dziennikarka rozglądała się ciekawie po pokoju, obserwując bacznie każdego z trzech stojących przed nią mężczyzn.

— Cześć, Cain — powiedziała w końcu.

Cain kiwnął głową na powitanie, ale nic nie powiedział.

Spojrzała na Jacinto.

— Jesteś zbyt młody — stwierdziła stanowczo i zwróciła się do Santiago: — To musisz być ty.

Santiago uśmiechnął się i uklonił.

— Do usług. Usiądziesz?

— Mogę najpierw dostać drinka? — spytała.

— Oczywiście. Czego się napijesz?

— Jakiegoś alkoholu.

Santiago zwrócił się do Milczącej Annie:

— Czy zechciałabyś pełnić honory pani domu, bardzo cię proszę?

Skinęła głową i przeszła do baru, podczas gdy Santiago zaprowadził Virtue do krzesła.

— Musisz być bardzo odważną kobietą, jeśli przyjechałaś tu sama — zauważył Santiago, siadając naprzeciwko niej.

— Po wspólnej podróży z Aniołem nic nie może już człowieka przestraszyć — odparła szczerze.

— Jedną chwileczkę — wtrącił Cain, podchodząc i biorąc od dziewczyny torbę.

— Hej! — warknęła, łapiąc za nią. Ale było za późno. — Co za pomysł?

— Dostarczasz wiadomość — powiedział Cain, wkładając rękę do środka i wyjmując mały dyktafon. — Nie robisz wywiadu. — Podniósł torbę do światła, badając ją przez minutę, potem zwrócił w jej stronę wyciągniętą rękę. — Gdzie to jest?

— Nie wiem, o czym mówisz — odparła Virtue.

— Z pewnością masz gdzieś schowaną kamerę. Oddaj ją sama albo rozbioreę cię do naga. Nie ma trzeciego wyjścia.

— Nie muszę tego znosić!

Cain zwrócił się do Jacinta.

— Trzymaj ją — rozkazał.

Jacinto zrobił krok w kierunku dziewczyny i Virtue podniosła rękę.

— W porządku — poddała się. — Chwileczkę. — Przez moment szperała w kurtce, po czym wyszarpnęła jakiś wielki guzik, podając go Cainowi. — Zadowolony? — zapytała.

— Chwilowo — odparł, wyłączając niewiarygodnie zminiaturyzowaną kamerę holograficzną i wkładając ją do kieszeni.

— Chcę ją z powrotem, gdy będę wychodzić — dodała.

— Zobaczmy — stwierdził złowieszczo Jacinto.

— Co znaczy to „zobaczmy”, cholera jasna? — rzuciła w podnieceniach Virtue. — Nie przyjechałam tu we wrogich zamiarach!

— Jako posłaniec, a nie jako dziennikarka — odwzajemnił się Jacinto.

— Masz moje słowo, że twoja własność do ciebie wróci — wtrącił Santiago. — A teraz — dodał, patrząc wymownie na Caina i Jacinta — jeśli moi przyjaciele zechcą przyhamować swój temperament, pragnąłbym się dowiedzieć, co masz mi do powiedzenia.

— Anioł chce spotkać się z tobą jutro rano — oznajmiła.

— Jasne, że chce — przytaknęła Milcząca Annie, wracając z drinkiem dla Virtue.

— Anioł chce mnie zabić — powiedział Santiago. — Dlaczego miałbym sam wystawiać mu się na cel?

— Zamierza to z tobą przedyskutować — stwierdziła Virtue.

Santiago spojrział z rozbawieniem.

— Chce przedyskutować zabicie mnie?

— Raczej przedyskutować niezabijanie ciebie — odparła.

— Temat bliski i drogi mojemu sercu — rzekł Santiago. — Co ma zamiar mi zaoferować?

— Że ma ochotę trochę zarobić — powiedziała Virtue.

— Ile?

— To jest do ustalenia — odparła Virtue. — Wydaje mi się, że mówił coś o dwóch czy trzech milionach kredytów.

— Nagroda za mnie wynosi dwadzieścia milionów kredytów. Dlaczego miałyby zadowolić się tak małą sumą?

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

— Nikt nie wie, jak wyglądasz. Może wydać ciało pierwszego lepszego włóczęgi, którego znajdzie, stwierdzić, że to jesteś ty i też dostanie nagrodę.

— Jestem pewien, że próbowano już tego przedtem — zauważył Santiago.

— Prawdopodobnie — zgodziła się. — Ale ludzie nie mają zwyczaju kłócić się z Aniołem.

Santiago obserwował ją w zamyśleniu.

— Gdzie chce się ze mną spotkać?

— W tawernie zwanej „Ziarno Jęczmienia”.

— W jaki sposób się o niej dowiedział?

— Tam właśnie Rozjemca MacDougal zabił Billy’ego Trzy Oczy — odparła Virtue. — To jest jedyne miejsce na Bezpiecznym Porcie, o którym Anioł słyszał.

— O której godzinie chce się ze mną zobaczyć? — spytał Santiago.

— O dziewiątej.

— Poważnie zastanawiasz się, czy tam pójść? — zapytał Cain.

— Jeszcze nie zdecydowałem — stwierdził Santiago.

— To przecież pułapka — rzucił Cain.

— Możliwe — przyznał Santiago.

— Więc nie idź. Każ mu przyjechać tutaj.

— Mam pozwolić, żeby zabił dziesięciu czy dwunastu moich ludzi? — zapytał Santiago z uśmiechem. — Nie mogę ich poświęcić.

— To oni nie mogą poświęcić ciebie! — warknął Cain.

— Możliwe, że Anioł naprawdę chce zawrzeć umowę — powiedział Santiago. — W końcu dwadzieścia trzy miliony kredytów jest lepsze niż dwadzieścia.

Cain potrząsnął energicznie głową.

— Musiałyby udać się do Demokracji, żeby je dostać, a ich nie będzie obchodziło, czy facet jest Aniołem czy też samym Bogiem. Zażądają dowodów.

— Kiedy chce otrzymać odpowiedź? — spytał Santiago Virtue.

— Mam się z nim skontaktować dziś wieczorem i przekazać mu twoją decyzję — odparła.

— A jeśli uznam, że nie mam ochoty na to spotkanie?

Wzruszyła ramionami.

— Wtedy, jak przypuszczam, przyjedzie tu i cię zabije.

— A co ty dostaniesz za to wszystko? — spytał Jacinto.

— Jestem dziennikarką. Dostanę temat. — Zwróciła się do Santiago: — Może zechciałbyś mi udzielić wywiadu?

Santiago zachichotał.

— Podziwiam twoje poświęcenie.

— No to jak, zgadzasz się? — nalegała.

Potrząsnął głową.

— Obawiam się, że nie.

— Jeśli udzielisz mi wywiadu, powiem Aniołowi, że cię tu nie ma.

— Ona kłamie — zauważył Cain.

— Odpieprz się, Cain! — warknęła Virtue z irytacją.

Cain obrócił się do niej.

— Daj spokój — stwierdził. — Okłamiesz Anioła, a w chwili, w której wywiad się ukaze, on będzie cię szukał tak długo, aż cię znajdzie.

— Nigdy mnie nie znajdzie.

— Jeśli umiał odszukać Santiago, tym łatwiej znajdzie dziennikarkę, która zdobędzie rozgłos.

— Zaryzykuję — odparła Virtue.

— Nie wierzę. Dostaniesz wywiad, a potem opowiesz Aniołowi o wszystkim, co tu widziałaś i słyszałaś.

Santiago odchrząknął.

— Idę na mały spacer — oznajmił — i zastanowię się nad propozycją Anioła. Przekażę ci moją odpowiedź, kiedy wrócę.

— Pójdę z tobą — poprosiła Milcząca Annie.

Potrząsnął głową.

— Wolę iść sam. Wrócę za kilka minut.

Wyszedł.

— Dokąd on poszedł? — spytał Cain.

— W dolinę — odpowiedział Jacinto. — Zawsze tam chodzi, kiedy chce coś przemyśleć.

— O czym tu do diabła myśleć? — krzyknął Cain rozeźlony. — Nie może przecież poważnie rozważać pójścia tam!

Jacinto wzruszył ramionami.

— Kto wie.

Cain podszedł do Virtue, chwycił ją za nadgarstek i gwałtownie pociągnął, żeby wstała.

— Chodź — powiedział.

— Gdzie ją zabierasz? — zapytał Jacinto.

— Na werandę — odparł Cain. — Chcę z nią porozmawiać.

— Możesz porozmawiać z nią tutaj.

— Nie, chcę na osobności — rzucił Cain.

Jacinto popatrzył na niego przez chwilę i skinął głową.

Cain przeprowadził Virtue przez jadalnię i wyszedł z nią na werandę, po czym wydał polecenie drzwiom, żeby się za nimi zamknęły.

— Nie mogę w to uwierzyć! — krzyknęła, a jej twarz zarumieniła się z podniecenia. — W końcu go znalazłam!

— A teraz masz zamiar go zabić — zauważył Cain.

— Ja nikogo nie zabijam — odpaliła. — Jestem tylko dziennikarką. — Spojrzała na niego ostro. — Ale skoro już o tym mówimy, dlaczego właściwie go nie zabiłeś?

— Sytuacja się zmieniła — wyjaśnił Cain. — Przyłączyłem się do niego.

— Ile ci płaci? — spytała zaciekawiona.

— Nic.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Zamierzasz wciskać mi cały ten kit, który słyszałam od Milczącej Annie o tym, jakim to on jest wielkim człowiekiem?

— Nie wiem, czy jest wielkim człowiekiem — powiedział powoli Cain. — Ale na pewno jest dobrym człowiekiem. W każdym razie lepszym, niż ja będę kiedykolwiek. I działa dla dobrej sprawy.

— Cholera, jest przestępcą.

— Jest dobry — powtórzył Cain. — Nie pozwolę, żeby go zabito.

— A co z umową, którą zawarliśmy na Pegazie? — spytała Virtue.

— Złamałaś ją, kiedy przyłączyłaś się do Anioła.

— Nie otrzymałeś wiadomości od Terwillingera?



— Dostałem ją. Została wysłana przed czy po tym, jak Człowiek-Góra Bates go zabił? — spytał z ironią.

Przeszyła go spojrzeniem pełnym nienawiści.

— Nie kłamię!

— W takim razie dlaczego załatwiasz zlecenia Anioła? — odciął się.

— Ponieważ przekonał Dimitri Sokola, żeby tamten unieważnił rozkaz zabicia mnie.

— A kiedy przestaniesz dla niego pracować? Kiedy zabije Santiago?

— On chce tylko z nim porozmawiać.

— To, co mówisz, to kupa gówna i dobrze o tym wiesz — zdenerwował się Cain. — To pułapka.

— Co za różnica? — zapytała prowokująco Virtue. — Mnie interesuje wywiad, a ty sprzedałeś się wrogowi. Jeśli nie dostanę wywiadu, zrobię reportaż o jego śmierci.

— Santiago nie jest wrogiem — stwierdził Cain. — Wrogiem jest Anioł.

— Anioł jest łowcą nagród, który działa zgodnie z prawem Demokracji. A Santiago to przestępca, który je ciągle łamie.

— To wcale nie jest takie proste — zaprotestował Cain.

— A właśnie, że jest! — oznajmiła z tryumfem. — Przyłączyłeś się do gangu zabójców i bandytów, a mnie karcisz za współpracę z człowiekiem, który próbuje wydać jego przywódcę organom sprawiedliwości.

— Nigdy w twoim życiu nie obchodziła cię sprawiedliwość! — odburknął Cain. — Obchodzi cię jedynie ten twój pieprzony reportaż i jeszcze parę innych równie egoistycznych rzeczy.

— Nie wymądrzaj się tak, Cain! — odszczeknęła mu. — Wiem, ilu ludzi zabiłeś. Nie tylko jako łowca nagród. Na Sylarii nadal można dostać nagrodę za twoją głowę. — Umilkła, żeby złapać oddech. — Oboje wyruszyliśmy, aby znaleźć Santiago. Ty miałeś zamiar go zabić, a ja chciałam nagrać reportaż. Nie moja wina, że zapomniałeś, po co tu przyjechałeś!

— Dam ci temat, z którym możesz wrócić — rzucił dzioko. — Nakręć film o śmierci Anioła.

Obrzuciła go piorunującym spojrzeniem, a potem wyraz jej twarzy nagle się zmienił i cała złość jakby się wysączyła.

— Nie jesteś w stanie go zabić — stwierdziła, kręcąc powoli głową. — Nie poświęcaj niepotrzebnie życia.

— Nie pozwolę mu zabić Santiago — powiedział stanowczo Cain.

— Nikt nie zdoła powstrzymać Anioła, wierz mi, Cain. Widziałam go w akcji. Wiem, co potrafi. — Powstrzymała dreszcz. — To nie jest normalny człowiek!

Cain popatrzył na nią.

— Jeśli tak się go boisz, to dlaczego dla niego pracujesz?

— Ponieważ pomoże mi zdobyć to, czego pragnę — odparła z lekkim uśmiechem. — I ponieważ tak się go boję. — Popatrzyła Cainowi prosto w oczy. — Masz jeszcze coś do powiedzenia, czy mogę dostać następnego drinka?

Popatrzył na nią, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnował i pozwolił jej wrócić do środka. Jacinto i Milcząca Annie nadal czekali na nich w salonie.

— Czy Santiago już wraca? — spytał Jacinto.

— Nie widziałem go — odparł Cain. — A właściwie co on tam robi: rozmawia z umarłymi?

— To jest dowcip w bardzo złym guście, drogi Sebastiane — zauważył Jacinto. — Mężczyźni leżący w tych mogiłach byli wspaniałymi ludźmi.

— W takim razie może mu trochę przemówią do rozumu

— powiedział Cain. — Chyba się domyśla, że to pułapka.

— On o tym wie.

— Więc o co chodzi?

Jacinto westchnął ze znużeniem.

— Miliardy ludzi w Demokracji przeraża samo jego imię, a tu, na Granicy są dziesiątki tysięcy takich, którzy niemal je czczą. Uważają go za jedyną osobę zdolną obronić ich przed ciemnymi siłami. On i wyrosły wokół niego mit to wszystko, co posiadają. Santiago nie może pozwolić, by pomyśleli, iż ich zdradza i tchórzy.

— Nie jest tchórzostwem unikanie walki, w której nie można zwyciężyć — stwierdził Cain.

— Kiedy ktoś się nazywa Santiago, to jest to tchórzostwem.

— Nikt się nigdy nie dowie.

Jacinto skinął głową w kierunku Virtue.

— Musielibyśmy zabić ją, aby powstrzymać tę historię przed rozpowszechnieniem, a on tego nie robi.

— Więc ty i ja będziemy musieli go powstrzymać — powiedział stanowczo Cain.

— W jaki sposób?

— Siłą, jeśli to będzie konieczne.

— Zrobisz to, co ci Santiago każe — wtrąciła się Milcząca Annie. — On jest tu szefem.

— Próbowujemy właśnie utrzymać go na tym stanowisku — odparł Cain.

Popatrzyła na niego surowo.

— Kiedy zobowiązujesz się podążać za kimś, musisz poddać się całkowicie jego władzy. Nie można być posłusznym tylko tym rozkazom, które się aprobuje, a lekceważyć pozostałe.

— Zamilkła dla wzmocnienia efektu. — Cokolwiek postanowi, musimy to zaakceptować.

— Zobaczmy — powiedział wymijająco Cain.

Nastąpiło nieprzyjemne milczenie, które wreszcie przerwała

Virtue:

— Czy ktoś ma coś przeciwko temu, że naleję sobie drinka? Jacinto zrobił ręką ruch w stronę barku.

— Obsłuż się.

Podeszła i zaczęła oglądać rzędy butelek.

— Całkiem nieźle zaopatrzone barek — powiedziała z uznaniem. Szczególną uwagę zwróciła na jedną z butelek.

— Korbellańska whisky! — wykrzyknęła. — Nie miałam jej w ustach od jakichś, hm, pięciu lat! — Nalała sobie szklankę i nie zwlekając pociągnęła spory łyk. — Ma dobry gust, trzeba mu to przyznać.

— Uważam to za wielki komplement. — Od drzwi jadalni dobiegł ich głos. Wszyscy się odwrócili; w progu stał Santiago.

— No i? — spytał Cain, wpatrując się w niego.

Santiago przeszedł przez pokój do miejsca, gdzie ze szklanką w ręku stała Virtue.

— Powiedz Aniołowi, że przyjdę — rzucił.

— Jesteś szalony! — wybuchnął Cain.

— Taka jest moja decyzja. — Zwrócił się ponownie do Virtue — Proszę, poczekaj na zewnątrz. Każę jednemu z

moich ludzi odwieźć cię do miasta. Przykro mi, ale muszę mu nakazać, żeby znowu zawiązał ci oczy.

— A moja kamera?

— Zostanie ci zwrócona, zaraz jak zniszczymy nagranie. Virtue skończyła whisky i ruszyła do drzwi.

— Wiesz? Cain ma rację. Nie powinienes tam iść.

— Dziękuję za radę — odparł Santiago, żegnając ją. Wzruszyła ramionami i opuściła dom. Santiago kiwnął głową na Milczącą Annie, która wyszła, aby znaleźć kierowcę.

— Nie możesz tego zrobić! — krzyknął Cain.

Santiago uśmiechnął się.

— Wydajesz mi rozkazy, Sebastianie?

— Virtue też sugerowała, że to pułapka — kontynuował Cain. — Jeżeli naprawdę musisz wystawiać się na niebezpieczeństwo kontaktu z Aniołem, zostań w domu, ściągnij go tutaj, a my spróbujemy cię ochronić.

— Po co? — spytał Santiago. — Jeśli rzeczywiście chce mnie zabić, dlaczego mam mu pozwolić, żeby zabił również was wszystkich? Wiesz, że jest wystarczająco dobry, aby tego dokonać.

— Mnie nie zabije — obiecał Cain.

— Nawet ciebie, Sebastianie — powiedział Santiago. — Przestudiowałem jego życiorys tak samo dokładnie jak twój. Nie chcę cię urazić, ale nie masz przeciwko niemu żadnych szans.

— Jeżeli to prawda, w takim razie ty masz ich jeszcze mniej — stwierdził Cain, kiedy Milcząca Annie przyłączyła się z powrotem do nich.

— Jeżeli rzeczywiście pragnie mnie zabić — zauważył Santiago. — Może faktycznie chce tylko porozmawiać.

— Masz dwie szanse: niewielką albo żadną.

— W takim razie — odparł cicho Santiago — niech się dowie, że trudniej mnie zabić, niż mu się wydaje.

— Jesteś tylko człowiekiem z krwi i kości, jak wszyscy inni — rzekł Cain.

— Nie, Sebastianie — powiedział Santiago. — Mogę być człowiekiem z krwi i kości, ale jestem również mitem, tajemnicą i legendą.

— To ci za wiele nie pomoże.

— Przedtem pomagało.

— Nigdy dotąd nie stawiałś twarzą w twarz z kimś takim jak Anioł — zauważył Cain.

— Jeśli ma nadejść koniec, chcę mieć już to wszystko za sobą — odparł Santiago. — Jestem zadowolony z życia, które prowadziłem. Widziałem setki światów, miałem przyjemność posiadania tej farmy i — w jakimś małym zakresie — zrobiłem coś ważnego. — Wzruszył ramionami, a na jego wargach 418 pojawił się wymuszony uśmiech. — Ale zanim zaczniecie pisać dla mnie epitafium, chciałbym, żeby przynajmniej jedno z was wzięło pod uwagę i taką ewentualność, że jednak przeżyję.

— Błagam, żebyś tam nie szedł — powiedział poważnie Jacinto.

— Doceniam twój niepokój — odparł Santiago. — Ale decyzję już podjąłem.

— W takim razie pozwól, że pójdę zamiast ciebie — rzucił nagle Cain. — Anioł nie widział nigdy żadnego z nas. Ja będę miał przynajmniej jakieś szanse przeciwko niemu.

— Myślałem, że zdecydowaliśmy już, iż nie chcesz zostać Sydneyem Cartonem\* — zauważył Santiago.

*\* Bohater Opowieści o dwóch miastach Ch. Dickensa, (przyp. tłum. )*

— Zmieniłem zdanie.

— Ale ja nie zmieniłem mojego — rzucił Santiago. — Naprawdę doceniam twoją propozycję, Sebastianie, ale przewidziałem dla ciebie ważniejsze zadania.

— Co może być ważniejsze niż ratowanie twojego życia? — zapytał Cain.

— Ciągle jest do wykonania wielka praca, ze mną czy beze mnie — powiedział łagodnie Santiago. — A teraz, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, zjedźmy kolację.

Cain i Jacinto przez cały posiłek próbowali odwieść Santiago od jego postanowienia, ale pozostał niewzruszony na ich prośby. Kiedy skończył jeść, poszedł samotnie do doliny i wrócił koło północy wyraźnie zadowolony. Zaprosił Milczącą Annie, żeby przenocowała w jednym z gościnnych pokoi, życzył im trojgu dobrej nocy i udał się do łóżka.

Cain zamknął się w swoim pokoju, wyjął z bagażu dwa pistolety i następną godzinę spędził na ich czyszczeniu i oliwieniu.

Nastawił budzik na dwadzieścia minut przed wschodem słońca i kiedy całkowicie ubrany właśnie sprawdzał amunicję, usłyszał pukanie do drzwi.

— Otworzyć — nakazał cichym głosem i Santiago z Milczącą Annie weszli do pokoju.

— Tego się właśnie obawiałem — stwierdził Santiago, spoglądając na pistolety, które Cain położył na szafce. — Gdzie się wybierasz, Sebastianie?

— Jadę do miasta — odparł Cain, nie próbując ukryć broni.

— Powiedziałem ci, żebyś tego nie robił.

— Wiem, co mi powiedziałeś — mruknął Cain. — Ale i tak pojedę.

— Annie? — rzucił Santiago odsuwając się i nagle przed oczyma Caina znalazła się lufa pistoletu dźwiękowego.

— Co jest, do diabła? — zapytał Cain.

— Doceniam to, co chcesz zrobić, Sebastianie — stwierdził Santiago — ale nie mogę na to pozwolić. — Obrócił się do Milczącej Annie: — Wychodzę za dziesięć minut. Zatrzymasz go tutaj?

Skinęła głową.

— Żegnaj, Sebastianie — powiedział Santiago.

Odszedł korytarzem i drzwi zasunęły się.

— Wiesz, że idzie na pewną śmierć, prawda? — spytał gorzko Cain.

Popatrzyła na niego i odpowiedziała bez chwili wahania.

— Santiago nie może zostać zabity.

— Santiago powinien mieć obok siebie kilku więcej realistów i kilku mniej fanatyków. — Wstał. — Jeśli mnie przepuścisz, zdołam go jeszcze powstrzymać.

— Zostań na miejscu — ostrzegła go.

— Chcesz, żeby dał się zabić? — warknął Cain. — Dlaczego?

— Ponieważ taka była jego decyzja i zamierzam ją uszanować.

— Właściwie po cholereę on to robi? — zapytał Cain, ciągle oszołomiony.

— Aby uratować życie wszystkim tutaj — odparła. — Jeżeli Anioł chce go zabić i tak to zrobi, obojętnie gdzie go znajdzie.

— Mogliśmy wzmocnić nasz system bezpieczeństwa.

— W jedną noc? — spytała Milcząca Annie, potrząsając głową i uśmiechając się smutno.



— Mogliśmy urządzić zasadzkę. — Cain desperacko rzucił okiem na drzwi. — Nadal możemy.

— Kości zostały rzucone.

— Cóż za kiepski żart — odpowiedział łowca. — Santiago wyjechał, żeby zmierzyć się z Aniołem, a wszystko, co słyszę od ciebie, to frazesy!

Popatrzyła na niego.

— Uchronił mnie od życia w rozpacz i nadał sens mojej egzystencji. Kocham go bardziej, niż ty kiedykolwiek zdołałbyś go pokochać. Jeżeli ja pozwoliłam mu tam iść, ty również musisz się z tym pogodzić.

Cain usłyszał pojazd Santiago odjeżdżający z farmy.

— Odjechał — powiedział z rezygnacją. — Pomogłaś go zabić.

— Słyszałeś już: Santiago nie może umrzeć.

— Koniecznie wyryj to zdanie na jego nagrobku!

— Dlaczego jesteś taki wściekły? — spytała z zaciekawieniem. — Znałeś go tylko dwa dni.

— Szukałem go przez całe moje życie — powiedział gorzko Cain. — A teraz, dzięki tobie, straciłem go na zawsze.

Uśmiechnęła się.

— Podobałaby mu się taka odpowiedź.

— Nie będzie go już nigdy w pobliżu, żeby pochwalić cokolwiek.

Siedzieli w milczeniu przez następnych pięć minut. Cain z rosnącym poczuciem bezradności i zawiedzionych nadziei wytrzeszczał na nią oczy, a Milcząca Annie obserwowała każdy jego ruch z zagorzałą intensywnością.

Nagle rozległy się kroki w korytarzu i po chwili usłyszeli głos Jacinta.

— Jesteś tam, Annie?

Milcząca Annie obróciła głowę w kierunku drzwi jedynie na ułamek sekundy, ale ten krótki moment wystarczył, by Cain dał nura przez pokój i wybił jej z ręki pistolet, który poszybował na ścianę. Rzuciła się za nim, jednak łowca był szybszy; złapał Annie i cisnął brutalnie na łóżko.

— Co tam się dzieje? — zapytał Jacinto, łomocząc w drzwi.

Cain podniósł dźwiękowy pistolet Annie, rozłączył ładunek i rzucił broń na szafkę. Potem, przez cały czas nie spuszczać oczu z kobiety, podniósł swoje własne pistolety i napełnił kieszenie nabojami. Wreszcie podszedł do drzwi, polecił, żeby się otworzyły i znalazł się oko w oko z Jacintem, którego twarz zalana była łzami.

— Jadę do miasta — oznajmił Cain.

— Wiem — stwierdził Jacinto. Zrobił krok do przodu i Cain zobaczył, że tamten trzyma w rękach paskudnie wyglądający nóż.

— Nie próbuj mnie zatrzymać — ryknął złowieszczo Cain.

— Ani przez chwilę nie miałem takiego zamiaru.

— Więc pozwól mi przejść.

— Najpierw muszę coś zrobić — powiedział Jacinto, nadal zbliżając się do niego.

### 27.

*Niektórzy mówią — grzechów za nim gąszcz,  
Inni pewnie twierdzą że to święty mąż,  
Są tacy, co przysięgną — silny jest jak słoń,  
Lecz cokolwiek rzekną, nie taki jest on.*

Czarny Orfeusz nie był prorokiem. Miał po prostu intuicję. Napisał tę zwrotkę mniej więcej z tego samego powodu, z jakiego napisał strofę o Milczącej Annie: ponieważ niejasno przeczuwał, że Santiago jest kimś więcej, niż ludzie powszechnie uważali.

Nigdy się nie dowiedział, jak bardzo był bliski prawdy.

Kiedy Ojciec William i Swagman pojawili się w tawernie, Virtue MacKenzie już tam siedziała. Kaznodzieja przywitał ją chłodno, usiadł jak zwykle przy swoim stoliku i poprosił Księżycową Falę, żeby przygotowała dla niego śniadanie. Swagman tymczasem podszedł do dziennikarki i przysiadł się do jej stolika.

— Dzień dobry, kochanie — powiedział. — Wiedziałem, że się jeszcze spotkamy.

— Trochę wczesna pora jak na ciebie, nieprawdaż? — od-rzekła, kładąc na stole automatyczną kamerę i sprawdzając mikrofon.

— Czym byłoby życie bez nowych doświadczeń? — stwierdził z uśmiechem. — Zawsze zastanawiałem się, jak wygląda świat przed południem.

— Który świat? — zapytała cierpko.

— Każdy świat.

— Wydaje mi się, że raczej zawsze tak samo — powiedziała Virtue.

— Rano jest bardziej zamazany — odparł, mrugając oczyma. — Gdzie twój towarzysz podróży?

— Zjawi się — zapewniła go.

— Cóż, chyba masz rację, ale korzystając z jego nieobecności dobrze byłoby porozmawiać trochę o interesach — zauważył Swagman.

— Nie mam o czym z tobą rozmawiać — powiedziała Virtue, wsuwając mikrofon w szczelinę kamery.

— A umowa na temat kolekcji? — nalegał Swagman.

— Ta umowa byłaby wiążąca tylko wtedy, gdyby Santiago został zabity przez Caina — odparła Virtue. — A na wypadek, gdybyś jeszcze nie wiedział, informuję cię, że Cain przyłączył się do niego.

— Szepnij więc Aniołowi jakieś dobre słówko na mój temat.

Popatrzyła na niego drwiąco.

— Swagman, nie ma żadnych dobrych słów, które można by o tobie powiedzieć.

— Nie czas, żeby pograżać się w goryczy — stwierdził Swagman. — Ani ty, ani Anioł nie wiecie, jak się upłynia dzieła sztuki. Ja wiem. Potrzebujecie mnie.

— Nie interesują mnie dzieła sztuki — rzuciła. — I zapewniam cię, że dostanę to, czego chcę.

— Tak sądzisz? — zapytał z rozbawieniem Swagman.

— Anioł pragnie pieniędzy, ja — filmu. Nasze interesy nie kolidują ze sobą.

— Och, Virtue — westchnął. — Szkoda, że nie jesteś tak inteligentna, jak ci się wydaje.

— O czym mówisz?

— Naprawdę sądzisz, że zostawi cię przy życiu? — spytał Swagman.

— A dlaczego nie?

— Ponieważ Dimitri Sokol podniósł cenę za twoją śliczną główkę do stu tysięcy kredytów.

— Anioł kazał mu anulować wyrok na mnie — powiedziała.

Potrząsnął głową.

— Anioł kazał mu tylko przestać rozgłaszać tę informację. To jest różnica.

— Więc dlaczego jeszcze żyję — spytała.

— Ponieważ cię potrzebował. Chciał, żebyś nawiązała kontakt z Santiago. A kiedy go już zabije, staniesz się zbędna, chyba że przekonasz go o niezłej sumce, jaką możemy dla niego zdobyć sprzedając kolekcję.

— My? — powtórzyła sceptycznie. — Od kiedy zrobiłeś się taki hojny?

— Od kiedy zaprzyjaźniłaś się z Aniołem, a moją reputację popsuło wiele małosłownych osób zazdrosnych o moje sukcesy. — Pochylił się do przodu. — Dam ci dziesięć procent.

— Dziesięć procent?! — powiedziała, wybuchając śmiechem. — Twoja hojność nie zna granic.

Wzruszył ramionami.

— W porządku, piętnaście. I nadal masz swój reportaż.

— Odpada.

— Robisz wielki błąd — stwierdził Swagman.

— Chociaż Anioł jest tak przerażający, wolę już wierzyć raczej jemu niż tobie.

— To twój pogrzeb — odparł. — Przemyśl sobie wszystko, co ci powiedziałem. — Dał znak Księżycowej Fali, która wyłoniła się z kuchni ze śniadaniem Ojca Williama na

wielkiej tacy. — Filiżankę kawy, kiedy będziesz miała chwilę czasu, moja droga.

— Tak, proszę pana.

— Kawy? — spytała Virtue ze śmiechem.

— Powiedziano mi, że kawa zwęża źrenice — powiedział Swagman. — Mam zamiar spróbować.

— Kawa uspokaja nerwy.

— Możliwe. — Wzruszył ramionami. Nagle zauważył, że Ojciec William złożył ręce przed sobą i opuścił głowę. — Nigdy przedtem nie widziałem, żebyś to robił — zauważył.

— Zawsze się modłę — odparł Ojciec William.

— Ale nie przed posiłkiem — stwierdził Swagman. — Zwykle po prostu rzucasz się najedzenie, jakbyś próbował pobić rekord szybkości.

— Pewnie jest zdenerwowany — podsunęła Virtue.

Ojciec William popatrzył na nią surowo.

— Modliłem się za duszę Anioła. Zamierzam dzisiejszego ranka odesłać ją pod opiekę Szatana.

— Może lepiej poproś o łaskę dla siebie samego, jeśli zamierzasz stanąć przeciwko Aniołowi — rzuciła Virtue.

— Nie mam zwyczaju prosić Pana o osobiste przysługi — odparował Ojciec William. Ciągle na nią patrzył. — Ale następnym razem pomodłę się za ciebie. Zrobiłaś nikczemną rzecz, Virtue MacKenzie.

— Nie wiń mnie za to — powiedziała, broniąc się. — Jeszcze do wczoraj nie słyszałam o Bezpiecznym Porcie. Anioł znalazł to miejsce sam.

— Ale przekonałaś Santiago, żeby się z nim spotkał.

— Dostarczyłam jedynie wiadomość — odparła. — Do diabła, powiedziałam mu, że przyjście tu jest szaleństwem.

— Pomodłę się za ciebie tak czy owak.

— Skoro już o tym mówimy — powiedział Swagman — mógłbyś zmówić jedną modlitwę i za mnie, tak na wszelki wypadek.

— To by ci i tak nie pomogło — mruknął Ojciec William.

Pojawiła się Księżycowa Fala z kawą dla Swagmana. Ojciec

William odmówił krótką modlitwę za Virtue, a potem zabrał się za swoje jedzenie z jeszcze większym zapałem niż zazwyczaj. Księżycowa Fala postawiła tacę za barem i z wahaniem podeszła do Ojca Williama.

— Przepraszam, proszę pana... — zagaiła.

— Tak, moje dziecko?

— Wiem, że to nie moja sprawa, ale przypadkiem usłyszałam to, co pan powiedział i chciałam się upewnić, czy to jest prawda?

— Że Swagman pójdzie do piekła? — zapytał Ojciec William. — Oczywiście, że tak.

— Nie — zaprzeczyła pośpiesznie. — Nie o to mi chodziło. — Przerwała, nerwowo miętosząc fartuszek. — Czy to prawda, że on tu dzisiaj przyjdzie?

— Mam nadzieję, że nie — odparł Ojciec William.

Zaczęła mówić coś jeszcze, ale potrząsnęła głową i wycofała się do kuchni, a Ojciec William skierował swoją uwagę z powrotem na malejący stos jedzenia na talerzu.

Virtue zajęła się ponownie przeglądem swojego sprzętu, a Swagman łykał kawę i próbował bez powodzenia udawać, że jest to cygniański koniak.

Wtedy otworzyły się drzwi i do tawerny wszedł ubrany w matowo-czame ubranie Anioł. Jego blade, bezbarwne oczy zlustrowały tawernę, nie pomijając żadnego szczegółu.

— Jesteś parę minut za wcześnie — zauważyła Virtue.

Nic nie odpowiedział, wybrał stolik, który stał obok ściany bez okna i podszedł do niego elegancko i zwinnie jak kot. Ani na chwilę nie spuszczał oczu z Ojca Williama. Dotarł do stolika, wysunął krzesło i usiadł.

— Jak miemam, jesteś Anioł? — zagaił wesoło Swagman.

— Tak.

— To dobrze. Nazywają mnie Uroczy Swagman. Chcę ci przedstawić propozycję korzystną dla nas obu.

— Później — odparł Anioł.

— Możesz zarobić dużo pieniędzy — kontynuował z perswazją Swagman.

— Powiedziałem: później.

Swagman spojrzał w pozbawione życia oczy Anioła.

— Powiem ci coś — rzekł, pospiesznie wstając z rękoma splecionymi przed sobą. — Chyba przejdę się po ulicy i odprężę. Porozmawiamy po moim powrocie.

Anioł nie zwracał na Swagmana uwagi, kiedy ten podszedł szybko do drzwi. Przez cały czas uważnie wpatrywał się w Ojca Williama.

— Nie pozwolę ci go zabić — stwierdził kaznodzieja. Patrzył na niego z furją, nie przestając jeść.

— Chcę z nim tylko porozmawiać — odparł Anioł.

— Nie wierzę ci.

Anioł wzruszył ramionami.

— Mało mnie to obchodzi. Nie zrób tylko jakiegoś głupstwa.

Ojciec William nadal z niechęcią wpatrywał się w niego, kiedy Księżycowa Fala wyłoniła się z kuchni i zbliżyła do Anioła.

— Czym mogę panu służyć? — spytała.



Anioł potrząsnął przecząco głową, nie spuszczając oczu z Ojca Williama.

— Powinien być tutaj lada chwila — powiedziała Virtue.

— Będzie z nim Cain? — spytał Anioł.

— Nie. — Urwała nerwowo. — Muszę ci zadać pytanie.

— Pytaj.

— Czy Dimitri Sokol nadal żąda mojej śmierci?

— Nie.

— Jesteś pewien?

— Ktoś ci powiedział coś innego? — zapytał Anioł.

— Po prostu jestem ciekawa.

— Oczywiście Swagman — rzekł Anioł.

— Mówił prawdę?

— A czy mówił ją kiedykolwiek?

— Cholera! — warknęła Virtue, a jej gniew przewyciężył strach. — Odpowiedz mi!

Nieznacznie obrócił ku niej głowę, nadal mając w polu widzenia Ojca Williama.

— Odpowiedziałem już na twoje pytanie. Jeżeli nie uwierzyłaś mi za pierwszym razem, nie uwierzysz mi i teraz.

Siedzieli w milczeniu przez kolejną minutę. Potem Ojciec William skończył śniadanie, odwiązał serwetkę z szyi, wytarł usta i rzucił ją na stolik.

— Ostrzegłem cię — ryknął kaznodzieja złowieszczo.

— Nie musisz umierać — zauważył Anioł. — Nie jesteś ścigany listem gończym.

— Pan jest moim pasterzem, niczego nie powinienem pragnąć dla siebie! — zaintonował Ojciec William, wstając, a rękojęści jego laserowych pistoletów błysnęły w sztucznym świetle tawerny.

Nagle Księżycowa Fala z oczyma rozszerzonymi z przerażenia zrobiła krok w kierunku Anioła.

— Nie możesz zabić Ojca Williama! — powiedziała cichym głosem. — On jest sługą Pana!

— To jego wybór — odparł Anioł spokojnie, ani na moment nie spuszczać oczu z kaznodziei.

— Odsuń się, dziecko! — poprosił Ojciec William.

— Nie możesz! — powtórzyła, spiesząc ku Aniołowi.

Ojciec William sięgnął po pistolety i w tym samym momencie — jakby za pomocą jakiejś magicznej sztuczki — trzy długie metalowe kolce pojawiły się w prawej dłoni Anioła. Księżycowa Fala podbiła jego rękę, w chwili gdy je rzucał, ale i tak wszystkie utkwily w wielkim ciele Ojca Williama, zanim ten zdołał wyciągnąć pistolety. Kaznodzieja osunął się na podłogę z pomrukiem zaskoczenia.

Anioł wstał i strącił Księżycową Falę z ramienia. Poleciała na ścianę i upadła. Leżała bez ruchu.

— Zobacz, czy dziewczyna żyje — rozkazał łowca Virtue, sam natomiast przeszedł przez salę i kucnął przy Ojcu Williamie. Kaznodzieja był nadal przytomny, mimo że jedna ze szpil tkwiła w jego piersi, druga sterczała z prawego ramienia, a trzecia wbiła się w lewy bok szyi.

— Miałeś szczęście — zauważył beznamiętnie Anioł, przywłaszczając sobie pistolety Ojca Williama. — Poświęciłeś swoje życie w zamian za życie tego dziecka. Spróbuj nie ruszać się za wiele, a może nie wykrwawisz się na śmierć.

— Zabij mnie teraz! — zgrzytliwie wycharczał Ojciec William. — Albo, Bóg mi świadkiem, będę cię ścigał aż do otchłani piekieł!

— Głupiec — mruknął Anioł, potrząsając głową.

Zrewidował kaznodzieję w poszukiwaniu ukrytej broni,

ostrożnie wyjął trzy szpikulce, wstał i podszedł do Księżycowej Fali.

— Oddycha — stwierdziła Virtue. — Ale ma cholernego guza na głowie.

Wprawnymi rękami dotknął ręki i szyi dziewczyny.

— Nic jej nie będzie — ocenił.

— A co z Ojcem Williamem?

— Jest w lepszym stanie, niż można by się spodziewać — odpowiedział Anioł. — Tłuszcz daje mu niezłą osłonę.

— Będzie żył?

— Prawdopodobnie.

— Nie powinniśmy odstawić tej pary do jakiegoś lekarza?

— Później — odparł Anioł.

Popatrzyła na półprzytomnego kaznodzieję.

— Bardzo krwawi.

— Rób, co chcesz — odparł Anioł, wracając na krzesło.

— Ja czekam na Santiago.

Patrzyła na Ojca Williama przez długą chwilę, a potem wzruszyła ramionami i wróciła do swojego sprzętu.

Siedzieli przez kilka minut nic nie mówiąc, ciszę przerywał tylko chrapliwy oddech Ojca Williama i od czasu do czasu rzucane przez niego przekleństwa. Potem drzwi się otworzyły i wszedł Santiago.

— Co tu się dzieje? — zapytał, klękając przy Ojcu Williamie.

— Ty jesteś Santiago? — spytał Anioł.

— Tak — powiedział Santiago, nie podnosząc oczu.

— Twój towarzysz podjął niemądrą decyzję.

— Żyje?

— Przeżyję to szatańskie nasienie! — zachrypiał Ojciec William, odzyskując przytomność.

Nagle Santiago zobaczył Księżycową Falę.

— Co zrobiłeś tej małej?

— Nic jej nie będzie. — Anioł zrobił ruch ręką w kierunku krzesła naprzeciwko siebie. — Siadaj.

— Za chwilę — stwierdził Santiago, podchodząc i badając Księżycową Falę. Jego ręce znalazły obrzęk na boku jej głowy.

— To może być pęknięcie. — Obrócił się do Virtue. — Wezwaliście lekarza?

— Wszystko w swoim czasie — przerwał Anioł. — Najpierw omówimy nasze sprawy.

Santiago spojrzał jeszcze raz na Ojca Williama i obrócił się do Anioła.

— Chcę, żebyś dał mi słowo, że nie zabijesz ich, niezależnie od tego, jak zakończą się nasze negocjacje.

— Masz moje słowo.

Santiago westchnął.

— W porządku — powiedział i usiadł. — Zaczynamy.

— Twierdzisz, że jesteś najbardziej poszukiwanym człowiekiem w tej galaktyce — zaczął Anioł.

— Tak.

— A to dlatego, że jesteś najpotężniejszym przestępcą w galaktyce — kontynuował.

— Przejdźmy do sedna sprawy — uciął Santiago.

— To proste: przestępca, który ma tyle szczęścia co ty, bez wątplenia zgromadził znaczną sumkę pieniędzy. Zastanawiam się, czy chciałbyś przeznaczyć pewną część tej sumy na kupienie dalszego szczęśliwego żywota?

— Ile?

— Nagroda wynosi w tej chwili dwadzieścia milionów kredytów — zauważył Anioł. — Umilkł i zamyślił się. — Sądzę, że trzydzieści milionów będzie w sam raz.

— Trzydzieści? — wykrzyknęła Virtue. — Sądziłam, że mówiłeś o trzech!

Anioł uśmiechnął się ponuro.

— To była rozmowa — odparł. — Teraz jest interes. Popatrzyl Santiago prosto w oczy.

— Kwota płatna w całości, zanim wstaniesz od tego stolika.

Santiago uśmiechnął się smutno.

— Nigdy nie miałeś zamiaru zawierać żadnych umów, prawda?

— Jestem człowiekiem słownym — odparł Anioł. — Obiecałem, że jeśli tu przyjdiesz, złożę ci pewną propozycję i złożyłem. Jaka jest twoja odpowiedź?

— Idź do diabła — rzucił Santiago.

Anioł zrobił ręką niezwykle szybki ruch i chwilę później Santiago zsunął się z krzesła. Z gardła bluzgała mu krew. Zanim dotknął podłogi, był martwy.

Ojciec William wydał z siebie straszliwy ryk, spróbował się podnieść i nawet zdołał postawić jedną nogę, po czym złapał się za pierś i upadł ciężko dysząc.

Virtue zamknęła oczy i walczyła z napływającymi torsjami. Anioł natomiast wstał, podszedł do ciała Santiago i spojrział na nie, przyglądając się uważnie wykrzywionej twarzy.

— Cóż, masz swój reportaż — powiedział w końcu.

— To było makabryczne! — stwierdziła słabym głosem.

Odwrócił się do niej:

— Śmierć zawsze jest taka.

Nagle rozległ się strzał.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Potem Anioł, ze strumyczkiem krwi sączącym się z ust, obrócił się do drzwi. Lekko się chwiał.

— Głupcze! — powiedział łagodnie Cain. — Sądzisz, że można tak łatwo zabić Santiago?

Wystrzelił raz jeszcze i Anioł upadł na kolana.

Ojciec William żmudnie podnosił się na łokcie.

— Ty biedny, głupi gnojku! — zacharczał kaznodzieja z szyderczym śmiechem, patrząc drwiąco na Anioła. — Zamordowałaś niewłaściwego człowieka!

Cain powoli sunął wzdłuż pokoju.

Anioł, z zaskoczeniem i bólem na twarzy, próbował coś powiedzieć, odkaszlnął, wyrzucając z ust bryzgi krwi i w końcu wykrztusił parę słów:

— Więc w końcu który z was jest Santiago?

Cain podniósł prawą rękę i pokazał jeszcze ociekającą krwią ranę w kształcie litery „S”.

— Teraz ja nim jestem — stwierdził.

— Biedny grzeszniku! — zazgrzytał Ojciec William. — Wszyscy wiedzą, że Santiago nie może umrzeć! — Zaryczał ze śmiechu i śmiał się tak długo, aż zemdlał.

Anioł włożył rękę do płaszcza po broń dźwiękową, a wtedy rozbrzmiał trzeci strzał. Łowca upadł do tyłu, jak uderzony młotem kowalskim, i znieruchomiał.

Cain obrócił się do Virtue.

— Idź po lekarza — rozkazał.

Wstała i zaczęła chować kamerę do torby.

— Zostaw to — nakazał Cain.

— O nie! — powiedziała, patrząc na niego z furią. — Ryzykowałam życiem, żeby to zdobyć.

— Nadal tu będzie, kiedy wrócisz.

— Więc czemu nie mogę jej zabrać?

— Chcę mieć pewność, że wrócisz. Musimy porozmawiać.

Spojrzała na kamerę, a potem znowu zwróciła się do Cai-  
na:

— Obiecujesz, że jej nie tkniesz?

— Chyba, że ktoś umrze z powodu twojej kłótności —  
odparł. — A wtedy, przyrzekam ci, rozbiję ją na kawałki.

Przez chwilę wyglądało, jakby chciała spierać się z nim  
dalej, ale tylko obróciła się i wyszła. Cain szybko obejrzał czte-  
ry ciała, dwa żywe i dwa martwe, po czym podszedł do baru,  
nalał sobie drinka i czekał.

Virtue wróciła sama po jakichś dwu minutach, z twarzą  
zaróżowioną od biegu.

— Na zewnątrz zebrał się całkiem niezły tłumek — za-  
uważyła.

— Gdzie jest lekarz? — spytał Cain.

— Powiedziałam mu, że będzie potrzebował pomocni-  
ków — odparła. — Zbiera personel i szuka pojazdu, który od-  
wiezie ich do szpitala.

— Kiedy tu będzie?

— Nie wiem. Przypuszczam, że za jakieś pięć minut.

— Poczekaj tu — rozkazał i ruszył do drzwi. Wyszedł  
na ulicę i znalazł się twarzą w twarz z dwudziestką gapiów.

— Mielіśmy tu pewien kłopot — powiedział — ale pa-  
nujemy już nad sytuacją. Wkrótce przyjedzie zespół medycy-  
ny. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli rozejdziecie się do domów.

Nikt się nie poruszył.

Cain podniósł prawą rękę i obrócił ją tak, żeby ludzie mo-  
gli zobaczyć ranę na jej grzbiecie.

— Bardzo was proszę — dodał.

Popatrzyli na rękę, a potem, jeden po drugim zaczęli się rozchodzić. Jeden z mężczyzn najpierw powlókł się za innymi, a potem zawrócił i spytał, czy mógłby w czymś pomóc. Cain pokręcił głową i podziękował mu. Mężczyzna odszedł.

— To było imponujące — zauważyła Virtue, kiedy wrócił do tawerny. — Jak długo zamierzasz kontynuować tę maskaradę?

— Jaką maskaradę? — spytał.

— Udawanie Santiago..

Popatrzył na nią bez wyrazu.

— Nie udaję.

— A co z nagrodą? — spytała.

— Wyobrażam sobie, że znacznie wzrośnie — odparł.

— Anioł pracował przecież dla Demokracji.

Napotkała jego wzrok i zaskoczył ją wyraz jego oczu.

— Mówisz poważnie, prawda?

Milcząco pokiwał głową.

— A co z moim reportażem? — spytała.

— Jakim reportażem?

— Zarejestrowałam jak Anioł zabija Santiago.

Potrząsnął głową.

— Ja jestem Santiago. Zarejestrowałaś scenę, w której jakiś łowca nagród zabija podrzędnego oszusta.

— Pozwólmy, żeby widzowie osądzili sami.

Cain wzruszył ramionami.

— Jednak szkoda — powiedział cicho.

— Czego? — spytała podejrzliwie.

— Że twoja historia musi się tutaj skończyć.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— I że nigdy nie nagrzesz wywiadu — dodał.

— Tak?



— Jest tak wiele rzeczy, których mogłabyś się dowiedzieć — kontynuował. — Starczyłoby na dziesięć wywiadów.

— A na książkę? — spytała znacząco.

— Kto wie?

— Będę musiała się nad tym zastanowić — stwierdziła Virtue.

Drzwi się otworzyły i do tawerny wszedł lekarz w otoczeniu trzech asystentów.

— Nie myśl za długo — powiedział jej Cain.

Sanitariusze przenieśli kaznodzieję i Księżycową Falę na wypełnione powietrzem nosze, a lekarz podszedł do Caina.

— Po tych dwu wrócę później — oznajmił. — Ale muszę działać szybko, żeby uratować Ojca Williama.

Cain skinął głową.

— Proszę wrócić tylko po tego jednego — stwierdził, wskazując na Anioła. — Drugiego zabieram z sobą.

Lekarz popatrzył na Santiago, potem na Caina i kiwnął głową. Cain poczekał, aż zostali sami z Virtue i dopiero wtedy się odezwał:

— Podjadę autem i załaduję go do niego — powiedział. Doszedł do drzwi i rzucił od niechcienia: — Muszę poznać twoją decyzję, zanim odjadę.

Obrócił się do tyłu i znalazł się twarzą w twarz z Uroczym Swagmanem.

— Zobaczyłem, że ktoś jeszcze tu został, więc uznałem, że to może być odpowiednia pora, by wrócić — powiedział z uśmiechem. — Cieszę się, że nadal żyjecie.

Przeszedł obok Caina i zapatrzył się w dwa ciała.

— No, no, niech mnie kule biją! — zamruczał. — Obaj!

— Zwrócił się ponownie do Caina. — Zdawało mi się, że widziałem dwa wynoszone ciała.

— Ojciec William i Księżycowa Fala — stwierdził Cain.

— Jeszcze żyją.

— Cieszę się, że to słyszę. Mam niewysłowioną czułość dla tego grubego, starego człowieka. — Zatarł ręce. — No cóż, oto jesteśmy: Trzej Muszkieterowie! Kto by pomyślał, że rzeczywiście tego dokonamy!

— Czego chcesz? — spytał Cain.

— A jak myślisz? — zaśmiał się Swagman. — Ty bierzesz nagrodę, Virtue swoją historię, a ja chcę dostać kolekcję.

— Nie ma mowy — powiedział Cain.

Swagman zmarszczył brwi.

— O czym ty mówisz, Czyżyku?

— Nie nazywam się Czyżyk.

— W porządku... Sebastianie.

— Nie nazywam się też Sebastian.

— Więc jak chcesz, żeby się do ciebie zwracać?

— Santiago.

Swagman roześmiał się serdecznie i mrugnął okiem do Virtue.

— Jak dobrze się ukrywał, prawda?

— Moja przeszłość to nie twoja sprawa.

— No dobrze — stwierdził Swagman. — To już szło zbyt daleko. Mamy umowę. Kolekcja jest moja!

— Zawarłeś umowę z osobą, która już nie istnieje — zauważył Cain.

— Teraz ty mnie posłuchaj! — zdenerwował się Swagman. — Nie wiem, jakie wymyśliłeś oszustwo, ale nie uda ci się. Ty bierzesz nagrodę, ja — kolekcję.

— Nie interesuje mnie, czego chcesz.

— Uważasz, iż możesz zabrać wszystko, tylko dlatego, że go zabiłeś? — zapytał Swagman. — To ci się nie uda, Sebastianie!

— On ma na imię Santiago — powiedziała Virtue.

— Ty też? — zapytał, obracając ku niej twarz.

— Jestem jego biografem — powiedziała z kołtuńskim uśmiechem. — Kto może znać Santiago lepiej niż ja?

Swagman zwrócił się znowu do Caina:

— Nie wiem, co knujecie, ale nie pozbędziecie się mnie tak łatwo. Włożyłem w całą tę sprawę tyle samo pracy, co wy. Zasłużyłem sobie na coś.

— Na niektóre dzieła obcej sztuki? — zasugerował Cain.

— Oczywiście, że na niektóre dzieła obcej sztuki! A myślałeś, do diabła, że o czym mówię?!

— W porządku — stwierdził Cain. — Masz prawo do czegoś.

Podszedł do ciała Santiago, ukląkł i zdjął złoty sygnet z jego palca.

— Proszę bardzo — powiedział Cain. — Teraz odejdz.

Swagman popatrzył na pierścień i cisnął nim o ścianę.

— Wszystkim o tym rozgadam — powiedział z pogróżką w głosie.

— Rób, co chcesz — stwierdził Cain.

— Nie żartuję, Sebastianie. Powiem im, że on nie żyje.

— A w przyszłym miesiącu albo za rok zostanie okradziony kolejny konwój floty i wszyscy dowiedzą się, że Santiago ciągle działa — odpowiedział spokojnie Cain.

Swagman popatrzył na niego uważnie.

— To jeszcze nie koniec — obiecał.

— Wiem — spokojnie odpowiedział Cain. — Z pewnego powodu będziesz mnie teraz chronił.

— Oszalałeś?!

— Ciągłe jest nagroda za moją głowę, a ty wiesz, że mieszkam na Bezpiecznym Porcie. Jeśli jakiś łowca głów tu zawita, pomyślę, że właśnie ty mu powiedziałeś, gdzie mnie znaleźć. — Uśmiechnął się groźnie. — To mi się raczej nie spodoba.

— Jak mogę upilnować wszystkich łowców nagród, którzy szukają Santiago? — zapytał Swagman z rozdrażnieniem.

— Jesteś sprytnym facetem — rzucił Cain. — Znajdziesz jakiś sposób.

Swagman chciał zaprotestować, ale w końcu tylko westchnął i zwrócił się do Virtue:

— Naprawdę wchodzisz w to szachrajstwo? — spytał.

— Jakie szachrajstwo? — odparła niewinnie.

— Cudownie — wymamrotał. — Wiesz — dodał w zamyśleniu — wydaje mi się, że pierwsze kroki w tej branży masz już za sobą. Ale potrzeba ci jeszcze trochę praktyki.

— Masz jakieś pomysły?

Uśmiechnął się, odzyskując pewność siebie.

— Setki, zwłaszcza dla takiego słynnego krytyka sztuki jak ty.

— Porozmawiamy o tym później — powiedziała, nie mogąc ukryć podniecenia tą nową ofertą.

— Przez kilka następnych dni będę w pensjonacie. To znaczy — dodał szyderczo — o ile Santiago nie ma nic przeciwko temu?

— Dwa dni — stwierdził Cain.

— W takim razie, jeśli nic już nie stoi na przeszkodzie, chyba was opuszczę — powiedział, kierując się w stronę drzwi. — Tęsknię za towarzystwem uczciwych mężczyzn i uczciwych kobiet.

— Wątpię, czy to pragnienie jest odwzajemnione — zauważył Cain.

Swagman zachichotał i wyszedł z tawerny.

— Bałam się, że go zabijesz — zauważyła Virtue.

— Cain mógłby, ale Santiago go wykorzysta.

— Swagman powie wojsku, gdzie cię znaleźć. Tylko to potrafi.

— Nie zrobi tego — odparł Cain z przekonaniem, zmierzając do drzwi. — Jeśli wojsko mnie zabije, Demokracja przywłaszczy sobie moje rzeczy razem z kolekcją sztuki.

Załadowanie ciała Santiago do pojazdu zabrało Cainowi kolejnych parę minut. Potem on i Virtue przejechali pięćdziesiąt mil i dotarli na farmę.

Jacinto czekał na nich w progu. Virtue pozostała w domu, a tymczasem dwaj mężczyźni delikatnie zanieśli ciało Santiago do doliny, gdzie rano został wykopany trzeci grób.

— Uwielbiał to miejsce — powiedział Jacinto, gdy zasypali grób. Rozejrzał się wokół. — Jest przepiękne, prawda?

Cain skinął głową.

Jacinto w zamyśleniu spuścił oczy na nieoznakowane groby.

— Był najlepszy z nich wszystkich.

— Także był łowcą nagród? — spytał Cain.

Jacinto potrząsnął głową.

— Przyjechał tutaj jako kolonista prawie dwadzieścia lat temu i wybudował tawernę „Ziarno Jęczmienia”.

— Kto był przed nim?

— Profesor obcych języków.

— A szachista? — spytał Cain.

Jacinto uśmiechnął się.

— Był bardzo subtelny.

Cain zbliżył się do ocienionego miejsca pod sękatym drzewem.

— Kiedy będziesz mnie grzebał, chcę spocząć właśnie tu — stwierdził.

Jacinto wyprostował się i spojrzał Cainowi prosto w oczy.

— Santiago nie może umrzeć — rzekł stanowczo.

— Wiem. Ale kiedy będziesz mnie chował, pamiętaj, co ci powiedziałem.

— Dobrze — obiecał Jacinto.

Cain podszedł znowu do trzech grobów.

— Idź do domu — powiedział. — Przyłączę się do ciebie za małą chwilkę.

Jacinto kiwnął głową i ruszył w drogę, a Cain opuścił głowę i wpatrywał się w trzy kopce ziemi. Stał tam w milczeniu przez prawie pół godziny, po czym głęboko westchnął i wrócił do domu.

Virtue oczekiwała go na werandzie z kamerą w ręku.

— Jesteś gotowy? — spytała z zapalem.

— Za chwilę. Muszę najpierw coś powiedzieć Jacinto. — Obrócił się do niej. — Ale jest jeden warunek.

— Jaki?

— Nie zrobisz żadnych holografii mojej twarzy. Użyjesz tej małej kamery, którą zabrałem ci wczoraj i wycelujesz ją na moje ręce. — Przerwał. — To jest moja podstawowa zasada. Przystajesz na to?

— Oczywiście — odparła swobodnie. — To może zwiększyć honorarium twojego biografy.

— Cieszę się, że się rozumiemy.

Cain odszukał Jacinta i poprosił go o raport na temat stanu organizacji Winstona Kchangi.

— Nie mamy od nich odpowiedzi — zaczął Jacinto.

— Demokracja nadal blokuje fundusze Bortai?

Jacinto skinął głową.

— W takim razie będę musiał złożyć małą wizytę naszym współpracownikom — powiedział groźnie Cain. — Wrzucić ich współrzędne do komputera na moim statku. Jutro wylatuję.

— Tak, Santiago.

Odwrócił się w stronę werandy.

— W porządku — stwierdził. — Zaczynamy.

— Przypuszczam, że najpierw mi opowiesz o swoim najnowszym posunięciu — zauważyła Virtue, ogniskując kamerę na grzbiecie jego prawej ręki. — Przeciwno komu walczysz?

— O najnowszym posunięciu? — powtórzył zaskoczony. — Nie wiem nic o żadnym posunięciu. — Otworzyła usta, żeby zaprotestować. — Ale mogę opowiedzieć ci o siedemnastu mężczyznach i kobietach, których okradłem i zabiłem na Silverblue.

Wyszczrzyła zęby i włączyła mikrofon, a on długo w noc opowiadał jej krwawą historię najbardziej poszukiwanego przestępcy w galaktyce.

### EPILOG

*Czasem powiadają: ma sto lat, to wiek pewny,  
Inni znów podają — sto plus parą dziesiątków,  
Są tacy, co mówią, że jest nieśmiertelny,  
Księżę zła, mistrz zbrodni, król wszystkich przestępców.*

To była ostatnia zwrotka, jaką ułożył Czarny Orfeusz.

Krótko po zapisaniu tych słów wylądował na czwartej planecie systemu Beta Santori. Był to piękny światek, sielankowa, zaczarowana kraina pełna zielonych pól, zimnych czystych strumyków i potężnych starych drzew. W chwili, w której wysiadł ze swojego statku, zdecydował, że spędzi resztę swojego życia samotnie, jako jedyny mieszkaniec tej planety.

Nazwał ją Eurydyka.

Oczywiście, nawet bez Czarnego Orfeusza życie i śmierć nadal przeplatały się na Wewnętrznej Granicy.

Geronimo Gentry, Biedny Yorick i Jonathan Stern: wszyscy umarli w przeciągu roku — pierwszy ze starości, drugi od nadmiaru nasion alfanelli, a trzeci z powodu zbyt wielu grzechów, które jeszcze nie doczekały się swej nazwy.

Sargassowa Róża pozostała samotną i rozgoryczoną kobietą, co noc przeklinającą Sebastiana Caina za to, że nie dotrzymał danego jej przyrzeczenia. Łamacz Czaszek Murchison najpierw stracił swój nieoficjalny tytuł, potem zdobył go na nowo, a kiedy wreszcie zainkasował o jeden cios w głowę za dużo, wycofał się z boksu.

Rozjemca MacDougal odszukał Quentina Cicero i Carmelę Sparks; później poleciał głębiej ku centrum galaktyki w poszukiwaniu Santiago. Dimitri Sokol przez dwa lata służył jako



ambasador na Lodinie XI, a potem podał się do dymisji, gdyż poczuł, że nagromadził już dość politycznych honorów. Wyruszył wtedy na Deluros VIII, gdzie łatwo wygrał wybory na pomniejszego urząd. Po pewnym czasie zaproponowano mu wysokie stanowisko w rządzie.

Ojciec William powoli leczył się z ran. Pozostał w szpitalu przez niemal sześć miesięcy, przywołując gniew boży na lekarzy, którzy odmawiali wypuszczenia go z kliniki, póki nie zrzuci połowy wagi. Tego dnia, kiedy wyszedł, zaczął zawzięcie odzyskiwać stracone kilogramy, ale jego wigor gdzieś zniknął i w końcu kaznodzieja osiadł na Bezpiecznym Porcie jako pastor jedyne kościółka planety.

Swagman naprawdę założył na krótki okres spółkę z Virtue. Po kolejnej kłótni wrócił na Goldenrod i zasiadł z zamiarem spisania wspomnień. Jednak jego zapał wkrótce osłabł i chociaż nigdy zupełnie nie porzucił tego projektu, niedługo później zwerbował nową partię ludzi i na swój niezrównany sposób znowu zaczął dodawać kolejne dzieła sztuki do już posiadanych.

Virtue, która opuściła Demokrację chyłkiem, wróciła do niej opromieniona sławą. Jej seria wywiadów z Santiago zdobyła trzy główne nagrody dziennikarskie, a biografia popularnego bandyty przyniosła jej fortunę. Wyruszała na Wewnętrzną Granicę co parę lat po świeży materiał na temat Króla Przystępców i nigdy nie wracała z pustymi rękami. Piła za dużo, sypiała ze zbyt wieloma mężczyznami, wydawała zbyt wiele pieniędzy — słowem, cieszyła się każdą chwilą życia.

Cain prowadził swoją działalność jeszcze przez dziewięć lat, wydając to, co jego sieć nielegalnych przedsiębiorstw zbierała tam, gdzie pieniądze mogły najbardziej pomóc, walcząc tylko w tych nielicznych bitwach, o których wiedział, że

może je wygrać i rozstawiając imię Santiago na coraz to nowych światach Granicy.

Zawsze wydawało mu się, że jego koniec nadejdzie z rąk rozjemcy MacDougala, ale ostatecznie dopadł go Johnny Jeden Znak i było to dopiero jego dziewiąte zabójstwo. Kiedy nadeszła ostatnia chwila, Cain siedział właśnie na werandzie, popatrząc spokojnie na faliste łany kukurydzy i pszenicy i nigdy się nie dowiedział, kto go ugodził. Johnny Jeden Znak znajdował się zaledwie pół mili od swojego statku, gdy go schwytano i zabito.

Tego popołudnia w małej dolince obok stawu, pod sękatym drzewem, dokładnie w miejscu wskazanym przez Caina, wyrósł czwarty nieoznaczony grób.

Wieczorem Księżycowa Fala przeszła na piechotę całą drogę z miasta.

Na ganku stał szczupły mężczyzna ze smutnymi oczyma i połyskującym pasemkiem bieli w czarnych włosach. Obserwował ją, jak się zbliżała.

— Tak? — zapytał.

— Przyszłam, żeby zobaczyć się z Santiago.

— Po co?

— Przez całe moje życie pracowałam jako barmanka — odparła. — Ojciec William powiedział, że czas, bym zrobiła coś więcej. — Przerwała nerwowo. — Mówi, że Santiago mógłby mi pomóc.

— To możliwe.

— Gdzie mogę go znaleźć? — spytała Księżycowa Fala.

— Chodź, dziecko — powiedział łagodnie, wyciągając ku niej swoją zabandażowaną rękę. — Ja jestem Santiago.

## SPIS TREŚCI

### PROLOG

Część 1: Księga Czyżyka

Część 2: Księga Królowej Cnotki

Część 3: Księga Uroczego Swagmana

Część 4: Księga Anioła

Część 5: Księga Księżycowej Fali

Część 6: Księga Santiago

### EPILOG

Mike Resnick

### MROCZNA PANI

Głównym bohaterem powieści jest Leonardo z rasy Bjonn, pochodzący z planety, gdzie panuje matriarchat, znawca sztuki, który w ramach wymiany kulturalnej przylatuje na Odległy Londyn, planetę zamieszkaną przez ludzi, i podejmuje pracę w galerii sztuki. Leonardo zostaje wynajęty przez pewnego miliardera do poszukiwania portretów tajemniczej modelki. Sprawa wydaje się niezwykła, bowiem miliardier posiada w swoich zbiorach wizerunki jednej i tej samej kobiety, które powstały w czasie kilku tysięcy lat. Wraz z dwoma ludźmi Leonardo podejmuje poszukiwania kolejnych obrazów, ale szybko trafia na ślad owej tajemniczej piękności i przekonuje się, że jest ona istotą o nadnaturalnych zdolnościach. Rozpoczyna się fascynująca pogoń przez całą niemal Galaktykę...